

Eugeniusz Paukšta

Zatoka Żarłocznego Szczupaka

1.. Nie każda droga wiedzie prosto do celu

Niczego sobie szelmutka — pomyślał: Pietrek spoglądając na miłą dziewczynę w kolejarskim mundurze, machnięciem chorągiewki dającej maszyniście sygnał do odjazdu.

Terkoczący, skrzypiący starymi wagonami pociąg osobowy, obsługujący linię Olsztyn — Ełk, powlókł się dalej, zostawiając za sobą swąd Czarnego dymu. Dziewczyna zdjęła czerwoną czapkę zawiadowcy, spojrzała ciekawie na trójkę pasażerów, którzy zostali na porośniętym trawą peronie, potem wolnym krokiem poszła w stronę mizernego budynku, na którym czarnymi literami odcinał się od białego tła napis: Kłosianka.

Pietrek odprowadził dziewczynę wzrokiem. Zajęcie to przerwał głos siostry Brzmiało w nim wyraźne rozczarowanie.

— Nie ma ich...

— A nie ma — przytwierdził sięgając do kieszeni po papierosa. - Zmęczyłem się, kurdefelek, stanem między tłustymi babskami a ich kosztami z gęsmi i innym bagażem.. Z Kostkiem tak zawsze, liczyć na niego nie można.

— Może coś im przeszkodziło albo są nad jeziorem — łagodziła miękkim głosem Mirka Knipianka.

— Chodźmy gdzieś, nie będziemy sterczeć na peronie jak kołki.

Dziura jakaś, zakazany kraj — Pietrek powiódł dokoła spojrzeniem.

Dwutorowa linia kolejowa wypadła z lasu na mały placzyk stacyjki i znów zniknęła w gęstym borze szpilkowym. Świerki postrzępioną, ciemną linią wierzchołków zamykały cały obszar polany.

— Pójdę, dowiem się od zawiadowcy, czy ich tutaj nie było.

— Zapytaj o drogę do jeziora. Wykąpałbym się, zanim coś postanowimy — rzucił Godycki za siostrą.

Razem z Mirką, przysiadł na spalonej przez słońce murawie. Spojrzał na towarzyszkę trochę bezradnie.

— No widzisz, i co z tym Kostkiem zrobić?

Zaśmiała się. Echem odpowiedziały świerkowe ściany,

— Masz się też czym kłopotać! Damy radę... Patrz, jastrząb kołuje...

Spojrzał w niebo, gdzie zakolami wznosząc się i znów opadając krążył duży jastrząb. Przeniósł wzrok na Mirkę Znał ją dwa lata, od chwili kiedy zaprzyjaźniła się z Zośką. Próbował wtedy zwrócić jej uwagę na siebie, ale zlekceważyła go. Tym bardziej uradował się, gdy niespodziewanie zdecydowała się na wspólny wyjazd z nimi. Miał nadzieję, że pobyt na wodnej

włóczędze zmieni stosunek dziewczyny do niego. Odprawa, jaką otrzymał przed rokiem, podrażniła jego ambicję...

Mirka nie należała do dziewcząt specjalnie ładnych, Za to jakimś trudnym do określenia wdziękiem podbijała wszystkich. Średniego wzrostu, zgrabna, dziewczęca. Jasne włosy nosiła długie, połyskiwały teraz ciemnym złotem w blasku powoli zbliżającego się już zachodu. Pietrek miał już dość krótkich zalotnych czuprynek i bardzo mu się te włosy podobały.

Przestała śledzić jastrzębie loty. Założywszy ramiona pod głowę, z westchnieniem ulgi położyła się na rozgrzanej trawie. Wyrazista jej twarz, jak zawsze, pogodna była i lekko uśmiechnięta. Na lewym policzku tworzył się wtedy lekki dołeczek, Oczy miała otwarte, śledziły cumulusy leniwie sunące po niebie. W oczach tych zawsze kryło się jakieś zdziwienie, podkreślone jasnoblękitnym, lekko wyblakłym kolorem. Tym silniej kontrastowały z nim pełne usta, czerwone i bardzo, bardzo kuszące. Aż ślinę przełknął na myśl, jak by przyjemnie było te usta całować.

Spojrzała na niego, podnosząc się z trawy.

— Zośka wraca.

— Wczoraj ani dziś nikt ich tutaj nie widział — informowała. — Myślę, że jednak warto byłoby przejść się nad jezioro. Wykapiemy się, trzeba zmyć z siebie kurz tej okropnej podróży. Głodna też jestem.

Zarzucili na ramiona wypchane plecaki. Słońce zniżało się, wydłużały się cienie potężnych świerków. Dziewczęta szły objąwszy się ramionami. Jak zawsze pod zachód, słońce wydawało się intensywniejsze, jasne plamy pomiędzy liniami cienia były takim blaskiem, że trzeba było przymykać oczy.

Szli szybkim krokiem. Po obu stronach zarosłej ścieżki las był gęsto posyty, szeroko rozpościerały się krzaki leszczyny, dołem aż na drogę kolczastymi odnogami sięgała jeżyna, zieleniły się jej nie dojrzałe jagody. Ochłodziło się, z ulgą wdychał rześkie powietrze. Jezioro wyłoniło się nagle u. podnóża stromego zbocza. Woda, poruszana leciutką morką, migotała w blaskach zachodu. Zbita warstwa sitowia i trzciny rozwierała się maleńką przestrzenią wolnego brzegu.

— Patrzcie! — Mirka wskazywała na czarną plamkę, obok której kręciły się dwa mniejsze punkciki. Od gromadki dochodził aż tu przenikliwy pisk.

— To nurki, widziałam już takie.

— Perkozy — poprawił Pietrek.

— Wszystko jedno. Spójrzcie, jakie zabawne. Matka nurkuje, a one pędzą do niej co sił, piszcząc zawzięcie... O, przestraszyła się czegoś, małe uczepliły się jej karku. Nurkuje razem z

nimi. Naprawdę paradne! — Mirka ze śmiechem zsuwała się ze zbocza, zrzuciła plecak, przeciągała ramiona.

— Rozradowanie nadzieją kąpieli przyniosło dobry nastrój. Pierwszy Pietrek runął w wodę całym rozpędem. Nagi grzęzły początkowo w mulistym dnie. Dalej było już głębiej, parszkający rozkoszą popłynął ostro przed siebie.

Woda orzeźwiała zgrzane upałem ciało. Płynął spokojnie, srebrzysta w słońcu płaszczyzna rozciągała się szeroko Nurek z małymi dawno już umknął z pobliza. Przyjemnie było, zniknął zły humor i zmęczenie długą podróżą z Warszawy.

Słyszał za sobą popiskiwanie dziewcząt, chlupot i wesołe śmiechy, ale nie chciało mu się oglądać. Rozleniwiony położył się na wznak, niemal nie poruszał dłońmi, woda sama utrzymywała go na powierzchni. Przymknął oczy, poddał twarz promieniom słonecznym. Grzały mocno, jak zawsze w końcu czerwca. Nie myślał nic, tak było najprzyjemniej.

Nagle oblanie strugą wody przywróciło go światu,. Zachłysnął się, opodał ujrzał rozbawioną twarz Mirki.

— Spróbuj mnie dogonić! — krzyknęła wyzywająco. Już była daleko, wciąż z tym swoim zaczepnym śmiechem równo – rozcinała wodę wyrzutami opalonych ramion.

Rzucił się w pogoń, przedtem oglądawszy się za siebie, by sprawdzić, gdzie znajduje się siostra. Zośka pływała nieźle, ale nie ryzykowała dalekich wypadów na nieznanym wodach. — Teraz mi nie umkniesz — Płynął szybko, bez wysiłku. Po dobrej chwili ze zdumieniem zauważył, że dziewczyna oddaliła się jeszcze bardziej. — Oho, fest pływa. — Zaczepnął tchu. Pruł spokojną wodą, zostawiając za sobą rozwartą szlak piany. Ciągnął jak na zawodach w basenie, aż do bólu mięśni, aż do dudniących uderzeń serca. Spojrzał. Teraz doganiał. Mirka była tuż... Wyciągnął ramię, gdy nagle zniknęła zupełnie pod powierzchnią wody, a w parę chwil potem usłyszał jej głos daleko za sobą.

— Nie tak łatwo, prawda? — zaśmiała się.

Nie przypuszczał, że potrafi aż tak nurkować. Zawrócił, pewien, że mu nie umknie tym razem. Dziewczyna była już zmęczona, Znalazł się teraz obok, uchwycił wpół, niespodziewanie przyciągnął ją mocniej ku sobie i pocałował w usta.

— Pietrek, bez głupich pomysłów! — szarpnęła się, oczy jej po ciemniały, odepchnęła go.

Zaśmiał się, chciał ją znów objąć. Z rozognioną twarzą, z błyska mi, w oczach podobała mu się jeszcze bardziej.

— Bo jeszcze dzisiaj wrócę do domu. Nie lubię takich amatorów...

— Chcę być z tobą w przyjaźni.

— Nie myślałem, że całus to zbrodnia.

— Skończmy już. Chcesz, będziemy się ścigać?

— Dobrze pływasz — mrukną} niechętnie. Nie lubił porażek, tym bardziej że miał za sobą szkolną opinię zdobywcy dziewczęcych serc.

— Ale szybko się męczę. Nie mówmy nic Zośce. Daj grabę — wyciągnęła rękę.

— Dobra, już dobra — burczał trochę zażenowany.

Godycka wyszła zza krzaków przebrana, wyciągała jedzenie z plecaka.

Mirka, jakby nie pamiętała sceny w wodzie, usiłowała podtrzymać dobry nastrój, zwarzony nieobecnością starszego Godyckiego wraz z jego kolegą.

— Mówiłaś, że pisał, aby w wypadku, jeśli nie zastaniemy ich tutaj, czekać wieści w schronisku w Wojtunach. Może motor jeszcze źle działał...

— Kurdefelek, ten motor to jakiś przedpotopowy grat, gotowi reperować go jeszcze przez tydzień. Kto wie, czy ten Kania zna się na takich sprawach. Kostek zawsze wynajduje dziwacznych kumpli — Pietrek miał kwaśną minę, z ukosa spoglądał na przyjaciółkę siostry.

— Ja radzę, byśmy teraz zjedli cokolwiek, a potem nie zwlekając ruszyli do tych Wojtun. Kostek mówił, że to zaledwie siedem kilo metrów drogi — Zośka przejmowała inicjatywę.

Na polankę nad jeziorem wypełzł już cień. Przez wodę przerzuciła się złotosrebrzysta smuga zachodzącego słońca. Zrywał się wiatr, zmarszczył silniej powierzchnię wody.

Uwinęli się szybko. Na stacyjce wywieździeli się o drogę Wiodła przez las starym, mało używanym traktem. Potem blisko dwa kilometry szosy i znów las.

Trakt był szeroki, dawno nie porządkowany, dziury i wyboje sterczały co krok.

— Samochodem zaraz by się połamało resory — fachowo stwierdził Pietrek, któremu jedzenie przywróciło pogodę ducha.

Dziewczęta rozprawiały żywo,, nie zwracając na Pietrka większej uwagi. Zośka była znacznie wyższa, pełniejsza, rozrosła, chociaż zgrabna, Szatynka o ciemnej cerze i oczach koloru sepilii, przy rozmowie, szczególnie gdy była czymś przejęta, żywo gestykulowała. Krok miała długi, posuwisty, śmiała się gardłowo, przeciągle, Przy Mirce jednak, traciła wiele- Ruchy tamtej miały wyjątkową lekkość, trzymała się prościej, była tak zwinna i zręczna,, że od koleżanek otrzymała w szkole przydomek „wiewiórki”,

— Patrzcie, już szosa! Ani się obejrzymy, jak będziemy na miejscu — ucieszyły się obie.

— Ciemno się robi.

— Wielka rzecz. Wilki nas nie zjedzą — zaśmiała się Mirka, ale zarazem obejrzała się na strony trochę lękliwie.

Mrok ogarnął las. Świerki sponurzały, zwały się w ciemną ścianę przerywaną gdzieniegdzie jasnymi pniami przydrożnych brzóz. Tylko asfalt szosy wyraźną, wesołą linią rozjaśniał czerń

leśną Kroki dudniły, odbijały echem, Daleko, daleko zawarczał samochód i zamilkł. Czasem wiatr przebiegł cichym szmerem szczytami drzew.

Pietrek pogwizdywał, wreszcie zanucił, półgłosem:

Szumi gaj, szumi gaj

szumi gałzeczka.

Tu mi daj, tu mi daj,

-nie szukaj łóźeczka...

— Pietrek, nie bądź świnią! — ostro pohamowała go Zośka.

— Piosenka rzeczywiście bardzo wyszukana — Mirka ze zdziwieniem spojrzała na towarzysza.

— Dajcie spokój — zachnął się. — Morały będą prawić. Nie, to nie, będę sobie gwizdał, jeżeli śpiewać nie można. — Podjął tę samą melodię.

Przy rozwidleniu zawahali się chwilę, mając do wyboru aż trzy drogi. Wybrali lewą, trzymając się wskazówek życzliwej kobieciny w Kłosiance. Węższa była, zarośnięta zielskiem Potykali się o korzenie drzew, Pietrek kłął brzydko pod nosem, w duchu wyzywał Kostka od partaczy i głupców. Dziewczęta szły obok siebie, ujęły się pod ręce Latarki używali oszczędnie, aby nie wyczerpać baterii. Zapasowe znajdowały się w paczce wysłanej do brata.

Bór był ciemny, światło latarki nie mogło przeniknąć zwartej ściany drzew, Gdzieś daleko zaszczekał pies, umilkł.

— Pewnie już blisko — rzekła Zośka.

— Trzy kilometry z ćwiercią.

— Nie kpij, Pietrek, dosyć mam już marszu w ciemnościach. Żeby chociaż księżyc...

— A mnie się podoba ta nocna wędrówka. Gdyby nie męcząca podróż z Warszawy Ha stojąco, byłabym bardzo zadowolona.

— Co komu w smak. Mnie, kurdefelek, nie bawią takie radości. Kiep z Kostka!

— Nie gadaj, jak nie wiesz, co mu się wydarzyło.

— Ech, gdaczesz — rodzeństwo zaczynało sprzeczkę. — Lepiej uważaj, byśmy nie zbłądzili na tych wertepach. To Puszcza Piska, a nie lasek na Bielanych.

— Uważaj, diabli wiedzą, jak tu uważać. Znów rozwidlenie; komu tyle dróg w lesie potrzeba?

— Słuchajcie, tam ktoś idzie, zapytamy o drogę. Może naprawdę błądzimy, późno już, powinniśmy być dawno w Wojtunach.

Z lasu dochodziły jakieś głosy, zbliżały się do nich. Pietrek błysnął światłem latarki, wtedy nagle ucichło. W promieniu reflektorówki nadal nie było nikogo.

— Przestraszyli się nas. Gdy poznają, że to kobiety, uspokoją się może — Mirka umyślnie mówiła głośno.

Kroki znów dały się słyszeć, snop światła wyłapał dwie męskie sylwetki. Dosyć niepewnie trzymały się drogi Mężczyźni w roboczych ubraniach przesłaniali oczy przed blaskiem.

— Ululani w dechę — szepnął Pietrek.

— Wszystko jedno, drogę potrafią wskazać. Nie oślepiaj ich tak — Zośka przesunęła światło z sylwetek pijaków na las.

Gdy mężczyźni zrównali się z nimi, Pietrek wystąpił do przodu. — Do Wojtun, proszę panów tędy? Bo nie jesteśmy pewni, czyśmy nie zbłądzili po ciemku.

Jeden z młodych ludzi parsknął złośliwym śmiechem, ale drugi uciszył go.

— Wojtuny? Ja, ja, dobrze, mały kawałeczek — odpowiedział Pietrkowi.

— Kilometr, dwa? — Godycki chciał wiedzieć dokładnie.

— Ja, ja, kilometr...

Przesunęli się szybko. Młodszy ciągle złośliwie chichotał. Gdy oddalili się nieco, zagadali coś głośno.

— Oni mówią po niemiecku — rzekła nagle Mirka. — Bełkocą jednak tak niewyraźnie, że słów nie mogę zrozumieć.

— Pewno nie chcą, żebyśmy ich słuchali. Tu wszyscy znają niemiecki. Przecież to Mazurzy.

— Et, .kurdefelek, nie gadałabyś! — Pietrek przerwał siostrze. — Nie podobały mi się te szwabasy, diabli wiedzą, czy nas nie okiwali. Już ja im nie wierzę, Niemczuchom, Słyszałem, co się dzieje na tych Mazurach, Sami tu Niemcy, nie żadni tam autochtoni. Lipa wszystko!

— Głupi jesteś, ale nie mam chęci spierać się z tobą. Chodźmy szybciej, zmęczona jestem i spać mi się chce — Zośka ziewnęła szeroko.

Po dalszym półgodzinnym szybkim marszu, droga bowiem była lepiej ubita, niepokój ich wzrósł. -Ani się można było spodziewać końca lasu.

Nowe rozwidlenie zupełnie zbiło ich z tropu. Długą chwilę wahali się z wyborem.

— Trzymajmy się nadal lewej — zdecydowała Mirka znużonym głosem.

— Myśmy zrobili już z dziesięć kilometrów, a nie. cztery. Diabli z tymi szwabami, nabrali nas.

Tym razem Zośka nie zaoponowała. Podpici jegomoście rzeczywiście wskazali im złą drogę.

— Słyszycie? — Mirka przytuliła się mocniej do ramienia przyjaciółki.

Z głębi lasu rozległa się żałośnie ni to hukanie, ni to nabrzmiały rozpaczą, przeraźliwy szloch.

— Kurdefelek — szepnął również, strwożony Pietrek.

Szloch powtórzył się znacznie bliżej, Przyspieszyli kroku. Pietrek skierował latarkę, na drzewa. Złowrogi chichot zabrzmiał tuż obok nich, a nad drogą bezszelestnie, jak duch, przesunął się potężny cień.

- Puchacz — odetchnęła Mirka i zaniósła się śmiechem. — Ale nas nastraszył, co, Pietrek?

—Mnie? Wielka mi rzecz, puchacz! — odął się sztucznie.

Szli teraz wolniej, nogi dawały znać o sobie. Rozgrzani, spoceni wysiłkiem, nie czuli przynajmniej chłodu.

— Puszcza ciągnie się dziesiątkami kilometrów, możemy tak błędzić do rana — cicho westchnęła Zośka,

— To Kostka głupie pomysły! Nie można było się spotkać w Giżycku czy Węgorzewie? Tam też jeziora pod nosem, miałby gdzie przybić swą motorówką. Okazuje się, że to w ogóle grat do niczego — sarkał Pietrek.

Mirka milczała. Niefortunnie zaczynała się ich mazurska łązega.

Gdzieś z boku, z lasu, zaskrzypiały nie smarowane koła chłopskiego wozu. Przyspieszyli kroku, na prawo dostrzegli boczną drogę.

Stamtąd dochodził skrzyp kół.

—Zaczekajmy tutaj Diabli wiedzą, kogo nocą wozi po lesie...

Koń spłoszył się nagłym blaskiem żarówki. Woźnica ściągnął lejce, czujnie się wpatrzył przed siebie.

— A kto taki?! — w jego głosie znać było niepokój.

— Swoi, swoi... Zabłądziliśmy w lesie, chcemy trafić do Wojtun.

—Do Wojtun? Do Wojtun będzie dobre sześć kilometrów z hakiem. Zupełnie w inną stronę, gdzie tu Wojtuny?

Opowiedzieli swoją przygodę. Chłop pokiwał głową.

— A pewnie, że was zmylili, pewnie, Wyście już szli złą drogą, nie trzeba było iść lewym, ale środkowym odnożem przy drugim rozstaju od strony Kłosianki. — Chłop pomedytował trochę, zamruczał do siebie, potem powziął decyzję.

— Ano, to siadajcie na wóz! Jadę do szwagra leśniczego, pół godziny drogi. W samej puszczy mieszka. Tam zanocujecie, a rano pójdziecie do Wojtun, Innej rady nie ma. Zagubicie się w tym lesie na amen. Tu drogi trzeba znać dobrze, a i to zdarzy się czasem pobłądzić.

Rozradowani wdrapali się na wóz. Chłop cmoknął na konia, koła zaskrzypiały.

— A takich łobuzów tu najdzie się więcej. Im radość Polaka zmylić.

— Bo to Niemcy? Myślałem, że Mazurzy — Zośce było szczególnie przykro.

— Różni są wśród tych Mazurów... I dobrych ludzi po polsku czujących, ale i niemieckiej

maści też dużo najdziesz. Hitler tak poniektórych przerobił, że jeno ciągiem za nim wzdychają, ot jak! — burczał woźnica.

— Grunt, że się dobrze skończyło, bo nóg już nie czułam — z zadowoleniem odetchnęła Mirka, gdy wynurzyli się z lasu na niewielką polanę i ujrzeli ciemne zarysy leśniczówki.

Na spotkanie wybiegły dwa psy i rozszczękały się przeraźliwie.

— Antoni, zabierz tych zbójów, bo zejść z wozu nie dadzą — wołał chłop do majaczącej w mroku postaci. — Gości wiozę.

— A do budy, Azor, Pika, do budy, ja wam pokażę! — mocny głos osadził rozhukane psiska.

Niezdarnie gramolili, się z wozu. Chłód ich przejął od nowa,

— Mleka gorącego zaraz siostra zagrzeje, zaraz — pocieszał woźnica, podczas gdy leśniczy zapraszał gościnnie do domu.

Pietrek wzruszył tylko ramionami.

2. Czworonożny towarzysz

Stacja turystyczna w Wojtunach rozłożyła się nad rzeczką, ocienioną wielkimi drzewami, zarośniętą szuwarami i trzcina.

Przy brzegu widniało kilka kajaków, obok nich przycumowana na grubym łańcuchu kołysała się łódź rybacka, przekształcona w motorówkę.

— To na pewno nasza krypa — Pietrek szybko zbiegł nad wodę.

— Zobacz nazwę! — wołała za nim Zośka, z ulgą zrzucając na ziemię ciężki plecak.

— „Gawron” Zgadza się! Ależ trumna, już też Kostek z tym Kanią nie mogli nic lepszego wynaleźć — pogardliwie wydymał wargi.

W stancji zastali starszą kobietę, pełniącą rolę sprzątaczkki i stróżki zarazem. Wypytywali ją o Kostka z kolegą. Nie umiała wiele powiedzieć.

— A byli, nad sam wieczór wczoraj przyjechali. Teraz nie ma, kajsii pewnie na wodzie.

Słońce stało w zenicie, a mimo to część rzeczki pokrywał mrok, tak silny był cień potężnych drzew, kłoniących się z obu brzegów do środka nurtu, Wiekowe lipy, dęby i sosny, czasem przetkane bielą pni brzoźowych czy rozcapierzonych konarów wierzby, gęsto okrywały rzekę listowiem, w niektórych miejscach tworząc wysokie sklepienie jak w starej katedrze. Sporo zwalonych pni leżało w wodzie, prąd tworzył koło nich wiry i wartkie przesmyki. Środkiem rzeka płynęła spokojnie, więcej tam było mocnych, jasnych plam słonecznych, ostro odcinających granicę stałego cienia. Stadko gęsi gęganiem wyrażało swą radość z wodnych łowów.

— Pięknie tutaj, Chętnie bym została w tych Wojtunach na parę dni... — westchnęła Zośka. Pietrek był mniej czuły na piękno przyrody. Interesowała go w tej chwili łódź.

„Gawron” był trochę tylko szerszy od zwykłej łodzi rybackiej, ścięty płasko od rufy, gdzie zamocowano motor, przykryty teraz kawałkiem brezentu Rozgrzana smoła wydostawała się tu i ówdzie spod cienkiej, nie najzgrabniej nałożonej warstwy niebieskiego lakieru.

Ściągnął brezent z motoru. Naoliwiony, błyszczał mieszaniną czarnych, żeliwnych i jasnych części. Kusił drążek sterowy.

— Rzeka płytka, ani się gdzie wykąpać. W ogóle jak oni tutaj się, przedostali? — patrzył na rzekę przykrywając jednocześnie motor brezentem.

— Hooop! — dobiegło ich radosne wołanie.

Zza pobliskiego załamania rzeki wyłonił się kajak. Kostek wesoło wymachiwał wiosłem mówiąc coś zarazem do towarzysza.

Drugim kajakiem przybijał do brzegu samotny starszy pan w krótkich szortach, z obficie owłosionymi nogami.

— Nie mogliśmy przyjechać do Kłosianki. Mieliśmy awarię, f tak cudem dobiliśmy Woda za płytka na motor — wśród powitań usprawiedliwiał się Kostek, Potem obejrzał się za siebie. — Chodźże tu, Julek! Moja siostra Zocha, a to Mira Knipianka. Brat Pietrek... Kolega Kania, strasznie miły kompan. To jego pomysł cała ta motorówka i jego praca, bez tego ani rusz nie dałbym rady z taką kupą starego żelastwa. A teraz motor jest cacy.

— Z wyjątkiem chwil, gdy strajkuje i coś w nim od nowa nawala — uśmiechnął się Julek Kania, odruchowo przyglądając co chwila jasne, jakby przepalone przez słońce włosy.

Podobał się obu dziewczętom. Szczupły był i zgrabny. Uśmiech miał skromny, serdeczny. Niebieskie oczy patrzyły ciekawie, ale ufnie. Nad prawym okiem widniała szrama głębokiej blizny, ale nie szpeciło to szczupłego oblicza W cichym głosie brzmiało coś szorstkiego, jakby pewne słowa wymawiał z trudem Pietrkowi wydał się ten głos podobny do głosu jednego z łobuzów, którzy wskazali im wczoraj fałszywą drogę.

— Państwo pozwolą, że się przedstawię — starszy pan z owłosionymi nogami nie doczekał się prezentacji, sam postąpił ku dziewczętom z wyciągniętą dłonią — Zenon Kitajczak jestem, kierownik stancy, rodem łodzianin, sercem Mazur. Siedzę już tutaj dziesięć lat, cha! cha! cha!

Zaproszeniem na obiad Zośka wprowadziła ład w rozgardiaszu powitalnym.

— Zapraszam się do państwa na obiad, jako udział wnosząc te parę rybek — przymówił się zręcznie Kitajczak.

— Ładne parę! Dwanaście pięknych kleni złapał pan Zenon, gdy my we dwójkę zaledwie siedem.

— Zna się, panie, te wody, zna, cha! cha! cha! — pan Zenon, śmiał się tak zaraźliwie, tak mu się trzęsły zarazem wszystkie włosy na łydkach, że i pozostali wybuchnęli śmiechem.

— Zatem bierzmy, się do skrobania, Mirka.

— O, nie, ryba od łowienia po smażenie to męska robota — rzekł Julek Kania. Proponuję, aby panie zatwierdziły ten nasz obyczaj

— Nie ma co, słuszny rybacki obyczaj — potwierdził pan Zenon i zaraz się zatrząsł od śmiechu.

Pietrek skrzywił się niechętnie.

— Kleń, najsmaczniejsza ryba — rzucił Kostek.

— A tak, smakowita jest. To najbardziej sprytna rybka, niejeden dzień cały się namorduje i żadnej sztuki nie poradzi poderwać z wody, cha! cha! cha!

— Czyżby? — Pietrek próbował kiedyś wędkarstwa i nie wydawało mu się to niczym trudnym.

— O, panie, kleń to cwaniak nie byle jaki...Żeruje na czystej wodzie, przy bystrzynkach. W Krutyni mnóstwo jest tych łobuzów.

— Ale niech tylko lekki plusk, szept nawet głośniejszy, ruch prawie nie dostrzegalny, w tej chwili smyrga pod zarośla i tyle go pan widzisz. To z gatunku pstrągowatych, nie ma zwinniejszej i bardziej chytrej ryby, cha! cha! cha!

— Wiesz, Pietrek, jutro ruszamy na stały biwak. Upatryliśmy już miejsce, mówię ci, pycha! Zrobimy obozowisko, że ha! — Kostek spoglądał na brata rozradowanymi oczyma.

— Ale chyba nie na takim odludziu, jak tutaj?

— Zupełna pustka. Nawet turystów niewielu zobaczysz... Puszczą i woda. Są tam opodał siebie aż trzy jeziora. Największe to Gardyńskie dalej Malnówko i Jązewko. I rzeczka, Czarna Woda, właściwie przedłużenie Krutyni

— Puuustka? — markotnie przeciągnął Pietrek.

— No, niezupełnie, Kostek przesadza — uśmiechnął się Kania. — Jest blisko kilka wiosek, z tych największa Iznoty, koło jeziora Bełdan. Obok nas będzie niewielka wioszczyna. Mieszkają w niej przeważnie Mazurzy... Spodoba się koledze na pewno. Zresztą zawsze możemy zmienić miejsce postoju — uśmiechnął się.

— Wiacie, muszę was wszystkich dzisiaj pobratać. Co wy będziecie sobie gadać per koledzy i koleżanki? — zachnął się Kostek.

—Mazurzy? — Pietrek nawracał do słów Kani. — Nie mam specjalnej ochoty być blisko tych szwabów Już nas wczoraj nacięli...

Zdumiał się widząc, jak przez czoło Kani przeleciał ogień, cała twarz sczerwieniała, a tylko

blizna odbijała niezmiennie białą, wyrazistą rysę. Chciał coś odpowiedzieć, ale tylko mruknął pod nosem i szybko odszedł w stronę kajaka.

— Głupiś jak cep! — warknął Kostek. — Kania sam jest Mazurem. Zrobiłeś mu przykrość, Gdzie Mazurom do Niemców? Coś ty, oszalał? — Nie wiedziałem o Kani...

— Musisz go przeprosić, tak nie można.

— Ale z ciebie też trąba, nie można to było od razu powiedzieć?

— Nadaşany i zawstydzony podszedł Pietrek do Kani.

— Darujcie, kolego, tak mi się wyrwało, nie wiedziałem.

— Kania wyprostował się znad kajaka, zjrzał mu głęboko w oczy, przy czym spojrzenie jego nie było już tak zniewalające i łagodne jak przedtem, opanował się jednak, przywołał na twarz uśmiech i ogarnął ramieniem zmieszanego Pietrka.

— Nie chodzi o mnie — powiedział spokojnie. — Kolega robi tym sądem wielką krzywdę Mazurom.

Pociągnęli ku stancy na obiad.

Smażone klenie smakowały wyśmienicie. Nawet Pietrek, speszony swą niezręcznością, odzyskał dobry humor.

— Jeszcze na kolację rybki zostały — ucieszyła się Zośka.

— O, za przeproszeniem, chyba na śniadanie — zaproponował pan Zenon. — Wieczorem głównym daniem będą raki. No jak, odpowiada moja propozycja?

— Chętnie przyjmujemy, ale skąd raki?

— Jak się ściemni, proponuję wspólny połów. Mamy tu najlepszą odmianę raka, niebieską. Eksportujemy je do Francji, samolotami sobie lecą dranie, na Paryż, prościutko jak strzełił — podniósł się z miejsca. — Pięknie dziękuję. Teraz muszę się zdrzemnąć.

Dziewczęta sprzątały szybko, skromną zastawę. Pietrek z bratem zaciągnęli się papierosem.

— Co robimy? — spytała Zośka.

— Mamy chęć wybrać się w górę rzeki, pod młyn, tam podobno trafiają się piękne liny. Weźmiemy kajaki ze stancy. Może pojechałybyście razem, co, Mirka? — zaproponował Kostek.

— No to jazda, bo jeszcze nie kapałam się dzisiaj.

Zgrabna była dziewczyna nad podziw. Długie opalone na brąz nogi przeżyły się mięśniami pod połyskującą skórą. Włosy niesfornie osunęły się na ramiona Zgarneła je niecierpliwym ruchem dłoni, przewiązała lekko tasiemką. Zauważyła natarczywe spojrzenie nie spuszczonego z niej wzroku Pietrka, uśmiechnęła się.

Chłopcy zabierali z motorówki wędkę, pudełko z przynętą, podrywkę.

Mirka wsiadła do kajaka Julka nie zwracając uwagi na rozeżlone tym zawodem spojrzenie Pietrka, Zośka ulokowała się przy Kostku. Pietrek został sam Udawał, że nic go to nie obchodzi, rozparł się wygodnie, niby od niechcienia zagarniał wodę wiosłkiem.

—Trzy kilometry, a prąd silny. Pojedziemy tunelem, dopiero pod młynem zamiast drzew będą krzewy, woda zaś senna i leniwa. — Kania chętnie podjął się roli przewodnika.

Zośka przyglądała mu się uważnie ze swego kajaka. Przypomniała sobie, co opowiadał o nim Kostek, kiedy ostatni raz był w Warszawie. Poznali się gdzieś przypadkowo. Kania pracował jako mechanik w zakładach samochodowych w Olsztynie, Był Mazurem. Rodzina jego zginęła w czasie wojny. Pracując, kształcił się wieczorami, niedawno miał zdawać maturę. Ciekawa była, jak mu poszło.

Przechyliła się do brata.

— Julek, Zośka pyta, czyś zdał maturę. Ba, żeby to maturę! On już poradził i z egzaminem na Politechnikę Gdańską. Niedawno wrócił, dlatego taki wymokły i blade. Naharował się ostatnio.

Tak, trud wielu nie przespanych nocy znać było na jego obliczu wyraźnie. Szczupłe, jakby ściągnięte, ukazywało najbardziej chyba wyrazistą cechę charakteru, siłę woli, piekielny jakiś upór. Na wysokim czole jeszcze teraz nie zdołały rozpuścić się poprzeczne fałdy. Tylko niebieskie oczy miały w sobie jakąś serdeczność i pogodę. Harmonizowały z tym wejrzeniem prześwietlone słońcem włosy, podobne do lnianych paździerzy.

— Ta blizna, to już powojenna sprawa, z czterdziestego szóstego roku... Ciekawa historia, może ją wam kiedyś opowie — szepnął Kostek do siostry, widząc jej zainteresowanie osobą kolegi. — Twarda sztuka. A przy tym jaki uczynny i koleżeński Patrz, oni z Mirą mają w sobie coś podobnego. Blondyni, jaśni, tacy sami serdeczni i mili...

— I uparci — śmiejąc się dodała Zośka.

— Cudnie jest tutaj — Mirka odwróciła się ku nim. — Nigdy nie myślałam, że może być coś równie uroczego.

Rzeka wiła się licznymi zakrętami. Szeroka była teraz, rozlana, .główny nurt przewijał się tylko wąskim pasemkiem wśród pasm szuwarów, cicho szemrzących w powiewach łagodnego wiatorku Obok zwałonych w wodę pni drzewnych gromadziło się naniesione prądem zielsko, gałęzie, szczapy drzewa. Tworzyły razem zbitą warstwę, zarastały zielenią, ugiwały się łagodnie pod dotknięciem wiosła. Duże żaby leniwie kryły się pod ten nieprzebity kozuch, drobne kręgi na wodzie zaraz wyrównywały się w dawną gładziznę. Rozrosłe, nasycone zielenią drzewa schylały się nisko nad rzeką, jakby w niej czegoś wypatrywały. Nad żółtym, miejscami piaszczystym dnem błyskawicznie przemykały zwinne klenie, jelce, czasem okoń błysnął złocistymi pasami. Tylko nieduże liny wyróżniały się pękatą czernią silnych tułowi.

Pietrek zapatrzył się w pełne zapału, zachwycone oczy Mirki. Zazdrościł Kani, że jedzie z nią razem.

— Wysepka... że też nie przewrócą się te olbrzymy.

Jakby wprost z nurtu wyrastało pośrodku rzeki kilka drzew wierzby, wysokich, bujnych. Przechylały się na wszystkie strony, mocno splecione korzeniami, związane swym życiem z wiecznie szumiącą u ich stóp wodą.

— Tam dalej głębina. Dobre miejsce na klenie — uśmiechnął się życzliwie Kania i rozbroił Pietrka tym uśmiechem.

Umilkli wszyscy. Tylko plusk wiosła mącił ciszę. Prąd był tu znów szybszy, rzeka płytka do kolan, dno usiane drobnymi, gładkimi kamykami. Miejscami porastał je dziwny, ciemnozielony mech. W spokojniejszych miejscach panoszyła się niepodzielnie moczarka. Na podwodnych łąkach żwirowatego piasku całymi stadami buszowały kielbie.

Mirka wiosłowała wytrwale, rumieńce zabarwiły jej policzki. Z twarzą wzniesioną do góry zdawała się całą sobą wdychać wilgotny zapach przesycający powietrze. Za każdym szmerem oczy jej pomykały ku brzegom, nie przeoczyły ani rudej, zwinnej wiewiórki, ani małego ptaszka .trzciniaka, kołyszącego się wśród sitowia, ani szarej czapli ze śmiesznie wygiętą szyją, kryjącej się przed wzrokiem kajakowiczów w gąszcz szuwarów.

Ustępował z wolna cień panujący na rzece. Miejsce wielkich olbrzymów leśnych zastąpiły rozrosłe bujnie krzewy, potem po obu brzegach rozciągały się łąki, oddzielone od wody warstwą nieprzebytych oczeretów. Zakotłowało się tam nagle, szeroko pobiegły kręgi.

— Szczupak — Kania zająknął w oczy uśmiechającej się do niego Mirki.

Skierowali kajaki do brzegu. Łąki były suche, wysokie. Woda głęboka i czysta.

— Wykapmy się wszyscy, dobra? — Kostka rozleniwilo niemiłosiernie pałace słońce.

— Dobra — podjął Pietrek. W wodzie czuł się pewniej aniżeli gdzie indziej.

Dziewczęta oddaliły się trochę, aby zmienić szorty na kąpielowe kostiumy. Mirka usłyszała nagle cichy pisk, a potem jakby warczenie. Postąpiła kilka kroków, Gęste krzaki łagodnym spadem dochodziły niemal nad samą wodę Rozchyliła gałęzie. Dostrzegła nagle na-biegle krwią złe oczy wpatrzone w nią czujnie.

— Zośka, choć do mnie. Patrz, jaki biedak, cały we krwi.

Wielki pies warcząc ślepił za nią uważnie. Pysk miał zbuczony gęsto zakrzepłą krwią. Tylne łapa leżała wyciągnięta bezwładnie.

— Uważaj, Mirka, może być wściekły? — uprzedzała Zośka, widząc, że mimo wzmagającego się warczenia psa przyjaciółka zbliżyła się do niego z wyciągniętą ręką.

— Nie ugryziesz, prawda, biedaku, nie ugryziesz? — nie bała się warczenia i

wyszczierzonych kłów.

Z dłonią wyciągniętą do przodu przystanęła o dwa kroki od psa. Patrzył na nią uważnie, śledził każdy ruch. Widziała, jak próbował podnieść się z miejsca, dźwignął trochę tułów, ale zaraz opadł bezsilnie. Stęknął tylko żałośnie.

Przysiadła. Pies warczał, ale jakby już trochę ciszej. Uspokajały go dobrotliwe, ciche i pieszczotliwe słowa.

Przysunęła się jeszcze bliżej. Był to jakiś mieszaniec wilka i szkockiego owczarka. Ciemnoszara sierść, dosyć wyraźny kołnierz na szyi i barku, mocne, grube łapy, drżące teraz w tłumionym gniewie czy może lęku; Pies był wychudzony straszliwie, przez skórę przezierały wszystkie żebra. Prawa tylna łapa leżała nieruchomo.

Dotknęła okaleczonego łba. Pies z jeżył się, warczenie zabrzmiało głucho, przeciągle, kły odsoniły się jeszcze bardziej. Tymczasem Mirka spokojnie już gładziła skołtuniony, zbolący łeb. Szeptala przyjazne, uspokajające słowa, kły kryły się powoli, aż znikły zupełnie, warkot z wolna zamierał, wreszcie pies zapłakał nagle cichym, przejmującym skowytym udręki i umilkł.

Śmiało już teraz ujęła wielki łeb w obie dłonie. Patrzyła w przekrwione, zbolące oczy.

— Zośka przynies jakies wiaderko czy bańkę, trzeba obmyć biedaka, a potem spróbujemy go jakoś opatrzyć. Myślę, że ma nogę złamaną. Gorzej, jeżeli rana w głowie będzie głęboka.

Ręką czerpała wodę prosto z rzeki, łagodnie przemywała zranione ucho i pysk tuż koło prawego oka. Pies cierpliwie poddawał się tym zabiegom, czasem zaskowyczał cichutko, jak małe, zbiedzone dziecko.

Zawarczał tylko od nowa, gdy w krzakach zakotłowało się i rozległy się głosy Zośki i chłopców.

Pietrek pierwszy znalazł się przy Mirce. Wyciągnął rękę, aby dotknąć psa, Błysnęły kły.

— Kurdefelek, zła bestia — syknął przestraszony, usunął się i z boku nieprzyjaźnie patrzył teraz na psa. — Nic mu nie pomoże, łeb ma rozwalony i łapę strzaskaną. Skończyć by go trzeba najwyżej; to największa pomoc.

Rany na głowie okazały się jednak niegroźne. Gorzej było z łapą.

— Tu jest chyba złamanie... obrzmałe wszystko — badał wnikliwie Kania. — Wygląda, jakby go ktoś uderzył kamieniem lub kijem.

Weźmie się nogę w łupki, tydzień, dwa i zrośnie się zupełnie.

— Co, zabierzemy go ze sobą? — zachnął się Pietrek,

— Oczywiście, chyba że się znajdzie właściciel. Jeżeli nie, zabieramy go na naszą włóczęgę.

— To cudny pomysł! — Mirka aż zaklaskała w ręce.

Psa ułożono w cieniu. szopy na posłaniu ze słomy. Leżał mrużąc oczy i wodził nimi

niewolniczo za Mirką.

— Teraz go trzeba nakarmić... Zaraz, zaraz — zastanawiała się. — Z tym chyba ostrożnie, Może być przegłodzony. Niech tylko zje zupy, jutro dostanie coś treściwszego.

Julek przyniósł zupę, postawił miskę przed psem. Nozdrza zadrgały mu chciwe, łakomie, ale nawet nie obwąchał jedzenia. Próżno go Julek namawiał, podsuwał miskę. Nie pomagały najczulsze słowa Mirki. Pies patrzył na nią, próbował merdać ogonem, ale jedzenia tknąć nie chciał.

Stali nad nim zafrasowani, nie wiedząc, co począć.

— Przecież on zupełnie z sił opadnie. Może ma silną gorączkę? Ale przecież nawet pić nie chce — Mirka żałośnie skrzywiła buzię.

Kostek przyniósł wodę w jakimś starym naczyniu. Pies wysunął spierzchły jęzor, ale zaraz go cofnął. Patrzył uważnie na Kostka, pić jednak nie myślał.

Mirka znowu przykucnęła przy nim. W pewnej chwili, chcąc mieć prawą dłoń wolną, żeby pogłaskać psa, przełożyła miskę z zupą do lewej. Ku zdziwieniu wszystkich pies począł żarłocznie chleptać jedzenie. Nie mogli tego zrozumieć. Dopiero Kostek palnął się w czoło. Odsunął na chwilę miskę z zupą od psa, na jej miejsce przysunął wodę. Pies spojrział na niego, wody nie tknął. Wtedy Kostek podsunął to samo naczynie, lecz lewą ręką. Aż bryzgi leciały na strony, tak łąpczywie zaczął nowy towarzysz opróżniać miskę.

—Wiecie co? — w głosie Kostka brzmiał triumf. — On bierze jedzenie tylko z lewej ręki. To mądrze tresowany pies. Każdy przecie podawałby mu jedzenie prawą ręką, tylko właściciel musiał znać tajemnicę. Sprytna sztuka, sprytna — z uznaniem patrzył na psa, który syty już rozciągnął się teraz wygodniej i zamknął oczy, jakby obojętny na wszystko, co działo się wokół niego.

—Jak go nazwiemy? — odezwała się zawsze rzeczowa Zośka.

— Może od rzeki, nad którą go znaleźliśmy? — zaproponował Julek.

—Krutynia, więc jakże? Krut? — podchwyciła Zośka.

— Świetnie, Krut! Zgoda!

— Nie płoszcie go, niech śpi. Dobry biedny Krut — pogłaskała go Mirka. — Patrzcie, już zaraz wieczór, tyle to czasu zabrało.

— A Taki? — zapytał Pietrek.

— Raki już są, cha! cha! cha! — zabrzmiał koło nich głos pana Zenona. — Przyszli tu chłopaki z wioski z prośbą o bezpłatne wypożyczenie kajaka na parę godzin. Dałem, co będę żałował urwisom, ale za to musieli mi przynieść raków... Spryciarze, ja tylko w nocy potrafię je

łowić, a oni w biały dzień, w pół godziny zebrali chyba ze setkę. Ominęła nas ta robota. Koper także już mam, cha! cha! cha!

— Zatem czas zabierać się do kolacji. Trzeba dobrze wypocząć, mamy jutro niełatwą drogę.

— Jak do roboty, to do roboty — poderwała się Mirka.

3. „Zielona ruta, modry ksiat...”

„Gawron” zachwyił swą pojemnością nawet sceptycznego Pietrka. Pięć osób, chory pies, wcale pokaźna kupka bagaży w tym płótna namiotowe, a jednak zmieściło się wszystko, i jak orzekła Mirka, zostało jeszcze miejsce dla wyprostowania nóg, Gorzej było z obciążeniem. Nieopatrznie wyznaczając punkt zbiórki w Kłosiance lub Wojtunach, Kostek i Julek nie wzięli pod uwagę płycizny rzeczki, łatwej do przebycia kajakiem, ale nie motorówką. Pomimo wymontowania śruby, motor nieraz znajdował się w niebezpieczeństwie przy przebywaniu szczególnie płytkich przesmyków.

Kania zaopatrzył „Gawrona” w dwie pary wiosł. Zmieniali się przy nich parami, bo i Zośka, przyjęta po maturze do warszawskiej AWF, nie chciała zrezygnować ze swoich praw. Mirce zlecono dwie funkcje: sternika i pielęgniarki. Krut bowiem wymagał stałej opieki.

— Patrzcie, on już inaczej wygląda, morda mu się śmieje — stwierdził Julek, gdy zaraz po wschodzie słońca wybrali się w drogę.

Do Jeziora Gardyńskiego nie było daleko, kilkanaście kilometrów. Kajakiem można było przebyć tę przestrzeń w parę godzin, tym bardziej że posuwali się z prądem. Ciężką łodzią musieli natomiast lawirować wśród płycizn, tarasujących nurt pni, starych pali, szuwarów i innych przeszkód.- Wsiadali po kilka razy, aby przepchnąć „Gawrona” przez ryzykowne miejsca.

Zbliżało się południe, gdy wpłynęli na głęboką wodę o spokojniejszym nurcie.

— No, teraz już furda! Za godzinę, dwie będziemy na miejscu — odsapnął z ulgą Kostek.

— Wypoczniemy trochę, prąd nas sam niesie, Mirka zaś dopilnuje steru — Julek uśmiechnął się do dziewczyny.

Przed wyjazdem Kostek, mianowany dowódcą grupy, rozkazał wszystkim przejście na ty.

Łódź spływała powoli pomiędzy dwoma pasmami trzciny. Po brzegach ciągnęły się podmokłe łąki, z rzadka upstrzone kępami krzaków. Jedynie daleki horyzont znaczył się ciemną linią puszczy.

Słońce piekło mocno, jak już przez tyle tygodni tego niewiarygodnego na Mazurach lata. W innych częściach Polski łąy podobno deszcze, tutaj ziemia pękała od suszy, a żadna chmurka nie

zjawiła się na rozjaśnionym do białości niebie. Poddawali twarze i ciała rozleniwiającemu żarowi. Dziewczęta obficie zlewały się oliwą Kostek przepowiadał pieczeń na wieczór. Odcinały się jak mogły, prorokującym ze swej strony zdzieranie czerwonej skóry długimi pasmami.

*Wysła dziewczyna, wysła jedyna
jak różany kwiat.
Oj wysła, wysła, ocki zapłakane,
nie żądny jej świat...*

Zasłuchali się w, suro wy jeszcze, ale świeży i przyjemny głos Julka. Melodia była znana, lecz słowa jakieś nowe, inne, tak bardzo pasujące do krajobrazu, jaki rozpościerał się wokół nich.

—Jeszcze mój ojciec to śpiewał, pamiętam dobrze. Wyrastałem przy takich mazurskich piosenkach — rzekł Kania usprawiedliwiająco — A oto Nowy Młyn, maleńka wioska...

Nie dokończył, gdyż zaskoczył ich wszystkich obcy, zdecydowany głos:

— Proszę skierować, się do brzegu. Kontrola dokumentów.

Ujrzeni przy kładce trzech milicjantów. Dwóch dalszych stało obok kajaka, gotowych w razie odmowy do zatrzymania opornych wędrowców na wodzie.

„Gawron” przybił do pomostu. Podoficer milicji zasalutował, poprosił o dowody osobiste. Zaczęli gmerać w tobołach.

Milicjanci dokładnie przejrzeni dokumenty.

— Państwo dokąd?

— Tymczasem na Jezioro Gardyńskie. A w ogóle zamierzamy łazegować po wodach mazurskich — wyjaśnił zdziwiony Kostek.

Podoficer uśmiechnął się przyjaźnie, potem ciszej zapytał już tylko Kostka.

— Nie zetknęliście się czasem z jakimiś podejrzanymi ludźmi?

Kostek potrząsnął przecząco głową, ale do przodu podskoczył już Pietrek, aż łódź zachybotła się niebezpiecznie.

—Owszem, koło Kłosianki. Przedwczoraj...

Milicjanci przybliżyli się zainteresowani.

Pietrek powtórzył wydarzenia tej nocy.

Milicjant zanotował sobie coś, potem zasalutował, przestrzegając krótko:

—Proszę bardzo, możecie jechać. A o tej nocnej przygodzie proszę bym tymczasem nie opowiadać.

Dopiero gdy „Gawron” odpłynął—już spory kawał, rozwiązały się języki.

— Ej, panowie wiara, to jakaś grubsza rozróżba. Na brzegu koło wioski widziałem jeszcze

paru milicjantów. Cała obstawa, kurdefelek!

— Tak, musiało zajść coś poważniejszego, skoro przeglądają dokumenty — w zamyśleniu rzekł Julek.

— Pewnie, jakaś szwabska robota. Mało to procesów było na Mazurach w ostatnich czasach? Tu teren łatwiejszy od innych — gwałtownie włączył się Pietrek, trochę wyzywająco spoglądając na Kanią.

— Tak, teren na pewno łatwiejszy... — pokiwał głową bynajmniej nie urażony Julek, po czym w milczeniu zasiadł do wiosł.

Łódź drgnęła, poderwała się szybciej. Słońce, woda, świadomość, że wkrótce zabiorą się do urządzania stałego obozowiska, wpływały na nich kojąco. Rozruszał się nawet Kania.

— Za tymi szuwarami, gdzie zaczyna się las schodzący nad samą wodę, wjedziemy na Jezioro Gardyńskie.

— Hura! Hura! Hura! — trzykrotnym wołaniem powitała załoga te słowa.

Przestraszony Krut podniósł głowę i rozejrzał się, a nie widząc nic niebezpiecznego, pobłażliwie pomachał ogonem.

Julek przesunął się teraz na rufę łodzi. Po łokcie zanurzając ręce do wody, przytwierdzał śrubę, potem jął się mocować ze skórzanym paskiem, za pomocą którego uruchamiało się motor.

Zadygotało raz, drugi, motor jednak „nie chwycił”... Pietrek przyglądał się tym manipulacjom z zaciekawieniem, ale i lekką ironią. Kania ponownie nawijał pasek, pociągał silnie, motor dygotał, ale ani rusz nie chciał zapalić. Wreszcie, po dziesiątym chyba razie „Gawron” ożywił się, wstrząsany równymi obrotami silnika.

— Wiosła do łodzi, jazda! — rozradował się Kostek.

Rzeczka poszerzała się w tym miejscu, była głębsza, ale i bardziej zamulona. Szuwały rozchyłały się na strony, by wreszcie z wdziękiem odpłynąć daleko na boki. Wjechali na Jezioro Gardyńskie.

Rozsłoneczniona płaszczyna jeziora wypełniona była ptasimi mieszkańcami. Obok większych połaci trzciny kupiły się kaczki, zbliżały do siebie i oddalały jak kumoszki w ożywionej rozmowie. Blżej środka jeziora znaczyły się czarnymi punktami zgrabne łebki nurków - perkozów, ginęły na długie chwile pod wodą, wynurzając się znacznie dalej.

Wzdłuż przeciwległego brzegu wolno, spokojnie płynęła para łabędzi. Wszystkie ptaki poruszone były nie słyszczanym tutaj warkotem motorówki. Kaczki flegmatycznie podpływały bliżej szuwarów chowając się w gęstej trzcinie, perkozy nurkowały co chwila, oddalając się od wolniutko płynącego „Gawrona”. Nawet łabędzie coraz to przekręcały szyje popatrując w kierunku nieproszonych gości.

Julek przyśpieszył bieg łodzi, motor pracował teraz na pełnych obrotach. Dziób „Gawrona” podniósł się lekko do góry, za motorówką zostawała szeroka bruzda wodna, zmieniająca się później w szlak zmierzwionej piany.

— Zaraz będziemy na miejscu — odezwał się Kania. — Widzicie, tam gdzie ta wyższa kępa drzew, jest wysoki brzeg i pycha polana.

Leśniczy wie już o naszym przybyciu, porozumieliśmy się przed paru dniami.

Kania był dumny zarówno z „Gawrona”, jak i z wyboru miejsca na obozowisko. Jasne włosy rozsypały mu się miękko na czoło i uszy, zasłaniały oczy. Odgarniał je coraz to dłonią, drugą przytrzymując drążek sterowy.

Pietrek gwizdał cichutko pod nosem, Zośka rozglądała się po jeziorze, które ha dłuższy czas stać się miało ich domem. Wygiętą w daszek dłonią przysłaniając duże swe oczy przed odblaskiem słońca od fali; jak urzeczona spoglądała na uroczy zakątek.

Obrzeża jeziora przypominały baśniowy park. Gęsty las otaczał całe jezioro strzępiastą, falującą linią wierzchołków. Wszystkie odcienie zieleni, od, delikatnego seledynu brzoź po czarne nieomal igliwie świerka, układały się malowniczymi pasmami. Brzegi jeziora wyginały się, rozlewały w małe zatoczki, trzcina ostrymi zakosami wdzierała się w wodę, która w tych miejscach miała inny odcień, a mało ciemniejszy od rozjaśnionego słońcem błękitu nieba nad głowami. Leciuteńka morka mąciła zwierciadlaną gładziznę jeziora, maleńkie fale srebrząc się igrały ze sobą.

„Gawron” kierował się na południowo-zachodni kraniec jeziora. Górująca nad innymi grupa, świerków opadała ze *wzgórza* jakby prosto w wodę. Mały skrawek brzegu wolny był od trzciny, żółciał piaszczystym dnem. Naprzeciw, po drugiej stronie jeziora, dopiero teraz odsłoniły się zarysy kilku domków, skrytych w przybrzeżnej gęstwinie. Z któregoś komina prościuteńką smużką snuł się dym prosto w górę, jakby usiłował dosięgnąć krążących wysoko ptaków.

Julek zwolnił obroty „Gawrona”. Łódź zbliżała się do brzegu. Wrzeszcząc poderwały się nagle z trzciny dzikie kaczkę i poszybowały nad błękitną, wesołą toń.

Otarli się o trzcinę, zaszeleściła przyjaźnie, pod nimi zabieliło się dno, w popłochu smyrgały na strony stadka jazgarzy i drobne płotki.

Motor zgasł, Julek ujął w dłonie wioselko, sterował do brzegu. Dziób łodzi z impetem zarył się w piasek.

— Hoop! — Mirka z impetem wyskoczyła na brzeg, okrzykowi jej zawtórował Krut cichym szczerkiem. Odzyskał rezon, z chwilą gdy zamilkł niepokojący go warkot motoru.

— Dobra wróżba! Przyda się nam jeszcze to psisko — zawróciła z brzegu do swego ulubieńca.

Julek podprowadził łódź do samotnej brzozy schylonej nisko nad wodą, kilkakrotnie owinał pień cumowniczym łańcuchem, przykrył motor brezentem.

— Jak tu ładnie, naprawdę śliczne miejsce! — pokrzykiwały dziewczęta, które dostały się już na polanę i rozglądały się po niej rozradowanymi oczyma.

— Brygada, baczność! Wyładowujemy bagaże — na łądzie Kostek czuł się pewniejszy w roli przywódcy.

— Zobaczę, czy leśniczy jest w domu, trzeba mu oznajmić nasz przyjazd. Szkoda, że nie mamy rogu. — Kania śmiał się całą gębą, a Pietrek, patrząc na niego, również poczuł szaloną wesołość.

— Ależ tych tobołów, kurdefelek — sapał po chwili dźwigając jakiś ciężki i nieforemny tłumok.

— Ba, i narzędzia mamy! Łopata, siekiera, młotek, nawet gwoździe zabraliśmy. Przez parę miesięcy uzupełnialiśmy spis, aby nie zapomnieć czegoś ważnego.

Kostek pysznił się jak paw.

Windowali wszystko na wysoki brzeg, tworzący kształtną płaską polanę. Obejmowali teraz wzrokiem miejsce wybrane na biwak. Gęsta ściana rosłych świerków po lewej stronie schodziła nad samą wodę. Wąską, może kilkunastometrową przestrzeń zamykał od prawej mieszany gąszcz brzoź i olszyny, łagodnym spadem sięgała polana aż po rozrostły las. Niewyraźnie znaczył się tam szlak leśnej drogi, którą udał się Julek do pobliskiej leśniczówki. Kostek dźwigał pęk żerdeń. Wychylił spod tego naręcza zgrzaną, czerwoną twarz.

— Trzy minuty drogi. Bardzo miła rodzina. Dostaniemy u nich mleko, masło, śmietanę. Pietrek, pomóż, ciężkie te drążki...

— Hooop! — wyskoczył z lasu Kania, dźwigając łopaty, siekierę i piłę.

— Po co to wszystko? — zdziwiły się dziewczęta.

Zerknął na nie wesoło:

— Od jutra zacznie deszcz kropić. Na jezioro nosa nie będzie można wysadzić. Musimy obóz Wszykować jak się patrzy, aby nas nie zalało...

— Namioty, pierwsza sprawa! Tutaj chyba je postawimy? — rozglądał się Kostek.

Zastanawiali się nad wyborem miejsca. Zgodzili się, że najlepiej będzie, gdy namioty staną w kształcie litery V; rozwarte wejściami w stronę jeziora.

Po chwili stukwały młotki, brzękła czasem łopata trafiając na kamień pod powierzchnią murawy. Dziewczęta pomagały, jak mogły.

Wkrótce pierwszy namiot rozwartą paszczą ciekawie wyjrzał na jezioro.

Julek odmierzał przestrzeń krokami, potem rozciągnął na ziemi kilka dużych płacht brezentowych, poniemieckich płócien ochronnych, malowanych w różne odcienie zieleni dla imitacji zarośli czy lasu. Skinął na Pietrka.

— Już oni sami sobie poradzą. Przyniesiemy teraz kilka żerdeń spod leśniczówki.

— Po co nam te żerdzie?

— Same namioty to mało. Musimy sporą przestrzeń przed nimi osłonić plandeką, ochroni nas od deszczu i słońca. Urządzimy tam salon.

— Ileż tu malin! — Pietrek zdumiał się widokiem bujnych jagód kapiących krwawymi kroplami z ugiętych pod tym ciężarem krzewów po obu stronach drogi. — Zielonych też masa, późno dojrzewają.

— Późno, bo zbyt dużo cienia, są, za to bujniejsze... Już i leśniczówka. Miły domeczek.

Droga rozwierała się na sporą polanę szumiącą u skraju lichym, nie wysokich żytem. Kilka klonów i grabów, młodych jeszcze, otaczało biało pomalowany drewniany domek, pogodny, śmiejący, się prostokątami trzech okien od frontu. Mały ganeczek zapraszał do wejścia. Wyjrzała z niego młoda kobieta, uśmiechnęła się do chłopców i podreptała za dom, gdzie stała niewielka obórka i obszerniejsza już stodoła.

Naprzeciw płotu okalającego mizerny ogródek leżał stos suchych żerdeń sosnowych. Julek uważnie wybierał proste i grubsze od pozostałych.

— Weźmiemy chyba cztery?

— Pewnie, mniej będzie chodzenia — Pietrek nie protestował, choć bez wielkiego zaufania spojrzał na drobną figurkę Kani.

Grubszymi końcami zakładali żerdzie na ramiona, sapiąc z wysiłku ruszyli z wlokącym się po ziemi ciężarem. Tym razem droga do obozu wydała się im znacznie dłuższa.

Na polanie wesoło zieleniły się już oba namioty, prężyły się naciągnięte linki. Kostek poprawiał coś jeszcze pod bocznymi płachtami, wyznaczał linię na kopanie rowków przeciwdeszczowych.

— Idę z wami. Dziewczęta szykują obiad na spirytusówce.

Znad wody dobiegały wesołe głosy Mirki i Zośki.

— Tu będzie legowisko Kruta — wskazał Kostek miejsce przed namiotami. — Kilka warstw murawy stworzy podwyższenie...

— Właśnie, i każdy podmuch da mu się tym bardziej odczuwać — skrytykował Pietrek. — Niech bestia śpi, gdzie mu wygodniej...

Nim przyciągnęli dalsze żerdzie, obiad był gotów.

— Fajrant, gawronięta — śmiała się Mirka unosząc w górę opalone smagłe ramiona.

Po obiedzie od nowa zawrzało w obozie. Julek zaciosywał toporem końce żerdzi, ociągającego się Pietrka zapędzono do kopania dołów, Kostek i dziewczęta znosili kamienie dla lepszego umocowania słupków.

— Phi, tu i tańczyć można — zaśmiała się Mirka, widząc, jak dużą przestrzeń zakryły plandeki, umocowane niedługo potem skośnymi, jak dachy domów, płaszczyznami, ułatwiającymi odpływ wody.

— Pewnie, dwanaście kroków na osiem. Tutaj proponuję zbudować stolik i taborety. Jak wygoda, to wygoda, pozwolimy sobie na leśne luksusy... Deski są chyba jeszcze w „Gawronie”?

Z tym poszło szybciej. Cztery wyższe kołki pod stół i tyleż mniejszych na każdy taboret wbito w ziemię, do tego przymocowano deski i pokój stołowy był gotów.

Mirka zaklaskała z uciechy w ręce.

— Co teraz? — rozochociła się do roboty.

— Teraz musimy jeszcze zbudować pomost dla „Gawrona” i dla nas.

Słońce znikło już, za drzewami, cienie stały się dłuższe. Las zatapiał się powoli w gęstniejącym mroku, gdy uporali się z ostatnimi pracami Julek dumnie podprowadził łódź i przycumował ją do nowo zbudowanego pomostu.

— Ostatnie zadanie, wszyscy biegiem do lasu po chrust. Rozpalimy ognisko, jak przystało prawdziwym włóczegom! Potem kąpiel, kolacja i nocne rodaków rozmowy — pokrzykiwał Kostek tak głośno, aż mu odpowiadało echo odbite od ściany leśnej po przeciwnej stronie jeziora.

— Uff, wiecie, że jestem zmęczona? Słońce, a potem robota pod dyktaturą Kostka, to za dużo jak na jeden dzień — Zośka z ulgą zrzuciła potężne brzemię chrustu.

Ostatnie blaski chylącego się ku nocy dnia padły na jej twarz i ramiona. Głowę trzymała uniesioną do góry, lekko rozchylone nozdrza wdychały rześkie powietrze wieczora. Włosy wydawały się znacznie ciemniejsze, prawie czarne, owal twarzy wydłużył się w tej grze blasków i wyganiających" je cieni Wargi rozchyliła lekko, zapatrzona przed siebie w drgające plamami jezioro. Potem wolno podniosła ręce, zaplotła dłonie za głowę. Wyglądała tak ładnie, że zachwycili się nią wszyscy, a Zośka, nieświadoma tego, urzeczona czarem zachodu na wodzie, jakby specjalnie prezentowała im swą urodę.

— Prawda, że piękny widok? — zwróciła wreszcie na nich jakby nieobecne spojrzenie.

Wybuchnęli niepowstrzymanym śmiechem.

— Wiesz, Zośka, nie wiedziałem, że jesteś tak ładna. Chociem brat, ale muszę ci to powiedzieć.

— Bardzo ci dziękuję, nieczęsto bywasz taki szarmancki, ale powiedzcie wreszcie, czegoście się tak rozryczeli?

Ciągle jeszcze nie pojmowała, o co im chodzi.

— Bo naprawdę prześlicznie wyglądałaś w tym świetle wieczoru — cicho rzekł .Kania i zaraz nieśmiało opuścił oczy.

— Oooo! — zdumiała się.

— Naprawdę! — Mirka objęła przyjaciółkę serdecznym ruchem, chociaż przez małą chwilę było jej przykro, że nie o niej to mowa.

— Patrzcie lepiej na jezioro, na tę cudną grę świateł i blasków — obok zadowolenia w głosie Godyckiej brzmiała lekka melancholia zadumy, jaką wywołuje widok niepowtarzalnych obrazów przyrody.

Rzeczywiście było co podziwiać. Brzeg, na którym stali, tonął już w mroku, najbliższe wodzie drzewa rzucały na nią plamy cienia, majestatyczne, pełne powagi. Między rozwartymi wierzejami trzciny powierzchnia wody jaśniała w migocie fali, nabierała zmiennej barwy granatu i szmaragdu. Nieco na prawo srebrną smugą spadały na wodę łagodnie czerwieniejące ostatnie promienie zachodzącego słońca.

— Chciałoby się zejść tak na wodę i pomaszerować tym pasmem, prawda? — przerwał Julek zapadłe milczenie:

— A jest, rybeńki, taka legenda mazurska o chłopcu, co smugą słoneczną po Jeziorze Gardyńskim chadzał... — odezwał się z nagłą jakiś głos poza nimi.

Przybysz był stosunkowo wysoki i niezwykle szczupły, w długich butach i bryczesach, w opiętej brezentowej kurtce, z rozwianymi włosami wyglądał może na czterdzieści, może na pięćdziesiąt lat. Trudno było wiek jego dokładniej .określić, tym bardziej że twarz szarzała w zapadającym już zmroku.

— O, pan Grapsza, dobry wieczór! Prosimy do stołu — zawołał gościnnie Kostek.

Leśniczy postąpił kilka kroków, wstrzymało go jednak dochodzące spod namiotu tłumione, pełne pasji warczenie. Grapsza obejrzał się przyjemnie zdziwiony.

— O, jest i piesek?

— A jakże, niespodziewany ..członek naszej grupy. Znaleźliśmy go wczoraj zdychającego z ran i głodu. Ma złamaną nogę.

Grapsza z zainteresowaniem przyglądał się Krutowi, warczącemu i ciągle szczerzącemu zęby.

— Ładny pies. Ciemno teraz, za dnia go jutro obejrzę Znam się trochę na leczeniu i ludzi, i zwierząt. W lasach trzeba wszystko umieć... Aha — palnął się nagle otwartą dłonią w czoło, aż zaskoczona Zośka cofnęła, się krok do tyłu. — Toż ja, rybeńki, zapomniałem zupełnie, z

czym przyszedłem. Żona mleko przysyła i świeży chleb domowego wypieku. Dobry razowiec, zdrowszy niż te. miejskie chlebusie... A jutro, dla zapoznania, chcemy pięknie poprosić na obiad.

Czym chata bogata, rybeńki — rozkładał ręce, jakby z góry przeprasząc za skromność poczęstunku.

Nie pomogły protesty, Tak postanowili z żoną i koniec Pokręcił się jeszcze trochę, pomógł rozpaść ognisko, dorzucił na wesoło prychający płomieniek kilka wyschłych gałęzi jałowca Zatrzeszczały ochotnie, jasny płomień podskoczył do góry, oświetlił młode twarze.

— Nie, drugim razem... Jeszcze robota czeka w domu — wymawiał się-od zaprosin na wspólną kolację, ale nie poradził Nieomal siłą posadzili go chłopcy na ziemi, sami też rozsiedli się dokoła.

Dziewczęta przyrządzały posiłek. Z uwagi na obecność gościa pojawiła się nawet wędzona kiełbasa i mocno pachnąca herbata — leśniczy bowiem mleka nie lubił.

Obozowicze natomiast pałaszowali świeży, pachnący chleb razowy, popijając mlekiem, którego mimo to w potężnym dzbanie wcale nie ubywało. Aż wreszcie Pietrek 'zapytał zdziwiony:

— Kurdefelek, a wieleż tego mleka, że go wypić nie można?

— Maleńko, maleńko, wieleż tam tego, i ośmiu litrów nie będzie, rybeńki — jakby speszony tą skromną ilością wyjaśnił Grapsza. Parsknęli rozgłośnym śmiechem, Leśniczy śmiał się razem z nimi.

— Rybek to tutaj pojecie do syta — wskazał dłonią jezioro. — Rybacy rzadko do nas zaglądną, za mała to dla nich woda — tylko żakami tu łowią albo stawnymi sieciami, a wiadomo, że naprawdę nie bezpieczny dla ryby jest tylko niewód...

— A co, niewodem się tutaj nie łowi? Czemu?

— Można by, rybeńki, woda miejscami głęboka, dopiero przy tamtym brzegu muł i pływizna. Ale Niemcy w czterdziestym czwartym zatopili w wodzie różne żelastwo, część zostawiona na łodzi sama potem poszła na dno, gdy słońeczko zaświeciło. Gadają ludziska, że tu wielkie bogactwa znaleźć by można na dnie... Z Mikołajek parę ciężarówek pędziła tędy przez lód, aby szybciej na zachód; od Kętrzyna szła już armia radziecka i mieli Niemcy stracha, żeby ich nie zagarnięto gdzieś koło Mrągowa... Nie wyszła im ta droga na dobre. Pod ciężarem lód się załamał i całe poszło bogactwo. O taki koniec potrzebny im był, pogańskim synom — splunął za siebie.

— Nie próbował to nikt, wydostać tych bogactw? — zaciekawił się Pietrek.

— Próbowali, rybeńki, a jakże... Tam, koło ujścia rzeczki był duży kuter zatopiony. Wydobyto go jeszcze w czterdziestym piątym. Do dziś wozi rybaków po Śniardwach, bo i motor

był dobry, i rdza go tylko z wierzchu przeżarła... Ale na środku trudniej. Próbowali różnie: sieciami, hakami na linkach stalowych, nie wyszło. Trochę tylko żelastwa na wierzch wydobyli wioskowi, i dali spokój. Choć ostatnio jacyś znowu próbują, pętają się w tym miejscu po wodzie.

— Głęboko tam? — Pietrkowi jarzyły się oczy.

— Nawet nie bardzo. Jezioro na dnie tak wygląda, że bliżej środka wznosi się podwodny pagórek. Podobno tam właśnie zarwał się łód pod ciężarówkami... Jakieś trzy, może cztery metry wszystkiego.

— Ładne wszystkiego... — zaśmiała się Mirka.

Leśniczy wytrząsał popiół z fajki stukając nią o podeszwę buta, po czym podniósł się żegnając serdecznie nowych znajomych.

— A jutro na obiad, tak koło pierwszej, rybeńki ja też wrócę wcześniej z rewiru...

— Dziękujemy!

— Przyjemny facet — stwierdził Pietrek. — Kurdefelek, co te hitlery mogły mieć na ciężarówkach? Pewnie jakieś kradzione rzeczy, jeżeli brykali z nimi *nach Hause*...

— Co cię ugryzło? I tak nie wydobędziesz niczego. Mułem już pewnie wszystko osiadło...

— Kto wie, może i wydobędę — zamyślił się nagle Pietrek.

— W porządku! Kuchnia melduje koniec roboty — Mirka stanęła na baczność przed Kostkiem.

— Spocznij!

— I co dalej? — zaśmiała się.

— Dalej proponuję dorzucić chrustu, zasiąść i śpiewać — rzucił Julek.

— Można śpiewać. Z tym, że Julek będzie zapiewajął, jak się to mówi w wojsku.

Skry strzeliły wysoko w górę, jasnożółty płomień wydobył z mroku pogodne, zadowolone twarze. Przysiedli na murawie.

Krut również podniósł głowę, przymrużonymi ślepiami wpatrując, się w jasne płomienie.

Siedzieli tak w piątkę, przytuleni do siebie, pośrodku Julek, na krańcach Pietrek i Kostek Las za nimi stał ciemny, ponury, czasem przypominał o sobie jakimś stęknieniem, częściej pohukiwaniem nieznanym stworów, to znów piskiem pełnym śmiertelnego przerażenia. A od opalizującej wody jeziora niósł się jednostajny, spokojny szum, czasem plusnęło coś i znów tylko fala szemrała, odbijając się o brzeg.

Trwała cisza, niosąca spokój i radość życia.

Ciszę tę przerwał Julek. W głosie jego było wiele serdecznej prośby.

— Zanucę wam piosenkę z tych stron. Ale przyrzeknijcie mi, jeżeli się wam spodoba, nauczycie się jej, dobrze?

— Pewnie, bardzo ciekawa tych mazurskich czy warmińskich piosenek. W Warszawie nie zna się ich zupełnie.

Zośka zrozumiała prośbę Kani. Z pozostałej czwórki najwięcej przecież wiedziała o ludziach tej ziemi i jej dziejach.

Ogień trząsał wesoło, czasami sypnął skrami, jakby do taktu melodii Julek nucił półgłosem:

*Zielona ruta, modry ksiat, wendruj, dziewecko, ze mno w świat,
Da dana da, da dana da, wendruj, dziewecko, ze mno w świat,
Oj, jakzes jo mom wendrować, bendo się, ludzie dziwować.
Da dana da, da dana da, bendo się ludzie dziwować.*

Przy drugiej zwrotce refren powtórzyły dziewczęta, zamruczeli coś nawet Godyccy. Julek podniósł głos śmielej:

*Oj, niechże się tam dziwuj, ze para młodych wendrujo.
Da dana da, da dana da, ze para młodych wendrujo.
Przywendrowali w ciemny las, tu ma nanilsa nocleg nas,
Da dana da, da dana da, tu ma nanilsa nocleg nas.*

Głos Pietrka wybił się teraz nad inne. Trafiła do niego ta piosenka. Pomyślał, jakby chętnie on sam wędrował z Mirką przez las, nie las... Julek spojrzał w jego stronę z twarzą rozjaśnioną przyjaznym uśmiechem wdzięczności, poddawał dalsze słowa:

*Oj, któzes nas tu obudzi, oboje młodziuchnych ludzi,
Da dano da, da dana da, oboje młodziuchnych ludzi.
Obudzi nas tu ptasecek, skoro zaświta dzionecek
Da dana da, da dana da, skoro zaświta dzionecek...
Wstajze, Jasiectu, do roli, bo skowronecek świergoli,
Da. dana da, da dana da, bo skowronecek świergoli.*

Śpiewali jeszcze długo w cichy wieczór. Ogień powoli dogasał, chrust się skończył. Zośka poczuła niezmożoną ochotę snu, wsparła głowę o ramię Kostka. Był to znak powstania.

— Ogień zgasić, sprawdzić! Lewy namiot dziewcząt prawy nasz.

— Ciasno będzie — zastanowił się Pietrek.

— Trochę większy niż dziewcząt. Innych w PTTK nie mieli, chyba że już wielkie, zbiorowe. Poradzimy sobie.

— Teraz przy takiej pogodzie to można na dworze spać. Kocem się człowiek owinie i dobrze...

Mirka przystanęła u wejścia do namiotu.

— Mam projekt. Musimy przecież mieć własny sygnał czy hasło.

Niech nim będą pierwsze takty Julkowej piosenki — zagwizdała początek melodii.

— Brawo — poparł ją Kostek. — Jako komendant postanawiam, że od dziś hasłem gawroniąt będzie ta oto melodia.

Przez chwilę rolgwizdał się na cały obóz... „Zielona ruta, modry ksiat...

Kania stał wpatrzony w jezioro i uśmiechał się. Fala cichym pluskiem objała się o brzeg.

4. Zatoka Żarłocznego Szczupaka

Zaledwie świtało, gdy Julek wysunął się spod koca. Godyccy jeszcze chrapali jak na komendę. Płótno namiotu zmatowiało pokryte delikatnym nalotem rosy. Będzie ładnie — pomyślał wyrzucając energicznie ramiona do porannej gimnastyki. Chwilę jeszcze patrzył na wschodnią stronę nieba. Tuż nad wlotem rzeczki do jeziora horyzont z lekko różowych nabierał teraz mocniejszych barw żółtych i odbijając je w nieruchomej tafli wodnej rozjaśniał się z każdą chwilą.

W pierwszej chwili chłodna woda dreszczem przejęła rozgrzane jeszcze snem ciało. Prychał, otrząsał się, potem równomiernymi już wyrzutami ramion popłynął przed siebie.

Dobrze mu było, czuł, jak z każdą chwilą, z każdym dniem spędzonym nad jeziorem, wraca mu spokój po niedawnych wysiłkach. Bywało przecież, że wątpił, czy podoła, czy nie załamię go ciężar zadania. Uczył się całymi nocami, w każdej chwili wolnej od pracy i wy-" trwała wola przewyciężyła słabość. Świadectwo dojrzałości otrzymał najlepsze w swej grupie. A przecież nie o nie mu tylko chodziło. Pogłębiał jednocześnie swą wiedzę, w zakresie tych przedmiotów, które obowiązywały przy egzaminach na wyższą uczelnię. Zaoszczędzone w poprzednich latach pieniądze wydał na opłacenie wykładowców. Do Gdańska jechał udęczoney do ostatka. Pamiętał salę egzaminacyjną, jakieś płachty latające mu przed oczyma, a potem nagłą, niespodziewaną jasność umysłu. Nawet po ostatnim egzaminie ustnym nie był pewien, czy naprawdę zdał. A potem kilkakrotnie, przecierając oczy, odczytywał swe nazwisko na liście przyjętych.

Zaczął się trzeci dzień koczowania nad Jeziorem Gardyńskim.

Wczorajszy/podobnie jak pierwszy, spędzili na porządkowaniu obozowiska, Dopiero po obiedzie mogli nieco odpocząć. Poszedł do wioski, którą pamiętał z jednego tylko pobytu za lat dziecinnych, a która mu była szczególnie droga. Nie powrócił wesoły, sporo powodów się na -to złożyło. Musiał jeszcze to wszystko dobrze sobie przemyśleć.) Wyglądało, że jest tu gorzej, niż słyszał i sam sobie wyobrażał mieszkając w Olsztynie. Bolało takie stwierdzenie. A przecież wiedział, że należało szukać środków zaradczych, że trzeba było w jakiś sposób przeszkodzić złu, które wkradło się między tych dobrych, prawych w zasadzie ludzi. Ktoś musiał dopomóc im

w wyjaśnieniu pełnej prawdy o sprawach częstokroć rozumianych teraz najzupełniej opacznie.

Powoli zawracał do brzegu.

Przebiegł kilka razy tam i z powrotem skrawkiem wolnej od drzew przestrzeni, potem cichutko wyciągnął z namiotu dres. Wszyscy jeszcze spali. Przez uchyloną płachtę wejściową namiotu dziewcząt padło na twarz Mirki światło poranka Policzki miała zaróżowione od snu, oddychała przez lekko uchylone wargi. Jasne włosy rozsypały się na maleńkim jaśku.

Krut zapiszczał cichutko. Pogładził jego ciemnopopielaty łeb. Pies liznął go językiem po dłoni, potem wstał i trzymając chorą łapę uniesioną do góry, przekuśtykał kilka kroków za odchodzącym w stronę pomostu Julkiem.

Julek wcześniej już zastanawiał się, jak będą sobie radzili przy bliższych wypadach na jezioro albo gdy zechcą bobrować po zarośniętych przesmykach. Leśniczy rozwiązał sytuację. Jeszcze .wczoraj wieczorem sprowadził łódeczkę ukrytą w gęstych szuwarach.

Wrzucił wędki do łódki, ustawił w dziobie pudełko z rosówkami, silnym pchnięciem bołta odbił się mocno od brzegu. Szemrząc wesoło, łódka wychynęła na szeroką płaszczyznę. Skierował się teraz w lewo, gdzie trzcina wchodząc kilku zakosami w toń wodną tworzyła małe zatoczki osłonięte od wiatrów, pełne zazwyczaj buszującego tam ptactwa. Podpłynął w upatrzone miejsce, przysiadł na podgarniętym pęku sitowia, aby unieruchomić łódkę.

Nie od razu jednak rozwinął wędkę. Patrzył na słońce, spieszenie, jakby je ktoś gonił za linią horyzontu, wytaczające się teraz okrągłą żarzącą kulą na jasne niebo. Rozgorzało mocnym karminem, potem kula słoneczna zajaśniała, czerwień przelała się w delikatny róż, zagarniając nim szeroki horyzont. Zapaliły się szczyty świerków, zagrały pastelową gamą barw jasne pnie brzoź, listowie wierzb wyglądało, jakby ktoś przesypał je lśniącem srebrem.

Poweselało w lesie, powietrzu i na jeziorze Z furkotem skrzydeł przeleciało nisko nad trzciniami stadko rozrostłych krakw, zapadło gdzieś .niedaleko w wodę, wyczyniając na niej gwałt straszliwy. O kilka zaledwie metrów od Julka wychynął, z wody czubaty perkoz i śmiesznie okręcał swą przylizaną, zgrabną główkę. Nagle dostrzegł łódkę z siedzącym w niej człowiekiem. Tamten przewrócił kozła, fajtnął płetwami w powietrzu, tyle go było widać. Wynurzył się daleko, daleko, bystrymi oczkami zezował ciągle w stronę niebezpieczeństwa.

Na pobliskich .drzewach rozjazgotały się gawrony, piskiem przeszyły powietrze drobniejsze ptaszki. Julek, nim dostrzegł płaski cień rozpięty nad lasem, wiedział, już, że to jastrzęb. Najmocniej wydzieriała się niewidoczna sroka, jak zawsze najpierwsza głosicielka obecności śmiertelnego wroga.

Po drugiej stronie jeziora ukazała się para łabędzi. Wolniutko płynęły wzdłuż pasma trzciny, nagłym podrzutem nurzając czasem głowę pod wodę. W kilku punktach na posterunkach stanęły

już cierpliwe, siwe czaple.

Woda także zapulsowała życiem, Nagłym podrzutem wystrzelił żerujący szczupak, wzniesione fale kolisto rozchodziły się długo na wodzie. Gdzieś pluskał ochoczo drobiazg rybi, jeszcze dalej kotłowały się wzdreği lub okonie.

Gdy słońce zmniejszyło się już do swoich normalnych wymiarów, a pastelowe barwy świtu przygasły, Julek przypomniał sobie o wędcie. Rozwinął ją, sprawdził działanie bębenka, założył przynętę, spluwając na nią rybackim obyczajem. Pławik leciutko osiadł na gładkiej powierzchni wody Julek wygodniej rozsiadł się na ławeczce. Opoadał żerowały wzdreği. Myślał, może podejda bliżej... Pławik drgnął, raz, drugi, wreszcie zanurzył się. Podciął. Na haczyku trzepotała niewielka płotka. Uśmiechnął się zdejmując ostrożnie rybkę z haczyka i wypuścił ją z dłoni do wody. Nie brał nigdy drobiazgu, niech sobie jeszcze dorasta...

Rozejrzał się słysząc przewalanie się wzdreğ w pobliżu. Podpływały pod powierzchnię w pogoni za owadami, odbijały się silnymi uderzeniami ogona, znów zawracały. Lubił tę rybę, niezbyt smaczną, żarłoczną, o łusce lekko złotawej, przystrojonej ostrym karminem skrzeli.

Żerowały teraz w małej kotlinie wolnej od trzciny, Podciągnął łódź, chwytając się za pęki sitowia, ostrożnie zarzucił wędkę w sam środek oczka wśród trzciny. Tym razem nie było już ostrożnego drgania pławika. Wędzisko zadrgało mu w dłoni, a szarpnięty ostro, całą siłą wciągany przez rybę w głąb trzciny pławik znikł nagle sprzed oczu.. Szarpnął, wzdraga stawiała duży opór, zaterkotał bębenek. Po chwili Julek uśmiechnął się do sporej sztuki, bezradnie tańczacej na haczyku Aż bryzgi poleciały, gdy wrzucił rybę do zapełnionej wodą specjalnej przegródki w łodzi.

Jedną po drugiej wyciągał dalsze sztuki. Potem stadko odpłynęło gdzieś dalej, pławik zamarł na wodzie, czasem tylko drobne okonki albo jazgarze z zapalem, ale bezskutecznie usiłowały coś uszczknąć z potężnej rosówki.

Jeziro rozpałiło się światłem. Dzień był pogodny, od samego rana upalny. Ściągnął z siebie koszulę. Kilka cumulusów przegladało się w toni wodnej, Jasność słoneczna odbita od nieruchomej tafli razila oczy, trzeba było je mrużyć.

Zza drzew dobiegały porykiwania krów, rozszczekał się wielki kundel. Te odgłosy usposobiły Julka do wspomnień Tutaj przecież w Wyrajach urodziła się jego matka, stąd zabrał ją ojciec pod Pisz, skąd sam pochodził. Po plebiscycie musieli uchodzić z Mazur, rodzina Kaniów zbyt była wciągnięta w propolską działalność, aby się nie narazić Prusakom. Zamieszkali na Działdowszczyźnie. Tam się urodził Julek, drugie dziecko z kolei. Pamiętał, jak ojciec i matka nieraz długo w noc opowiadali o swych stronach rodzinnych, o tęsknocie do małych domków,

które tam pozostały, o bliskich, serdecznych ludziach, z którymi się żyli, a których trzeba było opuścić uciekając przed zemstą.

Pamiętał też, jak ojciec opuszczał ich czasem chyłkiem wychodząc w noc z małym tłumoczkim na plecach. Matka przeprowadzała go wtedy za próg chaty, żegnała szerokim znakiem krzyża i długo wpatrywała się w ciemność. Starszy brat ponuro zagryzał usta, Julek nic jeszcze nie pojmował, skąd na przykład na twarzy matki pojawiała się dziwna zaciętość.

Nieraz zabierał ojciec na swoje wyprawy także starszego syna. Matka przeżywała ich „nieobecność” jeszcze silniej, bywało, przystawała czasem nad Julkiem i w milczeniu gładziła syna szurpatą, szeroką dłonią. Ale on już wiedział, że ojciec nielegalnie przekraczał granicę, wędrował do swoich, niósł tam polskie książki i kalendarze albo drukowane tutaj gazety.

Było to na niecały rok przed wojną. Wydarzenia tamtych kilku dni mocno wryły się w pamięć Julka. Ojciec pierwszy raz zabrał go wtedy w rodzinne strony. Miał już sześć lat, wiele rozumiał. Noc była deszczowa, wiatr, siekł strugami ulewny prosto w twarz. Przemokli zupełnie, leżeli w krzakach pasa granicznego, czekając, nim minie ich patrol niemieckiej straży. Potem skuleni biegli długo, długo, aż się Julek zasapał, aż mu dech zaczęło zapierać, chciał paść na ziemię, leżeć na niej i wypoczywać, nie patrząc że deszcz i błoto. Ale ojciec trzymał go mocno za rękę i ciągnął za sobą, przykurczony, sam bezmiernie zmęczony. Zgrzani, niezdolni wymówić jednego słowa, przystanęli dopiero za jakimś chlupoczącym bagniskiem w gęstym lesie sosnowym. Ojciec macał dłonią owiniętą w płótno węzełek na plecach, badając, czy nie zamokły niesione w nim kalendarze mazurskie.

Cały tydzień spędzili wtedy w Prusach Wschodnich, dnie przesiadując skryci w domach, wieczorami dopiero wychylając się na dwór. Byli w wiosce rodzinnej ojca, parę kilometrów za Piszem, dotarli także i tutaj, nad Jezioro Gardyńskie, odwiedzili krewniaków matki. W pamięci chłopca na zawsze utkwily spracowane twarze, słowa spokojne i twarde, takie same, jakie znał w domu, ale tylko bardziej gardłowe, jakby chropawe. Poznał chłopaków w swoim wieku i nieco starszych, mówiących już nieraz lepiej językiem niemieckim niż gwarą rodzimą. Widział, jak ręce starszych mieszkańców wioski wyciągały się chciwie- po kalendarze ze słowem polskim.

Drugi raz był w tej wsi po wielu latach, po strasznej wojnie, gdy na świecie został już sam i tylko w Niemczech Zachodnich żyła podobno siostra, zamężna za Niemcem. Ślub zawarła już po śmierci rodziców. Nie wiedział o niej niczego bliższego... Tak, wtedy, zaraz w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu ziemi mazurskiej, jako trzynastoletni chłopak przybył do rodzinnej wsi matczynej. Mało kogo tam zastał, wojna przetrzebiła ludzi. Sporo chałup stało opustoszałych, ci i owi wybierali się za Odrę, przerażeni stosunkami, jakie zapanowały, inni wyczekiwali jeszcze ciągle mężów, ojców czy synów, pognanych gdzieś na wschód w

mundurach Wehrmachtu.. Nikt chłopcem się nie zajmował, nawet dalsi krewni nie mieli dla niego czasu. Wrócił wtedy w Działdowskie, spoważniały nagle nad wiek. Sam torował już sobie dalszą drogę życiową. Do wsi matki nie zaglądał więcej, aż do wczorajszego dnia.

Silny plusk przerwał rozmyślania. To szczupak żerował w pobliżu, w pogoni za rybą wyskakując pod samą powierzchnię. W Julku odezwał się instynkt rybaka. Wzdrepi już zresztą nie brały, Zwinął wędkę, złożył na dnie łodzi, wyprostował się, przeciągnął ramiona Rozradowanym wzrokiem ogarnął gładką tafłę, nasyconą ciepłem sypiących z góry promieni. Szczupak znów pędził z pluskiem za rybą. Na wodzie zostawały rozchodzące się szeroko kręgi.

Julek wypłynął na głęboką toń, pragnąc z niej sięgnąć spinningiem pod trzciny. Wprawna dłonią rzucił połyskującą blaszkę ozdobioną czerwonym kłaczkiem waty dokładnie tam, gdzie zamyslił Bębenek warczał jednostajnie, linka skręcała się, błyszczek tańczył pod wodą. Znów wyrzut ramienia, plusk i warkot bębena, I jeszcze, i jeszcze...-Stosował system uciążliwy może, ale niezawodny. Siekł wodę rzutami nie dalszymi od siebie niż długość ramienia. W ten sposób dokładnie badał wybrany odcinek, sprawdzając, czy, nie kryje się w nim gdzieś wodny rabuś.

Linka była już skręcona prawie zupełnie, dostrzegł w wodzie połyskiwanie blaszki, gdy nagle coś się zakotłowało, a silne szarpnięcie oznajmiło, że przynęta zwabiła szczupaka. Popuścił nieco linki, bębenek obracał się szybciej. Potem ściągał powoli. Po sile oporu poznał, iż złapana sztuka nie należy do największych. Nie miał podrywki, dlatego ostrożnie podprowadził rybę w pobliże łodzi Przy każdym mocniejszym szarpnięciu szczupaka zwalniał linkę Gdy ryba zmęczona walką zaprzestała już zupełnie oporu, podprowadził ją pod samą łódź, nie podrywał jednak do góry, groziło to zawsze zerwaniem, a tylko szybkim ruchem dłoni silnie uchwycił szczupaka w miejscu, gdzie kończy się głowa. Trzymając zdobycz w dłoni, potwierdził swą pierwszą ocenę: żarłacz nie ważył wiele ponad kilo.

Powodzenie zachęca. Z nowym zapalem śmigał ramieniem, błyszcz spadał daleko, bębenek podciągał blaszkę pod łódź. Od czasu do czasu podpływał trochę dalej, by wabić wodne drapieżniki. Tak dobrnął w pobliże obozu. Na brzegu stał już Pietrek.

— Płynę do ciebie — krzyczał wskakując do wody, siejąc dokoła bryzgami.

Skinął głową, nie zaprzestając połowu. Teraz zarzucił na głębie.

Pietrek chwycił właśnie rękami za burłę, gdy wędka zadrgała tak silnie, że Julek omal nie wypuścił jej z dłoni. Bębenek wściekle zaterkotał, linka migotała przy rozwijaniu, ciągnięta przez szczupaka na środek jeziora.

— Uważaj, uważaj, porwie ci żyłkę! — ociekający wodą Pietrek stał już w łodzi, z przejęciem śledząc zabiegi towarzysza.

— To jakiś potężny żarłok, szeptał Julek w rybackiej gorączce.

Spróbował zwijać linkę. Szczupak początkowo nie stawiał oporu.

Potem jednak nagłym rzutem w bok znowu odwinął cały zapas linki na bębenku.

— Kurdefelek, ciągnie łódkę, patrz...

Krótkie wędzisko w dłoni Julka wygięło się w kabłąk. Kania powziął decyzję:

— Siadaj do wiosła, bo zerwie, prędko...

Pietrek nie czekając chwycił za wiosła, aby zmniejszyć w ten sposób napięcie linki. Słuchając wskazówek Julka, to zaprzestawał, to znów silnymi zagarnięciami wody pchał łódkę do przodu, nawet kontrował w razie potrzeby, Kania starał się tymczasem zmęczyć żarłacza. Nawijał linkę ostrożnie, popuszczał, gdy tylko szczupak objawiał mocniejszą wolę walki. Spocił się cały z emocji i wysiłku.

— Już go winduj, zmęczony — doradził zaczerwieniony z podniecenia Pietrek.

— Spokojnie, tylko spokojnie — Julek aż szczęki zaciskał.

Zwijał linkę coraz bardziej i bardziej. Szczupak stawiał teraz lekki opór, czasem tylko trzepnął mocniej ogonem, bębenek jazgotał wtedy przez chwilę, a Julek od nowa próbował podciągnąć szczupaka.

— W dno teraz wali, próbuje przerwać w ten sposób, chytry, kurdefelek! Żeby nam tylko nie poszedł!

— O, do diabła...! — rozpaczliwie wrzasnął Julek, bo szczupak będąc już zupełnie blisko łodzi błysnął nagle potężnym cielskiem i rozpaczliwym rzutem znowu pognął w głębinę, wędka zaś wyrwana z ręki Julka padła z plaśnięciem na wodę.

— Trzymaj! — krzyknął Pietrek, przechylił się przez burzę, zawisł na niej, lecz Julek nie zdążył odchylić się do przeciwwagi i łódź wywróciła się.

Windowali się na wierzch, łapiąc powietrze rozwartymi gębami. Julek widział jeszcze wędzisko na powierzchni wody słyszał jazgot bębena.. Mocnymi uderzeniami ramion płynął w to miejsce.

Bębenek właśnie umilkł. Wyciągnął rękę i wędzisko zanurzyło się pod wodę. Nurknął rozpaczliwym skokiem całego ciała, wyciągniętą dłonią na ślepo pacnął przed siebie. Udało się, złapał wędzisko, czuł teraz, jak szczupak ciągnie je w swoją stronę. Nie było innej rady, popłynął w tym samym kierunku/

— Płyn do brzegu, niech Kostek podjeżdża motorem, ja z nim będę mocował się w wodzie!
— krzyczał do Pietrka.

Kątem oka dostrzegł jeszcze, jak Pietrek rwie „żabką” w stronę obozowiska.

Musiał się teraz zająć szczupakiem, nie pozwolić na zerwanie linki. Nie była to sprawa prosta. Siekąc wodę nogami mógł na chwilę uwolnić obie ręce, nawijał wtedy linkę od nowa, ale

wymykała mu się z dłoni, płatała. O splątanie bał się właśnie najbardziej. Przesądziłoby to od razu rezultat walki.

Szczupak ciągnął ku środkowi jeziora. „Jadę jak za motorem”, myślał ubawiony Julek. Sytuacja wyglądała humorystycznie. Jeszcze nie słyszał o podobnym połowie.

Nasłuchiwał warkotu motoru, ale na brzegu panowała dziwna cisza. Odwrócił głowę, patrzył, że jednak linka niebezpiecznie się właśnie zwolniła, od nowa zaczął borykać się z bębenkiem. Wtedy też usłyszał szarpnięcie motoru, potem jeszcze raz i jeszcze.

Nie można zapalić, coś się tam zacina, miałem sprawdzić — pomyślał. Wreszcie jednak motor zadygotał równomiernie, po zmienionym odgłosie Julek rozpoznał, że „Gawron” podpływa do niego. Szczupak też musiał usłyszeć dziwny hałas, zebrał siły od nowa, ciągnął na głębinę, Julek kurczowo się trzymał wędziska drżąc, że linka gotowa pęknąć każdej chwili i cały trud pójdzie wtedy na marne.

— Hooop! — zawołał Kostek zwalniając obroty.

— Płyńcie na wiosłach, wyłącz motor! — wołał Kania z wody krztusząc się.

Terkot umilkł, ale szczupak nie ustawał i jakby mu sił nagle przybyło, rwał coraz dalej na głębinę, holując za sobą Julka. Tamci wiosłowali energicznie, dziób łodzi znalazł się koło pływaka, wyciągnęły się ręce.

Podał wędzisko Kostkowi, szybko wgramolił się do „Gawrona”, teraz dopiero poczuł, \ jak jest zmęczony szarpaniną z rybą.

— Wzięliście podrywkę?

— Nie było czasu, zresztą zapomnieliśmy... — przyznała Mirka.

Julek fenów ujął wędzisko w ręce. Linka zwolniła zupełnie. Nakręcał ją drżąc na myśl, że szczupakowi udało się jednak uzyskać wolność. Szarpnął linkę parę razy, nic, żadnego oporu.

— Co, poszedł? — zapytał Pietrek. Julkowi wydało się, jakby w głosie jego zabrzmiała tajona radość.

— Chyba tak... — nie dokończył. Wyczuł nowe szarpnięcie, radośnie spłynął mu w uszy terkot bębenka. — Nie, jest, jest! Będziemy go holować do brzegu. Wiosłujcie, ale powoli, spokojnie, żeby nie zerwał.

— Ale wyglądacie... Rozognieni, krzykliwi, jakby nie wiedzieć co się stało. Najwyżej ucieknie, małe zmartwienie... — mówiły dziewczęta urywanie wśród śmiechu:

Julek spojrzał na Mirkę przyjaźnie.

— Rybacka emocja.. Spróbujesz sama, nie inaczej będzie.

— Pewnie, że spróbuję, tylko bez Pietrka; widziałam, jak niezgrabnie wywrócił łódź...

— O, zaraz niezgrabnie! A co było robić, jak ten fafuła wypuścił wędkę do jeziora? Chciałem

złapać — obruszył się Pietrek.

— E, obaj zawiniliśmy — odmruknął Julek.— Powoli, powoli, bo znów będzie uciekał.

Jeszcze kilka razy terkotał bębenek, ale i brzeg się zbliżał. Kostek zważał, aby jechać środkiem przesmyku wolnego od trzciny. Ryba musiała już być zmęczona, coraz słabsze były jej zrywy, chwilami pozwalała się holować, niewidoczna jeszcze pod wodą.

— Przybijaj do pomostu, ja pędzę po podrywkę — Kostek złożył wiosła, wskoczył do wody, płytkiej tu po kolana, i brnął do brzegu.

— O, widać go już, Boże, jaki straszny! — zakrzyczała nagle Zośka, stając na pomoście. — Uwaga, ucieka, uwaga...

— Nic, nic, daleko już teraz nie ucieknie — Julek również już do strzegł szczupaka, jak nurkował z płycizny na głębię. Rzeczywiście, olbrzymi był, jeszcze nie zdarzyło się mu spotkać z taką bestią.

Linka rozwijała się już teraz niewiele. Szczupak, gdy tylko dobrnął do głębszej wody, zastygł tam nieruchomo — odpoczywał. Potem dał się holować bezsilnie, z rzadka jedynie próbując oporu przez prostopadłe usta wianie, ogona.

—Cielak, naprawdę cielak! — dziewczęta klaskały w dłonie, skakały po pomoście, nie pamiętały już swych niedawnych przekpinek.

Tylko Pietrek stał jakiś sponurzały, patrząc na olbrzyma, leżącego jak zatopiona kłoda na jasnym dnie jeziora.

Julek spokojnie skreślił linkę. Pamiętał, że w ostatnim akcie rozpaczy ryba okazać może niespodzianą siłę. Od namiotów nadbiegł Kostek z podrywką.

— Zajdź go dalekim kręgiem, od głębi. I wy tam stańcie na wszelki wypadek. Ja podholuję go bliżej pod brzeg — mówiąc to Julek zeskoczył z pomostu, popuszczając linkę. Szczupak pozwalał się jednak ciągnąć martwo jak kłoda.

Kostek już zaszedł go od tyłu, zbliżał się ostrożnie z podrywką w dłoniach. Wielkość ryby onieśmiała go, bał się zarazem, aby nie spatałaszyć sprawy.

— Teraz, teraz! — wołał Julek, widząc, jak szczupak zakreślił nagle w miejscu.

Kostek skoczył z podrywką, ale już było za późno, zachlupotało, ryba skreśliła nagle, nieomal że wyskoczyła na wierzch, bryzgi wody jak prysznicem oblały całą piątkę.

— Jest, jest, nie zerwał!!! W dno wali łbem. Próbuje przerwać linkę — uspokoił się Julek, czując, jak naprężona linka tnie jego dłonie do krwi.

Podał wędkę Kostkowi.

— Trzymaj, zwijaj powoli, ja go spróbuję chwycić w podrywkę.

Ryba zaprzestała nagle szarpania, niespodziewanie obróciła się bokiem szarym,

poprzecinanym ciemniejszymi pręgami. Julek dobrnął, ostro szarpnął podrywka, szczupak próbował jeszcze ucieczki, zatrzepotał w powietrzu. Lecz na próżno. Całym sobą zasłaniając górny otwór siatki Julek brnął czym prędzej do brzegu.

— Ale ciężki! — wołał pełen łowieckiego zachwytu.

Wynieśli szczupaka, na wysoki brzeg, woleli bowiem przesadzić w ostrożności, niż pozbawić się wspaniałej zdobyczy.

— Co za diabeł! — zdziwił, się Pietrek, ale zaraz. dodał sceptycznie: — Ale i tak nic z niego, stare ścierwo, kurdefelek...

— Zjesz, aż ci się uszy będą trzęsły — mruknęła zgniewana ciągłym jego niezadowoleniem Zośka. — Najmłodszy jesteś, więc słuchałbyś więcej, a mniej gadał.

Kostek uniósł zdobycz do góry. Ogon ryby zamiatał murawę, łeb, znalazł się na wysokości ramienia. — Patrz Zocha, niemal twojego wzrostu.

-- Ja go nie będę patroszyć. Boję cię — wyznała szczerze.

Chcąc nie chcąc musiał Kostek sam zająć się oprawianiem szczupaka Głowę odciął równo, wraz ze skrzelami. Zamierzał ją wysuszyć na słońcu i zachować na pamiątkę rybackich sukcesów.

We wnętrznościach olbrzyma znalazł, ku swojemu zdumieniu, kilka nie strawionych jeszcze ryb, między nimi szczupaka długości ludzkiego ramienia.

— Patrz, jaki łobuz żarłoczny, nawet własnych familiantów nie szczędził.

Kręcili w podziwie głowami.

Julek patrzył uważnie na uciętą głowę szukając miejsca, gdzie by najlepiej schła wystawiona na wiatr i słońce. W pewnej chwili napotkał wejrzenie Mirki., Zastanawiała się nad czymś.

Spojrzał na nią pytająco.

— Nie śmieście się tylko. Myśmy nie nazwali jeszcze zatoki, nad którą biwakujemy. A gdyby ją nazwać Zatoką Wielkiego Szczupaka?

— Wielkiego? Chyba żarłocznego! — Kostek wskazał na ryby znalezione we' wnętrznościach żarłacza.

— Świetnie! — przytaknęli.

5. Wyprawa na wielką wodę

„Gawron” pruł na przestrzał jezioro, zostawiając za sobą smugę białej piany. Dał lekki wietrzyk od wschodu, słońce dopiero wyłaniało się zza horyzontu, woda marszczyła się drobną falą.

Mirka stała w łodzi wyprostowana. Przesłaniając oczy dłonią, patrzyła na niebo zaróżowione wstydliwie wokół kuli słonecznej. Włosy jej rozwiewały się szeroko, opalona, pulsująca krwią po wczesnej kąpeli twarz promieniała świeżością. Spojrzała po -towarzyszach podróży, przeciągnęła się jak rozleniwiona kotka.

— Nie macie pojęcia, jak jestem wam wdzięczna za tę mazurską przygodę — westchnęła.

— Przygody jeszcze nie było, może nas czeka na Śniardwach — Julek z zainteresowaniem przyglądał się swym palcom poszarpanym przez szczupaka przy wyciąganiu go na brzeg.

Czternaście i pół kilo, nie mucha, pierwszy raz udało mi się takiego złowić.

— Tędy? — przerwał mu wątek niedawnych wspomnień Kostek siedzący przy drążku sterowym.

— Tak, to jezioro Malinówko, a właściwie odnoga Gardyńskiego.

— Prawdziwe morze trzciny.

— Ruch jak na ptasim MDM-ie.

Nie kończące się pasma szuwarów, sitowia i trzciny okalały z obu stron jezioro, na które teraz wjechali. Zachodnia część oświetlona była słońcem, reszta pozostawała jeszcze w cieniu. Ciągnął stamtąd dokuczliwy ziąb. Trzciny łagodnie poddawały się powiewom wiatru, pochylały się jakby w ukłonie przed motorówką. Powstająca fala uderzała mocno w zielone ściany, wstrząsała nimi, drżały tak potem przez długi czas.

W trzcinach bobrowały z zapalem dzikie kaczki, zrywały się w powietrze małymi stadkami, przelatywały z trzepotem skrzydeł. Małe ptaszki, rdzawe w odcieniu, drobnymi pazurkami czepiały się trzciny, zawieszono łebkami w dół .zapalczywie oczyszczały ten wodny las z drobnych owadów. Ważki-jednodniówki unosiły się całymi chmurami, przysiadły na burtach motorówki. Któraś upodobała sobie jasne włosy Mirki, ciemnoniebieskimi skrzydełkami pomagała sobie przy wspinaniu się na czubek głowy. Z buczeniem przeleciał trzmiel, aż Krut gniewnie kłapnął za nim zębami.

Pies siedział przy dziobie, uważnie ślepiąc oczyma. Z równowagi wyprowadziła go czapla, zrywająca się tuż przed dziobem łodzi Porwał się, oparł łapy o burtę, szczechnął ze złością, raz, drugi. Siwe ptaszysko z wygiętą szyją nic sobie z tego nie robiąc zapadło w pobliskie szuwały.

— Bardziej na lewo, bo ugrzęźniemy w tych wodorostach — rzucił Julek.

Prawie połowę jeziora zaścielał zbity dywan wodorostów, trawy i orzecha wodnego. Bliżej brzegu w okolicy mięsistych liści pyszniły się swą nieskalaną bielą bujne nenufary.

Kostek skręcił na czystą wodę, zmniejszył szybkość obrotów.

— Tu bardzo płytko — Zośka uważnie wpatrywała się w ciemną toń.

— Ale i grząsko. Dno muliste. Liny tu się trzymają i karasie.

— Dobre rybki — cmoknął Pietrek.

— Ale szczupak też ci smakował, mimo że stary — wypomniała mu wczorajsze grymasy Mirka.

— Sam zjadł pewnie ze cztery kilo — zachichotał Kostek,

— Ż braku laku...— I Pietrkowi było wesoło, tym bardziej że Mirka zdawała się nie pamiętać wczorajszych dąsów, śmiała się do niego tak jak do innych.

Splawny szlak wytyczały wbite w dno tyki. Od strony lasu jezioro było zupełnie płytkie, zielska rozrosły się na wodzie tak gęste, że robiły wrażenie podmokłej łąki. Uwijały się tam kaczki, w popłochu umykające w gęste trzciny.

— Pif, paf! — krzyknął Pietrek. Krut w tejże chwili poderwał się niespokojny na nogi, wyczekująco spoglądając na Godyckiego.

— Patrzcie, to myśliwski pies! — Pietrek popatrzył wreszcie z uznaniem na znajcę

— To już słynna Czarna Rzeka — wskazał Julek na zwężający się nagle szlak wodny, w który wjeżdżali.

— Naprawdę czarna... Słońce chyba nigdy tu nie dochodzi. Zupełnie jak w tunelu na trasie W-Z. Patrzcie, jak te gałęzie sklepiły się silnie. Pnie, przechylone ku wódzie, konarami podtrzymują się przed upadkiem... — Byli oczarowani widokiem.

Graby, dęby, lipy i brzozy mieszały się ze świerkami i sosnami, gdzieś między nie wciskał się olbrzymi, jak drzewo, jałowiec Dołem przepychały się krzewy leszczyny i kruszyny, bujne paprocie klóciły się z jeżyną i malinami, nad samą jeszcze wodą wiodąc zażarty bój z trzcina, wspinającą się niemal na brzeg. Z rzadka prześlizgujące się pasemka światła jasnymi plamami kładły się na ciemnej wodzie.

Rzeka była płytka Jechali powoli, motor pykał leniwie. Kostek oddał ster Julkowi, sam stał na dziobie, uważnie penetrując trasę Musieli lawirować między mieliznami, gdzie szybszy prąd nie zezwalał na zadomowienie się wodorostów, a na skrawkach piasku wielkimi stadami buszowały kielbie, popstrzone rudymi plamkami Miejscami zalegały rzekę zwalone burzą nadbrzeżne olbrzymy, tworzyły się dokoła nich wyspy wodnej zieleni, Julek uważnie omijał przeszkody, czasem tylko zerkał na pierzchające pod wodorosty ^czarne liny i przezrocyste klenie. Drobnymi okoń i płotka odpływały niedaleko, jakby bardziej ufne w swą chyżość. Oстрыm ruchem Smyrgnął w bok duży szczupak — zakołysały się silnie potrącone trzciny.

—Uwaga, mielizna! — krzyknął nagle Kostek.

Było jednak za późno „Gawron” z chrobotem utknął w piasku, śruba zachrząściła, zadygotała. Julek natychmiast wyłączył motor, nadeptując przy tej okazji Krutowi na łapę. Pies ze skowytem uskoczył w bok..

Wspólnym wysiłkiem zepchnęli łódź na głębszą wodę, nie zapuszczając motoru, odpychając się tylko od dna wiosłami przebijali się dalej ku zwartej grupie drzew, za którą zaczynały się wielkie wody.

— Załoga: baczność! Wypływamy na Beldan — komenderował Kostek z udaną powagą.

— Czego się drzesz jak stare prześcieradło? — mruknął kąśliwie Pietrek.

Wybuchnęli śmiechem. Nawet Krut szczeknął dwa razy, poddając się ogólnej wesołości.

— Mikołajki w lewo, Ruciane w prawo. W każdą stronę około dziesięciu kilometrów, Mniej więcej w środku znajduje się cieśnina, którą przebijemy się na Śniardwy.

— Żywy przewodnik po szlakach wodnych Mazur i Warmii — zaśmiała się Zośka patrząc na Julka i żartobliwie mrugając do niego.

Pietrek tkwił u dzioba, przechylał się, wpatrzony w szmaragdową wodę Kania przysiadł się do dziewcząt.

— Chciałem się was poradzić...

— Domyślam się, pewnie w sprawie wioski koło naszej zatoki, w której byłeś przedwczoraj — uśmiechnęła się Zośka, pragnąc dodać Julkowi otuchy.

Subtelniejsza od Mirki, wyczuwała, że Kania serdecznie coś przeżywa, Domyślała się, że ma to związek z ludnością miejscową Kostek wspomniał przy jakiejś okazji, że Kanię bardzo martwiły sprawy związane z rdzennymi mieszkańcami tej ziemi.

Potwierdził skinieniem głowy.

— Byłem w tej wiosce raz jeden z ojcem, krótko przed wojną. Zabrał mnie z sobą przez zieloną granicę. Lał wtedy straszny deszcz. Drugi raz trafiłem do niej po wyzwoleniu, inaczej tam wyglądało, ludzie byli wystraszeni, przybici. Ostatnio zastałem sprawy mimo wszystko dla mnie nieoczekiwane. Rozmawiałem z ludźmi, którzy dobrze znali mego ojca, nie mówiąc o matce. Do nich przynosił ojciec kalendarze i numery „Mazura” drukowane poza kordonem... Ludność wioski w większości głosowała w plebiscycie za Polską. Kilka rodzin, najbardziej wciągniętych do pracy plebiscytowej, musiało po przegranej uciekać. Podobnie i mój ojciec uciekł spod Piza, bo już mu żandarmeria deptała po piętach.

W tej wsi matczynej sporo osób należało do Związku Polaków, Byli oczywiście i słabsi, lękliwsi, którzy mówili, że są narodowości mazurskiej Może tak zresztą czuli. W każdym razie nie znalazłbyś tam wtedy nikogo, kto by się mianował Niemcem. Nawet hitlerowski terror nie złamał ich w tym przekonaniu. Zmiany przyniosła dopiero wojna Mężczyzn powołano do Wehrmachtu, młodzież siłą wciągano do Hitlerjugend. Najmocniejszych zaraz po wybuchu wojny zesłano do obozów, dwóch tylko wyżyło. Kilku wróciło z wojska.

Umilkł, jakby zmęczony tą bardzo osobistą relacją Zośka знаła te sprawy z Warszawy Miała

swój dawny sentyment do Mazurów, To, czym się dzielił Kania, interesowało ją szczególnie Poglądziła go pieszczotliwie po dłoni wspartej o burtę. Ale Julek zamilkł- na chwilę wpatrzony w brzegi przesuujące się koło nich.

Kostek ostrym zwrotem wpływał w podłużną zatokę, za którą dopiero odsłonić się miał cały urok nieckowego jeziora. Jakieś kobiety stały po kolana w wodzie, na wystających nad powierzchnię kamieniach tłukły kijankami rozłożoną bieliznę. Pietrek chętnie by usiadł na miejscu Kani, przytulony do Mirki. Nadśluchiwał z zaciekawieniem wynurzeń Julka.

Jezioro Bełdańskie okalała Puszcza Piska. Przestrzeń wodna to rozszerzała się, to znów zwężała i wtedy wyniosłe sosny lub świerki zbliżały się do łodzi, cień padał daleko od brzegu, woda w tym cieniu wydawała się ciemniejsza, jak mocny w barwie szmaragd. Niewielkie fale przelewały się równomiernie, łagodnie uderzając o burty motorówki Stadka mew przysiadły na wodzie, białymi punktami swoich tułowi mąciły jednorodność barwy jeziora Czasem ptaki zrywały się. kręciły w powietrzu Kilka sztuk przeleciało nad „Gawronem”, znów zawróciły nad-łódź, podążały jakiś czas za nią.

Dziewczęta wydobyły parę kromek chleba, drobiąc, poczęły wyrzucać kruszyny Mewy łapały smakowite kąski w powietrzu, przepychały się popiskując, częściej przysiadły na wodzie, bystrymi ślepkami wypatrując kawałeczków chleba Żarłoczne były, odbierały sobie zdobycz, uciekały z nią daleko od stada i spokojnie już spożywały jałmużnę.

— Tak. Inaczej teraz w tej wiosce. I lepiej, i gorzej! —wrócił Julek do swego tematu, — Wyzwolenie nie stało się wyzwoleniem dla ludności mazurskiej Nie potrzebuję wam mówić o tych mętach, jakie przybyły na Ziemię Odzyskane w charakterze „pionierów”. Gwałty, rabunki, krzywda jedna po drugiej, wyzywanie od szwabów... Pamiętamy też, że po wojnie nie wszyscy mężczyźni wrócili do swych wiosek... Dużo tam zostało wdów i ledwo podrosłych dzieci. Przy wysiedlaniu Niemców też zdarzały się nadużycia, często najlepszych Mazurów wysyłano za Odre, a ci nie umieli za-protestować, I na odwrót — nieraz najzgorzalsi wrogowie polskości pozostali na miejscu Kilka rodzin zniemczyło się jeszcze w czasie wojny, choćby za cenę wykupienia się od służby frontowej. Zostało też kilku Niemców. Stosunki długo nie były uporządkowane, krzywdy pierwszych lat nie umiano od razu naprawić.

Po dziś dzień zresztą są tacy, którzy do rodziaków odnoszą się nieufnie albo wręcz wrogo. To boli, gorzej, to zacierzwia, a często separuje od polskości.. Jednocześnie ta propaganda z Niemiec Zachodnich. Listy, paczki, ulotki, czasem szpieczy i dywersanci. Słabsi dają się wziąć na lep, Niektórzy z młodych wychowali się w Hitlerjugend, nienawidzą Polski, zdecydowanie stają przeciwko niej. — W głosie Julka zabrzmiała tłumiona pasja. — A przecież nie tak wiele potrzeba, aby zmienić to wszystko, aby zarazić tych ludzi polskością. Nie mówię o zdrajcach i

wyrodkach. Tylko za mało robi się w tym kierunku. Tysiące turystów przejeżdża przez Mazury, tysiące młodzieży... Czemu nie czują oni w sobie potrzeby zbliżenia się z tymi ludźmi, nawiązania z nimi serdecznej więzi, która przybliży im Polskę. Czemu?

— Myślę, że te rzeczy powoli dojrzewają, Julek... Dziś jest już lepiej pod tym względem niż przed rokiem, dwoma — przemówiła Zośka.

— Może, ale to ciągle za wolno. A tu każdy dzień ważny. Zrozumcie — tu mocno uchwycił dziewczęta za ręce — chciałbym, aby nasza tu obecność była pożyteczna dla tej sprawy. To może patos, co mówię, ale każdy z nas powinien być tutaj ambasadorem polskości. Myślę, że znalazłyby się sposoby, aby jakoś zbliżyć się do naszych kolegów z najbliższej nam wioski, Pomyślmy nad tym Będziemy tu dosyć długo. Jest we wsi paru ludzi, którzy nam dopomogą.

Zośka wyciągnęła do niego w przyпіływie serdeczności obie ręce.

— Masz nie jedną, ale dwie łapy, Julek! Na pewno coś zrobimy! Sama myślałam o tych sprawach, jadąc na Mazury. Pomożemy sobie wzajemnie, czyż nie?

— Guzik z pętelką! — wyrwał się nagle Pietrek. — Ja mam swoje zdanie w tej sprawie, zresztą szkoda mi czasu na jakieś tam dyrdymałki moralne. Niech to Julek robi, to jego sprawa, kurdefelek, nie moja... napotkał nagle wlepione w siebie zdumione oczy Mirki. Zreflektował się momentalnie, tym bardziej, że naprawdę wcale tak nie myślał, był tylko podekscytowany uczuciem zazdrości.

— Zresztą, może coś wam i dopomogę, tylko róbcie to jakoś żywiej, weselej, a nie z tą śmiertelną powagą, bo umrzeć można... Mamy siatkę, niechże Julek ściągnie tych facetów, - zagramy razem...

Twarz Julka rozpogodziła się. Przyciągnął Pietrka ku sobie i pocałował mocno w policzek...

Teraz z kolei zdumiał się Pietrek. „A temu co się na czułości zebrało”.

— Wolałbym, żeby to Mirka mnie pocałowała w twoim, zastępstwie — bąknął wreszcie.

— Może, ale musiałbyś na to solidnie zasłużyć... Ba, wtedy nie tylko w policzek — uśmiechnęła się tak szelmowsko, że Pietrek zgłupiał do reszty.

— Tu się kończy jezioro Beldan, za tym cyplem, widzicie, zaczyna się Mikołajskie, a tam, gdzie ta cieśnina, to wylot na Śniardwy... A o czym wy tak rozprawiacie, że nawet tych cudnych brzegów nie chcecie oglądać? — przekrzykiwał Kostek huk motoru.

— Hałas to ona robi, ta nasza łajba — Pietrek czym prędzej zmienił temat rozmowy, pragnął w ten sposób zażegnać świeżo popełnioną niezręczność.

Zośka przechyliła się do ucha Julka.

— Nie martw się, pomożemy. Widzisz, nawet Pietrek... — odchyliła się trochę, spojrzała uważnie na młodszego brata. Czyżby on był zazdrosny o Mirkę? — zastanowiła się. I nie

wiedzieć czemu zaśmiała się nagle pełnym głosem.

Kostek zwolnił biegu, motor przycichł, można się było teraz słyszeć bez trudu.

— Słońce już wysoko. Po ósmej! Proponuję śniadanie, zaraz jak tylko wyjedziemy na Śniardwy. Jest tam cypel, zwie się Głodowo, podobnie jak pobliska wioska. Zwiedzałem Śniardwy w ubiegłym roku. — Kostka znużyło już prowadzenie łodzi.

— Zgoda! — odkrzyknęli chórem.

Motor zagłuszył znów wszystko. Kostek wyciągnął największą szybkość, na jaką stać było improwizowaną motorówkę. Ciekawie spoglądano na nich z przemykających cicho żaglówek. Czasem załogi witały się pozdrowieniem wodnym. Pietrek zerkał niedyskretnie na dziewczęta z żaglówek.

Kostek postanowił wpłynąć w cieśniną ostrym, efektownym zakrętem. Naciskał z całych sił drążek sterowy, nie zwalniając przy tym szybkości. „Gawron” zdrzął w pewnej chwili jak narowisty koń, zatrzęsł się, przechylił prawą burtą niemal do samej wody..

— W lewo wszyscy, w lewo! — zakrzyknął Julek, całym swym ciężarem opadając na lewą stronę łodzi — Wyprostuj, wyprostuj! — przekrzykując huk motoru pouczał zarazem Kostka.

Kostek jednak spieszył się i nadal z całą siłą naciskał drążek. Łódź szła przechylona niebezpiecznie na prawą stronę, w pewnej chwili woda chlusnęła do niej mocną falą. Dziób począł wrzynać się w wodę...

Ciągle wisząc za lewą burtą, Julek przesunął się błyskawicznie do Godyckiego, chwycił za drążek, desperackim szarpnięciem wyprostował łódź. Stało się to w ostatniej już chwili, bo nowa fala wlewała śle przez burtę, a dziób ciął wodę pogrążając się w nią coraz to bardziej. „Gawron” parł przez chwilę w poprzedniej pozycji, potem nagłym rzutem wyprostował się tak gwałtownie, że dziewczęta i Kostek wyrócili się na dno jak dłudzy, przywalając sobą Kruta.

— Kurdefe... — Pietrek nie dokończył. Niespodziewanie dla siebie znalazł się nagle w wodzie. Przy gwałtownym przechyleniu do poziomu stracił punkt oparcia i wywinąwszy gwałtownego kozła skąpał się wbrew swej woli.

Przerażone w pierwszej chwili dziewczęta wybuchnęły teraz gwałtownym, trochę nerwowym śmiechem.

Julek zmniejszył szybkość. Zatoczył łuk i wracał do Pietrka, który otrząsnął się już z pierwszego wrażenia i prychając płynął w ich stronę.

— Nie da rady, muszę się nauczyć prowadzić łódź. To hańba, żeby rodzony brat topił człowieka... Co dnia podobna przygoda to trochę za wiele — ryczał gramoląc się do „Gawrona”.

Słyszając oklaski dochodzące z jeziora niefortunny pływak obejrzał się. Nie opodał przepływała „dziesiątka”. Na pokładzie żaglówki były same dziewczęta. Obserwowały całą scenę i ze

śmiechem były teraz brawo Pietrkowi. Zaczerwienił się, zawstydził i nie wiedzieć czemu zawołał do Julka:

—Prędzej, prędzej!

„Gawron” grzmiał teraz salwami nieustannego śmiechu. Przygoda Pietrka wzbudziła powszechną wesołość. W takim nastroju minęli cieśninę, rozwarły się przed nimi rozległe Śniardwy.

Widzieli olbrzymie jezioro po raz pierwszy. Było teraz wyjątkowo spokojne, tafla wodna stała nieomal bez ruchu, najmniejszy wicherek nie mącił płaszczyzny.. Kilka łodzi zastygło w miejscu, żagle opadły bezsilnie. Jasne cumulusy przeglądały się w ciemnoniebieskiej wodzie jakby sprawdzając swą toaletę. Gdzieś daleko niewyraźną linijką majaczył odległy brzeg, a w kilku miejscach horyzont zupełnie zlewał się z wodą. Cisza panowała na jeziorze, czasem tylko pisnęła ponuro któraś z nielicznych mew szybujących w stronę cieśniny, Słoneczny blask miejscami nadawał Śniardwom barwę starego srebra, wypolerowanego na szczególnie uroczystą okazję.

Dziewczęta objęły się ramionami, obie zgrabne i ładne, choć tak niepodobne do siebie. Kontrastowały skąpane słońcem włosy, inny wyraz malował się w oczach Śniada. Zośka zagarniała Śniardwy zachłannie, Mirka zdawała się być dziecinnie zadziwiona ogromem wód. Usta Godyckiej zacisnęły się, tworząc wąską linijkę, towarzyska jej rozchyliła wargi szeroko i wysunęła je lekko do przodu, jakby zachęcając rozświetloną wodę do pocałunku.

—Jazda, pędź, Julek, na oceany! — krzyknęła Zośka i w tym okrzyku była cała śmiała, zdobywca, choć przecie zrównoważona.

Mirka uśmiechnęła się tylko łagodnie, z uśmiechem tym podniosła niebieskie swe oczy ku koleżance.

— Wiesz, oczy twoje są takie same w kolorze... — wpatrywała się w nie zdumiona Zośka, a potem nie wiedzieć czemu zerknęła na Pietrka.

—To rozumiem, .to dopiero jazda... Droga wolna — pohukiwał Julek, ale nikt go nie słyszał w hałasie motoru.

Zataczali teraz szeroki łuk, pędzili równoległe do brzegu, szlak piany długo kipiał za nimi. Gdy ujście cieśniny zginęło w dali, Julek skierował „Gawrona” do brzegu. Był już najwyższy czas na śniadanie.

Dziewczęta rozkładały prowiant. Cichutko zasyczała spirytusowa maszyna turystyczna; gotowano na niej wodę na herbatę.

Śniadanie zniknęło szybko, łykowały od starości szczupak smakował jak najlepszy rarytas.

Z jasnego nieba lał się niemiłosierny żar. .Upał rozleniwił, obezwładniał po prostu.

Leżeli twarzami do słońca, z rzadka tyłka wymieniając jakieś uwagi.

6. Czarcia Wyspa

Czas dobrze podbiegł już pod południe, gdy pierwsza zerwała się ze snu Zośka. Przeciągnęła ramiona, podnosiła się kilka razy na czubki placów, dotykała rozgrzanej twarzy.

— Jak sobie chcecie, ja mam już dosyć i snu, i opalania... Żar piekielny. Wyjedźmy na jezioro, gdzieś daleko, daleko... Patrzcie, żaglówki tkwią na tych samych miejscach. Nad jeziorem jakaś leciutka mgła, to chyba faluje rozgrzane powietrze... Jedźmy, co, kapitanie?

— Rozkaz, szefowo! — poderwał się Kostek.

Na wodzie było znacznie przyjemniej. Od jeziora ciągnął lekki chłód, spiekota nie była tak uciążliwa. Motor warczał, goniąc prościutką jak strzelił linią przez nie dający ogarnąć się wzrokiem bezmiar wodny. Z żaglówek, ledwie pełznących, spoglądano na nich zazdrośnie.

Niebo było jasne, spokojne, kilka cumulusów odbijało się w wodzie tak wyraziście, że chwilami trudno było rozpoznać, gdzie się co zaczyna i kończy. Horyzont zaciągnął się delikatną mgiełką, dalszych brzegów nie można już było dojrzeć. Woda opalizowała, migotała skrami, połyskiwała olbrzymimi polami polerowanego srebra, z rzadka tylko nabierając tu i ówdzie ciemniejszej barwy, Cisza zawładnęła powietrzem. W oddali przelatywało stadko mew. Przysiadł na wodzie, nieruchomiały, jakby i je rozleniwiło słońce.

— Patrzcie, statek. Idzie z Pizy do Mikołajek — wskazał Kostek.

Na prawo od nich, trzymając się bliżej linii brzegów, sunął statek pasażerski. Mienił się różnorodnymi kolorami damskich kostiumów i chusteczek. Jak z ula niósł się stamtąd nieustanny gwar.

— Taką łajbą to nudno jechać... — skrzywił się Julek. — Wyznaczony zawsze ten sam szlak, nie to, co u nas, swoboda, przestrzeń...

— Chyba że razem jechałyby miłe dziewczęta — Pietrek ciekawie spoglądał na statek.

— Patrzcie, jaki donżuan — prychnęła Zośka śmiechem.

Brat udał, że nie słyszy. Zagapił się w przestrzeń. Potem ostrożnie zerknął na Mirkę, ciekaw, jak zareagowała na słowa Zośki. Patrzyła właśnie na niego, nie wytrzymała powagi, dolki w policzkach pogłębiły się, wargi zadrgały, w końcu zaśmiała się szeroko, radośnie.

Rozzłoszczony opuścił głowę Mirka peszyła go i onieśmiałała. Nigdy dotąd nie doznawał podobnych uczuć w towarzystwie dziewcząt. Przeciwnie, nabierał przesadnej nawet pewności siebie. Zresztą szczęściło mu się. Dopiero z Mirką jakoś inaczej się układało. Jeszcze przed dwoma laty wykpiła próby jego zalotów. Teraz też lichy wie — kpi, naigrywa się czy też w

ogóle nie chce go traktować poważnie? Zastanowił się przez chwilę, czy nie maskuje w ten sposób zainteresowania jego osobą. Myśląc tak dumnie wypiął pierś, ale zaraz musiał sam sobie zaprzeczyć. Nie, nie to, gdzieżby...

Peszył się przy niej. Nie pomogło wmawianie sobie, że w ten sposób traci wszelkie szansę zdobycia sympatii dziewczyny. Widział, że im bardziej Mirka go lekceważy, tym bardziej wzmagają się jego zainteresowanie dziewczyną.

Stała teraz smukła, rozgrzana słońcem. Przysłaniała oczy dłonią, przypatrując się paru samotnym kajakom, ledwie widocznym na olbrzymim jeziorze.

— Czarcia Wyspa — Julek wskazywał jej dwie odległe, obok siebie położone wysepki zarosłe lasem. Ciemną plamą odcinały się od jasnego tła nieba i prześwietlonej słońcem wody.

— Skąd taka nazwa? — przechyliła się ku niemu, przekrzykując hałas motoru.

— Z ludowej legendy. Podobno stała tu kiedyś potężna pruska forteca, potem zaś Prusaków zastąpiły w rumach diabły. Warto wypytać bliżej miejscowych Mazurów.

— Ej, czy zechcą nam opowiadać?

— Zależy od tego, czy potrafimy zjednać sobie ich sympatię — odpowiedział Julek bardzo poważnie. — To ludzie zamknięci w sobie. Zbyt ciężkie mieli życie pod niemieckim uciskiem, aby pochopnie pozwalać sobie na zwierzenia. A i po wojnie nie wszystko układało się dobrze. Obrosli jakby pancerzem. Po zdjęciu go jednak znajdzie się głębokie, ludzkie serca, szczerą, życzliwość i prawość.

Niespodziewany podmuch powietrza smagnął ich ostro po twarzach. Płachty niedalekich żagli wydeły się od razu, łodzie zerwały się z miejsca, raźnie skoczyły do przodu, Dobięły rozgłośnie okrzyki triumfu.

Wygląd Śniardw zmienił się w mgnieniu oka. Lekka fala potoczyła się przez wodę z łagodnym szmerem, zaigrały w jej załamaniach słoneczne refleksy. Złoto pomieszało się ze srebrem, jak kunsztowna zastawa na niebieskim tle wody. Mewy pojawiły się wielką chmurą, z wrzaskiem przefruwały z miejsca na miejsce. Na niebie przybyło cumulusów.

— Pycha! — odetchnęła zmęczona poprzednim upałem Zośka.

Przysiadła na burcie, odrzucając głowę do tyłu. W odbiciu światła od wody ciemne jej włosy nabrały jakby granatowego odcienia. Mały, lekko zadarty do góry nosek prychał zadowoleniem.

„Gawron” rwał naprzód, brzeg, na którym spożywali śniadanie, mała, ścigał się w wąską linijkę. Czarcia Wyspa wydawała się z odległości mniej groźna.

— Płynmy na Łukniajny. Tam jest słynny rezerwat łabędzi... Tyle że „Gawrona” będziemy musieli zostawić i jechać do rezerwatu zwykłą łódką z przewodnikiem. Nie można płoszyć ptaków... — Julek wskazywał dłonią daleki jeszcze, ostrym konturem mający brzeg.

— Właściwie na Śniardwy powinniśmy się wybrać na dwa lub trzy dni. Objedziemy to morze dookoła, dobra?

— Hip, hip, hura! — projekt Kostka znalazł uznanie całego zespołu Fala nagle wezbrała, pojawiły się u jej szczytów maleńkie białe grzywki. Wiatr dał już teraz bez przerwy, ostry i chłodny, niósł ze sobą rozbite bryzgi wody Jezioro ściemniało, stało się niemal granatowe. Mewy zerwały się, zakotłowały, potem całym stadem uniosły wysoko i poleciały w stronę brzegu.

Julek rozglądał się uważnie. Żaglówki pędziły z furkotem.

— To chyba dlatego, że jesteśmy prawie na środku jeziora, prawda? - zwróciła się do niego Mirka.

Nie odpowiedział od razu. Początkowo sam nie był pewien. Dalszy, narastający w. sile podmuch wiatru zaniepokoił go. Przeszedł do Kostka.

— Będziemy zawracać. Tu nigdy nic nie wiadomo, a ryzykować nie warto — zdecydował krótko przejmując od Kostka drążek sterowy. Podniosły się głosy protestu

— Julek, nie nawalaj, kurdefelek! Guzik tam taki wiatr, lepiej się gna.

— Pycha taka jazda!

—Jedźmy do tych łabędzi!

Potrząsnął głową.

— Fala potrafi dojść tutaj do wysokości człowieka. Licho wie, czy i dzisiaj się nie rozbuja — mówiąc to, zataczał już wielki łuk.

Przez chwilę stanęli bokiem do fali. Podrzuciła ich silnie Powitana piskiem woda z chlupotem wtargnęła do środka „Gawrona”.

Przed nimi hen na prawo majaczył ciemny kształt cypla, na którym niedawno wypoczywali: nieco bliżej, od lewej, dwoma plamami znaczyły się kontury Czarnej Wyspy. Julek prowadził motorówkę pomiędzy tymi punktami Wiatr uderzał na nich nieco z ukosa, dał równomiernie, co jakiś czas tylko niespodziane podmuchy zwiększały j tę o siłę. Fala rosła, grzywki wykwiwały coraz to wyższe, bruzdy w wodzie zwiększały się. Niebo nadal pozostawało jasne, tylko białych, białych cumulusów wyrastało na nim coraz to więcej. Zbijały się, zaścielały błękit szerokimi •plachtami. Jezioro z każdą chwilą mroczniało, przybierając miejscami barwę niemal błądą.

Kolejne uderzenie wiatru zatrzęsło łodzią. Mirka nie mogła ustać, oparła się całą siłą o ramię Pietrka. Przytrzymał ją nieco dłużej, niż tego wymagała potrzeba.

— Ano, zaczyna się niezgorza tańcówka — mruknął mniej myśląc o wietrze jak o jędrnej kibici Mirki i zapachu jej nasyconych słońcem włosów.

Julek wydobywał z motoru całą siłę. Nie podobało mu się to nagłe wicherzysko przy

pogodnym niebie.

Żaglówki rwały o wiele szybciej od nich, zdawały się tylko muskać powierzchnię jeziora. Zbliżały się do ujścia mikołajski«j cieśniny.

— Piiić, piiić, piiić! — Spory ptak, podrzucony wichrem, zakołował nad nimi.

— Kania! — Kostek równie niespokojnie jak Julek obserwował odległość dzielącą ich od brzegu.

— Słucham cię? — odezwał się Julek.

— Nie do ciebie mówię. Kania poleciała, pewnie deszcz będzie bo po swojemu woła pić.

Julek skierował łódź bardziej w lewo, brał kurs prosto na Czarcia Wyspę. Było do niej najbliżej, „Gawron” szedł wolniej, utrudniała mu bieg silna, krótka fala. Bryzgi wody coraz częściej przeskakiwały przez burty.

Mieli jeszcze spory kawał drogi. Julek trwał przy drążku skupiony, wpatrzony przed siebie, jakby oczyma pragnął przybliżyć brzeg. Zmarszczył czoło, na którym wystąpiła wyraźniej blizna Mirka pomyślała, patrząc na tę twarz, że wyraz jej świadczy o silnym, twardym charakterze. Przypomniała sobie zdanie Kostka o silnej woli młodego Mazura. Przed chwilą odczuwała lęk, obserwując potężniejące w grozie jezioro. Teraz twarz Julka przywróciła jej spokój. Czuli, że na tym człowieku można polegać, można mu w pełni zaufać.

Wiatr wzmagął się już teraz nie poszczególnymi zrywami, jak przedtem, ale ciągle, nieustannie nabierał siły, bił w nich ostrym chłodem, tarł włosy, głużył słowa, nawet warkot motoru chwilami prawie zanikał w narastającym świście.

Śniardwy skłębiły, się, sponurzały, ciemną powierzchnię zdobiły wielkie grzebienie piany. Fale przelewały się z jednostajnym huczeniem., A nad tym wszystkim stało jasne, aż białe w intensywności blasku słońce. Nieustannym migotaniem odbijała ta jasność od skłębionej wody.

Łódź chlupotała wodą. Mirka z Zośką wylewały ją czerpakami, ale każda- ostrzejsza fala nowym chluśnięciem jakby podrwiwała z tych wysiłków. Obaj bracia zasiedli na ławeczkach, gotowi w każdej chwili do pochwycenia za wiosła. Julek wpierał się w drążek sterowy, wiatr i fala znosiły bowiem motorówkę z wytyczonego szlaku.

Czarcia Wyspa była już niedaleko. Z bliska oświetlone jasno drzewa wydawały się pogodne, buńczucznie opierały się podmuchom wichury wstrząsającej szczytami. Dla załogi „Gawrona” wysepka- stawała się zbawczą przystanią.

— Teraz wiosła, wioooooośła!... — ryczał Julek przekrzykując motor i wiatr.

Zmniejszył obroty, jechali wolniej, łódź poddawała się podrzutom fali, która pędziła ich prosto na wschodni brzeg otoczonej trzcinami wysepki. Wiosła wysmykiwały się, raz uderzały piórkami w powietrze, kiedy indziej aż po dulki tonęły w wodzie. Wiosłowali z wysiłkiem.

Motor dygotał leciutko, Julek sterem dopomagał w utrzymaniu właściwego kierunku. Woda w łodzi sięgała już wyżej kostek, przelewała się z chlupotem.

—Łądujemy z wiatrem, mijamy brzeg.

Przebijali się teraz przez trzcinę. Wiosła aż wyginały się, tyle wysiłku wkładali obaj Godyccy, aby nie poddać się naporowi żywiołu i nie dopuścić do Wyrzucenia motorówki, na sterczące przy brzegu kamienie. Wezbrany wał wody wyniósł ich wysoko, a potem z trzaskiem rzucił w rozwierającą się .nagle toni Zarazem jednak pchnęło to „Gawrona” poza wschodni cypel Czarciej Wyspy. Teraz należało zawrócić i wylądować od strony choć w części osłoniętej przed szaleństwami wichury.

To było najtrudniejsze. Julek przełączył motor na pełne obroty. W pewnej chwili przeraził się, że motor działa nierówno, zatyka się i zachłystuje- Ale zaraz już terkotanie wyrównało się, „Gawron” zerwał silnie do przodu. Julek zawracał, wypatrując chwili, gdy minie ich największa fala, a goniące ją siostrzyce złagodnieją w rozpasanej zabawie. Teraz.. Wparł się całym ciałem w drążek sterowy, przez chwilę zdawało się że łódź odmówi mu posłuszeństwa, ale nie, oto raptownie zarzuciła, dziobem na lewo, chwilę stała bokiem do fali, tuż, tuż przed nadlatującym większym od innych bałwanem, wreszcie jakby spokorniała. Posłuszna już, zwróciła się w stronę wyspy. Bałwan przeleciał z szumem nad rufą, mało teraz już groźny.

Od tej strony na jeziorze było znacznie spokojniej, wiatr nie szalał tak, jak na otwartej przestrzeni. Tylko zwały wody przelewały się, wstrząsane jakby oddechem potężnego cielska. Brzeg wysepki piaszczystym spadem zachęcał do lądowania. „Gawron” z rozpędem przedarł się przez wąski pas trzciny, motor zgasł, łódź ze zgrzytem zaszorowała o piasek:

— Uff, gorąco było — otarł Julek pot z czoła.

— Myślałem, że już te Śniardwy dadzą nam radę — Pietrek był blady, z nie ukrywaną niechęcią spoglądał na zbałwanione jezioro.

Wargi mu lekko drżały.

— Dresy zupełnie przemokły. Głupstwo, teraz pierwsza rzecz to zrobić herbatę.

Z entuzjazmem przyjęli propozycję Zośki, krzątającej się już pod osłoną przybrzeżnych drzew nad rozpalaniem maszynki. Julek stanął opodal, spoglądając na falującą niezmordowanie wodę. Płaszczyzna jej zdawała się ciągnąć bez kresu, brzegów w ogóle nie było już widać. Daleko gdzieś szamotała się z wichrem duża łódź żaglowa. Kierowana wprawną dłonią, gnała szaleńczym pędem naprzód.

W tejże chwili wraz z wichrem dobiegł do uszu Julka jak gdyby krzyk Wspiął się na wzniesienie gruntu, aby zyskać lepszą widoczność. Ale prócz kotłujących, usianych grzywami fal niczego nie dostrzegł Pomyślał już, że się musiał przesłyszeć, gdy wołanie z jeziora

dobiegało znowu, tym razem pełne śmiertelnej rozpaczyny Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę bez skutku, po czym pędem zawrócił ku bobrującym w malinach druhom. — Tam ktoś tonie na wodzie! Nie mogę dojrzeć... Prędey, prędey! — zwoływał ich do siebie.

Wypatrywali gorączkowo, nasłuchiwali, czy wołanie nie wskaże im kierunku. Ale nic nie było widać.

— Tam, tam, stamtąd dochodzi głos! — Mirka wyciągniętą dłonią wskazywała kierunek.

— Nie, stamtąd — Pietrek wyciągnął palce w zupełnie inną stronę.

— Widzę, widzę, kajak przewrócony, trzymają się go, jakieś pół kilometra!... zawrzeszczał Kostek z sosny, na którą już zdążył się wdrapać.

— Musimy im pomóc! Fala może oderwać ich od kajaka. Dziewczęta niech tu zostaną, my płyniemy... — zdecydował Julek sadząc już w kierunku „Gawrona”.

Mirka przelotnie zerknęła na twarz Pietrka. Twarz ta zszarzała, wargi ściągnęły się w wąską linijkę i zbladły, jakby uszła z nich cała krew. Stał tak w podmuchu wiatru, wydymających krótkie szorty, zmały nagle, niepozorny jakiś i zupełnie bezradny.

— Pietrek! — szturchnęła go mocno w ramię, wskazując na Kostka, który zsunął się błyskawicznie z drzewa i pędził już za Julkiem.

Pietrek stał nadal jak wryty, tylko policzki mu dygotały jak u małego, nastraszonego dziecka. Nie odpowiedział nie, skurczył się jeszcze bardziej.

Knipianka spojrzała na niego przez moment uważniej, po czym pobiegła do motorówki.

— Mirka! — krzyknęła za nią Zośka, ale tamta się nawet nie obejrzała.

Wydało się Zośce, że z jeziora dobiega znów wołanie o pomoc. Nie mogła na razie nic dojrzeć.

Nagle wysoko, na szczycie fali, zamigotała nie opodal wyspy biała sylwetką kajaka. Zośka wpatrzyła się w ten punkt, rozradowana że zajadle zagarniająca wodę wiosłami para sama potrafiła się uratować z topieli, ba, że kajak wcale się nie wywrócił, jak to zaobserwował Kostek, zaraz jednak spostrzegła, że jest w błędzie.

Kajak wypływał na jezioro. Powoli biały, wrzecionowaty kształt oddalał się» coraz bardziej od brzegu. Fale rzucały nim, jaz ukazywał się gdzieś na szczycie, potem zapadał w otchłań tak, że go widać nie było.

Zrozumiała. To jacyś kajakowicze śpieszą pewnie tamtym na pomoc Spojrzała w kierunku Pietrka. Odszedł nieco od brzegu, stał oparty o sosnę, blady, jakby nieprzytomny.

Zastanowiła się nagle, czemu nie słyhać warkotu motorówki. Pobiegła w stronę „Gawrona”.

Biedzili się wciąż jeszcze z motorem. Julek gorączkowo nawijał rzemień, szarpał nim., Raz tylko zadrgała maszyna, znów ucichło. Zośka przybiegła z nowiną:

— Jakiś kajak wypłynął tamtym na pomoc. Z naszej wyspy. Widocznie wcześniej tutaj przybyli.

— Kajakiem?! — krzyknął zdumiony i przerażony Julek. — Tym bardziej musimy się śpieszyć, bo i z tymi może być źle. Nie kajakiem się puszczając na taką falę.

Nareszcie udało się. „Gawron” chwycił obroty. Brnęli, wspólnym wysiłkiem spychając motorówkę na głębszą wodę. Julek pierwszy wskoczył do środka i zobaczył, że Mirka czyni to samo, krzyknął więc:

— Mirka, na brzeg! Dziewczęta zostają.

— Dziewczęta zostały. — odrzekła z naciskiem — Jedź, tam ludzie giną!

Nie nalegał więcej. Kostek wskoczył do wody, nie głębszej tutaj niż do pasa, znów odpychał łódź na głębinę. Pomagała mu Zośka. „Gawron” drgnął, szarpnął do przodu, wspiał się dziobem na falę, Julek zerwał pełnym gazem, aż Zośka wywróciła się, zdołała jednak uchwycić się jeszcze burty. Kostek dostrzegł to, podskoczył, wyciągnął siostrę do łodzi. Mirka, równowazyła, przechylając się na przeciwną burtę.

Śmiałym, ostrym obrotem zmienił Julek kierunek. Fale, jakby zaskoczone, zakotłowały się na chwilę, nawet nie zdążyły ich zalać. Omijali teraz Czarcią Wyspę, pędzili na wielkie wody mazurskiego morza.

Wypatrywali oczy, czy gdzieś nie dojrzą kajaka, ale białe, potężne grzebienie przesłaniały widoczność. Woda z chlupotem wbluzgiwała się do łodzi przy każdej wspinającej się nieco nad inne fali. Wylewali ją czerpakami, wciąż wysłepiając oczy.

— Są! — krzyknęła nagle Mirka.

Widzieli już wszyscy. Fala coraz to wyrzucała do góry wywrócony, jaśniejący czerwonym dnem kajak. Jakieś dłonie kurczowo wczepione w kil odcinały się białymi plamami od tła tej czerwieni. Nieopodal mocowała się z żywiołem para mężczyzn. Zbliżali się już do rozbitków, nie oglądali się nawet. Może w świście wichury i grzmocie wody nie dosłyszeli monotonnego terkotu motoru.

Julek pokręcił głową w najwyższym podziwieniu. Mało kto odważyłby się w taką pogodę wypływać kajakiem na pomoc. To było już bohaterstwo.

Oba kajaki zrównały się ze sobą. Wiosłował teraz tylko jeden z dzielnych ratowników, drugi zsunął się zwinnie do wody, przyciągał wywrócony kajak. Mocniejszy bałwan wyrzucił ich wszystkich do góry Julek, choć pragnął najmocniej, nie mógł przecie wydobyć więcej siły z motoru, aby prędzej się przybliżyć do tamtych. Nie, są wszyscy, teraz ten pierwszy winduje na własny kajak jakąś dziewczynę, zwiła w poprzek, kolega na chwilę przestaje wiosłować, wciąga ją do środka. Fala jednocześnie zawraca kajak, nakrywa go, chyba już po nich.

„Gawron” dopływał, tamci dojrżeli go, ktoś krzyknął z rozpaczą. Na sekundę jakby się uspokoiło w tym miejscu. Z łodzi zobaczyli, iż oba kajaki są wywrócone Najbliżej nich zajadłe borykał się z wodą jeden z ratowników, ramieniem przytrzymując dziewczynę. Przy kajaku z czerwonym dnem kotłowała się druga para.

— Rzucaj koło, rzucaj! — wrzasnął Julek do Kostka, zwalniając bieg.

— Krut, spokojnie — Mirka chwyciła pupila za kark, szykował się bowiem do skoku wraz z kołem.

Kostek zachwiał się w chwili rozmachu, ale koło spadło tuż koło głowy dziewczyny. Towarzysz jej złapał za linę. Wtedy dziewczęta wraz z Kostkiem jęły holować tę parę do łodzi. Julek nie mógł teraz zawracać, nie mógł nazbyt zmniejszyć obrotów, groziłoby to wywróceniem motorówki, a wtedy dla nikogo nie byłoby już chyba ratunku. Minał więc oba kajaki i szamoczących się wokół nich mężczyzn, kątem oka patrzył na wysiłki towarzyszy. Zaraz nastąpi chwila krytyczna, trzeba będzie wwindować tamtych do łodzi Byle mocniejsze przechylenie albo ustawienie „Gawrona” bokiem do fali wywróci ich.

Kostek wyciągnął rękę do dziewczyny Nie miała już sił na tyle, by podać mu swoją. Złapał ją wtedy za ramiona Mirka i Zośka gwałtownie przerzuciły się na drugą, burtę. Kostek mocował się, wreszcie przeciągnął bezwładną niemal ofiarę Śniardw do łodzi.

Szczupły chłopak o bujnych, zlepionych teraz w śmieszne kosmyki włosach nie czekał już na pomocną dłoń Kostka, puścił nagle koło, kilku silnymi ruchami ramion przesunął się wzdłuż burty aż na dziób, tam zręcznym podrzutem razem z fontanną wody wydzwignął się do wnętrza łodzi. Dyszał ciężko, złotawa pierś podnosiła się gwałtownie. Mirka spojrzała z uznaniem.

— Zawracamy! Wszyscy przechył na burtę, bo nas zaleje! — krzyknął nagle do Julka.

Ten zabierał się do zawracania i bez tej komendy, ale rad był z orientacji nieznajomego: będzie pilnował ładu w łodzi.

Mimo tych ostrożności zaczerpnęli jednak niemało wody. Gdyby nadeszła w tej chwili mocniejsza fala, byłoby po nich. Pędzili już z powrotem w stronę kajaków.

— Teraz tego łysego! — krzyknął znów nieznajomy.

Kostek nie protestował. Energia tego chłopca — mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat — podobała mu się.

Łysawy pan leciał im przez ręce podobnie jak jego towarzysza. Z niemałym trudem wciągnęli go do łodzi, i to dopiero za drugim nawrotem, który udało się jednak wykonać daleko sprawniej.

Kajaki zostały za nimi. Julek wypatrywał sposobności, aby jeszcze raz zawrócić po ostatniego kajakowicza, ale długowłose, smukły młodzian krzyknął mu w ucho, że nie trzeba, tamten da

sobie radę, zresztą on także skacze po kajak, bo inaczej fala gotowa je porozbijać o brzegi.

— Jedźcie na wyspę, my też tam niedługo będziemy.

Szybko przesunął się pomiędzy piątką pasażerów „Gawrona”, skoczył na dziób, odbił się od niego, jak od deski startowej, łukiem wpadł w wodę, prosto w szczyt nadbiegającej, silniejszej od innych fali. Za nim pięknym susem wyskoczył Krut.

Mirka ledwo stłumiła okrzyk przestrawu. Ale już chłopak wynurzył się, miał-jeszcze tyle brawury, by pomachać uspokajająco ręką w ich stronę. Bijąc zapalczywie ramionami- o wodą wracał do kolegi i kajaków...

— To dopiero odwaga! — rzekła Zośka.

— Ale i psisko dzielne, patrzcie, jak płynie — rzuci! Kostek.

Mirce przypomniał się Pietrek, zrobiło się jej nagle bardzo przykro.

Spojrzała na wyratowanych z topieli. Dziewczyna leżała blada z przymkniętymi oczyma, Nie miała więcej ponad osiemnaście lat. Była nawet ładna, tylko niepotrzebnie brwi miała cieniutko zgolone, zamazana rozplływającym się teraz tuszem, i w ogóle wydała się jakaś nazbyt „zrobiona”. Towarzysz-jej, znacznie starszy mężczyzna, z okazałym brzuszkiem i okrągłą łysinką, przyglądał się załodze „Gawrona” wybałuszonymi oczyma Płynęli teraz równolegle do wysepki Julek przygotowywał się do ostatniego nawrotu. Kajaków ani chłopców nie można było dojrzeć. Mirce nagłym kurczem ścisnęło się serce na myśl, że tamci mogli się przeliczyć z siłami i nie dobrną do brzegu. Wstrząsnęła się.

—Uwaga, zakręcamy! — krzyknął Julek jak mógł najgłośniejszy, aby zagłuszyć szum wichru i fali.

Pomogli sprawnie, znów jednak zaczerpnęli niemało wody. W łodzi było jej prawie do kolan, nie pomagało gorączkowe wylewanie. Ale już i niebezpieczeństwo malało.

Z ulgą powitali szorowanie dna łodzi o przybrzeżny piasek. Po na pięciu minionych chwil odczuli teraz gwałtowną potrzebę odprężenia. Przez jakiś czas siedzieli na łodzi jak nieżywi, oddychając tylko gwałtownie.

—Trzeba do tamtych, może będą potrzebowali pomocy — pierwszy oprzytomniał Kostek, wyskakując zaraz na brzeg.

Pobiegli za nim, zostawiając niedoszłych topielców własnemu losowi. O nich nie trzeba się już było kłopotać.

Pietrek stał oparty o sosnę, w miejscu, na którym zostawiła go Zośka. Zgiął się, gdy przebiegli obok, jakby go wcale nie widząc. Tylko Kostek rzucił mu w przelocie krótkie, wymowne słowo:

—Tchórz!.

Pietrek nie śmiał już na Mirkę podnieść oczu, wtulił się w sosnę jakby tam szukając osłony przed sobą samym i przed nimi. Słyszał tylko głos dźwięczny, pełen wielkiej radości:

—Tu, tu, już blisko! Są obaj!

—Musimy im pomóc przyholować kajaki bez rozbicia — Kostek od nowa był pełen energii.

Weszli do wody, trzymając się za ręce, aby nie wywróciła ich gwałtowniejsza fala.

Kajaki pędziły do brzegu, jakby gnane motorem. Fala i wiatr były tu siłą napędową. Już, już przemykały obok oczekującej w wodzie czwórki zalewanej co chwila piętrzącą się falą.

Uchwycili mijający ich kształt, wparli się nogami w sypki piach, uciekający spod stóp. Aby tylko zatrzymać rozpęd kruchych łupinek. Udało się, tylko Zośka speszyła, się, zamiast kajaka złapała bowiem za szyję niedawnego towarzysza z motorówki.

— Ufff, jak mamie Kocham., ale w dechę historia — niski, ale barczysty blondynek z wdzięczną łobuzerią mrugnął okiem do Zośki.

Za chwilę byli już bezpieczni na brzegu.

— Przyjmijcie, koledzy, gratulacje — zbliżyli się wzajemnie do siebie.

— Marian Bończa jestem, miło mi się przedstawić.

— Gabriel Jaroszyk — skłonił się drągal.

Mały Bończa wskazał nagle dłonią na stojącego pod drzewem Pietrka.

— A ten też razem z kolegami?

— Z nami, tak, ale chory jest. Żołądek, kurcze, dlatego został. — Julek nie umiał kłamać, plątał się, ogarniał go wstyd. Myślał też, że licho wie, czy nie było jakiegoś istotnego powodu, dla którego Pietrek aż tak się zbłąźnił,

Trzeba z chłopcem pogadać.

Bończa i Jaroszyk podeszli do Pietrka, przedstawili się. Odwzajemnił się, ale twarz jego pokraśniała ze wstydu.

Wesoło pomaszzerowali brzegiem do uratowanej pary. Załoga „Gawrona” patrzyła na chłopców z niekłamaną sympatią.

Pierwszy szedł Bończa. Gdy wychylił się z nadbrzeżnych zarośli, zaraz cofnął się, kładąc palec na ustach. Twarz jego rozszerzyła się uśmiechem. Zbliżając się, usłyszeli szczątek rozmowy. Młoda dama płaczliwie wyrzekała na towarzysza:

—Tak, ale ty nie znasz mego męża... Boże, jak ja się boję, on się wszystkiego domyśli. O czwartej będzie w Mikołajkach... Że też ty, Edwardzie, zawsze masz takie głupie pomysły. Teraz się wszystko wyda.

Bończa chrząknięciem zasygnalizował swoją obecność. Wynurzyli się wszyscy z krzaków. Para umilkła, zaraz potem podniosła się z wylewnymi podziękowaniami.

— Długo będzie to trwało? — spytała panna z wygolonymi brwiami, spoglądając na kotłującą się wodę.

— Może być ze trzy dni, czasem nawet zaciąga się na dwa tygodnie — mały, pękaty Bończa powiedział to najpoważniej w świecie.

— Różnie tu bywa. W zeszłym roku taka wichura trwała przez dwadzieścia sześć dni. Też tutaj byliśmy, w końcu jedzenia zabrakło, musieliśmy polować na dziki, jest ich sporo na tej wysepce — perorował wytrwale, przygryzając wargi.

Trójka przy motorówce spojrzała i wybuchnęła nagle gwałtownym śmiechem. Zdziwiony Krut wodził po nich niepewnym spojrzeniem.

7. Jeziorko wśród torfowisk

— Ale śpicie, rybeńki, jak raki ze saka. można was powybierać z namiotów — śmiał się szeroko, przyjaźnie.

W porannym brzasku ujrzeni go zajętego igraniem z Krutem. Zachwycony tą ranną wizytą pies łasił się i merdał wesoło ogonem.

— Skutki wczorajszej wycieczki. Dzień dobry! — Julek, pierwszy zerwał się na nogi, pędem minął Grabszę, zadudnił na pomoście bosymi piętami, po chwili bryzgi wody rozprysnęły się na wszystkie strony.

— A cóż pan Pietrek taki dzisiaj powolny i nie w humorze, jakby mucha siadła na nos? Pewnie słońce nazbyt przypiekło na Śniardwach?

— Tak, trochę — odburknął.

Niechętnie poczłapał na pomost, stał tam długo wahając się, czy podążyć śladami Julka do porannej kąpieli, czy zrezygnować dzisiaj i poprzestać jedynie na obmyciu twarzy.

— Tak i ja rybeńki, myślałem, że trzeba was będzie budzić. Idę teraz na śniadanie i czekam. Słońce wysoko — wskazał na wstydliwie zaróżowione niebo.

— Dopiero weszło — zaprotestowała Zośka.

— Może być, ja tam kobietom nigdy nie jestem przeciwny, dlatego z żoną dobrze żyję — zaśmiał się Grapsza, swym długim krokiem zawracając do leśniczówki.

— Za dziesięć minut przyjdziemy — zawołała za nim Mirka.

Ubiegłego wieczoru Grapsza zrobił im miłą niespodziankę. Opóźnili się z powrotem ze Śniardw, mrok złapał ich już na Czarnej Rzece. Wolno, po ciemku przebijali się na Jezioro Gardyńskie. Z daleka już ujrzeni nad zatoką jasno płonące ognisko. Julek zerwał „Gawrona” do pełnego biegu prosto na płomień siejący dookoła migotliwymi blaskami. Trochę niespokojni,

zastanawiali się, kogo zastaną na brzegu. Życzliwy leśniczy w ten sposób pragnął im ułatwić powrotną drogę. Czekał nie sam, był z nim razem nowy znajomy, Edward Fajfer. Pogawędka przeciągnęła się wtedy do późna, nic więc dziwnego, że spali rano jak zabici, zapominając o wyprawie na torfowiska, zaproponowanej przez Grapszę.

Śniadanie zjedli na stojąco, solidnie popijając mlekiem, dostarczonym w olbrzymiej ilości przez leśniczego. Całe bractwo uwijało się szybko, tylko Pietrek z ponurą miną stał na uboczu, nie biorąc udziału w ogólnej krzątaninie. Ale na niego też nikt nie zwracał uwagi, tak jak i poprzedniego wieczora. W drodze powrotnej ze Śniardw na motorówce panowało milczenie, nastroje były zwarzone, wspomnienie postępuku młodszego Godyckiego zbyt bolesne i przykre. Pietrek również ciężko przeżywał zdarzenie na Czarciej Wyspie. Raz się unosił wściekłością, klnąc w duchu na wszystkich, to znów wpadał w nastrój czarnej depresji, wstydził się samego siebie. Teraz bez słowa zawrócił na ścieżkę wijącą się wzdłuż brzegu jeziora.

— Jednak nie idziesz z nami? Koniecznie chce ci się tego kajaka? — wstrzymał go Julek.

— Wczoraj już powiedziałem — odburknął jakoś nieśmiało, przyciszonym głosem. Ze spuszczoną głową poczłapał w zarośla.

W obozie ucichło. Wszystkie oczy odprowadzały skurczoną, jakby zmaląłą postać Pietrka. Przeciągające się milczenie przerwał Kostek.

— Jazda, wymarsz. Pietrkowi, to zrobi dobrze. Wstyd mi za brata.

— Z tym kajakiem to nawet niezły pomysł. Przyda się nam choćby na takie wyprawy jak dzisiejsza. — Julek usiłował zmienić temat rozmowy. Już wczoraj wieczorem powstrzymał Kostka od zasadniczej, jak ten mówił, rozprawy z bratem, tłumacząc, że podobne decyzje wymagają gruntownego przemyślenia.

Grapsza czekał już na nich przed leśniczówką. Żona jego wyprowadziła krowy na łąkę przed lasem.

— Wilki ich nie zjedzą? — zaśmiała się Zośka.

— Różnie bywa, zimą tu niejednego widuję. Teraz mają co zjeść i w lesie. Idziemy, bo słońce wysoko.

Julek dźwigał pęk związanych wędek oraz podrywkę. Godycki nieustannie poprawiał plecak, w którym pobrzękiwały jakieś garnki.

— Mirka jakieś ty zapakowała to wszystko? — wydziwiał.

Śmiała się, odrzucając głowę do tyłu. Leśniczy patrzył na nią z przyjemnością.

Przypominała mu młodą sarnę, tak była zwinna i smukła.

Grapsza zamyślał na dzisiaj obchód gęstego puszczańskiego rewiru, trudno dostępnego pośród mokradeł i nieprzebytych chaszczy. W rewirze tym leżały zagubione w lesie trzy małe

oczka głębokie, połyskujące ciemnym szafirem jeziora, otoczone dookoła miękką poduszką mchu rozrosłego na trzęsawiskach. Leśniczy zaproponował sąsiadom z zatoki wyprawę odkrywczą-rybacką. Słuchy chodziły, że jeziora należą do bardzo rybnych, szczególnie obfitujących w szczupaki i liny. Nadarzała się więc doskonała okazja do sprawdzenia, wiele prawdy kryło się w opowieściach o potężnych żarłaczach w upalne dni podchodzących pod samą powierzchnię i wystawiających nad wodę ciemne grzbiety, jakby przesiąknięte torfiastym gruntem. Projekt podobał się szczególnie Julkowi. Kostek bowiem nazbyt zmartwiony był sprawą brata, by móc się teraz cieszyć czymkolwiek. Dziewczęta ochoczo powitały wyprawę.

Grapsza żałował, że nie mają kajaka, ułatwiłoby to bowiem spenetrowanie tajemniczych jezior. Młodszy Godycki, który niechętnie odniósł się do propozycji leśniczego, podchwycił wtedy okazję, aby wymówić się od wspólnej wyprawy. Oznajmił, że wybiera się następnego dnia do Wojtun, aby tam, od kierownika stacji, wypożyczyć kajak na dwa tygodnie. Przyplynie nim do Zatoki Żarłocznego Szczupaka. Na tym stanęło. Nikt go ani nie zachęcał, ani nie odwodził od tego projektu.

Szli teraz szybkim krokiem, leśna, droga wiała się kolistą, zarośniętą bujną murawą, gdzieś już nawet i pędami jeżyny. Siad kolein zatarł się od dawna, nikt tędy widocznie nie przejeżdżał.

Bór strzelał w górę przeważnie sosnowy, z rzadka przetrkany liściastymi drzewami. Sosny pięły się wysoko, bujne, rosłe, utulone u podnóży gęstym kłębowiskiem krzewów. Ranek był rześki, powietrze ostre, przesycone wilgotną wonią butwiejącego poszycia. Nad drogą wisiała delikatna, falująca mgła, srebrząca liście krzewów. Promienie słoneczne, znajdujące szersze pasma wolne od drzew, wlewały się tamtędy mocnym, wibrującym strumieniem. Zewsząd niósł się jazgot ptasi.

— Przed pięciu laty, gdy obejmowałem leśnictwo, drobiazgu ptasiego tu niemal nie było, tak je wybiły rozpanoszone straszliwie jastrzębie. Blisko trzydzieści sztuk zastrzeliłem zeszłego roku — leśniczy z przyjemnością wsłuchiwał się w świergotliwy rejwach małych mieszkańców lasu.

— Panie Grapsza — Julek przysunął się do niego, szli teraz obok siebie. — Podobał mi się wczorajszy gość, ten nauczyciel. Zna go pan bliżej?

— Bliżej, nie bliżej. Parę dni przed wami, rybeńki, przyjechał. W wiosce mieszka. Ludzki jest, dopomógł jednemu i drugiemu umie. Od z Mazurami gadać, nie boją się go. Las też zna. Zgadało się, jak do mnie zachodził. W metrykę mu ani w zęby nie zaglądałem. Spytał, czy znam waszą gromadę, bo chciałby znajomość zawrzeć. To i przyszliśmy razem.

— Rozmowa się nie kleiła, zmęczeni byliśmy. Mówi pan, że z Mazurami się umie dogadać?

— zamyślił się.

— Widzicie tę sosnę? Splotła się z dębem jak brat z siostrą. O jak wy, rybeńki, nie przymierzając — wskazał leśniczy na Zośkę i Kostka objętych wół.

— Co ta sosna z dębem, zaczął pan mówić...

— Żebyście pamiętali, to znak drogowy. Stąd idziemy w lewo, w las, aż do pierwszego trzęsawiska, które trzeba będzie ominąć od prawej, bo gdzie indziej przejść trudno, chyba łosiowi.

Przedzierali się przez zбитy gąszcz krzewów. Leszczyna z kruszyną przeciwstawiły się kalinie i dzikiemu bżowiu, dołem grodziły przejście kolczaste kłęby malin i jeżyn, nawet pokrzywa przerastała tutaj człowieka. Julek czuł się najgorzej, wybrał się bowiem tylko w króciutkich szortach. Piekła go pokrzywa, drapały i kłuły jeżyny. Nogi miał całe w bąblach i zadrapaniach. Z uśmiechem spojrzął na dłonie pokiereszowane ostrymi zębami szczupaka.

—Zupełnie jak w Szczęściu latach Matka miała ze mną sto utrapień. Zawsze byłem podrapany straszliwie...

Przerwał mu jakiś chrumkot, a potem tupanie i hałas roztrącanych krzewów. Leśniczy zerwał fuzję z ramienia. — Samura z małymi, lepiej być ostrożnym.

Przystanęli. Hałas oddalał się, zwierzęta w czas zwietrzyły niebezpieczeństwo, zaszyły się w dalsze połacie lasu.

Szli teraz jeden za drugim. Grunt obniżał się, pachniało wilgocią i pleśnią. Miejsce gładkiej ziemi usianej trawami i leśnymi ziołami zastąpiły kępy porośle jagodnikiem. Między kępami nóg nurzały się w obfitym lekko uginającym się mchu. Słońce z trudem przebijało się przez rozrosłe wierzchowiny drzew. Ilość sosen zmniejszyła się, ustępując miejsca grabom i bukom. Czasem prosto jak strzała, wspinał się w górę twardy jesion, tuż obok rozcapierał się świerk. Po pniu jego frunęła w górę wiewiórka, znikła zaraz. bez śladu. Gęste siatki pajęczyn rozciągały się między gałęziami leszczyny i czarnej olchy; coraz to musieli ocierać twarze oblepione delikatnymi nićmi. Duże pająki, krzyżaki, umykały co sił; ukryte w liściach trzęsły się w oburzeniu na niszczycieli kunsztownych ich sieci.

— Łoś na tych rojstach zadomowił się od zeszłego roku — szepnął leśniczy.

Mirka zdziwiła się, czemu wszyscy mówią tu szeptem. Przed chwilą sama złapała się na tym, że mówi do Zośki zniżonym głosem.

Teren opadał, nogi grzęzły w wilgotnym mchu. Krzewy znikły, tylko gładkie kępy wznosiły się jedna obok drugiej, jak zapomniane groby na starym cmentarzysku. Przed nimi otwierała się szersza płaszczyzna, biedna i groźna zarazem. Jeszcze z brzegu trzęsawiska próbowały pięć się w górę karłowate sosenki, obok krzaki olszyny utulały niziutką, pokraczną brzoźkę, nawet

samotny świerczek próbował się pysznić swoją odwagą. Ale dalej brakło już i tych drzewek, zastępowała je tylko wysoka, ostra turzycza albo łochynia i bagno o białych kwiatach. Na wyższych kępach trafiały się pęki żurawin oraz wilczej jagody. Gdźieniegdzie rozwierały się maleńkie, pokryte rzęsą oczka wody, odbijało się od-nich słońce, jak od -maleńkich zwierciadełek, dodając srebrzystozłotej kraszy rdzawozielonemu tłu ubogiej roślinności. Skryte w niej żałośliwie kwiliły czajki.

— Tędy nie przejdzie się żadną miarą. Od lewa ciągną się te mokradła na parę wiorst. My pójdziemy trochę na prawo, widzicie, gdzie bagna przecina pas brzołek... Tam jest przełaz... Następnym dopiero za rzeczulką, która z tych moczarów wypływa, kawał drogi...

— Bardzo bym chciała zobaczyć łosia — Mirka z prośbą zwróciła jasne oczy na Grapszę. Leśniczy uśmiechnął się.

— Trudna sprawa. Łoś sprytny zwierz, sam już go nie widziałem od dwu tygodni. Może się kiedy i uda, rybeńko, przy lesie mieszkając różnie się zdarza. Nieoczekiwanych ludzi i zwierzęta się czasem widuje...

Doszli do kępy niewielkich brzołek. Rosły długim, niezbyt szerokim pasmem, przecinały trzęsawisko zielonobiałą krechą.

— Miejscowi mówią, że niegdyś był tu nasyp, grobla taka, łącząca dwie części lasu. Wszystko to — zatoczył dłonią szeroki krąg — było jeziorem, z wyjątkiem tej grobli i obok niej leżącego pagórka. Podobno jeszcze przed paru setkami lat mieszkali ludzie na tej wysepce. Potem jezioro w części spłynęło, w części wyschło, tylko te bagniska zostały i kilka oczek jeziornych w lesie. Może to być... — Grapsza za trzymywał się czasami, nie przerywając opowiadania, potem znów ruszał przed siebie.

— To musi być jakiś kurhan, ciekawe... Żeby tak pogrzebać tu przy okazji — zainteresował się Kostek i w tej samej chwili z chlupotem zapadł się prawie po pas w bulgocącej brudnej wodzie, przemieszanej z błotem.

— Przejść tędy można, rybeńko, ale uważnie patrząc pod nogi — zauważył spokojnie leśniczy. — Krut może tu hasać swobodnie, ale nie człowiek...

Pies wyprzedzał ich, teraz, z zaciekawieniem obwąchiwał drzewa, kępy, płoszył poszczekiwaniami jakieś rudawe ptaki, wzbijające się nieomal prostopadle do góry.

Grobla była wąska, uginająca się przy każdym kroku, rozkołysana, chwiejna, czasem ziejąca zdradliwymi oczkami wody, nad którą przerzucone były nieznana ręką zbutwiałe pnie drzew. Przechodzili po nich ostrożnie, ślizgali się, z trudem łapiąc równowagę. Tylko leśniczy zdawał się kroczyć tędy jak po wielkomiejskim chodniku. Odetchnęli z ulgą, gdy znaleźli się już po przeciwnej stronie trzęsawiska. Las zaczynał się tu od razu zwartą ścianą dochodził aż po

bagnisko.

Grapsza spoglądał na słońce i przyśpieszał kroku. Umówiony był z robotnikami leśnymi dla znakowania chorych drzew pod zimowy wyrąb. Znów wyszli na zarośniętą leśną drogę. W pewnej chwili leśniczy stanął, wskazał palcem pomiędzy drzewa.

— Ot, pierwsze jezioro. Zaraz za nim drugie... Ostatnie trochę dalej, trzeba jeszcze iść drogą, będzie małe wzniesienie, od niego zaraz na prawo. Ale tamto, rybeńki, nie ma połączeń z żadną wodą i tylko karłowate okonie w nim się trzymają...

— A te mają połączenia? — Julek na próżno wypatrywał jeziora między drzewami.

— A jakże! Choć tylko na wiosnę t nie co roku. Jak woda w jeziorach i rzecze wyżej wyleje, to strumykami łączy się także z tymi oczkami. Szczupaki i inne ryby przy tarle przychodzą tu wtedy i zostają, nie mając już wyjścia... Spokój, żaden rybak nie zagłąda, może się wam cokolwiek i uda... A jak nie, to dla samego widoku przyjść było warto. Będę tutaj koło południa Bywajcie, rybeńki!

Kostek rozglądał się w podziwie Zdumiewał go ten *gąszcz* leśny, dziki, nie kształtowany ręką człowieka, Potężne drzewa, wrywane przez burzę z korzeniami, leżały tu i ówdzie, tworząc w ziemi wykroty, jamy i nory. Pokręcił głową.

— Jakże ten Pietrek myśli przebrnąć aż tutaj kajakiem?

— Jest inne obejście, dalsze Trzeba zjechać w dół Krutynią, stamtąd można dostać się na to miejsce leśną drogą. Grapsza tak mówił wczoraj wieczorem — przypomniała Zośka.

— O, jest jezioro, skryte wśród drzew. Z drogi nie można go dojrzeć — zdziwiła się po swojemu Mirka.

Zeszli łagodnym spadem i wtedy otworzyła się przed nimi jakby polana, zajęta przez gładką, nie zarośniętą toń wody. Jezioro było maleńkie, na dwa może rzuty kamieniem wszzer i wzdłuż Dokoła zwartą ścianą otaczał je las.

— Ojej, ależ tu trzęsawisko, czy się dostaniemy, do wody?

— Krut już się dostał — Mirka wskazała na swego ulubieńca, łapczywie chłepczącego czystą wodę jeziora.

— Dobre miejsce na biwak — Kostek wskazał mały pagórek przy samym nieomal brzegu.

Julek próbował ostrożnie, czy uginający się brzeg, porośły wątlm mchem i trawą, nie zarwie się pod nim. Mech kolebał się, chwiały się karłowate brzoźki przy brzegu i równie wątle sosenki. Dotarł tak nad samą wodę, zapatrzył się w nią. Grunt ostrym spadem zarywał się w toń bezpośrednio przy skraju kolebiącego się brzegu. Kilka małych okonków smyrnęło płochliwie na widok olbrzymia krocącego nad nimi.

— Ja się kąpiel! — Zawołał nagle Julek zrzucając z siebie wierzchnie odzienie. Śmiało teraz

biegł rozkołysanym brzegiem. Chwiały się drzewka oddalone o dobre kilkanaście metrów.

— O, jest i pływająca wyspa... ucieszył się jak dziecko, widząc oderwaną przez jakąś wichurę kępę dwumetrowej może średnicy z rosnącą pośrodku niej sporą sosenką.

Porwawszy jakiś drąg zaczął się nim odpychać od brzegu. Kępa wirowała, ale utrzymywała jego ciężar.

— Zostaw ją na miejscu. Wypłyniemy na środek i z niej będziemy rzucać wędki — wpadł na pomysł Kostek.

Julek odbił się, kępa cofnęła się od brzegu. Kania śmignął zgrabnym łukiem i już rozciął wodę ramionami, parszkając głośno.

Za chwilę kąpała się cała czwórka Woda ciepła była tylko z samego wierzchu. Gdy zanurzyło się nogi głębiej, aż parzyło zimnym, torfiastym chłodem.

Julek zamachnął się, błyszcz wyleciał łukiem w powietrze, z chlupotem uderzył o wodę. Zaterkotał bębenek, spokojnie zwijany przez Kanię, Dziewczęta spoglądały z wyczekiwaniem, czy wędzisko w jego rękę nie zadrży. Mirka szykowała się do pomocy, trzymając w dłoni podrywkę Gdy kilkanaście rzutów nie przyniosło jednak żadnych wyników, dziewczęta zaczęły się nudzić Kępa tymczasem, widocznie siłą pierwszego rozpędu, przesuwała się ciągle ku środkowi jeziora. Julek silnym zamachem ramienia niezmordowanie wyrzucał błyszczek, potem zwijał, czasem uważnie spoglądał na wodę. Przejrzystość była tu znacznie gorsza niżli przy brzegu Jezioro straszło czarną, nieprzenikliwą głębią Mirka próbowała zmierzyć głębokość długim kijem Zanurzył się cały...

— Nie zdziwię się, gdyby do dna było i dziesięć metrów. Inaczej rosłyby przecież jakieś wodorosty, tymczasem nawet blisko brzegów niczego nie ma.. O, lichy, tam coś żeruje — Julek wskazał na kręgi, rozchodzące się nie opodal. Znow coś plusnęło, w' kilku miejscach od razu.

Zezwalał teraz, aby błyszczek zanurzał się, głębiej, zaczynał zwijać linkę dopiero w długą chwilę po zarzuceniu Wciąż nic.

Czas mijał, słońce piekło, zarówno na brzegu, jak i na wodzie.

Po paru godzinach Julek zrezygnował z dalszych usiłowań. Wspólnie z Kostkiem próbowali, teraz już na brzegu, zwabić ryby na różną przynętę. Udało się im złapać zaledwie kilka nie większych od palca okonków, prawie granatowych jak ta woda, torfiasta, ciemna.

— Przejdźmy na drugie jezioro — zaproponował wreszcie Julek, przeciągając dłońmi po rozgrzanej skórze ciała. ..

— Idźcie sami. Nudne to wasze rybołówstwo — ziewnęła Zośka, mrugając przy tym

znacząco do koleżanki.

Dziewczęta spoglądały przez chwilę za nimi, potem znów położyły się, poddając się pieścizotom słońca.

W lesie było cicho, żar panował koło południa taki, że nic chyba, co żywe, nie mogło zdradzać ochoty do jakiegokolwiek działania. Nawet ptak żaden się nie odzywał poza niezmordowanym dzięciołem, który od paru godzin nieprzerwanie opukiwał drzewo po drzewie.

— Wiesz co, Mira — przeciągnęła się Zośka — Podobał mi się ten wczorajszy nowy znajomy.

— Jaroszyk czy Bończa?

— Też! — zachnęła się. — To jeszcze smarkateria... Mówię o tym nauczycielu, który oczekiwał nas nad zatoką razem z leśniczym...

— Aha, Fajfer, tak się jakoś nazywa?

— Na imię mu Edward, wcale niebrzydki... Lubię, gdy w ludziach jest wiele pogody, jakiejś serdeczności do świata.

— Przystojny on jest, ten twój Edward... Blondyn, jak się śmieje, to tworzą mu się na policzkach takie paradne dołki... Mówi do rzeczy, ma własny sąd o wielu sprawach, a to też rzadkość — rzuciła Mirka od niechcienia, aby zadowolić przyjaciółkę.

— Tylko nie mój... Podoba mi się chłopak, ale do uczucia jeszcze daleko. Raz się w życiu sparzyłam i teraz jestem ostrożna.

— Żartowałam, kochanie. — Mirka przysiadła, objęła kolana ramionami, podobna teraz do figurki z brązu. Skóra jej była ciemna od opalenizny i tak samo połyskiwała.

— Ech, nie ma to jak wakacje... Wspaniale się czuję.

— Ja też! A pan Edward naprawdę jest przyjemny — westchnęła potakująco Zośka, układając się wygodnie na podesłanym kocu.

Krut patrzył na nie iskając się zawzięcie. Potem wstał, rozglądał się ze znudzoną miną, wreszcie pobiegł drobnym truchcikiem nad drugie jezioro, gdzie wytrwale próbowali szczęścia obozowi rybacy.

Z nieba sypał się na ziemię już nie żar, ale rozpalony ogień. Od dawna nie pamiętano na Mazurach tak upalnego lata.

8. Zagadkowy spadochron

Drugie jezioro roztaczało wokoło nastrój melancholii i smutku. Wysokie drzewa puszczańskie nie przytykały tutaj bezpośrednio do pasma trzęsawisk, lecz kończyły się na

łagodnych wzgórzach oddalonych o paręset metrów od regularnego owalu ciemnej, torfiastej wody.

Wodę tę otaczał las bagienny, mizerny, jakby schorowany i przeraźliwie smutny. Brak było tutaj szeleszczących wesoło olch, świerki wyciągały w górę cieniutkie, wykręcone kikuty, tylko brzoźki splecione dziwacznie białymi pniami urozmaicały szarzyznę krajobrazu. Do brzoź tulila się wierzbina, gałązki swe chyląc aż do siwych ze starości mchów torfowych.

— Nie wydaje mi się, aby tu było lepiej... Coś się nasz Grapsza omylił z tymi rybami... Tam jest pewnie ten rów łączący jezioro z większymi wodami, brzozy rosną podłużnym pasmem i wierzb jakby więcej...

— Spróbujemy — Julek wstał na kołyszący się pas nadbrzeżnej trawy, ostrej, tnącej skórę jak nożem. Przy samym już brzegu był tylko mech, usiany długimi pędami żurawin, z przyczepionymi do nich ubiegłorocznymi jagodami.

— Gdyby nie słońce, byłoby cholernie ponuro — Kostkowi nieś podobało się tutaj. — Ale głęboko jak lichy — zaglądał w wodę, ostrożnie przechylając się nad rozhuśtanym brzegiem.

Pławiki opadły z pluskiem na wodę, małeńkie kręgi, zagasty, nim jeszcze zdążyły rozejść się szerzej Krut z pluskotem biegał dokoła wody, płosząc drobne myszy, zwane badyłarkami.

— Ciszej, łobuzie — gniewnie mruknął na niego Julek, pławik bo wiem zaczął drgać mocno, ale po chwili znów ułożył się spokojnie na czarnej wodzie.

— Uważaj, bierze... — syknął Kostek, obserwując pławik przyjaciela.

— Ooo, liicho... Kania zobaczył już tylko cień pławika, szybko zanurzającego się pod wodę. Chwilę wyczekiwał, potem podciął i zaczął windować zdobycz do góry.

— Widzisz, to już nie okonek, ma siłę, pewnie lin...

— Lin, widzę, duży, poddaj go bliżej pod brzeg... Już! — Kostek z triumfem chwycił w podrywkę sporego lina.

Nachylił się nad nim.

— Ależ czarny jak diabeł... Widzisz, tutaj są! O, i u mnie też bierze.

Druga sztuka zatrzepotała po chwili złocistoczarną zwartą łuską.

— Spróbuj na większej toni. Na jakich trzech metrach. Tu mogą być prawdziwe olbrzymy — z przejęciem szeptał Kostek, zakładając nowego robaka i popluwając na niego rybackim zwyczajem. — Co się; temu psu stało dzisiaj, drze się jakby go kto ze skóry obdzierał.

Od lasu niosło się natarczywe, pełne przejęcia ujadanie Kruta Nie zwracali na nie uwagi, zemocjonowani świetnie się zapowiadającym połowem.

— O, psiakręć, żeby mi tylko nie poszedł — Kostek szamotał się z potężną sztuką. — Ten

waży blisko półtora kilo! — Aż wypieków dostał na twarzy z przejęcia. — Ale Grapsza wskazał nam miejsce! Teraz będzie miał nowy kłopot: dostarczyć śmietaną do tych specjalów. Piekielnie lubię liny.

— Co z tym Krutem? Zająca dopadł? Chociaż wygląda, jakby szczekał w jednym miejscu, — Julek zaczął przysłuchiwać się uważniej natarczywemu ujadaniu Kruta. Pies wyraźnie nawoływał, ujadanie niosło się przez las silne, ale spokojne. Inaczej bywało, gdy pies gonił za jakimś stworzeniem.

—Pał go lichu! O, znów bierze... Ależ to kanada rybacka!

Jednak zachowanie psa zaniepokoiło Julka. Słuchał jeszcze przez chwilę uważnie, po czym złożył wędkę na ziemi i nie oglądając się już na Kostka, pobiegł w kierunku hałasującego Kruta.

—Patrz, to dopiero lin! — Kostek umiejętnie zagarnął podrywka dużą sztukę, zwracając się w stronę Julka. Zdziwił się, nie widząc przyjaciela. Po chwili dostrzegł Kanię pędzącego między niskimi, cherlawymi drzewkami ku ciemnej ścianie lasu. Przez chwilę się wahał, z żalem popatrzył na rozświetlone słońcem jezioro, na zieloną połą skrżypu na prawo od niego, lecz i jego wreszcie porwało nieustające, tajemnicze gwałtowanie Kruta, pobiegł za Julkiem. Dopędził go szybko.

Kierowali się odgłosem szczekania Kruta. Teren wznosił się tutaj, drzewa były rzadsze, ale drogę utrudniała platanina krzewów. Z trudem przedzierali się przez tę zapórę, klnąc w głos kolczaste łodygi.

—Co on takiego znalazł? Może wywąchał lisie norę albo borsuczą? — zastanawiał się Julek. — Ależ gąszcz nieprzebyty!

— Myślałem, że to bliżej, do licha, pokłusem się cały — skarżył się Kostek.

Znów wyrosły drzewa zwartą gęstwą. Zasapani dotarli wreszcie do psa, który podskoczył na ich spotkanie, a potem zawrócił i znów począł przeraźliwie ujadać.

Rozglądali się zdumieni. Nic nie zdradzało przyczyny takiej złości owczarka. Julek przyjrzał się Krutowi uważnie. Dostrzegł wtedy, że pies podnosi pysk do góry, jakby na którymś z drzew ukrył się ten jego nienawistny wróg. Powiódł spojrzeniem w tym kierunku... aż rozwarł szeroko usta.

Na sośnie powiewała jakaś przybrudzona szmata, uwięziona głęboko pomiędzy gałęziami. Płachta była duża, pościągana sznurami, przypominała sieć rybacką albo hamak.

Julka coś tknęło. Podeszedł ostrożnie pod drzewo, nie był bowiem pewien, czy tylko o płachtę chodzi Krutowi. Może kryje się tam na górze jakieś leśne stworzenie albo człowiek.

Przyjrzał się dokładnie. Tak, me miał już teraz wątpliwości. Płótno i sznury je oplatające były szczątkami spadochronu. Kostek też był tego zdania. Zziąjany Krut przysiadł teraz na

zadzie, wysunął jęzor, dyszał ciężko, wodził po chłopcach przekrwionymi z wysiłku oczyma.

— Uważaj tutaj, ja się drapię na drzewo zdecydował Kania.

Objął pień ramionami i nie bacząc, iż do krwi ociera sobie uda, wiejskim sposobem zapamiętanym z dzieciństwa podciągał się w górę, aż dosięgnął pierwszych gałęzi. Dalej poszło już łatwo, za chwilę był przy resztkach spadochronu. Teraz dopiero mógł zorientować się, że nie był to mały skrawek, ale olbrzymia płachta, z częściowo tylko wyszarpanymi płatami jedwabnego czy nylonowego płótna. Mocne linki zwisały ze wszystkich stron, okręcały się wokoło gałęzi, trudno je było rozplatać w tej gmatwaninie.

Krut rozjazgotał się groźnie, ostrzegawczo, podbiegł kilka, metrów. do przodu. Kostek spojrział, syknął, ale było już jednak za późno, zaciekawiony Julek pytał bowiem z drzewa donośnie:

—O co temu psu znowu chodzi?

Z krzewów wynurzyły się dwie kobiety z 'przewieszonymi przez ramiona koszami. Prawdopodobnie zbierały maliny. Złękły się psa, przytuliły do siebie, spoglądały na Kostka i na sosnę, z której doszedł ich przez chwilę głos męski.

— Krut, spokojnie! — wołał Godycki, łapiąc psa za kudły, wrywał się bowiem, szczerząc zęby do kobiet. — Przechodźcie szybko, pies zły, może was pogryźć..

— Las dla każdego wolny — butnie odpowiedziała mu młodsza, o sprytnych oczach, przy czym wargi jej skrzywiły się wyraźną niechęcią.

Oddalały się w stronę, z której nadeszły, ciągle przypatrując się pilnie sośnie, na której Julek szamotał się ze spadochronem.

— Niedobrze — spłynął z góry donośny szept Kani.

Kostek przytaknął ruchem głowy. Miał jednak nadzieję, że kobiety nie zorientowały się, po to za znalezisko na drzewie.

— Sam nie poradzę. Właż aa sosnę. Zaplątane obrzydlistwo, że chyba ciąc tylko przyjdzie... — zrezygnowany wezwał do pomocy Kostka.

We dwójkę poszło łatwiej. Mocowali się jednak długo. Płótno, na którym znać było ślady minionych burz, tak oplatało się wokół gałęzi, tak przywarło do każdego sęcзка, że z trudem, kawałek po kawałku, wyzwali je z-uwiezi.

Czas mijał. Z oddali rozległy-się wołania Grapszy i cieńsze głosy dziewcząt.

— Hoop, hoop! — niosło się echem po lesie.

— Hoop, hoop! — odkrzykiwali z sosny.

— Krut, biegnij po nich, Krut, biegnij! — rozkazał Julek.

Pies zakręcił w miejscu, pognał jak strzała.

-- Zmyślny, rozumie świetnie. Musiał mieć dobrą szkołę...

— Aha — syknął Julek, ocierając sobie przedramię o obłamany sęk..

Dziewczęta i leśniczy nadeszli naprowadzeni przez Kruta w chwili, gdy skończyli mocowanie się ze spadochronem. Składali teraz w toból potężną stertę płótna, owijali linkami, aby znów nie poplątali się wszystko i nie zawisło na którejś gałęzi.

— Gdzie wy jesteście? Hoop! — zabrzmiał niemal pod nimi głos leśniczego.

— A kuku, trzymajcie, zdobycz — wesoło odrzucił Kostek, z rozmachem pchnąwszy toból do dołu.

— Oooo! — usłyszeli pełne podziwu, zafrasowane gwizdnięcie Grapszy.

— Co to takiego? — zaciekały się dziewczęta.

— Co? — Julek był już na ziemi, zsunął się po pniu jak kot. — Po prostu spadochron. I co pan powie? — zwrócił się bezpośrednio do Grapszy.

Leśniczy stał rozkraczony nad płachtą, końcem buta szturchał linki, kręcił głową. Poruszony był mocno.

— Takie buty, rybeńki — szepnął ni to do siebie, ni to do młodych swych towarzyszy. — Na nim nie gruszki spadały, ale zło takie czy inne. Różnie bywa w naszych stronach. Lasy, woda, wciąż nowi ludzie, łatwiej tu o dywersję niżeli gdzie indziej. Ciekawe tylko... Aha, widział was kto?

— Niestety!

— Niedobrze. Któż to był w takiej głuszy?

— Jakieś wiejskie baby, maliny zbierały, wyszły prosto na nas, widziały Julka na drzewie...

— Szkoda, że mnie nie było. Jeżeli z pobliskich wiosek, posnąłbym. Po pięciu latach każda twarz znajoma...

— Słuchajcie, pamiętacie tych milicjantów, którzy legitymowali nas na Krutyni? Pytali, czyśmy nie widzieli kogoś podejrzanego — Mirka aż porwała się na nogi mówiąc te słowa.

— Kiedy to było? Przed tygodniem, trochę więcej? — Grapsza uważnie oglądał jedwab i linki. Przybrudzone były, Wyraźnie znaczyły się tu i ówdzie deszczowe zacieki. — Nie, to musiało tutaj wisieć przynajmniej miesiąc. W końcu maja padały ostatnie deszcze. Po dwudziestym piątym jak chwyciła susza, to trzyma po dziś dzień, a na tych szmatach znać nie byle ulewę... Inna jakaś historia.

— Może to nie był zrzutek, ale po prostu jeden z balonów z ulotkami, jakie nam nasyłają z Niemiec Zachodnich? — zaciekał, się Kostek.

— To może być. Trafiają się tutaj ulotki pisane po niemiecku albo kiepską polszczyzną, podpisane przez jakieś komitety, niby to mazurskie czy warmińskie, z Niemiec Zachodnich...

Może być. Spadały i takie balony u nas, ze spadochronikami, a jakże...

— Tamte chyba muszą być mniejsze, bo to przecież olbrzymia płachta — Julek wietrzył coś więcej jak baloniki czy spadochrony z ulotkami...

— Wiecie co, ten młody nauczyciel lata na szybowcach. On będzie wiedział; obejrzy, powie nam. I tak dzisiaj nic z tym nie zrobimy, jutro dopiero odniesie się na milicję, oni prędzej dojdą, co i jak — rzekł Grapsza.

—Szkoda trochę, to świetny jedwab. Byłyby, piękne bluzki — na pół poważnie westchnęła Zośka.

Roześmieli się.

— Wraca pan do domu? — spytał Julek spoglądając na zegarek. Dochodziła czwarta.

— Muszę zajrzeć jeszcze do szkółki, niedaleko stąd, ale zawsze parę godzin to zajmie.

— Ojej, czy my sami trafimy przez te bagniska? — zakłopotana się Mirka.

—Poradzimy, wielka mi rzecz — wyduł wargi Kostek urażony tym brakiem zaufania do niego i Julka.

— Do grobli was wywiode, wskażę dalszą drogę, rybeńki, mnie i tak to głupstwo taka przechadzka — uspokoił ich z uśmiechem Grapsza, ale w jego oczach nie dostrzegł Julek uśmiechu. Siwe źrenice migotały surowo i gniewnie, policzki drgały czasem jakimś wewnętrznym podenerwowaniem. Musiała go bardziej przejąć sprawa spadochronu, niż to okazywał po sobie.

Droga powrotna wydała się im krótsza i mniej uciążliwa. Przy grobli Grapsza dokładnie wskazał kierunek. Orientować się mieli na słońce.

— A o tym nikomu lepiej nie mówić... To sekretne sprawy — przestrzegał jeszcze.

— Oczywiście — przytwierdzili zgodnie.

Było już dobrze po szóstej, gdy się znaleźli w obozie.

Zmrok już zapadł, gdy zasiedli do wieczornego posiłku. Ognisko mocnym płomieniem strzelało w górę, trzaskały gałęzie jałowca Czerwony jeszcze niedawno pas nieba na horyzoncie przygasał, różowiał, potem żółkł, zbladł jeszcze bardziej, aż wreszcie roztopił się w łagodnie niebieskim odcieniu całego nieba, Z daleka dobiegały ich niosące się nad jeziorem nawoływania czapli, układających się dopiero na spoczynek, Woda stała cicha, spokojna, bez najmniejszej zmarszczki. Spokój panował w całej przyrodzie.

— Pietrka jeszcze nie ma — powiedziała Mirka.

—Przyjedzie, nic mu się nie stanie... Żadnej burzy dziś nie ma, widzicie przecież — odpowiedział gniewnie Kostek.

—Zostaw, Kostek, czasem się zdarza, że dzielny skądinąd człowiek w pewnej sytuacji

zachowa się niewłaściwie. Za ostro sędzicie Pietrka.

Julek sam miał cichą pretensję do Pietrka, ale znając charakter przyjaciela, wolał sprawę łagodzić. Kostek był spokojny, opanowany, ale tylko do czasu, Jeżeli coś nazbyt bolesną zadną zalazło mu za skórę, potrafił stać się ostry i bezlitosny.

—Wiecie, ja bym zostawiła tę sprawę w spokoju. Niech Pietrek przemyśli swoje postępowanie. On jest na swój sposób ambitny — odezwała się zamyślona Mirka.

Julek spojrział na nią z uznaniem. Nie były to słowa .nie przemyślane. Kto wie, może Mirka lepiej przejrzała charakter Pietrka niżeli jego własne rodzeństwo.

— Grapsza powinien przyjść już niedługo — starał się zwrócić ich uwagę na inne sprawy. — Zastanowimy się wspólnie nad dzisiejszą historią. I nie wiem... — zawahał się — nie wiem, czy warto wtajemniczać w nią tego nowego znajomego. Za mało o nim wiemy, a to są rzeczy delikatne,

— Pewnie Grapsza, bo Krut warczy — Zośka wskazała na psa, który zwinięty dotychczas w kłębek nie opodal ognia, podniósł się teraz i szczerząc złowrogo kły wpatrywał się uporczywie w ciemność.

— Leśniczego zna, pewnie jakiś zwierzak wałęsa się niedaleko — Kostek zbagatelizował zachowanie się Kruta, tym bardziej że pies już przestał warczeć i tylko, siedząc, nadal spoglądał czujnie w stronę lasu.

Zapatrzyli się na jezioro, na którym igrały łagodne, srebrzystoniebieskie blaski, rzucane przez nie pełną jeszcze tarczę księżyca.

Od lasu szedł cichy poszum drzew, czasem wybiło ponad to kwilenie jakiegoś ptaka, rozlegał się mocniejszy trzask i znów tonęło wszystko w łagodnym szemraniu puszczy.

— Piękne są wiersze mazurskie Gałczyńskiego... Może sobie któryś przypomnę — Mirka oparła brodę na dłoni, wypatrywała czegoś w dali. — O już mam, to z *Kroniki olsztyńskiej*...

*Jutro popłyniemy daleko,
jeszcze dalej niż te obłoki,
pokłonimy się nowym brzegom,
odkryjemy nowe zatoki.*

*Nowe ryby znajdziemy w jeziorach,
nowe gwiazdy złowimy w niebie,
popłyniemy daleko, daleko,
jak najdalej, jak najdalej przed siebie.*

*Starym borom nowe damy imię,
nowe ptaki znajdziemy i wody,
posłuchamy, jak bije olbrzymie,
zielone serce przyrody.*

Głos dziewczyny był miękki, pełen wewnętrznego ciepła. Słuchali słów jakże im teraz bliskich, tu, nad zatoką, nad wodami jeziora rozsrebrzonymi, odbłaskami księżyca. Julek uważnie patrzył na Mirkę, twarz jej oświecały migocące płomienie ogniska. Oczy dziewczyny stały się jakby większe, patrzyły daleko, aż mu się zrobiło trochę smutno, że nie on stał się przystankiem dla jej wyrazistego spojrzenia.

— Jeszcze coś, Mirka — poprosiła cichutko Zośka, gdy przyjaciółka skończyła i zadumana spoglądała nadal przed siebie, jakby odszukując w pamięci dalsze wątki Kroniki.

W tej chwili Krut poderwał się, zawarczał, patrzył teraz w kierunku jeziora, na prawo od przystani.

— Co mu jest dzisiaj, u licha? — szepnął Julek, po czym dodał — Kostek, schowaj spadochron w namiocie, po co ma sterceć tak na stoliku...

— Cicho... — szepnęła Zośka.

Z daleka dochodziły wyraźnie czyjeś głosy. Ktoś się przedzierał ścieżką nad jeziorem; od Krutyni w ich stronę. Krut warcząc zjeżył się wrogo.

— Krut spokojnie! — ostro upomniał go Julek.

Pomyślał, że przecie ktoś może wracać tą drogą do wioski.

Głosy wzmogły się, dochodziły z krzaków tuż koło przystani Julek poskoczył do Kruta, złapał go za kark. Pies wyrwał się, warczał przeraźliwie, ledwo go można było utrzymać. Dziewczęta i Kostek podsunęli się w stronę przystani. Tam stał „Gawron”, może ktoś się łakomi na łódź. Wyglądało, że ludzie idący ścieżką byli pijani. Wskazywały na to ich podniecone głosy. Słów jeszcze nie można było zrozumieć.

Na jaśniejszą, bo wolną od drzew i krzewów przestrzeń przylegającą do przystani wysunęły się trzy niewyraźne sylwetki.

— Czego oni chcą? — wionęła Mirka w ucho Julka.

Wzruszył ramionami, zajęty powstrzymywaniem Kruta, który szarpał się gniewnie, nie ustając w głuchym warczeniu.

— Wrrr, wrrr — podrażnił psa któryś z tajemniczej trójki, zanosząc się przy tym dziwacznym gardłowym śmiechem.

Krut podskoczył, szarpnął tak silnie, że Julek wywrócił się i przeokoziółkował razem z psem.

— Nie drażnić psa, do jasnej cholery! — ryknął Kostek podrywając się śladem Kruta do

przodu.

Trzy postacie wybuchnęły śmiechem, ale nie padło z ich ust ani jedno słowo. Od jeziora dobiegł plusk, spojrzeli, zamajaczył tam biały kształt kajaka. — Pietrek wraca — szepnęła Mirka.

Tamci też musieli go dojrzeć, przeszli szybko wolną od krzaków przestrzeń, zniknęli w krzakach, coś pokrzykując.

— Pietrek? — zawołał Kostek.

— Ja — odpowiedział lakonicznie, przybijając do brzegu,

Podeszli bliżej. Pietrek wskoczył na pomost, podciągnął kajak na piach przybrzeżny.

— Co to za faceci spod ciemnej gwiazdy? — spytał wskazując krzaki, skąd dochodziły jeszcze głosy, oddalające j się trójki.

— Diabli ich wiedzą. Pijusy jakieś, aż mnie ręka świerzbiała — zaklął Kostek.

Zawrócili do namiotów.

— Trzeba będzie Krutowi sprawić obrożę i uwiązywać w takich okolicznościach... — głośno rozważał Julek.

— Złodzieje tu byli! — wrzasnął nagle Kostek, który pierwszy podszedł do przygasającego ogniska, Garnek, wywrócony, stał przed namiotem. — Zaraz, zaraz — rzucił się niespokojnie do wnętrza. — Moich dresów brakuje i butów...

— Niemożliwe — Julek przejęty nowiną puścił szyję Kruta. Pies jak szalony pognał w dół, w stronę, gdzie znikła tajemnicza trójka.

— Stój, stój, Krut, stój! — pobiegła za nim Mirka.

— A to dzisiejsze, no, wiesz? — gorączkowo pytał Julek.

Zabłysła latarka.

— Nie ma! — głos Kostka drżał. — A psiekrwie! — puścił się padem w miejsce, skąd dochodziło ujadanie Kruta. — O co wam chodzi? — zapytał zdumiony tym wszystkim Pietrek.

— Spadochron znaleźliśmy dzisiaj na drzewie. Teraz go ktoś ukradł... — wyjaśniła krótko Zośka.

— Tamci? — spytał biegnąc już, inną jednak drogą niż Mirka i Kostek: na przełaj przez las.

— Zośka, zostań tu, pilnuj obozu, ja biegnę za nimi! Gotowi jeszcze gorszej kaszy nawarzyć. — Julek powiedział to głosem stanowczym, opanowanym. Podziałał w ten sposób uspokajająco na dziewczynę.

Dorzuciła chrustu do ognia, zajął się zaraz mocnym płomieniem.

Z dali dochodził hałas, trzaski, jakby ktoś przedzierał się przez gałęzie. Krut ujadał, potem zaprzestał, znów szczeknął kilka razy Nad zatoką coś się działo. Zośka pomyślała, że właściwie

złodzieja szukać trzeba gdzie indziej. Przecie. tamtą trójkę przez cały czas widzieli nad brzegiem. Nikt z niej nie zbliżył się nawet w stronę namiotów...

Pierwsza wróciła Mirka, zaraz za nią zdyszany Kostek.

— Uciekli, dranie... Co się tu dzieje? Nic nie rozumiem — dyszał ciężko — Gdzie Julek z Pietrkiem?

— Pobiegli górą, przez las -- wyjaśniła Zośka. — Nie dogналиście ich?

— Gdzie tam! Krut rwał, że ani go widać było. W tych ciemnościach oczy można wykluć.

Z lasu wyłonił się Julek, szedł kulejąc.

— Wszyscy są? — zapytał.

— Pietrka nie ma i Kruta.

— Wywróciłem się, jakiś korzeń czy pień, ledwo się dowlokłem...

— Zaraz obejrzę, tylko przyniosę apteczkę — podskoczyła do namiotu Mirka.

— U nas nic nie zginęło. Widocznie złodziej nie zdążył...

— Podejrzana historia. Właśnie dziś, ten spadochron, ta trójka pijaków... — zastanawiał się Julek, sycząc co chwila z bólu.

— Co się tu dzieje? Usłyszałem hałas i do was w te pędy, rybeńki — z daleka już huczał Grapsza.

— Żle! Okradli nas. Najgorzej, że spadochron...

— Ooo! — zagwizdał po swojemu leśniczy.

Opowiedzieli mu chaotycznie, na wrywki, co się zdarzyło. Kręcił głową zamyślony.

— Wygląda na to, rybeńki, że ci z dołu zmyślnie ściągnęli waszą uwagę na siebie, aby złodziejowi ułatwić kradzież... Ale gdzie tu czego szukać po. ciemku... I pies jakoś nie szczeka. Takie buty! Że to dubeltówki nie wziętem. A zawsze był spokój, o złodzieju tu, jak mieszkam, nawet nie słyszałem...

— To jeszcze bardziej podejrzane — zauważył Julek.

Nasłuchiwali uważnie, ale poza normalnym poszumem lasu nie

dochodziły znikąd żadne odgłosy. Niepokoił się Pietrkiem coraz to bardziej. Mirce przyszło na myśl, że uparty chłopak zapragnie teraz zmasać hańbę swego tchórzostwa na Czarciej. Wyspie.

Minęło pół godziny. Pietrka ani Kruta nie było. Zdecydowali się że trzeba iść go szukać. Grapsza pobiegł do domu po dubeltówkę i mocny reflektor. Wrócił po kilku minutach, aż się zdumiali taką szybkością.

Ledwie jednak zrobili parę kroków, z cienia wyłonił się Pietrek z drepczącym mu koło nóg Krutem.

— No nareszcie, jesteś! — odsapnął Kostek z głęboką ulgą.

— A jakże, kurdefelek! — Poczęstował mnie jakąś żelazną pigułą, a już go miałem... pomacał się po głowie, gdzie w blasku ogniska widniał wyraźnie olbrzymi guz. Na dłoni Pietrka zostały plamy krwi...

— Boże, tyś ranny! — krzyknęła Zośka.

— Co tam, przejdzie — bagatelizował.

— Dziewczęta, opatrzcie go. Mów tymczasem, Pietrek... — rzekł Julek.

— Pognałem przez las. Dobrze zrobiłem, bo nagle szczekanie Kruta słyszeć było niżej ode mnie, nad wodą. Zbiegłem z góry. Dwaj uciekali, tupotało tylko po krzakach, pieska ich niebieska... Trzeci szamotał się z psem, Krut go solidnie ułapił. Dopadłem draba. Powstał kurdefelek, i skoczył na mnie. Siłę miał... Ale i ja co nieco potrafię... — w głosie jego zabrzmiała lekka przechwałka. — Tom go wyrznął w zęby, aż się zatoczył, ja mu wtedy na plecy, upadliśmy, waliliśmy się po gębach, gdzie popadło. Krut też się dołączył. W pewnej chwili facet machnął mnie nagle czymś twardym, tylko mi za świeciło w ślapiach. Wiem tyle, że rękę zwarłem jeszcze na jego gębie, aż pazury w nią wbiłem... Nie wiem, jak długo leżałem, bo mnie zamroczyło niezgorzej, kurdefelek... Wreszcie doczłapałem do jeziora, obmyłem się, tylko łeb mi pękał jak i teraz. Ledwo się wlokłem, nie wiem, kiedy pies mnie dopędził. Tyle... Aha, prawda, jeszcze mam to — wyciągnął zza pazuchy pomiętą, brudną czapkę. Leśniczy porwał ją i oglądał uważnie przy ogniu. — A Krut miał w pysku taką szmatę — wyciągnął coś z kieszeni. Była to urwana część kurtki czy spodni.

I tym razem Grapsza ciekawie się przyjrzał materiałowi.

— Nie, nie rozpoznam czyje... Takich jodełek pełno tu znajdziesz... No, jak tam głowa? — zwrócił się do dziewcząt.

— Mocne uderzenie. Szczęściem, nic groźnego — odparła Mirka.

— A psa obejrzelście? — Grapsza wydawał się być bardzo dokładny.

Julek nachylił się nad ulubieńcem obozu. Krut ziajał bezsilny. Zamachał tylko ogonem. Julek przeciągnął dłońmi po bokach, obejrzał łapy, obmacał pysk. Wszystko było w porządku. — Ciekawe, czym go ten łobuz odgonił od siebie? — rzucił Pietrek!

— Brak dresów, moich butów i jednego chlebaka — obwieścił Kostek, który skończył właśnie dokładny przegląd rzeczy w namiocie.

— No i spadochronu. To najważniejsze.

Grapsza spojrział na Zośkę siwymi, mądrymi oczyma.

— Tak i mnie się widzi, rybeńki. Komuś zależało, aby spadochronie trafił w ręce milicji. Teraz i ja myślę, że to nie były ulotki na baloniku, lecz zwyczajnie jakiś drań z tamtych

Niemiec... Jutro z samego rana trzeba na milicję dać znać.

Leśniczy zadumał się, podparł dłońmi i długo wpatrywał się w wesoło igrające płomienie ogniska.

9. W Wyrajach

— O, kolega Edzio, brawo!

Zośka podniosła głowę, uśmiechem witając przybyłego. Klęczała na pomoście, zapalczywie skrobiąc niewielkie, złociste okonie, owoc rannego połowu Julka.

Ciemnobrązowe jej Oczy patrzyły teraz na przybyłego z sympatią. Pociągła smagła twarz dziewczyny uśmiechała się życzliwie.

— Można dopomóc?

— Łyżka po obiedzie, właściwie skończyłam — powstała odrzucając włosy z czoła. Wyższa była cokolwiek od jasnego, pogodnego chłopca z dołkami w policzkach, nadającymi obliczu jego wyraz nieustannej pogody.

Niósł teraz mikę z oczyszczonymi rybami. Koło namiotów było cicho i spokojnie. Słońce paliło tak, jak od wielu już długich tygodni. Trawa na polance wyschła i zżółkła od żaru, sypiącego się z nieba.

— Gdzie tak wszystkich wymiotło? — zdziwił się.

— Przyszedł kolega trochę wcześniej, niż się umówiliśmy. Ależ, ależ, skądże, bardzo się cieszę, przynajmniej mam z kim słowo zamienić — dodała szybko, Widząc, że spieszył się, jakby w jej słowach wyczytał wymówkę. — Julek znalazł W trzcinach gniazdo łabędzie, zabrał Mirkę, chcąc jej pokazać. Pietrek jak zawsze buszuje na swoim kajaku, o, tkwi tam pośrodku jeziora... Kostek pomaszerował do leśniczego. Ja mam dyżur kuchenny, więc zawczasu przygotowuję kolację, żeby potem nie śpieszyć po ciemku, bo na pewno późno wrócimy...

— Był kolega Julek u tego lekarza? Podobno świetny specjalista, w wiosce bardzo go sobie chwala. Od paru dni zaledwie tu jest, a już ciągną tam babiny jak na pielgrzymkę, kury mu znoszą i jaja, — zaśmiał się.

Woda w garnczku na maszynie spirytusowej zagotowała się. Zośka zastąpiła garnczek patelnią, smażyła okonie. Przysiadł na kłodzie, przypatrując się dosyć uporczywie jej twarzy.

— Julek? Mówi, że już go noga mniej boli, nie chce żadnych lekarzy. Gdy mu przypomniałam, że jednak warto by zbadać kolano, zagroził, że wykurzy lekarza z sąsiedztwa, chce bowiem mieć spokój — terkotała szybko, czując, że pod jego natarczywym wejrzeniem twarz jej oblewa się rumieńcem... Oto i oni... — ucieszyła się powrotem Mirki i Julka.

— Dzień dobry, czyżby już było tak późno? Wiecie, paradne to gniazdo. Olbrzymia kupa chrustu i trzciny, człowieka by utrzymała. Tak sobie to leży na wodzie, skryte w szuwarach. Julek mówi, że łabędzie tam nocują i teraz. A obok stała czapla, nie bała się wcale, patrzyła krzywo, że jej przeszkadzamy w połowie. Z daleka ładniej wygląda...

— Wstrzymajcie Mirkę, bo nie dopuści nikogo do słowa — śmiał się Julek.

Szedł wolno, kulejąc, widać było, że każdy krok sprawia mu silny ból. Posykiwał przy byle śmielszym ruchu.

— Jednak niedobrze z kolegą...

— Ech, przejdzie, a do tego brodacza nie chciało mi się iść. Nie wyraźny typ.

— Że też musisz mieć jakieś dziwne uprzedzenia do ludzi — śmiejąc się skarciła go Mirka.

— Taki już ze mnie dziwak... No co ruszamy? Będę się włókł z tą nogą.

— A widzi kolega.

— Postawię wam jutro flachę wina, żebyście zaprzestali z tym waszym kolegą — nie wytrzymała Godycka.

— Zgoda, Zocha, ale i wy, dziewczęta, też weźmiecie w tym udział.

— Tak, właśnie o tym myślałam — odpowiedziała Julkowi i nagle zarumieniała się. Udając, że przypomniła coś sobie, skryła się pod namiotem.

Mirka patrzyła za nią przez chwilę, po czym porozumiewawczo, mrugnęła do chłopców, Wybuchnęli śmiechem. Zośka ze złością zasunęła za sobą płachtę namiotu. Skwitowali to jeszcze silniejszym wybuchem wesołości.

Od czasu tajemniczej przygody ze spadochronem spokój panował w obozowisku nad Zatoką Żarłocznego Szczupaka, Kostek wraz z leśniczym Grapszą zameldowali o tej dziwnej sprawie na najbliższym posterunku milicji Tam nie przejęto się zbytnio ich relacjami. Komendant posterunku był przekonany, że znaleziony spadochron jest tylko jednym z baloników, za pomocą których z Niemiec Zachodnich przierzucano dywersyjną literaturę na tereny Nadodrza i Mazur. Zanotował miejsce znalezienia jedwabnej płachty, wypytał o szczegóły i to wszystko. Bardziej już zaciekawiła go historia kradzieży w obozie.

— Ostatnio otrzymałem kilka takich meldunków, myślę, że wykryjemy niedługo sprawców.

Kostek zadowolili się tym, leśniczy jednak z niedowierzaniem kręcił głową.

Następne dni mijały spokojnie, lipiec ział upałem z - rozżarzonego dc białości nieba. Julek kurował swoją nogę, Pietrek zaś głowę, Codziennym gościem w obozie stał się Edward Fajfer, młody nauczyciel, spędzający urlop w pobliskiej wsi. Ujął ich swoją serdecznością i bardzo bezpośrednim, życzliwym stosunkiem do ludzi. Szczególnie garnął się do niego nieufny zazwyczaj Kania, okazało się bowiem, że nowy znajomy interesował się sprawą mazurską.

Zainteresowania te zbliżyły Fajfera także z Zośką. Godycka знаła trochę sprawy autochtonów. Spędziła w. swoim czasie kilka miesięcy na Opolszczyźnie. Wywiozła stamtąd wiele doświadczeń, które przekonały ją o głębokim patriotyzmie ludu śląskiego mimo wielu krzywd, które ten lud spotkały, a zrodziły się zarówno z nieznajomości jego życia ze strony ludności napływowej, jak i z tępoty i obojętności wielu urzędników.- Osobliwy dramat rodziny Julka i jego samego przybliżył ją sprawom tej ziemi, na której się teraz znajdowała. Chciała w jakiś sposób dopomóc zamiarom Kani. Na taki nastrój trafił Fajfer, świeży absolwent liceum pedagogicznego, który tej jesieni miał, zadebiutować w zawodzie nauczycielskim tu, na Mazurach. To stało się właściwie powodem, że sympatia dziewczyny do młodego nauczyciela rozwinęła się bardzo szybko. Chłodna zazwyczaj i dosyć powściągliwa, zdumiewała się Zośka samej sobie, klęła siebie w duchu za niewczesne rumieńce, za dziwną radość, jaką zawsze budził w niej widok nadchodzącego Edwarda.

Kania wraz z Edwardem spędzili we wsi niemalże całe popołudnie. Pałętali się, rozmawiali z ludźmi, Fajfer uprzednio już zdążył zawrzeć szereg znajomości, wprowadzał w ten krąg także i Julka, Kilku ze starszych Mazurów dobrze pamiętało ojca Kani, nie mówiąc o matce. Żył jeszcze stary stryj, głuchawy, schorowany po latach hitlerowskiego więzienia. Dzisiaj wybrali się większą gromadą, zaproszeni przez Karola Gwizdę, starego działacza mazurskiego, męża kierowniczkę miejscowej szkoły. Julek wiele sobie obiecywał po tym spotkaniu.

— Nic nie mam przeciw niemu, dajcie mi spokój — podniósł teraz głos nabrzmiały trochę irytacją, gdy Od nowa poczęli nalegać, by jednak pozwolił się zbadać doktorowi. — Ostatecznie mam prawo darzyć kogoś sympatią albo nie darzyć. Wygląda mi na satyrę, a ten jego kociak też funta kłaków niewart.

— Żona, nie żaden kociak — zaśmiał się Kostek, ubawiony takim stanowiskiem Julka.

— Ale robi się na kodaka.

— Na koledze Pietrku zrobiło to bodaj duże wrażenie — łagodził spór Fajfer

—A kiedyż to? — zdumiał się Kostek. Wyraźne zaciekawienie okazały także dziewczęta.

— Widziałem przedwczoraj, jak przybił kajakiem do brzegu, obok ich namiotu, gadali tam parę godzin. Dodam, że pan doktor odjechał gdzieś uprzednio swoim „opelkiem”.

— Myślałem, że Pietrkowi wywietrzały z głowy różne romanse. Jakieś dziwne zapędy objawia. To samo było, w Warszawie. Ech, dajcie mi spokój — zachnął się Kostek, umilkł rozżalony nagle na brata.

Pietrek wyczuwał ogólną niechęć do siebie i trzymał się osobno, buszując po jeziorze na sprowadzonym z Wojtun kajaku. Całymi dniami łowił ryby wędką albo na błyszczą. Wreszcie zaczął czynić poszukiwania w miejscu, gdzie według wskazań Grapszy miały się znajdować

zatonione ciężarówki Wehrmachtu z nieznaną zawartością. Kostek przypuszczał, że ta sprawa zajęła go całkowicie. Tymczasem, jak okazało się, miał czas zwrócić uwagę na przystojną młodą doktorową.

Następnego wieczoru po historii ze spadochronem zdziwiło ich ognisko płonące na brzegu o kilkaset metrów od nich, na drugiej polance nadbrzeżnej. Zatrzymał się tam od paru już dni jakiś lekarz z Gdańska wraz z piękną żoną. Przyjechali małym „opelkiem”, rozbili namiot, zamierzając spędzić w ten sposób wakacje. Jak poinformował zorientowany we wszystkim Grapsza, doktor nazywał się Ginter, był już dobrze posunięty w latach, ot, starszy pan z brzuszkiem, w okularach i z małą ciemnorudą bródką. Leśniczy chwalił go, iż nie krył się ze swoim zawodem, jak to nieraz czynili inni lekarze w okresie urlopów, ale od razu śpieszył z pomocą okolicznym mieszkańcom. Doktor Ginter na swój sposób był sympatyczny, tylko jeden Julek, nie wiadomo czemu, powziął do niego dziwną urazę. Doktorowa, o dobre dwadzieścia lat młodsza od męża, rzeczywiście była ładna. Drobniotka, szczupła, bardzo zgrabna i żywa, z wiecznie śmiejącymi się oczyma. Przesadnie tylko może dbała o siebie, co objawiało się w wydłużonych nad miarę rzęsach i starannej ondulacji. Uśmiech za to miała naprawdę zniewalający...

Zajęci rozmową ani spostrzegli, jak skończyła się krótka droga przez las i odsłonił się przed nimi widok na wieś Wyraje. Rozłożona była na łagodnym, nieznacznym wzniesieniu, długą łąką nadbrzeżnych łąk opadającym ku niebieskiej tafli jeziora. Do długiego szeregu domów przytykał od lewa wyniosły, ciemny las .mieszany. Nad rozłożyste korony dębów wybijały się wysokopienne świerki, odcieniem granatu podkreślając swoją powagę. Od drogi ku zatoce -ton pogody nadawały żółtawe łąchy przeświecające spod mizernej trawy i siwego mchu młodych zagajników sosnowych. Porządne, przeważnie murowane domki czerwoną barwą dachówek odcinały się od białych tynkowanych ścian. Linia budynków rozdzielała się potem na dwie odnogi, tworząc trójkątny plac, którego wylot tarasowała potężna stodoła.

Cicho tu było, spokojnie, małe dziecko bawiła się przy domku z ogródkiem pełnym kwiatów, wśród których wybijały się wysokie bordowe malwy. Dziecko trzymało w ramionach niekształtną szmacianą lalkę, nucąc jej coś do ucha. Złocistojasna głowa dziewczynki podobna była do szerokich tarcz słonecznika w ogródku.

— Po niemiecku nuci — zauważył Fajfer.

Spojrzeli uważniej, dziecko nie miało więcej niż sześć lat.

Porządnie wybrukowana uliczka garbiła się kilkakrotnie, co dodawało jej niewątpliwego uroku. Tuż przed placem, rozdziałającym wieś na dwie połowy, zbiegała w dół wysadzana brzoza droga do jeziora. Przy samym zakręcie rozrosłe krzewy przesłaniały większy od

innych budynków z dużą werandą i szerokimi wesołymi oknami. Tęgawy jegomość przy płotku już z daleka machał dłońmi na powitanie.

— Wiecie, pan Gwizda ma dziwny obyczaj. Godzinami potrafi wystawać przy tym płotku, każdego zaczepi, z każdym pogada — informował pośpiesznie Fajfer. — Jest to jeden z najciekawszych ludzi na Mazurach, stary pedagog i zapalony zbieracz folkloru.

Wychodził właśnie naprzeciw nich przez furtkę budynku szkolnego, w którym mieszkał wraz z żoną.

— Dobry dzionek, dobry. Czekałem już na swojej wartowni — prosił ich gospodarskim gestem na cieniłą werandę. — Sam chciałem złożyć wizytę, ale różne sprawy nie zezwoliły. Wyjeżdżałem do Warszawy na zjazd towarzystwa naukowego. Proszę, proszę o i żona nadchodzi, anioł nie kobieta, sikoro tyle lat wytrzymała z takim upartym Mazurem, jak ja... Janeczko, nasi młodzi przyjaciele.

Pani Gwiździna młodsza była od męża, dorównywała mu jednak tuszą. Wycierała ręce o fartuch.

— Ja tak prosto od garów, bardzo przepraszam, ale gospodarstwo sama prowadzę, państwo rozumieją...

Pokręciła się chwilę i umknęła z powrotem do kuchni.

— Widziałem się dzisiaj z pańskim strojem, — Gwizda zwrócił się do Julka,, — Mówił mi o matce pana i ojcu. No, my się z ojcem też znaliśmy... Stryjaszek zdziażdzał zupełnie W domu też ma niezbyt miło. Zięć mu nie bardzo się udał, Stary cierpi, słysząc we własnym domu niemiecki... Zresztą tutaj to częsta sprawa. W jednej rodzinie znaleźć można całą narodowościową mieszankę Jeden czuje się Polakiem, drugi Niemcem, trzeci tylko Mazurem, czwarty już w ogóle nie pojmuje, kim jest..

— Jeszcze teraz, po tylu latach? — zdumiała się Mirka.

— Chude były dla Mazurów te lata. Nie zadbaliśmy o rozbudzenie świadomości polskości pośród tej ludności rodzimej. Ale to długi temat. Pan jeszcze nie był u stryja?

— Zachodziłem raz, nie zastałem w domu. Córka jego przecież nie żyje, zięcia w ogóle nie znam, nie było potrzeby rozmawiać z nimi ani się im przedstawiać... Może dziś wstąpię...

— Czeka starowinka na pana, choć zarazem jakby się bał tego spotkania. Był podniecony, jak rozmawiałem z nim rano. Proszę miłych gości na domowy napitek, chłodzi i rzeźwi, proszę bardzo — rozstawiał szklanki żywy, pełen energii, uśmiechnięty, a przy tym stale popatrujący uważnie swymi czarniawymi oczkami. — Bardzo pan wczoraj chwalił ten kwasek, panie Edwardzie...

— Nie przeczę, zaiste — podziękował Fajfer zwrotem, którego używał zawsze, gdy był

czymś podniecony.

— Pan też tutaj wykłada? — zwróciła się Zośka do gospodarza.

— Nie. Żona tylko roznosi ten kaganiec oświaty... Na stare lata zabrałem się do pisaniny... Kiedyś zresztą też się to i tamto spłodziło. Staralem się ratować jak najwięcej z obyczajów, pieśni i gadek miejscowych. Zwiedziłem całe Mazury wzdłuż i wszerz, podobnie jak Warmię i Powiśle. Potem nie było czasu pisać, gorąco było, inne sprawy, hitlerowskie więzienie jeszcze na długo przed wojną. Teraz, na starość znów grzebię w źródłach i we własnej pamięci. Są piękne tradycje, a nic o nich nie wiemy. Jeszcze trochę, wymrą najstarsi, zaginą resztki dokumentów, zostanie luka. Za rok ukaze się pierwszy tom tych moich wypocin... — podciągnął spodnie osuwające się z okazałego brzucha. — No, jakże tam nad zatoką? Wie pan co, gadaliśmy z żoną — przytknął palec do piersi Fajfera. — Tutaj brakuje etatu, obiecali żonie, że z nowym rokiem skierują do nas młodego nauczyciela. Zjechałby pan do Wyrajów, wioska ciekawą, huk rzeczy do zrobienia.

— No, nie wiem, nie ode mnie zależy — Fajfer speszony jękał się w odpowiedzi.

— Ale starania może pan robić.

— Nie przeczę, zaiste...

— Zaraz, zaraz! Przecież właściwie powinien pan mieć przydział? Już w czerwcu miał to opracować wydział oświaty. Mówił pan, że na Mazurach...

— Nie przeczę, zaiste — bąknął Fajfer, lecz czując, że plecie koszałki opałki, poprawił się — Na Mazurach, sam o to prosiłem. Ale miejscowości nie znam.

— To staraj się pan do Wyrajów.. Tu trzeba ludzi z głową, a nade wszystko z sercem... Z sercem... Nie tak, panie Julianie? O, idzie nasza Józia, też biedna dziewczyna, kłopot z nią, a wartościowy człowiek,

Oszołomieni potokiem wymowy pana Gwizdy z pewną ulgą zwrócili oczy na skromnie ubraną dziewczynę o smutnym, zgnębionym wyrazie twarzy. Smutek ten gasił jej urodę, nad wiek spoważniał szczupłą sylwetkę.

— Witaj, Józiczko, zajrzałaś wreszcie do starego Gwizdy, za uszy cię ściągnąć musiałem. Sama nie chcesz o nas pamiętać.

— Wiecie, że ślęczę nad robotą, aby wyżywić jakoś siebie i matkę — odpowiedziała zażenowana.

— Siadaj, siadaj, dobry soczek, nawet pan Edward go chwali. Widzicie, moi drodzy, oto absolwentka uniwersytetu ludowego w Mikołajkach. Skończyła pięknie, z nagrodą i nie ma dla niej miejsca. Musi zarabiać, robiąc firanki dla spółdzielni... Po co my wobec tego tworzymy te uniwersytety ludowe, po co? Gdyby była u nas świetlica, biblioteka, Józia miałaby robotę,

niemczyzna by się przestała krzewić od nowa...

— Lokalu nie ma.

— Et, co ty wiesz, Józia! A ten dom, który gospoda zajmuje? Knajpa, wódka w niej tylko. A sześć pokoi zajętych! W nich zaś nic poza wódką i papierosami. Knajpiarz mówi, że nie warto mu trzymać, bo jest tylko na procencie, a innej towary nie idą. Obiadu się nie dostanie, chleba nieraz brakuje. Czysta z czerwoną kartką pod sporta, ot i wszystko. Psiakość, lokalu nie ma, a młodzi nie mają co z sobą zrobić. Takim handlem, w którym wódka zastępuje kulturę, oświatę, bez mała i polskość, daleko nie ujedzie. Bo i tak jest że w gospodzie stworzyła się wylęgarnia przeciw polskiej roboty — zasapał się, zdenerwował, aż mu wypieki wybiły na pulchną twarz, a krótkie grube palce zapalczywie kręciły młynka. — Nie z jedną Józia taki kłopot, wielu wychowanków uniwersytetu w Mikołajkach nie znajduje właściwej pracy, Urzędasy przekreślają wysiłki uczelni, ale kogo to w końcu obchodzi? — zrezygnowany machnął ręką.

— No dobrze, a nie można wytłumaczyć? Albo wy wojować? — zapytał Fajfer.

— Czy można? Zaraz panu odpowiem, zaraz... Widzieliście może w Wyrajach taki wielgachny dom nad samym jeziorem?. To była przystań i mały hotelik za czasów niemieckich. Teraz sypie się wszystko w ruinę. Gdyby wyremontować, ba, byłby i ośrodek sportowy, i świetlica z biblioteką. Wieleśmy petycji pisali, wiele razy sam nogi złaziłem w urzędach. A to kredytów nie ma, a to nie zaplanowane właśnie w Wyrajach, diabli wiedzą co w końcu...

— No dobrze, a własnymi środkami? Czynem społecznym? --- gorączkował się Julek;

— Słusznie, ale nie teraz... We wsi, kochasiu, nieco inaczej jest, jak za czasów, kiedy twój ojciec z bibułą polską przekradał się zza kordonu. Za hitlerowskich czasów namnożyło się słabych, nieświadomych, zaleknionych, a wreszcie i jawnych zdrajców, nie bójmy się i tego słowa. Po wojnie wydawało się, że będzie od razu inaczej. Ale przyszły łobuzy, bandyci, szaber nie szaber, rabunek nie rabunek, gwałt nie gwałt. Ludzie stulili uszy, żyli ze dwa lata w ciągłym strachu, jakoś się im ta Polska nie wydawała, innej czekali... Niełatwo dziś wytłumaczyć, że to nie była Polska, ale szumowiny, brudna piana. Teraz to już minęło, ale spróbuj pan wystąpić z czynem społecznym. Szeptami z ukrycia przeszkodzą, nie dopuszczą. Na drugi dzień jeden powie, że go reumatyzm złapał, tamten znów ma pilną robotę w polu, znajdą tysiąc powodów. Zacznie który robić, to wieczorem kamieniem oberwie, diabli wiedzą od kogo, jeszcze mu ulotkę podrzuca, żeby się nie ważył, bo jak przyjdą znów Niemcy, to dopiero odpokutuje. Masz pan czyn społeczny! Przecież ta Józia spokoju nie ma, przymawiają jej zawsze. I drugi tu jest podobny. Pracował nawet w Domu Kultury w Mrągowie. Ostatnio zmniejszyli dla tej placówki liczbę etatów z pięciu do trzech, wrócił do rodziców i błąka się teraz jak rozgoryczona owca. Słuchali z rosnącym zainteresowaniem bolesnych słów Gwizdy. Kostkowi obilo się o uszy to i

owo o trudnej, dramatycznej nieraz sytuacji Mazurów, nie myśleli jednak, że może być aż tak źle.

— Mówię wam o tych sprawach nie po to — ciągnął dalej Mazur — aby przeczerńać sprawę. Nie wszędzie tak jest. Są całe powiaty, w których sprawy autochtonów układają się znacznie lepiej, tu, na Mazurach, nie mówiąc o Warmii, gdzie zresztą i polskość była do ostatka mocniejsza. Ale pamiętajmy, że nasz powiat mikołajski i obok leżący mrągowski są skupiskami autochtonów. A także, że tutaj kiedyś był największy nacisk niemiecki Błędy pierwszych lat powojennych zaważyły na tym terenie silniej aniżeli gdziekolwiek indziej Zrozumienie tego nie upoważnia do desperacji ani do opuszczania rąk. Czyż nie tak, Józiu?

Słuchała uważnie, dłonie splotła wiejskim zwyczajem na podołku, oczy jej tylko paliły się mocnymi błyskami. Skinęła poważnie głową. Pan Gwizda ożywił się jeszcze bardziej, powstał z miejsca, mówił niemal biegając po werandzie.

— Bywało, że zdawać się już mogło, iż nic rodzimie polskiego nie wykwitnie więcej z tej gleby, gdy nagle w momentach największej próby w walce o zachowanie polskości ujawniała się taka jak przed wiekami harda, polska dusza mazurskiego ludu. A jakże było u nas po plebiscycie? No, Kania, sam powiedz: tysiące takich jak twój ojciec musiały opuścić te strony i uciekać za granicę, aby ratować życie. Było dużo powodów do optymizmu? Zdawało się, że wykopany został grób polskości, że wody i lasy mazurskie zapomną polskich, słów, szeptanych w największym ukryciu. A przecie polskość odrosła od korzeni jako drzewo wieczne.

— Tak, wtedy wyglądało, że już nic nie uratuje polskości.

— A tymczasem odrodziła się w całej pełni. I to w jakich warunkach? Kiedy słowo polskie było tępione, pismo docierało do niewielu, a ostatnie kancjonały rozpadły się w strzępy albo poszły do trumien ze starzykami, którzy z nimi umierać chcieli, jak z najświętszą relikwią. Było tak... Ja, stary Mazur, głęboko wierzę w Mazurów... Wiem jednak, że nie można dziś biernie wyczekiwać dnia, w którym polskość święcić będzie tu swój triumf, trzeba to całą mocą przyspieszyć. To wam powiem.

— Ale jak to robić? — zatroskał się Julek.

— Jak? Wiecie, jak Niemcy przeprowadzali tutaj germanizację? Ściągały tu z całej Rzeszy grupy młodzieży, wykorzystując okres wakacyjny. Rozchodziły się po miasteczkach i wsiach, docierały do najmniejszej osady. Wypoczywali, a zarazem krzewili niemczyznę. Urządzali ogniska, przedstawienia, spotkania, służyli pomocą, gdzie było potrzeba. Byli świadomi, na jaki« teren, do jakich ludzi przyjeżdżają. Ich zadaniem była walka z polskością i propaganda niemczyzny.

Nasi turyści, nasza młodzież, która tu ściga setkami tysięcy, nic nie wie ani o tej ziemi, ani o

jej ludziach Bo żadna to wiedza stwierdzenie faktu, że były to ziemie polskie i że -wróciły po wiekach. Gdyby ci sami ludzie przybyli tutaj zorientowani, jak rzeczy wyglądają naprawdę, gdyby młodzież poszła przez wieś z serdeczną pomocą, dobrym słowem, dowcipem, tańcem i pieśnią, byłaby to już dobra praca. Chcę was zapalić, cóż, całe życie moje to była praca nad budzeniem serc, nad rozpalaniem płomieni.

.Przycichł, patrzył przed siebie na dachy domostw oblane mocną, przedwieczorną purpurą zachodzącego słońca.

Od skrytej za drzewami gospody zbliżało się chwiejnym krokiem dwóch młodych mężczyzn. W pewnej chwili dostrzegli towarzystwo na werandzie, zaczęli śpiewać chropawymi głosami. W przedwieczornej ciszy niemieckie słowa brzmiały prowokująco. Kostek zacisnął pięści. Zdumiał się, gdy za sobą postyszał nagle głos Julka:

*Zielona ruta, modry ksiat,
wendruj, dziewecko, ze mno w świat.
Da dana da, da dana da,
wendruj, dziewecko, ze mno w świat.*

Słowa i znaną melodię podchwyciły Mirka i Zocha, mocny, ładny głos dołączyła Józia, basem zabrzmiał Gwizda. Kostek nie wiedział nawet, kiedy złość mu minęła.

Tamci przez chwilę usiłowali jeszcze przekrzyczeć polską, mazurską pieśń, potem ominęli szkołę przyspieszonym krokiem, ginąc za białymi pniami rozrostłych brzoź.

Z domku naprzeciw werandy wymknęła się nagle dziewczyna, stanęła koło płotu, chwilę nadsluchiwała, wkrótce od drogi doleciał jej młody, świeży głos. Gwizda dyskretnie ukazał dziewczynę gościom. Jeszcze bardziej ochoczo śpiewali teraz dalsze zwrotki,.

Na twarzy Julka nie było niedawnego smutku. Poderwał się z miejsca, jakby się na coś zdecydował.

— Wiecie, bałem się spotkania ze stryjem. Teraz mogę już iść do niego. Zaczekajcie na mnie, wrócę niebawem.

Kuśtykając zszedł ze schodów.

Na werandzie tymczasem potoczyła się swobodna gawęda. Gwizda opowiadał o własnych sukcesach rybackich, Józia zaś wspominała przeżycia z uniwersytetu ludowego w Mikołajkach.

Julek wrócił już dobrze po zmierzchu. Stał właśnie na stopniu schodków wiodących na werandę, jakby nad czymś się zastanawiał. Może zaufanie do gospodarza i towarzyszy przekonało go, dosyć, że powiedział nagle:

— Zastałem stryja! To rzeczywiście już starowina ponad swe lata. I nie obóz go tak zgasił przedwcześnie, ale to, co przeżywać, musi w swym domu, Gdy córka zmarła, zięć-renegat,

zniemczyły zupełnie, ożenił się po raz drugi, już z Niemką. Oboje zatruwają staremu życie, a już najbardziej dokuczliwe są wnuki. Stryj prawie nie mówi po niemiecku, a oni mu wytykają każde polskie słowo. Milczy zatem. Nawet teraz, jak rozmawiał ze mną, mówił szeptem. Tego lęku przed swymi on już nie pozbedzie się do końca życia. Nie bał się hitlerowców, gestapo, strażników w obozie, uląkł się ludzi, z którymi przyszło mu żyć pod jednym dachem. Rozstawał się ze mną tak, jakbyśmy nie mieli się już więcej spotkać. Czyżby i to czynił strach? Dużo tu zła Niemcy w ludziach zasiali... —zawahał się przez chwilę i dodał innym już tonem. — Chyba nie będę mógł go tutaj zostawić w tym nieustannym lęku. Zasłużył na to, by cieszyć się naszą Polską.

Mirka podeszła doń serdecznie podając mu rękę, Uścisnął ją mocno. Wracali wolno, Julek przechylił się w pewnej chwili do Kostka.

— Widzisz, jak mnie stryj odprowadzał, oglądając się naokoło powiedział mi „Co to, podobno pobili was? Powiem ci, uważaj ty i twoi, boście tu komuś mocno przydepnęli na ogon. Uważaj... Tyle tylko powiedział.

— Hm — Kostek zmarszczył się. — Już się to rozeszło? Ciekawe jak? Ani leśniczy, ani Fajfer nie kolportowali naszej przygody Stryj musiał o niej od kogoś innego usłyszeć. Tylko że...

— Co?

— Wiesz — spokojnym już głosem powiedział Kostek. — Mnie się zdaje, że strach ma wielkie oczy Stryj usłyszał na pewno gdzieś przypadkowo o tym, jak to napędzono.«nam strachu, a staruszek bojaźliwy, jak mówisz, zaraz dokomponował całą historię Ech, strachy na Lachy.

Tamten zaś jedwab i linki to był na pewno balonik Nie rozwijaliśmy go przecież.

— Może masz rację — Julek nie był w zupełności przekonany.

— Słuchajcie, dosyć już tych tajemnic, też dżentelmeni od siedmiu boleści! — Mirka prychnęła jak rozjuszona kotka.

Wybuchnęli śmiechem, aż echo się potoczyło po lesie, a zbliżający się do pełni księżyc wychylił zza szczytów drzew ciekawą gębę.

10. Tajemnica jeziora

Pietrek pólżąc w kajaku obserwował brzeg spod lekko przymkniętych powiek. Z ulgą przywitał odejście wszystkich do wioski. Wprawdzie i tak czuł się samotny, niemniej dogadzał mu fakt, że koło namiotów zupełnie opustoszało.

Od czasu niefortunnej przygody na Śniardwach przeżywał dziwne uczucia, Stchórzył wówczas, po prostu stchórzył Przeraził go widok groźnej fali. Sparaliżowała go bojaźń Do dziś dnia nie rozumiał, jak się to stało Tak jak nie wiedział, czy w podobnej sytuacji potrafiłby obecnie zachować się inaczej. Poruszył się gniewnie, zapalił papierosa. Leciutki wiaterek cal za calem spychał kajak w kierunku brzegu. Wędki leżały beczynn timer, koniec wędziska zaczepiał o wodę przy przechyleniach kajaka, giętki pręt wyginał się lekko i sprężyste.

Znajdował się właśnie naprzeciw biwaku doktorostwa z Gdańska. Na brzegu pokazała się sylwetka kobieca w zwiewnej sukience. Pietrek uśmiechnął się widząc, jak doktorowa przyjacielsko pokiwała mu dłonią. Odpowiedział tym samym, usiadł przyzwoicie, chwytając do raki wiosło, gdy obok smukłej sylwetki zamajaczył mężczyzna z bródką.

— Kurdefelek! — zaklął po swojemu, opadając na oparcie kajaka. Nie pamiętał już o swych niedawnych refleksjach. Zatopił się w myślach o ładnej pani Mery, tak się bowiem kazała nazywać Jej imię miało posmak romantyczny. Margerita. Pietrek lubił podobne imiona. Same w sobie miały coś kuszącego, słodkiego, rokowały nadzieję. Imię to odpowiadało też powierzchowności i sposobowi bycia doktorowej. Drobnutka, zgrabna, uśmiechała się swą ładniutką buzią jakoś bardzo obiecująco.

Przed dwoma dniami poznali się bliżej. Parę razy przepływał kajakiem w pobliżu seledynowego namiotu Ginterów, trochę beczelnie przypatrując się grubawemu panu z ciemną bródką i w okularach o złotej oprawie. Żona jego trzymała się dalej od brzegu, co niecierpliwiło Pietrka, dojrzał ją bowiem już poprzednio w samochodzie i bardzo mu przypadła do gustu. Dopiero tamtego popołudnia poznał ją wreszcie i znajomość ta wzbudziła w nim dość określone nadzieje.

Przejeżdżał jak zawsze koło brzegu. Wiosełkiem ledwie muskał powierzchnię wody. Lekko kołyszącym krokiem zbiegła doktorowa nad brzeg w pięknym, bardzo obcisłym kostiumie kąpielowym koloru dojrzałej wiśni. Świetnie kontrastował z jej włosami i cerą. Na widok Pietrka zatrzymała się jakby zaskoczona, po czym uśmiechnęła się.

— Dzień dobry — powiedziała pierwsza.

— Dzień dobry, widzę, że wybiera się pani do kąpieli — zawracał do brzegu.

— Nie, sama unikam kąpieli, boję się wody. A męża właśnie nie ma...

Dziób kajaka z cichym szelestem otarł się o żółty piasek przybrzeżny. Po kwadransie rozmawiali jak starzy, dobrzy znajomi. Pietrkowi rosło serce, doktorowa podobała mu się coraz bardziej, gdy tak spoglądała na niego spod długich rzęs, a w jej jasnoniebieskich źrenicach tliły się figlarne ogniki. Zwierzyła mu się, że nad Jeziorem Gardyńskim zamierzają z mężem spędzić cały miesiąc, że podoba się jej tu bardzo, mimo że może jest trochę nudno, zwłaszcza że mąż,

jako lekarz społecznik, często odwiedza okolicznych pacjentów, zostawiając ją samą. Pietrek zgłosił oczywiście swoją chęć zajęcia się nią. Bąknęła coś o surowych obyczajach swego małżonka.

Odjechał pod urokiem tej ślicznotki, jak ją sobie w myślach określił. Życie nad zatoką zaczęło nabierać nowych rumieńców.

Popatrywał właśnie dyskretnie, czy doktor nie zamierza przypadkiem opuścić obozu. Rzeczywiście, zniknęli w pewnej chwili oboje, wkrótce jednak dobiegł go warkot zapuszczanego motoru. Powiosłował do brzegu, wysiadł, niestety, pani Mery nie było. Musiała odjechać wraz z mężem. Jakiś czas siedział zrezygnowany, wierząc dziury w piasku.

Żałował przez chwilę, że razem z wszystkimi nie udał się do Wyrajów, uspokoił się jednak myślą, że nie dla niego są ich umoralniające pogadanki.

Znów wyzeglował na wodę. Nie był wrażliwy na przyrodę, a jednak i jego urzekło piękno Jeziora Gardyńskiego, wtedy szczególnie, gdy szukał samotności i źle się czuł w gromadzie. Powoli zbliżał się wieczór. Cienie nadbrzeżnych drzew i krzewów wydłużały się i ściemniały, Tym silniej odbijała od nich srebrząca się woda, pulsująca delikatną morką. Płaty srebra zagarniały miejscami duże przestrzenie, gdzie indziej znów jezioro skrzyło się barwną mozaiką, w której nie wiadomo było, co jest srebrem, co roztopioną bielą, co zaś subtelnym, ledwie wyczuwalnym błękitem. Mocniejsza smuga światła słała się przez południową stronę jeziora, sięgała po Zatokę Żarłocznego Szczupaka, gasnąc w mocnej siniźnie wody u wylotu na Malinówko. Kilka mew ochryple kracząc kotłowało się nad samym środkiem wodnego rozlewiska. Ptaki obniżały lot nad powierzchnią, muskały ją skrzydłami, jakby w wahaniu, czy nie zasiąść na srebrnej fali, znów podrywały się, mocnym lotem wzbijały się niemal prostopadle w górę, pokrzykując bezładnie. Wzdłuż przeciwległego pasma rogożyny posuwała się z godnością łabędzia rodzinka: rodzice i dwoje małych. Różniły się wzrostem, wszystkie pełne dystynkcji w ruchach, czasem tylko błyskawicznie zanurzające głowy pod wodę i gmerające w niej zawzięcie.

Nie szczęściło się Pietrkowi w łowach na błyszczka. Julek zawsze przywoził jednego, a nawet więcej: szczupaków. Godycki na próżno jednak siekł wodę i w samej zatoce, i przy klinach wbiegających ostro w szuwary, i na głębini czy obok wlotu Krutyni. Całą jego zdobycz stanowiły do dziś dnia dwa niewielkie szczupaki, tylko, tylko wyrosłe ponad wymiar ochronny. Zbierało się na zachód, najlepsza pora, wtedy właśnie szczupak chętnie żeruje. Pietrka pociągała głębia, w której — jak głosiła fama — spoczywały nieznane skarby w samochodach hitlerowskiego Wehrmachtu. Podjechał na sam środek gardyńskiej toni i ujmując w rękę wędzisko spinningowe, zarzucił z rozmachem.

Niepowodzenie rozpałało go. Marzył o wielkim szczupaku, takim, od którego wzięło nazwę

ich obozowisko, a może jeszcze większym. Dopieroż by utarł nosa Julkowi, a i Mirce, spoglądającej na niego oczyma litościwej gazeli, też by pokazał, co potrafi, Szeroko rozstawiając nogi, aby zmniejszyć chybotanie wywrotnego kajaka-, siekł powierzchnię wody mocnymi rzutami. Bębenek terkotał, ciągle jednak bez oczekiwanego rezultatu.

Klął pod nosem, nie pomagało.

Zarzucił znowu, szybko zwijając linkę, aby utrzymać błyszcz jak najbliżej powierzchni wody. Wiedział, że drobnica wychodzi pod wieczór na ogrzaną wodę, a za nią ciągną rozbójnicze żarłaczce.. Tym razem linka stawiała opór. Nacisnął na rączkę bębena, opór nie malał. Aż mu dreszcz przeleciał po plecach. Schylił się, złapał wiosło, płynął w stronę skrytego pod wodą błyszczca. Zwijał linkę powoli, bębenek terkotał znacząco.

Kajak płynął nabranym rozpędem, mógł odłożyć wiosło. Linka napięła się jak drut. Zaniepokoił się, czemu ryba nie szarpie? Może po prostu o coś zaczepił? Wyglądało na to. Miał jeszcze lekką nadzieję, wygasła jednak z każdym metrem. skręconej linki. Żaden szczupak nie tkwiłby tak uporczywie w miejscu bez próby obrony.

Psiakość — myślał — kiedy ten błyszcz zdążył zanurzyć się tak głęboko? Przecież starał się utrzymać go możliwie najbliżej powierzchni. Linka kończyła się, w rozszrebrzonej blaskami dogasającego słońca wodzie nie można było nic dojrzeć.

Dotarł do miejsca zaczepu. Kurdefelek, co za pech. Nie opodał właśnie szarpnął się jakiś duży szczupak, zamigotał nad taflą czarny grzbiet, a plusk i fale pobiegły daleko wokoło.

Zanurzył rękę, chwytając linkę. Wyglądało, że błyszcz zaczepił się na niewielkiej głębokości. Poczł dłoń jakąś sznur, oślizły, oblepiony wodorostami, znak, że długo musiał tkwić w wodzie. Wtedy jednym bokiem wysunęła się nad powierzchnię deska długości ramienia, gruba, szeroka. Uwiązana była do sznura. Pociągnął, sznur ani drgnął, musiał być silnie wczepiony w dno. Błyszcz zamigotał, wbity w sznur jednym tylko haczykiem. Odłożył wędkę na stronę, zastanawiał się nad przeznaczeniem deski, tak misternie uwiązanej do sznura, że kryła się na dłoń w wodzie. Tylko ktoś zorientowany mógł ją odnaleźć.

Pietrka coś tknęło. Wczoraj widział łódkę, kręcącą się uporczywie w tej części jeziora. A może ten sznur coś oznacza, wytycza jakieś miejsce? Leśniczy wspominał, że w wiosce po dziś dzień są amatorzy zatopionych skarbów w hitlerowskich ciężarówkach. Może deska oznacza właśnie położenie samochodów? Aż się zachłysnął tą myślą. Rozejrzył się bacznie po wodzie. Wydało mu się, że o burtę kajaka stuknęło inaczej niż przy zwykłym odbiciu fali. Wlepił wzrok w wodę, osłoniętą właśnie cieniem kajaka, bardziej przez to przejrzystą, dostrzegł butelkę, szczelnie zakorkowaną. Umocowana była na cienkiej lince... Rozpierała go radość, czuł, że jest na tropie ważnego odkrycia.

Po dokładnych poszukiwaniach odnalazł kołyszące się pod powierzchnią wody jeszcze dwie butelki. Wszystkie cztery znaki oddalone były od siebie nie więcej jak na trzy długości kajaka, położeniem swym zakreślały dosyć regularny kwadrat.

Zdecydował się szybko. Zarzucił kotwiczkę tuż nie opodal zagadkowej deski. Szarpnął kilka razy, pragnąc sprawdzić, czy kotwica mocno zahaczyła o dno. Wtedy zrzucił dres, zsunął się do wody, oswajał się z nią przez chwilę, a potem, zaczerpnąwszy silnie powietrza, nurkował wzdłuż liny, posuwając się do dna. Za pierwszym razem nie dotarł: przeliczył się w ocenie głębokości i chwycił w płuca zbyt mały zapas powietrza. Odpoczął trzymając się burty kajaka. Potem znów nurkował, szeroko otwierając w wodzie oczy.

Woda była przesycona drobinkami glonu, najpewniej pyłem kwitnącej właśnie kanadyjskiej moczarki dennej Zielonkawy kolor ciemniał, zieleń stawała się prawie czarna, nic w niej nie można było dojrzeć. Jedną ręką gorączkowo macał wkoło siebie... Dłoń ośliznęła się o coś gładkiego. Przeciągnął jeszcze raz, czując, jak początkowo ugina się pod palcami warstwa zielska i mułu, potem zaś ręka napotyka gładki opór. Sprawdzał, obmacywał, wyczuł, że w pewnym miejscu płaszczyzna jakiegoś przedmiotu załamuje się opływową linią. Dusił się już z braku powietrza, spieszenie wyskakiwał na powierzchnię puszczać linkę. Uderzył o brzeg kajaka nie zagojonym jeszcze guzem na głowie, aż jęknął z bólu. Silniejsza jednak nad wszystko była radość, że wreszcie odnalazł. Tak, ta na pewno musiała być ciężarówka, dotykał jej burty, nic innego nie mogło mieć właśnie takiego kształtu, żaden, kamień nie byłby aż tak gładki.

Mrużył oczy oślepienie blaskiem, jaki panował na powierzchni, tak różnym od nieprzeniknionej czarnozielonej ciemni na dole. Postanowił jeszcze raz sprawdzić. Ponownie zanurzył się pod wodę. Tak, nie było wątpliwości, na dnie spoczywała ciężarówka albo inny pojazd, zasypany częściowo mułem, pokryty wodną roślinnością, śliską, lepiącą się do palców.

Zmęczony, z trudem wdrapał się do kajaka, uważnie rozejrzał się jeszcze, starając się zapamiętać położenie, po czym pozwolił fali znosić się z miejsca cennego, odkrycia. Ktoś musiał założyć te oznaczniki podwodne, ale ten ktoś mógł je w pewnej chwili usunąć. Pietrek zdawał sobie z tego sprawę, na przyszłość chciał trafić na miejsce bez żadnej pomocy. Zastanawiała go głębokość toni, Linka wskazywała, że było tu blisko cztery metry, co najmniej trzy. Jakże z tej głębokości wydobyć taki ciężar? W tej ciemności? Bez-światła w ogóle się nie poradzi... Gdyby tak mieć maskę nurka i mocny, szczelny reflektor, dający się zapalić w wodzie... Zamyślił się. O latarkę reflektorową nie było trudno. Ostatecznie cyną dałoby się uszczelnić nawet zwykłą „dajmonkę”, Julek miał przybory do lutowania w podręcznym warsztaciku. To nie kłopot. Kwestia tylko, skąd wytrzasnąć maskę nurka? Podobno wyrabiają już takie maski do amatorskiej turystyki podwodnej. Ale czy łatwo je dostać? I co, pojedzie po nie do Warszawy? A jeszcze, za

co je kupi?

Pocieszył się stwierdzeniem, że ustalił miejsce zatopienia wozów. O reszcie się pomyśli. Poczul się zmęczony i głodny. Zawrócił w stronę zatoki.

Słońce kryło swą czerwonawą tarczę za lasem, gdy wyciągnął kajak na brzeg. Tamci jeszcze nie powrócili. Był z tego zadowolony. Mógł odpocząć i przemyśleć w samotności swoje odkrycie. Od zachodniej strony jezioro rozgorzało purpurą, przechodzącą dalej w różowe, potem żółtawe i wreszcie białoniebieskie pasma. Z tyłu za tą kaskadą kolorów ciemnym, czarniawym murem mroczył bór. Pasma trzciny zbijały się w tajemnicze plamy, szemrzące w podmuchach zrywającego się przed nocą wiatru.

Naprzeciw polany ciemnymi plamami znaczyły się na wodzie żerujące nurki. Zanurzały się raz po raz, by po długich dopiero chwilach wychynąć na powierzchnię. Pietrek spoglądał na nie z zazdrością. Żeby to człowiek mógł wytrwać tak długo pod wodą i widzieć w niej równie dobrze, jak te zwinne ptaszyska!

-- Hej! heej! — mocny okrzyk nadbiegł wraz z wiatrem od strony jeziora.

Zaniepokojony Krut zerwał się z drzemki, wybiegł na pomost. Pietrek wytrzeszczał oczy, ujrzał białą plamę kajaka i migające niewyraźnie wiosła. Ognisko, które przed chwilą rozpałił, zajęło się właśnie mocniejszym ogniem, blask rozlał się po polanie.

— Hej, heej! — kajak mknął szybko, kształt jego rysował się coraz wyraźniej. Pietrek spoglądał czujnie, nie wiedząc, czego ma oczekiwać po spóźnionych gościach. Wiosłowali prosto na ogień płonący przed namiotami. Pomyślał, że może niepotrzebnie go rozpałił...

— Hej, jest tam kto?

Głos wydał się Pietrkowi znajomy. Już wiedział! To przyjeżdżali ci dwaj znajomi z Czarnej Wyspy; mały barczysty Bończa i drągalowaty Jaroszyk. Zapowiadali przecież odwiedziny. Skrzywił się, zszedł na pomost.

— Hoop! — odrzyknął.

— Witamy mieszkańców Zatoki Żarłocznego Szczupaka -- zawołali, gramoląc się z kajaka. Mocno potrzęsnęli dłońmi Pietrka zadowoleni i weseli.

Rozbroiła go ich bezceremonialność i serdeczność.

— Chodźcie na górkę — zapraszał życzliwie.

— Jak zdrowie? — mały Bończa przyjaźnie spoglądał na Pietrka. — Kawał drogi do was, myśleliśmy, że prędzej się przebijemy...

Pietrek bąknął, że czuje się dobrze. W pierwszej chwili nie pojął, o co mu chodzi. Chorował? Ach tak, przypominał sobie: ktoś przecie wytłumaczył go kurczami żołądka, ci wzięli to widocznie za dobrą monetę.

Że też już zawsze będzie się to wlokło za mną, kurdefelek — przeszedł go nieprzyjemny dreszcz.

— W dechę się urządziliście— Jaroszyk przyglądał starannie pielęgnowane długie włosy.

— U nas tu kupa ciekawych spraw... — Pietrkowi zaświtała myśl, że ci dwaj mogą mu wiele pomóc, postanowił więc wprowadzać ich w tajemnicę.

— Co, rozróżba jakaś niewąska się szykuje? — mrużąc oko zapytał drągalowaty Gabryś, manifestując znajomość gwary warszawskiej.

— Odnalazłem skarby na dnie jeziora! — głos jego zabrzmiał dumą jak zwycięska fanfara.

— Skarby?

— Skaaarby?!

Oba te pytania zabrzmiały jednocześnie, pełne najwyższego zdziwienia i zarazem tłumionego śmiechu. W końcu nie wytrzymali, wybuchnęli gromkim rechotem, aż Krut gniewnie zawarczał.

— Mogę nie mówić! Ważniaki, kurdefelek... — Pietrek nadał się złością. — A żebyście wiedzieli, że to nie lipa!

— Przepraszam, kolego — Bończa wyciągnął rękę. — Bo to się tak dziwnie składa, że już trzeci raz słyszymy tu na Mazurach o skarbach na dnie jeziora. Ludzie powtarzają takie bajdy i wierzą... Tu może być coś innego.

Pietrek niechętnie spojrział na obu, niemniej konieczność znalezienia współników usposobiła go do dalszych wynurzeń.

— Główny problem, jak te rzeczy teraz wydobyć....Drugi, dowiedzieć się, kto obok nas na własną rękę próbuje dogrzebać się do dna...

— Latarki można zabezpieczyć przed wodą, to mucha. Taki sobie domowy aparat do nurkowania to my mamy, zrobiliśmy go jeszcze w Warszawie. Tylko że dłużej niż pięć minut to się w nim nie wytrzyma pod powierzchnią — głośno zastanawiał się Bończa.

— Macie? To pycha! Pięć minut starczy, Na zmianę będziemy się opuszczać na dno. Pycha! — Pietrek nabrał, niebywałej werwy. Wszystko układało się najbardziej pomyślnie.

— Gorsza sprawa z tą konkurencją... — zastanawiał się niższy z kajakowiczów, zwany przez kolegę Marysiem. — Też prywatna inicjatywa, zatem obowiązują tu zasady kapitalistycznego handlu. Kto odszukał samochody pod wodą, kto oznaczył miejsce deską i butelkami? Kto wreszcie szukał tam czegoś przed paru dniami? To ważne.

— Przedwczoraj, mówił mi to leśniczy, kręciła się tam jakaś łódka.

— Otóż to. Może z tego wyniknąć grubsza-draką. Stracha to tam nikt nie ma, ale chryi lepiej byłoby uniknąć. Może sitwę założyć z tamtym? Przecie tego dobra na dnie musi być kupa. A i

wydobyć wspólnie byłoby łatwiej.

Pietrek zaprzeczył stanowczym potrząśnięciem głowy.

— Raz, że nie uśmiecha mi się żadna-sztama z tamtymi, diabli wiedzą, kto to właściwie jest... Dwa, że tu w okolicy w ogóle niewyraźnie. Mieliśmy ciekawą przygodę. — Tu Pietrek opowiedział szczegóły historii ze spadochronem.

— Obok Mazurów jest dużo Niemiaszków, Oczywiście. — Jaroszyk próbował określić źródło tajemniczych wydarzeń, — Najważniejsze jednak, że gra warta świeczki. Ciekawe, co za towar był w tych samochodach? Dziesięć lat.. Mogło wszystko przegnić!! W każdym razie zabawa w dechę: Bierzemy się za tę robotę, brachu, masz moją grabę! - klepnął Pietrka przy tej okazji przez plecy. Ten aż zastękał z bólu i podziwu zarazem.

— Rozruch to ma kolega niezgorszy — stęknął.

Od lasu dobiegł śpiew, wracających z wioski obozowiczów. Słyszając dziewczęce głosy, Jaroszyk zabrał się do przeczesywania swej bujnej czupryny.

11. Pierwszy mecz

Wraz z przybyciem Bończy i Jaroszyka obóz nad zatoką nabrał nowych rumieńców, Tuż pod lasem stanął trzeci namiot, polana zaludniała się... Julek namawiał Fajfera, aby także przeniósł się do nich. Leśniczy poparł go, obiecując, że wystara się w nadleśnictwie o namiot. Młody nauczyciel odmówił z miejsca, tłumacząc sprawę jasno i szczerze.

— Przyjechaliście tutaj na wypoczynek, pewnego dnia zwiniecie żagle i już was nie będzie. Ja zaś wśród Mazurów zostanę. Dlatego muszę poznać ich bliżej... Zaciekawiała mnie ta wieś,, chciałbym dla jej ludzi coś zrobić.

Trudno było nie przyznać mu racji. Kania więcej już nie nalegał.

Jaroszyk świetnie się dobrał z Julkiem — organizatorem i głównym budowniczym obozu, jak żartobliwie nazywała go Mirka.

Wymierzyli i wyrównali ostatecznie boisko do siatkówki. Wszyscy zapalili się teraz do gry. Grali trójkami. Brakowało jednak amatorów spoza obozu... Na niedzielę pan Gwizda i Fajfer obiecali zachęcić trochę młodzieży ze wsi do rozegrania meczu.

Dumą obozowiczów stał się pomost, wydłużony i poszerzony teraz dwukrotnie. Według opinii Zośki niewiele brakowało mu do mola spacerowego w Sopocie.

— Na przyszły rok PTTK przewiduje urządzenie nad Jeziorem Gardyńskim punktu biwakowego dla spływów kajakowych. Będą mieli gotowy pomost... — oznajmił Julek.

Któregoś wieczoru ustalono niepisany regulamin obozowy. Kuchnię przejęły dziewczęta, z

tym że aprowizacja należała do męskiej części załogi. Mirka dodatkowo miała się jeszcze zajmować Krutem. Zaopatrzeniem w chleb i inne produktywna zmianę zajmowali się chłopcy z wyjątkiem Julka jako kapitana i generalnego mechanika „Gawrona”. Kostek został kierownikiem obozu. Naczelną zasadą była przy tym zupełna swoboda: każdy miał prawo robić, co mu się żywnie podoba, wynajdować zajęcia i tak układać czas, jak mu to dogadzało. Okazało się, że było to słuszne i bardzo potrzebne. Kania od razu zaczął bardziej interesować się sprawami rodzinnej wioski swej matki, Kostek natomiast czynił regularne wyprawy do pobliskiego PGR jako przyszły inżynier-rolnik. Trójka najmłodszych robiła tajemnicze przygotowania. Dziewczęta za to najchętniej się opalały, podrywając po trochu ze swych towarzyszy.

Obóz stał się dla nich jak gdyby domem. W czasie długich wieczornych pogawędek przy ognisku zadzierzgnęła się między obozowiczami, najściślejsza przyjaźń. Były to godziny pełne ciekawych wspomnień, młodzieńczej wesołości i humoru. Prawie codziennie przybywał leśniczy, doskonały narrator kapitalnych historii z życia lasu i jezior.

Nastroj poprawiał się z każdym dniem. Pietrek zżył się z Jaroszykiem i Bończą.

Od wyprawy na Śniardwy Pietrek rzeczywiście czuł się bardzo osamotniony. Na próżno wmawiał w siebie, iż „kicha” na wszystkich i najlepiej się czuje w samotnym bobrowaniu po trzcinach, w szukaniu skarbów w jeziorze czy podczas godzin spędzonych wspólnie z uroczą doktorową. W stosunkach z resztą „gawroniāt” przeszkadzała mu także inna sprawa. No bo jakże, Zośka została, przyjęta do AWF, Julek na politechnikę, Kostek miał już za sobą dwa lata Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie, nawet Mirka szczyliła się maturą i tylko on jeden ciągle dźwigał na barkach tytuł licealisty, Niekiedy czuł żal do siebie, że zmarnował czas i został w jedenastej klasie, ale natychmiast rozgrzeszał się, winiąc po części profesorów, po części też czarną Kazię, która tak zawróciła mu w głowie przez ostatnie pół roku, że świata poza nią nie widział, cóż dopiero mówić o książce szkolnej.

W towarzystwie Jaroszyka i Bończy, właśnie licealistów, poczuł się swobodniejszy i pewniejszy siebie.

W sobotnie popołudnia wieś przybierała inny wygląd. Stawała się weselsza, więcej w niej było gwaru i jakiejś świątecznej atmosfery. Przed domkami wymieciono, okna lśniły czystością umytych dopiero szyb, kwiaty w ogródkach jakby silniej pachniały. Tu i ówdzie snuły się starannie ubrane dziewczęta, pomykali chłopcy w „niedzielných” garniturach. Zarówno w spółdzielniach przemysłu artystycznego, gdzie pracowała większość dziewcząt, dochodząc co dnia do Mikołajek lub do Iznoty, jak i na porębowskiach leśnych, gdzie trudną pracą zdobywali utrzymanie mężczyźni, w soboty kończono robotę znacznie wcześniej.

Pietrek wraz z Bończą i Jaroszykiem udali się dziś do Wyrajów po prowiant. Sporo osób stało przed gospodą oczekując późniejszej godziny dla rozpoczęcia tradycyjnego pijaństwa.

— Wybrałbym się na jakąś zabawę... Widziałem tu parę ładnych dziewcząt. Co wy na to? — zaproponował Pietrek, widząc, że jakiś kuternoga dreptał obok poprawiając na plecach okazały akordeon.

— Można by, ale trzeba tu przedtem mieć swoich przyjaciół. Na wsi nietrudno o drakę.

— Widzę, że tchórzysz -- Pietrek wyzywająco spojrzął na Jaroszyka.

Ten tylko zaśmiał się przeciągle i Pietrek zamilkł speszony. Pan Gwizda jak zawsze stał przy płotku oddzielającym budynek szkolny od szosy i swoim zwyczajem zamieniał z każdym przechodzącym parę słów.

— Co w Zatoce Żarłocznych Rybaków? — wołał już z daleka, wywijając pulchnymi ramionami.

— Żarłoczny Szczupaka, chciał pan powiedzieć — poprawił lubiący dokładność Bończą.

— Jutro przychodzimy do was. Zagramy w siatkę. Syn mój także na niedzielę przyjeżdża, morus chłopak. Pozdrówcie tam wszystkich ode mnie, choć Julka pewnie zobaczę, mówił, że może wpadnie pod wieczór.

Wracali, objuczywszy plecakiem Marysia Bończę, który nie protestował tym razem przeciw podobnemu wyzyskowi jego osoby.

Z małej łączki nie opodal sklepiku dobiegł wrzask czeredy wyrostków grających w bardzo improwizowaną siatkówkę. Z piłką było jeszcze pół biedy, ale siatkę imitował już tylko zwykły drut, przeciągnięty między ścianą domu a chwiejącym się, byle jak wbitym w ziemię drągiem. Przystanęli przyglądając się tej zabawie. W tej samej chwili rozpoczął się zapalny spór, czy piłka wyszła na aut, czy spadła na ziemię tuż przed linią boiska.

—Aut, aut! — wyskoczył do przodu Jaroszyk, korzystając z tego, że piłka potoczyła mu się właśnie prosto pod nogi. Porwał ją z ziemi, przebiegł na właściwe miejsce, zaserwował i zanim jedni zdolali pojąć, o co chodzi, drudzy odbili już piłkę. Gdy z powrotem znalazła się nad Gabrysiem, ten ściał ją w pięknym podskoku, pewien punktu dla swojej strony, ale już mu ją podbił ktoś z przysiadu, aż się zdumiał taką zręcznością. To Pietrek zajął miejsce po przeciwnej stronie drutu.

Właściwie nikt się nie spostrzegł, gdy obie partie, wzmocnione o nowych uczestników, rozpoczęły grę z całą ostrością. Chłopcy z Wyrajów zacierzewili się, pragnęli dorównać nieoczekiwanemu przeciwnikowi. Bończą złożył plecak na ziemi i stając przy drągu sędziował, gwiżdżąc przeraźliwie na palcach.

Pietrek z Marysiem rozognili się, pozrzucali wiatrówki i koszulki, grali już tylko w szortach.

Ale i wiejscy partnerzy również dobywali z siebie, co mogli. Piłka tylko fruwała, uderzana tak mocno twardymi dłońmi, że dziw, iż nie rozsypała się w drobne cząstki.

— Trzym! Trzym! — szturchnął Pietrka w bok piegowaty chłopak, wskazując na piłkę, którą sam przed chwilą spartaczył.

Przy okazji Pietrek zrewanżował mu się niegorszą sójką, co tamten przyjął ze śmiechem.

Bończą wyżywał się w gwizdaniu, usiłując utrzymać porządek. Ściemniało już, gdy wreszcie ogłosił koniec, przyznając zwycięstwo drużynie wzmocnionej Jaroszykiem,

Siedli teraz razem na upapranej gęsimi śladami murawie, wdając się w pogawędkę.

— Lepszej siatki nie macie ani przyzwoitego boiska? Na tym gościńcu można ręce i nogi połamać, jak się człowiek pośliźnie...

— A skąd ma być? — odpowiedzieli pytaniem.

— Jak to, koła elzetesu nie macie?

Zaprzeczyli. Owszem próbowali nawet założyć, obiecano im, ale rozplynęło się wszystko po kościach. Byłoby miejsce i na boisko, nawet do piłki nożnej.

— Tu już było przedtem boisko... — dorzucił jakiś chudzielec ze szczerbą w uzębieniu.

— Było? Gdzie, kiedy?

Przez moment zapanowało kłopotliwe milczenie. Zapal wiejskich chłopaków jak gdyby przygasł, rysy twarzy ściągnęły się.

— Tam, przy końcu wsi... Rowy przekopali teraz przez plac, że niby to awantury wyczyniamy...

— Kurdefelek! Gadajcie, wiara, po ludzku, bo ni diabła pojąć, nie można! — zżymał się Pietrek. — Jakie rowy? Kto je kopał? Na boisku?

— Ci, co obok mieszkają... Że to jabłka im kradną, grędy depczą w ogrodzie... Krótco po wojnie tak zrobili. I co im poradzisz.

Mówił teraz chłopak z wyglądu najstarszy, bliski już pewnie dwudziestki. Z figury podobny był trochę do Bończy, równie niski, sklepiiony w barach, blondyn. Na głowie miał starą myckę, z obwisłym z niej postrzępionym daszkiem. Przez chwilę zerkał na któregoś ze swych towarzyszy, czarnego dryblasa, i jakby zgromiony jego spojrzeniem opuścił oczy, zajmując się rysowaniem jakichś esów-floresów na wydeptanej murawie.

— To boisko było tu już po wojnie? — Pietrek zaczynał się czegoś domyślać.

— Za Hitlera było... Z bramkami dla piłki nożnej i słupami do koszykówki — wyzywająco zajrzał mu nagle w oczy szczuplutki, chudy chłopaczek o ostrych rysach.

Pietrek zaśmiał się gardłowo, jak zawsze, gdy był speszony lub zły.

— Guzik tam możesz wiedzieć, jeszcze w majtki robił za Hitlera, wiele ty masz, szesnaście

lat najwyżej.

— Ja sam pamiętam — wtrącił się blondyn w czapce z wystrzępionym daszkiem.— A i starsi opowiadają, jak grali...

— To czemuście pozwolili, aby wam zaorano boisko? Do sołtysa trzeba było walić z pyskówką albo do wójta!

— Sołtys sam zaorywał, to obok jego pola! ..

Chłopcom znad zatoki zrobiło się głupio, Jaroszyk strzyknął śliną daleko przed siebie. Tamci też mieli już dość tej rozmowy. Zaczęli się podnosić, popędzał ich czarny, wyglądający na przywódcę.

— Idziemy, idziemy...

Nachylił się i szepnął coś jednemu z kolegów do ucha. Doszły ich słowa niemieckie Pietrek chciał już coś powiedzieć, ale Maryś szturchnął go ostrzegawczo w kostkę..

— Czekajcie... Wiecie co? Jutro niedziela, przyjdźcie do nas nad jezioro. Mamy boisko i siatkę dobrą...

Zatrzymali się.

— E tam, będziemy chodzić... To już wy przyjdźcie bąknął któryś.

— Przyjdziecie przecie się kąpać, no nie? Razem sobie pogramy, lepiej jak nad tym drutem.

— Może przyjdziemy...

— Dostaniecie, że się nie pozbieracie.— podjudzał Bończa.

— Zobaczymy! No to po obiedzie — zgodził się wreszcie czarny dryblas, pozganiał resztę swojej czeredy, po czym odeszli zgodnie powolnym krokiem.

Maryś szedł zamyślony.

— Kto tu się tak wymądrzył z zaorywaniem boiska? Psiakrew! Za Hitlera, mówią, było boisko, a w Polsce nie ma. I po co ten wielki krzyk o elzetesach,?

— Przyjdą, jak myślisz? — ciekawił się Pietrek.

— Ten ich herszt przyrzekł, to pewnie przyjdą. Wszyscy patrzyli na niego, ma posłuch, szkoda gadać!

— Ciemny jakiś facet, krzywo mu z gęby patrzy — dodał Gabryś, zdecydowanym ruchem odbierając koledze plecak. — Co będziesz sam targał, dawaj!

Gdy w obozie opowiedzieli Julkowi o oryginalnym poznanii z grupą młodzieży, zdziwił się i ucieszył.

Cały obóz niespokojnie oczekiwał niedzielnego popołudnia Wszystkim, udzieliła się atmosfera, wniesiona do obozu przez Julka i Fajfera, który od samego rana tkwił już nad zatoką, wiodąc z Zośką długie fozhowory na tematy mazurskie. Pietrek podsłuchiwał trochę, wzruszył

wreszcie ramionami, dziwiąc się siostrze, że chce się jej słuchać takich nudności. Fajfer (też nazwisko, że się nim tylko udławić) to jakiś idealista nie z tego świata. Papie o szczytnej pracy nauczyciela na ziemiach, gdzie brakło przez dziesiątki lat polskiej szkoły, gędzi o lęku, czy zda życiowy egzamin wychowawcy młodych, i coś jeszcze takiego. A Zośka słucha jakby miłosnego romansu... Pan Gwizda przyszedł z żoną i synem, chudziutkim chłopakiem, który odbywał praktykę wakacyjną w szpitalu w Giżycku, miał już bowiem za sobą trzy lata medycyny w Poznaniu. Że zaś liczył dokładnie dwadzieścia wiosen życia, jak Pietrek, ten ostatni z miejsca poczuł do układowego medyka silną antypatię. No bo jak, trzy lata na uniwerku, a on jeszcze w jedenastaku...

— Ależ wymoczek, kurdefelek! — szepnął Gabrysiowi.

— I tacy. potrzebni, ty byś chciał samych osiłków, co?

— Patrz, matka, jak się tu urządzili! — mówił pan Gwizda do swojej połowicy, obchodząc obóz, który zresztą oglądał już parę razy. — To ci życie ma nasza młodzież, takie wakacje! Człowiek w ich latach do gospodarza się najmował, do bauera co bogatszego, aby na zimowe miesiące zarobić, a ci tylko używają...

Gadając tak po swojemu, ciągle przy tym spoglądał na drogę leśną, wypatrując młodych z Wyrajów. Pusto jednak było i pan Gwizda stawał się coraz bardziej niespokojny. .

Było już dobrze po czwartej. Polana stała w słońcu rozżarzoną aż do bólu. Dawno nie pamiętano tak upalnego lata. Trawa wyschła niemal zupełnie, żółkła, przypadła ku ziemi i tylko przy samym lesie ciągnął się zieleńszy jej pas, przetykany liśćmi krwawnika i łodygami wątlego rumianku.

— No, Józia i Henio już idą — z ulgą wyrzucił z siebie pan Gwizda, wskazując na parę wyłaniającą się na ścieżce wiodącej wzdłuż jeziora.

Józia Głaca wyglądała dziś bardziej dziewczęco niż wtedy, gdy poznali ją na werandzie szkoły w Wyrajach. Równo ucięte włosy zczesła gładko, spinając je grzebieniami. Kończyła właśnie ożywioną rozmowę z towarzyszem. Ręce miała duże, czerwone, nie wiedziała, co z nimi zrobić.

W żywej, kościstej twarzy Lipienia, uderzała wielka, pozioma blizna niemal przez całe czoło.

— Patrzcie na te znaczki? To także mały epizodzik z sielanki mazurskiej — pan Gwizda aż się zachłysnął swym porównaniem.

-- Henio ukończył uniwersytet w Mikołajkach, tak jak i Józia, tyle że o rok wcześniej. Zaczął pracować w Domu Kultury w Mrągowie. Mówiłem wam już, że to niełatwe miasto, przetrwały tam u niektórych hitlerowskie obyczaje. Łobuzy jakies w tym duchu urządzili tak Henia przy pewnej okazji. Wyjeżdżał na zjazd do Olsztyna, siedł na dworzec. Wieleś to czasu wyleżał w

szpitalu?

— Ale to mało ciekawy temat — usiłował odwrócić uwagę od siebie zażenowany Lipień.

— Ciekawy, ciekawy, brateńku, o, i jak jeszcze ciekawy! Trzeba pokazać naszym znajomkom, że tutaj nie tylko jeziorno leśne wyprawy, ale i pole walki... Ci, co go napadli, to wyjaśnili mu jeszcze przedtem, za co obrywa. Za to, że się do Polski przyznał, że zdradził, rozumiecie... niemczyznę. I zaraz tak go kropnęli, że mało pamięci nie stracił. Zuch chłopak, tylko teraz jakieś cepy skasowały etaty w Domu Kultury. Właśnie w tym Mrągowie, gdzie by etatów trzeba było drugie tyle przysporzyć.

— O rety, któż tak wali tu chmarą? — zawołał nagle i radośnie Julek.

Od lasu wychodziła właśnie na polanę gromadka sześciu chłopaków pod wodzą czarnego dryblasa.

— Michał Wittle? Ten zbój? A któż go zaprosił? — zdumiał się naraz pan Gwizda.

Głaca i Lipień spoglądali na nadchodzących trochę niepewni.

— My! Dobrze gra w siatkę, sprytny magik — wyjaśnił Gabryś. Przecie to on wpadł wczoraj na pomysł, aby zagrać z wiejskimi chłopcami.

— To swoje chłopaki — dodał Pietrek.

— A jakże! — podkreślił swą zgodną opinię Bończa.

Całą trójką wyszli gościom naprzeciw.

— No, jesteście, myślałem, żeście strefili, kurdefelek!

— Cześć wiara! — wyciągnął rękę Jaroszyk.

Spoglądali na twarze przybyłych. Pięciu znali już z poprzedniego dnia. Szósty jednak, najstarszy, miał chyba pod trzydziestkę, nie grał wczorajszego wieczoru.

Tamci niezgrabnie podawali dłonie, mrukliwie bąkali pod nosem. Nie. wyglądali zresztą na speszonych. Ciekawie, wodzili oczyma po namiotach i urządzeniu obozowym. Zainteresowały ich najbardziej kajaki i motorówka, na nich bowiem najdłużej zatrzymali spojrzenia.

— A gdzie siatka? — czarny powiódł oczyma, dojrzał boisko, machnął ręką na swoich. Zawrócili za nim posłuszni.

— Palicie się tak do gry? W dechę! Zagramy po Sześciu co?

— Ja przepraszam, ale na mnie proszę nie liczyć... Nie umiem grać — zastrzegł się młody medyk.

— To wobec tego ja — poderwała się Zośka, uradowana perspektywą udziału w grze.

Gdy najstarszy z wyrajowców przechodził obok leżącego w charakterze widza Kruta, pies zawarczał złowrogo, obnażając leciutko kły. Ostro natarł nań Julek, sędzia dzisiejszego spotkania.

— No jak, możemy zaczynać? — zapytał chudy chłopaczek o drapieżnej twarzy.

— Już! O boisko! — Julek z siłą machnął piłką o ziemię. Odbita, podchwycona, zakreśliła się w powietrzu, zadudniła od silnych uderzeń, wreszcie ktoś ją wypchnął na aut.

Gra zaczęła się od razu ostra. Już po paru minutach okazało się, że wygrana nie będzie dla obozowiczów łatwą gratką. Szczególnie mężczyzna bliski trzydziestki okazał się wyśmienitym graczem, przewyższającym wszystkich pozostałych. Ścinał tak kapitalnie, że Pietrkowi czy Gabrysiowi rzadko kiedy udawało się przyjąć taką piłkę.

Gwizdek Julka często przecinał powietrze. Wynikały kwestie sporne, sędzia trochę stronniczo przyznawał rację gościom z Wyrajów, Zauważył, że ów najlepszy gracz gości uśmiechał się wtedy ironicznie pod małym wąsikiem. Od tej chwili Kania starał się już być obiektywny.

Na stronie gromadziła się publiczność. Obok trójki Gwizdów i Józki Glacy przysiadł na trawie leśniczy, wywabiony z domu głośnymi okrzykami.

Gwizda przechylił się ku niemu

— Co pan powie, Karolak tu przyszedł? Inna sprawa, że gęby nie otworzył do tej chwili. Ale gra jak szatan.

— On i w ichnim wojsku podobno był taki sportowiec... Ale mnie też dziw, że zechciał łaskawie zadawać się z Polakami. Ciekawe, rybeńku... — sapnął leśniczy zapalając papierosa.

Już trzeci raz zmienili boisko. Dotychczas stosunek punktów był równy. Walka stała się zacięta. Sędziowała teraz Mirka. Ożywiona, z rozwianymi włosami, wyglądała tak świeżo i ładnie, że niektórzy z chłopców wioskowych łypali na nią ciekawie krótkimi błyskami oczu. Szczególne zainteresowanie wzbudziła w czarnym dryblasie, który przegapił przy tym miłym zajęciu parę piłek, co z kolei wywołało ciche, ale zgryźliwe komentarze w jego drużynie. Chłopcy ci mówili raz po polsku, to znów niemieckim językiem.

Na polankę napływał cień. Słońca nie było już widać za lasem. Nadchodził wieczór. Gra była wyrównana, grupę ze wsi ratowali przede wszystkim najstarszy w niej jegomość z wąsikiem oraz czarny dryblas i miły chłopak, podobny do Marysia. Inni partaczyli dosyć często. U gospodarzy znowu kiepskim graczem okazał się Lipień.

Przy jednym punkcie przewagi dla gości ostra piłka poszybowała na pole obozowiczów. Pietrek próbował ją jeszcze poderwać; plackiem niemal nurkując koło nóg siostry, było już jednak za późno. Długi, triumfalny gwizd Mirki oznajmił koniec gry. Podeszła do gości, gratulując im zwycięstwa. Pietrek dał swoim komendę. Dalekim echem podniosło się gromkie, trzykrotne hura-hura-hura!

Nie było już mowy o dalszej grze.

— Zamawiamy rewanż — zaproponował Pietrek. — Może w sobotę, albo jeszcze wcześniej?

— Sobota? Dobrze... myślę, że tak... — zgodził się ktoś z nich obrzucając spojrzeniem namioty.

Zbierali z ziemi marynarki i koszule, ubierali się szybko.

— Odchodzicie? A nie zostalibyście z nami, zapalimy ognisko — próbował zatrzymać ich Julek.

Przystanęli, na paru twarzach odbiło się jakby wahanie. Czarny pytająco spojrział na najstarszego spośród nich. Ten przechylił się, szepnął mu coś do ucha. Podszedł zaraz potem do Julka, uściskał mu rękę.

— *Ich muss nach Hause, auf Wiedersehen. Danke sehr.* — Skłonił się wszystkim z tym swoim ironicznym uśmiechem. Poszedł w kierunku drogi. Krut patrząc za nim cicho zawarczał.

— Ja też idę. *Auj Wiedersehen* — poderwał się szczupły chłopaczek o drapieżnej twarzy i pobiegnął doganiając starszego towarzysza.

Pozostali czterej zawahali się.

— Chodźcie, wiara, ogień już się pali, miejsce jest! Pogadamy — ciągnął ich obcesowo Jaroszyk.

— Skąd wystraszeńlicie takiego gracza, kurdefelek? Bez niego nie naoilibyście nas, szkoda mrugać — wypytywał Pietrek miłego blondynka:

— On stary sportowiec. W wojsku też grał...

— W wojsku? W jakim?

— W niemieckim. Wehrmacht.

— Aha — bąknął zaskoczony Pietrek i spojrział w kierunku leśnej drogi, ale tamtych nie, było już widać. Mrok zapadał coraz gęstszy.

— *Hans,, halt Maul* — syknął nagle kudłaty dryblas.

Pietrek aż gwizdnął w duchu, słysząc to ostrzeżenie. Skojarzył je sobie z poprzednią wiadomością.

Od tej chwili poczuł niechęć do gości, zwłaszcza gdy zobaczył, iż czarny drab ulokował się przy ognisku obok Mirki To mu się już wcale nie podobało. Inni porozsiadali się, gdzie komu było wygodniej. Nastrój stawał się bardziej bezpośredni.

— Żeby to ten elzetes u nas założyli. Takich graczy to na mistrzostwa posyłać.. — westchnął Gwizda.

— Techniki im trzeba, bo szwung mają, Tylko zagrań mało, pojedynczo walą w piłkę jak cepem po klepisku. — Jaroszyk był gadatliwy jak nigdy dotąd.

Zagotowała się woda w garnczku przewieszonym na improwizowanych widelkach:

Goście niezgrabnie trzymali kubki w dłoniach. Popijali herbatę szybko, parząc usta. gorącym płynem.

— Co was tak gna, do jasnej. Anielki? — szarpnął się wreszcie Gabryś. — Przecież to ukrop.

— Warto by się tak częściej spotykać. - zaczął jak zwykle senior Gwizda. — Pogadać, pośpiewać. Bo przecie nudno w naszej wiosce. A gości takich nad wodą nie zawsze mamy. Patrzcie, jeszcze herbatą częstują. Dobrze, co?

— Pokazalibyście nam, gdzie ryba dobrze tu bierze, bo mnie jakoś nie idzie — przyznał się Pietrek.

— Widziałem, na środku łowiliście... tam nic nie ma — rzekł nagle milczący dotąd, pryszczaty, rosły chłopak.

— E, jak nie rybę, to co innego tam znajdę — wyrwał się nagle Pietrek i w tej chwili zdumiał się, widząc, jak twarz pryszczatego nastroszyła się, jakby ktoś przykrył ją nagle ciemną zasłoną.

— Co może być innego?

—No a choćby te hitlerowskie samochody?

Pryszczaty musiał się już opanować, bo machnął tylko dłonią z lekceważeniem.

— Nie wiadomo, czy są, a jeżeli, to jak je wybrać? Głęboko.

— Są, są, obmacałem je sam. A wybrać też można przy dobrach chęciach — z przechwałką rzekł Pietrek, spoglądając Gzazem uważnie w twarz rozmówcy.

Przez chwilę znać na niej było jakieś drgania. Potem chłopak odpowiedział powoli:

—Niee, nie można,.. Jeden już utonął w tym miejscu. Niebezpiecznie.

Przerwał im śpiew.

Za namową Mirki Głaca, Lipień i Gwizdowie podjęli mazurską piosenkę gwarową. Dołączył się zaraz Julek, reszta obozowiczów nuciła, nie znając słów.

—No, śpiewamy — Mirka traciła w bok swego czarnego adoratora, uśmiechając się zarazem do niego przyjaźnie.

Zawahał się.

— Nie pamiętam...

— Ja myślę, że my tu jeszcze chór ładny stworzymy. Dotąd w naszej wiosce nie było chóru, bo co tam tych parę piosenek niemieckich czy polskich, które się czasem usłyszy. Tu trzeba kupą śpiewać, wszyscy razem.

— To może tak *Rutą*? — Lipień ochoczo podchwycił słowa Gwizdy. Jakieś przyjemne zdziwienie odmalowało się na twarzach gości, gdy zobaczyli, z jakim zapałem podjęli obozowicze słowa popularnej mazurskiej pieśni Julek promieniał z radości.

Rozśpiewało się całe bractwo, Leśniczy przyrzucił chrustu do ognia, poruszając do taktu

całym tułowiem Gwizda ze swoją promienną twarzą, oświetloną czerwonymi blaskami ogniska, wyglądał jak księżyc.

Wieczór dawno przesunął się w noc, gdy minął wreszcie zapal do śpiewu. Umilkli, zapatrzeni w jezioro, oświetlone właśnie pełną tarczą księżyca. Niebo było czyste, gwiazdy migotały lekko przyćmione. Woda skrzyła się, jakby kto na czarną, materię sypnął hojną garścią złociste cętki. Łagodny wiatr przeciągał wierzchołkami drzew, cichy ich szum łączył się z pluskiem drobnej fali.

— Pięknie tu u was — szeptem zwróciła się Mirka do swego sąsiada.

Skinął przytwierdzając głowę i nagle poderwał się z miejsca, spojrzął po swoich, ci też powstali jak na komendę.

Żegnali się. Znikł nagle niedawny nastrój, znów jakimś chłodem powiało od czterech chłopaków. Zesztywnieli, zamilkli.

— Do soboty zatem — przypomniał Jaroszyk.

— Do... — zawahał się czarny — do soboty.

Wsiąkli w ciemną linię lasu. Jeszcze krótki, czas słyszeć było ich kroki, potem i te ucichły.

Dopiero po dłuższej chwili pan Gwizda rozejrzał się po obecnych jakby zdziwiony i powiedział z wyraźnym wzruszeniem:

— Pamiętajcie, com wam mówił? Nie wiadomo, kiedy odezwie się w nich ta polskość... Jeżeli przyjdą naprawdę w sobotę, to powiem, żeście wiele zrobili. Przerwaliście tamę. Nie rozumiem tylko dwóch rzeczy. Skąd się tutaj wziął ten mechanik? Mieszka we wsi dopiero od wojny, mówi, że przybył spod Olecka, lichy go wie. Ma swój motocykl, jeździ nim diabli wiedzą do kogo i gdzie. Po polsku się nie odzywa, mówi że nie umie, a znów nazwisko nosi swojskie, Karolak, Dziwna rzecz. No, i jeszcze ten drugi, czarny, co to się tak krzywił do panny Miry. Michał Wittle, zbój zawołany. A tu pieśni śpiewał. Dziwy, jak Gwizda jestem.

— To morowe chłopaki, tylko ogłupiałe w tej wiosce. Boiska nie mają, ani nosa gdzie wystawić na świat, pieskie życie — zachnął się nagle Jaroszyk.

Lelek kozodój przeleciał nisko, popiskując swym nieprzyjemnym skrzypliwym głosem. Krut zerwał się za nim, szczerknął ze złością. Zerwał się mocniejszy wiatr.

12. Eskapada hultajskiej trójki

Dwa dni zabrała im wędrówka „Gawronem” przez szlak Śniardw aż po jezioro Roś, dobiegające długą kichą pod Pisz.

Odwiedzili Mikołajki, potem wzdłuż jeziora Łukniajny okrążyli brzegiem „mazurskie

morze", by malowniczą trasą przez jeziora Białoławki i Kocioł wypłynąć na zarośniętą szuwarami, krętą rzeczulkę Wilkus. Ledwo się przebili przez nią obciążoną nad miarę łodzią. Jezioro Roś oczarowało ich puszczańskim pejzażem. Zośka rzuciła nawet myśl, aby przenieść tu obóz, nikt jej jednak nie poparł, zbyt się wszyscy czuli związani z zatoką. Wracali inną trasą, przez Kanał Jegliński i jezioro Seksty. Mijali znów Czarcia Wyspę. Pietrek przeglądał się wtedy pilnie w jasnoblękitnej toni Śniardw.

Zaraz po powrocie powzięli decyzję większej wyprawy aż na dalekie Mamry, pod Węgorzewo, na północny szlak wód mazurskich.

Trzeba jednak było odłożyć projekty. „Gawron” strajkował coraz częściej, ledwo dociągnął nad Zatokę Żarłocznego Szczupaka Motor pracował nierówno, wciąż prychał, to znów niespodziewanie przechodził na bardzo szybkie obroty, rozgrzewał się albo dla odmiany w ogóle nie chciał zaskoczyć. Julek, nie mogąc znaleźć przyczyny defektu, szykował się do generalnego remontu. Zanosilo się na parę dni roboty.

Kostek skorzystał z okazji i po dłuższych odwiedzinach w pobliskim PGR wyjechał do Olsztyna, aby załatwić tam jakąś sprawę na swojej uczelni. Dobiegała połowa lipca, zostawało mu niewiele czasu na wypoczynek, w początkach sierpnia obejmował bowiem praktykę wakacyjną w ośrodku rolnym i oczekiwał teraz skierowania z Wyższej Szkoły Rolniczej.

Dziewczęta zostały osamotnione, czasem tylko odwiedzał je Fajfer. Bobrowały po jeziorze kajakiem, próbowały szczęścia w łapaniu szczupaków na błyszcza, nie bardzo im jednak się wiodło. Zresztą nawet Julek nie mógł się pochwalić takim szczęściem, jak w pierwszych dniach pobytu nad Jeziorem Gardyńskim. Leśniczy tłumaczył to upałami zmęczona ryba chowa się na głębie i mniej żeruje.

Pietrek z „Czartami” — tak nazwała Mirka Bończę i Jaroszyka na pamiątkę poznania na Czarciej Wyspie — mieli teraz ważniejsze sprawy na głowie niż dotrzymanie towarzystwa dziewczętom. „Niech się opalają”. Cały dzień majstrowali koło dziwaczego przyrządu, którego podstawową część stanowiła długa rura gumowa, ujęta w metalowe pierścienie. Mirka miała poważne podejrzenia, że brak tej rury zdekompletował w jakimś domu odkurzacz. Bończa klepał i lutował dziwaczne blaszki. Swąd kwasu unosił się nad obozowiskiem.

Z kolei godna siebie trójka przystąpiła do montowania baterii, czyniąc to w nabożnym niemal skupieniu, Nie zwierzali się z niczym. Próżno Mirka na różne sposoby próbowała coś od nich wyciągnąć. - Wtajemniczony Julek szepnął jej tyle, że przygotowania te łączą się z zamiarem wydobywania skarbów zatopionych na dnie jeziora. Parsknęła śmiechem, ani trochę nie wątpiąc, iż całe przedsięwzięcie zakończy się sromotną klęską. Mimo to z zaciekawieniem spoglądała w stronę szepczącej tajemniczo trójki.

Nawet przy ogniu nie chcieli siedzieć wieczorem, tak jak zazwyczaj. Zaraz po kolacji położyli się do snu. Pragnęli być wypoczęci przed jutrzejszymi trudami.

Szarzało dopiero, gdy zerwali się ze snu. Rosa śniedzią pokrywała zrudziałą murawę i płótna namiotów. Obóz pochrapywał jeszcze w najlepsze. Pietrek ciekawie zajrzał przez szparę do namiotu dziewcząt. Mirka spała z odrzuconymi w tył ramionami, spod rozpiętej pidżamy, wyłaniał się rąbek kształtnej dziewczęcej piersi. Zapatrzył się, oczy mu się roziskrzyły. W tejże chwili poczuł silne szarpnięcie. Oskoczył, ujrzał rozgniewaną twarz Gabrysia, usłyszał cichy, nabrzmiały pasją szept:

— Ty, świnię nieskrobana! Zajrzyj jeszcze raz, to cię tak zamaluję, że się nie pozbierasz przez tydzień...

Pietrek zacisnął wargi, twarz mu zbieleła, wyglądało, że rzuci się z pięściami na Jaroszyka, pohamował się jednak i odszedł drżąc z wściekłości. Gabryś uśmiechał się ironicznie.

Wyjechali na wodę łódeczką leśniczego, na wszelki wypadek holując za nią kajak. Słońce dopiero weszło, nad jeziorem unosiła się leciutka, delikatna mgiełka. Spod trzciny rozległ się nagle chlupot, ciężko bijąc o wodę skrzydłami poderwał się do lotu żerujący tu łabędź. Powoli wzniósł się w górę i poszybował spokojnym lotem, w stronę przeciwległego brzegu. Spoglądali za nim pod słońce, białe pióra nabrały połysku i tylko dziób i płetwy u nóg odcinały się czarnymi plamami.

Powierzchnia jeziora była gładka, w powietrzu nie wyczuwało się śladu najbliższej morki.

— Ale żar będzie, już smali. — Maryś ściągnął koszulę, ukazując spalone na ciemny brąz ciało. — To pewnie gdzieś tutaj?

Przy spokojnej wodzie nietrudno było odszukać deskę i butelkę wskazujące, miejsce zatopienia transportu.

— Odsapniemy po wiosłowaniu. Na dzień woda zimna, mógłby szlag trafić którego z nas. — Przejęty czekającą przygodą Pietrek zapomniał już o niedawnym starciu z chudym Gabrysiem. — Ciekawe czy to był transport ściśle wojskowy, czy też... Ale bierzmy się do roboty, jakąś tajemnicą tu pachnie, żeby nam nie zechcieli tylko sprzątnąć zdobyczy sprzed nosa.

Zabrali ze sobą trzy długie, mocne sznury zakończone u dołu kamieniami. Dwa z nich posłużyły do zakotwiczenia łódki. Trzeci kamień opuścili w tym miejscu, w którym zamierzali dostać się na dno. Lina stanowiła asekurację, a jednocześnie ułatwiła zgruntowanie i utrzymanie się na dole przez dłuższą chwilę.

Aparat do nurkowania pomysłu „Czartów” był bardzo prowizoryczny. Składał się z workowatej maski z wprawionymi w nią szybkami celofanowymi. Dzięki gumowym ściągaczom maska szczelnie przylegała do głowy. Odchodził od niej wąż pierścieniowy ze szwedzkiego

odkurzacza, długości ponad czterech metrów. Nurek mógł względnie swobodnie oddychać przez parę minut, pod warunkiem, że ktoś drugi utrzymywał koniec węża ponad powierzchnią wody. Nie była to sprawa bezpieczna, ale ryzyko 'jeszcze bardziej zapalało uczestników niecodziennej przygody.

Pietrek dyszał ciężko czując, jak uszczelniacze gumowe przyciskają mu uszy i brodę. Z uczuciem lęku zanurzał się do wody. W prawej ręce trzymał dużą latarkę, szczelnie zalutowaną. Robili próby przy pomocy, paliła się w wodzie. Jeszcze chwilę spoglądał przez szybki celofanu, a następnie trzymając się lewą dłonią sznura asekuracyjnego, *zaczai* się opuszczać na dno.

Oddychał z wysiłkiem, czuł, jak cała twarz zlewa się potem. Kurczowo ścisnął w ręku latarkę. W pewnej chwili boleśnie uderzył nogą o coś twardego. Uradował się. To ciężarówka. Nogami uchwycił mocno sznur, zabezpieczając się w ten sposób przed wypieraniem do góry. Czuł chłód i oślizłość grząskiego mułu, w którym nogi zanurzały się po kolana. Pod tą górną powierzchnią mułu dno było już twarde, jakby ubite klepisko. Tuż koło siebie czuł Pietrek jakąś ścianę. Przez szybki celofanu dostrzegł tylko ciemnozielony mrok. Przypomniał sobie o latarce, przesunął wyłącznik, mroczność złagodniała, ale nic więcej. Zrozumiał, że baterie są za słabe, pomyślał z żalem o podwodnych reflektorach, jakie oglądał kiedyś na filmie.

Trzymając się sznura, macał teraz przed sobą wyciągniętymi rękami. Tak trafił w poblize miejsca, które poznał już z poprzednich poszukiwań. Tylko wtedy zdawało mu się, że-wyczuwa pod dłonią opływowy kształt maski kryjącej motor; teraz zaś płaszczyzna dotyku była gładka, ciągnęła się długą linią.

Zaczynał się dusić, powietrze, jakim oddychał, było gorące. Usłyszał głos, dochodzący z daleka, jakby z bardzo głębokiej studni. Sięgnął dłonią do góry. Śliska, pokryta wodorostami płaszczyzna urywała się... Woda wyrzucała go coraz silniej na wierzch. Pozwolił jej trochę unieść się, przesunął się odrobinę w bok. Pod nogami wyczuł twardą płaszczyznę. Macał ją gorączkowo palcami nóg. Chwilami płaszczyzna urywała się, jakby dzieliły ją jakieś rysy. Olsniło go: to. muszą być skrzynie. Zatem świetnie trafili, znaleźli ciężarówkę załadowaną skrzyniami, A już był skłonny uwierzyć, że uniosła go bujna fantazja.

Czuł, jak mu płuca pęcznieją, a oczy zaczynają tak boleć, jakby coś *je* wyciskało do przodu. Oстрым szarpnięciem nóg odbił się od czegoś twardego, rwał do góry, na pół już przytomny. Wskoczył nad wodę jak korek, Ręce przyjaciół manipulowały przy masce, świeże powietrze wraz z ostrym blaskiem słońca uderzyło weń ostrą falą. Musiał wyglądać bardzo źle, przyglądali mu się z niepokojem. Obu rękami ciągle jeszcze trzymał się burty. Wciągnęli go wreszcie do łódki. Uśmiechnął się kącikami warg.

— Furda, nic mi nie jest... Zaraz wam powiem...

— Ponad trzy minuty tkwiłeś pod wodą. Za dużo na pierwszy raz — troskliwie strofował Maryś. — Odpocznij, mamy czas.

Posapując opowiadał z przejęciem:

— Piekielnie tam zimno i ciemno. Latarka guzik pomaga. Tuż pod nami jest ciężarówka, poszła na dno, tak jak stała na lodzie, na płask. Wylazłem na nią. Za ładowana skrzyniami, bo dają się wyczuć szczeliny. Już sił nie miałem. Dławiło mnie. Trzeba się teraz opuszczać bardziej na prawo. Diabelnie ślisko, wodorosty, mech podwodny. Uff — odetchnął.

Jaroszyk podjął latarkę, rzuconą przez Pietrka na dno łodzi. Próbował ją zapalić.

— Zamokła.

— I tak nic nie pomaga — uspokajał go Pietrek.

— No, teraz ja ganiam na dno — zgłosił się Bończa, gdy Pietrek przyszedł już całkowicie do siebie, — Bardziej na prawo, powiadasz? Trzeba linkę asekuracyjną przesunąć w tę stronę.

Z trudem wyciągnęli kamień, lepący się szlamem, spotrójniały w masie owijającej go moczarki kanadyjskiej. Przy ponownym zarzuceniu opadł nie tak głęboko jak poprzednio.

— Tak, to najlepszy dowód, że tam jest coś na dnie — rzekł Gabryś.

— Najważniejsze to, co ja mówiłem — zachnął się Pietrek.

— Czepiasz się jak rzep psiego ogona.

Maryś zakładał maskę.

Sprawdzili, czy mało skomplikowany aparat nie uległ jakiemuś uszkodzeniu. Działał należycie. Bończa pokiwał im dłonią, szybko zsunął się wzdłuż burty pod wodę. Gabryś obu dłońmi mocno trzymał wąż gumowy nad powierzchnią. Drgania węża oznajmiały, że Bończa dotarł do dna i gmerze się tam obmacując coś wytrwale dokoła siebie. Pietrek stał w łódce, wpatrzony w zagadkową głęb jeziora. Nie istniało dla niego teraz nic poza tajemniczymi skarbami Wyobraźnia roiała o niesamowitej wartości dziwnych skrzyń. Może spoczywa tam jakaś wehrmachtowska kasa pułkownika, może jakiś gestapowiec pragnął w ostatniej chwili wywieźć fortunę zebraną z ludzkiej krzywdy? Przekazaliby wtedy zdobycz państwu albo na cele sportowe, albo...

— Ty, ile to już minut, coś za długo on siedzi... — wyrwał go z tych rozkosznych zadumań Jaroszyk.

— Trzy — stwierdził patrząc na zegarek leżący na ławeczce łódki. — Nie ma strachu. Maryś zresztą lepiej ode mnie-posługuje się aparatem.

Wrócił do swoich marzeń.

Przyszła mu właśnie na myśl harda Mirka. Od czasu przygody na Czarziej Wyspie zniknęła

dawna jej przyjaźń. Stała się dziwnie niedostępna, rzadko kiedy odezwie się serdeczniej, unika jego towarzystwa... Ale gdyby tak wydobyli ten skarb, musiałaby go traktować inaczej. Przecież to jego pomysł, jego inicjatywa... „Czarty” tylko dopomagają. Gazety pisałyby o śmiałej, bohaterskiej inicjatywie. Wtedy dopiero pokazałby dziewczusze, że nie wolno go tak traktować... Nie wyjechał z ratunkiem na Śniardwy, no trudno, zląkł się, a może naprawdę był chory... Albo...

--- Ile minut? — w głosie Gabryśa zabrzmiał lęk.

— Cztery...

— Czemu on tak się szarpie na dole, patrz, jak wąż drga,... — Gabryś nachylił się nad otworem. Wołał: — Maryś, wyłaż, wyłaż...

Przyłożył ucho do wylotu węża, tak jednak, aby nie hamować przepływu powietrza. Zdawało mu się, że słyszy jakiś bulgot. Przeraził się. Zbladł. Spojrzał na Pietrka.

— Tam niedobrze, co robić? Patrz, zaraz pięć minut...

Pietrek zdecydował się:

— Będę nurkował trzymając się linki asekuracyjnej...

Już się zsuwał do wody. W tej samej chwili wąż drgnął tak silnie, że wypsnął się z ręki Jaroszyka i zanurzył w wodzie, przerywając tym samym dopływ powietrza do Bończy.

— Jezus, Maria! — Gabryś zdołał tyle tylko zakrzyknąć.

Pietrek zniknął pod wodą. Zabulgotało na powierzchni, szeroko rozsypały się bąble powietrza. Jaroszyk bezradnie patrzył na rozfalowaną powierzchnię. Nagle porwał za sznur asekuracyjny i napinając mięśnie wyciągnął go w górę.

Jednocześnie wynurzyły się obok łódki głowy Pietrka i Bończy. Maryś kurczowo, nieprzytomnie szarpał rękami maskę. Jaroszyk schylił się, próbował odpinać, nie szło, szarpnął całą siłą, zerwał maskę z twarzy przyjaciela. Twarz ta była nabrzmiąta krwią, oczy nieprzytomne. Zabełkotał coś, dłoń jego ześliznęła się z burty, głowa zanurzyła pod wodę. Gabryś złapał go za włosy. Pietrek dopomógł, przerażeni wciągnęli towarzysza do łodzi.

Bończa leżał przez chwilę, wreszcie zakrzuszył się, zaczął wymiotować i prychać wodą. Pietrek oprzytomniał, szybko przewiesił przez kolano przewalające się ciało kolegi, naciskał brzuch równomiernymi ruchami. Woda z ust Bończy lunęła strugą, zamachał dłońmi.

Ostrożnie złożyli go na dnie łodzi. Patrzył na nich przez chwilę nieswoim, dziwacznym wzrokiem, począł wreszcie oddychać gwałtownie, szybko, coraz to pokaszłując boleśnie.

Stali obok, bez słowa, wpatrzeni w twarz kolegi. Suchy, opryskliwy zawsze Jaroszyk schylił się, delikatnie gładził dłoń towarzysza.

W oczach miał wiele serdecznego ciepła.

— Mało brakowało... — szepnął roztrzęsiony Pietrek.

Wreszcie Maryś spróbował usiąść. Pomogli mu, oparł się plecami o ławkę.

— Uff! — odsapnął, dyszał ciężko.

Dopiero teraz w pełni poczęli zdawać sobie sprawę, na co się ważyli i jakie im niebezpieczeństwo groziło. Pietrek postanowił, że tylko on sam będzie się teraz opuszczał na dno...

Po jakiejś półgodzinie Maryś na tyle przyszedł do siebie, że mógł im w urywanych słowach opowiedzieć swoje przeżycia.

Gdy znalazł się na dnie pamiętając o wskazówkach Pietrka pragnął spenetrować dokładniej rozmieszczenie skrzyń na ciężarówce, które miał pod nogami. Obok skrzyń, jak to wyczuł, znajdowały się jakieś beczki. Na wszystkim grubą warstwą osiadł muł i zielsko. Jedna ze skrzyń widocznie obsunęła się przy wstrząsie i leżała ukosem, jakby wyrzucona nad pozostałe, oparta o nie kantami. Obmacywał ją zastanawiając się, w jaki sposób można by tu zaczepić łańcuch lub gruby sznur, aby wywindować zdobycz na powierzchnię. W tym momencie pośliznął się, prawa noga zapadła mu się w szczelinę pomiędzy skrzyniami zatopionego wozu. W żaden sposób nie mógł się wydobyć z tej pułapki. Szarpał się gorączkowo, czas mijał, robiło się duszno. Schylił się, dopomagał sobie rękami, nic nie pomagało, brzegi skrzyń trzymały nogę jak w kleszczach. Brakowało mu tchu, płaty latały przed oczyma. Zaczynał tracić przytomność. Wtedy dotarł do niego głos Gabryśia. Jakimś rozpaczliwym, szalonym wysiłkiem wyszarpnął wreszcie nogę ze zdradliwej pułapki. W tej samej chwili usta zalała mu woda, myślał, że pewnie wąż pękł. Chciał zerwać maskę, nie mógł, rozsadało mu głowę, czuł jeszcze tylko, że woda wynosi go na powierzchnię...

— Kurczę pieczone... Jakaś tak szarpnął się, to mi wąż wypadł z dłoni i wtedy zalała cię woda... Pietrek poszedł ci z pomocą — wyjaśnił Gabryś.

Jaroszyk w milczeniu wyciągnął linki kotwiczne, zasiadł do wiosł i skierował łódź w stronę brzegu.

— Mam gdzieś to wszystko! Dla jakichś skrzynek się topić? — rzekł stanowczo.

— Patrzcie, jakieś typy przyglądają się nam — Pietrek wskazał kilka postaci, bacznie śledzących ich z brzegu pomiędzy wioską a obozowiskiem.

Jaroszyk machnął ręką. Była mu już zupełnie obojętna tajemnicza zawartość zatopionych wozów. Na ruch ten niespodziewanie zareagował Bończa.

— Nie możemy rezygnować! Tylko sprawa/wymaga lepszych przygotowań. Trzeba się wystarać o jakiś reflektor. Może coś skombinujemy w Rucianem, tam jest świetny elektryk, fachowiec od takich historii. Może on coś poradzi?

— Pewnie — Pietrek był bardzo zadowolony z takiej postawy Bończy.

— Jak sobie chcecie, ale. na głupstwa więcej wam nie pozwolę — upierał się przy swoim Gabryś.

Przybijając do brzegu ustalili, że zachowają w tajemnicy szczegóły wydarzenia, aby nie stwarzać niepotrzebnego popłochu.

Maryś czuł się bardzo wyczerpany. Nie pragnął teraz niczego innego, jak tylko snu. Usnął natychmiast.

Jaroszyk siedział w pobliżu, spoglądając na przyjaciela z serdeczną troską. Jego nieforemna, brzydka twarz, wydłużona przez wielką, rozkudłaną czuprynę, wyszlachetniała teraz, wydawała się prawie ładna. Mirka parę razy spojrzała na niego z nie' ukrywaną sympatią. Podobała jej się koleżeńskość Gabrysia.

Pod wieczór stan zdrowia Marysia zaczął się komplikować. Chwilami mówił coś, jakby w przestachu, nie mogli jednak zrozumieć słów. Zośka ujęła jego rękę.

— Przyśpieszony puls — rzekła. — Musi mieć silną gorączkę.

— Nie ma co zwlekać, trzeba wezwać lekarza. Mamy tu przecie tego sąsiada z bródką — zdecydował Julek.. — Kto się przejdzie po niego?

— Ja pójdę — podniósł się Jaroszyk.

Po półgodzinie zjawił się wraz z doktorem Ginterem i jego żoną. Doktor robił miłe wrażenie. Trochę śmiesznie wyglądał w sportowym stroju, ze swoim trzęsącym się brzuszkiem i ciemnorudą bródką. Krótkie szorty z trudem opasywały tłuste ciało, bujne owłosienie nóg drżało na wietrze.

— No, gdzie jest nasz chory? — mówił trochę twardym akcentem.

Bończa zbudził się właśnie przed chwilą. Rozpalony jeszcze spoglądał dziecinnie po obecnych, dyszał ciężko, ale nie mówił nic. .

— Cóż nam dolega? — zapytał łagodnie doktor, przyklękując i Ujmując go mocno za puls.

— Nic nie boli. Tylko tak jakoś bardzo mi gorąco... i słabo.

Brodacz opukał i osłuchał Marysia dokładnie, przykładając kolącą swą bródkę do opalonego ciała chłopaka. Wreszcie podniósł się z kolan uśmiechnięty.

— No, chwalić Boga, nic tu nie ma groźnego. Gorączka wystąpiła na tle silnego wzruszenia. Podobno omal nie utonął? O, nurkowanie to niebezpieczna rzecz. Obawiałem się zapalenia płuc, ale nic na to nie wskazuje. Dwa dni sobie poleży i będzie zdrow, Po prostu silny wstrząs, chłopak musi być uczuciowy, wrażliwy, stąd taka ostra reakcja... Zaraz dam mu lekarstwo.

— Bardzo prosimy, może państwo posiedzą z nami? Z okazji tak miłych gości zaparzymy

kawę...

— Kawy nie odmówię... Po takim upalnym dniu świetnie powinna zrobić. Ładnie tu, piękne obozowisko -- mówił rozglądając się dokoła i szukając przy tym żony, która na uboczu rozmawiała z Pietrkiem.

Zrobiło się mroczno. Księżyc wschodził dopiero przed północą.

— Cudowna pora na węgorze. Lubię takie nocne połowy z ogienkiem ze smolaków w specjalnym kagańcu przymocowanym u dziobu łódki albo kajaka. Na rosówkę najlepiej je wtedy chwycić, ciągnąć w stronę ognia i chętnie żerują...

— Słyszałem o takim sposobie, ale nigdy jeszcze nie próbowałem. — zaciekawiał się Julek.

— Nie wiem, czy się tutaj powiedzie. Nie znam na tyle Jeziora Gardyńskiego. Spróbuję. Jeżeli dobrze pójdzie, będę zachęcał do tego sposobu. Całe zmartwienie, że żona nie entuzjazmuje się wędkarstwem, nudzi się w tych godzinach, które ja spędzam z wędką na wodzie...

— Głośno tu o panu, doktorze, praktyka rośnie. Nie przeszkadza to wypoczynkowi? — wtrąciła Mirka.

— Cóż robić... Przecież nie zostawię biedaków bez pomocy. Mam jakiś szczególny sentyment do mazurskiego ludu.

— Słyszymy nieraz, jak śpiewacie państwo wieczorami... — doktorowa włączyła się do rozmowy, uśmiechała się przy tym przymilnie. Podobała się wszystkim, nawet Julkowi.

— Prosimy na nasze wieczory przy ognisku — wyrwał się Pietrek, zapatrzone w rozchylone wargi pani Mery.

— Dziękujemy, ale my także lubimy nasze ognisko... Śpiew słyhać z daleka, to nawet ma swój urok. Słyhać tak poprzez las... Wyłączam wtedy radio i...

— O, to państwo macie radio? — zdumiały się dziewczęta.

— Tak, na baterie. Przemiała rzecz na wakacjach, no i wygoda. Światło też mamy, żona czyta nieraz do późna w noc — uśmiechnął się doktor, rad, iż może się pochwalić wygodami, jakie - zainstalował w swoim namiocie.

— A nie ma pan jakiegoś silnego reflektora, który by mógł świecić pod wodą? — przypomniał sobie Pietrek dzisiejszą przygodę.

— Nie, kochany panie. Reflektory przy aucie nie są szczelne. Ale jutro wyjeżdżam do Olsztyna, mógłbym zajrzeć tu i ówdzie, może coś znajdę, jeżeli to pana tak interesuje. To pewnie do tych wypraw podwodnych, jakie tu panowie przedsiębiorzecie? Żona mi wspominała, pan jej, zdaje się, mówił już o tym... — doktor badawczo spojrział na Pietrka siedzącego obok pięknej kobiety.

Nie wiadomo czemu, ale Pietrek był pewien, że w spojrzeniu tym i w słowach na pozór

niewinnych kryje się jakaś groźba.

— Państwo długo tu jeszcze zostają? — po chwili znów odezwał się doktor przyglądając swą bródkę, zupełnie czerwoną teraz w blaskach ogniska. — A kawa naprawdę świetna, muszę przekazać paniom moje uznanie.

— Zamierzamy tu jeszcze jakiś czas biwakować... Może przez cały sierpień — z lekka wyczuwaną niechęcią wyjaśnił Julek.

Doktorowa wodziła po wszystkich wiecznie śmiejącymi się oczyma.

— Przepraszam, ale zdawało mi się, że panów tu więcej w obozie. Czyżbym się myliła?

— Brat wyjechał do Olsztyna w jakichś tam sprawach — Pietrek jak zwykle pośpieszył z odpowiedzią.

Doktor zajrzał jeszcze raz do chorego. Po zażyciu lekarstw Bończa spał już znacznie spokojniej, Oddychał równo, twarz jego nabrała normalnej barwy, znikły wypieki.

— Bardzo mili ludzie, a ona jest naprawdę ładna. Tylko jakby zahukana przez niego — rzekła Mirka, kiedy doktorostwo zniknęli na ścieżce wiodącej wśród drzew.

— Et, wygląda na lalkę — Zośka nie mogła się przekonać do doktorowej.

Tylko Pietrek miał powód do wewnętrznej radości. Pani Mery powiadomiła go o najbliższym wyjeździe doktora, proponując w związku z tym małą przejażdżkę kajakiem... Tak go pociągnęła ta myśl, że nawet zapomniał o Marysiu i skarbach w jeziorze. Pogrążony w słodkich marzeniach leżał długo, nie mogąc doczekać się snu.

13. Uśmiech pani Mery

— Chcę wam oznajmić pewną niespodziankę — śmiał się rozradowany Kostek. Siedział na pomoście z nogami opuszczonymi do wody. Kapał się niedawno, krople na jego ciele szybko wysychały na słońcu.

Mirka brnęła w Jego stronę przez płytką wodę, Wypłynęła przedtem daleko na środek jeziora, Wołała teraz z udanym oburzeniem:

— Zaczekaj na mnie. Cóż to, mam zostać bez niespodzianki?

— Pycha dziewczyna! — mruknął kanciasty, rozrośnięty Jaroszyk, spoglądając na zgrabną figurkę Knipianki. Jasne włosy odcinały się ostro od granatowego kostiumu kąpielowego.

— Aha — mruknął Pietrek, zaraz jednak zreflektował się, że doktorowa jest zbudowana nie mniej wspaniale. Może tylko nogi ma krótsze niż Mirka, no ale i sama jest niższa. Pomyślał o zbliżającej się godzinie umówionego wczoraj spotkania i uśmiechnął się do swych myśli.

— Coś robaczywego musisz mieć w łepetynie... — badawczo spojrzął na niego Bończa.

— No, jestem — Mirka gramoliła się już na pomost.

— Wiecie, że miałem być z wami, tylko przez miesiąc, w sierpniu bowiem odbywam praktykę wakacyjną — zagał Kostek zaciągając się mocno papierosem i złośliwie puszczając dym prosto w nos siostry.

Trzepnęła go z całej siły przez ramię.

-- Zośka, bo poskarżę się Edwardowi — zaśmiał się Kostek, rozcierając dłonią zaczerwienione miejsce.

— Gadaj już, gadaj — zmieszała się.

— No więc... Do ostatniej chwili nie mieliśmy skierowań... Skorzystałem z tego i sam je sobie załatwiłem w Olsztynie. Dziekanat zgodził się na moją prośbę. Pierwszego sierpnia zaczynam praktykę w majątku pegeerowskim w Wyrajach. Co wy na to?

— Brawo, to ślicznie! Będziemy się mogli widywać, wieczorami zawsze wpadniesz na nasze ognisko — ucieszyła się Mirka klaszcząc w dłonie.

— Teraz rozumiem, czegoś ty łaził do pegeeru — pokiwał głową Pietrek.

— I dzisiaj znów tam idę... Zaniosę nowinę kierownikowi, przy okazji zaś podskoczę do zespołu, to kawałek drogi.

— We wsi już zaczynają żniwa — wtrącił Julek.

Kostek spojrzał na niego bystro, wyczuwając myśl pulsującą pod tymi słowami. Julek zapatrzył się właśnie w niebo, tylko jego wargi nie potrafiły już powściągnąć lekkiego uśmiechu.

— No, no, kurdefelek, tylko nas nie próbujcie wciągnąć w jakąś tam akcję żniwną — odął się Pietrek, sceptycznie nastawiony, do wszystkich pomysłów brata.

Kostek spojrzał krzywo.

— A jeżeli, to chyba korona nie spadłaby z głowy? Tam w pegeerze spokojnie, burzy nie będzie — dociał zjadliwie.

Julek poderwał się, ze swego miejsca j stanął pomiędzy braćmi. W samą porę, bo zaczerwieniony Pietrek naczupurzył się jak kogut i zacisnąwszy pięści szykował się już do bójki.

— Pietrek, zgłupiałeś do reszty? — rozzłościła się Zośka.

Opanował się, odsunął się na bok.

— Niech się czepia tramwaju, nie mnie, bo gnaty policzę.

Jaroszyk spojrzał mu w twarz i wybuchnął śmiechem, Pietrek opuścił głowę. Dziwne, przed Gabrysiem czuł jakiś szczególny respekt. Już drugi raz ustępował mu bez słowa: przed namiotem dziewcząt i teraz,

— A ja się trutniowi o latarnię starałem — z żalem rzekł Kostek,— Trąba nieużyta...

— Co, masz reflektorówkę?! — porwali się Gabryś z Marysiem.

— Znajomy mi pożyczył. Mówi, że pali pod wodą Piekielnie silna. Myślę, że tak czy owak może się nam przydać.

— Górą nasza! Julek, kiedy „Gawron” będzie na chodzie? — entuzjazmował się Bończa.

— Może dziś skończę. Zdaje się, że znalazłem źródło defektu — trochę niepewnie odpowiedział Kania.

— Sznury i łańcuchy już mamy. Wybadamy latarką, a wtedy...

— Znowu będziesz się topił.. W ogóle czemu, Maryś, nie leżysz, jak ci doktor nakazał? — Julek usiłował przybrać marsowy wyraz twarzy.

Pietrek nie mówił nic, tylko jego oczy roziskrzyły się nowym zapalem, Z trudem panował nad sobą, aby nie wybuchnąć radością

Jednak ten Kostek morowy chłop, kurdefelek, żeby się tak tylko nie stawiał — pomyślał.

— Pora już do roboty — Julek podreptał do rozłożonego na części motoru „Gawrona”.

— Mirkę i mnie oczekują w Wyrazach. Umówiliśmy się z Edkiem i paru dziewczętami. Mają nam pokazać, jak się robi firanki ze lnu — Zośka oblała się nagle rumieńcem.

Chłopcy widząc to wymownie tręcili się łokciami, Mirka powstrzymywała śmiech, nie dała jednak rady, zanosła się głośnym chichotem.

— My na rybkę — podniósł się Jaroszyk. — Maryś, nie bierz wiosła. Jesteś chory i najwyżej możesz się na kajaku opalać. Pietrek, jedziesz z nami?

— Może trochę później. Gdzie będziecie?

— Pojedziemy na to najbliższe jeziorko. Tam wzdreği żerują Zresztą wydaje mi się, że ty też zastawiasz przynętę na rybę, trochę tylko większą od naszych. Ano, rzecz gustu!

Pietrek pogroził mu zaciśniętą pięścią. Słyszając jednak powszechny śmiech, sam musiał się w końcu rozjaśnić.

Nie minęło pół godziny, a w obozie pozostał jedynie Julek, posapujący przy składaniu motoru.. Nawet Krut wymaszerował wraz i dziewczętami do wioski.

Pietrek wyczekał, aż „Czarty” przybliżą się kajakiem do przeciwległej strony jeziora. Wtedy dopiero powiosłował wzdłuż brzegu pod obóz doktorostwa Ginterów. Julek spoglądał za nim niechętnie: mierzył go flirt Pietrka z piękną doktorową. W końcu wzruszył ramionami, wracając do przerwanej roboty. Pietrek ma przecież już swoje lata i rozum, nie będzie mu prawil kazań moralnych. Ujął klucz francuski i poczał dokręcać jakieś śruby, przedtem starannie oliwiąc je i pociągając grubą warstwą towotu..

Nagle z daleka dobiegło go przytłumione ale wyraźne echo strzałów. Podniósł się, nasłuchiwał. Pietrek na kajaku również odłożył wiosło. Liczył: Raz, dwa, trzy... Ucichło. Potem poniosły się powietrzem jeszcze dwa strzały, mocniejsze od poprzednich, bardziej suche. Znow

odpowiedziały mu cztery przytłumione, krótkie, jakby ktoś nacisnął spust automatu...

— Oho! — szepnął Pietrek do siebie: — Karabin i spluwa wielostrzałowa. Cóż to za leśna rozróbka? Grapsza? Chyba nie...

Długo jeszcze nasłuchiwał, ale żadne echa więcej nie nadchodziły. Otrząsnął się z zamyślenia, ujął znowu za wiosło, W końcu pani Mery więcej go teraz obchodziła niżeli wszystko, co działo się w lesie.

Był w świetnym humorze. Niech sobie głupia Mirka nie myśli, że można z nim tak poczynąć, jak byle hetką-pętelką, Doktorowa trochę ciekawsza od niej, a jednak nie stawia głupich oporów, sama zaproponowała spotkanie. Niech teraz Knipianka zazdrości, może się pocieszyć Jaroszykiem lub Bończą. Rozmyślał w ten sposób, a jednak głęboko we wnętrzu gryzł go żal, że Mirka tak go potraktowała...

Płynął tak ciągle pod osłoną drzew, rzucających na wodę długi cień, przybliżył się do obozowiska doktorostwa Ginterów. Cicho tam było, spokojnie. Postanowił zaskoczyć panią Mery, Ostrożnie, starając się nie czynić żadnego szelestu, przybił do brzegu Na piasku dnem do góry leżał pyszny składak, przedmiot zazdrości Pietrka, Musnął go i teraz zachłannym spojrzeniem i jął się skradać pod górę Wyjrzał ostrożnie. Tak, samochodu nie było, doktor rzeczywiście wyjechał Z namiotu dobiegała przyciszona muzyka i wystawały zgrabne, opalone nogi kobiece. Przez chwilę patrzył na nie łakomie, potem kocim krokiem podbiegł pod namiot. Stanął przy nim zakryty boczną płachtą, twarz rozjaśniła mu się szelmowskim uśmiechem, przypadł do ziemi, przesunął głowę ku kuszącym łydkom i przywarł do nich ustami.

— Och! — pani Mery poderwała się z okrzykiem przestachu. — To pan... — miała na sobie opinający ciało kostium kąpielowy koloru wiśni. Dłonią chwyciła się za serce, ale uśmiechała się lekko, jakby przyzwalająco. Pietrek zamiast słów przywitania jeszcze raz schylił się ku jej nogom. Szybko podkurczyła je, ujęła rękę chłopca w dłonie, zaśmiała się krótko, urywanie. — Nie można, nie można... Kto to widział, tak obcesowo, nawet nie zapytać o pozwolenie. Gniewam się na pana, brzydki chłopak... — dąsała się.

— Bardzo przepraszam, bardzo — tłumaczył się nie zmieszany. — Nie moja wina, nikt by się nie powstrzymał.

— Proszę mnie mocno przeprosić — wyciągnęła do niego drobną, wypielegnowaną rączkę, gładziutką jak aksamit. — Prawda, jaka przyjemna muzyka? Aż ochota wzbiera do tańca — skinęła głową w głąb namiotu, skąd dochodziły przyciszone dźwięki jakiegoś tanga.

Pietrek oderwał usta od jej dłoni, zaproponował taniec, bezczelnie przy tym spoglądając na jej zgrabną, kształtną figurę.

— O nie — odpowiedziała innym już zupełnie, zimnym tonem, jakiego jeszcze u niej nie słyszał. — Nie w takim stroju. A zresztą, jest wiele innych powodów, dla których również nie...

Pietrek tracił głowę. Z namiotu płynęła woń dobrych perfum, jeszcze ta muzyka i ta piękna, dziwna kobieta. Spojrzał zdobywczo, przysunął się do niej bliżej, szepnął gorąco:

— A pocałować?

— Nie! — słowo to dobiegło go ostrym, suchym trzaskiem — Mieliliśmy bodaj odbyć kajakową wycieczkę? Pan, zdaje się, zapomniał o tym...

— Ależ nie — zmieszał się. Kłął siebie za przesadny pośpiech.

— Proszę, tu trochę jedzenia i słodyczy — podała mu niewielki koszyczek. — Pojedziemy składakiem, jest bardzo zwrotny i wygodny.

Zgodziłby się jechać czymkolwiek, byle tylko z nią. Zawojowała go całkowicie. Ani mu przez myśl teraz nie przeszłaby Mirka Był pokornie posłuszny, czuł jednocześnie, jak drży z zachwytu spoglądając na uśmiechającą się leciutko Mery.

Kajak rzeczywiście był bardzo wygodny i zwrotny.

— Żeby była choć mała morka, to byśmy wzięli żagielek. Ale cisza i tylko żar wali się z góry — spojrzała na blade niebo, czyste, bez śladu chmurki.

Pietrek wiosłował, spoglądając na urocze, odsłonięte plecy swej towarzyszki. Płynęli w stronę Krutyni. Rzeczka tworzyła zarośnięte trzcinażakola, przesmykiwała się kilkoma nieraz nurtami przez gąszcz sitowia, pociągała nieprzejrzaną płaszczyznę szuwarów. Jakiś czas trwało milczenie. Pietrek czekał na zachętę do rozmowy, ale pani Mery paliła spokojnie papierosa i nawet nie odwróciła się ani razu do niego. Wjechali w zwięzający się przesmyk, gdzie woda była czysta, bardzo przejrzysta i niegłęboka. Smyrgały na strony pręgowane okonie i z trudem dostrzegalne dzięki dostosowaniu barwy klenie i jelce. Duży jaz, łyskający czerwonymi, krwawymi skrzelami, skrył się błyskawicznie w zielsku porastającym dno. Maleńkie ptaszki trzciniaki nie robiły sobie wiele z podróży, beztrząsko harcowały na łodygach wodnego lasu, gmerały się, popiskiwały cieniutko.

Doktorowa obróciła się nagle, rzucając jednocześnie niedopałek papierosa do wody. Zapsykał, zaraz porwał go łagodny prąd.

— Była chwila, że chciałam już zrezygnować z naszej wycieczki — uśmiechnęła się po swojemu.

— Czemu?

— Zraziło mnie zachowanie pana, Pietrku... Nie lubię takiej obcesowości. Niczym zresztą nie upoważniłam pana do niej...

Patrzył na nią spod przymrużonych powiek. Zdziwiła się.

—Cynik z ciebie, chłopcze — westchnęła zabawnie. — Umówmy się jednak, że więcej nie będzie pan próbował kusić się o pocałunki, dobrze? Należę do kobiet, które nie znoszą natręctwa w tych sprawach. Lubię przyjaźń i tylko przyjaźń. — W tonie jej głosu był jakiś nakaz, jednocześnie zdawało mu się, że nie mniej wyraźna brzmi tam kpina. Zglupiał, nie-wiedział, co odpowiedzieć, bąknął zmieszany:

— Dobrze, jak pani sobie życzy, Mery.

Podala mu rączkę do ucałowania,

Ujęła za wiosło, płynęli w górę rzeki, ginąc przed ciekawskimi oczyma w sklepionym tunelu nadbrzeżnych drzew.

—W powrotnej drodze będzie się można położyć i zdać na łaskę prądu, najwyżej dopomagając mii sterem... — przeciągnęła się leniwie, usiadła w ten sposób, że z góry widział teraz dobrze jej twarz, kształtną, jakby szczególnie pieczołowicie modelowaną przez naturę. Wargi, rozchyłały się trochę; były piekielnie kuszące i Pietrek kilka krotnie przetykał napływającą mu do ust ślinę. Długie rzęsy osłaniały oczy, Czasem podnosiły się trochę do góry i Pietrek widział wtedy śmiejące się, żywe wejrzenie. Raz tylko wydało mu się, że w oczach tych, jasnyniebieskich jak woda rzeczki, zamigotało coś bardzo surowego, niemal okrutnego, ale musiał to być jedynie refleks światła odbitego od trzciny, bo zaraz w źrenicach pani Mery zaskrzyły się zwykłe, kuszące ogniki.

Rozszczebiotała się teraz. Była bardzo bezpośrednia. Pietrek nawet nie wiedział, kiedy dał się wciągnąć w żywą, błyskotliwą rozmowę. Dowiedział się, że doktor Ginter jest bardzo, ale to bardzo dobrym człowiekiem, a już własnej żonie to naprawdę gotów nieba przychylić. Że z natury jest zarazem powściągliwy i surowy, mało rozmowny, że będąc zapracowany niewiele tylko czasu może poświęcić żonie i nieraz dni jej się dłużą, szczególnie zimą... Ot i teraz, obowiązki znów go pognały na jakąś sesję naukową, ma tam wygłosić referat.

Pietrek szczerze litował się nad jej dołą. Oburzony był na doktora, który nawet na wakacjach dogadzał swoim zachciankom, całymi dniami łowiąc ryby, podczas gdy ona się nudzi na brzegu. A jeszcze tak rozwinął tu praktykę lekarską, że resztę czasu zabierają mu chorzy.

— Ja bym się nie przyznał, że jestem lekarzem — powiedział.

— Prawda? — uśmiechnęła się spod rzęs. — Też tak mówiłam mężowi, ale wtedy zaczął mi wyklądać o etyce lekarskiej. Mówmy lepiej o czym innym... Jakże w waszym obozie? Co będzie, jeżeli wszyscy; rozkochacie się w swych dziewczętach? Do pojedynków dojść może.

— Ech, siostra i ta koza, nikt się tam w nich kochać nie będzie. Ja zresztą z góry ustępuję, mogąc panią, Mery, widywać — zapalił się.

Pieszczotliwie przeciągnęła dłonią po czuprynie chłopca. Potem spojrzała na brzeg,

wyższy w tym miejscu, zieleniejący bujniejszą, niżeli gdzie indziej trawą.

— Proponuję śniadanie. Tu świetne miejsce.

Zaledwie wysiedli, zajęła się rozpakowywaniem koszyczka Pietrek nie potrafił ukryć wrażenia na widok pudełka sardynek, a potem małej flaszki koniaku. Nie zdarzyło mu się jeszcze w życiu próbować jednego i drugiego. Zaraz potem wytrzeszczył oczy na pyszne złociste renklody.. Pani Mery zaśmiała się jak mała dziewczynka i nim Pietrek się zorientował, wepchnęła mu jedną w usta.

— Mąż się zdziwi, skoro dostrzeże brak koniaku, ale chciałam uświetnić naszą ucztę — uśmiechnęła się tak obiecująco, że Pietrek zupełnie się już zatracił. Czuł się jak zdobywca Mont Everestu. Bo jakże, tak wspaniała kobieta 1 wybrała właśnie jego, licealistę.. Ech, Mery, jak cudny jest świat, słońce, twoje włosy, usta, te renklody, w ogóle wszystko... Huczało mu pod czaszką, nie wiedział: z upału czy z zachwyty.

Pili z jednej szklanki. Wargi doktorowej zostawiały na brzeżku ledwo widoczny, delikatny ślad karminu. Pietrek w tym miejscu przytykał usta do szkła. Widziała to, uśmiechała się z lekką przekpinką On zaś nie czuł nawet, jaki smak mają sardynki i inne przysmaki. Cały poddał się przemożnemu urokowi jej osoby.

Przekomarzali się, mówili o głupstwach, oboje we wspaniałych humorach, zachwyceni sobą i światem.

— Nim przyjechałeś, miły chłopcze, słyszałam jakieś strzały z lasu. Bałam się trochę...

— Furda tam, kurdefelek — zawstydził się trochę swej wulgarności, pilnie zważał na dalsze słowa. — Pewnie leśniczy albo jakiś myśliwy, choć to właściwie nie sezon łowiecki... Albo kłusownicy, podobno sporo ich jeszcze tutaj mówił mi pan Grapsza.

W pewnym momencie zapragnął przygarnąć ją do siebie i ucałować, zapominając o poprzednich zastrzeżeniach, ale zaoponowała ostro.

— Nie!

Skrzywił się jak dziecko, któremu odebrano zabawkę. Po chwili śmiał się z jakiejś jej opowieści. Czas mijał, a oni tego nie dostrzegali Pietrek opowiadał Mery o swoich towarzyszach z obozu, o niedzielnym meczu siatkówki, o panu Gwiździe i tajemniczej kradzieży spadochronu, o tym, że Kostek przywiózł reflektorówkę, świecącą pod wodą, że po wydobyciu skarbów z dna jeziora, przyjedzie do Gdańska, aby się zrewanżować za koniak pyszną kolacją w najlepszym lokalu. Słuchała go, śmiejąc się, wpytując o różne drobiazgi, jak choćby o połów ogromnego szczupaka, od którego nadali nazwę zatoce, czy o dwóch młodych przybyszów, z których małego blondasa leczył wczoraj jej mąż... Ciekawili ją bardzo Julek i Fajfer, kilka razy wypytywała o Mirkę, aż Pietrek pomyślał, że powoduje nią zwykła, kobieca, zazdrość, i jeszcze

bardziej pysznił się w duchu przed samym sobą.

Południe dawno minęło, gdy poczeli się zbierać w powrotną drogę. Doktorowa narzekała trochę na słońce, które ją bardzo zmęczyło. Nie pomogła nawet kąpiel w czystej rzeczulce. Pani Mery straciła swa werwę, próżno Pietrek starał się ją rozruszać rozmową.

Dopiero gdy wypłynęli znowu na wody zatoki, w oczach doktorowej zapaliły się te same wesołe uroczę błyski, co zawsze. Śmiała się swym pięknym, powściągliwym śmiechem, który przypominał Pietrkowi wiosenny śpiew ptaków w Łazienkach.

Od strony jeziora Malinówko, otwierającego szlak na Beldan i Śniardwy, również wypłynął kajak. Pietrek udawał, że nie słyszy donośnego pohukiwania kolegów. Pani Mery śmiała się z jego zażenowanej miny.

Dobili do obozu doktorostwa. Drzewa skryły ich przed oczyma Czartów kierujących się do swojej przystani.

Doktorowa długą chwilę przypatrywała się Pietrkowi spod przymrużonych powiek. Potem wybuchnęła nagle radosnym śmiechem. Spojrzał zdziwiony. Ona zaś przytuliła się do oszołomionego chłopca, wyciskając na jego wargach krótki, ale mocny pocałunek. Chciał ją porwać w ramiona, ale wysliznęła się zręcznie.

— O nie, miły chłopiec jest za łakomy...

— Zobaczymy się jeszcze dzisiaj, prawda? — szepnął odurzony. Zaprzeczyła stanowczo. I znów zdawało mu się, że w niebieskich źrenicach zamigotały przez chwilę ostrzejsze błyski.

— Ani dzisiaj, ani jutro. Mam sporo pracy. Może pojutrze...

— Czemu?

— Nie warto pytać za wiele. Lepiej się cieszyć tym, co było, a co może się jeszcze powtórzy.

— To kiedy, pojutrze?

Uśmiechnęła się.

— Może jutro zajrzą do was na ognisko. Jeżeli nie, to czekam tutaj pojutrze rano, tak jak dziś.. Tylko, miły chłopcze, pamiętaj,, nie pokazuj za wiele po sobie, jak będę u was. Niech to będzie nasza, wyłącznie nasza słodka tajemnica, dobrze?

Czegóż by on jej teraz nie przyobiecał!... Odjeżdżał z żalem, te już się muszą rozstawać. Oglądał się, gdy długo jeszcze stała na brzegu, jasna blondynka w ciemno wiśniowym kostiumie, wiotka, urocza...

W obozie byli tylko obaj licealiści. Przywitali Pietrka wybuchem szatańskiego, śmiechu.

— Rybka się łapała, he?

— Nie będziesz już więcej Mirki podglądał, nygusie?

— Zamknij jadaczkę, kurdefelek — warknął groźnie Pietrek, ale jeszcze bez złości.

— Daj mu spokój — łagodził Bończa. — Wiecie, zbadajmy reflektor, który Kostek przytaskał z Olsztyna.

Poczłapali do namiotów, gdy od strony leśniczówki szybkim krokiem przypędził Julek, Był bardzo wzburzony. Spojrzał na chłopców, chwilę wahał się, potem przyciągnął ich pod brezentowe pokrycie przed namiotami.

— Słowo, że ani pary z ust nie puścicie. Ważna i nieprzyjemna sprawa.

— Słowo! — rzekli wszyscy-trzej.

— Pamiętajcie, bo moglibyście strzelić wielkie głupstwo — Kania szczególnie bacznie spojrzał na Pietrka.

— Słowo, powiedziałem już przecie — zachnął się Godycki.

— W chwilę po waszym odjeździe rozległy się w lesie strzały.

— Słyszeliśmy. Jakby karabin, a potem automat — potaknął Jaroszyk.

— O, właśnie... Byłem teraz w leśniczówce, bo przyszła po mnie leśniczyna. Strzelano do pana Grapszy.

— Kto?! Kto strzelał?!

Poderwali się z miejsc podnieceni, przejęci.

— Ba, żeby to wiedzieć! W tym tajemnica. Słuchajcie, co mi opowiedział leśniczy.

— Zaraz, zaraz, ale co z nim? Ranny?!

— Lekko draśnięty w ramię, druga kula przeszła mu czapkę. Miał szczęście. Mógłby już ziemię gryźć... No, więc tak... Robił obchód północnej części rewiru, daleko za jeziorkami leśnymi. Tam, właśnie, gdzie znaleźliśmy spadochron! Szedł gęstą puszcza, świerk się tam rozrósł i grab, dołem zwarte krzaki leszczyny. W pewnej chwili zauważył dwie sylwetki, przecinające bór na przełaj. Zaciekawily go, nie był to nikt znajomy. Skróttem przez zagajnik zaszedł im drogę, wychynęli o rzut kamieniem od niego. Dostrzegli go, zobaczyli zaraz, ale nie biegli, szli tylko szybkim krokiem... Wydawało mu się to podejrzanе, zdjął dubeltówkę, krzyknął-za nimi. Przystanęli. Ledwie zrobił parę kroków w ich stronę, bliższy z tamtych wyciągnął rewolwer, strzelił dwa razy. Świsnęło tylko Grapszy koło ucha. Złożył się i w tej samej chwili strzelił kilkakrotnie, uskakując, jednocześnie za drzewo. Wtedy puścili w niego serię jakby z automatu; trudno to określić, nie mógł przecie widzieć, z czego to wałał do niego.

— On sam już więcej nie strzelał?

— Tak, coś ze dwa razy... Potem tamci wycofali się i zniknęli. Grapsza nie ma psa, ktoś mu go otrul przed dwoma miesiącami. Prózno potem kołował po lesie, szukał jakichś śladów. Nic, głuchy bór...

— Kto to mógł być? — zastanawiał się Pietrek.

— Ba! — cmoknął Julek ustami. — Żeby to wiedzieć!

— Może kłusownicy?

— Grapsza mówi, że mogło tak być... Tylko że kłusownicy mieliby dubeltówki albo obrzezanki, jak tutaj się trafia, ale nie rewolwery czy nawet automat... Nie mógł też w ich sylwetkach rozpoznać nikogo z tutejszych mieszkańców. Twarze mieli zresztą przysłonięte kaszkietami...

— Kaszkiety niejedni nosi. A ubrania?

— Podobno zwykłe robocze, jakich tu pełno.

— Co leśniczy przypuszcza?

— Właśnie że nie może zdać sobie sprawy, co to ma znaczyć. Jest mocno zaniepokojony. Mówi, że w jego rewirze za wiele ostatnio się dzieje niedobrych, tajemniczych rzeczy. Obcy ludzie, tamten spadochron, dzisiaj strzały. Myślę, że wie może nawet coś więcej, ale nie chce albo nie może mówić.

— Kurdefelek!

— Grapsza jedzie teraz na milicję do Mikołajek... A mnie przywołał, aby nas ostrzec. Radził, abyśmy byli ostrożni i samotnie po lesie starali się raczej nie chodzić. W ogóle zastanawiam się, czy nie byłoby wskazane zwinąć obóz. Jaki sens was narażać?

— Jak to was? A ty?

— Ja? Ja bym tu został. Może tylko zamieszkałbym w wiosce. Kostek będzie w pegeerze, jak Edek Fajfer, zawsze coś dobrego próbowalibyśmy zrobić wśród ludzi. Ja też myślę, że tutaj święci się coś grubszego, że to nie kłusownicy.

— Zanosi się na romansik w dechę — ucieszył się Gabryś. — Może nakryjemy jaką paskudną robotę, co? Tobo dopiero miał człowiek wspomnienia z wakacji... Jak ty to widzisz, Maryś?.

Maryś wypatrywał czegoś na jeziorze. Zamiast odpowiedzi wskazał palcem. Spojrzeli. Na środku, właśnie koło miejsca, gdzie na dnie spoczywały zatopione ciężarówki, wierzciła się łódka. Siedziało w niej dwóch mężczyzn. Jeden wiosłował, drugi przechylony nad burtą szukał czegoś w wodzie. Pietrek poderwał się jak wyrzucony z procy.

— Jak pragnę zdrowia, oni szukają tych butelek-znaków. Kurdefelek, jedziemy tam, przegnamy na cztery wiatry!

Julek złapał go za ramię, ścisnął mocno, aż Pietrek zasyczał.

— Uspokój się. Taka to ich własność jak twoja. Może to oni właśnie założyli te znaki. W każdym razie nie ma sensu przeszkadzać im w czymkolwiek. Inna sprawa, że i to też wygląda podejrzanie. Diabli wiedzą co tu w końcu się dzieje. Trzeba rzecz wywąchać w Wyrajach. Na

pewno sięgają tam jakieś nici... Tylko jak to zrobić, jak zrobić?

Pietrek spojrzął na niego zezem, zwrócił się do Czartów:

— Ej, wiara, z tego wniosek, że trzeba jak najszybciej zabrać się do roboty. Bo nam kto inny uprzętnie te skrzynie... Co w nich może się mieścić, że tylu jest na nie amatorów?

Przytaknęli, ciągle patrząc na łódkę, która teraz przestała już kręcić się w kółko, Wiosła mocniej uderzyły o wodę, łódka zawróciła w stronę Malinówka.

— Wieczorem musimy się dobrze naradzić. Tu się szykuje niegorsza kabała, czuję to... Nie wiem, czy mamy prawo ryzykować, są z nami kobiety. Tak, rzecz trzeba obgadać...

— Julek, jest motor? — zapytał Pietrek, ciągle myśląc o tajemniczych skrzyniach.

-- Jeszcze nie gotowy, ale już niewiele zostało— odparł Kania, podpierając brodę rękami i zamyślając się nad sposobami rozwikłania dziwnych spraw, które skupiały się wokół wioski, majątku, obozu i leśniczówki oraz jeziora.

14. Mały Klaus

Jednostajny, wesoły chrzęst dwóch pełnących obok siebie żniwiarek panował niepodzielnie na polach PGR Wyra je. Młody barczysty chłopak na wysokim siedzeniu pośpiewywał kiepskim głosem chropawą melodię. Czasem urywał, ścierał rękawem przybrudzonej koszuli pot z czoła, oglądał się za siebie, ochoczo pokrzykiwał na konie i zaczynał swą śpiewkę od nowa.

— Ale spiekota — westchnęła Mirka wprawnym już ruchem motając powrósem nowy snopek.

— Marzę o kąpieli. Nie potrafię chyba wyprostować się, tak boli mnie w krzyżu — zastękała Godycka.

Żar sypał się z nieba bez miłosierdzia. Coraz to odrywał się ktoś od pracy pędząc do dzbana z serwatką albo do wiadra z wodą donoszoną przez maleńkiego chłopczykę. Pola PGR otaczał z trzech stron las. Od rozgrzanych sosen nadlatywał mocny zapach żywicy. Zieleń lasu spływała po złocistą żółć dojrzałego zboża. Wesołymi plamami wykwiwały wśród tego złota chusty kobiet. Porzucone przy snopkach leżały białe koszule. Noże żniwiarek migocącym srebrem zataczały koła w powietrzu, łaciaty koń płoszył się czasem, podrzucając kasztanowatym zadem.

— Od kilku lat nie byłem przy żniwach — westchnął Fajfer, uparcie trzymający się nie opodal Zośki. — To pyszna robota, chociaż męcząca...

— Patrz, Pietrek już zapomniał o doktorowej, nadskakuje teraz tej buchalterce, a pracuje przy tym, tylko się kurzy...

— Ona na Kostka patrzy... Zastanawiam się, czy nie tu szukać przyczyny jego starań o

przydział praktyki do tego właśnie majątku... Małe to przecież i biedne. Sama widzisz, nawet im snopowiązałki nie przydzielili, a przecie jest kilka w pobliskim POM-ie.

— Dwie stoją podobno, bo zabrakło jakichś tam części. Czemu oni przestali śpiewać? To było takie miłe...

— Jakże, a ta czarnula z krzywymi nogami... Iskra dziewczyna, szkoda, że nieładna

Spojrzeli na kroczącą za drugą żniwiarką mocną, rozrosłą dziewczuchę o czarnych włosach splecionych w warkocze. Śpiewała pełnym

głosem:

*Pola już białe, kłosy się kłaniają,
Stworzycielowi ceść i chwale dają,
Wołają: pójdźcie, sierpzy zapuszczajcie,
A Pana chwalić nie zapominajcie.*

Kilka głosów kobiecych podchwyciło pieśń o nucie tęsknej, jakby przystosowanej do tej pracy.

— Stara pieśń... — W kancjonale Wasińskiego zawdy stała — odezwał się siwy, wyschły chłop, wiążący snopy tak wprawnie, że znajdował jeszcze czas, aby skręcić dodatkowe powróśla i podrzucić je Zośce, nie mogącej się uporać z robotą.

— Co to za Wasiński? — szeptem spytała Fajfera.

— Autor kancjonałów ewangelickich sprzed dwustu lat, drukowanych w wielu wydaniach. Całe życie taki kancjonał im służył, do grobu się z nim kładli...

Stary musiał dosłyszeć, bo dodał:

— Ojciec mój tako wziął ze sobą do trumny...

Od miejsca, gdzie związał się Pietrek, doszedł jazgotliwy krzyk:

— O ty, krzywoniu, ty kracało, jak cię w gębę wypalę, to już więcej zębów nie wyszczerzysz... — w głosie więcej było śmiechu jak gniewu.

Pietrek szybko odskakiwał od jednej z dziewczyn, między którymi pracował przy snopach.

Polem przetoczył się gromki śmiech. Pietrek sczerwieniał, skręcił powróśla tak silnie, aż trzasło mu w dłoniach, grzmotnął nim ze złością o rżysko, porwał za nową okiść.

— A nie podszczypuj, to nie doktorowa — ryczał głośniejszym od innych Jaroszyk.

— Ech ty, kracało, krzywoniu...

Poweselało. Przygoda Pietrka wzbudziła humory, przygasła w niesłychanej spiekocie.

Od zabudowań rozległy się wołania na obiad.

— Rozsądna myśl. No, wiara, biegiem... — pokrzykiwał na swoich Kostek zachęcony pracą obozowej brygady.

Pomoc ich przysłała w najodpowiedniejszą chwilę. Majątek pegeerowski był wprawdzie niewielki, ale i tak zaledwie starczało ludzi, aby w nim gospodarować. A już przy sianokosach czy żniwach sytuacja stawała się szczególnie trudna. O wynajęcie, ludzi w tym czasie było ciężko. W tym roku kierownik Wyrajów był zupełnie bezradny. Zboże dojrzewało szybko, powstała obawa, że kłosa zaczną się wysypywać. Zawiodła snopowiązałka, w której pokładał całą nadzieję. Z trudem wynajął trzy osoby. Wtedy Kostek zaproponował pomoc obozowiczów z nad Zatoką Żarłocznego Szczupaka. Z Fajferem tworzyli grupę ośmiu osób.

Jedynie Pietrek bez entuzjazmu przyjął inicjatywę pomocy żniwnej. Żał mu było opuszczać doktorową, która bez reszty podbiła serce kochliwego chłopaka. Odwlekało się też wydobywanie skarbów z jeziora, mimo że Julek wyremontował już motor i „Gawron” pięknie spisywał się na jeziorze, pracując lepiej, niż poprzednio.

Pokosa złocistego żyta kładły się równo, ręce ludzkie zgarniały je, wiązały, snopy wyrastały w kopki, pole przybierało jakiś odświętny, ale zarazem i smutno-melancholijny wygląd.

—Uff! — odetchnęli, prostowali się z ulgą, przeciągali. Zgrzane konie przystanąły, ciężko robiły bokami, parując spoconą skórą. Beładnie, ruszyli wszyscy w stronę niedalekich, biednych zabudowań majątku.

Jedynie czarną plamą, gdzieś tam, tylko porośniętymi kępami trawy, znaczyło się miejsce stodoły, która w ubiegłym roku, zaraz po żniwach, gdy zboże po brzegi, wypełniało budynek, padła pastwą pożaru.

—Nieostrożność czy przypadek? — zagadnął Fajfer sąsiada wskazując na pogorzeliśko, Chłop mógł mieć dobrze po siedemdziesiątce, ale trzymał się jeszcze wspaniale, prosty, rześki, z suchą twarzą ściętą siatką drobniutek zmarszczek. Zgrubiałe dłonie wystawały niemal po łokcie z rękawów łatanej, przykrótkiej kapotki lnianej.

Stary przystanął, westchnął na widok zgliszcz.

—Ani to, ani tamto... Zły człowiek. Butelkę«od benzyny znaleźliśmy rzuconą w pokrzywy. Pożar wybuchł w nocy, na długo przed świtem...

Gromadką skupili się koło suchego Mazura. Drastycznym przykładem ukazała się im prawda, iż niełatwo jeszcze i dziś formował się porządek na tej ziemi.

Większość pracowników rozeszła się do swych mieszkań. Przy grupie obozowiczów zatrzymała się buchalterka i żywy, barczysty chłopak prowadzący żniwiarkę. Ziemistą w kolorze koszulą przetarł pot z czoła.

— Mało brakło, a byłbym dopadł łobuza — włączył się do rozmowy, _ Niedziela to była, wracałem z zabawy, trochę pod gazem. Ogień zobaczyłem z daleka, bo budynek zaczął się palić od tej ściany, która na las patrzy. Wtedy ja pędem, a od tych krzaków cień jakiś odrywa się i

ucieka w las. Ja za nim, ani patrząc na boki. Cegłą oberwałem zniecacka, ażem się wywrócił na ziemię. To drugi, współnik tamtego, tak mnie urządził. Więc krzyk tylko podniosłem-, że pożar, ale nic się już odratować nie dało. Pół godziny i było po wszystkim. Całe zbiory. A można było się czegoś takiego spodziewać, bo... — urwał, machnął ręką, jakby w obawie, że i tak powiedział za dużo.

— Tamtego roku w kilku sąsiednich majątkach spłonęły zbiory... z podpalenia — dorzucił stary.

— Złapano kogo? — zachnął się Pietrek.

Mazur popatrzył na niego spokojnym, smutnym wzrokiem.

— Nie złapano, nie. A kto to robił, to wiadomo. Ci sami, co ulotki podrzucają po domach, co straszą Niemcami, po lasach z bronią się włóczą... Ci, którym Polska nie miła.

— Po lasach?.. Z bronią?..— powtórzył zamyślony Bończa; jakaś myśl zapaliła mu oczy, szarpnął się ku staremu. — To może ci sami, co...

— Chodźcie, dziadku. Chodźcie, odpocząć trzeba, robota ciężką przed nami.

Stary bystro spojrział na barczystego chłopaka, mruknął coś, ale zawrócił posłusznie. Jakby bardziej zmęczonym krokiem człapał teraz do mizernych budynków mieszkalnych.

Julek pociągnął Bończę za rękaw.

— Zostaw! Na siłę nie wyciągniesz niczego. Przecież oni się boją.

— Boją? Kogo?

— Właśnie tych cieni, snujących się po lasach, terroryzujących ludzi,, podpalających stodoły. Cienie te niejednemu zatrwały życie.

— Macie rację... — odezwał się za nimi nagle miły i dźwięczny głos. Nie zauważyli, że młoda buchalterka nie odeszła z tamtymi. — Ale chodźmy już na obiad, bo warto będzie jeszcze wykąpać się po jedzeniu.

Dziewczyna była ładna, szczególnie teraz, gdy policzki jej płonęły mocnymi rumieńcami, a włosy upstrzone źdźbłami żyta opadały niesfornie na czoło, strzępywane co chwila niecierpliwym ruchem ramienia. Jej brązowe oczy życzliwie patrzyły po nich, zatrzymały się dłużej na Kostku.

— Wy koleżanko, nie jesteście chyba z tych stron? — zagadnęła ją Mirka.

— Nie. Trzy lata dopiero, jak przyjechałam na Mazury. Osiałam tutaj... w Wyrajach, Wiecie już chyba, że ci z pegeer są zniecackani przez niektórych mieszkańców wioski za to, że pracują w państwowym polskim majątku. Niełatwo im, wiele się nasłuchują pogrózek, wiele ich już spotkało z za węgla rzucanych cegieł czy kamieni... Stodoła to nie pierwszy sabotaż. Na Wiosnę wyzdychały. nam wszystkie świnie, prawie trzydzieści sztuk. Weterynarz stwierdził

zatrucie. Milicja była, szukała, na niczym się skończyło.

— To ci ze wsi?

— Może tak, może nie... Tu włóczy się wiele obcych typów. Wieś też żyje pod strachem. Bywa, że jak w nocy rozszczekają się psy, to wygasa się ogień w chałupach, rygluje drzwi, podpira je drągami, w garść bierze siekiere. Ale mówić ludzie niczego nie chcą. Boją się. Widzieliście, jak ten Janek, traktorzysta, pociągnął starego Kwietnię za sobą? A przecież Janek to dzielny chłopak, staruszek zaś słynął ongiś jako czołowy działacz polski, jeszcze sprzed plebiscytu.

— To koleżance ciężko tak samej?

— No, zupełnie sama nie jestem. Ale pewnie, że ciężko. Ktoś jednak musi być i w Wyrajach, czyż nie? — spytała prosto, ze szczerym uśmiechem.

— Racja. Ktoś musi tu być — z ożywieniem poparł ją nagle Fajfer.

— Potem pogadamy, Teraz czas na obiad — innym już tonem odezwała się buchalterka, wskazując wejście do na pół zrujnowanego dużego domu o szerokich oknach, zdobnych w rzeźbione obicia z desek. Na rozsypującym się ganku, wspartym o dębowe słupy, zapraszająco uśmiechał się kierownik majątku.

— Jeszcze nigdy nie miałem tak dzielnej grupy na żniwach. Dwa lata temu przywieźli mi urzędników, samych młodziaków, Bawili się tylko, wyrzekali... Gdzie im tam było o robocie myśleć. Nasi byli rozżaleni. No, ale muszę was przeprosić, czeka mnie jeszcze coś do załatwienia.

Kierownik wyjeżdżał właśnie do najbliższego POM-u po przydział młocarki.

— Krzyż pański z nimi. Wykiwali mnie ze snopowiązałką, kłopoty robią z młocarnią. Próżno tłumacząc, nie, nie mam stodoły, że w brogach niebezpiecznie, że mogą zbiory zniszczyć...

— Boi się pan czyjejsz złej woli? — zagadnął go Julek.

Zaśmiał się ironicznie.

— Mam mało ponad czterdziestkę, a patrz pan, co te ostatnie lata ze mnie zrobiły. Dziadzieję, psiakręc, spuściwszy uszy. Czy się boję? Pewnie, że tak. Nie o siebie, ale o zbiory, o ludzi, o naszą gospodarkę w Wyrajach. Mam powody, żeby się bać. Tego lata dziwne rzeczy tutaj się dzieją... — urwał, jakby dla nabrania oddechu. — Co tam gadać mnie nie nastraszą. Trzy lata tutaj siedzę, a przedtem kierownicy zmieniali się co parę miesięcy. I nie wykurzą mnie, aż porządek nastanie, wtedy sam odejdę. Ale jeszcze długo czekać. No, smacznego, wrócę za parę godzin.

Widzieli przez okno, jak wskakiwał na stary, wysłużony rower, popiskujący za każdym naciśnięciem pedału.

— Kurdefelek, co się tu dzieje? Oni wszyscy coś wiedzą, ale nikt o niczym nie mówi. Pani Halino, niechże pani powie, bo już nie wiem, gdzie jestem, jaki to kraj, czyje tu rządy? — zgorączkował się Pietrek.

— Właśnie dlatego, że nasz-kraj, to się nie podoba innym. Tam, za granicami, a także niektórym tutaj. A w ogóle to ja sama mało wiem. Czuję tylko, jak zaciskają się jakieś obręcze, jak gasną szepty, gdy się pojawiają, czasem dostrzegani źle, wrogie spojrzenia. Ale jedźmy, jedźmy, bo kapuśniak wystygnie — spojrzała na nich z uśmiechem.

Bończa spojrzawszy w tym momencie na Julka uważnie, pomyślała, że on musi także coś więcej wiedzieć. Jeżeli jednak nie mówi, dowód to, że uznał, iż trzeba milczeć do czasu.

Jeszcze tej nocy postanowił porozmawiać z Gabrysiem.

Podczas obiadu doszła do głosu normalna, młodzieńcza wesołość. Apetyty po ciężkiej pracy dopisywały wyśmienicie.

— Krzywoniu, kracało... — cichuteńko poszeptywał Gabryś w stronę Pietrka. Ten uśmiechał się kwaśno, burczał swoje „kurdefelek” pod nosem,

Drużyna, do kąpieli, odmaszerować! — rozwrzeszczał się nagle Kostek, przypominając, że jest komendantem obozu.

— No, nareszcie — westchnęła paradnie Mirka. — Myślałam; że już zacząłeś praktykę w pegeerze. Rozkaz, maszerujemy...

Lasek był mały, zaraz weszli w pierwsze opłotki wioski. Za ostatnim porządnie ogrodzonym domem leżał przecięty kilku rowami spory szmat łąki.

— Boisko, które zabrano tym chłopcom — rzekł Jaroszyk wskazując palcem na pole.

— Świetny teren, trawa krótka, gładka, widać coś nawet jakby ślad. dawnej bramki piłkarskiej.

— Wiecie co? — Jaroszyk podrapał się w skołtuniony łeb. — Mam pomysł. Musimy im pomóc odzyskać boisko i odpowiednio je przygotować. To byłaby ładna robota.

Julek pokiwał aprobująco głową, ale buchalterka Halina nie była tak dobrej myśli.

— Znam tę sprawę. Nie będzie to łatwe. Komuś zależy, aby boiska w tej wsi nie było...

— Poradzimy sobie z tym kimś, poradzimy — twardo sarknął Jaroszyk.

Wieś była pusta, jak zawsze w południe, a co dopiero w czasie żniw. Na polach krzątali się ludzie, mocnymi zamachami przecinając powietrze, błyskały z daleka kosy.

— Ba, świetne kąpielisko — zatrzymali się na pięknej polanie, łagodnym spadem zniżającej się do jeziora. Szeroka przestrzeń przybrzeżna żółciła drobniutkim, czystym piaskiem.

— Tylko płycizna sięga daleko, dalej niż w zatoce — Pietrek mrużąc oczy pod słońce spoglądał na wodę

Za pasem trzciny na dużym korycie z przybitymi w poprzek deskami płynęli sobie dwaj mali chłopcy, zagarniając wodę jakąś łopatką. Z zaciekawieniem patrzyli teraz na zadudniony nagle brzeg jeziora.

Zakotłowało się w wodzie, poleciały bryzgi, rozległy się śmiechy i pokrzykiwania.

Julek poddał się kołysaniom łagodnej fali. Lubił tak leżeć na wodzie w zupełnym spokoju i rozmyślać samotnie. A miał nad czym rozmyślać. Wokół tej uroczej krainy zaciskał się jakiś pierścień wrogich mocy, zwierzał się krąg złowróżbnych spojrzeń. Już i małe obozowisko nad Zatoką Żarłocznego Szczupaka objęte zostało niemi tajemniczych machinacji. Z różnych ust padały mniej lub bardziej wyraźne przestrogi, napomknienia, nawet dość jednoznaczne groźby. Obóz musiał komuś przeszkadzać, Dlaczego?

Poruszył nogami, bo opadały siłą bezwładu i zimnym uściskiem przejmowała je lodowata woda, jakże różna od ciepłutkiej, nagrzanej warstwy z samego wierzchu. Julek poczuł w sobie wielkie pragnienie: musi zrobić wszystko, aby przeniknąć grząskie, ciemne sprawy, aby dotrzeć do prawdy, rozbić to jakieś niewidzialne koło, które zaciska się jak stalowa obręcz. Tylko jak to zrobić? Było to pytanie, które go dręczyło najbardziej, Jakżeby chciał tu być stale, obserwować, czuwać i w razie potrzeby walczyć. Ale, jeszcze czekały go studia.. Rozumiał, że musi na te ziemie wrócić z zasobem wiedzy, wtedy będzie mógł sto razy więcej zdziałać niżeli dzisiaj.

— Ratunkuuuu! — dobiegł go nagle ostry, przeraźliwy krzyk.

Jakby wiedziony przecuciem, spojrzął w stronę, dokąd popłynęła improwizowana łódka z koryta, Tam, tam Zerwał się z miejsca, mocno siekąc wodę ramionami, gubiąc oddech w wysiłku, płynął co siły do tonących chłopaków.

— Ratunkuuuu! — głos był zdławiony, krztuszący, się.

— *Hilfeee!* - wołanie po niemiecku zabrzmiało już znacznie słabiej.

Doszły go od brzegu okrzyki. Nie miał czasu się oglądać. Wiedział, że koledzy pośpieszą natychmiast z pomocą. Ale on był najbliżej.

— Ratuuuu... — krzyk się urwał.

Podniósł głowę, spojrzął, Nie opodał wywróconym dnem czerniało koryto. Jednej z bocznych desek czepiała się kurczowo mała dłoń.

Był już zupełnie blisko.

Zabulgotało, oczy Julka dostrzegły wylaniającą się na małą sekundę czuprynę. Runął w tamtą stronę, nurkował, aż do bólu wbijając oczy w zielonkawą ciemność wody. Dostrzegł w niej opadający ku dołowi jaśniejszy kształt, Wyciągnął ręce, nie, jeszcze był za daleko, odbił się nogami, czując jak mu samemu zaczyna brakować powietrza, jak łomoce w uszach. Nareszcie, uczył w swych dłoniach coś miękkiego, zacisnął kurczowo palce; na pół przytomny parł teraz z

ciężarem do góry, na powierzchnię, aby szybciej, aby prędzej, nim tchu zupełnie zabraknie...

Zachłysnął się wodą zaczerpniętą razem x powietrzem, krztusił się, za ramię i włosy trzymając jednocześnie małego topielca. Usłyszał jakieś wołania, oczy jego widziały tylko błękit nad sobą. W tej chwili uczuł przerażony, jak małe dłonie żelaznym, kurczowym chwytem obejmują go za szyję, a nogi oplatają tułów, Chciał się oderwać, nie mógł, łyknął sporo wody, zakrztusił się, zakaszłał, resztką sił odrywał od siebie zwarte w desperackim odruchu ramionka chłopca. Znow otoczyła go zielona, nieprzenikniona ciemność, szarpnął się, złączeni piekielnym uściskiem wypłynęli nad wodę. Julek czuł, że jeszcze chwila, a pójda obaj na dno. Mocnym, rozpaczliwym wysiłkiem odepchnął od siebie chłopaka, aż ten go puścił wreszcie zupełnie. Wtedy znow złapał malca za włosy, przyciągnął ku sobie.. Zamknął oczy, nogami i jedną dłonią utrzymywał się na powierzchni dysząc ciężko. Ciągłe krztusząc się, zachłannie pił powietrze. Zaczął znow myśleć przytomnie, do ostatka zmęczony. Nie wiedział, czy dopłynie z ciężarem do wywróconego koryta.

Nagle zakotłowała się woda, czyjeś ręce przejęły z jego ramion chłopaka, inne dopomogły jemu samemu.

Trzymał się teraz koryta. Wracala pełna świadomość. Zobaczył obok siebie Kostka i Pietrka, dopływali już do nich Bończa i Gabryś, wołały z wody Mirka i Zośka.

— Dziękuję — szepnął cicho.

Pietrek zaperzył się.

— Kurdefelek, sobie dziękuj, nie nam! Gdyby nie ty, już by z tego małego nic nie było... Ostatni raz wychynał na wierzch, jakeś go złapał, widziałem...

Dziewczęta odszukały łódkę, wiosłowały w ich stronę. Sporo czasu trwało, zanim się wszyscy wydostali na brzeg. Półożąc w łodzi Julek widział, jak Kostek z bratem przechylają chłopaka w dół.

Na brzegu stała spora gromadka kobiet zwabionych krzykiem Dwie z nich rzuciły się ku wyratowanemu malcowi Kostek energicznie odsunął na bok matkę chłopaka, który .nie odzyskał dotąd przytomności.

— Spokój, spokój! Trzeba go ratować...

Zabrali się do tej pracy wraz z Pietrkiem. Jakiś skrecony tłumok podłożono chłopcu pod, plecy, miarowo poruszano jego ramionami, naciskając zarazem rytmicznie brzuch. Nadbiegły Zośka z Mirką, zastąpiły braci Godyckich.

— Niech ktoś pędzi po doktora Gintera — rzekł Julek wracając do sił.

— Nie ma... Pojechał samochodem wraz z żoną do Mikołajek... — wyjaśnił czyjś gruby głos.

— Pieska niebieska! — zaklął Kania, przypatrując się uważnie zabiegom dziewcząt.

Chłopak ciągle nie wracał do przytomności. Sprawdziły oddech lusterkiem, zamgliło się. Słuchając bardzo uważnie, można było odczuć też ledwie dosłyszalne uderzenia serca.

Po długim czasie, w trakcie którego wszelkie szmery dokoła zamarły, a. twarze stężały w napięciu oczekiwania, chłopak otworzył leciutko oczy, drgnął, razem z resztkami wody z ust jego wydobyło się coś, jak ledwo słyszalny szept.

— Żyje... — z ulgą odetchnęła Zośka.

Nie zaprzestawały dalszych zabiegów. Serce zaczęło uderzać równo, rytmicznie, wyczuwalne już przy pierwszym przytknięciu dłoni do klatki piersiowej.

Wreszcie chłopak oprzytomniał zupełnie. Oparty o ramię Kostka, patrzył zmęczonymi, przygasłymi oczyma.

Matka okrywała twarz jego pocałunkami.

— Mój Klaus, mój Klaus — powtarzała bez ustanku, a potem podbiegłszy do Julka przywarła wargami do jego ręki. Wyrwał ją, zaskoczony, mamrotał coś, chowając dłonie za siebie.

— Dziękuję wam, dobrzy, dobrzy ludzie -- rzekła jeszcze, z pomocą sąsiadów zabierając uratowanego syna do domu.

— Czyj to chłopak? — zapytał Julek.

— Czyj? Wittlowej, która pierwszy chyba raz odezwała się przy mnie po polsku... Ciekawy zbieg okoliczności, że właśnie oni będą wam wdzięczni za uratowanie syna... — buchalterka spoglądała na Julka z uznaniem.

— Wittlowa jest wdową?

— Ktoś mi mówił, że mąż jej przebywa w Niemczech Zachodnich. Dobrze nie wiem. Tutaj mieszka z dwoma synami i z chromym szwagrem, kaleką.

Julek przez chwilę ważył coś w sobie, uśmiechnął się do swych myśli i wstał z murawy.

— No, a teraz do żniw, czekają tam na nas — rzekł krótko.

Gdy przechodzili przez Wyraje, przy opłotkach grupkami tkwiły zagadane kobiety. Przychylnie spoglądały w ich stronę.

— Ale ruch u nas. Nie ma dnia, aby coś się w interesie nie działo z podziwem rzekł Pietrek, po czym skrzywił się bo myśl jego pomknęła ku doktorowej, towarzyszącej mężowi w Mikołajkach.

— Patrz, ten krzywoń, ta kracała też potrafi na coś się zdobyć. Jak to pędził ratować Julka i tego małego Klause. Żeby nie on, może już by poszli obaj na dno.

— Uhm — przytaknął Gabryś.

15. Powrót z dożynek

Kontury drzew przy drodze zaostrzyły się. Cienie stały się długie. Powietrze było przejrzyste, aż oczy bolały od patrzenia.

Pieśń nabierała mocy przy refrenach, podejmowanych przez wszystkich obecnych. Czarna, żwawa dziewczyna o bystrych oczach szła na czele, śpiewając pełną piersią:

Oto z żniwnym ziankiem idziem razem żeńcy.

Com tu wyśli rankiem panny i młodzieńcy.

Plon niesiemy, plon.

Podchwytywali... Grzmiało po polach i lasach, aż ptaki zrywały się z okolicznych drzew. Szli kilku rzędami, nie wiedzieć kiedy i za czym przykładem ujmowali się pod ramiona. Mirka zerknęła na sąsiada, trzymającego jej ramię w krzepkim uścisku. Był to ten siwy, wyschnięty chłop, dobrze podeszły w latach, który pomagał Zośce w pierwszych zapasach z wiązaniem powróseł. Śpiewał fałszując:

Otwarzajże, kierowniku, szeroko twe wrota,

Niesiem tobie zieniec ze scerego złota.

Plon niesiemy, plon.

Kostek z kroplami potu na czole przechylał się ku twarzy buchalterki gospodarstwa, Haliny, zaglądał w brązowe oczy:

— Plon niesiemy, plon! — buchała mu prosto w twarz, roześmiana, zaczerwieniona.

Kierownik zespołu oczekiwał ich u wejścia na podwórze. Nie opodał siwa kobiecina mocowała się z kubłem wody.

Do czarnej dziewczyny o krzywych nogach podskoczył z wieńcem traktorzysta, Janek. Cała grupa zatrzymała się parę kroków przed kierownikiem. Huknęli co sił:

Dobrzem zarobzili, nie załujta psiwa,

Potem nie zawodzi i kawał mięsiwa.

Plon niesiemy, plon.

Przygarbiona staruszcza wybiegła naprzód i dłonią czerpiąc wodę z kubła zlewała nią żeńców. Udawali, że się boją, kryli się poza siebie popiskując i pohukując z uciechy. Ku żalowi staruszki wody w kubelku prędko zabrakło.

— To ci heca, kurdefelek! — szepnął Pietrek do Bończy.

Ten obruszył się:

— Piękne obyczaje, nie kpij...

— Co wy ciągle z morałami, jak mamę kocham,.. Przecie nie kpię.

Uspokoił się, bo kierownik podchodził teraz do nich z tacką, na której stały zebrane gdzie się dało różne wielkością i kształtem kieliszki z wódką. Pietrek sięgnął po największy, na co Maryś parsknęła śmiechem, mało nie rozlał wódki na ziemię,

Mazurzy wypili, strząsając na ziemię ostatnie kroplę alkoholu.

— Dla kłobuka, niechaj także wypije! — stojący przy Mirce suchy starzec wychylił kieliszek do dna.

— To taki duszek domowy, według wierzeń Mazurów — odpowiedział jej Julek, widząc zdziwiony wyraz twarzy dziewczyny.

Jasiek znów ujął wieniec, czarna dziewczyna podjęła ostatnią zwrotkę pieśni:

*Roztwarzajcie nama ję̄k najserzy dźwierze,
Co nam ten wzianusek dycht suchuchno wlezie.
Plon niesiemy, plon.*

Wpakowali się gwarliwie do pierwszej izby, stanowiącej część mieszkania kierownika, specjalnie dziś na ten cel uprzątniętej. Jasiek mocował się z wieńcem, wieszając go przy suficie.

*A ty, nas Jasičku, zaprzęgaj, dryganty,
I jadź do Pasyrna po muzykanty.
Plon niesiemy, plon*

To czarnula z błyszczącymi oczyma komponowała na poczekaniu nową przyśpiewkę. Staruszeńka, która pozbyła się już konewki i robiła honory domu, bo kierownik był nieżonaty, częstowała obecnych żniwnym kołaczem.

*Rozstawiajcie, gospodyni, stoły i ławy,
Bo idzie do was gość wcale niebywały.
Plon niesiemy, plon.*

— Podoba mi się ta czarnula — Zośka spojrzała dużymi oczami na Edwarda — Skąd w niej taka ochota do zabawy i śpiewu?

— Pracowała też jak maszyna — z uznaniem dodał od siebie nauczyciel.

— Tylko te nogi kurdefelek.. — jęknął tuż za nimi Pietrek.

W obozie wykąпали się i przebrali. Uleciało gdzieś zmęczenie kilku ciężkich dni pracy.' Na polach PGR wznosiły się kopy złocistego, suchego żyta,

Mirka z zalem spojrzała na namioty połyskujące w kryjącym się już za drzewa słońcu.

— Jakoś mi pusty nasz obóz bez Kruta...

— Zobaczymy, co Grapsza upoluje przy jego pomocy — zamyślił się Julek.

Leśniczy od tygodnia żył jak w gorączce. Uwziął się po tamtym wypadku w lesie. Nocami

przemierzał swój rejon wzdłuż i wszerz, czał się, maskował, przebiegał zagajniki, kluczył, zgięty wpół smyrgał przez otwarte polany, szukał. Wczoraj, nie zniechęcony ujemnym cynikiem poszukiwań, przyszedł do obozu, prosząc o wypożyczenie Kruta.

— To mądry psiak, rybeńki, był kiedyś szkolony. Pożyczcie, bo bardzo mnie on potrzebny.

Dowiedzieli się od Grapszowej, że rano zabrał ze sobą większą ilość jedzenia, jakąś brezentową płachtę i wymaszerował do lasu, oznajmiając, że wróci może, za dwa, a może i za trzy dni.

Komentowali teraz postępowanie leśniczego. Pietrek i Czarty nie mieli złudzeń, że leśniczemu się nie powiedzie.

— Tamte facety przypadkiem rwały dokądś przez las, nadział się Grapsza na nich, więc strzelali. W lesie nie będą przecie wiekować — przedstawił swój punkt widzenia Pietrek.

— Nie wydaje mi się, żeby to był człowiek naiwny. On więcej wie, niż nam się wydaje — dodała Zośka.

— Ja bym z nim chętnie położył po leśnych wertepach — ściągnął brwi Julek, aż mu, zabielała na czole niewielka blizna.

— Ty coś wiesz, Julek? — Mirka bystro spojrzała na niego. — Prawda, że wiesz?

— Nie, naprawdę nie wiem. Domyślam się tylko...

— Dajcie spokój z tymi tajemnicami. Idziemy na zabawę, cieszymy się tą okazją — Zośka realistka zawróciła ich z drogi wątpliwych domysłów.

— Zośka, bacność oświata idzie! — ostrzegł ją nagle Gabryś na widok wychylającego się z krzewów Fajfera.

— Wcześniej byłem gotów, wyszedłem więc na spotkanie — tłumaczył się naiwnie, spoglądając na Godycką.

— Tra la la.— zaśmiał się znacząco Pietrek.

Dochodzili do zabudowań gospodarstwa. Rojno tam już było. Stoły ustawiono na wymiecionym skrzętnie podwórzu. Zawieszane na przeciągniętym przez całą szerokość placyku sznurze kołysały się nie zapalone jeszcze latarnie naftowe.

— To mi się podoba, naprawdę ślicznie — wskazywała Mirka kolorowe przybrania latarni.

— Phi, ale wody nie ma, tylko piwo — krzywił się Pietrek, lustrując zastawę.

Ochoczo sadowili się przy stołach, z trzaskiem otwierali butelki piwa, chłodzonego w maleńkiej, krynicy przy bujnym zagajniku wierzbowym.

Od grupy dziewcząt zabrzmiał nagle głos czarnej dziewczyny:

A pod Zielbarkiem na błoniu

a pod Zielbarkiem na błoniu,

*Wywzija Pietrek na koniu,
wywzija Pietrek na koniu...*

— Jak mamę kocham, zuch babka, będę z nią tańczył przez cały wieczór — Gabrys zatrząsł się od śmiechu.

— Ja jej nawywzijam, kurdefelek! — syczał skonfundowany Pietrek. — To pewnie ta twoja buchalterka od krów jej, podpowiedziała — szepnął z pasją w stronę Kostka.

— Zatkaj się! — syknął starszy Godycki. — Potem pogadamy...

*Zidzis ty, Pietreńku, ten kamień nad wodą,
jak on stąd popłynie, pójdę ja za tobą...*

Wybuchnęli śmiechem.

— Całe Tatry mogą się ruszyć, i tak nie zechcę tego ułana w spódnicy — odciął się Pietrek kąśliwie. Czarna Erna wciąż popatrując na Pietrka zanuciła z uśmiechem:

*Zidzis ty, Pięterku, te gwiazdy na niebie,
je ty je zrachujes, pode ja za ciebie...*

Spojrzał na nią ciekawie. Wydała mu się teraz ładniejsza. Mrugnął do niej szelmowsko, zaśmiała się cienko, trochę piskliwie, zanurzyła usta w piwnej pianie.

Ściemniało się, Ktoś zapalił latarnie, płomienie ich dygotały w powiewie ciągnącym od lasu. Kolorowe bibułki kładły barwne refleksy na twarze ludzi. Harmonista i skrzypek otarli usta, podziękowali, odsunęli się z krzesłami na stronę. Stoły w mig odniesiono, gładki, ubity placyk dziedzińca zachęcał do tańca.

Siwy, wyschnięty chłop jako przewodnik żniwny dał hasło do tańca, zapraszając pomarszczoną babuleńkę, gospodynię dzisiejszego wieczoru Kierownik gospodarstwa skłonił się przed Erną o krzywych nogach. Ubrana odświętnie, w przyćmionych światłach wyglądała jakby wyższa i o wiele ładniejsza, niż była w istocie. Rozciągnęła się harmonia, cienko zawtórowały skrzypki.

Pietrek oglądał się za Mirką, chcąc ją prosić do tańca, ale wstrzymał go Julek.

— Czekaj, czekaj... My teraz jesteśmy widzami tak długo, dopóki kierownik jako gospodarz nie przetańczy parę taktów z każdą kobietą. Potem dopiero ruszamy...

— Aha, a ten siwy dziadzio też będzie zmieniał partnerki?

— Nie, przodownik przez cały czas jest przy gospodyni.

— Przecież ta stara, nie wytrzyma, ona ma już chyba ze siedemdziesiąt...

— I sześć, i sześć — wtrąciła się do ich rozmowy Halina. — No klaszcie do taktu, klaszcie, tak trzeba...

Rzeczywiście, wszyscy żniwiarze, otaczający kołem placyk do tańca, miarowym klaskaniem

podtrzymywali rytm tradycyjnych tańców dożynkowych.

— Ze wsi nikogo nie zaprosiliście? — pytał Julek wesołego traktorzystę.

— No, co żeli razem, to są... Inni nie przyjdą. To grafy. Przed wojną, gdy junkier tu jeszcze rządził, traktowali nas jako gorszych, i teraz tak samo... — Po czym dodał już szeptem: — Jeszcze i to nas dzieli, że tu wszyscy po polsku czują., a tam jest różnią. Nieproste to sprawy. Lepiej niech nie przychodzą, łatwo wtedy o awanturę.

Julek uważnie zajął mu w oczy. Traktorzysta miał twarz skupioną. Mógł mieć nie więcej jak dwadzieścia pięć lat. Nagłym porywem spowodowany Kania mocno uściśnął mu dłoń. Janek uśmiechnął się.

— Na nas pora! — zawołał po chwili, innym tonem, zawadiackim, wesołym, widząc, że zmęczony kierownik zakończył obtańcowywanie kobiet. Skłonił się przed Mirką, wyprzedzając do tańca. Podobało mu się to, krzepko ujął kibić dziewczyny, jędmą, rozgrzaną.

Zmarszczona babuleńka przysiadła na podsuniętym jej usłudnie krzeselku, dyszała ciężko, Gdzież tam, nie ustała, przetańczyła cały taniec ze starym przodownikiem, jak za najlepszych swych lat Teraz dopiero ogarnęło ją szalone zmęczenie, ale nie opuścił humor Śmiała się pomarszczoną twarzą i bezzębnymi ustami.

Muzyka grała ludową melodię, czarna dziewczyna nuciła przytulona do Pietrka:

*Niechaj zadźwienco ptasąt kapele,
toć ci to jutro moje wesele...*

Czarne warkocze kołysały się za jej plecami. Zgrzana była, od - włosów szedł mocny zapach, wydawał się Pietrkowi bardzo przyjemny. Zajął dziewczynie w oczy: paliły się mocnym ogniem, ciemne, pełne żaru. Śmiało wytrzymała jego spojrzenie.

— Nie gniewacie się, zem tak przygadała we śpiewce?

Zaśmiał się po swojemu, zdobywco. Tańczyła świetnie. Zapomniał zupełnie, że ma krzywe nogi, które tak wykpiwał przez ostatnie dni. Twarz jej nie ukazywała w półmroku licznych piegów, szpecących trochę w świetle, ujawniała natomiast siłę charakteru i temperament.

Ma babka rozmach — pomyślał, gdy w pewnym momencie zakreśliła nim energicznie, przyśpieszając tempo tańca. Mocna była, rozrośnięta, przy tym śmiała i zdobywca. Ona teraz patrzyła mu w oczy Pietrka, który gapił się teraz za nim z rozwartą gębą. Ale w tej chwili jak spod ziemi wyrosła przed nim przodownica-czarnula, nie pytając o nic zagarnęła go mocnym ramieniem i pociągnęła

— Warto poharować przy żniwach dla takiej zabawy, co?

— A warto! — odpowiedział zupełnie szczerze.

— Lubię tańczyć — dodała.

Uściskał ją mocniej, znów poczuł silny zapach nagrzanego słońcem włosów dziewczyny. Tańczył dobrze, tworzyli zgraną parę. Dobrze się nagle poczuł w tym otoczeniu, zapomniał w tej chwili o doktorowej i o Mirce, która właśnie, mijając go przytulona do Kostka. Julek tańczył z blondyną, która tak zasadniczo przecięła karesy Pietrka na ściernisku. Pietrek uśmiechnął się do niej, pokazała mu język, Julek wybuchnął śmiechem.

Noc była ciemna, księżyc wschodził dopiero przed północą, rojące się na niebie gwiazdy stwarzały osobliwą dekorację tej niecodziennej zabawy. Latarnie migotały płomykami w podmuchach wiatru. W oddali psia jakiś zanosił się ujadaniem. Mirka pomyślała o Krucie koczującym w puszczy u boku Grapszy.

Czas mijał szybko. Starsi poprzysiadali bezpośrednio na ziemi, spoglądali na kręcące się pary, wymieniali uwagi.

Julek tańczył najwięcej z Mirką. W pewnej chwili zatrzymali się obok siwego Mazura, Uśmiechnięty Kwietnia opowiadał coś najbliższym sąsiadom, Słuchali legendy o królu ryb w Jeziorze Gardyńskim, jednej z tych legend, które się wiążą z każdym zakątkiem tej ziemi.

— I wtedy cała wioska zapadła pod wodę.. Czasem tylko w noc świętojańską słychać wołania o pomoc, o ratunek z topieli. Wołają gadką, tęskliwie, żałośnie, ale nikt im nie odpowiada, krom szumu fali i szmeru lasów dokoła. Bo tysiąc lat tak mają pokutować za odstępstwo od mowy ojców... — kończył stary, oczy jego połyskiwały w ciemności.

— A ci dzisiejsi, co też się nie chcą do ojców przyznawać, a choć gadkę znają, niemiecki wzięli do serca? — zapytał ktoś.

Stary Mazur obrócił twarz w stronę, skąd go doszedł niepewny głos, chwilę milczał, potem odpowiedział przytykając zapalną do papierosa.

—Ci biedni, nie z własnej winy od ojców odeszli... Zbłądzili, bo ich zwiedziono z drogi. Dla nich nie kary, ale wiele serca potrzeba. Nie oni winni. Był ucisk, była przemoc... Tamci, z tej bajki, z dobrowoli od swoich odeszli, od starej mazurskiej mowy. Za to cierpią...

Muzykanci musieli trochę odpocząć. Zmęczeni byli graniem przez kilka godzin bez przerwy. Tancerze porozsiadali się na ziemi parami, bliżej lub dalej od pełgających świateł lamp naftowych; Przez cały plac przebiegał wesoły śmiech Zośki, zagadanej z traktorzystą o szerokich barach. Pietrek niezmiennie asystował czarnej przodownicy. Bończa, widząc to, pokładał się z radości i trącał Gabrysia pod bok.

— Patrz, jak się rozlubował w krzywych nogach, które, tak obgadywał niedawno...

— To fest dziewczucha, tyle energii i wesela, nie dziw, że go zawojowała — mówiąc to Gabrys mniej myślał o Ernie, a więcej znacznie więcej o jasnej dziewczynie, która nie wiedzieć czemu wydawała mu się bardzo podobna do bławatka na polu. Wodził teraz za nią oczyma, wreszcie

zostawił Bończę, przysunął się do niej bliżej, czekając tylko na muzykę.

— Kwietnia zna masę legend i opowieści tutejszych — Halina oparła się o ramię Kostka, któremu coś drgnęło w sercu na ten bez pośredni jej odruch. — W klinie między rzeką Krutynią a wylotem na jezioro Malinówko, tam gdzie ten pas. trzcina, a potem zagajnik i rośły las, jest kurhan, podobno jeszcze ze szwedzkich wojen. Kwietnia jak się zapali, to godzinami snuje gawędy o tamtych czasach i walkach. I to jakim językiem! Widzi się wszystko po prostu. Oczytany jest, Sienkiewicza uwielbia. Kiedyś przychodził do niego pan Gwizda, godzinami spisywał opowieści starego...

— Wiesz, Halino — w poprzednim tańcu przeszli ze sobą na ty — bardzo się cieszę, że tutaj odbędzie praktykę. Dobrze mi pośród was. Podoba mi się kierownik, ten kapitalny Kwietnia, Janek traktorzysta, czupurna Erna, która zupełnie zawojowała Pietrka, ta Jasia blondyna... — urwał, spieszył się nagle.

Zaśmiała się filuternie, spoglądając spod oka.

— Nie mogę doczekać się swojej kolei...

Zaśmiał się. Szepnął cichutko:

— I ty mi się bardzo podobasz.

Spojrzała na niego, twarz jej spoważniała. Zagryzła wargi. Właśnie odezwały się znowu dźwięki harmonii, nieco opóźnione do wtóru jej podskoczyły skrzypce. Halina poderwała się szybko:

— Chodźmy tańczyć...

Tańcząc zaś myślała, że to niedobrze, gdy na głuchą wieś zjeżdża nagle ktoś inny, niepodobny do ludzi, jakich ma się stale koło siebie, na co dzień. Bo potem przybysz odpływa do swoich spraw, zajęć, otoczenia, nieraz nawet nie zdając sobie sprawy, ile zawiedzionych nadziei i rozbujających tęsknot zostawia za sobą.

— Z życiem, Kostek, z życiem! — wołał Fajfer, przesuwając się z Zośką w ramionach.

Spojrzał na siostrę. Aż zdumiał się, widząc wyraz jej twarzy. Zdawała się być niewymownie szczęśliwa. Uśmiechnął się do swojej myśli, że dobrze Zośkę rozumie... Bo przecież przy nim jest ta przemiła Halina...

Kierownik gospodarstwa rozmawiał ze starszymi pracownikami. Niski, wyglądał teraz na bardzo zmęczonego. Spod szpakiem usianych włosów bieleło czoło porwane zmarszczkami. Mówił cicho do najbliższego sąsiada, daleki w tej chwili od nastroju wesołej zabawy.

Mazur słuchał uważnie, kiwał głową, podniósł się, bokami przesunął się koło opłotków, zamajaczyła potem jego sylwetka przy drodze wiodącej na pola, kędy tłoczyły się kopki dopiero zżętego zboża.

—Przespacerujemy się trochę? — zagadnął Julek towarzyszkę.

Wysunęli się z kręgu tańczących. Prowadził Mirkę pod ramię, szli w stronę gęstych wierzb zaraz na prawo od zabudowań majątku. W pewnej chwili cofnęli się szybko na drugą stronę drogi, obok wielkiej, samotnej topoli usłyszeli bowiem odgłos pocałunków i zmieszane szepty. Julek rozpoznał sportową koszulę Pietrka. Mocno, obejmował ramieniem czarną przodownicę.

—Ten to jest szybki — cichutko zaśmiała się Mirka.

Jakby myśląc o tym samym, mocniej przytulił jej ramię do swego boku. Czuł szybki, przyspieszony oddech dziewczyny. Nad niedalekim lasem wypływał zza drzew pyzaty, czerwony księżyc.

Wierzbami przelatywał czasem podmuch ciepłego wiatru. Obok chłodem i szmerem ściekającej maleńkim strumykiem wody dawała znać o sobie krynica. Leżał przy niej zwalony pień starej wierzby. Przysiedli na nim. Julkowi wydało się, że Mirka nagle zadrzała. Przechylił się, łagodnie otoczył ramieniem kibić dziewczyny.

—Chłodno ci może?

— Nie, skądże, tak tylko...

Umilkła.

Z majątku dochodziły odgłosy nieustannej zabawy. Czasem przycichała, czasem znów wybuchała mocniejszymi pokrzykiwaniami. Niektórzy z chłopców zdążyli wypić trochę wódki,

Julek, miał niepewną minę, siedząc tak obok Mirki i trzymając ją w objęciach. Jednocześnie czuł się bardzo szczęśliwy. Było mu dziwnie dobrze. Czuł przyływ nowych sił.

Obrócił głowę, napotkał płonące, rozszerzone oczy dziewczyny. Powoli ujął w dłonie jej twarzy przybliżył do siebie.

Usta Mirki były gorące i wilgotne zarazem. Pocałunek, zrazu lekki, nabierał mocy. Wpijali się w siebie wargami, świadomi oboje, że już od dawna oczekiwali tej chwili. Otworzył oczy, dojrzał przymknięte powieki dziewczyny.

Jakie to dziwne — pomyślał — że przy pocałunku przymyka się oczy.

Znów ją całował. Wargi jej miały dziwny smak i zapach. Uczuł przez chwilę dotyk języka dziewczyny, zwilżającej usta.

— Mira — szepnął, a raczej wionął bezgłośnie w jej twarz.

— Nie mów nic — odszepnęła równie cicho i zakryła mu usta pulsującymi, nabrzmiętymi wargami.

Po cóż potrzebne były słowa? Oboje wiedzieli, co sądzić o tej chwili. Nie przyszła ona niespodziewanie, pewne było, że musi kiedyś nastąpić.

Siedzieli jeszcze długo, przytuleni do siebie, co jakiś czas łakomie szukając swych warg.

Mniej były. już teraz wilgotne, nabrzmiały od siły zetknięć ze sobą, parzyły, aż przez ciała ich przebiegały dreszcze. Przez letnią, cieniutką sukienkę czuł jędrność piersi dziewczyny, przytulał ją wtedy mocniej do siebie.

Z westchnieniem i z żalem, że kiedyś trzeba przecie powracać, podnieśli się wreszcie z kłody wierzbowej. Szli przytuleni do siebie, bardzo szczęśliwi.

—Jeszcze mam pięć lat studiów przed sobą — westchnął Julek.

Mocniej uściśnęła jego dłoń.

—Wrócisz wtedy na Mazury, prawda? Ja też bym pragnęła tutaj zamieszkać...

Pomyślała o swoich poprzednich latach. Zapra gnęła, zwierzyć się Julkowi ze swej samotności, z tęsknoty za kimś bliskim i drogim, z kim można się podzielić radością i znaleźć otuchę w troskach, zdobyć świadomość, że nie jest się samym na świecie.

Szli wolno, przez drogę słały się blaski księżyca. Mirka opowiadała: po raz pierwszy dzieliła się z kimś prawdą o swojej przeszłości.

Ojca straciła jeszcze przed wojną. We dwie zostały z matką. Chora, ranna w dodatku w czasie powstania warszawskiego kobieta z trudem dawała sobie radę na mizernej posadce niższej urzędniczki w jednym z warszawskich urzędów. Całą swą miłość i radość do świata złożyła w córce, czując, że długo już nie pociągnie, że choroby zjadają ją z dnia na dzień... Modliła się tylko, aby córka jej zdążyła ukończyć studia, zanim zostanie sama, Mirka była w dziesiątej klasie, gdy od-umarła ją matka. Majątku żadnego nie miały, tyle co trochę starych gratów, jakie stały w małym pokoiku, i resztki uratowanej z wojny bielizny. Dziewczyną zaopiekowała się szkoła. Otrzymała stypendium, udzielała jakichś korepetycji. Ciężko było, poznała i chłód i głód, prócz nauki borykać się musiała z codziennymi kłopotami. Wreszcie zrezygnowałaś z myśli utrzymania pokoiku, który zajmowały wraz z matką. Ostatni rok nauki przed maturą spędziła już w internacie.

—Mów, mów dalej... To takie podobne do mojego losu — szepnął, gdy urwała na chwilę.

Zatrzymali się, nie chcąc wracać do pozostałych uczestników dożynkowej zabawy, póki nie powiedzą sobie tych najważniejszych teraz spraw.

—Początkowo myślałam po śmierci mamy, że nigdy już nie odzyskam radości. Było mi bardzo źle, przyzwyczajona do dzielenia się każdą myślą, odczuwałam szczególnie silnie brak powiernika, nie miałam gdzie zasięgnąć rady. W organizacji młodzieżowej?... Wiele tam było sztywniactwa, zakłamania, złudnych pozorów na zewnątrz, a całkiem czego innego od wewnątrz... Koleżanki nie mogły mi zapełnić życia... Potem pierwsze przygnębienie minęło. Pracowałam, uczyłam się, chcąc w ten sposób przynajmniej nie zawieść mamy. No i tyle dopięłam, że mam już maturę, że od jesieni przyobiecano mi pracę...

— Julek, Julek! — dobiegły ich wołania.

— To Pietrek, widocznie w ten sposób rewanzuje się nam, żeśmy go przyłapali na całusach z czarnulą — uśmiechnął się.

Na podwórzu zastali nowych gości. Przyszło czterech chłopaków z wioski, w tym trójka znana już obozowiczom z niedzielnego meczu w siatkówkę. Obok rosłego chłopaka ze szczerbą w uzębieniu, nadającą jego twarzy jakiś bezczelny wyraz, stał ów miły blondasek, podobny do Bończy. Trzecim był Wittle. Julek przyjemnie się zdziwił, gdy ten podszedł do niego z wyciągniętą przyjaźnie dłonią.

— Ja dziękuję bardzo za Klause — powiedział cicho.

Julek przytrzymał jego rękę w swej dłoni, Uczuł w pierwszej chwili opór, potem dłoń tamtego zwiotczała, stała się wilgotna. Kania patrzył w ostre, zmieszane jakby oczy młodego chłopca.

— To normalne, każdy by tak zrobił. Ale cieszę się, że to właśnie twój brat;... Myślę, że będziemy teraz przyjaciółmi, prawda?

Od Wittlego czuć było wódkę. Julek, dojrzał szyjkę butelki wystającą z jego bocznej kieszeni. Błysnęło mu w głowie.

— Masz gorzałę, dawaj, wypijemy za przyjaźń.

Czarny chłopak zmieszał się, wyrwał dłoń z Julkowego uścisku. W oczach zapełgały mu nagle jakieś złe błyski, ale zaraz przygasły. Niechętnie wyciągnął półnadpita półlitrowkę, przytknął do ust, pociągnął potężny łyk, otarł szyjkę rękawem, oddał butelkę Julkowi. Kania wzdrygnął się na nieprzyjemny, mocny odór wódki, przemógł się, wypił również. Znow wyciągnął rękę, powtórzył dobitnie:

— Za naszą przyjaźń!

— Za przyjaźń — chropawo powtórzył Wittle.

Stał tak jeszcze chwilę, jakby przeżywał wewnętrzną walkę. Julek obserwował go dyskretnie, ale uważnie. Muzyka rozpoczęła właśnie nowy kawałek, zostali sami. Kania uchwycił tylko uważną, choć roześmianą twarz miłego blondasa z wioski, tańczącego teraz z Mirką. W spojrzeniu tym było coś porozumiewawczego. Zastanowiło to Julka.

— Wypijemy jeszcze — Wittle sięgnął nagle po flaszkę.

— Ja nie piję dużo — próbował zaoponować.

— Żeby przyjaźń była mocna! Pijemy do dna.

Palcem odmierzył na flaszcze połowę pozostałego płynu. Wypił idealnie tę ilość, jaką sobie naznaczył. Julek, zachłystując się, opróżnił flaszkę.

Teraz Wittle pierwszy podał mu rękę, uśmiechnął się jakoś krzywo, dziwacznie, po czym rozejrzawszy się dokoła, czy ktoś nie słyszy jego słów, szepnął ostrzegawczo w sanie ucho

Julka:

— Ja radzę, przenieście się gdzie indziej z waszym obozem. Tu koło wioski niedobrze...
Przyjacielska rada — dodał głośniejszym widząc pełne zdumienia spojrzenie Julka.

— Myślę, że przez przyjaźń nie dopuścisz, by się nam stało cokolwiek przykrego — rzekł szeptem, ale dobitnie.

— Lepiej przenieście się. Tu niedobre miejsce — dorzucił Wittle, po czym zawrócił nagle i wmieszał się między tańczących.

Julek długo śledził go oczyma, Czoło mu się zmarszczyło, myślał intensywnie. Dziwna przestroga potwierdzała jego domysły, że rozbijając obóz nad Zatoką Żarłocznego Szczupaka, pomieszała tam czyjeś szyki. Nie wiedział tylko, komu i w czym.. Westchnął, przypominając słodkie chwile spędzone z Mirką, Że też nie mogło się dzisiaj to wszystko dobrze zakończyć, że znów powiało jakąś niedobrą tajemnicą.

Część starszych chłopów rozeszła się już do domów. Dawno minęła północ. Muzykanci byli zmęczeni, nie ustawali-jednak. Natomiast sił zdawało się przybywać dziewczętom i chłopcom Tych ostatnich było teraz za wielu, stali łakomie popatrując na tańczące pary.

Po którymś tańcu Pietrek, który: też wypił sporo z traktorzystą Jankiem, zetkną się w ukłonie do nowej polki z przyszczatym przybyszem ze wsi. Blondynka z pegeeru spojrzała na nich spłoszona, wyczuwała zwadę, a nie wiedziała, jak ją powstrzymać.

-- *Weg!* — rzekł przyciszonym tonem przyszczaty.

— Odsuń się, szwabie, bo cię huknę! — Pietrek najeżył się, zapachniało bójką.

Porwali się już na siebie, gdy nagle Wittle wyrósł pomiędzy nimi, mocno uchwycił przyszczatego za ramię, odrzucił go na bok, rzekł chmurnie do Pietrka:

— Tańcz!...

Janek obserwował ze zdumieniem całą scenę, trzymając ręce w kieszeni i czekając na nieuniknioną, zdawało się, bójkę. Podszedł do niego kierownik.

— Co, Janek, będzie awantura?. Że też ich lichy tutaj przyniosło!

— Nie, chyba nie będzie — wycodził traktorzysta przez zęby, potrząsając w zdziwieniu głową. — Ale nie rozumiem, dlaczego jej nie będzie, nie rozumiem, Myślałem, że po to jedynie przyszli.

— W każdym razie uwaga!

Powrócił dobry nastrój, czemu nie przeszkodziły nawet odbijane w ciemnych zakątkach podwórza nowe flaszki wódki. Chłopcy ze wsi stali się potulni, wyglądało, jakby naprawdę przyszli jedynie po to, aby się pobawić. A przecież obok rozbijaki Wittlego także przyszczaty, jak też i trzeci jegomość, chudy, wysoki, mimo upałów nie zdejmujący z głowy kaszkietu, wszyscy

należeli do najgorszych łobuzów w wiosce, wszyscy też demonstracyjnie używali zazwyczaj mowy niemieckiej. Tutaj zaś mówili po polsku... Nie, Janek nie mógł tego zrozumieć. W końcu machnął dłonią na wszystkie domysły i sam także ruszył do tańca.

Zbliżała się druga. Kostek zastanawiał się już, czy nie warto wracać do obozu, tym bardziej że i liczba uczestników zabawy powoli topniała. Odszedł na bok, szukając wiadra z wodą przyniesionego specjalnie dla rozgrzanych tancerzy, żeby mogli -ugasić pragnienie. Z cienia wysunął się nagle mały chłopak, lat może dwunastu, i złapał Kostka za rękaw marynarki:

— Idźcie, panie, do obozu. Tam jest niedobrze... Idźcie zaraz... Kostek myślał, że się przesłyszał, schylił się ku niewyraźnie majaczącej twarzy malca.

— Co?

— Idźcie do domu, tam niedobrze...

I zaraz zniknął tak niespodziewanie, jak się wynurzył z cienia Kostka dobiegł tylko tupot bosych nóg po trawie. Potarł czoło dłonią, wciąż nic nie rozumiejąc.

Powtórzył zasłyszane ostrzeżenie Julkowi. Ten od razu powziął decyzję:

— W tym będzie chyba coś prawdziwego. Zwijamy manatki, i tak już późno!

Pietrek z Czartami jak też Zośka i Fajfer, nie mówiąc już o miejscowych, protestowali przeciw odejściu. Kostek szepnął swoim, że tak trzeba, innym wskazał na wschodni horyzont nieba, gdzie ledwo dostrzegalnie zaczynało się przejaśniać.

— Najwyższy czas!

Wracali zmęczeni, ale w dobrych humorach. Kostek z Julkiem szli.

na przedzie, pogrążeni w cichej rozmowie. Nie powiadomili tamtych o dziwnej przestrodze, nie chcąc stwarzać niepotrzebnego popłochu. Przyspieszali tylko kroku, aż dziewczęta wołały, by nie gnali tak jak szaleńcy.

Na polanie było mroczniej niżeli w pegeerze. Drzewa rzucały silny cień, wszystko tonęło w czerni, bo i księżyc schował się już za lasem.

Namioty stały w zupełnym porządku. Julek odetchnął z ulgą, myśląc, że nabrani zostali, na głupi kawał jakiegoś dowcipnisia wioskowego, gdy nagle Piotrek wrzasnął pędząc do przystani:

— Nie ma kajaków i łódki!...

Porwali się wszyscy. Istotnie, tylko „Gawron” kołysał się jak przedtem na lekko sfałowanej wodzie, natomiast z łódeczki Grapszy i z obu kajaków nie było śladu.

— Co jest u diabła, kurdefelek? — kłął Pietrek. — Kto to mógł, zrobić?

— Ukradziono je nam!

— Może znajdą się skryte gdzieś w trzcinie?

— Idiotyczne żarty!

Długo stali na pomoście, zaniepokojeni tym, co się stało.

Tknięty jakąś myślą, Julek poskoczył do „Gawrona”, zdarł płachtę osłaniającą motor. Zaślniły nikłym blaskiem płaszczyzny metalu. Odetchnął z ulgą.

16. Nowe niespodzianki

Cienie nocy rozmazały się dawno wraz z brzaskiem, na jeziorze wszczął się zwykły rozgwar ptasi, a oni jeszcze siedzieli przy mizernym ogniu, zastanawiając się nad zaginięciem kajaków i łodzi. Razem ze wschodzącym słońcem zerwał się silny wiatr, skołtunił jezioro, świstem mocnym przeciągał wśród drzew. Julek pierwszy poddał rozsądną myśl.

--Nic tu nie poradzimy. Kładźcie się spać... Potem, będziemy szukali... Może to tylko czyjś głupi, kawał?

— A ostrzeżenie tego smarkacza?

— Niczego się teraz nie domyślimy!

Spali wszyscy ile, przewracali się na posłaniach, wsłuchani w poszumy wiatru i kotłowanie się fal. Słońce wzniosło się już. Wysoko, gdy wreszcie na dobre zmorzył ich sen.

Mirka uśmiechała się, śniły się jej pocałunki Julka. Na twarzy uczuła wilgotne, dotknięcia. Otworzyła półprzysłone oczy, zachnęła się:

— Krut, odejdz...— pies lizał ją radośnie jęzorem... Sapał ciężko, wychudły był, zmarniały.

Poderwała się, usiadła na posłaniu. Patrzyła bacznie na psa

— Krut, a gdzie pan Grapsza?

Z sąsiedniego namiotu Julek wystawił zmęczoną twarz. Wyglądało, jakby w ogóle nie zmrużył oczu.

— Krut? — spytał.

— Zbudził mnie przed chwilą. Sądziłam-... — urwała, speszona wspomnieniem swej myśli.

Gimnastykował się chwilę, aby przywrócić ciału sprężystość. Zmarszczył czoło.

— Może stało się coś z leśniczym? Miał przytrzymać Kruta przez parę dni. Zaraz tam pójde.

Zerknął na „Gawrona”, coś go zastanowiło, uniósł brezent nakrywający motor.

— Fiuu! — świsnął przez zęby.

— Co takiego? — Kostek stał przy nim, w całym obozie robiło się gwarno.

— Piasek!

Kostek nie zrozumiał w pierwszej chwili.

— Piasek w motorze! Ktoś go tutaj nasypał — wyjaśnił zdenerwowany Julek.

— Dzionek zapowiada się w dechę, można powiedzieć! Od rana niespodzianki —

flegmatycznie wycedził Jaroszyk. Myślałem, że „Gawronem” wyjedziemy na poszukiwania...

Powiódł wzrokiem po wodzie, jakby chcąc znaleźć tam zaginione kajaki Zaskoczony, wyciągnął rękę, w pierwszej chwili zabrakło mu słów. Spojrzeli.

— Teraz rozumiem! To dranie... Dlatego nas unieruchomili na brzegu łobuzy! — rozdarł się Pietrek.

Na środku jeziora tkwiły dwa duże baty rybackie. Nad nimi wznosiły się belki, przypominające rusztowanie wyciągowe. Kilka osób wierciło się na łodziach przy czymś pracując. W lekkim opalu mgły porannej trudno było rozróżnić szczegóły.

— Płyniemy, nie można zezwolić, to nasza zdobycz — gorączkował się Pietrek, wypieki wystąpiły mu na twarz, ręce, drżały, tak był podenerwowany odkryciem, iż ktoś Uprzątnąć im chce sprzed nosa tajemnicę skrytą pod powierzchnią wody.

— Uspokój się! — ostro osadził go Julek. — Krut wrócił, wymęczony, zziąjany. Może się Grapszy coś stało? Trzeba iść przede wszystkim do niego.

— Słusznie — potwierdził Kostek.

Na progu leśniczówki dojrzeli Grapszową, spokojnie krzątającą się przy obejściu.

— Mąż wrócił? — zapytał Julek.

Spojrzała zdumiona dziwnym brzmieniem jego głosu,

— A jakże, nad ranem, zarośnięty i bez sił po tym bobrowaniu po lesie Śpi jak zabity...

Odetchnęli z ulgą.

— Krut nas nastraszył, przybiegł tak nagle.

— Wyrwał mi się, pognął prosto na obóz... A co, zbudzić męża? — Nie, nie, niech śpi, potem może zajrzyłby do nas... Pani Grapszowa, zginęły nam kajaki i łódka, a do motoru nasypał ktoś piasku.

— Zginęły?

— Tak.

— Coś tu niedobrego się dzieje... Mój stary nic nie mówi, ale jęczy przez sen, a ja go znam, znak, to, że coś poważnego siadło mu na wątrobie.

— Musi być bardzo zmęczony.

— Tam jakieś łódki szukają ciężarówek w jeziorze... — powiedział jeszcze Bończa.

— A bo to pierwszy raz szukają? Od lat zawsze ktoś grzebie w wodzie, szukając, czego w niej nie zgubił — zaśmiała się, lekceważąc zupełnie ostatnią wiadomość. — Podeślę męża, jak krzynę odeśpi swoje. .

— No dobrze, bo już naprawdę się bałem — Julek odetchnął.

Kostek zasepił się.

— Ty coś wiesz, ale nie chcesz powiedzieć... Jednak powinniśmy wiedzieć, to także sprawa dziewcząt, niech wiemy, czego oczekiwać...

— Ja naprawdę nie wiem nic pewnego, trochę się tylko domyślam.. Mówiłem już o tym. Po co rzucać słowa na wiatr, stwarzać jakieś niezdrowe nastroje?

— Żeby tylko Pietrek nie zrobił głupstwa — zatroskał się starszy Godycki.

— Już tam Gabryś go upilnuje — Bończa lekceważył Pietrka dosyć ostentacyjnie.

Zastali go stojącego na pomoście, uporczywie wpatzonego w łódzie majaczące na środku jeziora. Widzialność poprawiła się teraz znacznie i w płataninie belek, sterczących pionowo ponad ciężkimi łodziami, rozróżnić można było rusztowanie podtrzymujące blok do windowania ciężarów. Ludzie na wodzie pracowali z zapałem, przechyleni, wymachując rękami, wypatrywali czegoś za burta.

— Jak będziemy szukać kajaków? Może „Gawron” zapali, co, Julek? — Pietrek czepiał się strzępów nadziei.

— Nie, trzeba będzie rozebrać motor na drobny mak, Czyścić i przemywać benzyną... Piasek to nie żarty.

— Śniadanie! — zawołała Zośka.

Jedli szybko, przyglądając się manipulacjom ludzi na łodziach.

— O kurczę pieczone! — westchnął nagle Gabryś z zachwytem.

— Nurka mają, patrzcie, głowa, widać, nad burta.

Nad wodą unosiła się niekształtna, olbrzymia głowa skafandra; — To już nie może być prywatna inicjatywa.

— Skąd by mieli skafander?

— Nic tu, zdaje się, nie będziemy mieli do powiedzenia.

— Kurdefelek, a mnie śmierdzi ta cała sprawa. Ja swoje wiem. Trzeba się do nich dostać, zapytać, wywiedzieć, kim są — gorączkował się Pietrek.

-- Chyba na piechotę — zakpił Bończa.

— Popłynę, wielka mi rzecz!

— No i co, odpędzą cię w najlepszym razie. Milicjant się znalazł. Legitymować zechce, goła pokraka w wodzie. Też masz pomysły!

— To radź mądrzej! Krytykować tylko umiecie, kurdefelek!

— Spokojnie, Pietrek, spokojnie — Julek położył mu rękę na ramieniu. — Dowiemy się wszystkiego. Przedtem jednak spróbujmy poszukać kajaków i łódki. Może je ktoś zapchał po prostu w trzciny czy krzaki przybrzeżne? Przejdziemy się brzegiem...

— Ja wypłynę, może w wodzie, za pasem trzciny coś dojrzę. Kajaki białe, łatwiej będą

widoczne — postanowił Gabryś i nie zwlekając skoczył z pomostu do wody.

— Kurdefelek, i ja ganiam, bo nie wystoję!

— Fala przeszkadza, źle widać na wadzie — patrzyli za płynącymi chłopcami.

Gabryś kierował się ku zakosowi trzciny od lewa, dosyć daleko wybiegającemu na głębie. Już z pomostu zauważył, że przy mocniejszych przewalaniu się fali, łyska na tle trzciny coś białego.

— Kajak, kurdefelek!

— Zatopiony, choroba!

Tak, to zanurzony kajak zwrócił uwagę Gabryśia, W dziobie zostało jeszcze trochę powietrza, które utrzymywało go tuż pod powierzchnią.

Jak go teraz holować

Napełniony wodą, jednym końcem wsparty o dno, ciężki kajak ledwie drgnął z miejsca.

— Byle wytaskać go na płyciznę, Czekać, odsapniemy, a ja sprawdzę.

Jaroszyk dał nura pod' wodę. Na tej głębokości widoczność była względnie dobra. Trzymając się kajaka, obmacywał go dokładnie rękami Zabulgotało i Gabryś ukazał się na powierzchni. Błady był, meł w ustach jakieś złe słowa.

— Wiesz, co jest? W dniu wycięli dziurę, dlatego kajak tak łatwo zatonął.. Psiakrew, wypożyczony z PTTK...

Od środka jeziora dobiegł ich przenikliwy skrzyp i podniecone głosy Godycki całą siłą trzasnął go po dłoni.

— Głupi, jeszcze tego potrzeba... Po co im pokazujesz, co myślisz? Holuj kajak.

Podpływali już Kania z Kostkiem, widząc, że sami nie dadzą rady.

Z pomostu buchnął w wodę także i Maryś.

— Dziura wycięta w dniu — poinformował Jaroszyk, gdy się zbliżyli.

— Ach, tak! — Julek zacisnął wargi; zlały się w cieniutką bladą linijkę. Kostek dojrzał to i pomyślał, że nie chciałby się teraz narazić koledze!

Wspólnymi siłami dociągnęli do pomostu napełniony wodą kajak. Wywindowali go wtedy na deski, woda wylewała się z szumem przez dziurę wielkości ludzkiej głowy. Wyglądała, jakby wycięto ją ostrym nożem.

— Wiatr się uspokaja, może znajdziemy i drugi kajak.

— Ba, a jeżeli opadł na dno na wielkiej głębokości? Możemy go wcale nie znaleźć... — powątpiewał Kostek.

— Zrobimy długie bołty, będziemy nimi wymacywali grunt. Teraz trzeba jak najszybciej załatać dziurę. Potem zobaczymy, co dalej — Julek ponuro spojrzął w stronę jeziora. Widać tam. było korbę kołowrotka, nawijającą linę na szpulę. Skrzyp niósł się daleko.

— Holują już coś do góry... Pewnie, skoro jest nurek, to żadna sztuka — z goryczą rzekł Gabrys.

Pietrek przypomniał sobie, że na przedpołudniową godzinę umówił się dzisiaj z panią Mery, gwizdnął jednak tylko przez zęby, nawet nie spojrzął w stronę biwaku doktorostwa. Zbyt przejęty był historią z kajakiem, nade wszystko zaś irytował go sukces tajemniczej konkurencji przy wyciąganiu wehrmachtowskich ciężarówek.

— To chyba oni zrobili?—spytał głośno.

— Logika na to wskazuje, Tylko czy pokusiliby się potem tak jawnie babrać w jeziorze? — zdziwił się Julek. — To jakby oficjalna wyprawa....

— Chcieli nas unieszkodliwić, abyśmy nie popsuli im szyków, jasne, kurdefelek!

Julek dopasowywał kawałek dykty, jaki znalazł w „Gawronie”. Nasycił drzewo uszczelniaczem odpornym na wodę. Daleko pobiegły równomierne postukiwania młotka, Na łodziach nastąpiło poruszenie, plamy białych twarzy obróciły się w kierunku obozowej przystani.

— Julek masz gości — doszedł ich jednocześnie od namiotów głos Mirki,

Zdziwiony podniósł się z klęczek i poczłapał pod górkę Stała tam średniego, wieku kobieta o zniszczonej twarzy, Za rękę trzymała chłopca lat dwunastu, wodzącego dokoła spłoszonym wejrzeniem. Julek poznał małego Klause, domyślił się, że ma przed sobą Wittlową. Nie bardzo ją już pamiętał.

Podeszła bliżej Suchą twarz o ostrych rysach znalazła się tuż przy nim. Siwe Oczy patrzyły teraz serdecznie, w głębi jednak czaiła się w nich jakby obawa Powiedziała cicho, prawie szeptem, głos jej miał twarde brzmienie, mówiła, nie całkiem poprawnie:

—Podziękować przysłam za tego chłopca... Dwóch ich mam tylko, oczy bym wyplakała — spojrzała za siebie, cofnęła się po zawiniątko leżące na ziemi. — Tu wam przyniosłam trochę mięsa i jajek.

Julek spoglądał ze zdumieniem na trzy oskubane kurczaki i sporą kobiałkę z jajkami. Zachnął się, przytrzymał dłonie wyciągające się, z tymi darami.

—Wittlowa, niech to pani zostawi... Niczego nie przyjmę. Cieszę się z uratowania chłopaka tak samo, jak pani — pogłaskał małego po głowie, ten prychnął jak kot, uchylił się przed ręką Julka.

— To nie zapłata, bo za życie płaty nie ma... To z serca matki.

— Pani samej się nie przelewa...

— Dlatego tak skromnie. Proszę nie odmawiać — siłą wtykała mu dary. — Klaus, podziękuj panu.

— Dziękujee... — niepewnie rzekł chłopak, patrząc z zapalem w stronę jeziora.

— Niech pani siada, pani Wittlowa — zapraszał do stolika ocienionego płachtą brezentu.

— Robota czeka, u nas w polu jeszcze nie skończona — rozejrzała się, czy są sami, szepnęła:

— A z tamtymi lepiej nie zaczynajcie, oni są na was źli. Michał nie poradzi obronić...

— Ale kto, pani Wittlowa? Kto? Za co ten ktoś jest zły? — pytał gorączkowo, zdenerwowany dziwnymi ostrzeżeniami, sypiącymi się ze wszystkich stron.

Oczy jej zabiegały trwożnie. Machnęła dłonią, jakby gestem tym podkreślając swoją niewiedzę.

— Ja nie znam... Tak tylko słyszałam. Nie wiem, nic nie wiem... — wycofywała się.

— *Komm, Mutti, komm...* — ciągnął ją mały Klaus.

Kania patrzył za nią szeroko rozwartymi oczyma. Pomyślał, jak niespodziewanie znalazł sprzymierzeńca w Michale, w starszym synu Wittlowej. Wczoraj przecie, gdyby nie on, doszłoby na zabawie do bójki.

— Kajak gotów, nie cieknie — oznajmili Gabryś z Marysiem.

— Jedziemy do tamtych? — zgorączkowany Pietrek wskazywał na ludzi zawzięcie borykających się z czymś na środku jeziora. — Wyciągnęli dwa pakunki, „skrzynie albo co..

Julek zastanawiał się. Sprawa nie była prosta. Zdecydował się jednak. Przywołał Kostka.

— Nie da rady, trzeba pojechać... Siadaj z Pietrkiem, tylko uważaj, by nie zrobił kawału Ciebie słucha... Warto się dowiedzieć, co za jedni i co tam wydobywają.

— O, nasza łódka! — Zawołał Maryś, mający najbystrzejszy wzrok z nich wszystkich.

Po drugiej stronie jeziora, tuż koło trzciny kołysała się mała, czarna łódeczka Grapszy. Julek uradował się.

— Widzicie, jak nam pogoda sprzyja? Zaciągnęli łódkę daleko w trzciny, mogliśmy przez tydzień szukać bez skutku, gdyby nie wiatr od tamtej strony. Wypchnął łódkę na wodę. Trzeba jechać po nią.

— A tamci? — skrzywił się Pietrek.

— Jeszcze zdążymy. Ważniejsze, by mieć rezerwę na wszelki wypadek. Jedziesz? — spytał Kostek.

Pietrek niechętnie ładował się do kajaka. Nie minęło pół godziny, a łódka stała już przy pomoście.

— Dobrze, że nie dziurawa — uśmiechnął się Maryś.

Pod nieobecność Godyckich naradzili się z Julkiem, postanawiając całą piątką podjechać do nieznannej grupy, penetrującej jezioro. Widzieli wyraźnie, jak, podciągana na blokuj wynurzyła się właśnie z głębi wody czarna od mułu paka.

Zbliżyło się południe. Słońce piekło, ale silny wiatr tłumił/żar niesłychanie trudny zazwyczaj do zniesienia o tej godzinie.

— Jedźcie już, skoro rezygnujecie z naszego towarzystwa Bo nie wiadomo, co począć z sobą... — Mirka bawiła się kudłami Kruta, głęboko nurzając w nich dłonie.

— Przecież wiesz, że łódeczka nie utrzyma nas wszystkich, jeszcze przy takiej fali...

Zaśmiała się do Julka ciepło, serdecznie Śmiechem tym wypowiadała rzeczy, zrozumiałe tylko dla niego, Jak ręką odjął, odeszły go złe przypuszczenia, jakiś nastrój lęku, nie tyle o siebie, co o innych, dziwne, niepokojące przeczucia. Zdawał Sobie przy tym w pełni sprawę z powagi sytuacji, którą, stwarzały dziwne wypadki, rozgrywające się dookoła nich.

— Pietrek, tylko spokojnie, cokolwiek by .nam powiedzieli — upomniął jeszcze.

— Pamiętaj, bo się policzymy, inaczej! — zagroził Kostek.

— Co to za szkółka moralna, do diabła! — zachnął się rozżalony chłopak.--Wszyscy na mnie, jak na pochyłe drzewo...

— Sameś sobie winien — Kostek nie wzruszał się jego żalami.

Fala była silna, choć niezbyt wysoka Kajakiem i łódeczką rzucało jak piłką, bryzgi wody siekły po nagich plecach wiosłarzy.

Na batkach nastąpiło poruszenie. Załopotano w podmuchu wiatru jakieś płótno czy może żagiel. Ktoś, przysłonił oczy dłonią, patrząc w stronę nadjeżdżających. Ustała praca kołowrotek, windujących na bloku ciężary z głębi. Nurek siedział na ławce, hełm skafandra nakrywający głowę leżał obok.

Dojeżdżali. Pietrek przestał wiosłować, wpił oczy w piątkę ludzi na łodziach. Z wyjątkiem jednego o siwych włosach, wszyscy byli młodzi, w wieku od dwudziestu do trzydziestu najwyżej lat. Twarze ich nie wyróżniały się niczym ciekawym.

Baty rybackie z bliska okazały się znacznie większe, niż to wydawało się z brzegu Jeden z nich przykrywała gruba płachta brezentu zawalona mułem Podobnie wszyscy mężczyźni umorusani byli niesamowicie. Szlam, brudny, lepący się, zmieszany z wodnym zielskiem, zalegał łodzie Woda dokoła również była brudna, zmacona.

Kostek wstrzymał bieg kajaka, pozwalając łódeczce wysunąć się naprzód.

— Halo, stop! — na dziobie bata stanął wyższy od innych mężczyzna o pospolitej twarzy. Niezwyčajne miał tylko oczy. Czarne, duże, patrzyły ostro, jakby z tajoną groźbą.

Wstrzymali rozpęd kajaka i łódeczki. Nikt z obozowiczów nie odezwał się słowem. — Panowie czego chcieli?

— Ciekawi jesteśmy pracy panów. Można popatrzeć? — Julek za pytał grzecznie, spokojnie.

— Nie ma tu nic do oglądania! Proszę nam nie przeszkadzać. — W głosie mężczyzny o

czarnych oczach dźwięczał kategoryczny ton zakazu.

— Przecież to żadna tajemnica — łagodnie zaoponował Julek.

— Nie będę się wam tłumaczył. Proszę się natychmiast oddalić!

— A jak nie, kurdefelek, to co? — wyrwał się Pietrek..

— Zamkniesz jadaczkę? — Kostek obrócił się zagniewany na brata.

— Tylko bez gróźb. Jesteśmy placówką państwową, mamy tutaj swoje zadania do wykonania — słowa nieznajomego cięły powietrze.

Julek patrzył na burtę bata, gdzie obok dzioba widniał napis „Zespół rybacki Mikołajki, grupa Żak, Nr 7”. Napisu na drugim bacie nie mógł dojrzeć.

— Przepraszamy bardzo, po prostu zaciekała nas praca panów. Jesteśmy studentami, taka mała emocja wakacyjna była nie do pogardzenia. Proszę, niech panowie sobie nie przeszkadzają... Odjedziemy trochę na stronę.

— W ogóle proszę się stąd wynosić!

— Nie zabroni nam pan korzystania z jeziora. To już nie leży w zakresie pańskich możliwości.

— Proszę odjechać!

— No trudno, nie będziemy się narzucać — Julek mówił to zaciskając wargi. Wiele go, kosztowało zachowanie zewnętrznego spokoju w odpowiedzi na grubiański ton człowieka z czarnymi oczyma.

Siwy człowiek na bacie przechylił się i szepnął do towarzysza kilka słów. Czarny od razu zmienił ton, rzekł wyjaśniająco:

— Niech panowie zrozumieją, że praca naszej ekipy jest ciężka i niebezpieczna. Jeszcze na wiosnę straciliśmy kolegę przy wydobywaniu wraku starego kutra... Każda nieuwaga może się ciężko zemścić.

— Co tam jest dobrego w tych skrzyniach? — z głupia frant zapytał Gabrys.

— Nie wiemy nawet. Polecono nam je wydobyć, wydobywamy.

— To panowie zaznaczyli to miejsce?

Tamten skinął głową potakująco.

— Więc może panowie będą uprzejmi, bo chcemy przystąpić do pracy — poprosił znowu.

— Za wyjaśnienia dziękujemy. Do widzenia — skłonił się Julek.

Odjeżdżali powoli, W Pietrku gotowało się. Gdy mógł już mówić bez obawy, że tamci go usłyszą, wybuchnął:

— Tacy oni państwowi, jak i my! Kant jakiś,, kurdefelek!

— Łodzie państwowe, skąd zresztą wzięliby nurka?

Julek miał wątpliwości, czy wszystko wygląda naprawdę tak, jak informował nieznajomy o czarnych oczach. Chociaż te łodzie, skąd by je, inaczej dostali? Pracują w biały dzień, może to naprawdę nic zdrożnego? Mogli mieć zastrzeżoną poufność, dlatego wystąpili tak energicznie.

— Niepotrzebny alarm — skonstatował Kostek.

— Ach, a kajak kto podziurawił i piachem zasypał motor?

— To chyba inna sprawa. Jakież miałoby w tym cel?

— Lipa, kurdefelek... Ja nie wierzę. Patrzcie, znowu coś ciągną, oho, to większa zdobycz... . Nad batami zawisł ociekający mułem i wodą taki ciężar, aż się burty przybliżyły ku wodzie.

— Co tam może być w tych skrzyniach?

— Żeby to wiedzieć!

— Moim zdaniem dobrze byłoby wywieźć się w milicji, co i jak — zaproponował Maryś.

— Dobra myśl, możemy przejść się po obiedzie do Mikołajek... Teraz dochodzi pierwsza.

Julek zaproponował.

— Naradzimy się z Grapszą — znalazł kompromisowe wyjście.

Zgodzili się na to.

Gdy wylądowali w zatoce, Julek podzielił się z Kostkiem swymi myślami. Godycki zgodził się z nim zupełnie. Ludzie ciężko pracują, nie lubią intruzów, normalna rzecz. Dlaczego od razu wietrzyć coś złego? Odwrotnie, to raczej Pietrek z Czartami mogliby się znaleźć w kolizji z prawem, gdyby wcześniej zabrali się do wydobywania skrzyń z nieznaną zawartością.

— Nie wydobylibyśmy zresztą... Myśleliśmy wyciągać motorem, ale „Gawron” byłby za słaby. — Julek usiłował uspokoić swoje sumienie, ale znów przypomniał sobie o motorówce, złośliwie unieruchomionej przez nieznanego szkodnika. Znów nawiedziły go jakieś podejrzenia, zaczął powątpiewać, czy jego rozumowanie było słuszne. Z ciężkim westchnieniem wyciągnął narzędzia, rozpoczął odkręcać rozliczne śruby, gwinty, nakrętki, mocował się z poszczególnymi częściami.

Czasem spoglądał na jezioro. Ekipa poszukiwaczy starych wraków mozoliła się tam bez przerwy.

Po obiedzie dziewczęta skryły się pod namiot. Zmęczone były po wczorajszych tańcach i nie przespanej nocy. Czarty bobrowały na łódeczce, poszukując swojego kajaka. Pietrek korzystając z okazji po-wiosłował wzdłuż brzegu, w stronę obozu doktorostwa. Miał cichą nadzieję, że zastanie teraz tylko miłą panią Mery.

Kostek pomagał Kani. Co jakiś czas przerywali pracę, spoglądając na wodę. Praca przy batkach nie ustawała.

— Co oni? Nawet jeść nie chcą? — dziwił się Kostek.

— Zjedli chyba na miejscu... Tylko że ten szlam strasznie cuchnie na słońcu...

Krut wesoło zaszczekał, wybiegając na spotkanie Grapszy, Leśniczy szedł zwykłym swym długim i cichym krokiem. Z daleka już przyjaźnie wymachiwał rękami...

— Bywajcie, rybeńki, bywajcie, co tam nowego? Kajaki wam pokradli?

Przysiadł się na pomoście obok „Gawrona”. Przez minione dni wychudł jeszcze bardziej, słońce i wiatr mocniej spaliły twarz, nie zatracił jednak nic ze swej czerstwości i siły.

Julek opowiedział mu wszystko, co się przydarzyło od wczorajszego wieczora. Grapsza pogwizdywał słuchając.

— A może, rybeńki, jaki z chłopaków z zazdrości wam to zrobił? Bywa i tak w tych stronach...

— Z zazdrości? — przeciągnął zdumiony Kostek.

— No bo kto wie, czy się źle komu nie widzą twoje amory z buchalterką gospodarstwa? Może i na samej zabawie coś jeszcze zrobiliście, hę? — śmiał się, napychając tytoniem krótką fajeczkę.

Takie przypuszczenie nie przyszło nikomu do głowy, a przecież wydawało się, że było w tym sporo racji. Spojrzeli po sobie zakłopotani.

— Ale mogło być także inaczej — bąknął Grapsza. — Tu nic nie wiadomo — wyciągnął palec w stronę batów wciąż tkwiących na tym samym miejscu jeziora. — Widzę, że coś wydobywają. Brr, w tych szoferkach muszą siedzieć piszczele przy kierownicach, bo kierowcy też poszli pod lód.

— Nie dziwi pana to wszystko?

— A czemu ma dziwić? Przez ostatnie lata ciągle znajdują coś na dnie okolicznych jezior. Ostatnio, co prawda, mniej było o tym słyszeć. Kawał czasu, przegniło pewnie wszystko pod wodą.

— Skrzynie jakieś wyciągają lub beczki, Nie mogliśmy zobaczyć, bo przykryli wszystko brezentem, a nas odpędzili, gdyśmy próbowali podjechać bliżej — niechętnie rzekł Julek, w którym od nowa zawrzała złość na wspomnienie jegomościa o czarnych oczach.

— Nie dopuścili? Ano, ich rzecz...

— Chłopcy chcieli jechać na milicję, dowiedzieć się, kto prowadzi te prace i z czyjego zlecenia. Na bacie jest napis, że to własność zespołu w Mikołajkach...

— Na milicję? Dajcie spokój, zostawmy im ważniejsze sprawy, których tutaj niemało... Zresztą będę jutro w miasteczku, chciecie, dowiem się od znajomych w zespole, co było w tych skrzyniach.

— Oczywiście! — ucieszyli się.

— A panu jak poszło? — zapytał Julek, przypominając sobie tajemnicze łągi leśniczego.

— Jak poszło, rybeńki? Ano miałem niespodzianki w ostatnim czasie. Wasz spadochron, potem tamci dwaj, co strzelali. Musiałem wszystko sprawdzić, krzak każdy obejrzyć. Tak, tak, rybeńki.

Zapalił fajkę, pykał, kłęby dymu poniosły się z wiatrem. Kostek również ćmił papierosa. Leśniczy obejrzał się, mówił cicho.

— Nie mówcie tego nawet waszym. Dziewczyny mogą się zdenerwować, a tamte nygusy nieopierzone, narwane, głupstw gotowe narobić. Otóż przyniosłem zdobycz. Dwa ładunki bibuły razem z balonikami. I polskie, i niemieckie ulotki, wszystko do Mazurów adresowane. Papką tam i czapką niewolą, próbują groźbą i strachem Paskudna robota... Przyniosłem to nocą do siebie, nikt nie widział. Jutro przekażę, komu należy. Konikiem sobie do Mikołajek pojedę, niby po sprawunki.

— Dawno to świństwo zostało zrzuczone?

— Nie rybeńku, niedawno, ale i nie przed paru dniami. Znać ślady deszczu, zatem wtedy, jak i tamte szmaty na sośnie... Możliwe że i tam też był balonik, to wcale nie mały, parę prześcieradeł z każdego by uszył, Ot, jaki plon, niech to jasne nieszczęście!

— A tamci ludzie? No ci, co strzelali? — wypytywał przejęty Kostek.

— Szukaj wiatru w polu. Ja tam nie miałem nadziei znaleźć człowieka w tych chaszcach i bagniskach... Na wszelki wypadek wzięłem jednak Kruta ze sobą.

— Odpocznie pan teraz po takiej mordędze?

— Jeszcze mam tamten kawałek — wskazał ręką na krzaki ostrym klinem wcinające się w jezioro Za nimi ciągnął się ciemny pas starodrzewu, -- Ten teren, też do mnie należy...

— Tam są podobno kurhany?

— A są! Co rybeńki, pokopać chcecie? Niebezpieczne, w tym lesie trafiają się jeszcze miny. Widzicie, zimą ciągnął tędy najprostszy szlak przez wody i trzęsawiska, to go hitlerowcy ubezpieczali, jak się im już paliło na wschodnim froncie. Lepiej nie łązić. Chyba że ze mną. Ale to mordęga, nogi można sobie schodzić, rybeńki.

Podniósł się, przeciągnął, chwilę spoglądał na baty ciemną plamą odcinające się od niebieskiej tafli uspokajającej się wody, bo i wiatr nad wieczór począł ucichać, potem uśmiechnął się szeroko.

— Mogą nas, dranie, zasypać tym paskudztwem, a przecież nic nie zrobią. Słaba tam ich polityka, w tej bońskiej republice, słaba... Na mnie czas, żonie trzeba w gospodarstwie dopomóc. Bywajcie, rybeńki!

17. Bal nad zatoką

Któregoś dnia pod wieczór Fajfer przyszedł do obozu mocno zakłopotany.

— Gwizdowie mają do mnie żal. Trochę nieprzyjemna historia. Nie, wiem teraz, jak wybrnąć — wystękał.

— Coś znowu zbroił?

— Bo... — spojrzał po nich z niepokojem. — Boję się, abyście i wy nie poczuli do mnie urazy, Widzicie, ja już od miesiąca mam przydział pracy, i to właśnie w Wyrajach. Nikomu nie mówiłem, pragnąłem bowiem wcześniej zapoznać się z terenem, z ludźmi, między którymi będę pracował. Myślę nawet, że to nie był zły pomysł. Trzeba trafu, że Gwizdzina pojechała do Wydziału Oświaty i tam dowiedziała się o moim przydziale, Są bardzo urażeni, że nie okazałem im zaufania, a nie o to przecie chodziło.

Umilkł strapiiony Słuchali go uśmiechając się.

— Ja się gniewam — żartobliwie nadała się Zośka.

Nie pojął żartu Przestraszył się.

— Ależ, Zochna, zrozum, tu nie chodzi o kłamstwo, i tak miałem zamiar powiedzieć wam w swoim czasie.

Wybuchnęli śmiechem.

— Żartuję. Mnie się nawet podoba twój pomysł. Nie wylądujesz przynajmniej na nieznanej wyspie.

Odetchnął z ulgą.

— O to właśnie chodziło. A z Gwizdami pomożecie mi ułagodzić sprawę, prawda?

— Pojutrze. Na wielkim balu nad Zatoką Żarłocznego Szczupaka...

Był to pomysł Kostka, przyniesiony z którejś wędrowni do pegeeru. Podejrzewali wszyscy, że nie tyle interesują go sprawy rolne, co buchalterka Halina, czego się zresztą nie próbował wypierać. Przyjaźń zadzierzgniętą na dożynkowej potańcówce należało rozwijać. Julek krzywił się trochę, że nie-umieją znaleźć sposobów bardziej osobistego podejścia do młodych, że same zabawy to jeszcze nie wszystko, reszta jednak zakrzyczała go, wysuwając argument najbardziej rozsądny, że najpierw trzeba utorować drogę, a wtedy wyłonią się dalsze rozwiązania. Przekonali go, zapalił się do projektu. Tym bardziej, że w ubiegłym tygodniu nic nie wyszło z siatkówki z uwagi na gorący czas żniwny.

Kłopotów wyłoniło się co niemiara. I to różnych: od organizacyjnych poczynając aż po programowe. Mirka chciała nawiązać do tradycji Ognisk harcerskich z programem artystycznym:

— Więc tak — wyciągnęła rękę przed siebie, wyliczała kolejne punkty zginając palce. — W programie: recytacje wierszy, wspólny śpiew. Potem taniec tych dziewcząt z pegeeru.

— Podobno kiedyś był to dobry zespół, ale rozsypał się — przerwał Kostek.

— Źle to świadczy o Halinie. Nie przeszkadzaj — zgasiła go energicznie i dotkliwie Mirka.
— To mamy trzy gwoździe programu, a dalej?

— Adapter i harmonia.

— Uspokój się, Pietrek!

— Już wiem, namówimy starego Kwietnie, niech nam opowie jakieś legendy mazurskie, to może być ciekawe.

— O ile się zgodzi.

— Zgodzi się, zgodzi... No i co jeszcze?

— Mam, mam! — wrzasnął Pietrek. — Pamiętacie wianki na Wiśle? Zrobimy walkę na kajakach. Bierze się długie dwa kije, owiązane u końca szmatami. Partnerzy stoją na kajakach, ich towarzysze wiosłują. Chodzi o to, kto kogo przepcha i zwali do wody. Kupa śmiechu jest przy tym, naprawdę.

— Świetny pomysł. Tylko jak oświetlić wodę? Lampiony na pomoście nie wystarczą.

— Mamy przecież reflektor bateryjny. Można zapuścić „Gawrona”, niech motor idzie na wolnych obrotach, podłączy się do niego reflektor i będzie świecił, że ha! — Pietrek zapalał się do swego pomysłu.

— Teraz rozdzielimy role, Kto będzie dekorował obóz? Tu musi być piekielnie barwnie i wesoło.

— Może ja z Edkiem? — odezwała się Zośka, ale zaraz się speszyła i spuściła głowę. Mało to pomogło, bo właśnie Gabryś podrzucił na ognisko dużą gałąź wyschłego jałowca. Mocny płomień z syczeniem i trzaskiem buchnął w górę, aż się odchylali przed tryskającymi iskrami.

— Z tym, że Edward ma jeszcze obowiązek sprowadzenia kilku młodych z wioski.

— Już my tego z Zochną dopilnujemy.

Rozgłośny śmiech poleciał w las i nad wodę, płosząc dzikie kaczki przycupnięte w niedalekich szuwarach.

— Lampiony, w ogóle oświetlenie, przejmą na siebie Czarty, tak jak i zamontowanie reflektora. Pietrek przygotowuje kajaki. On też przyniesie chrust na ognisko...

— Po co, skoro będą lampiony i latarnie? — zdziwił się.

— Tak, ale pierwszą część programu robimy przy ognisku. To stwarza świetny nastrój. Julek przygotowuje trybuny i organizuje widowie.. Widzicie, jak się fachowo wyrażam? Kostek pilnuje

pegeeru. Ja przygotowuję stronę imprezową Gotowe. To dopiero organizacja, co?

— Na medal --- Julek patrzył na twarz Mirki rozjaśnioną pełgającymi blaskami ogniska, Z trudem panował nad sobą, aby nie ujawnić zachwytu, jaki w nim wzbudzała dziewczyna.

Zacichło. Od Lasu szedł zaledwie wyczuwalny szum, jak zawsze o późnej wieczornej godzinie. Lubili te chwile, spokój przerywany tylko trzaskiem smolnych gałęzi pożeranych przez płomień ogniska, w dali zaś zakłócany ledwie uchwytnym trzepotem skrzydeł polują, tej sowy.

Fajfer podnosił się niechętnie, zbierając się do domu.

Julek spojrział na las, zawahał się.

— Zostałbyś u nas, miejsce u Czartów się znajdzie, zmieścicie się,

— Jak będzie źle, to wyrzucimy Marysia na trawę i tyle — zaśmiał się Jaroszyk.

Długo jeszcze potem, gdy obóz spał już w najlepsze, Zośka siedziała na pomoście przytulona do młodego nauczyciela. Od wody ciągnęło rześkim chłodem. Cichy szept biegł po jasnej, migocącej smudze księżyca.

Przez następne dwa dni leśniczy i Gwizdowie przeżywali inwazją zachłannych na wszystko, co barwne, obozowiczów. Nie tylko w Wy-rajach, ale i w Mikołajkach wykupiono cały zapas kolorowej bibułki. Julek wycinał płyty darni około lasu i znosił je urządzając miejsca do siedzenia wokół ogniska. Rósł coraz wyżej stos suchych gałęzi ściąganych przez Pietrka, który wcześniej od innych uporał się ze swoją robotą i wyglądał okazji, by spotkać się z doktorową.

Pan Gwizda był w dobrym humorze: jego praca o obyczajach mazurskich w niedługim czasie miała ukazać się w druku Nietrudno było przywrócić w nim dawną przychylność do Fajfera. Zośka uśmiechała się przy tym do starego działacza tak zniewalająco, prosiła tak serdecznie, że gotów byłby wybaczyć nie tylko Edkowi, ale całemu światu. Nie przeczuwał zasadzki, jaka się za tym kryła. Bo oto młodzi zaprzęgli go do malowania wodnymi farbami afiszy, zapraszających młodzież wioski na wielką zabawę.. Pani Gwizdzina wspominała kiedyś, że mąż jej miał w swoim czasie zamiłowania malarskie....

Teraz z dumą pokazywał gotowe afisze. Obok- rysunek przedstawiającego jezioro i płaszące na nim żaglówki pyszniły się litery:

WIELKA ZABAWA NAD ZATOKĄ ŻARŁOCZNEGO SZCZUPAKA

Niebywale atrakcje! Orkiestra na miejscu. Bufet w domu.

Afisze podzielili na dwie partie. Pierwszą wywiesili w ruchliwszych punktach wioski już w piątek. W sobotę nie zostało z nich ani śladu. Wtedy powędrowała na ściany domów reszta ogłoszeń

W pegeerze nikt afiszów nie zrywał. Kostek był z tego bardzo dumny.

We wsi szumiało. Gorączkową propagandę wieczorku rozwinął tu Gwizda, który zapalił się

do pomysłu swych młodych przyjaciół Robił, co mógł, Fajfer, krzatali się również, absolwenci uniwersytetu ludowego w Mikołajkach, Józia i Henio. Julek też nie próżnował.

Przez cały piątek kupiły się przy opłotkach grupki młodzieży wiejskiej. W gospodzie tego dnia wypito więcej wódki aniżeli w popołudnia niedzielne...

— Mówiła Halina, że podobno znaleźli się w wiosce mądrale, którzy chcą wywołać, awanturę na naszej zabawie. Byłoby niedobrze.

— Nie sadzę. Spotkamy się raczej z bojkotem! Jedni nie przyjdą, bo nie zechcą, drudzy, bo będą się bali tamtych... Gwizda nie robi wielkich nadziei, chociaż pomaga, na ile tylko go stać...

— Traktorzysta obiecuje, że z kilku swoimi będzie pilnował porządku. Słuchaj, Julek, a gdyby tak machnąć się jutro do Mikołajek? Tam jest turnus żeglarski, mam wśród nich kupę znajomych. Zaprosimy, niech zjadą żaglówką, będzie nas więcej.

— Tak, ale wszystkie nadzieje, jakie pokładamy w zabawie, od razu upadną. Ci już nas znają mniej więcej. Obcych będą się krepowali, nie wywołamy nastroju.

— Może źle, żeśmy się wdali w to wszystko?

— Trzeba jakoś spróbować... Nie wydaje mi się, aby tamtym chciało się awanturować.

— No, wszystko jedno. Jakoś to będzie. Szumu narobiliśmy, nie ma co... Chodźmy spać, jutro ciężki dzień — zakończył wreszcie Kostek, obrócił się na bok, naciągnął koc na plecy i zaraz zachrapał.

Pan Gwizda nie zawiódł. Od rana już pohukiwał mocnym głosem, słyhać go było w całym obozie, dokąd przywędrował nieledwie ze słońcem. Co chwila podciągał spodnie opadające z tłustego brzucha, jak słonecznik kręcił na wszystkie strony swą okrągłą nalaną, twarzą.

Zdumiony był stanem przygotowań.

— Ho, to wy naprawdę na całego! Szkoda mówić, piszę zaraz artykuł do „Głosu” w Olsztynie, mam tytuł: Rewolucja w Wyrajach. Dużo takich w wiosce, którzy was lubią. Patrzyli, jak pomagaliście przy żniwach, wydychali nawet, czemu to nie im pomagacie, a tylko tym dziadom z majątku — zaśmiał się ironicznie. — Bo tu u nich pokutują dawne podziały Robotników folwarcznych traktowali jako coś gorszego, siebie zaś jako klasę nie byle jaką, bo aż gospodarzy... Niemcom było w to graj, hitlerowcy specjalnie starali się pogłębić ten podział, No, ale mniejsza, Co to ja mówiłem? Aha! Matka tego małego Klausa zawsze witała mnie przez *Gutenmorgen*, teraz mówi: dzień dobry... Niebawem, naprawdę... No, dajcie tę żerdkę, gdzie ją wkopujemy? Tylko mocno, bo widzę, moje latarnie tu będą dyndały

Od ogniska aż po boisko do siatki ciągnęły się zielone girlandy, kołysały się pomiędzy nimi kolorowe lampiony. Bończa wykazywał niespodziewane uzdolnienia, malując na kolorowych bibułkach straszliwe smoki, stylizowane kwiatki i zwierzęta, efektownie wyglądające przy

świecach zapalonych wewnątrz lampionów. Robili próby w zaciemnionym namiocie. Między dwoma ostatnimi drzewami u wylotu drogi na polanę trochę koślawo zapraszał wielki napis: „Witajcie”.

— Świec zabraknie na zimę.. — załamywał pan Gwizda pulchne ręce.

— A nam forsy na sierpień — zaśmiał się Maryś. — Przyjdziemy wtedy na dozywianie do szkoły, dotrze?

— Żona szefowa, nie ja — zaśmiał się odmłodzony pan Gwizda.

Koło południa otarł pot z czoła i rzekł poważnie:

— Sami dokończycie. Idę do wioski trochę przewąchać. Wiecie, że niektórzy starzy się wybierają? Dobrze trafiliście, na tej polanie odbywały się kiedyś majówki Związku Polaków w Niemczech. Tradycja żyje, dawni działacze pragną przypomnieć sobie minione dzieje, zobaczyć, jak bawi się młodzież polska. Bo w głuchych Wyrajach to oni naprawdę niewiele dobrego z tej Polski widzieli.

Zaraz po południu Fajfer przybiegł ze wsi z nową wiadomością:

— Sprytnie łobuzy, mogli nas zaszachować zupełnie... Wyczekali do ostatniej chwili... Ledwo się dowiedziałem, przyznałem do was...

— Mów wreszcie, o co chodzi?

— Sołtys wybierał się do was z zakazem urządzania zabawy bez zezwolenia gminy czy nawet powiatu. Są podobno takie przepisy.

— Ależ to prywatna historia — oburzył się Pietrek.

— Ładna prywatna, a afisze to co, dla siebie wieszaliśmy? Szczęściem natrafił sołtys na Gwizdę, który wystawał przy swoim płotku. Gadu, gadu, jak to on, i zgadało się. Dopiero mu to pan Gwizda wyperswadował trochę łagodnie, trochę groźbą, wreszcie chłopina wycofał się. Przy okazji dowiedziałem się trochę o tym sołtysie. Widzicie, chłop przybył tutaj z Mazowsza, samotny, stary kawaler. Otrzymał niezłe gospodarstwo, ale zobaczył, że sam nie wyciągnie, rozglądał się więc dokoła. Była tam wdowa po jakimś robotniku leśnym, długo nie trwało i pobrali się. Wtedy wylazło szydło z worka. Baba nie czuła się Polką, a jej brat, gdzieś opodal mieszkający, nie znam go, te podobno również niezły gagatek. Tak opanowali głupawego sołtysa, że pokornie spełnia wszystko, co mu przykażą... Pewnie i w naszym wypadku nastraszyli go, że będzie miał przykrości od władz, więc chłopina za czapkę i do was z zakazem... Całe szczęście, że trafił na pana Gwizdę...

— Patrzcie, niby głupstwo, a mogli zepsuć całą robotę — pokręcił Julek głową.

— Trzeba dobrze uważać, mogą próbować innych chwytów. Jak coś, to, kurdefelek, za gardło i w zęby! — rozzłościł się Pietrek, który niedawno wrócił z obozu doktorostwa. Niestety,

doktor był na miejscu i na niczym spełził zamiar spotkania się z panią Mery.

— Ani mi się wazcie na coś takiego! Głupstwo byśmy zrobili, że ani je potem naprawić. Tylko bez rękoczynów! — Julek szcerwieniał z oburzenia.

Kostek nie przejął się zbytnio historią z sołtysem.

— Guzik — mruknął. — W każdym razie pegeer nie zawiedzie.

Zjawią się wszyscy w komplecie. Gdyby nawet ze wsi nikogo nie było, to się zabawa i tak uda.

— Buchalterka też przyjdzie — uzupełniła Zośka.

Na szczyty wonnych sosen i gładką wodę jeziora spadły nagle malinowe, ociekające żywym sokiem promienie słoneczne, przeciekały między strzałami drzew, załamywały się na fioletowych w intensywności płaszczyznach cienia. Wśród trzciny, szuwarów, sitowia i rogożyny zadrgało, zalśniło tysiącem blasków i ciemnych załamań. Jeszcze chwila, słońce całkiem zapadło już za horyzont, a krwista barwa nieba nieco przyblakła i rozlała się szerokim pasem odbicia na gładkiej, jakby pociągniętej szklawym wodzie. Ruch się zrobił wśród ptactwa. Stado rybitw zakołowało spłoszone, trzepocząc chmurą runęło w kierunku wylotu Malinówka. W tataraku zarastającym błotnisty brzeg jeziora czmochały się zakatarzone łyski o długich nogach i ostrych dziobach. Przekrzykiwały się z nimi niezadowolone z zapadającej nocy krakwy, donośnym piskiem wtórowały zwinne czajki, kotłując się nad kępami wierzbiny, Cyranki czyrykały zawzięcie, w płytkiej wodzie przybrzeżnej gmerały śmieszne brodzie, płaskim, długim lotem sfrunęła czapla, zabuczał ponuro bąk, przeraźliwym łopotem skrzydeł dał znać o sobie łabędź.

Dziwili się nieraz, jak szybko nastaje mrok po zapadnięciu słońca za linię lasu, I teraz połyskliwie z fioleto przechodzące w granat obszary cienia zachłannie zagarniały teren, już tylko z rzadka bladły jeszcze tu i ówdzie jaśniejsze plamy. Potem zszarzało wszystko, zrównały się linie zmroku, W tym momencie przełomu świat wydawał się smutny i ponury. I dopiero powoli pogłębiający się mrok nocy wydobywał nowe kontrasty. Ciemniały nieogarnioną głębią strzępiaste kontury sosnowych koron, świerki przecinały niebo ostrymi szpicami, wody jeziora nabrały barwy zmatowiałego szmaragdu.

Pietrek podpalił sosnowy smolak. Zadymił, zajął się żółtym płomieniem. Podetknięty pod misternie złożony chrust ogarnął go strzelającymi skrami.

Z lasu zabrzmiały głosy. Mirka podskoczyła w stronę namiotów. Na stoliku z nie heblowanych desek stał adapter leśniczego, obok leżały płyty, dostarczone przez Gwizdę. Popłynęły w las tony skoczego walczyka.

Z cienia wynurzył się harmonista, chwilę patrzył na rozbłyskujący u wejścia na polanę napis: „Witajcie”, postąpił do ognia/skrzywił się, wskazując ruchem głowy pojękujący adapter.

— Po co to? Ja przecie jestem! — grajek poczuł się dotknięty.

Mirka wyłączyła płytę.

Głaca przyprowadziła dziewczęta pracujące z nią razem w spółdzielni. Pietrek jęknął:

— Ależ będzie robota obtańcować je wszystkie, kurdefelek...

Zaraz nadeszli wyelegantowani odświętnie Gwizdowie, nadciągnęła młodzież z pegeeru, czarna Erna, jak zawsze, na poczekaniu komponowała złośliwe przyśpiewki. Na ogień podrzucano duże naręcze chrustu Pietrek zręcznie podsunął kilka smolnych szczap sosnowych. Płomień buchnął wysoko, zrobiło się gorąco i jasno jak w dzień.

— Rojno się robi, patrz, Kostek — Julek nie posiadał się z radości.

— Ze wsi też przyjdą niektórzy, Sama ciekawość już ściągnie ich tutaj — rzekł pan Gwizda, wygodnie moszcząc się na darniowej ławie i zasłaniając twarz przed iskrami ogniska.

Julek zbiegł na dół, zapuścił motor, Zadygotał równo, spokojnie, reflektor spłynął na wodę szerokim pasmem, białego światła. — Pycha!

Henio Lipień ściągnął paru kolegów. Przyczłapało trochę starych mieszkańców wioski i pegeerowskiego majątku. Dalej od ogniska zwartą gromadą stały dzieciaki, przejęte i wpatrzone w dziwy, jakie się działy nad brzegiem jeziora.

Jeszcze kilka osób wynurzyło się z lasu. Mirka rozdała dzieciom kilka paczek miętowych dropsów. Cmokały głośno j pociągały z przejęcia nosami Paru chłopaków podreptało na pomost. Siedząc w kucki na deskach, nabożnie nasłuchiwali równego dygotania motoru, gapili się aa leżące w poprzek kajaków dragi, owinięte u końcu szmatami.

Julek podszeptał coś harmoniście. Ten przeszedł na inną melodię. — Zielona ruta, modry ksiat... — popłynęło przez polanę.

Po chwili podchwyciły melodię dziewczęta z pegeeru, dołączyły się inne głosy, Jakoś swobodniej rozsiedli się wszyscy, rozpoczęły się poszturchiwania, psykania, pieśń zagłuszała szepty. Mirka objęła rolę organizatora. Gdy tylko przebrzmiały ostatnie słowa Ruty, skinęła na czarną Ernę. Wyskoczyła zręcznie na małą przestrzeń między ogniem a siedzącymi widzami, za nią wysunęły się trzy dziewczyny.-Harmonista podjął skoczną melodię. Janek traktorzysta zaśpiewał grubym głosem, pomogły mu dziewczęta, ruszając w tan.

Buł ci jeden krakoziaczek,

Ten nąfytół torba kaczek,

A tam jedna bum bulq,

Ta mu z torbki wyskoczyła.

Płomienie przechylały się na boki, iskry się sypały dokoła, aż ramionami trzeba się było przed nimi osłaniać, tak furczały w krakowiaku spódnice dziewcząt. Rozochociło się wszystko, głowy się poruszały, do taktu, traktorzysta nie wytrzymał, wyskoczył na środek między dziewczęta, za nim jeszcze jeden z chłopaków, aż się ciasno zrobiło.

Polana stała w blaskach rozmigotanych ogni, tylko po bokach przy lesie, cienie zdawały się gęstnieć. W czerni tej kupiło się kilka niewyraźnych sylwetek. Julek obserwował nowych przybyszów, podszedł w tamtą stronę, zaprosił bliżej.

— Nam tu dobrze — odparł któryś, gburowato. Nie nalegał, często jednak spoglądał w tamtą stronę.

Dziewczęta rozhasały się, ton nadawała pełna temperamentu Erna.

— Żeby tylko nie te nogi, prawda, Pietrek? — ze złośliwym uśmiechem pochylił się ku niemu Maryś, na wszelki wypadek przybierając zawczasu postawę obronną.

Ale Pietrkowi nie w głowie były teraz dasy, tak jak nie w głowie była czarna, roztańczona Erna. Z zarośli nadbrzeżnych, kędy wiodła ścieżka do obozu. Ginterów, wynurzyli się właśnie oboje doktorostwo. Ciemno było z tej strony i tylko jasna sukienka pani Mery znaczyła się wyraźniej. Pietrek porwał się z miejsca, aż zdumiony Bończa wytrzeszczył szeroko oczy. Dojrzał po chwili, jak Pietrek prowadzi gości do ognia, i uśmiechnął się wyrozumiale. Zośka podniosła się również na przywitanie doktorostwa, pan Ginter uśmiechnął się kładąc palec na ustach, bo właśnie harmonia ustała, dziewczęta cofnęły się, a na placyk wystąpiła Mirka. Gabryś podrzucił chrustu, ogień buchnął mocniejszym płomieniem. Mirka zapowiadała wiersz poety mazurskiego, Ruczyńskiego.

*Czyś ty słyszał o nim, bracie,
Co wiersze pisywał,
Co w mazurskiej mieszkał chacie,
Kajka się nazywał?*

Poruszyli się goście, szczególnie co starsi, na twarzach ich odbiło się wzruszenie. Stary Kwietnia aż rękę na kształt trąbki przyłożył do ucha, by lepiej słyszeć. Widocznie dziewczyna trafiła na czułą strunę. Nazwisko i legendy, jakie urosły wokół postaci ludowego cieśli-poety, robiły wrażenie.

Mirka mówiła spokojnie, z lekkim wzruszeniem, kończąc tonem nadziei:

*Dziś mu śpiewa polne ptaszę
Wszystkie te piosenki,
Które stworzył w owym czasie
Ziemi swej udręki.*

Doktor Ginter pierwszy rozpoczął bić brawo. Porwały się do oklasków inne dłonie Julek spoglądał czasem pod las. Skryta w głębokim cieniu drzew grupka zwiększyła się Ciekaw był, kto może tam być? Zauważył, że wśród siedzących czy stojących przy ogniu nie ma żadnego z siatkarzy. Zastanawiał się przyjdą opóźnieni czy też zbojkotowali zabawę? Postanowił nie spuszczać z oka dziwnej grupki pod lasem.

Mirka deklamowała teraz wiersze mazurskie Gałczyńskiego Umiała oddać właściwy im nastrój, pasowały te piękne słowa do nastroju stwarzanego przez trzaskające ognisko, przez otoczenie lasu i wody, tak żywych w strofach poety, Nie wszyscy jednak słuchali uważnie. Część zebranych wierciła się niespokojnie, dzieciaki swawoliły między sobą, popiskując głośno.

Znów zabrzmiała jedna i druga piosenka, harmonista wyżywał się w grze, z zapalem rozciągając i znów składając swoją harmonię.

— Oni chcą tańczyć, patrz, jak dziewczęta zerkają na strony -- szepnęła Mirka do Julka. — Może gawędy Kwietni -- odłożymy na inny raz?

— Tylko jak wytłumaczę to staruszkowi? — zafrasował się.

Ale Kwietnia sam podszedł do nich swym rześkim, sprężystym krokiem.

— Tera lepiej nie gadać. Młodzi niech; się bawią, a to się co jeszcze nie uda. -- Tańczcie, a my już będziemy między sobą stare dzieje wspominać — wskazał dłonią na najstarszych gości.

Na pomoście pokazały się cztery postacie w kąpielówkach Chwilę jeszcze zapalali zawieszony na sznurze lampiony, które barwnymi płamami odbiły się od tafli wody. Kajaki wypłynęły na szeroką smugę reflektora. Wiosłowali Kostek i Maryś. Trzymając długie tyki w rękach i szukając nogami pewniejszego oparcia, Pietrek i Jaroszyk szykowali się do popisowej walki.

Rozpoczęły się zmagania. Wygrywała załoga, która zrzuci przeciwnika trzy razy do wody. Wiosła burzyły taflę w nagłych podskokach kajaków do przodu, w ostrych kontrach czy gwałtownych zahamowaniach. Oświetleni mocnym blaskiem. Pietrek i Gabryś wyglądali jak gladiatorzy, Przepychali się nawzajem długimi żerdziami Owinięte szmatami zakończenia drągów uderzały o ciała jak piłki. W pewnej chwili Gabryś mocnym pchnięciem ramienia usiłował zadać decydujący cios Pietrkowi. Ale Pietrek przechylił się, przysiadł nad kajakiem. Pozbawiony punktu oparcia, pociągnięty siłą zamachu, Gabryś z impetem runął do wody, Z brzegu powitano to śmiechem i radosną wrzawą.

Jaroszyk wgramolił się znów do kajaka. Stał w nim ociekając wodą Pietrek triumfował. Lekceważył już przeciwnika. Obejrzał się na brzeg pragnąc dojrzeć tam panią Mery, W tej samej chwili pchnięty w ramię zachwiał się, wolnym ramieniem usiłował jeszcze utrzymać się na

kajaku, po czym wywijając młyńca runął na wznak, aż bryzgi poleciały dookoła. Gromki wrzask i śmiech niesły się daleko na drugą stronę jeziora.

Julek tymczasem obserwował bacznie grupę pod lasem. Przybliżyli się trochę chcąc lepiej obserwować widowisko. Mijał ich ktoś wysoki. Rozpoznał Grapszę. Żona jego już od dawna siedziała pomiędzy gośćmi. Wyszedł mu na spotkanie.

— Kto tam stoi pod drzewami? — zagadnął.

— Poznałem dwóch. Wittle i jeden z tych łobuziaków... Blisko dziesięciu ich tam sterczy, rybeńku... A czemu pytasz?

— Bo tak się kryją, nie chcą podejść bliżej.

— Niech tam. Nie chcą, to nie. To dobre, o znów Pietrek w wodzie! Razem z kajakiem, cha! cha! cha! Ależ to parada, rybeńku — bardzo podobała się panu Grapszy ta scena na wodzie. Pchnięty silnie Pietrek nie tylko że sam wpadł do jeziora, ale jeszcze wyrzucił kajak. Kostek prychnął się z wody, posykiwał na brata:

— Fujara! Fujara!

Załoga Gabryśia prowadziła dwa do jednego. Rozbawienie na *brzegu* dosięgało szczytu. Pan Gwizda aż sąsiadów poszczypywał z emocji. Nawet doktor Ginter zdawał się entuzjasmować zabawą, bródka jego drgała jakby od tłumionego śmiechu. Pani Mery wodziła dokoła spojrzeniem, zatrzymała je przez chwilę na Zośce, uśmiechnęła się do niej serdecznie.

Tym razem walka trwała długo. Wreszcie Gabryś rąbnął się w wodę. Remis Tym silniej walczone o decydujący punkt. Pietrek przechytrzył, chciał zrobić nowy unik, ale w tym momencie Gabryś obniżył swoją tyczkę i kapitalnym ciosem zepchnął przeciwnika do wody, Bończa triumfalnie uniósł ramię Gabryśia do góry.

Na brzegu Julek z Mirką gorączkowo zapalali latarnię i kolorowe lampiony. Cisza stała w powietrzu, wiatr ustał bez śladu. Wspaniale zaśniły oblane różnokolorowymi blaskami gałęzie drzew, na murawie stały się barwne pasy, pojaśniało. Pełen pogody nastrój ogarnął zebraną przy ogniu młodzież. Harmonista -przemaszerował pod plac siatkówki, przysiadł wygodnie na szerokim, od leśniczego wypożyczonym zydelku. Chwilę czekał, rozciągnął z impetem harmonię. Pierwsza wpadła na plac Erna z Jaśkiem traktorzystą. Zaraz pojawiły się inne pary. Dziewcząt było jednakże znacznie więcej, oglądały się niecierpliwie, oczekując, aż wyłonią się z namiotów przebierający się gorączkowo wodni zapaśnicy.

Doktor Ginter podniósł się i złożył ukłon przed swoją małżonką. Nawet pan Gwizda ruszył do tańca, nie mówiąc o małżeństwie leśniczych. Trzymając w objęciu Mirkę Julek spoznał znów w stronę zostającej w cieniu części polany. Ciemna grupka stała tam nadal, jakby przywarła do pni sosnowych, Samotny dąb szeroką czapką listowia jeszcze pogłębiał panujący cień.

Harmonista z zapamiętaniem, przytupując do taktu, operował swoim akordeonem, wywijając nim, ba, przyśpiewywał nawet mocno ochrypłym głosem. Zośka zwróciła uwagę, że w wolnych chwilach chłopina dyskretnie wyciąga flaszkę z kieszeni i pociąga parę łyków. Lampiony rzucały na tańczące pary przyćmione światła, latarnie zakopciły się, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Pietrek z Czartami zmieniała czasem dopalające się świece w lampionach. Jakiś lampion spłonął wśród okrzyków wesołości tańczących.

Julek z żalem spoglądał na Mirkę przefruwającą obok w obcych ramionach. Tak jednak się umówili, że dzisiaj możliwie najwięcej czasu poświęcą gościom. Tańczył więc do upadłego, ciągle zmieniając partnerki. Dziewczeta ze wsi rozochociły się, nabrały odwagi, chętnie wdawały się w rozmowę. W pewnej chwili zdało się Julkowi, że po zaimprovizowanym parkiecie kręci się więcej niżli przedtem par. Obejrzał się, nie było już dziewcząt czekających na swoją kolej. W tej chwili mignęła mu obok twarz Wittlego. Uśmiechnął się do niego szeroko,

Jednak przyszli, to dobrze, bardzo dobrze...

Przy ognisku zrobiło się pusto. Czas mijał szybko, starsi udali się już dawno do domów. Nad jeziorem wypłynął księżyc, zabarwił wodę metalowym połyskiem. Właśnie skończył się taniec. Julek otarł pot z czoła, odszedł trochę na bok, aby ochłonać. Noc była parna, wyjątkowo ciepła.

Usłyszał warczenie Kruta. Koło namiotów trudno było w pierwszej chwili coś dojrzeć, jeszcze migotały w oczach barwne refleksy, rzucone przez lampiony. Podeszedł bliżej, wydało mu się, że jakiś cień przemknął przez polankę., Nachylił się, pogłodził psa po głowie. Zjeżone włosy przyległy znów do ciała. Krut z oddaniem polizał go szorstkim jęzorem. Julek potracił coś nogą. Schylił się, podniósł spory kawał kiełbasy. Uśmiechnął się, nachylił do psa.

— Chciał cię ktoś poczęstować i pewno prawą ręką, biedaku. Zaraz ci dam, zaraz... — chciał już podać kiełbasę ulubieńcowi, coś go jednak tknęło, wstrzymał się, po namyśle odłożył ją na płachtę namiotu, Wyszedł na nie oświetloną część polanki, ciekawie spojrzął w kierunku, gdzie stała przedtem grupa nieznanych widzów, Wydało mu się, że rozróżnia dwa cienie, nie był jednak pewny, tak się zlewały z tłem drzew. Wzruszył ramionami. Szczęśliwie wszystko odbywało się jak najlepiej. Próżne były obawy o jakąś awanturę.

Wracał do tańczących. Musiało być po północy. Uczuł zmęczenie. Nie chciało mu się już więcej tańczyć, a tu niezmordowany harmonista wycinał skoczną polkę.

Zagarnął po drodze pierwszą dziewczynę, jaka mu się nawinęła, skoczył z rozpędem w kotłujący krąg taneczników.

— Hu, ha! — pokrzykiwał ktoś zapamiętale. Poznał głos Wittlego. Odszukał go przy pierwszej okazji. Rozmawiał z dwoma dziewczętami, spojrzął na Julka rozżarzonymi oczami.

Przywitali się. Uścisk dłoni chłopaka był lekki, prawie niechętny.

— Cieszę się, żeś przyszedł ze swymi...

— Szliśmy obok — odburknął, a słysząc nową melodię, mruknął coś jeszcze i zakreślił partnerką Julek stracił go z oczu. Zdziwiony tym zachowaniem Michała, pragnął porozmawiać z nim szerzej, próżno jednak szukał go wśród tańczących, Zniknęli także i kompani Wittlego. Wśród gości zaczęło się przerzedzać Jedni żegnali się z gospodarzami, dziękując za zabawę, inni ulatniali się po cichu.

Świece w lampionach przygasły. Zerwał się łagodny wiatr, szumiał pośród strzelistych wierzchołków drzew. Ostatni goście, gawędząc, oddalali się drogą przez las. Gospodarze pozostali sami.

Mirka, przeszła kilka kroków w stronę pomostu.

— Widzicie na jeziorze jakiś ogień, co to takiego?

-- Et, pewnie doktor łowi swoje węgorze. Dziwak, dlatego wyniósł się tak rychło z zabawy.

— Słuchajcie — dobiegł znów głos Mirki z pomostu. — Tu jest prześlicznie. Przejedźmy się „Gawronem”, dawno już nie byliśmy nocą na wodzie.

Myśl ta spodobała się wszystkim. Za chwilę motor zaterkotał wypływając na wodę. Powietrze było chłodne, siedzieli przykryci kocami Szemrała woda rozbijana dziobem łodzi. Na brzegu zatoki gasły ostatnie lampiony.

-- Koniec zabawy — szepnęła Zośka myśląc o niedawnym tańcu z Edwardem.

— U doktorostwa dopiero się zaczyna. Spójrzcie, jaka iluminacja.

Aż trzy ognie.

Z jeziora brzeg był widoczny na całej długości. Na miejscu biwaku Ginterów płonęły w pewnym oddaleniu od siebie dwa ogniska. Trzecie, ujęte w ramy żelaznego kagańca, paliło się migotliwie nad dziobem kajaka. W świetle tym widać było ciemną, dziwną sylwetkę doktora, jak z rozmachem wyrzucał co jakiś czas wędkę w wodę.

— Po co jej dwa ogniska? — zapytał zdziwiony Bończa.

— Boi się sama po ciemku. Mówiła, że czuje się pewniej, mając zabezpieczone plecy — wyjaśnił Pietrek.

— Ty byś ją chętnie pocieszał w tej samotności, prawda? — Maryś czasami bywał bardzo zjadliwy.

Pietrek nie odpowiedział. Jakiś czas jeszcze patrzyli na wysiłki zapalonego w węgorzowych łowach doktora, na ogniska na brzegu. Potem Julek skierował dziób „Gawrona” w stronę jeziora Malinówko. Srebrnymi martwymi blaskami kładła się na wodę księżycowa poświata. Lekki wiatr zaledwie marszczył powierzchnię. Na wschodzie niebo szarzało.. Niedaleki był brzask.

18. Bójka i co z niej wynikło

Dzień zapowiadał się mniej upalny. Wprawdzie niebo pozostawało czyste, bez najmniejszej chmurki, ale nad wodą wisiała od samego rana delikatna mgła, ledwo uchwytne wzrokiem opary, powietrze zaś nie było tak rozżarzone, jak zazwyczaj.

Bończa z Gabrysiem od godziny już siekli spinningiem wodę w zażartej pogoni za szczupakiem. Znajdowali się u wschodniego krańca jeziora, niedaleko wylotu na Malinówko. Nie szczęściło się im ostatnio Nawet Julek, który połowę ubiegłego dnia poświęcił na połów, wrócił z pustymi rękami. Grapsza tłumaczył to długotrwałą suszą. Zmęczona upałem ryba mniej żeruje, chowając się na głębokiej wodzie. Musiało w tym być coś z prawdy, bo ustały nawet poranne harce szczupaków.

— Guzik! — westchnął Maryś po którymś z rzędu zwinieciu bębenka. Znużony, zwiesił ręce przez burty; przebierając palcami obserwując, jak woda skapuje z nich srebrzącymi się perełkami. — Ciekawym, czy Pietrkowi powiodło się lepiej?

Pietrek wyjechał wcześniej od nich, zapowiadając, że bez ryby nie wraca do obozu. Musiał wyruszyć gdzieś dalej, nigdzie nie mogli go dojrzeć.

Gabryś przecesał dłonią skudłacone włosy, potrząsnął głową.

— Chyba też siedzi z pustymi rękami. Wszyscy wędkarze narzekają. Nie będzie się czym pochwalić w Warszawie. A może on jest u doktorowej, a tylko obujał nas, że wyjechała z mężem na parę dni?

— Nie, zobacz, pusto w obozie — leniwym ruchem wskazał Maryś na widoczny stąd namiot doktora. — I kajak wyciągnięty daleko na brzeg. Odsapnę trochę. Jak bierze, to się nie czuje zmęczenia.

Wyciągnął się wygodnie, podkładając pod głowę złożone dłonie. Niskim lotem przeleciała nad nimi czapla, przekrzywiając szyję, jakby chciała się przyjrzeć załodze kajaka.

— Co ty powiesz na rewelację leśniczego? Nic już nie rozumiem, co się tu dzieje...

— Też mądry nie jestem. Jakieś świństwo się szykuje — odburknął Bończa, czoło jego zmarszczyło się pionowymi bruzdami.

Ubiegła niedziela od samego rana przyniosła im niespodzianki. Gdy tylko wstali, zmęczeni jeszcze po sobotniej zabawie, Julek przypomniał sobie, o kielbasie, znalezionej w nocy przy Krucie. Leżała na płachcie namiotu. Obejrzał ją uważnie, w pewnym miejscu skóra była lekko nacięta. Julek podważył skórę nożem. W mięsie znać było ślady białego proszku.

Mirka patrzyła na te manipulacje. Zauważyła, że twarz Kani poczerwieniała, a maleńka blizna stała się przeraźliwie biała. Podniósł kielbasę do nosa, powąchał.

— A jednak nie darowali nam wczoraj — wycedził półgłosem — tylko że znowu się nie udało. Kielbasa Jest zatruta. Ej, Krut, masz szczęście, że cię nauczono, brać jedzenie z lewej ręki, Mądry piesek, mądry — uderzył się w czoło. — Sam goi wczoraj ledwo nie strułem, chciałem mu oddać kielbasę.

— Kto to mógł zrobić? — uniosła się Mirka.

Zbiegli się wszyscy, patrzyli na kawał kielbasy w ręku Julka.

— Kto? Właśnie, żeby to wiedzieć. Jedno jest pewne że naprawdę musimy być teraz ostrożni. Jakies dziwne zagadki nas otaczają. Co zaś najgorsze, że nie można dojść źródła tych niespodzianek. — Spojrzał znów na kielbasę. — Trzeba to gdzieś głęboko zakopać, żeby się nikt nie struł paskudztwem.

Mirka klęczała tuląc twarz w kudły Kruta.

— Dobry piesek, dobry, chcieli otruć mojego biedaka...

Kostek był nastrojony optymistycznie.

— Nie przesadzajcie. Sprawa jest prosta. Wiemy, że nie podobamy się niektórym ludziom w Wyrajach. Tym bardziej że przerwaliśmy jakąś sztuczną zaporę. Patrzcie, wiele to luda się wczoraj zjawilo! Nie udał się kawał z sołtysem, to chcieli zrobić nam przykrość trując psa... Nic więcej, nie sugeruj się, Julek, jakimiś podejrzenia mi...

—Może i masz rację... Zakopię to świństwo, potem proponuję wyjazd na Beldan. „Gawron” chodzi bez zarzutu.

Dobrnęli aż do Rucianego, spotkali tam sporo znajomych, zmęczeni, ale pełni pogody wrócili nad zatokę, zapominając o rannej przygodzie.

Jak prawie co dnia, przyszedł wieczorem Grapsza. Leśniczy był pełen uznania, uważał, że nigdy jeszcze nie spotkał się z takim nastrojem w Wyrajach. Kopcił, swą fajeczkę. Zośka odwracała głowę, bo swąd podłej machorki niósł się jej prosto w twarz. W pewnej chwili Grapsza odezwał się już nie swym lekko kpiącym jak zawsze, ale poważnym i przyciszonym tonem.

—Byłem już u was za dnia, rybeńki, chciałem podzielić się pewną sprawą. Dziś rano dowiedziałem się w Mikołajkach jednej nowiny. Okazuje się, że Pietrek miał rację...

Pietrek nastawił uszu.

— Pamiętacie tę historię z łodziami? Ten bat, coście go widzieli, naprawdę był z grupy rybackiej Żak. Rybacy tego dnia wyjechali zwykłymi łodziami zastawić sielawice na Beldanie. Wieczorem znaleźli bat okropnie zabrudzony mułem i wodorostami, w dodatku na lewej burcie były jakieś nacięcia. Myśleli, że to dzieciarnia tak ich urządziła. Dość, że wszystkie ślady przepadły, nikt nic nie wie, a jeżeli wie, to słowa nie piśnie.

— Tym ciekawsze, co mogło się kryć w tych skrzyniach, jeżeli ktoś ponosił aż tyle trudu, aby wykombinować skafander, Cholera, taka okazja nam frunęła sprzed nosa — na okrągłej twarzy Bończy wystąpiły wypieki.

— Wdechowo to uskuteczнили — bąknął Gabryś.

— Tak, sprytna robota... — Zachodzę w głowę, rybeńki, czy to ma coś wspólnego z tamtymi dwoma, co do mnie strzelali, czy nie? — zastanawiał się leśniczy. — Aha, co jeszcze. Od jutra przyjeżdża do mnie stary znajomy, taki przyrodnik, rybki łowi, po lesie łązi, dobry człowiek. Chciałem was prosić, żebyście nie pożalowali mu czasem łódeczki. Ma parę tygodni urlopu, chciałby odpocząć. Trochę śmieszny, bo stary kawaler, ale poczciwina...

— Oczywiście, przecież łódka należy do pana, to my dziękujemy za grzeczność. .

— No i tyle, czas mi iść... A nikomu o tych sprawach nie mówcie. Lepiej, żeby nie doszły tam, gdzie nie trzeba. Licho nie śpi w tych stronach...

— Kłobuk, jak go zowią Mazurzy — westchnęła Mirka.

I znowu mieli temat do rozważań, i zapalczywych sporów o rzeczy dziwne, a zupełnie nie znane.

Bończa z Jaroszykiem przypominali teraz wszystkie szczegóły tamtej rozmowy. Mimo że wiatru nie było, łagodny prąd wody znosił kajak ku wysokiej ścianie trzciny. Rdzawe ptaszki spoglądały na nich przerywając frapujące.. zajęcie oczyszczania zielonych łądyg z drobnych owadów. Maryś przysiadł nagle na swoim miejscu poderwany nową myślą.

— Gabryś, a gdybyśmy spróbowali poszperać w tej sprawie na własną rękę? Mamy czas, ryby i tak nie biorą.

Przyjaciół spojrzeli na niego z flegmą.

— Można, ze mną jak z dzieckiem. Ale gdzie będziesz szukał czego?

— Słuchaj — emocjonował się Maryś. — Odpłynęli z naszego jeziora tuż po zachodzie, tylko, tylko mrok zapadł. Było to im z pewnością na rękę, ale daleko z ciężarem nie mogli dobrnąć na takich krypach. Gdzieś wyładowali te skrzynie, potem jeszcze musieli doprowadzić baty na miejsce... — urwał, zastanowił się. — Właściwie nie baty, tylko jeden należy do grupy rybackiej, jak mówił Grapsza. Drugi zatem znajduje się gdzie indziej. Widzisz, ta druga krypa była trochę inna. Towar z jeziora ładowali oni tylko na tę rybacką łódź. Tamta była mniejsza. Odszukać ją, może znajdzie się ślad?

Gabryś chwycił za wiosła.

— Dobra jest. Fruwamy szukać tropów.

— Będziemy uważnie oglądać brzegi. Tyle było tego błota, że musiały pozostać, jakieś ślady w miejscu, gdzie przybijali. Muł wysycha na czarno, widziałeś przecież na naszym

kajaku...

— Oni pojechali na Malinówko?

--- Tak

Wiosłowali szybko, póki brzegi jeziora nie zaczęły zamykać się w wąską kotlinę przechodzącą w kanał wiodący *na* płytkie Malinówko, zarośnięte od lewa płątawiskiem wodnego zielska. Białe nenufary rozwierały o tej godzinie czyściutki kielichy, nieco dalej usiewał powierzchnię drobny kwiat orzecha wodnego. Maryś wskazał na zachwaszczoną wodę.

— Z. tej strony nie ma co wypatrywać. Kajakiem tutaj się nie przebije, a co dopiero ciężką łodzią.

Skręcili pod prawy brzeg, gdzie bujne szuwary stykały się bezpośrednio z gęstymi krzakami, trochę dalej przechodzącymi w rozrosły las puszczański. W jednym miejscu drzewa wspinały się koronami ku górze, tworząc wysepkę górującą nad resztą terenu.

— To pewnie ten kurhan, o którym mówił leśniczy. Warto by się tam kiedy wybrać.

— Miny podobno są — mruknął Gabryś, równie chciwie spoglądając na tajemniczy las.

— Coś mi się to nie wydaje. Przecież .czytałem, że saperzy oczyścili już cały teren Olsztyńskiego, nawet koło dawnej kwatery Hitlera przekazali wiele hektarów pod uprawę.

— Jak chcesz, możemy tu jutro przyjechać...

— Zobacz, Pietrek! Co on tam robi, u licha?! — Maryś wstrzymał nagle wiosło w powietrzu.

— Czekaj, podjedziemy do niego znienacka. O, cholera!...

Widzieli Pietrka wyraźnie. Stał na kajaku, przechylony nisko ku wodzie, w której gmerał rękami. Zajęty swoją robotą, nie słyszał plusku kajaka Czartów. Ostrożnymi poruszeniami wiosła skryli się pod wysokie trzciny. Chwyając się rękami za wiotkie łodygi, podciągali się teraz w stronę Godyckiego.

— Toś ty taki, nygusie? — mruczał Gabryś pod nosem, a Bończa spoglądał na niego zdziwiony, nie pojmując przyczyny zburzenia przyjaciela.

— Teraz za wiosła, zaskoczmy go jak ta lala! — szepnął – widząc przez trzcinę opalony tors Pietrka.

Usłyszał plusk, gwałtownie się zwrócił w ich stronę. Teraz i Maryś dojrzał jak szybko wypuścił z ręki trzymaną w niej sieć, która z bulgotem baniek powietrza zanurzyła się w wodę.

— Ach, to wy — mruknął Pietrek trochę spokojniej, ale oczy jego biegały spłoszone na strony.

— Czegoś tu szukał? — cichutko zapytał Gabryś.

— Ot, tak sobie, a co, nie podoba ci się?

— Nie, nie podoba, że penetrujesz cudze sieci...

—

— Wielką rzecz, zajrzałem, jak to wygląda. Nic przecie złego — zmieszany, purpurowy na twarzy, tłumaczył się niezdarnie.

— Czego się boisz? Żartowałem — głos Gabryśia był ciągle zimny, opanowany. — Pewnie i w sieciach nic nie ma. Nie pora na rybę. Też chyba nic nie złapałeś, co?

— Ja?

— Czyś ty zgłupiał, Pietrek? — nie wytrzymał Maryś, słysząc naiwne pytanie.

— Mnie nieźle poszło...

— Na błyszczą czy na robaka?

— Różnie, i na to, i na tamto. Dobrze brały — jak nigdy jeszcze... — plątał się coraz bardziej Pietrek.

— Pokaż, bo mam ochotę na rybkę. Że też ty, człowieku, masz takie szczęście!

Dobroduszny Bończa jeszcze nic nie rozumiał. Ze zdumieniem otworzył gębę, gdy po zbliżeniu się do kajaka Pietrka zobaczyli kilkanaście sporych ryb. Były tam szczupaki, liny, duży karaś, potężne płocie, piękne wzdreği.

— Będzie pewnie z piętnaście kilo — wyjąkał Pietrek.

— Ech, ty wypierdku! — wycedził Gabryś. — A więcej w tej drgawicy nic już nie było? — wskazał na długą sieć, szeregiem brzożowych pławików znacząc kierunek zastawienia.

— Uważaj! — syknął Pietrek, blednąc.

— Złodzieju! — warknął Gabryś. — Zbieraj się, jedziemy na brzeg.

— Wskazał las, o którym rozmawiali przed chwilą z Marysiem.

— Po co?

— Będziesz się bił.

— Kicham na was.

— Mówię ci, jedź! Bo inaczej rozprawię się z tobą.

— Bohater się znalazł! We dwóch na jednego.

— Ze mną będziesz się bił! Rozumiesz?

Pietrek zajrzał w zimne oczy Gabryśia, potem przeniósł wzrok na Bończę, który uśmiechnął się ironicznie. Pojął, że to nie przelewki. Zawrócił kajak. Płynęli nie mówiąc już ani słowa. Gabryś kierował się na najbliższy punkt, gdzie można by wylądować. Zaciskał pięści na wioselku, wstrzymując się całą siłą, by już tutaj, na wodzie, nie wyrzucił Pietrka, aby poczuł dobrze, że są granice wszelkiego świństwa.

W pewnej chwili Pietrek odłożył wioselko.

— Nie pojedę.

— Mówię ci, jedź!

— Nie chcę!

— Jeżeli nie pojedziesz, to przyrzekam ci, powiadomię rybaków, kto im okrada sieci. Na pewno gorzej na tym wyjdiesz... Bp albo tak cię spiorą, że powędrujesz prosto do szpitala, albo będziesz gadał z prokuratorem.

Pietrek zadrżał. Ale ciągle jeszcze upierał się przy swoim.

— Nie strasz, groźniejszych widziałem.

— Nie straszę. Wybieraj. Daję ci wyjście, bo szkoda mi Zośki i Kostka, że się będą musieli wstydić za brata. Liczę do trzech. Albo, albo. Potem już więcej nie gadam.

— Jadę... — wymamlał Pietrek zduszonym głosem.

„Jednocześnie bał się Gabrysia i nienawidził go. Dziwił się jego ochocie do bójki. Wiedział chyba, że on, Pietrek, też nie ułomek, słyszał przecież w Warszawie jako zawadiaka pierwszej klasy.

Wiosłował teraz energicznie. Pomyślał, że ostatecznie pał wszystko diabli. Skoro już zadał się z takimi durniami, że robią grandę o głupich parę rybek.

Z rozpędem werznąli się w zbitej trzciny. Niemało trudu kosztowało ich, nim się przebili przez gąszcz na płytszą wodę porośłą seledynowym skrzypem wodnym. W panicznym popłochu zerwało się przed nimi kilka żerujących tu najspokojniej cyranek. Waląc mocno skrzydłami, wzbily się wysoko i poszybowały na drugą stronę jeziora.

Dotarli do brzegu. Grząski był, bagnisty, dopiero parą metrów w głąb grunt się podnosił, wodne rośliny ustępowały miejsca krzewom olchy, i wierzby. Grzęznąc po kolana dotarli wreszcie na suchsze miejsce, podciągnęli kajaki. -

Gabryś rozejrzał się uważnie.

— Tam będzie suszej, przejdziemy brzegiem — wskazał na lewo.

— Pietrek! — rzekł nagle uroczysty Maryś.

— Co?

— Gdybyś poradził sobie z Gabrysiem, to ja cię wyzywam z kolei...

— Możecie od razu we dwójkę, bohaterowie, kurdefelek!

— Uważaj. To jest przyjęte. Przy pojedynkach dawniej też tak bywało, że mógł i drugi, i trzeci wyzywać tego samego z kolei. Tak jest uczciwie.

— Mam gdzieś taką uczciwość!

— Zamknij się, nie tobie gadać o uczciwości! — warknął nagle Gabryś.

Przeszli już brzegiem spory, kawałek. Było suszej, ale krzaki rosły zbyt gęsto, aby można było stoczyć walkę między nimi.

—O, tutaj będzie w sam raz — zdecydował wreszcie Jaroszyk, gdy dobrze już zasapali się przedzieraniem przez krzewy i nierówne kępy.

Pietrek rozejrzał się. Grunt był suchy, porosły ostrą wikszą. Kilka metrów wolnego terenu wystarczało najzupełniej do walnej rozprawy.

— Tylko pamiętaj, bez nóg! Walczymy na pięści — ostrzegł jeszcze Gabryś.

— Dobraaaa! — krzyknął Pietrek i w tej samej chwili runął na Jaroszyka, pragnąc od razu zyskać przewagę przez zaskoczenie.

Pięści jego rzeczywiście parę razy oparły się o twarz Gabrysia. Ten tylko splunął, przyjął obronną postawę. Pietrek zachęcony tym powodzeniem, opętany furją, rozwścieczony, nie zwracał już na nic uwagi, parł naprzód całą swą siłą, czując, że tylko w ten sposób osiągnie przewagę. Przeliczył się. Od razu nadział się na wysuniętą do przodu twardą pięść Gabrysia. Nie zważając na 'nic, nie zasłaniając się, prawie nieprzytomnie zamachał kulkami, czuł, jak trafiają w nos, w usta przeciwnika, potem nagle zadudniło mu w głowie, załomotało, jakieś blaski zadrgały przed oczyma. Ocknął się, odskoczył, ogłuszony wprawna serią twardych ciosów. Znow krążyli wokół siebie. Z twarzy Gabrysia skapywała krew.

Skupiony, uważny Bończa obserwował walkę. Dojrzał zimny błysk oczu Jaroszyka, prawie że nieprzytomne spojrzenie Pietrka i zrozumiał, kto będzie zwycięzcą.

Teraz atakował Gabryś, spokojnie, precyzyjnie. Pietrek osłonił się przed sierpowym, w tej samej chwili prosty przeciwnika dosięgnął go ze straszną siłą. Nim się opamiętał, znow załomotał po nim grad ciosów. Podskoczył do przodu, chcąc się uchronić od nich przez zwarcie. Gabryś go nie dopuścił. Jeszcze miał kilka trafnych uderzeń, ale niczym to było w porównaniu z ciosami Jaroszyka, które były tym groźniejsze, że wykalkulowane na zimno.. W pewnej chwili Pietrek potknął się i wywrócił jak długi. Maryś podskoczył pomiędzy nich.

— Dostyc, dostyc! — zawołał przerażony widokiem zsieczonej, puchnącej w oczach twarzy Pietrka.

— Nie bądź głupi, przecież leżącego nie będę bił — spokojnie, ale stanowczo odsunął go Gabryś. — Dostyc będzie dopiero wtedy, jak sam poprosi.

— Niedoczekanie twoje! — Pietrek podniósł się zwinnie, jakby od nowa wróciły mu siły, runął, waląc trochę na ślepo, nie zasłaniając się, nie myśląc o niczym innym jak tylko o tym, aby zmiażdżyć zupełnie Gabrysia, aby wbić mu z powrotem w gardło te wszystkie słowa, które wyrzekł tam, na wodzie, i tutaj, po drodze.

Gabryś w pewnej chwili zawadził nogą o korzeń, ale nie stracił równowagi, tyle że oberwał w tej chwili silnie od Pietrka. Potem skulił się nieco, z głową wtuloną w ramionach przeszedł do ataku.

Bończa obserwował ich błady Dawno nie widział tak zaciętej bójki. Nie wiedział już, co robić, bał się dalszego rozwoju tej masakry. Trzasnęło, Pietrek dostał prosto w twarz, splunął nagle krwią, zacharczał, niewyraźnie dobiegło ich wyseplenione słowo: dosyć.

— Poddajesz się? — zapytał Jaroszyk.

— Tak.

— No więc...

Maryś rozglądał się za najlepszym dojściem do wody. Trzeba było przecie obmyć jakoś te dwa skrwawione koguty, Pobieglł kilkanaście kroków do przodu, gdzie wydalalo mu się, że widzi niebieską tafłę podchodzącą pod sam brzeg. Zatrzymał się, rozejrzał trochę bezradnie, nie wiedząc, w co nabrać wody.

W tej setnej chwili krzyknął cicho z wrażenia. Tuż obok siebie widział przebity przez trzcinę szeroki szlak. Zgniecione rośliny nie zdołały jeszcze wyprostować się, zwisały tuż nad powierzchnią albo wgniecione zostały w grząskie dno. Cały brzeg utyłany był szlamem, ciemnym, cuchnącym mułem. Nieco dalej leżało rzuconych bezładnie kilka dyli, z korą zdartą na wierzchu, jakby od przeciągania po nich czegoś ciężkiego.

— Gabryś!

— Co jest? — usłyszał spokojny, lekko zdyszany głos kolegi.

— Chodź tutaj zaraz...

Za chwilę Jaroszyk poszerzonymi z wrażenia oczyma oglądał teren przybrzeżny.

— No co? — zapytał go trzęsący się z przejęcia Maryś.

— Phi, wdechowo! Mamy już miejsce lądowania batów Patrz, jaki szeroki szlak przez trzcinę. Od strony wody ktoś starał się zasłonić wejście, widzisz, trzcinę połamane, a stoją, oparte o siebie. Ktoś je tak ustawiał, same nie mogłyby się podnieść. Po tych dylach wciągano pewnie łódkę na suchy grunt... Ooo!

Okrzyk ten zabrzmiał jak głos triumfu. Jaroszyk wskazywał ręką pobliskie krzaki. Widniała wśród nich jakby wyrwa, tylko u dołu zarośnięta byliną.

— Droga? — spytał Maryś.

— Tak, zarośnięta już, nieużywana. Ale teraz wydeptana, krzaki zgniecione. Chodź, sprawdzimy...

— Czekaj — zatrzymał go przyjaciel. — Co z Pietrkiem? Wtajemniczymy go w tę historię?

Gabryś zastanawiał się dosyć długo. Potem potakująco skinął głową.

— Widzisz, to w gruncie rzeczy niezły chłopak. On właściwie nie bardzo wie, co robi. Babiarz, pić lubi, rozrabia, tchórz w dodatku...

— Ale dzisiaj to na nie tchórzył. Walił na całego. Niezgorzej cię poharatał — Maryś

otaksował kolegę spojrzeniem znawcy.

— Chodźmy do niego — przerwał Gabrys niemiłe dla siebie uwagi.

Pietrek siedział na ziemi, trzymając się rękami za obitą głowę.

— Pietrek.

— Odczepcie się!

— Jest ważna sprawa. Wiesz, w związku z tymi skarbami. Zrobiliśmy wielkie odkrycie — zaczął Bończa z tej beczki.

Pietrek podniósł głowę, w zapuchniętych oczach odbiło się wyraźne zainteresowanie, ale zaraz zgasło.

— Łżecie...

— Słowo, że nie...

— Pozwól — odsunął go bezceremonialnie Jaroszyk. — Pietrek, powiedz prosto: oberwałeś?

— No.

— Walka była czysta?

Skinął głową.

— To czego się boczysz? Mogłem ja oberwać, nie miałbym żalu do ciebie.

— Nie o to chodzi, kurdefelek... O tego złodzieja — ciszej wyrzekł Pietrek.

— Tak było, choć na pewno o tym nie pomyślałeś. Dostałeś za swoje, rozumiesz już, że sieci to rzecz święta, ani rybki nie wolno z nich wyjąć.

— Dosyć tych morałów, jak mamę kocham!

— Nie morały, daj gadać do rzeczy, nie tetrycz ciągle. Gadaj, trzymasz z nami sztamę czy nie? Nie będziemy targować się godzinami...

Po długiej chwili milczenia Pietrek podniósł wreszcie głowę.

— Sztama.

— To dawaj grabę.

Uścisnęli sobie ręce.

— No to i fajno. Teraz umyćcie się, bo strach na was patrzeć.

Pietrek z satysfakcją spojrzał na Gabrysia.

— Ale i ciebie nieźle oporządziłem.

— A nieźle. Pary co nieco masz. Chodź do wody, bo czasu nie ma ..

— Co się stało? — Pietrek myjąc się, posykując przy tej okazji z bólu, nie mógł jednocześnie pohamować rozpierającej go ciekawości.

— Czekać, umyjemy się. Powiemy ci po drodze. Maryś, podciągnij kajaki na brzeg.

Za chwilę byli już na miejscu, gdzie widniały ślady przybijania łodzi do brzegu i przeciągania

jej przez grząziel na suchy grunt Opowiedzieli Pietrkowi o swoich spostrzeżeniach.

— Zgadza się... To co, pchamy, się w las?

— Pewnie, Tylko tak możemy/ się czegoś dowiedzieć...

Gabryś nie mylił się. Aż do brzegu jeziora dochodziła zarośnięta, od lat nie używana droga. Teraz wyraźnymi liniami znaczyły się na niej ślady kolein.

— O, tutaj wóz zawracał.

— Prosta sprawa. W tym miejscu wladowali skrzynie na wóz i gdzieś powieźli, Możemy- iść śladem, wyraźny jak na dłoni, krzaki podeptane, w trawie odcisnięte koła ..

Szli dosyć, wolno, droga była niewygodna, szeroko rozrósł się na niej kłujący pędami maliniak i jeżyna.

— Dwa konie, patrzcie! — Maryś okazał się najbardziej spostrzegawczy z nich wszystkich.

Grunt w tym miejscu trochę się obniżał, był bardziej wilgotny. Na trawie wyraźnie odcisnęły się kopyta idących obok siebie koni.

— Nie dziw, kurdefelek, jeden by nie uciągnął przez takie chaszczce.

— Ale las, nic w tym gąszczu nie widać — zdumiewali się dzikością tego zakątka Puszczy Piskiej.

Szli już tak dobrą godzinę. W pewnym miejscu droga połączyła się z inną, wiodącą od Lewej strony. Ta wyglądała na bardziej używaną, trawa była tu niższa, odroślą maliniaka nie zdążyły się jeszcze rozplenić. Odciski kolein wiodły w tym samym kierunku co poprzednio. Mogli teraz iść trochę szybciej. Maryś przyśpieszał kroku, ale zaraz zwalniał, widząc; że towarzysze jego dyszą ciężko, zmęczeni wysiłkiem.

— Co wam? Zmachaliście się?

— Łeb mnie boli, pewnie od Pietrkowych kułaków — z wysiłkiem zaśmiał się Gabryś.

Las zmieniał tu swój charakter, zaczynały przeważać smukłe sosny, większa była przejrzystość, napotkali parę przecinek.

— Choroba jasna, tak to można będzie wlec się przez cały dzień — stęknął wreszcie Jaroszyk. — Odpocznijmy chwilę, bo ciężko...

Przystanął, opierając się o pień sosny. Pietrek uczynił to samo. Maryś uważnie obejrzał ich obu, potem spojrzął na drogę, widoczną teraz lepiej między sosnami. Pokręcił głową.

— Wiecie co, wiara? Nie ma sensu iść dalej. Ledwie zipiecie, i tak kawał drogi powrotnej nas czeka, żadnej wioski nie ma w pobliżu. Ślady mogą wieść i przez dziesięć kilometrów. Zrezygnujmy dzisiaj-...

— A tamci nam zwieją — jęknął Jaroszyk.

— Mam myśl. Powiemy leśniczemu. On już to zbada dokładnie.

— Krut poprowadzi.

— Tak, chyba wracamy — z ciężkim sercem zrezygnował Gabryś z dalszego tropienia. —
Odpocznijmy trochę.

— Tylko trochę, bo was rozłoży zupełnie... W obozie odpoczniecie.

— O, kurdefelek! — stęknął Pietrek. — Jak my się pokażemy z takimi gębami?

— Może zbujamy, żeśmy się bili z jakimiś kajakowiczami, gdzieś nad Bełdanem czy co?

— Obmyślimy lepszą bujdzę po drodze. Teraz wracajmy — dyrygował Maryś.

Powlekli się z powrotem.

Weszli w najtrudniejszy odcinek drogi, najbardziej zarośnięty, niedaleko od jeziora. W pewnej chwili z prawa doszedł ich silny trzask.

Maryś spojrzał, drgnął. W odległości kilkunastu metrów jakiś człowiek, zgięty wpół, szybko przesmykiwał się między drzewami, jakby pragnął zniknąć im z oczu. —Widzicie? — wskazywał palcem.

— Facet wyraźnie ucieka! Gońmy za nim...

Z trzaskiem runęli między zarośla i krzewy. Jeszcze kilka razy mignęła im sylwetka nieznanego człowieka. Oglądał się jakby z przestachem. W mroku leśnym nie można było rozróżnić jego rysów.

— Pietrek, od prawa biegnij, od prawa! — wołał Maryś przyciszonym głosem; sam starał się zabiec uciekającemu drogę od lewej. Gabryś został z tyłu, zaplątał się w jakieś wykroty i musiał nadrabiać drogi.

Maryś zapędził się najdalej. Sylwetka człowieka mignęła znacznie bliżej, wydawało mu się, że uciekający lekko utyka, nie był tego pewien. Spojrzał w bok, chcąc sprawdzić, gdzie znajduje się Pietrek, przeszło mu jednocześnie przez myśl: jakim właściwie prawem ścigają obcego człowieka, który ma takie samo prawo do lasu jak oni? Tak, ale czemu ucieka? Może kłusownik albo kradł drzewo? Znowu spojrzał przed siebie, gorączkowo przebiegał oczyma z miejsca na miejsce, nigdzie nie widział ściganej postaci. Pędem pobiegł w stronę, gdzie mignął mu po raz ostatni. Krążył kilka razy, zapędzał się w różne strony, oglądał po jamach i około wykrotów, zerknął nawet parę razy na drzewa, ale człowiek, za którym biegli, znikł nagle, jakby się rozpułynał albo zapadł pod ziemię.

— Uciekł, kurdefelek, taki los...

Stali we trójkę, zastanawiając się, kogo właściwie ścigali tak uporczywie.

— Tylko — czemu uciekał, zanim jeden krok za nim zrobiliśmy?

— Podejrzana historia. Co za kraj, kroku nie można zrobić, żeby jakiej afery nie było — denerwował się Pietrek.

— W każdym razie teren on musi znać dobrze, inaczej by przed nami nie uszedł — rzekł Gabryś.. — Wracajmy, bo do wieczora gotowiśmy pałętać się tu po drogach lub gonić mary leśne...

— Wyglądało jakby utykał na jedną nogę — przypomniał Maryś.

— Co ty, głupi? Kulawy ganiałby jak zając po lesie. Nogi miał na pewno zdrowe, a jak się okazało, lepsze od naszych.

— Wracamy!

Za chwilę znaleźli się nad jeziorem. Było tu jasno, pogodnie, zaraz poprawiły się im humory.

— My tu jeszcze wrócimy — zapowiedział Gabryś, oglądając się na strzępiastą linię lasu.

19 Początek wielkiej kampanii

Lipiec dobiegał ostatnich dni, nie ustawały uciążliwe upały. Starzy ludzie z niepokojem spoglądali na rozpalone do białości niebo szukając zapowiedzi zmiany pogody. Ale oko nie mogło spocząć na najmniejszej chociażby chmurce.

Pękała spieczona ziemia, świeżo zaorane rżyska za byle podmuchem wiatru zmieniały się w tumany dławiącego dech pyłu. Woda w jeziorze opadła, nie sposób było przedrzeć się teraz łodzią przez płycizny zarosłych sitowiem przesmyków. Trawa żółkła i przymierała. Bydło żałośnie porykiwało po leśnych polanach, nie mając dostatecznej ilości paszy. Posucha zagrażała ziemniakom.

Grzybów brakło zupełnie. Jagody leśne, choć obrodziły obficie, drobne/były, zmarniały. Tylko nad grząskimi brzegami jezior, na mokradłach i trzęsawiskach trwało bujne życie roślin. Rankami i wieczorami podnosiły się tumany mgły, stawały nieprzejrzaną zasłoną.

A jednocześnie, jakby dla złośliwej ironii, po czystym niebie przewalały się *raz* po *raz* dalekie grzmoty, czasem nagłymi zacichającymi porywami zrywał się wiatr, unosząc chmary kurzu, zaraz jednak, te zapowiedzi burzy mijały i znów żar sypał się z góry bez miłosierdzia.

Na przekór temu z południa Polski szły wieści o nieustannych deszczach, o straszliwych roztopach, o wodzie stojącej kałużami na polach, o groźbie powodzi. Ludziska bąkali po wioskach, że dziwaczne kaprysy przyrody są skutkiem doświadczeń z bombami atomowymi, zlorzeczyli inicjatorom szalonego wyścigu zbrojeń. I tak polityka, splatając się z życiem codziennym, docierała do najbardziej zapadłych zakątków.

Nad zatoką życie szło spokojnym, trochę ospałym trybem. Duszna spiekota oddziaływała na wszystkich rozleniwiająco. Kąpiele, piłowy, wycieczki „Gawronem”, tradycyjne już gawędy przy ognisku w nocne godziny, wypadki do pegeeru i do wsi, trochę flirtu i zakochanych

wzdychań, wszystko to zapełniało jakby zwolnione w tempie dni.

Pietrek z Gabrysiem kryli się przed ludźmi, czekając, aż z twarzy ich znikną ślady niedawnej bójki/Sińce zmieniały kolor z ciemnogrnatowych na zielone, potem zżółkły dużymi, dziwacznymi plamami. Opuchlizna skłęśła, powietrze i woda przyśpieszały gojenie. Dziewczeta nie dając wiary tłumaczeniom o bójce z przygodnymi kajakowiczami, pokpiwały z nich nieustannie. Pietrek peszył się wtedy, krył oczy, usiłował zmieniać temat rozmowy. Cierpiał jeszcze i z Jego powodu, że w podobnym stanie nie mógł pokazać się doktorowej, a przez las często niósł się warkot odjeżdżającego „opelka”.

Opowieść o znalezieniu drogi, którą wywieziono wydobyte z jeziora tajemnicze skrzynie, zafrapowała pozostałych obozowiczów. Grapsza, powiadomiony o całej historii tego samego wieczoru, wysłuchał chłopców uważnie, wypytywał o szczegóły, potem, jakby bagatelizując całą sprawę, zwrócił się z prośbą, by bez porozumienia z nim nie przedsięwzięli nowej wyprawy. Chłopcom zrzedły trochę miny, leśniczy udobruchał ich wtedy obietnicą, że razem wybiorą się tam nieraz, już może za dwa, trzy dni...

Bończę zastanawiała jedna rzecz. Gdy opowiadał szczegóły pościgu za tajemniczym człowiekiem, uczyniło to szczególnie' wrażenie na Julku.

— Kulawy, powiadasz?

— W każdym razie wyraźnie utykał.

Julek zamruczał coś do siebie, pokiwał głową, nic jednak nie powiedział, Bończy Wydało się tylko, że w niebieskich jego oczach zapalił się jakby błysk zrozumienia. Nie śmiał jednak wypytywać, skoro Kania sam nic nie mówił.

Fajfer, stały już gość obozu i wcale nie kryjący się ze swoją sympatią do Zośki, przyniósł pocieszające wiadomości o staraniach w sprawie przywrócenia boiska sportowego w Wyra j ach. Gwizda sprawdził w katastrach gminnych, że teren boiska należy do państwa i nic nie stoi na przeszkodzie, aby przekreślić samowolną decyzję sołtysa i przywrócić obiektowi .dawne przeznaczenie. Sekretarz Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Mrągowie obiecywał w swoim czasie, że wyda polecenie sołtysowi, aby natychmiast zasypać przekopane rowy. Nic nie wskazywało jednak na to, aby tego rodzaju zlecenie dotarło do Wyrajów. Aż dopiero dzisiejszego dnia...

Edward opowiadał szczegółowo o tym wydarzeniu:

— Sekretarz prezydium przyjechał w innych sprawach, związanych ze szkołą. Właśnie byłem u Gwizdy. Chodziło o kredyty inwestycyjne i remontowe na przyszły rok. Potem zgadało się o boisku. Sekretarz kłął się na Boga, że wydał zlecenie sołtysowi, jakże mu, aha, Małeckiemu, aby

rowy zasypać i oddać boisko młodzieży. Chciał zaraz jechać do sołtysa, ale wstrzymałem go jeszcze i wygarnąłem mu wszystko o zaniedbaniu i opuszczeniu tej wsi. Bo cóż, tylko podatków pilnują, a pomocy żadnej nie udzielają. Zgadało się o elzetesie, to drobiazg podobno, trzeba się tylko porozumieć z Powiatowym Komitetem Kultury Fizycznej. Gorzej ze świetlicą. Na tych sprawach to się sekretarz, zresztą dość miły chłop, ani w ząb nie wyznawał. Ga dał, że funduszy nie ma na inwestycję pozaplanową, bo to w innych gromadach budują właśnie świetlice...

— Tu nie trzeba budować, są przecie wolne domy — przerwała Zośka.

— Otóż to. Pan Gwizda i ja to samo mówiliśmy. Wtedy wyszła na jaw sprawa etatów i braku kierowników świetlic. Wsunęliśmy na to kandydaturę Józki Glacy i Heńka Lipienia, którzy mają przeszkolenie nie tylko teoretyczne na uniwersytecie ludowym, ale praktyczne, choćby z samego Mrągowa. Nic nie obiecał, zdawało się go to mało obchodzić, ale wywnioskowałem, że można by rzecz załatwić. W tych dniach przygotowuję pismo, wyślemy je w imieniu szkoły.

— Wiecie, nakłonię kierownika pegeeru, .aby od siebie też z czymś takim wystąpił — dodał Kostek.

— Świetnie! — Fajfer spojrział na niego przyjaźnie. — Potem wpakował ten sekretarz Gwizdę i mnie w samochód i pojechaliśmy do sołtysa. Mieszka przy samym boisku, taki ładny domek, świeżo ogrodzony.

— Ach, bestia, widzieliśmy! To jemu przeszkadzało boisko? Przecież ten sad, który miano okradać, to wszystkiego pięć drzewek w trzy rzędy — przypomniał Pietrek.

— Czekajcie, najciekawsze dopiero teraz! Małecki był w domu. Jego żona, prawdziwy Harpagon, słuchała rozmowy, nawet chciała się wtrącać. Sekretarz natarł ostro na sołtysa, że nie usłuchał jego zlecenia. Krzyczał, że z tego bierze się potem chuligaństwo po wioskach i tym podobne. Sołtys zbaraniał, on naprawdę jest strasznie niemrawy. Tłumaczył, że czas żniwny, nie było wolnej chwili, potem, że mieszkańcy wioski się nie zgadzają, bo to młodzi awanturują się, krzyczą, gotowi do roboty nie chodzić, a całe dni spędzać na boisku. Bzdury! Sekretarz, sprytnie go przyparł do muru. Zapytał, kto z mieszkańców składał takie protesty. Nie mógł wybąkać żadnego nazwiska.

— Powiedz, nie chciał — zaśmiał się Gabryś.

— Odniosłem podobne wrażenie. Sekretarz zarządził, żeby w przeciągu tygodnia rowy były zasypane. Wydało się przy okazji, że to właśnie sam sołtys je przeorywał i pogłębiał łopatą. Nie wiedział, jak wybrnąć, musiał się zgodzić.

— To znaczy, że będzie boisko! Hura! — wrzasnął Maryś.

— Tak, ale żelazo trzeba kuć dalej. Warto nie zwlekając wystąpić o zorganizowanie koła

elzetesu. Wioska i pegeer razem.

— No dobrze, ale przecież nie wystarczy, że ty czy Gwizda wystąpicie o zorganizowanie koła? To musi inaczej wyglądać. — Kostkowi jakoś nie widziało się takie zorganizowane działanie.

— Czekaj, jesteś w gorącej wodzie kąpany. Pogadam .z, niektórymi ze wsi, Niech się zbierze z dziesięć podpisów, starczy już na podkładkę.

— Słusznie. Kostek mógłby zrobić to samo w majątku. Albo poprosić buchalterkę, przecież mu nie odmówi — zaśmiała się Mirka

— Ja bym proponował jeszcze coś innego... Żebyśmy sami wybrali się do Mrągowa, I tak musimy zakupić trochę żywności. Tani pójdziemy do Komitetu Kultury Fizycznej, pogadamy. Obiecamy swą pomoc na okres wakacji, wytłumaczymy, że łatwiej tak będzie rozruszać koło. Co wy na to?

— Do Mrągowa? Choćby jutro — zapaliły się dziewczęta.

Inni też ucieszyli-się perspektywą nowej wycieczki. Tylko Pietrek ł Gabryś nie okazywali entuzjazmu; Ze swoimi pokiereszowanymi twarzami nie spieszyli się między ludzi.

Julek przysiadł się do Fajfera.

— Mam pomysł, trochę dziwaczny, ale czasem takie rzeczy przechodzą.

— Gadaj — zaciekawił się Edek, trochę markotnie wodząc oczyma za Zośką, z którą chciał porozmawiać na osobności.

— Kołem elzetesu musi ktoś przecież kierować. Ty możesz być opiekunem, ale zarząd stwarzają oni sami. Przewodniczyć powinien ktoś ze wsi. Majątkowi chłopcy czy dziewczęta są rozsądniejsi, podporządkują się, ale w sytuacji odwrotnej, gdyby ktoś z pegeeru został kierownikiem koła, młodzież wiejska mogłaby się boczyć. Sprawę zgody na płaszczyźnie pełnej równości zostawmy na później. Otóż co byś powiedział na to, aby prezesem koła elzetesu zrobić Wittlego?

Fajfer szeroko otworzył oczy.

— Wittlego? Przecież to najciemniejszy typ z tych młodych. On czuje i myśli po niemiecku. To niebezpieczne, w ten sposób dalibyśmy im broń do ręki. Gotowi by całe koło przemienić na konspiracyjną drużynę Hitlerjugend... Nie, Julek, w żadnym razie!

—Ja sędzę inaczej. Masz rację, że takie .niebezpieczeństwo istnieje Po to jednak byłbyś opiekunem koła, aby do tego nie dopuścić .Cóż Wittle? Mówisz, że to zdecydowany faszysta i Niemiec? Ja myślę inaczej Zagubiona, zapomniana wioska. Ani kina, ani świetlicy i biblioteki, nawet boiska nie mają. W takich warunkach tkwi tu kisań kilkadziesiątu młodych ludzi. Ci chłopcy są zagubieni. Nudzą się, objijają, a jednocześnie słyszą, że gdzieś indziej życie jest

ciekawsze, bujniejsze, a młodzież ma wiele do powiedzenia. Rodzi się w nich poczucie niższości. Szukają przyczyn i.. rozumiesz, jedno umiejętnie słowo, jakieś kielki nieufności celowo przez kogoś zasiane i już jest się problem. Zaczynają sobie tłumaczyć: bo my jesteśmy Mazurzy, więc się nas gorzej traktuje, nie ceni, separuje od świata. Traktuje się nas źle, jak obywateli drugiej kategorii... Masz wyjaśnienie i prosty pomost do Niemczyzny. Dodaj jeszcze wyolbrzymione, umiejętnie podsycane legendą wspomnienie bujnego życia w Hitlerjugend, a choćby wymowę takich faktów, że wtedy było boisko, a teraz nie ma... Dalszy ich wniosek? W Polsce nie jesteśmy nikomu potrzebni, ale tamci o nas pamiętają. Ślą listy, paczki, zasypują ulotkami, zapowiadają swój powrót. Niech przyjdą jak najprędzej, niech nam wrócą naszą młodość, nasze pełne prawa i obywatelskie przywileje.

— Zaraz, zaraz — przerwał Fajfer, któremu oczy zapaliły się gorączkowo. — A narodowość, jak wytłumaczysz ten problem?

— Jeżeli ktoś nie ma jeszcze wyrobionego poczucia przynależności narodowej, jeśli znajduje się gdzieś na pograniczu, to w pewnym momencie łatwo zjednać go może każdy, kto łądzi się mirażami, snuje barwne wizje przyszłości. Jasne?

— Może masz rację. — Fajfer siedział z głową ujętą dłońmi, zamyślony.

— Wittle. On jest żywszy i inteligentniejszy od innych. Przewodzi w wiosce sporej grupie młodzieży. Bo zawsze będą przywódcy wśród młodych. Na pewno szkodzi, więcej lub mniej. Szuka wyzycia w manifestowaniu swego negatywnego stosunku do Polski. I patrz, w takiej sytuacji staje się kimś, ma świadomość, że jednak go dostrzeżono i doceniono. Jest dość ambitny, aby osiągnąć jak najlepsze wyniki. Twoją rzeczą będzie nim umiejętnie kierować, rozszerzyć zainteresowania sportowe na inne... Może się przekona do Polski, zacznie w niej więcej rozumieć, odejdzie od Niemczyzny, przestanie ulegać wpływom kulawego stryja, z którym mieszka.

— Co, znów jakiś kulawy? — zainteresował się Pietrek, który przybliżając się do nich dosłyszał ostatnie słowa.

— Nie, tym razem to o kimś konkretnym. Nasz wspólny znajomy — wyjaśnił Julek. Spojrzał na Fajfera pytająco: — No, jak sądzisz?

— Śmiało, ryzykowne... Ale gdyby się udało, to za jednym zamachem mamy młodzież za sobą. Zgadzam się. Ale i uzupełnię, co mówiłeś. Proponuję, żeby go wciągnąć do roboty od razu. Niech podpisze wniosek o założenie koła sportowego. Jeżeli się zgodzi, wtedy dalsza droga otwarta.

— A jeżeli nie podpisze? To co, zrezygnowałbyś od razu?

— Bo ja wiem — Fajfer powątpiewająco potrząsnął ramionami

— Widzisz, ja jestem zdania, że wtedy tym bardziej nie należy rezygnować. Wiesz, może byśmy pojechali „Gawronem” do Wyrajów? Spotkamy Wittlego, pogadamy. Trzeba kuć żelazo, póki gorące...

„Gawron” płynął wzdłuż prawego brzegu. Było dopiero koło czwartej, mogli jeszcze zatoczyć krąg wokół jeziora. Julek z satysfakcją prowadził łódź. Motor pracował bez zarzutu, nie nagrzewał się. Jezioro tonęło w słońcu rażąc oczy nieznośnym blaskiem.

— Doktor to naprawdę zwariowany rybak — zaśmiał się Julek wskazując na kajak przycupnięty na wodzie. Przedłużona bródka twarz doktora Gintera widniała wyraźnie na tle seledynowej ściany sitowia. Pani Mery leżała w kajaku, czytając książkę.

— Musi jej być nudno. We dnie na kajaku, w milczeniu, by ryb nie płoszyć, nocą znów sama, bo tamtemu w głowie tylko węgorze — z wyraźnym współczuciem spoglądała Mirka na doktorową.

— A ty byś mężowi nie pozwalała tak przesiadywać z wędką? — zaśmiał się Julek, ale w pytaniu wyczuwalna była leciutka, nuta osobistego niepokoju.

— To zależy... — spojrzała na niego znacząco, uśmiechnęła się.

— Doktor wyciągnął z ciężkiego zapalenia płuc synka Czartaka, robotnika z majątku. Dziecko właściwie już było skazane.. Trzy razy dziennie przychodził. To lekarz z powołania — Kostek przypomniał wypadek w pegeerze.

— Przekonałem się do niego — przyznał lojalnie Julek. — To ładna robota repolonizacyjna. Obcy człowiek, a potrafi okazać tyle serdeczności i oddania, nie dba o swój czas. przy tym niewiele zważana honoraria...

Mówiąc to zwolnił obroty i aby nie płoszyć ryb, opływał kajak doktorostwa szerokim łukiem. Podniosły się ku nim dwie dłonie, życzliwie pozdrawiając załogę „Gawrona”.

Na brzegu jeziora przy wiosce taplały się w wodzie dzieciaki, jakiś wąsaty Mazur poił konia, młoda kobieta o nogach zaczerwienionych od stania w wodzie trzepała kijanką bieliznę rozłożoną na desce imitującej prowizoryczny pomost.

— Klawą pływalnię można by tutaj zrobić! — okiem gospodarza rozglądał się. Kostek po brzegu ciągnącym się daleko w głąb ławicą białego drobnego, piasku.

Przez wioskę szli z humorem, przygadując sobie, pozdrawiając spotkanych mieszkańców. Niektórzy odbąkiwali zdawkowo, jakieś kobiety rozjaśniły stare twarze przyjaznym uśmiechem. Zza opłotków odprowadzały ich uważne, raczej życzliwe spojrzenia Julek widział to i jakaś radość rosła mu w sercu. Przypomniał sobie, jak zupełnie inaczej witano ich przed niecałym jeszcze, miesiącem. A więc można przełamać izolację nawet tak zamkniętego środowiska. Byle tylko mieć serce.

Nie dochodząc do szkoły przystanęli na chwilę. Fajfer miał zaambarasowaną minę. Szepnął do Julka:

— Jak my go przywołamy? Może być niezadowolony, jeżeli zrobimy to nazbyt jawnie.

— Masz rację. Czekaj, on nam pomoże...

W upapranym żywicą i smołą roboczym ubraniu szedł im naprzeciw pызaty blondynek, jeden z przyjaciół Wittlego. Pamiętali go dobrze, zawsze był grzeczny, jakiś bardziej życzliwy od swoich kolegów. Julek podchodząc bliżej pozdrowił go:

— Dopiero z roboty?

— Kończyliśmy wycinek. Jutro zaczynamy gdzie indziej. Nie warto byłoby wracać dla jednego festmetra... Kiedy gramy w siatkówkę?

— Każdego dnia, kiedy wam odpowiada. My zawsze chętnie.

— Może w sobotę?

— Dobra. Będziemy czekali... Aha, nie zobaczycie dzisiaj Michała?

— Wittlego? Niedaleko mieszkam, bo co?

— Mam sprawę do niego, chciałem się dowiedzieć, jak ma się ten mały Klaus.

— Za godzinę będę z Michałem nad jeziorem, dobra? Trzeba się wykapać przed nocą...

Uśmiechając się poszedł dalej rozkołysanym krokiem, typowym dla drwali. Ostrze topora na jego ramieniu rzucało długie blaski.

— Gotowe! Chodźmy do szkoły. Pan Gwizda ma dobry soczek na te upały.

Edward spoglądał na Kanię z podziwem.

Pan Gwizda, jak zawsze, tłamsił płotek swoim potężnym ciałem.

— Bywajcie, żarłoczne szczupaki, przepraszam, i szczupakówny...

Co nowego przynoszą zdobywcy gardyńskich wód?

— Pragnienie napoju i rozmowy z panem — śmiała się Mirka.

— Jednego i drugiego będzie do woli, jeszcze dla takich gości.

Na werandzie panował przyjemny cień. Rozsiedli się. Pan Gwizda przejął pierwsze skrzypce w rozmowie. Wkrótce Julek z Edwardem wymknęli się i spieszonym krokiem zawrócili nad wodę. Pragnęli naradzić się jeszcze przed nadejściem Wittlego. Julek był niezadowolony, iż rozmowie ich asystował będzie pulchny blondynek.

— Zabierzemy ich na „Gawrona”. Ty będziesz prowadził i rozmawiał z Wittlem. Warkot motoru przygłuszy słowa, ja zagadam tamtego.

Nad jeziorem było pusto, zniknęły dzieciaki i kobieta piorąca bieliznę. Od wschodu dęła leciutka morka, woda poddawała się jej pieszczocie delikatnym falowaniem. Fajfer pomyślał, że podobnie drgają nozdrza Mirki, gdy jest czymś przejęta lub wzruszona.

Wittle nadszedł niezbyt zadowolony ze spotkania. Był blady, gwałtownym ruchem głowy odgarniał spadające na czoło kosmyki. Śniada twarz dziwnie odbijała od ciemnych włosów.

— Chciałeś czegoś ode mnie? — hardo i wcale nie po przyjacielsku spojrzął na Julka. Jemu zaś wydawało się, że gdzieś bardzo, bardzo głęboko, na samym dnie ciemnych oczu Wittlego dostrzegł jakby lęk przed tym spotkaniem.

— Nie widzieliśmy, się od zabawy, na której zresztą byłeś tak krótko. Jak się ma Klaus?

— Dobrze.., To wszystko? — w głosie czuć było zawód.

— Nie tylko, Michał, Po prostu wypiliśmy wtedy, w majątku, więc myślę, że czasem byłoby dobrze pogadać z przyjacielem.

— Ech, jacy my przyjaciele... — Wyciągnął czarne, spracowane ręce, spojrzął na nie ze smętnym uśmiechem. -- Ja od topora i piły, wy sobie teraz wypoczywacie, a potem znów wracacie do lekkiej roboty...

Julek aż przystanął. W. głosie Michała, był gorzki żal. Pomyślał, że jednak miał sporo racji, kiedy próbował wytłumaczyć Fajferowi, jak pojmuje szarpaninę w duszy Wittlego. Uśmiechnął się, ukazując swoje dłonie. Czyste były, ale zgrubienia, liczne blizny i ogólny kształt mówiły swoje. Pokazał je Wittlemu. Ten spojrzął szybko, opuścił wzrok.

— Z jednej my gliny. Z jednej wioski,.. A robotą, mnie nie nastraszysz.

— Czego wy chcecie od nas? Spokój był we wsi, pókiście nie przyszli! Płaczecie się we wszystko.

Julek zerknął za Fajferem, Zagadał się z blondynem. Nie zwracali obaj uwagi, na idącą przed nimi parę.

— Wiesz co, Wittle? Chodź, przejedziemy się motorem, odpowiem ci czego chcemy. Nie boisz się chyba rozmowy?

Hardym ruchem odrzucił w tył głowę.

— Jedziemy!

Blondynek ucieszył się z nieoczekiwanej perspektywy przejażdżki.

—Dobra rzecz taka łódź — z uznaniem patrzył na krypę, trochę na słowo honoru przemienioną w motorówkę.

Stało się, jak przewidział Fajfer, Julek zauważył, że Wittle. niespokojnie obejrzał się parę razy na brzeg.

Aha, nie chcesz, aby cię za dużo oczu widziało — pomyślał, skręcił pod brzeg, gdzie drzewa osłaniały ich przed obcymi spojrzeniami,. Siedzieli obok siebie, Fajfer odsunął się ze swym towarzyszem daleko do tyłu, rufa. zanurzyła się głębiej.

— No? — dosyć obcesowo zagadnął Wittle.

Jechali wolno, dobrze mogli się słyszeć. Julek spojrzał na twarz Mazura. Wittle mógł mieć dziewiętnaście, najwyżej dwadzieścia lat, życie jednak wycisnęło na nim niejedną gorzki ślad. Głęboko osadzone oczy łyskały hardo, ale czasem, jakby zupełnie bezradnie, kryły się za mrugającymi szybko powiekami. I teraz nie wytrzymał spojrzenia Julka, uciekł w bok, za strzępiastą Unię koron sosnowych.

— .Powiedz, Michał, czemu, ci przeszkadzamy nad tą zatoką? Dlaczego ktoś na wszystkie sposoby usiłuje nas stąd przepłoszyć? Ty musisz coś wiedzieć, ostrzegałeś mnie...

Wittle milczał, badawczo przebiegając oczyma po twarzy Julka.

— Nie chcesz, to nie mów. Ja nie sędzia śledczy — ledwie wymówił, zaraz pożałował tych słów. Twarz Michała jakby stężała, odbiła się w niej skupiona uwaga. — Widzisz, przybyliśmy na krótko, jeszcze jakiś czas i zwiniemy żagle. Ja wrócę do was, nie wcześniej to później, ale moi koledzy może nigdy już nie pokażą się w tych stronach. A przecie chcemy coś po sobie zostawić. Życie tutaj jest bardzo ubogie z waszej i nie z waszej winy. Chcieliśmy je trochę ożywić. Ot, i cała tajemnica, dlaczego próbowaliśmy zbliżyć się, do was. Czyż wam to mogło szkodzić, żeśmy zagrali w siatkówkę, potańczyli i posiedzieli przy ognisku? Sam powiedz.

— Przyjechaliście i pojedziecie. Wielka różnica jest między nami. Tu Polska, a wymyślają nam od szwabów, plują na nas, A my z takimi, co za gorszych nas mają, nie pójdziemy. Sam wiesz, jak się tu działa i dzieje — wyrzucił z siebie to, co go uciskało najbardziej,

— Boli cię to nazywanie szwabem?

— E tam... Niech zwą, Ja jestem Niemiec i swoje wiem — odpowiedział hardo i bardzo śmiało. — Mam prawo, nim być, no nie?

— Masz — Julek uznał, że nie należy przeciągać struny. Przeszedł na inny temat. — Chcę ci coś powiedzieć. Mówiliśmy o boisku, że je wam...

— Wiem. Sołtys ma zorać. Już tydzień temu kazali, a dziś był jakiś ważny i kazał zaraz to zrobić.

Kania zdumiał się, jak szybko działała informacja w Wyrajach. Przecie Wittle dopiero co wrócił, z roboty w lesie.

— Tym lepiej, że wiesz. No i co?

— W niedzielę idziemy zasypywać rowy. Zrobimy boisko.

— Wy?

— A kto? Ech, głupia sprawa — zasepił się. — Dawno mówiłem, że tak trzeba. Ale oni swoje i swoje, że boisko niepotrzebne, bo zaraz wleżą tu różne polskie organizacje i tyle — urwał, zły na siebie za słowa, które wyleciały we wzburzeniu, a których już cofnąć było nie sposób. Julek pojął, że więcej z Wittlego nie wydobędzie. Jedyna szansa spróbować kuć żelazo od zaraz.

— Widzisz, wypiliśmy za przyjaźń...

— No... brata uratowałeś — bąknął.

— Więc ja z przyjaźni chcę coś zrobić dla ciebie, dla was... Boisko to bardzo dużo, ale i bardzo mało zarazem. Trzeba mieć piłkę, i nie tylko piłkę, zimą można by trenować boks, jeździć na łyżwach. Gdybyście chcieli założyć tutaj koło elzetesu, wiesz, ludowych zespołów sportowych, dostalibyście sprzęt i pomoc.

— Nie chcemy, żeby się tu kto wtrącał.

— I słusznie, najgorzej, jak ktoś obcy miesza w naszej kaszy. Sami musicie założyć koło. Ty na przykład zostałbyś przewodniczącym. Sami byście prowadzili wszystko, weselej byłoby w waszej wiosce.

Wittle siedział z lekko uchylonymi ustami, zaskoczony propozycją Julka. Przez chwilę zbierał myśli.

— Czemu ty o tym wszystkim?

— Czemu.? Widzisz, stąd moja matka pochodzi. Mam tu stryja, krewnych, choć dalekich, ale zawsze. Ciebie polubiłem — w tym miejscu oczy Michała otwarły się szeroko. — Chciałbym wam dopomóc, poradzić.

— Czy nam zezwolą samym prowadzić koło?

— Pewnie, że tak! Macie własny zarząd i sami się rządzącie.

— Niektórzy u nas dawno już chcieli założyć koło sportowe — rzekł Wittle, — Ale inni nie. I tak zostało. Bo jeszcze ta sprawa boiska. On też chciał koła — wskazał na swego towarzysza, zaśmiewającego się z jakiejś opowieści Fajfera.

— Jak widzisz mój projekt?

— Nie wiem... Trzeba pomyśleć — rzekł Wittle.

— Pewnie, gorączki nie ma. Jak się namyślicie, to wam pomogę, zrobimy wniosek do władz elzetesu, podpiszecie, zatwierdzą; zrobicie wybory, będziesz miał oko na wszystko i basta. Słuchaj, Michał, to w niedzielę zamierzacie pracować przy boisku?

— Rowy trzeba zasypać. Sołtys kazał.

— Sam kopał, a teraz pędzi do roboty, cwaniak! — zaśmiał się Julek.

— No... A czemu pytasz?

— Bo u-was nie ma rozmachu! Same rowy to mało. Trzeba od razu zacząć robotę, jakoś ogrodzić plac, żeby nie hasały po nim krowy i świnie, wyrównać kretowiska, bo ich tam pełno, skombinować bramki, słupki wkopać. To duży teren, zmieści się plac na piłkę nożną i jeszcze zostanie miejsce na kosz oraz siatkę. Z boku można by zrobić skocznię, jak już, to już.

Wittlemu zapaliły się oczy. Popatrzył na Julka uważnie. — Niby tak — przyznał.

— Widzisz... Ja ci powiem. Na niedzielę powinniście ściągnąć kogo się da. Z wioski i z majątku. My też przyjedziemy, pomożemy. Taką kupą, to się podpędzi kawał roboty.

— A drzewo?

— Hm, to gorzej. Może leśniczy da? To porządny człowiek. No jeśli nie będzie od razu drzewa, to wyrównamy teren, wymierzmy boisko.

— Drzewo? My drzewo znajdziemy. Będzie na niedzielę — rzekł z nagłym ożywieniem Michał, ale zaraz zasepił się. — A ty nie kłamiesz? O nic innego ci tutaj nie chodzi?

— A o cóż może chodzić, chłopie? Sam powiedz?

— Prawda -- przyznał niepewnie Michał. — No, na mnie czas, mam jeszcze przy domu robotę — dodał nagle.

Julek zawrócił do brzegu. Rozsadzała go wewnętrzna radość, że tak się powiodła rozmowa z Wittlem. Przeczynał wprawdzie, że nie on sam zdecydował o stanowisku tamtego. Sprawa boiska musiała być nienowa...

Gwizda szczególnie się ucieszył, gdy Julek opowiedział o rozmowie z Wittlem.

— Jak żonkę kocham, toś rewolucję zrobił! Wittle, patrzcie no, najgorszy wywłoką w wiosce! Jeżeli on się zgodził, to będzie tam cała młodzież, już oni go posłuchają. To ci dopiero...

— Zobaczysz pan, i koło elzetesu założą — dodał Julek z przechwałką.

Pan Gwizda popatrzył na niego bystro.

— Wierzę, choć nie rozumiem, jak wy to z nimi robicie. Ja tak nie potrafię...

Julek spojrział na niego, potem, ścisząc głos, rzekł nieśmiało:

— Czy pozwoli pan, żebym powiedział parę szczerych słów? — Gwizda skinął głową, zaciekawiony. Widzi, pan, my pana bardzo szanujemy, wiemy, że na takich ludziach, jak pan, opierała się tutaj polskość w okresie największego nacisku niemczyzny. Ale dzisiaj pan nie umie sobie poradzić, nie umie pracować między ludźmi tak, jak tego wymaga nasz czas. To może brzmi sztucznie, co powiedziałem, ale tak jest. Pan trzyma się starych, tylko niektórych z młodych przyciąga pan do siebie i to tych, którzy byli najłatwiejsi do przyciągnięcia, jak Glaca czy Lipień. Do innych pan nie umie albo może i nie chce trafić, wygląda czasem, jakby się pan ich trochę bał. Wiem, powie pan: jakże odpowiem na ich słuszne zarzuty, że początkowo Polska źle obeszła się z Mazurami? Tymczasem rzecz jest prosta, na początku nie była to jeszcze Polska, a już w żadnym razie nowa Polska. To byli źli ludzie, głupcy albo kariero wieże, jeżeli nie zwykli złodzieje. A pan i panu podobni jesteście urażeni, zacięliście się w fałszywej ambicji. Myślicie, że skoro nie doceniono was, zasłużonych działaczy, to niech nawet wali się wszystko, wy nie, podtrzymacie z całych sił nowej budowy...

— Julek, dajże spokój! — szepnęła zdziwiona tym tonem Zośka. Pan Gwizda siedział za stołem nieruchomy, ale po zaciśniętych pięściach, po nabrzmiewającej czerwienią twarzy znać było, jak bierze słowa Julka do serca. Fajfer patrzył niespokojnie, oczekiwał gwałtownego wybuchu starego działacza, a jednocześnie zdejmował go podziw dla odwagi Julka, że tak umiał wygarnąć prawdę w oczy. Kania zaś uśmiechał się lekko, choć twarz jego zbladła i blizna na czole zaznaczyła się wyraźniej.

— Nie, pozwólcie, niech powiem swoje do końca. Zbyt cenię pana Gwizdę, abym miał przed nim tę prawdę ukrywać. Tak z jakąś *Schadenfreude* patrzycie na niedociągnięcia, zdaje się nie docierać do was przerażająca prawda, że w niektórych ośrodkach mazurskich następuje wzrost germanizacji. Jeżeli protestujecie, to więcej ze starego nawyku niż ze szczerego sprzeciwu serca, z tej waszej żarliwości, która jakoś zetlała — odetchnął ciężko, jakby brakło mu sił, by mówić dalej. — Pan pisze i w tym pisaniu chce się zapomnieć, bo pan. sam siebie dzisiaj nie znosi... Pan wie, że Wyraje inaczej by wyglądały, gdyby pan im zechciał dopomóc, I naprawdę pan i panu podobni, zasłużeni dawni działacze, nie mogą żyć w tym zasklepieniu, muszą wrócić do życia. Przecież dla ludzi pracowaliście, cierpieliście, ginęliście kiedyś. Po cóż, te urażone ambicje i niewczesne żale? — umilkł, potem powiedział bardzo, bardzo cichutko: — Niech się pan nie gniewa, panie Gwizda. Gdybym nie miał dla pana szacunku ani podziwu dla jego zasług, nie mówiłbym tak szczerze.

Na długą chwilę zapadło na werandzie milczenie. Osa bzykając krążyła na ich głowami. Młodzi patrzyli na pana Gwizdę spod oka. Siedział długi czas nieruchomo, zakrył twarz dłońmi. Krwista purpura barwiła jego ręce i uszy, i czoło. Wreszcie podniósł oczy, ręce zacisnął mocno na blacie stołu.

— Nikt do mnie nie mówił tak boleśnie... Bo Niemców, hitlerowców nie liczę. Zresztą im mocniej tamci mnie wyzywali, tym bardziej byłem dumny. Był to dowód ważności mej pracy, Ja nie wiem, o ile słowa, które tu padły, są słuszne. To prawda, że myśmy bardzo ciężko przeżyli pierwsze lata po wojnie. Że i w nas czasem się coś załamywało. Ale czy byliśmy tacy, jak to słyszałem? Nie wiem... — uniósł głos, spojrzał na Julka. — Ale nic was nie upoważnia do mówienia mi takich rzeczy, nic, słyszycie?! — ostatnie słowa prawie wykrzyczał, rozklekotany, roztrzęsiony do ostatnich granic.

Podnieśli się w milczeniu, żegnając się.

— Nie wiem, Julek, czyś dobrze zrobił — rzekła Zośka, gdy opuścili werandę.

— W tym jest niemało prawdy, ale czy wszystko? — dodał Kostek.

Tylko Fajfer z rozjaśnioną twarzą podszedł do Julka i mocno uściskał mu rękę.

— Prawda! Prawda! Cieszę się, że te słowa zostały wypowiedziane. Gwizda to nie byle chłystek. Teraz się uniósł, każdy by się uniósł! Ale on to przetrawi, zrozumie, jaki ból szarpał Julkiem. -- Zobaczycie, on przyjdzie do nas, zobaczycie. Ja wiem, że w mojej pracy w wiosce będzie mi przewodnikiem.

Tyle było zarliwości i wiary w jego słowach, że nikt już nie protestował.

Nad zatoką wrócili zamyśleni, przybici tym wydarzeniem. Na spotkanie, wybiegł im Maryś, wołając podnieconym głosem:

— Grapsza ranny, jest w szpitalu w Mrągowie...

20. Gorący dzień w Mrągowie

Autobus pekaesu zatrzymał się przed niezgrabnym budynkiem ratusza. O parę kroków dalej szumiał stłoczony, kołujący się tłum ludzki.

Dochodziła siódma.

— Lepszego połączenia nie ma. „Gawronem” jechalibyśmy zbyt długo. Wracamy za to do Mikołajek koleją — Kostek ciekawie rozglądał się dokoła, był tu po raz pierwszy. — No, chodźmy gdzieś na herbatę.

Gdy zasiedli w obskurnej gospodzie przy szklance mętnej wody, zastanawiali się jeszcze raz nad opowieścią, zasłyszaną od przyrodnika, gościa leśniczych, który przyniósł im do obozu tę smutną wiadomość.

Siedzieli wtedy we trójkę, czekając na powrót pozostałych obozowiczów z Wyrajów, gdy od lasu wynurzył się ich nowy sąsiad, przyjaciel Grapszy. Widzieli go już kilka razy, zjawiał się zawsze cichutki, grzeczny, łyskał spojrzeniem zza dużych okularów, zabierał łódeczkę i ginął na długi czas: Dyskretnie zaglądali do siatki, gdy powracał o różnych godzinach, uśmiechali się złośliwie, widząc zaledwie parę mizernych rybek. Kostek pewnego razu zetknął się z przyrodnikiem w lesie, wydawał się jakby przestraszony spotkaniem, uklonił się i zniknął między drzewami. W obozie wyrobiła się o nim opinia, że musi to być jakiś dziwak i odludek.

— Typowy belfer, kurdefelek — określił go Pietrek.

Zgodzili się z tym.

Z tym większym zdziwieniem spoglądali wczoraj na jego słuszną, trochę przygarbioną sylwetkę, jakby od ślęczenia nad książkami i papierzyskami. Podszedł do nich, uśmiechając się przepaszająco.

— Darują panowie, że niepokoję, ale proszono mnie, bym przekazał im pewną wiadomość — rozejrzał się, jakby szukając, gdzie usiąść.

— Proszę — Maryś przysunął mu pieniek sosnowy.

— Chodzi o pana Grapszę. Wydarzy mu się przypadek, przykry, że się ośmielę powiedzieć, niefortunny.

— Co, strzelał znów ktoś do niego?! — wyrwał się ktoś z pytaniem.

— Ależ nie, skądże — uśmiechnął się. — Któż by tu strzelał do ludzi?

— Ech, co tam pan może wiedzieć. Tu różnie bywa. Leśniczy przecież niedawno... — Pietrek urwał czując ostrzegawcze szturchnięcie Marysia.

— O, co za wspaniały łącznik, zwany drapieżnym — i nieoczekiwaną zwinnością liczący blisko pięćdziesiątki przyrodnik doskoczył nagle i złapał za odwłok sporego chrząszcza o pokrywach łykających zielenią i brązem. Przybliżył go do oczu, przyjrzał się uważnie, potem pokazał go chłopcom, popatrującym na siebie z dwuznacznymi uśmiechami. — To łobuz i straszny żarłok. Żywi się gąsienicami wążąc za nimi na szczyty drzew. No idź sobie, idź... — jakby z żalem puścił chrząszcza na ziemię.

— Mam już takiego w swych zbiorach — odezwał się po chwili usprawiedliwiająco. — A może panowie byście go wzięli?

-- Nie, dziękujemy, my nie robimy zbiorów zoologicznych — wyjaśnił Maryś tłumiąc uśmieszek.

— Szkoda, szkoda, nic ciekawszego jak tajemnice przyrody... Tak, tak, ale ja przecież nie po to przyszedłem, by mówić o tęczniku drapieżnym.

— Właśnie, co z leśniczym?

— Był na wyřębie. Świerk padając zoczył z toru i przygniótł naszego przyjaciela. Szczęściem szybko udało się przetransportować go do szpitala w Mrągowie.

— Stan bardzo ciężki? — spowaźnieli nagle, zawiśli oczyma na twarzy przyrodnika.

— Podobno szczęśliwie uniknął katastrofy. Zdażył na tyle jeszcze uskoczyć, że uraziło tylko ramię i lewy bok.

Odetchnęli.

Gość podnosił się. Słyszając jakiś szum nad drzewami spojrział w niebo, wyciągnął rękę:

-- Orlik, musi mieć gniazdo w pobliżu... To ja już panów pożegnam.

— Chwileczkę — Gabrys patrzył na niego dziwnym wzrokiem. — Czy w tym szpitalu można go odwiedzać?

— Tak, w dni targowe, jak jutrzejszy, bodaj od godziny dziesiątej. Ja też wybieram się za parę dni moim motocyklem. Może ktoś z panów skorzysta?

— Ma pan motocykl? To może jutro? — podchwycił Maryś

— Niestety, rozpocząłem pewne obserwacje nad rodziną błonkówek, takich ciekawych

chrząszczyków; nie chciałbym przerywać.

— Ależ tu chodzi o pana przyjaciela!

Starszy pan dobrotliwie popatrzył zza dużych okularów.

— Oczywiście, i dlatego będę u niego w tym. tygodniu. Do widzenia panom... A te błonkówki, jeżeli panowie ciekawi, mogę pokazać, ciekawe, bardzo ciekawe...

— Dziękujemy — z wyraźną ironią skłonił się Pietrek, potem popatrzył na kolegów i narysował palcem wyraziste kółko na czole

— A może wcześniej wpuszczą nas do szpitala — przerwał Julek rozmyślania nad wczorajszą wizytą śmiesznego dziwaka, Szklanki herbaty stały m dopite na stole, przy bocznych stolikach mimo wczesnej godziny kołysało się już paru pijaków.

— Myślę, że nie wpuszczą, bo zazwyczaj do tej godziny trwa obchód lekarski. Pójdziemy o dziesiątej — rzekła Mirka. — Uciekajmy z tej budy, obmierzle tu jest.

Uregulowali rachunek, stanęli na gwarnej uliczce. Zewsząd ciągnęły furmanki chłopskie, przepychały się babiny -z koszami, przewijali się wczasowicze w przybrudzonych szortach. Zawrócili w stronę rynku. Kotłował się tam olbrzymi tłum, nie mieszczący się na ciasnej przestrzeni, zamkniętej z jednej strony ruchliwą ulicą, z drugiej ścianą domów.

—Co tu milicji! — zdziwił się Maryś.

W tej samej chwili przystąpiło do nich trzech milicjantów, obrzucając całą piątkę badawczym wejrzeniem.

—Ładny, początek — uśmiechnęła się Zośka, ale milicjanci nie rozchmurzyli twarzy.

Dokładnie sprawdzali dowody osobiste, porównywali twarze fotografiami.

— Proszę bardzo — milicjanci zasalutowali.

— Wiecie, te ciągłe kontrole nie usposabiają chyba dobrze Mazurów. Muszą się czuć urażeni tak nieustanną opieką — mruzczała Mirka.

Pograżyli się w barwnym, rozgadany tłumie; zbitym tak, że trudno się było posuwać. Na ziemi i na prowizorycznych straganach w koszach i na rękach piętrzyły się stosy warzyw, obok rozwierały dzioby związane kury, gęgały gęsi. Przy ziemniakach sprzedawano kiszone ogórki, obok kminku w płóciennej torebce jakaś staruszka trzymała przewieszoną przez ramię piękną jedwabną chusteczkę. Zażywna mieszcza obmacywała kurę głośno wyrażając krytyczne uwagi, wreszcie, nie mogąc nic więcej wytargować, odeszła wyrzekając na cały głos:

— Już nie wiedzą, jak się drożyć szwaby nieszczęsne...

Sprzedawczyni odprowadziła ją wrogim spojrzeniem, wzruszyła ramionami. Julek zatrząśnięty z oburzenia.

—Psiakrew! Wylałbym tę babę na drugi koniec Polski, niech nie zraza ludzi głupim

gadaniem.

Gwarę mazurską słyszało się co krok, słowa polskie wymawiane były szorstko, gardłowo. Obok te same słowa brzmiały śpiewnie, melodyjnie.

— To już z Wileńszczyzny na milę poznać — śmiali się.

W prawym rogu rynku skupiły się obok siebie schludne, przeważnie na czarno ubrane kobiety w średnim wieku. Sprzedawały zegarki, szale i apaszki, jakieś nylonowe bluzeczki, broszki, maszynki do golenia, sporo też było prawdziwej kawy, pieprzu, kakao, trafiały się obrusy ze stylami, nożyki do golenia albo i zgoła brzytwy. Większość ze sprzedających te rzeczy kobiet bardzo słabo władała językiem polskim.

— Wiele kosztuje ta apaszka? — Mirka wzięła do ręki piękny jedwab, mieniący się bladoniebieskim kolorem.

— Dwieście pięćdziesiąt — odpowiedziała kobieta:

— Drożej jak na warszawskich ciuchach — oceniły, towar dziewczęta.

— Widzieliście, jaka masa zegarków? Niektóre miały po osiem, dziesięć sztuk, i to same złote — dziwił się Fajfer.

— Paczki z Niemiec Zachodnich, rozumiesz teraz? — domyślnie powiedział Julek.

— Proszę dok... — usłyszał nagle głos milicjanta. Ale zaraz poznał ich, zsalutował z nikłym uśmiechem. — Przepraszam, już się widzieliśmy.

— Spójrzcie, co tej milicji! — krzywił się Kostek.

— To nie bez kozery... Coś tu musiało być.

— E tam! Pilnują, by nie było spekulacji — lekceważąco odezwała się Mirka. — Dwieście pięćdziesiąt za apaszkę, ależ się cenią! — nie mogła zapomnieć przepysznej chustki.

Resztę sprawunków załatwili szybko. Julek, który dobrze znał Mrągowo, prowadził ich do szpitala powiatowego. Przy wejściu stała już spora gromadka ludzi. Wąsaty, potężny portier Wpuszczał po kilka osób.

— Wszyscy nie wejdziemy — zorientowała się Zośka. — Najwyżej troje nas puszczą. Kto zatem idzie?

— Musi iść Julek, może i Maryś jako delegat ich trójki — rzekła Mirka.

— Idź i ty także, my z Kostkiem i Edwardem zaczekamy tu na was. Będziemy spacerowali, kupimy w „Ruchu” gazety. Zabierajcie kwiaty, bo zostaną u nas i Grapsza ich nie powącha.

Leśniczy leżał w maleńkiej dwuosobowej salce. Drugie łóżko było puste. Przywitał ich rozradowanym spojrzeniem.

— Przyszliście, rybeńki? Aż do Mrągowo się tłukliście? Siadajcie kto na krześle, kto na łóżku, siadaj — mówił przyciszonym głosem.

Kwiaty i torebkę soczystych śliwek przyjął z rozrzewnieniem. Starał się nie okazywać wzruszenia, burczał niby to groźnie.

— Jak się pan czuje, panie Grapsza? Czy to bardzo poważne? — pytał Julek, z zatroskaniem patrząc na leśniczego.

— Jak nam wczoraj ten tętnik powiedział, że pan jest ranny, byliśmy pewni, że ktoś pana ze spluwy tak urządził — wpadł mu w głos zaczerwieniony z przejęcia Bończa.

— Zaraz, zaraz, rybeńku, jaki znów tętnik?

— Ten przyrodnik, co to mieszka u pana. Gadał wciąż o żuku czy chrząszczu tej nazwy, tośmy go tak przechrzcili.

— Aha, poczciwy chłopina. Poważnego szczęśliwie nic nie ma. Ale pewnie poleżę parę dni, jakieś tam żebro trzasnęło... Mało brakło, a już bym nie zipał — w siwych jego oczach zapaliły się ognie, spojrzął na drzwi separatki. — Mój kompan czuje się dobrze, przyjechała do niego rodzina, siedzą w parku szpitalnym. Możemy sobie spokojnie gwarzyć. Tak już myślałem, rybeńki, że trzeba powiedzieć wam prawdę, tylko pamiętajcie, aby poza wami nikt się o tyra nie dowiedział. Przysuńcie się bliżej.

Grapsza zmarszczył czoło, jakby zbierał myśli. Twarz jego jeszcze bardziej przychudła, nie golony zarost nadawał policzkom śniadą tonację.

— Jakeście mi powiedzieli o znalezieniu śladów wyładunku skrzyń, stuknąłem się w głowę. Przecież nie zaglądałem dotąd w tamten odcinek lasu. Bo też on do mnie należy, mało, pracują tam dwie brygady drwali. No, ale jakoś się nie składało... Zaraz drugiego dnia poszedłem tam i zaraz trafiłem na to wasze miejsce, rybeńki. Z dobre pięć kilometrów pchałem się leśną drogą, znacie ją — spojrzął porozumiewawczo na Bończę. — Tam niedaleko już wioska, zaczyna się zaraz trakt suchy, żwirowany, śladu wozu na nim nie uświadczysz. W lesie przed wioską jest obejście, kiedyś mieszkał tam garbarz, teraz jeden z miejscowych, któremu, przed dwoma laty spaliła się chałupa, dostał w zamian tę po garbarzu i jeszcze parę hektarów ziemi na dokładkę. Głupi ktoś był w powiecie, przydzielając dom i ziemię Niemcowi. Bo to nie Mazur, ale zwykły Niemiec, który, psim śwędem prześliznął się przez weryfikację. Zaraz po wojnie takie rzeczy łatwo przechodziły. Kiedyś go złapałem na kradzieży drzewa... Myślę, znajdę teraz, rozejrzę się, wody napiję, bo zgrzałem się jak nieszczęście.

— Niech pan trochę odpocznie — Julek położył swą rękę na jego dłoni.

— Nic, mówił doktor, że gadać mogę, byłem leżał spokojnie.

Odsapnął jednak małą chwilę.

— No i tak, rybeńki, zaczęło się. Patrząc, na podwórzu przy płocie jakieś mokre, na pół zgniłe deski, zrzucone na kupę. Kopnąłem jedną, drugą, pytam mimochodem, gdzie to tak moczą

drzewo. Ten tylko łypnął na mnie krzywo, coś zagulgotał, nie bardzo składnie mu wyszło. No nic, myślę, popiłem wody i pożegnałem się... Coś mi jednak strzeliło do głowy.

Bończa przysunął się bliżej do leśniczego, oczy rozwarł szeroko.

— Czy to były, czy to właśnie te...

— Zaraz, zaraz, rybeńku, po kolei — uśmiechnął się Grapsza życzliwie. — Gdy zbaczałem w las, aby dostać się do moich drwali, widziałem, jak ślepi za mną stojąc przy wrotach. Podszedłem do jednej grupy, obliczyłem, wiele festmetrów ustawili już w sagach, po gadałem z ludźmi, potem powlokłem się do następnej brygady — zachmurzył się, cień jakiś przeleciał po lego twarzy. — Co tu gadać, rybeńki, zdumiałem na stare lata, nie trzeba mi było iść do nich, ale w te pędy dyrdać do Mikołajek. Zbłądziło się, trzeba płacić.

— Ale co, co? Niech pan mówi — Bończa nie mógł usiedzieć na miejscu.

— Pozwól, niech pan Grapsza odpocznie — wtrąciła się Mirka. — Proszę — podała mu śliwkę. — W gardle panu wyschnie.

— Sam miód, dziękuję, rybeńko — ogarnął ją serdecznym wejrzeniem. — Dajcie, niech skończę, nim sąsiad przyjdzie. Porządny chłopina, ale o takich rzeczach lepiej za wiele nie mówić... Tu, wieści chodzą szybko. W tej drugiej brygadzie pracują sezonowi robotnicy, zresztą nie miejscowi, gdzieś jakoby spod Szczytna, Nieprzyjemne typy, nie znałem ich przedtem. Robotę ciągnęli dobrze, nie przerywali jej, tylko spod oka patrzyli, jak obliczam festmetry. Jeden sag był obok miejsca, gdzie podcinali świerk. Ze mnie stary leśnik, więc jeszcze spojrzałem, w którą stronę ma przechyl, idę śmiało w przeciwną do sągu. Raptem słyszę trzask, mignęło tylko, widzę, jak świerk wali prosto na mnie. Skoczyłem w bok, trochę za mało, by wyjść cało, a za dużo, aby przejechać się na drugi świat. Grzmotnęło i nic już nie wiedziałem.

— Pan przypuszcza, że to nie, był przypadek? — spytała przejęta Mirka.

— Mogło i tak być. Pewności nie ma... Ale i ten przechyl, i tak mignęło coś kątem oka, jakem widział walący się, świerk, że tych dwóch, co cięli go, napierało ramionami na pień. Głowy nie dam, ale na to mi wyglądało. Ale nic to, rybeńko, grunt, że moja stara wdową nie została — zaśmiał się lekko, potem dłuższą chwilę przyciskał ręką zraniony bok. Musiał już być solidnie zmęczony, mówił znacznie ciszej. — Nie wiem, jak długo leżałem... Otwieram oczy, widzę, jak jeden ściąga moją torbę, reszta stoi, patrzy... Nie chciałbym widzieć takich oczu drugi raz w życiu — wstrząsnął się. — Wilk tak nie patrzy... Ale słyhać trzask, warkot, to przecinką od drogi wjeżdża traktor, zwożący dłużyce, które zostały tu ścięte jeszcze przed paru miesiącami. Traktor był z przyczepą, zabrali mnie zaraz do Mikołajek, stamtąd już elegancko, karetką, trafiłem tutaj... Ot jak, rybeńki ciekawie w tym lesie, prawda? Ani człowiek wie, co go spotka i kiedy.

— To pan myśli, że... zaczął po chwili milczenia Julek.

— Nie, rybeńku, nie myślę nic. Ale powiedziałem wam to wszystko, bo wy nad zatoką mieszkacie. A tam i woda, i las, różnie może się zdarzyć. Trzeba, żebyście uważali na siebie — tu spojrzął na Kanię, Julek zrozumiał. Grapsza ostrzega ich w ten sposób...

— A ten dom, no, gdzie te deski, wie pan... - zapytał Bończa z wypiekami na pulchnej jasnej twarzyczce.

Grapsza spojrzął na drzwi i rzekł cicho, jakby z wysiłkiem.

— Nie powinienem o tym mówić. Ale wy zachowajcie to przy sobie... Zaraz jak mnie tu przywieźli, prosiłem o wezwanie komendanta milicji. W dwie godziny potem była rewizja w tej byłej garbarni.

— No i co? Wzięli tamtego? — Bończa aż podniósł się z łózka, na którym siedział.

— Nie, rybeńku... Tamci się wytłumaczyli, że te deski dlatego nasiąkły wodą, bo leżą zazwyczaj koło studni, Suszyli je i z powrotem położyli pod studnię. Milicjanci odjechali z niczym.

— A ja myślałem, że to były deski ze skrzyń od tych skarbów z jeziora — westchnął Maryś.

— Ja też tak myślałem. Dałbym głowę, że widziałem wtedy także i deski leżące koło studni. Przecież piłem z niej wodę — przypomniał sobie leśniczy.

— Ale oni mogą mścić się teraz na panu? Przecież na pewno się domyślają, że skoro przy rewizji pytano o deski, to pan musiał zawiadomić milicję — zastanowił się Julek.

— Może i tak... Wprawdzie milicjanci wyraźnie powiedzieli, że szukają skrzyń rybackich, w których przewozi się ryby, Kilkanaście takich skrzyń z towarem zginęło ostatnio z pociągu, jadącego od Rucianego na Mrągowo. Takie skrzynie również bywają przegniłe, namokną na łodziach i kutrach.

-- To jedynie może odwrócić ich uwagę od faktu, że milicja poszukuje tych skrzyń z jeziora, ale nie od pana...

— Na to już nie poradzę, rybeńku. Proszę was tylko, tajemnica o tym wszystkim. I pamiętajcie, bądźcie ostrożni w zatoce... Tak, bardzo to miłe, że państwo pamiętali o starym leśniczym. Dziękuję pięknie za wszystko, rybeńki — podniósł nagle głos i mrugnął znacząco.

Do salki wsunął się drugi chory w szpitalnym szlafroku. Cichutko minął łóżko Grapszy i stanął przy oknie.

Niedługo już zabawili wyszli odprowadzani ciepłym uśmiechem siwych oczu leśniczego. Podnieceni byli zasłyszaną opowieścią. Maryś rozmyślał w duchu, jak by tu wyjaśnić tę dziwną tajemnicę, ale nic nie przychodziło mu do głowy, Julek prowadził Mirką pod ramię; milczał, zatopiony w jakichś ponurych myślach.

— Myślałam, że tam już zostaniecie — z przekąsem przywitała ich Zośka.

— Ważne sprawy, ciekawe... Opowiemy wam później — rzekł Julek. — Nie w tym tłoku — dodał widząc zawiedziony wzrok Kostka

— My też mamy nowiny — mruknął Fajfer, potem rozejrzał się bystro dokoła. — Milicja nie bez przyczyny tak bacznie sprawdza dokumenty! Wtedy, jakżeśmy siedzieli w tej paskudnej gospodzie, ktoś rozrzucił na rynku nielegalne ulotki. Powtykano je przeważnie kobietom Mazurkom.

— Więc to tutaj pies pogrzebany, fiuu! — zagwizdał Julek. Mirka dojrzała na jego czole bielejącą bliznę, pierwszą oznakę jego zdenerwowania.

— Teraz chodźmy do Powiatowego Komitetu Kultury Fizycznej. Załatwimy tam, co się da, i pójdziemy gdzieś nad jezioro, aby opowiedzieć sobie wszystko dokładnie. Pociąg mamy dopiero po drugiej. Siedziba Rady Narodowej znajdowała się przy końcu długiej ulicy. Nie od razu dopytali się w pięknym budynku, przypominającym stylem gdański renesans, gdzie mieści się PKKF.

— Co, wpadniemy wszyscy? — zapytał Fajfer.

— No pewnie, zagadamy tego przewodniczącego, będzie musiał liczyć się z kolektywem — uśmiechnęła się Mirka usiłując wprowadzić trochę pogodnego nastroju.

Młody, przyjemny mężczyzna podniósł się na widok wkraczających dziewcząt, potem mina mu się wydłużyła, gdy zobaczył jeszcze cztery sylwetki.

— Co to, delegacja?

— Józek Miłski, żeby tak skonał! — wrzasnął nagle Edward, wysuwając się spoza pleców Kostka.

— Fafuła, daj pyska!

Padli sobie w objęcia, nie zwracając uwagi na pozostałych. Po chwili pierwszy przewodniczący zorientował się w tej mocno nieurzędowej sytuacji i spytał trochę niepewnie:

— Państwo razem?

— Razem, razem! Ale to świetnie, że cię, Józek, spotykani, i jeszcze na tym stanowisku. To szczęśliwy traf... Dawno tu tkwisz?

— Od roku. Zaraz po skończeniu budy dostałem tu skierowanie.

Ciekawa robota, ale piekielnie trudna. Nie masz pojęcia co za teren!

Zupełna nowizna, mówię ci...

—Wiemy coś o tym. Co tu zresztą dużo gadać, musisz mnie odwiedzić. Nad Jeziorem Gardyńskim. Ja tam zresztą będę w wiosce nauczycielem.

—Ha, tośmy się spotkali. Bardzo rad jestem... — spojrzął na zegarek. — Tylko, tylko...

przepraszam ciebie i państwa, ale za pół godziny mam posiedzenie z instruktorami. — Dobra, my krótko. Otóż jest taka sprawa... — Fajfer wyłuszczył projekt, z jakim przyjechali. Opowiedział o trudnościach pracy wśród młodzieży zostawionej samej sobie, o braku we wsi jakiegokolwiek organizacji, o historii z boiskiem...

— Już wiem — przerwał mu dawny kolega — wspominał mi sekretarz prezydium... Boisko będzie. Co dalej?

— Dalej chodzi o to, abyś dopomógł nam jak najszybciej założyć koło elzetesu i trochę je wyposażyć. Widzisz, dopóki jest obóz nad zatoką, to jest do końca sierpnia, moglibyśmy wiele zrobić. Koleżanka — wskazał na Zośkę — jest z AWF, dużo wie i umie, Rozkręcilibyśmy wspólnie robotę, potem już bym ja opiekował się kołem, ale wiesz sam, początki najtrudniejsze.

Przewodniczący PKKf uśmiechnął się.

-- Bardzo się cieszę. No i dziękuję za takie zajęcie się sprawą Wyrajów. Żeby każda grupa młodzieży na wakacjach podobnie postępowała, to byśmy tu wiele dobrego zrobili — zęgnął ich po chwili Miłski.

Na rynku, który zaraz potem mijali, przeredziło się już zupełnie. Zostało tylko kilkanaście babin z warzywami i owocami, kręcili się między towarem rzadcy klienci.

Pod murem przeciwległego sklepu leżała zmiętoszona kulka papieru. Kostek spojrzął i tknięty jakimś przeczuciem podniósł ją. Spojrzął.

-- Mam ulotkę, na pewno — szepnął.

—Schowaj, przeczytamy potem — rzekł Julek.

Skręcili w lewo, na starannie utrzymany bulwar. Na ławkach gęsto siedzieli chłopcy, znużeni targowym rejwachem. Julek wskazał dłonią przed siebie.

—Jezioro Czos, odnogi jego ciągną się po parę kilometrów. A ten półwysep to słynna Góra Czterech Wiatrów, piękny z niej widok.

Znaleźli ustronne miejsce nad samym brzegiem. Po kąpieli zabrali się do śniadania.

— Opowiadaj, Julek, co z Grapszą! — rzeki Kostek.

Kania powtórzył opowieść leśniczego.

— Tak, dla mnie też jasne, że komuś jesteśmy solą w oku. Ale żebym wiedział, dlaczego i komu, żebym się nawet domyślał, psiakrew! — zaklął na koniec Fajfer, aż Zośka spojrziała na niego ze zdziwieniem.

— Widzę, że się edukujesz — zauważyła uszczypliwie.

— Ech, tu nie tak trzeba kłać — westchnął.

— Potem będziecie sobie przymawiać. Teraz kolej na ciebie, Kostek — Julek z pasją zatopił zęby w świeżutkiej bulce.

— Kupowaliśmy akurat gazety w „Ruchu” Taki przyjemny starszy pan tam siedzi. Poprosiłem o pisma olsztyńskie. Dając, powiedział, że nic w nich nie ma ciekawego, że różne rzeczy się w świecie dzieją, a tu pustka. Od słowa do słowa, zgadaliśmy się, że dzisiaj rano grupka jakichś małych chłopaków rozdała babom sporo, nielegalnych ulotek.

— Otóż to. Podobno złapano paru, ale nikogo nie umieli wskazać.

Julek poruszył się nerwowo.

— Czytaj, Kostek, czego tam chcą? — wskazał na zmiętoszony świstek papieru.

Ulotka nawoływała wyraźnie, aby Mazurzy i Warmiacy nie dawali posłuchu żadnym polskim apelom, nazywała autora wezwania zdrajcą narodu niemieckiego. Zakazywała jakiegokolwiek nakłaniania znajdujących się w Niemczech członków rodzin do powrotu jednocześnie groziła karami tym, którzy, jak dosłownie brzmiało te w świstku, dadzą się złapać na lep polskiej propagandy. Na końcu była zapowiedź rychłego powrotu Niemców i walnej rozprawy z Polakami.

— Niedoczekanie! — mruknął Julek. — To się im tylko, marzy.

— Dranie! — Kostek z pasją zmiął ulotkę.

W milczeniu patrzyli, jak drobniutkie strzępki uleciały z wiatrem i pchane falą rozbiegały się na różne strony, nasiąkały wodą i powoli tonęły.

— Tyle to wszystko i warte! — odezwała się Zośka.

— Oczywiście! Ale z drugiej strony są tacy, co, dają się wziąć na lep tego świństwa, inni znów boją się grózb. I dlatego tak to drażni człowieka — jakby użalał się Julek. — To nie w kraju drukowane. Papier taki sam, jak na druczkach, które puszczają do nas balonikami. Widziałem takie ulotki u Grapszy.

— No i co, myślisz, że te balony wiele nam zrobią złego? Guzik, nikt tego nie będzie czytał, a tym bardziej brał sobie do serca.

Kania siedział jakiś czas z opuszczoną głową. Potem podniósł ją, zobaczyli uśmiech na jego miłej twarzy, otoczonej jasnymi włosami.

— Macie rację — powiedział. — Nie trzeba tu tragizować, ale spokojnie, ze świadomością tego, co się robi i dlaczego się robi, walczyć ze złem.

— Brawo, takiego cię lubię! — zawołała entuzjastycznie Mirka.

Gromki śmiech poleciał przez Jezioro Czos aż na Górę Czterech Wiatrów.

21. Pocałunki

W południe tego samego dnia, kiedy większa część załogi „Gawrona” przeżywała emocje w

Mrągowie, Pietrek z Gabrysiem wracali z połowu rozleniwieni słońcem, zmęczeni i niewyspani po wczorajszej nocnej rodaków rozmowie. W siatce drgały dogorywające niewielkie okonie, kilka leszczy i płoci. Gabryś patrząc na nie, westchnął:

—Biedna kolacja... Co się stało z tymi rybami?

Zobowiązali się przygotować solidny posiłek na powrót towarzyszy z Mrągowa. Na to był wprawdzie jeszcze czas, dopiero co minęło południe.

—Kicham na wszystko, idę spać — ziewnął szeroko Gabryś, ciągnąc po ziemi koc aż pod cień potężnego dębu w lewym rogu polany. Umościł się wygodnie i zaraz zachrapał Pietrek przez chwilę spoglądał na jego chudą wyciągniętą twarz, pokrytą dużymi piegami, na nos wydatny, wysunięty do przodu, i potężną skołtunioną czuprynę, która nie widziała fryzjera od dobrych paru miesięcy, prześliznął się spojrzeniem po silnych bicepsach towarzysza, zawsze wzbudzających w nim respekt. Przypomniał sobie bójkę nad jeziorem, skrzywił się na niemiłe wspomnienie.

Zastanawiał się przez chwilę, co robić, sen jakoś go odszedł, Podreptał między rozrosłe krzaki maliniaka, gdzie można jeszcze było znaleźć opóźnione w rozwoju jagody. Ostre sterczące kolce 'zaczepiały o szorty, boleśnie raniły uda i łydki. Liście maliniaka przywiedły nasycone słońcem, złaknione jak cała przyroda najmniejszego chociażby deszczu. Odruchowo spojrzął na niebo — lśniło jasnością, bez śladu chmurki. Westchnął: już i jemu upały dawały się nazbyt we znaki.

Podniósł z ziemi pręt leszczyny, uderzał nim po gałęziach mijanych krzaków. Przystawał, rozglądał się po drzewach jak człowiek niezdecydowany. A przecież wiedział, dokąd idzie, co go ciągnie w tym kierunku z tak nieprzepartą siłą. Od pamiętnej wyprawy po cudze ryby, zakończonej niespodziewanym starciem-z Gabrysiem, nie widział się z panią Mery. Nie miał odwagi pokazać się jej w tym stanie. Co dnia przeglądał się długo w lusterku; ślady bijatyki zmieniały wciąż barwę, ale nie chciały ustąpić.

Postanowił, że podkradnie się krzakami pod obóz, aby chociaż, z daleka spojrzeć na piękną kobietę. Zadowolony z takiej decyzji energiczniej przedzierał się już przez krzewy.

Po paru minutach marszu krętą ścieżyną zobaczył prześwity pomiędzy zwartym dotąd listowiem, świadczące, że jest obok polanki zajętej przez doktorostwo. Przycupnął przy wielkim krzaku olszyn; ostrożnie rozchylił gałęzie.

Samochodu nie było. Pietrek odetchnął z ulgą, a jednocześnie żal ścisnął mu serce. Mógłby teraz przyjemnie spędzić czas z uroczą, Mery, a tymczasem musi kryć się ze swoją posiniaczoną twarzą. Westchnął głęboko.

Z namiotu dochodziła przytłumiona muzyka. Doktorowa musiał być w pobliżu. Nie mógł jednak jej nigdzie odnaleźć. Wysunął się zza osłony krzewu, myszując oczyma po polance.

— O, dzień dobry, niedobry chłopcze! — zabrzmiał tuż przy nim miękki altowy głos. Drgnął spłoszony, nie wiedział: uciekać czy pozostać na miejscu. Zresztą na decyzję było za późno, z krzewów wynurzyła się pani Mery w swym pięknym, ciemnowiśniowym kostiumie w złociste cętki. Podniósł się jak złapany uczniak. Szła do niego, uśmiechając się dziwnie, prowokująco. Nie umiał znaleźć słów.

Stali tuż obok siebie, niebezpiecznie blisko. Pietrek wyraźnie czuł żar bijący od nagrzanego słońcem ciała doktorowej. Nagle przypomniał sobie o swej pokiereszowanej twarzy, zmieszał się, szepnął:

— Proszę na mnie nie patrzeć... Ja dlatego właśnie nie przychodziłem.

Ujęła go za rękę, czuł drobne palce oplatające przegub dłoni.

Zaśmiała się lekko, ciepło.

—Dlatego? Co za głuptas. Przecież takie rzeczy zawsze się zdarzają mężczyznom szukającym wielkiej przygody. Chodźmy pod namiot, posłuchamy muzyki. Znów jestem sama, mąż wyjechał do apteki w Mikołajkach po lekarstwa, ma jeszcze odwiedzić jakieś dziecko. Podobno tyfus.

Poczuł się naraz niewypowiedzianie szczęśliwy, czynił sobie teraz w duchu wyrzuty z powodu swoich niewczesnych obiekcji. Przecież ona wcale nie zwracała na to uwagi! Tyle dni zmarnowanych! Aż sobie westchnął.

— Cóż to dręczy miłego chłopaka? — uśmiechnęła się rozścielając koc przed namiotem. Zniknęła w nim na chwilę, przekreśliła gałkę, muzyka niosła się teraz mocniej.

Częstowała papierosem Biorąc go, ujął zarazem jej wypielegnowaną dłoń i przyciągnął do ust, całując długo, przeciągle. Dłoń ta pachniała subtelnymi perfumami. Nie wypuszczając gładkich palców, podniósł głowę, spojrzął w oczy pani Mery. Zaśmiała się dziwnie, przechyliła się i przyciągając głowę chłopca do siebie, ucałowała go w usta. Pocałunek był krótki, ale w Pietrku zapaliło się wszystko, zawirował las i jezioro, i niebo. Teraz on ją przygarnął do siebie. Nie bronila się. Nigdy się jeszcze tak nie całował, jej pocałunki były zupełnie inne. Zezwoliła na uścisk, zaraz jednak odsunęła się łagodnie, stanowczo. — Zapalimy papierosa, dobrze? — odetchnęła głęboko.

Głos jej był słodki, matowy, ale drgało w nim zarazem coś takiego, co sprawiło, że war, jakim kipiał, opadł nagle. Spokojnie podał jej ognia, sam zapalił. Póллеżeli na miękkim pledzie, dym papierosów wąskimi smużkami unosił się do góry. Cicho było w powietrzu, duszno, upojnie.

— Mery, jak ja za panią tęskniłem — wyrwało mu się szczerze.

— Więc czemu się brzydki chłopiec nie pokazywał? Trzeba umieć ocenić przyjaciół, którzy na pewno nie zwrócą uwagi na takie drobnostki, jak sińce po przyjacielskiej bójce — nadała

się.

— Skąd pani o tym wie? — zdumiał się,

— Nic nie wiem, domyślam się. Skąd by inaczej wzięło się podbite oko, nabrzmiały policzek, rozcięta brew? — zaśmiała się.

Poddawał się teraz całkowicie jej urokowi Patrzył i słuchał.

— Cicho tutaj, spokojnie... Wspaniale wypoczywam. Przyzwyczyłam się nawet do tego, że jestem przeważnie samotna, bo mąż albo leczy chorych, albo ugania za rybami we dnie czy w noc.

Takiej pogody nie pamiętam od dawna. Chciałabym spędzić tu dłuższy czas, ale niestety mąż musi wracać do pracy.

— Odjeżdża pani, Mery? — spytał zaniepokojony.

— No, nie tak zaraz — zaśmiała się. — Mąż ma w tym roku sześć tygodni urlopu. Będziemy tu do połowy sierpnia, nie martw się, mój bohaterze...

— Czemu pani kpi ze mnie?

— Ależ skąd! Raz, bohater, bo umiła mi czas nad pięknym jeziorem; dwa, bo przychodzi ze śladami zwycięskich walk na twarzy; trzy, bo roją mu się skarby na dnie jeziora, tajemnicze wyprawy, wielkie dzieła.

. Nachmurzył się.

— Ze skarbów nici. Już je wybrali inni, sprytniejsi od nas.

— Oooo! Nic a tym nie wiem.

Opowiedział jej tajemniczą historię o ekipie poławiaczy skarbów, o nurku opuszczającym się w skafandrze na dno jeziora i w ogóle o swoich i kolegów podejrzeniach. Wspomniał też o wykryciu przez niego i Czartów śladów wyładunku, o pogoni za tajemniczą postacią w lesie między Krutynią a Malinówkiem.

—Najgorzej, że Grapsza miał wypadek i jest teraz w szpitalu —zakończył.

— Co? Leśniczy chory? — zainteresowała się pani Mery.

—Podobno przygniotło go na wyrębie obalające się drzewo. Nasi pojechali odwiedzić go dzisiaj... Wydaje się nam, że to jednak musiało być coś innego. Przecież do Grapszy niedawno strzelano w lesie — przejął się od nowa tamtymi sprawami, mówił w podnieceniu, z wypiekami na twarzy.

— Poczciwy jest ten leśniczy, zawsze tak przyjaźnie odnosił się do nas. Powiem mężowi, niech go odwiedzi w szpitalu, może jakaś pomoc będzie potrzebna — spojrzała na niego spod długich rzęs.

Gładziła go po dużej, pokaleczonej, szorstkiej dłoni, a Pietrkowi jakby miód spływał do serca.

Spoglądał na jej urzekające oczy, słuchał cichego, niepokojąco drażniącego śmiechu, patrzył aa nią z zachwytem, tak była zgrabna i zwinna. Potem przechylił się bliżej nurzał twarz w jasnych pachnących włosach, całował je, a ona uśmiechała się tkliwie.

Pietrek nie czuł mijającego czasu, zatrzymał się on jakby dla niego, Obiad zjadł razem z rozkoszną gospodynią. Cienie stały się dłuższe, przesłoniły teren, na którym rozłożyli koc. Wtedy przypomniał sobie o Gabrysiu i o kolacji, którą mieli przygotować dla reszty obozowiczów. Doktor też mógł powrócić lada chwila. Zauważył, że Mery nasłuchuje coraz uważniej, czy od leśnej drogi nie dobiegnie warkot motoru.

— Muszę wracać. Pełnię dzisiaj obowiązki kucharza.

— Szkoda, tak mi czas szybko minął — westchnęła, a Pietrek aż urósł po tych słowach. — Zaraz, mój miły chłopcze, mam pomysł! Zaprosimy was wszystkich na kolację. Mąż będzie bardzo rad. Usiądziesz przy mnie — tchnęła mu kusząco w ucho.

Wbrew nadziejom Pietrka bez entuzjazmu przyjęli w pierwszej chwili zaprosiny doktorostwa. Potem jednak Julek odmienił zdanie.

— Właściwie to może i dobrze, że się do nich zbliżymy. Porządni ludzie, poza tym doktor może się przydać w razie czego... — zamilkł nagle.

— A cóż może się stać?

— E, nic takiego, tak mi się tylko wyrwało — odburknął niezadowolony.

— Ojej, ależ ja zaprosiłam Edka na kolację! I co teraz zrobimy? — zatroskała się nagle Zośka i gniewnie spojrzała na brata, jakby to on był winien, że komplikuje się jej spotkanie z sympatycznym nauczycielem.

— Co? Zabierzemy go z sobą, przeprosimy doktorostwo i koniec. Na pewno nie zrobi im to różnicy; siedem czy osiem osób

— I tak spustoszymy spiżarnię do szczytu — zaśmiał się Bończa.

— Ech, nie tak łatwo — wyrwał się zorientowany Pietrek.

— On już doskonale zna wszystkie tajemnice Ginterów — zaśmiewali się.

i wkrótce nadszedł Fajfer. Właśnie tarcza słoneczna schowała się za wysokie korony olbrzymów leśnych. Ruszyli wesołą gromadką.

Doktorostwo powitali ich wylewnie. Szczególnie miły był pan Ginter. Śmieszna jego bródka drgała przyjaźnie, gdy wyrażał radość z ich zgody na wspólne spędzenie wieczoru. Pietrek promieniał z zachwytem, trochę niebacznie zdradzał się swymi spojrzeniami rzucanymi na panią Mery, ale wszyscy udawali, że tego nie widzą, doktor zaś zbyt zaambarasowany był rolą gospodarza, żeby zauważyć tę szczególną komitywę swojej małżonki z posiniaczonym chłopakiem.

Chłopcy wodzili za panią Mery zaciekawionym spojrzeniem. W długich spodniach sportowych, w fantazyjnie uszytej bluzeczce z której wyłaniały się nagie, piękne ramiona, wyglądała urzekająco. Nawet Fajfer kilka razy zerkał na gospodynię, co zaraz podchwyciła Zośka i humor jej zgasł w jednej chwili.

-- Prosimy, u. nas nie tak wygodniej ale przecież poradzimy — trzęsąc swą rudawą bródką wskazywał doktor na rozesłane nad brzegiem koce.

Julek z ciekawością spoglądał na stojącego „opelka” połyskującego świeżym, niebieskawym lakierem. Podeszedł bliżej. Samochód był doskonale utrzymany.. Julek pomyślał, że doktor Ginter mu mieć sporo pieniędzy, będąc mechanikiem wiedział bowiem najlepiej, jakie koszty pociąga dzisiaj za sobą konserwacja wozu. Poglaskał dłonią lśniąca maskę? zajrzał do wnętrza obitego bordowym sukniem, dodatkowo przykrytego jeszcze kocami.

Szybkim nerwowym krokiem nadszedł doktor Ginter, trzęsąc obfitym brzuszkiem.

— Zapatrzył się pan na mego grata?

— Jestem mechanikiem z zawodu, dlatego tak mnie ciekawią te sprawy. Parałem się samochodami przez kilka lat — uprzejmi, wyjaśnił Julek. — Pozwoli pan obejrzeć motor?

Zdumiał się nagłą zmianą wyrazu twarzy doktora, innym jakimś piskliwie skrzeczącym tonem głosu:

—Daruje pan, ale ściśle przestrzegam zasady, że samochodu nie powinny dotykać obce ręce.

— Ja przecież nie chcę siadać za kierownicą.

— Proszę wybaczyć, każdy z nas ma jakieś koniki, ja właśnie na punkcie samochodu.

— Przepraszam — bąknął zdumiony Julek odchodząc od „opelka”. Obejrzał się i zobaczył, że doktor Ginter sprawdza starannie, czy wóz jest zamknięty, a potem z kolei zarzuca na motor jakąś plandekę.

Rzeczywiście, wśród samochodziarzy jest sporo bzików — przypomniał sobie różnych dziwaków wśród znajomych kierowców.

Doktorowa, rozkładając jedzenie na jednym z koców, bawiła gości nieustanną rozmową. Obok, na dwóch maszynkach spirytusowych, gotowały się jakieś potrawy.

— Przed półgodziną mieliśmy paradną przygodę. Zastanawialiśmy się właśnie z mężem, w którym miejscu rozesłać koce, aby było nam wszystkim możliwie wygodnie, gdy raptem zza tych drzew — pokazała ręką grupę grabów — wypadł dziwaczny jegomość, wysoki, w okularach na pół twarzy, z kijem w rękę, w długiej wiatrówce. Pokrzykując dziko, pędził w naszą stronę. Zamarliśmy w pierwszej chwili, tymczasem dziwak ten wpadł na namiot, wrywając dwa „śledzie” podtrzymujące linki, powywracał wszystko, aż radio zamilkło, a potem zakrzyknął takim głosem, jakby spotkało go największe nieszczęście: „Znów mi uciekł!”

Doktor Ginter przysiadł się do Julka. Gospodarz nasłuchiwał Opowieści żony, potem uśmiechnął się do sąsiada.

— Rzeczywiście dziwna przygoda.

— Tak — podjęła pani Mery — gdy mąż zapytał go ostro, co to wszystko ma znaczyć, tamten złapał się dla odmiany za głowę, krzycząc dziwacznie, że chodziło mu o jakiegoś piewika górskiego, spotykanego podobno wyłącznie w Puszczy Białowieskiej, że o niezmierną rzadkość, że cały ten piewik to właściwie mieszkaniec gorących krajów, a śpiewa tylko w jasnym słońcu i jeszcze, i jeszcze... Przyznaję, że nic nie rozumiałam. Potem jegomość powiedział „przepraszam” i zniknął tak niespodziewanie, jak się zjawił, wymachując siatką na motyle.

— Bardzo to miłe, ale szkód mi narobił, wpadając do namiotu - dodał doktor.

— To na pewno ten przyrodnik od Grapszy — śmiał się Gabryś trzęsąc rozrośniętą czupryną.

Opowiedzieli o gościu leśniczego, zapalonym przyrodniku, zbierającym różne okazy do swej kolekcji.

Uśmiechnęli się na widok butelek wina, które doktor postawił na środku improwizowanego stołu.

— Prawdziwa ucztą, panie doktorze — uśmiechnęła się Mirka.

— Tacy mili goście, więc czym chata bogata — rozłożył ręce, zatrząsł swą bródką, poprawił zarazem przyciasne szorty, wciąż osuwające się z brzuszka.

Nastrój stawał się coraz miłszy. Wino czyniło swoje, nie mówiąc o wspaniałej kolacji, jakiej nie jadł już dawno żaden z mieszkańców zatoki. Kostek pomyślał, że na dzisiejszy wieczór doktorostwo musieli poświęcić chyba wszystkie posiadane zapasy, goście bowiem bez skrupowania pałaszowali wszystko z młodzieńczym apetytem. — Jeszcze trochę wina zostało — jakby ze smutkiem zajrzał doktor do flaszki pod światło ogniska. — Zachowamy, je do głównej potrawy dzisiejszego wieczoru.

— Już nie poradzę... — westchnął Bończa.

— Ech, smażonego węgorza to chyba pan jeszcze pomieści - doktor zdjął przykrywkę z polowej patelni. Rozszedł się przyjemny zapach.

— Własnego połowu? — spytał Julek, z uznaniem spogląda jąc na grubość porcji. — Musiała być ładna sztuka.

— Wczorajszej nocy chwycił się na rosówkę. Miałem sporo kłopotu, zanim przyholowałem go do kajaka! Piekielnie silna ryba.

— Więc jednak są wyniki! Ciągle zamierzam pójść w pana ślady, ale nie wiem, gdzie i kiedy czas umyka.

Doktor zmarszczył się niechętnie..

— Albo tutaj węgorzy jest mało, albo mają dużo innego żeru. Ubiegłego roku nad Czarną Hańczą, przy rozlewisku rzeki, bywało, że pięć i sześć sztuk wyciągałem przez noc... Ten tutaj to owoc wielu straconych godzin.

— Ja wolę jednak sypiać o tej porze — szczerze powiedział Fajfer.

— Dlatego też nie namawiam. Co innego taki dziwak jak ja. Zresztą moja praktyka zawodowa... We dnie mało mam czasu. Choćby dzisiaj: wykryłem dwa wypadki tyfusu u dzieci. Trzeba było zaalarmować szpital i dopomóc w przewiezieniu małych pacjentów.

— Tylko że urlop staje się przez to niepełny — zauważył Kostek.

— Nie powiem, nie powiem. To inna sprawa. Panowie przecież starają się zrobić coś dla Wyrajów, to zabawę, to znów boisko. Każdy ma swoje zajęcie społeczne, każdy chce dopomóc ludowej ojczyźnie, czym tylko może.

Spojrzeni, na doktora z uznaniem.

— Tym razem my zrewanżujemy się kawą — uśmiechnęła się pani Mery,

Wspaniały aromat rozszedł się szeroko. Zośka, która przepadała za dobrą mokką, uśmiechnęła się wdzięcznie. Mogła to uczynić bez trudu, bo Edek przestał już interesować się gospodynią i ciągle przechylał się ku Godyckiej.

Ogień trzaskał wesoło, rozpraszając czerń nocy.

— Niedługo będzie nów — szepnął ktoś.

— Tak, pełni już tutaj nie doczekamy. A szkoda, aż się nie chce wracać do Gdańska z tak uroczego zakątka — doktor trzymał w dłoni swą bródkę, tarmosił ją, jakby czymś mocno zaaferowany.

— Przepraszam,, jakże się zaczyna ta piosenka mazurska, którą państwo tak często śpiewacie?— spytał wreszcie.

— Zielona ruta — przypomniała Mirka.

— Otóż to, otóż to. Bardzo mi się podoba, bardzo. A gdybyście ją państwo zaśpiewali, można prosić?

Zagrzmieni mocnymi głosami. Pieśń ta stała się ich obozowym hymnem, nie było niemal dnia, aby jej słowa nie niosły się nad zatoką. Ciepły, drgający swój głos dołączyła także pani Mery. Dłoń jej dyskretnie odszukała rękę Pietrka, uścisnęła ją mocno.

Śpiewali jeszcze jakiś czas. Doktorostwo umilkli, Julek zauważył, że gospodarz dyskretnie zerknął na zegarek, uznał więc, że czas już wracać do siebie. Skinął na Mirkę, podnieśli się, za nimi ruszyli się pozostali, dziękując za miłą ucztę i zapraszając nad zatokę.

— Przyjdziemy na pewno. Bardzo jesteśmy radzi z tak miłego sąsiedztwa — uśmiechała się pani Mery, a doktor potrząsał rudą bródką. Potem spojrział na ciemną wodę jeziora i rzekł jakby

z lekką przekpinką z samego siebie:

— A ja to chyba znów się wybiorę na moje węgorki...

— Drogi, a może dzisiaj już nie — pani Mery złożyła buzią w ciup,

— Zmęczyłem się dzisiaj, odpocznę najlepiej w ten sposób — odpowiedział, obejmując ją w pół ramieniem, co Pietrek przywitał cichym zgrzytnięciem zębów. Słyszając to Zośka parsknęła niepowstrzymanym śmiechem.

Nad zatoką powitał ich rozradowany Krut. Mirka schyliła się nad ulubieńcem.

— Ach, ty biedaku! My sobie popijamy kawę i wino, a ty stróżujesz samotnie. Czekać, dam ci kawałek kiełbasy — tarosiła obfite kudły tworzące charakterystyczną obrozę na szyi Kruta.

— Rozpalamy ognisko? — pytała Zośka.

— Po co? Pora spać. Jutro czeka nas praca przy boisku.

Nie minęła godzina, gdy do pomostu, gdzie przysiedli Mirka wraz z Julkiem, dobiegły z namiotów oddechy obozowiczów. Zośka też już wróciła z przechadzki z Edkiem, który podreptał do Wyrajów. Krut stał nad jeziorem, przeciągał się, potem długo chleptał wodę po wędzonej kiełbasie ofiarowanej mu przez Mirkę.

— Ciekawa para, ci Ginterowie — rzekła Mirka cichym głosem.

— On mi się bardziej podoba, szczególnie jego podejście do chorych. Żeby wszyscy lekarze byli tacy.

— Uczestowali nas wspaniale. Nawet wino...

— Nie lubię wytrawnych win. Tylko trochę wypilem, resztę wylewałem nieznacznie.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Wiesz, z ciebie to żaden smakosz. Właśnie wytrawne wina uchodzą za najlepsze. — I przechylając się, szepnęła mu w ucho. — Dobraliśmy się, bo ja też lubię tylko słodkie. I też wylewałam.

Długo się zaśmiewali serdecznie. Julek ogarnął dziewczynę ramieniem. Przytuliła się do niego mocno i ufnie. Trwali tak w milczeniu, wreszcie Mirka szepnęła.

— Bardzo lubię, jak się śmiejesz bez troski.

Na chwilę zapanowała cisza. Nagle Julek przechylił się, ujął złotą głowę dziewczyny w dłonie i zaczął całować gorąco włosy, policzki, czoło, oczy, wreszcie przywarł do pełnych, wilgotnych oczekiwaniem warg. Objęła go mocno ramionami za szyję, zwarli się, w tym uścisku i zapomnieli zupełnie.

— Julek — szepnęła.

-- Mira — wionął samym tylko oddechem i znów ją całował, jak mógł najsilniej.

Tchu im w końcu zabrakło, odsunęli się od siebie. Czuli uśmiechy na swoich twarzach nie

mogąc się .dobrze dojrzeć w ciemności.

W powietrzu stała cisza. Nie było najmniejszego podmuchu. Z dala od puszczy niosły się stłumione nocne pogłosy, na wodzie natomiast jakby wszystko wymarło. Julek wskazał Mirce jasny, migocący ogień naprzeciw przystani doktorostwa.

Znów te węgorki, nie miałbym takiej cierpliwości — uśmiechnął się.

— A ona, bojąc się ciemności, podsyca dwa ogniska. Miłe, ale dziwaczne małżeństwo.. Bo ja wiem, może zresztą każdy z nas jest w oczach innych dziwakiem? Słyszysz? — szepnęła Mirka. — Jaki dziwny szum. Ptak jakiś czy samochód gdzieś daleko na szosie.

— Nie, to jakby z góry. Pewnie samolot, tędy wiedzie jakaś linia lotnicza, bodaj do Rygi... — wsłuchiwał się w daleki, jednostajny warkot.

— Przyjemny musi być lot nocą, wyrzy się przez okienko, gwiazdy dokoła, ziemia uśpiona, czasem tylko żarzy się światłami jak las robaczkami świętojańskimi. Znak; że płynie się wtedy nad miastem — szepnęła.

— Nie latałem jeszcze, a bardzo bym pragnął. Człowiek musi wtedy czuć się dumny, że opanował powietrze...

— Jutro za powód do chluby będą ludzie uważać coś daleko śmielszego: rakiety... Słyszysz, jakby był bliżej?

— W podobnej ciszy głos motoru niesie się bardzo daleko. Może przeleci nad nami, zobaczymy rozpoznawcze światełka — wypatrywał samolotu na rozgwieżdżonym niebie.

Jednostajny warkot nabrzmiewał coraz bardziej, przybierał na sile. Zaciekawieni, stanęli na pomoście z głowami uniesionymi do góry.

— Leci od strony Olsztyna albo raczej od morza.

— Nie wiem, czy to się da tak dokładnie określić.

— Julek, on musi być zupełnie nisko i niedaleko od nas. Tak warczy...

— Rzeczywiście — mruknął. — Tylko czemu nie widać świateł rozpoznawczych?

— Zupełnie jakby krążył gdzieś bezpośrednio nad nami. Oj, już mnie szyja boli od wypatrywania.

Słuchali. Warkot samolotu przybliżał się, to znów nieco oddalał. Na pomost przyczłapał Krut, nasłuchiwał. Mirka czule dotknęła wilgotnego pyska.

— Ki diabeł! Przecież jest tuż nad nami, bardzo blisko -- denerwował się Julek. — Czemu bez świateł? Ćwiczenia wojskowe czy co?

— Ja myślę, że on leci nad lasem i korony drzew przesłaniają nam widok — zastanowiła się Mirka.

Julek odetchnął.

— Masz rację. Bo mnie już dziwaczne myśli chodziły po głowie.

Teraz się oddała, Cichnie...

Obrócił się ku dziewczynie, objął ją mocno i ucałował. Krut spoglądał, na nich i aprobująco merdał ogonem.

22. Budujemy boisko

Bończa z Jaroszykiem majstrowali coś w ukryciu przez popołudnie piątkowe i całą sobotę, za nic nią chcąc zdradzić swej tajemnicy, Dopiero gdy w niedzielę cała brygada ruszyła do Wyrajów, chłopcy pobiegli do krzewów i wyciągnęli stamtąd olbrzymią deskę z wymalowanym na niej napisem: Zatoka Żarłocznego Szczupaka Pod literami szczyrzyła zęby potężna głowa żarłacza złowionego przez Julka, wyschnięta już i spreparowana.

— Świetnie! — klasnęła w ręce Mirka. — To mi się podoba.

Z humorem, dowcipnie Brawo, Czarty!

Droga na boisko prowadziła niemal, przez całą wioskę. Maryś niósł na przedzie oryginalny transparent, za nim kroczyła pozostała piątka w szortach i sportowych koszulkach. Pochód zamykał Julek, poważnie człapiący obok wozu załadowanego suchymi żerdziami.

Choć była wczesna godzina ranna, na łące za domem sołtysa roiło się od młodzieży, dochodził stamtąd nieustanny gwar, szczękaniem narzędzi, przyśpiewki.

— Wiara, śpiewajmy! — obrócił się Maryś, aż szczupak zakołysał potężną głową.

Zielona ruta, modry ksiat,

wendruj, dziewecko, ze mno w świat.

Da dana da, da dana da,

wendruj, dziewecko, ze mno. w świat...

Fajfer wybiegł naprzeciw w samych porciętach, zgrzany, uśmiechnięty.

— Mówię wam,, nadzwyczajnie, w głowie mi nie powstało, że tyle przygotowują, Drzewa starczy na trzy płoty, a nie na jeden. Nawet część ciesielki zrobili wczoraj po podwórkach i domach. Z tego Wittlego będzie pociecha! — wołał rozradowany. — Ty, Julek, masz ministerialną głowę.

— Świetnie, nadzwyczajnie — powtarzał Fajfer, krocząc na boisko wraz z obozowiczami. — Widzicie wymierzone wszystko, powbijane kołki, pracują, aż miło. Jeden rów już zasypany.

— Tośmy się mocno spóźnili. — Kostek spojrzął na zegarek. — Siódma! O której oni zaczęli?

— Ja tu byłem po piątej. Mierzyli teren. Pegeer przymaszerował przed półgodziną.

Buchalterka Halina z daleka kiwała dłonią do Kostka, wymownie pokazując przy tym na słońce.

Leży but kiele wrót, a do wsi cholewka,

O nic nie dbam, kiedy mam przy sobie Pietrka.

Pietrka aż zatkało, gdy usłyszał tę śpiewkę. Spojrzał, wyszukał wzrokiem Ernę o krzywych nogach. Stała rozkraczona przy rowie, z łopata w dłoniach. Śmiała się na całe gardło.

Julek z fantazją podjechał pod linię wytyczoną kołkami. Zrzucali na ziemię wyschłe drągowiny. Z drugiego krańca placu szedł do nich Michał Wittle.

— Cześć, Michał! — Julek z daleka już wyciągnął do niego rękę.

Wittle uśmiechnął się przyjaźnie, mocno oddał uścisk. — Kiedyście to wszystko zdążyli zrobić?

— To jeszcze nie wszystko. Zobaczysz. Dziś powinniśmy skończyć. Razem z wami jest prawie pięćdziesięciu ludzi... a robimy na akord! — zaśmiał się. — Żerdzie przywieźliście? Dobra, ale więcej już nie potrzeba. Chyba, chyba... — zastanawiał się. — Widzisz — nachylił się poufnie — my rozszerzamy, wasz plan. Samo boisko to mało! Mamy zamiar urządzić także basen pływacki, wygodny pomost i przystań dla kajaków lub łodzi. Tam gdzie ratowałeś mojego brata. Więc może tam zawieźć resztę żerdzi od leśniczego?...

— Skąd wiesz, że to od Grapszy? — Julek patrzył na niego rozradowanymi oczyma.

— Przecie nie kradlibyście z lasu. A do tego wyschnięte — kopnął nogą najbliższą drągowinę. — My też zadbaliliśmy-o drzewo. I suche, i mokre — przy ostatnim słowie mrugnął znacząco. — Co powiesz na pomysł z basenem?

— Świetny. Widzisz, będziecie mieli taki ośrodek sportowy, jak mało która wioska. Ja zaś powiem ci w tajemnicy, że lada dzień zatwierdzą wam założenie koła i dostaniecie przydział ubrania i sprzętu. A tak wzdragając się przed podpisaniem wniosku.

— U nas starzy ludzie odradzają podpisów. Już nieraz pokutowali za takie sprawy.

— Nie zapominaj, że to było przy hitlerowcach, a nie w Polsce — zachnął się Julek

Oczy Wittlego zamigotały dziwnie, prędko nakrył je powiekami, uniósł ręce przyglądając czuprynę, potem rzekł spokojnie, zimny ni już tonem:

— Innym razem o tym pogadamy — spojrzał na grupę z zatoki — Ci dwaj — wskazał na Gabrysia i Bończę — niech wożą żerdzie nad wodę. Reszta do rowów. Trzeba je zasypać. Potem będziemy wyznaczać linię i wyrównywać grunt, żeby do obiadu było gotów. Wtedy pójdzie ogrodzenie i bramki — patrzył na drogę. Kania poszedł za jego wzrokiem.

Stękając z wysiłku dwie grupy niosły gotowe tarcze do koszykówki. Nawet, żelazne kosze wygięte ściśle według wymiarów wystawał, ze zbitych desek. Wittle uśmiechnął się triumfująco.

— Jak boisko, to boisko, no, nie? — zaczął spojrzeć na Julka.

— Daj rękę, morowy chłop jesteś — tyle tylko potrafił powiedzieć.

Zaraz też zagonił swą grupę do pracy. Czarty trochę niechętnie odjechały po żerdzie, zaraz jednak humory ich poprawiły się, gdy o podwiezienie poprosiła ładna dziewczyna w kolorowej chusteczce na głowie. Cmoknęli, wypoczęty koń pognął klusem.

Rowy były głębokie, przecinały boisko w poprzek i na ukos. Dziwili się, że sołtys nie żałował pracy swojej i innych, w. dodatku pracy nie przynoszącej żadnego pożytku. Zerkali w okna stojącego opodal domu, ale były przesłonięte firankami, nikt też nie pojawił się w ogródku czy na podwórzu.

Pietrek stanął do pracy pomiędzy Erną a drugą jakąś dziewczyną, jak się okazało, nie mniej rezolutną od swojej towarzyszki. Zamierzał trochę pobaraszkować, tym bardziej że przypomniały mu się tańce i pocałunki Erny na dożynkach, ale się mocno przeliczył, Erna bowiem zaproponowała Pietrkowi współzawodnictwo: kto zasypie większy odcinek rowu w ciągu godziny. Zaśmiał się, z uczuciem wyższości wyraził zgodę.

Po paru minutach pojął jednak, że sprawa nie jest wcale tak prosta, po kwadransie stracił całkiem, humor. Zlany potem, pracował jak maszyna, żadną miarą nie mógł jednak wyprzedzić dziewcząt. Łopaty śmigły w ich dłoniach, silnie rozbijały zeskalaną od upałów warstwę, umiejętnie] zgarniały bryły i zsypywały je-bezpośrednio do rowu.. Pietrek zacisnął zęby, starał się nie słyszeć złośliwych prześmiejów dziewcząt, Dłonie go bolały, czuł, jak pod nie dość gładkim styliskiem obciera mu się skóra. Zrzucił koszulę, jeszcze zapalczywiej szufłował ziemię. W pewnej chwili dojrzał ciekawe spojrzenie Erny. Oczy. miała naprawdę, ładne. Uśmiechnął się do 'niej i w tej chwili cała jego złość przeszła.

— Aleście mnie wrobiły, resztę sił wydycham.

Mrugnęła filuternie, jakby obiecując nagrodę za wytrwałość.

Wittle wykazywał niecodzienne zdolności organizacyjne. Dla wszystkich zabrakło szpadli i łopat. Tych kierował do cięcia żerdzi i zaciosywania słupków do ogrodzenia. Inni znowu korowali dłużyce. Płot miał być zwyczajny, poprzeczny, jednak na tyle gęsty, aby żadne zwierzę nie mogło się przezeń precisnąć. Za boiskiem do piłki nożnej zostawało miejsce na plac do koszykówki. Punkty ustawienia koszy też już były dokładnie wyznaczone.

Jedno miał tylko Wittle zmartwienie. Do budowy basenu trzeba było sporej ilości desek, bez nich w wietrzne dni fale utrudniałyby pływanie. Desek zaś młodzież Wyrajów nie mogła znikąd wydostać.

— Dostaniemy od elzetesu. Jak zobaczą, co tu zrobione, nabiorą do nas zaufania — pocieszał go Janek.

Nawet do trambowania przygotował Wittle prowizoryczne przyrządy, składające się z długich

i ciężkich pniaków sosnowych oraz przybitej w poprzek nich rączki. Tu i tam zawzięcie dudniły już o ziemię.

—Patrz, Zośka, jaki tłum się gromadzi przy drodze — Kostek wyciągnął rękę, ocierając przy okazji spocone czoło.

Rzeczywiście, niebywała inicjatywa chłopców-ściągnęła chyba całą wieś i majątek Stali gromadkami odświętnie ubrani mężczyźni, obok nich kobiety z niemowlętami na ręku, płatało się mnóstwo baraszkującej dzieciarni.

Kostek wypatrywał pana Gwizdy, ale nie dostrzegł go nigdzie. Pomyślał, że musi czuć się urażony ostrymi słowami Julka przy ostatnim spotkaniu. Zauważył natomiast szczupłego, czarnego mężczyznę, który tak ich zachwycił grą w siatkówkę. Samotnie stał na uboczu, paląc papierosa. Wyraz twarzy miał chmurny, usta ściągnięte. Nie uszło uwagi Kostka i to, że Wittle był jakby zaniepokojony obecnością mechanika, oglądał się często na niego i mniej niż dotychczas wiercił się po terenie.

Po jakimś czasie mechanik odszedł i zatrzymał się przy sołtysie, który stał przed swym domem. Mówił coś do niego wskazując dłonie na boisko. Sołtys rozkładał ręce. Kostek wiele dałby, aby wiedzieć, o czym rozmawiają w tej chwili.

—Kostek, dopomóż, sama nie udźwignę! — wołała go Halina z trudem dźwigając ciężką trambówkę.. Podeszedł do niej. Wyrównywała teraz szpadlem teren, on zaś wziął się do ubijania ziemi.

Niespodziewanie poniosły się po polu wesołe dźwięki harmonii.

—Bywaj, bywaj!

— Hura!

Witano grajka serdecznie. Jeszcze sprawniej i bardziej ochoczo poszła robota. Nawet Pietrek, który z trudem nadażał za dziewczętami, poczuł przypływ energii, ogarnął go ogólny nastrój, zapął do wspólnej roboty.

— Musimy w przyszłą niedzielę urządzić rozgrywkę siatkówki. Na trzy drużyny. Pegeer, Zatoka, Wyraje — rzekł do sympatycznego blondynka, który tak chętnie podjął propozycję wspólnej gry przy pierwszym spotkaniu.

Blondynkowi zaświeciły się oczy, klepnął Pietrka przez ramię, aż ten się ugiął.

—Parę to masz, kurdefelek!

Pierwsza faza roboty dobiegała końca. Nie zostało już śladu po rowach przecinających teren, zniknęły liczne kretowiska. Zasypane świeżym piachem odbijały od wyschłej trawy dawne wgłębienia i nierówności terenu. Dudniły jeszcze trambówki, ale coraz więcej osób prostowało zgięte plecy i opierając się na szpadlach z satysfakcją spoglądało na gładką płaszczyznę.

Wittle rozdzielał już grupy do pracy przy opłotowaniu.

Znów zaszczekały łopaty. Jedni kopali dolki pod ogrodzenie, inni przenosili gotowe już słupek. Odarte z kory pniaki jodłowe białały świeżą golizną. Julek podejrzewał, że sporo drzew przywędrowało nielegalnie wprost z lasu.

Fajfer przeżywał swój wielki dzień. Nigdy tak jak dziś nie wierzył w możliwość spełnienia swych pragnień. Przyjechał do Wyrajów cichaczem, aby wybadać, czy da sobie radę z nowym środowiskiem. Były chwile, że wahał się, bał się odpowiedzialności i niepowodzeń, jakie zdawało się czyhać tutaj na każdym kroku. Dzisiaj nabrał mocnej wiary, że aby się tylko nie obawiać trudności i mieć wolę przezwyciężenia przeszkód, wszystko się wtedy osiągnie.

Widział wielki zapal, jakąś ogromną ochotę tych chłopców i dziewcząt, dochodził go radosny śmiech, słyszał przygadywania i przekpinki. Jedno stało się dla niego pewne. Młodzież Wyrajów jest w gruncie rzeczy wartościowa, ani gorsza, ani lepsza od młodzieży gdziekolwiek indziej. Jakaś większa może bierność tej młodzieży wynikała z tego, że pozostawiona ona była samej sobie, że żyła wśród wielu prawdziwych, ale i wielu urojonych kompleksów, że była jak by odizolowana od tego, co w kraju się działo, czym ten kraj żył. Dano im pracę w lesie przy wyrębie drzewa czy w ludowych spółdzielniach artystycznych, ale nic poza tym. Wracali z pracy do tych samych domów, pozbawieni jakichkolwiek rozrywek, wracali do tych samych kompleksów, do plotki podsycanej chytrze nielegalną ulotką, audycją radiową czy podszeptem wrogów Polski.

Widział, jak wiele by można wykrzesać z tej młodzieży. Czuł się silny, świadomością tej siły mierzył postanowienie, aby zmienić życie Wyrajów. Aby nie tylko zbudować boisko czy basen, ale dać jej świetlicę i bibliotekę, utworzyć artystyczne zespoły, spowodować przyjazd kina z ciekawym filmem. Oddychał głęboko, nie czuł wysiłku pracy, rozpiekała go wielka radość.

Czasami oglądał się na Zośkę. Dziewczyna widziała jego płonące radością oczy, uśmiechała się aprobująco, serdecznie. Wtedy myśli jego odbiegały do prywatnych spraw. Czyż uczucia, jaka wiąże się między nimi, wytrzyma próbę czasu? Zośka odjedzie na AWF, znajdzie się w zupełnie innym środowisku. Czy będzie wówczas chciała pamiętać o zostawionym na głuchej wsi młodym nauczycielu, który nic więcej nie mógł jej dać prócz gorącego serca i młodzieńczego zapalu, żarliwej wiary w przyszłość własną i społeczeństwa? Wiedział jednak, że uczyni wszystko, aby podsyć uczucie dziewczyny, aby jak najmocniej związać ją z sobą. Obiło mu się o uszy, że Zośka miała ciężkie doświadczenia, że przeżyła głęboko, boleśnie pierwszą ufność do świata i ludzi, że stąd bierze się w niej czasem gorzka i brak zaufania. Wierzył jednak, że byle tliło w niej jeszcze trochę uczucia, to zawsze da się z niego rozdmuchać nowy, wielki płomień.

Ostry gwizd przeciął powietrze. To Wittle dawał znać, że czas na obiad. Dochodziła pierwsza.

— Zróbcie mi przyjemność — uśmiechnięty, zdyszany Fajfer podszedł do dziewcząt — zapraszam was na skromny obiad do siebie. Wczoraj już umówiłem się z gospodynią. Frykasów jak u doktorostwa nie będzie, ale głodni też nie pójdziecie.

— Brawo, Edward! — zakrzyknął Bończa, któremu nie chciało się dreptać nad zatokę.

— A wiecie, że spotkaliśmy tego dziwaka, co to za motylami gania? — opowiadał Gabryś po drodze.

— Opowiedział nam o obyczajach nornicy, to taki gryzoń leśny. Nawet ciekawe. Potem rozpytywał o boisko, kto, co... Powiedzieliśmy, że to Wittlego zasługa. Niech chłopak wyrabia mażę.

— Co to znaczy mażę? — zapytała Mirka.

— Gdzieś ty maturę robiła? — zdumiał się Maryś. Mażę to znaczy opinia, dobra renoma, coś takiego, przecie mówi się tak w każdej budzie. Śmieszny facet ten przyrodnik. Łazi po lesie, bobruje na wodzie, jeszcze kiedy oberwie, nie wiedząc od kogo! Jeżeli nam Grapsza nie radzi brykać w pojedynkę po chaszczach, to tym bardziej trzeba odradzać takiemu dziwakowi.

— Myślisz, że on zrozumiałby twoje przestrogi? Takiemu, kurdefelek, nic nie przemówi już do rozumu. A swoją szosą to jego zbiory muszą być ciekawe. Chętnie bym je obejrzał przy okazji. i — Słuchajcie, niedobrze z Pietrkiem — wtrąciła Zośka — zaczyna mówić poważnie i mądrze.

Julek ścisnął ją lekko za ramię. Od dawna był zdania, że zarówno Zośka, jak i Kostek niepotrzebnie drażnią ambicję chłopca. Na pewno wiele jego wyskoków i w tym ma źródło. Zośka spojrzała zdziwiona, ale nie dokuczała już bratu.

Przy obiedzie Edward wyciągnął flaszkę wódki.

— Wypijecie?

Kostek przecząco potrząsnął głową.

— Zwykle nie odmawiam jednego kieliszka czy dwóch, ale nie w taki upał. Po tym winie u doktora łeb mi trząskał cały następny, dzień, rano nie chciało mi się zwlec z posłania.

Pietrek z żalem patrzył, jak Edward chowa flaszkę do szafki.

— Na inną okazję — powiedział. Odpoczywali leżąc w ogródku pod cieniem mizernej jabłoni.

— Powiem wam, że się tego nie spodziewałem. Tyle ludzi, taki zapal — przejęty Fajfer ciągle wracał do tego samego tematu.

— Ech, tylko umieć wykrzesać taką energię, to się wszystkiego dokona, Grunt pierwszy impuls. Patrzcie, myśmy o basenie nawet nie pomyśleli — uśmiechnął się Julek.

— Skończcie już, bo mi to boisko obrzydnie! Kiedy wraca Grapsza? — dosyć obcesowo przerwała te zachwyty zawsze rzeczowa Zośka.

— Leśniczyna mówiła, że jutro ma jechać po niego. Już dobrze się czuje, ale musi być ostrożny, to nie było pierwsze lepsze stłuczenie — odrzekł Bończa.

— Patrzcie, niektórzy idą już do roboty...

— Miały być przecież dwie godziny przerwy?

— Nie ma co, idziemy i my. Oni nie żałują czasu, to i nam nie wypada.

— Nie ma nic gorącego niż nadgorliwość, kurdefelek!

I znów praca ruszyła pełnym tempem.

Ściemniało się, gdy boisko gotowe było już w zupełności. Nawet skocznia stała skopana i okolona deskami. W gęstniejącym mroku bieląło ogrodzenie, wewnątrz przysiadły do ziemi niższe płotki, znaczyły się wyrazistym kształtem bramki piłki nożnej, którym brakowało jedynie siatek, dalej pięły się ku górze słupy do siatkówki i tarcze kosza.

Było tak ciemno, że Fajfer z trudem rozróżniał zarysy drogi. Odprowadził właśnie obozowiczów i zmęczony wracał do domu. Z daleka widniały oświetlone okna gospody. Cicho w niej było, brakło normalnych niedzielnych wrzasków pijaków. Uśmiechnął się.

Wszedł już w opłotki wioski. Jakiś pies rozszczękał się zajadle, wyskoczył z furtki, rozpoznał znajomego i cofnął się szybko.

Edward pomyślał o Zośce. Tak ciepło uścisnęła mu rękę na pożegnanie. Morowa dziewczyna. Omal się nie wywrócił potknąwszy się niespodziewanie o kamień. W tej samej chwili spod okapu jednego z domów oderwały się dwie sylwetki i szybko podbiegły do niego. Drgnął, chciał się cofnąć, było jednak za późno. Dojrzał tylko cień czyjegoś ramienia wzniesionego do ciosu, cofnął się, chciał uskoczyć w bok, lecz w tym momencie coś twardego spadło mu na głowę, oszołomiło i ogłuszyło.

— Żebyś nie myślał, że wiele zwojujesz, zasrany nauczycielu!

Spadło nowe uderzenie na ramię, którym się zasłonił. Usiłował się podnieść, zabrakło mu sił. Bezbronny, czekał już dalszych ciosów... Nagle zadudniły czyjeś kroki. Ostatnim przeblyskiem świadomości Edward dojrzał, jak dwa schylone nad nim cienie rzucają się do ucieczki, usłyszał jeszcze krzyk groźny, ostrzegający: - *halt, halt!* — i dojrzał, jak kilka cieni z tupotem przebiegło obok, rozplywając się w gęstniejącej mgle...

Obóz nad zatoką gotował się do snania. Pietrek z Czartami gramolił się właśnie z wody po wieczornej, kąpieli, gdy od lasu wyłoniły się dwa cienie z jakimś ciężarem na rękach. Krut podskoczył szcękając przeraźliwie.

— Kto tam? — krzyknął Julek, chwytając siekierę do ręki. Po ostrzeżeniach Grapszy wołał

być bardzo ostrożny.

— To ja... Michał.

Julek opuścił siekiere. Przytrzymał Kruta, przekazując go zaraz Mirce, najlepiej umiejącej łagodzić przywiązane do niej stworzenie.

Podbiegł do Wittlego.

— Kogo wy tutaj niesiecie?

— Nauczyciela.. Pobili go — ponuro bąknął. Wittle. Julek dojrzał za nim twarz miłego blondaska.

-- Co? Edwarda?! — przeraźliwie krzyknęła Zośka.

— Zostaw, Zośka, zostaw — dosyć obcesowo odsunął, ją Julek, pomagając chłopcom ze wsi przenieść rannego bliżej dogasającego ogniska.

Pietrek dorzucił chrustu, Mirka przyniosła latarkę. W tym podwójnym świetle ukazała się blada twarz Fajfera. Mirka wprawnie za jęła i się rannym.

Julek rzucił spojrzenie na Wittlego i jego towarzysza. Stali zdyszani, twarz Michała ociekała krwią.

—A tobie co się stało?

— Nie, nic, potem... Co z nim? — W oczach jego zamigotały w blasku płomieni złe iskry.

—Michał, powiedz prawdę, ty przecież wiesz. Kto i za co napadł na niego?

Wittle milczał długą chwilę, potem odpowiedział; jakby z wielkim wysiłkiem:

— Kto, wiem dobrze, ale nie powiem... Sam się z nimi załatwię.

Zobaczmy, kto mocniejszy. Za co? Za mnie dostał...

— Jak to za ciebie?

— Tak, że mnie namówił do tego boiska. Bo mnie bali się ruszyć. Dostali mocno i jeszcze dostaną — znów zawahał się, wreszcie rzekł: — Julek, ale ja proszę, o tym lepiej nikomu nie opowiadać. Dlatego myśmy go tutaj przynieśli. o wtedy byłoby gorzej. tak to ja sam wszystko załatwię. Nikt go już więcej nie ruszy, chyba... że mnie w Wyrajach nie będzie — dokończył twardo.

Julek namyślał się przez chwilę.

— Dobrze -- rzekł wreszcie. — Wypiliśmy za przyjaźń. Wiesz, że chcę jak najlepiej dla ciebie i dla was wszystkich. Nie powiemy nikomu o tej sprawie. Nikomu. Ja wiem, że są pewne rzeczy, które lepiej załatwiać we własnym zakresie. To przynosi mniej strat. Ale ty też przyrzeknij mi jedno.

— Co? — Wittle nastroszył się.

— Ze jeżeli nie będziesz mógł sam sobie poradzić albo będziesz miał jakieś kłopoty,

przyjdiesz otwarcie i powiesz mi. Ja postaram ci się wtedy pomóc.

Julek wyczuł wahanie. Dodał szybko:

— Obiecuję ci, słowem ręczę, że w takim wypadku niczego nie, uczynię bez twojej wiedzy i zgody. Dobrze?

— Dobrze — szepnął krótko.

23. Pojednanie z Gwizdą

Od paru dni wrzało w Wyrajach jak w ulu. Do Wittlowej napisał mąż, od czasu wojny przebywający w Niemczech Zachodnich. Donosił, że w najbliższym czasie zamierza wrócić do rodziny. Wiadomość była lakoniczna, Wittle nie podawał bliższych szczegółów, poza wzmianką, że spodziewa się ujrzeć swoich jeszcze w sierpniu. Dodawał, że jego decyzja wzbudziła wahania wśród tych, którzy starali się o zezwolenie na wyjazd do Niemiec.

Echa tego listu różnymi drogami docierały nad zatokę. Kostek od kilku dni pracował już w pegeerowskim majątku, a miejsce jego zajął w obozie Fajfer, który wolno wracał do zdrowia po przebytych wstrząsach. Prawie co dnia odwiedzał go Henio Lipień, Opowiadał, że decyzja starego Wittlego wywołała wśród jednych pełną aprobatę, innych natomiast przyprawiała o napad wściekłości.

Lipień opowiadał o rozdzwiękach, jakie nastąpiły między Wittlową a jej szwagrem, żyjącym dotąd w najlepszej zgodzie Szwagier, z zawodu murarz, dorabiający sobie dorywczo, ale żyjący naprawdę z paczek przysyłanych mu regularnie przez dawnych przyjaciół, zmuszał podobno matkę Michała do napisania listu nakłaniającego męża do rezygnacji ze swoich zamiarów. Omal do bójki między nimi nie doszło, szczęśliwie wdał się w to Michał, który w takim gorącym momencie powrócił właśnie do domu.

Z lasu dobiegł nagle przeraźliwy warkot wielu motorów, aż ponad drzewa -wzniósł się kłęb kurzu i na polanę wychynęły cztery motocykle, hamując gwałtownie tuż nad brzegiem.

— Halo, ostrożnie, mości panowie! — zawołała Mirka ukazując chmurę pyłu, która z piaszczystej drogi spływała na namioty.

— Przepraszamy, nie spodziewaliśmy się tutaj nikogo — z pierwszego motocykla gramolił się uśmiechnięty mężczyzna w granatowym kombinezonie. — O, proszę, ale to groźnie wygląda — ze śmiechem przystanął przed zatkniętą na długim drągu tablicą ze sterzącą na niej głową olbrzymiego szczupaka. — Jesteśmy z „Unii”. Odbywamy rajd turystyczny po Mazurach. Cudny kraj, a co kobiet pięknych już w nim spotkaliśmy.

— Nie będziemy przeszkadzać, poszukamy innego miejsca na biwak. Miło w tej... Zatoce

Żarłocznego Szczupaka — rozglądał się dokoła ciekawie.

Cała ósemka wygramoliła się już z motorów. Byli to młodzi ludzie, wszyscy rośli i smukli, Zośka pomyślała, że wyglądają jakby specjalnie dobrani. Zgromadzili się przed tablicą, zdjeci podziwem dla ogromu ryby. Pierwszy, który rozpoczął rozmowę z obozowiczami, uśmiechnął się nagle i zawołał do swoich:

— Koledzy! Na cześć tubylców z Zatoki Żarłocznego Szczupaka...

— Hip, hip, hura! — powtórzyli trzykrotnie, aż Krut porwał się z ujadaniem.

— Prosimy, prosimy — śmiała się Mirka. Julek spojrział na nią z lekkim zdumieniem, ale zaraz sam się rozjaśnił w uśmiechu.

— Z daleka panowie dzisiaj?

— Dziś... z Fromborka.

— Kawał drogi. Ale motory niczego, można ganiać — Julek fachowo otaksował maszyny.

— Czasem bywa, że popychamy, jak zawsze w motoryzacji. No, koledzy, odjazd!

— Towarzyszu... hm, kolego, może spytamy, gdzie tu jest jakieś przyzwoite miejsce nad wodą?

— Co głowa, to rozum. Święta prawda. Poradźcie, mili państwo, gdzie się tu blisko znajdzie wolny kawałek brzegu?

— Ależ możecie panowie zatrzymać się u nas. Miejsca nie zabraknie — gościnnie zaproponował Julek.

— Nie, nie, jesteśmy zbyt hałaśliwym towarzystwem — zaprotestowali.

— W takim razie proponuję kąpielisko obok wioski. Bo tu na lewo jedyną polankę, maleńką zresztą zajmuje doktor z żoną.

— Ładna ta żona przynajmniej? — zażartował któryś.

— Podobno — sarknęła Mirka.

— Hip, hip, hura! — wrzasnęli jeszcze raz dosiadając motorów. Na leśnej drodze podniosła się chmura kurzu.

Pietrek długo patrzył za nimi, podrapał się w głowę.

— Kurdefelek, ja przecież tego łysawego wczoraj widziałem. Tylko nie na motorze, ale na kajaku... Na pewno ten sam! Jakże zatem przyjechał tu dziś z Fromborka?

— Dwoi ci się w oczach. Może wezwać doktora, hę? — szydził Gabryś.

— Gadaj zdrów. A ja wiem swoje. Jeździłem wczoraj na rzekę, przy brzegu stało tam pięć czy sześć kajaków z PTTK. Wszyscy turyści leżeli trochę dalej, ale ten stał tuż, tuż i gapił się w wodę. Ma taką wyrazistą gębę, że poznałbym go po ciemku.

Słuchali początkowo z zainteresowaniem, potem jednak upór Pietrka, przestał ich bawić.

Przywidziało mu się na pewno.

— Te kajaki zresztą i dzisiaj tam biwakują. To jakaś wycieczka albo spływ — ostatecznie wyjaśnił sprawę Maryś kładąc się na trawę obok Jaroszyka.

— W ogóle zaroilo się nad naszym jeziorem. Zaraz kąta spokojnego nie będzie.

— Nie bój się, Mirka, dla nas miejsca wystarczy.

Z dała, od polanki doktorostwa dobiegł ich warkot zapuszczanego motoru. Pietrek podniósł, się nagle, przeciągnął ramiona. — Nudno tutaj,.. Podjadę trochę na jezioro.

— Patrz, abyś nie zabłądził do doktorowej — zaśmiała się ironicznie Mirka.

Wśród pozostałych zapadło milczenie. Zmęczeni byli upalnym dniem i odbytą dziś wycieczką „Gawronem” do Rucianego. Henio Lipień zanucił naraz przyjemnym, cichym głosem:

*Za stodoła na dambzie
Gruchtały gołambzie,
Tylko jeden nie gruchol,
Swego pana nie słuchał...*

— Do diabła, ogólnopolski rajd nad Jeziorem Gardyńskim czy co? — nastroszył się Gabryś.

— To samochód tym razem.

Na polanę wychynał ciemnogrnatowy łeb warszawy. Przystanąła. Fajfer, widząc wysiadającego młodego człowieka, rzucił się ku nie mu z wylewną radością.

— Józek, przyjechałeś jednak. Myślałem, że nawalisz. To bardzo dobrze.

— Ty, Fafuła, widzisz wszystko w ciemnych barwach, nie zmieniłeś się od szkolnych lat — śmiał się Miłski witając się z pozostałymi. — Przyjemnie tu macie, aż zazdrość bierze, gdy przypomnę sobie, że ja całe lato pocić się muszę w murach... prezydium.

— Czemu go pan nazywa Fafułą? — nadała się Zośka, uczulona już na punkcie Edwarda.

Spojrzał na nią z ujmującym uśmiechem.

-- Tak go zwaliśmy w budzie. Był bardzo powolny, każdą decyzję musiał najmniej trzy dni obmyśleć. Jak to fafuła.

—Zocha, to najlepszy kumpel, nie przejmuj się — śmiał się Edward.

— Dobrze, że was zastałem. Szukałem Edka, gospodyni powiedziała, że od paru dni przebywa tutaj. Nie dziwię mu się — -spojrzał znacząco na Zośkę. — Pod taką opieką każdy by chciał przebywać... Fafuła, ale co z tobą, czerep masz nieforemny.

— Dłuższa historia, potem ci opowiem, ma związek z boiskiem.

— Widziałem to boisko. Cudeńko, Anim myślał! To wasza robota? — Rozsiadł się wygodnie, częstował papierosami.

— Gdzie tam. Myśmy zaledwie trochę pomogli Młodzież z Wyrajów. Jeszcze i przystań

budują, właściwie... basen tymczasem.

— Też, widziałem. Basen dobrze pomyślany, solidnie. -- Ale desek im braknie, nie ma skąd dostać.

— Będą i deski. Przekazano nam ostatnio trochę, budulca z rozbiórek. Przydzielę go tutaj.

— Zaraz, zaraz — zastanowił się Julek. — Pan mówi, że basen gotów? Przecie dopiero w sobotę mieliśmy przy nim pracować?

Lipień uśmiechnął się.

— To Wittlego zasługa. Prosił tylko, żeby wam nic nie mówić. Chcą do soboty wykończyć. Pozostały dwa dni. Wiezorami robią, przy księżycu.

— Widzisz?— Julek triumfująco spojrzał na Fajfera, Wittle stał się dla niego niejako gwarantem jego własnych ambicji.

Edward uśmiechnął się zadowolony, że koncepcja Julka zwyciężyła na całej linii.

— A wiecie, że miałem u siebie interwencję nadleśniczego? — zauważył nagle przewodniczący PKKF. — W sprawie budulca. Ten Wittle czy ktoś z jego paczka rozpędził się i wyciął żerdzie w lesie, bez żadnego na to zezwolenia. Nadleśniczy był zły, pogadywał o sądzie. Ledwie mu wyperswadowałem. Nie widział jeszcze basenu i pomostu dla łodzi. Cały brzeg zawalony drągowinami. Nie wiem, jak z tego wybrnę. To nieprosta rzecz.

— Nie dla siebie przecież kradli — uniósł się Fajfer.

— Ol Fafuła, Fafuła, głupstwa gadasz! Co by to było w państwie, gdyby tak dla dobra społecznego każda wieś zaczęła wycinać las? Albo żeby w miastach ginął budulec dlatego, że jakaś grupa mieszkańców chce wystawić, dajmy na to, kino czy dom kultury?

— Parę żerdeń a kino to różnica.

— Nie chodzi o wielkość, lecz o zasadę... Powiedzcie tym chłopakom, że na przyszłość podobne sprawy nie ujdą im na sucho, W tym szczególnym wypadku nie chciałem gasić zapału, jakoś to załatwię, przymknie się oczy... Ale do sprawy. Kiedy myślicie zrobić wybory do władz koła i przekazać sprzęt? Może w niedzielę?

— Wittle myślał o tym dniu. W niedzielę właśnie gramy pokazową partię siatkówki — rzekł Julek.

— Świetnie, to przed meczem zrobicie zebranie. Przyjadę także albo ktoś z naszych. Gorsza rzecz, że tymczasem nikogo nie będę mógł im przydzielić dla instruktazu. Ludzi mało.

— Mam trochę pojęcia o tych sprawach. Tymczasem pociągnie my obóz przyrzeka, pomoc — Fajfer nie widział żadnych trudności.

— To świetnie. Podoba mi się ten początek. Wioska jest trudna, słyszałem coś niecoś. Tu jakieś dziwne sprawy się dzieją. Wczoraj do Mikołajek odszedł od nas pluton milicji, jakaś akcja

widocznie, to niedaleko od was. No, na mnie czas. Może ktoś chce się przejechać kawałek?

— A weźmie pan nas troje? — spytała Zośka, wskazując na przyjaciółkę i na Fajfera.

— Szofer swój chłopak, nie będzie się krzywił, choć wyboje, że niech je lichy!

Warszawą rzucało na wyboistej drodze, więc kierowca jechał wolniutko w obawie o resory. Milski z przedniego siedzenia z uśmiechem spoglądał na przyjaciela przytulonego ciasno do buńczucznej, czarnej dziewczyny. Do wioski trzeba było jechać drogą okólną: przez boczne dróżki, z biedą dobre dla konia, ale nie dla samochodu. Czerwone dachy wyglądały ciekawie zza drzew. Tu i ówdzie równiutko w górę płynęły strużki dymu. — Na pogodę — smętnie spojrzała Mirka.

— Bieda z tym upałem. Z ziemniakami marnie. Źle też może być z ozimną, jeżeli to potrwa jeszcze przez dłuższy czas. No, nie gniewa się już pani za tego Fafułę? — zwrócił się do Zośki.

— Nie — zajrzała mu w twarz. — Patrzcie, nasz przyrodnik! Ale pędzi, jak wariat!

W chmurze pyłu przemknął obok nich na Swym motorze znajomy z leśniczówki. . . .

— Gdzie państwo wysiadzicie?

— Choćby i tutaj. Dziękujemy, zatem do niedzieli.

— Do niedzieli.

Warszawa ruszyła spokojnie i cicho. Przeczekali, aż opadnie kurz rozejrzeli się dokoła. Wyraje były ciche i spokojne o tej godzinie. Wkrótce mieli wracać robotnicy pracujący przy wyrębie lasu, z Iznoty zaś i Mikołajek dziewczęta, znużone całodziennym tkaniem ozdobnych makat. Jakiś wyliniały pies apatycznie spoglądał na nich stojąc w rozwartej furtce i leniwie pomachał ogonem, gdy Mirka czule się odezwała do niego. Przy budynku szkolnym stał jak zwykle pan Gwizda. Z daleka już kiwał przyjaźnie dłonią.

Uśmiechnęli się spoglądając po sobie nieco zdziwieni. Z pewnym skrępowaniem pomyśleli o tym nieoczekiwanym spotkaniu. Przecież po starciu z Julkiem stosunki między szkołą a obozem, aczkolwiek poprawne, nie miały już w sobie dawnej serdeczności. Przy, wizytach w wiosce Kania starał się omijać dom Gwizdy, a ten na widok nadchodzącego chłopca równie szybko związał swój posterunek przy płotku. Pozostałym kłaniał się grzecznie, ale bez normalnej wylewności.

Teraz, jakby specjalnie ich oczekiwał, wysunął się nawet przed furtkę i zapraszająco wywijał dłońmi.

Mirka odpowiedziała mu serdecznym uśmiechem i jakby triumfująco spojrzała po towarzyszach. Była bowiem całym sercem po stronie Gwizdy. Jej zdaniem, Julek za ostro ocenił postępowanie Gwizdy, rozgoryczonego niełatwym życiem działacza mazurskiego po wyzwoleniu. Czy zresztą Gwizda-naprawdę, aż tak bardzo wycofał się z czynnego życia?

A jednak poczuli się wszyscy skrepowani, gdy po przywitaniu zasiedli na werandzie, spoglądając na podnieconego czymś gospodarza.

Pani Gwiździna przyniosła świetny, orzeźwiający kwas chlebowy własnego wyrobu. Popijali w milczeniu.

— Wiecie, kochani... — zaczął Gwizda, urwał jednak jakby speszony; poprawił pasek osuwający się z pękatego brzucha.

Fajfer pomyślał, że gospodarz musi mieć coś bardzo ciekawego do powiedzenia. Spojrzał pytająco na Mirkę. Zwróciła właśnie oczy na starego działacza.

— Myślę o was i waszym tutaj pobycie. Zachowamy go w naszej pamięci... Wioska się do was przyzwyczaiła. To niebywała rzecz. Pamiętają wszyscy o Klausie wyratowanym z topieli — urwał znów, jakby przypominając, że ta część dziejów młodzieży z zatoki łączy się najściślej z imieniem Julka.

Po chwili jednak znów zaczął mówić po swojemu, szybko, zapalczywie, jakby w obawie, aby słowa nie utkwily gdzieś w głębi nie wypowiedziane.

— Widzicie drodzy, ja z ogromną radością patrzę na wszystko, co tutaj robicie. To boisko... Byłem też nad jeziorem, widziałem. Dziwy, zamiast iść spać, całe bractwo do późna w noc klepie coś, zbija, piłuje, to na podwórkach, to już nad samą wodą, Basen, pomost, ba! Jakoś i z pegeerem zaczynają się kumać. Ten łobuz Wittle chodzi posiniaczony, ale z miną wodza.. Aż mi trudno zrozumieć. Dużo dobrego zrobiliście. Ja jednak chcę wrócić do tamtego wieczoru, pewnie pamiętacie? — oddychał ciężko To, co teraz mówił, musiało być dla niego bardzo trudne. — Otóż wtedy pan Julek powiedział mi wiele przykrych rzeczy. Zgniewałem się, widzicie, bo nie jestem przyzwyczajony do takich reprimend. I za dużo tego było. Ja przecież tak całkiem nie zaprzestałem swojej pracy, Bardzo też ważne to, co piszę, ktoś przecie musi zachować pamięć tak o zwyczajach, obrzędach, dziejach tej ludności, jak i tradycjach jej walk o własną mowę, o samych siebie. A przecież i w innych sprawach biorę udział. Pan Julek, widzicie, przekreślił zupełnie moją wartość, mało, a byłby postawił mnie w rzędzie ludzi obojętnych na sprawy naszej ojczyzny. A to nieprawda, nieprawda — uniósł się, ale po chwili głos jego znów opadł. Gwizda mówił, ale już tak cicho, że musieli natężyć słuch.

— Prawdą jest jednak, że tak ja, jak i niektórzy dawni działacze usunęli się trochę na stronę. Zresztą najmniej było w tym naszej winy. Po prostu nie chciano nas, usunięto poza nawias. I dlatego nie braliśmy żywego udziału w tym, co się dzieje, nie budowaliśmy nowej społeczności właśnie tu, pomiędzy Mazurami, tak pokrzywdzonymi przez los.

Teraz się jednak wiele zmieniło i zmienia. Powiedzcie panu Julkowi, że wczoraj otrzymałem nominację z Olsztyna. Zostaję od jesieni specjalnym doradcą województwa i inspektorem do

spraw autochtonicznych. Możliwe, że utworzony zostanie specjalny instytut, który poprowadzę. Powiedzcie mu zatem, że nie będę już na uboczu, nie będę tylko obserwatorem. I to też powiedzcie, że cały szereg innych działaczy wraca do aktywnej pracy. Chcemy wam, młodym, dopomóc... Tyle!

Fajfer podniósł się wzruszony i mocno, z głębokim szacunkiem uściśnął dłoń pana Gwizdy. Ten odwzajemniając uścisk dodał:

— Pamiętacie, cośmy mówili niegdyś o Wyrajach? Pierwszym moim staraniem będzie sprawa uruchomienia tutaj świetlicy i biblioteki. Już nawet złożyłem wniosek. Znajdzie się praca dla Glacy i Lipienia,

Drogą przeleciał nagle mały „opelek” doktora Gintera. Nie zdążył umilknąć jeszcze warkot jego motoru, gdy ryk kilku motocykli dosłownie ogłuszył wszystkich.

— To ci z „Unii”, Na noc gdzieś wyjeżdżają? Dla mnie to zbyt dziwna forma turystyki — Fajfer pokręcił głową.

Rozmyślając nad słowami Gwizdy, wolno wracali do obozu.

24. Zaginieni

— Trudno, pójdziemy bez nich — stanowczo orzekł Julek.

— Z Pietrkiem tak zawsze, pewnie się zapił. Ten cały Kitajczak nie przypadł mi wtedy do gustu. Pamiętacie, jak łąził w Wojtunach z flachą wódki pod pachą? — nie mógł się uspokoić zdenerwowany Kostek.

— Gabryś jest solidny, musiało im coś poważnego przeszkodzić — próbował bronić kolegów mały Bończa.

Pietrek już od dawna wybierał się do Wojtun, obawiając się przykrości, bo przekroczył termin zwrotu wypożyczonego kajaka. Mogło to przynieść karę pieniężną, aż gotówką było tymczasem dość krucho. W piątkowe popołudnie zdecydował się wreszcie na drogę, zamierzając przenocować w Wojtunach i pieszo powrócić w sobotę rano. Ponieważ jazda Krutynią pod prąd była dość uciążliwa, zwrócił się do Jaroszyka z propozycją, aby zechciał mu towarzyszyć. Wyruszyli dosyć późno i mogli przybyć na miejsce w najlepszym razie po zapadnięciu zmroku. Wyłączyli pełni najlepszych humorów, śpiewając jakąś niewyszukaną piosenkę.

Tymczasem dawno już minęło sobotnie południe, a wciąż ich jeszcze nie było widać. Obozowicze nie chcieli zwlekać z udaniem się, na przystań, gdzie młodzież Wyrajów kończyła właśnie budowę basenu kąpielowego. Przykro im było przybywać w zmniejszonym zespole, ale nie było innej rady.

— Nadziali się pewnie nocą na jakiś kamień, przedziurawili kajak i to zajęło im czas. Różnie się przecież zdarza na wodzie — próbowała tłumaczyć Mirka idąc obok Kostka brzegiem jeziora.

— Ech, na pewno coś innego - zachnął się Kostek, a i Zośka skłaniała się do jego zdania.

Szli tą, samą ścieżką, którą uciekli kiedyś nieznani rabusie, unosząc z sobą spadochron. Od tego czasu minął z górą miesiąc, dotkliwa susza poczyniła spore szkody w drzewostanie. Nad samą wodą listowie było bujne, mocno zielone, ale już trochę wyżej przywiędło, zwiotczało, zaczynało żółknąć. Włochate liście leszczyny zwijały się w trąbki, bezradnie zwisały ku ziemi, odsłaniając gęsto płasząc-- po gałęziach wiewiórki. Orzechy-już dojrzewały, zwinne stworzeni i przygotowywały zimowe zapasy.

— Tam już gwałt na całego.

Wodą i lasem niesły się wesołe śmiechy, gwar i pokrzykiwania.

— Masz ci los! — z podziwem rzekł Kostek, który pierwszy wychynął na szeroką polanę.

Pobiegli spojrzeniem za jego wzrokiem. Nad błękitną wodą, przy końcu szerokiego pomostu, daleko wrzynającego się w jezioro, wznosiła się tyka z zatkniętą na niej wiechą, symbolem ukończenia prac budowlanych.

— Dowcipne — zaśmiała się Mirka. — Ale chyba zostało jeszcze coś, do roboty i dla nas?

Nie zostało nic. Wittle z najbliższą grupą przyjaciół ukończył prace przed południem. Ostatnie belki na kilkanaście metrów wychodzącego nad wodę pomostu położyli przed paru godzinami. Specjalnie w tym celu nie poszli dziś do wyrębu Teraz stali dumni i dokonanego dzieła, oczy ich skrzyły się triumfem.

— Pycha basen! Zaraz będę w nim pływał. Gdyby tak obić jeszcze bandy deskami — Bończa z uznaniem spoglądał na masywny zagrodę, sięgającą głębokiej toni.

— O, właśnie desek nie ma — podchwycił ostatnie słowa Wittle witając się z przybyłymi.

— Gdyby były, zaraz przynieśliśmy je tutaj. Trochę ma sołtys ale musiał coś przewąchać, bo schował deski do stodoły i zamknął — wyjaśnił mały blondasek, a Mirka po raz nie wiedzieć który zdumiewała się, jak bardzo jest on podobny do Bończy.

—Słuchaj, Michał, wiem już, że dostaniecie deski. Gadałem o tym, a właściwie nie ja, lecz Fajfer. Cieszysz się?

— No — po swojemu wyraził aprobatę, wstrząsając skołtunioną głową. — Oglądajcie, czy wszystko dobrze? — w głosie brzmiało wyraźne zadowolenie.

— Pycha! Brawo, Michał! Teraz tu przynajmniej wygląda — cieszył się Julek.

— Z czasem warto postawić budę, żeby było się gdzie rozbierać, posiedzieć, jak deszcz, albo nawet i schować kajaki. Ale na to trzeba drzewa i desek. Tyle z lasu nie ściągniemy bez

awantury.

— A właśnie — Julek przyjacielsko przechylił się ku niemu. — Podobno nadleśniczy wie już, żeście podczyścili sosnowy młodnik. Uważajcie, mogą być niepotrzebne przykrości.

— Grapsza był chory, a i tak poszedłby nam na rękę. Ja wiem, kto dał znać nadleśniczemu. Już on mi za to odpowie! Tak jak i za niego, wiecie, w niedzielę... — wskazał dłonią na idącego od wioski Fajfera.

— Spóźniłem się, ale przyszły ankiety do szkoły, musiałem Wypełnić — tłumaczył się. — Cześć, Michał, jak zdrowie?

Zaśmiali się, na głowie Edwarda bowiem sterczał jeszcze potężny guz, a z twarzy Wittlego nie spelzły dotąd mocne sińce.

— Nic, nic, już będzie spokojnie, nikt ciebie nie ruszy. — nagle chmurniejac rzekł Michał i odszedł do innej grupy.

Doszły ich słowa piosenki:

*Wyśa dziewczyna, wysła jedyna
jak różany kwiat.
Oj wysła, wysła, ocki zapłakane,
nie żądny jej świat...*

Poznali Ernę o krzywych nogach. Czarnula śpiewała, myszkując bystrymi spojrzeniami. Uśmiechali się.

— Pietrka szuka, ciągnie ją do tego bęcwała — warknął Kostek.

— Zostaw ty Pietrka, bo nudny się robisz! Chodźmy lepiej do nich — ostro osadziła go Mirka. Kostek aż usta otworzył w zdumieniu.

— Muszę popływać w nowym basenie. — Maryś w czerwonych slipach gnał już pomostem, aż dudniło, Zastartował pięknym odbiciem, wychynął na powierzchnię i mocnymi uderzeniami ramion ciągnął w kierunku basenu. Tam wdrapał się na długą ławkę z bierwion, przespacerował się trochę, potem zajął postawę startową odchylając przepisowo pięty od siebie, zginając się nieco i wspierając dłonie w kolana.

— Pach! — wrzasnął Julek.

Ciało chłopca śmignęło, przeszedł spory kawałek tuż pod gładzizną wody, potem pociągnął do przeciwległego końca basenu celując, aby nawrót zrobić przy słupku, dającym możliwość odbicia.

Popisy Marysia ściągnęły zainteresowanie większości. Stłoczyli się na pomoście, niektórzy dotarli do basenu, stali na okalających g ławkach, obserwowali, Maryś widział to, wydobywał wszystkie siły, starając się zarazem płynąć stylowo. Po trzecim nawrocie dobił wreszcie do

przeciwległego końca. Sapiąc, zmęczony wywindował się na deski.

— Jaki czas? — zawołał do Kostka, widząc że trzyma w ręk M zegarek.

— Nie sprawdziłem dokładnie.

— Szkoda.

Podeszło do niego paru chłopaków z pytaniem, jak trzeba startować. Zainteresował się też traktorzysta Janek.

Marysiowi tego tylko było potrzeba i Pokazywał i tłumaczył z wielkim zapałem, skakał kilkanaście razy, znów wyląził na bale, Próbowali, z kolei uczniowie. Niejeden po głośnym plaśnięciu wychodził .Z wody z brzuchem czerwonym jak u świeżo gotowanego raka, inny rozcierał zbolące uda. Nie gasiło to jednak zapału. Po godzinie niektórzy startowali już wcale nieźle.

— Właściwie powinniście przychodzić tutaj co wieczór. Będziemy was uczyli startów i nawrotów, a przede wszystkim stylowego pływania. Kraul, klasyczny, na wznak, tyle umiem, ale Jaroszyk wróci to pokaże więcej. Pietrek też klawo pływa, trochę wprowadzie z kozaka, ale nie szkodzi.

— A wy? — spytała się Zośka podchodząc do kilku przyglądających się dziewcząt.

— My też? — zdziwiły się.

— A co, nie chcecie pływać?

— Chcemy.

— No więc przychodźcie od jutra. Basen duży, zmieścimy się.

— Teraz nam pomożecie, a potem co będzie — zagadnął Wittle Julka

Julek tylko czekał na podobne pytanie. Trzeba przecież porozmawiać z nim o jutrzejszych wyborach. Usiedli na murawie.

—Przyjadą rano. Może sam przewodniczący, może któryś z instruktorów. Dostaniecie na początek trochę sprzętu. Ale przedtem muszą się odbyć wybory. Zarząd trzeba powołać.

Michał nachmurzył się, patrzył na niego wyczekująco.

— Zarząd? Kto ma tam być?

— Kogo zechcecie. Ja myślę, że ciebie na pewno wybiorą. Co do reszty to musicie się sami naradzić.

— Ale kto jeszcze? Może ten mały? — wskazał na miłego blondynka.

Julek potaknął głową.

— Dobrze byłoby kogoś z majątku. Pracowali razem, po co ich wyłączać? W kupie zawsze będziecie silniejsi. Zresztą zrobicie sekcje, będziecie trenować nie w jednej dziedzinie —

podsuwał propozycję Wittlemu.

— Aha. Z majątku...

— Nie wydaje ci się? — Julek z niepokojem spojrzał na twarz kudłacza.

— Może być. Janek na przykład...

— No i dziewczęta.

— Baby?

— No baby! Trzeba... Dobrze. A teraz sprawa instruktora. Opiekunem koła będzie pewnie ktoś z nauczycieli. Najlepiej chyba Fajfer, który...

— Wiem. A on dobrze się na tym zna?

Mówiąc to Wittle trochę nieufnie spojrzał na Edwarda, rzeczywiście nie wyglądającego na tęgiego sportowca.

— Na początek starczy. Mówił przewodniczący, ale zachowaj to dla siebie, że znajdzie dla was dwa miejsca na kursie instruktorów wiejskich. Kurs ten odbędzie się w jesieni. Powinieneś pojechać...

— Ja? A bo mnie wezmą? — oczy Wittlego zaświeciły nadzieją.

— Na pewno Fajfer zawsze pomoże. On bardzo ciebie lubi i ceni. Mógłby pojechać także Lipień...

— Ech — skrzywił się Wittle.

— Nie chcesz? Czemu?

— Bo on... — urwał nagle, nic nie powiedział więcej. Dopiero po dłuższej chwili dodał: — Może być i on, wszystko jedno. — Julek zauważył, że zapał jego nagle przygasł. Postanowił zaatakować.

— Czy dlatego, że on był na uniwersytecie ludowym?

Wittle skinął głową.

— Tak, Bo stamtąd inni wracają.....Nie rozumieją nas...

— Czy może wy ich nie rozumiecie?

— Oni tylko to, co polskie, tylko po polsku. Zapominają, że są Mazurami...

— Wiesz, Michał, my z sobą mamy jeszcze wiele do pogadania. Ty i twoi koledzy boicie się polskości. Straszą was ulotkami, szeptami, groźbą. Poddajecie się. Zapominacie, że tutaj, w Polsce, macie przed Sobą otwartą drogę, trudną, ale którą się zawsze przerąbie, byle tylko ochota była. Patrz, jak z boiskiem, z basenem. Pomogą wam, od razu podadzą rękę... Polska nie jest daleka ani zła. To tylko niektórzy ludzie byli źli i dalecy, nie rozumieli was... Musisz to pojąć, Michał.

Wittle nieznacznie, położył palec na ustach. Julek obejrzał się. Podchodziło do nich paru

chłopaków z grupy Michała.

— Jak jutro? Gramy? — zapytał jeden z nich, zwracając się tylko do swego przywódcy.

— Gramy. Ale przedtem będą wybory zarządu. Sołtys ma już pismo z pozwoleniem na pracę koła — rzekł Wittle i w tej chwili Julek nabrał głębokiej, pewności, że Michał go nie zawiedzie.

Michał ujął Julka za rękę.

— Tyś wyratował brata. Piliśmy za przyjaźń. Powiedz, naprawdę dobrze chcesz dla mnie i dla nas? — powiódł ręką po swoich kolegach.

— Tak. A po cóż bym inaczej zwracał sobie głowę tym wszystkim — zdziwiony i wzruszony zarazem odpowiedział Julek.

— To dobrze... My wysuniemy Lipienia do zarządu i na kurs instruktorów — rzekł nieoczekiwanie, podniósł się szybko i zaraz odszedł do swoich.

Słońce zniżyło się już mocno, gdy do Julka podszedł zziębnięty Bończa. Twarz miał stroskaną.
— Słuchaj. Nie podoba mi się opóźnienie Pietrka i Gabrysia. Ja dobrze znam Jaroszyka. On by nie nawalił. Boję się o nich.

Julek spojrzał nań bystro. Myślał przed chwilą o tym samym. Nieobecność chłopców stawała się niepokojąca. Zmarszczył czoło.

— Tak, ale co tu można poradzić?

— Nie wiem. Może pójść drogą na Wojtuny? Spotkamy ich, gdyby wracali. A nie, to się dowiemy czegoś w stancy.

— Nie da rady. Nocą, po drodze mało znanej... możemy się rozminąć. A jutro ten mecz siatkówki, ukonstytuowanie się koła; wiesz, wiele roboty włożyliśmy, żeby nie dopiąć, do ostatka. Gdyby samochodem czy motocyklem, to co innego. Ale doktor trzęsie się o swój wóz. Starszy człowiek, nie wiem, czy pojedzie.

— Zaczekamy jeszcze, może przyjdą do wieczora?

— Bobrze. Stąd możemy się teraz zabierać. Ale, Maryś, nie gadaj nikomu o naszym projekcie, Powiemy Kostkowi, żeby nie zostawał na noc w majątku. Niech przyjdzie, posiedzi z dziewczętami.

Godycki wyśmiał obawy Julka.

— Nie znasz Pietrka, on nie takie hece potrafi wyprawiać! Może sobie jakiś flircik ucieli albo zostali na zabawie, dzisiaj przecież sobota, albo się solidnie zapili. Stare byki, nie dzieci, nikt ich nie porwał. Daj spokój, Julek, ze swymi lękami.

Po takiej odprawie Julek zachwiał się w swoim postanowieniu. Kostek jako brat przecież najlepiej- zna Pietrka. To ten Maryś tak mi strachu napędził — uśmiechnął się do siebie.

W ciemności Julek nie zauważył nawet, kiedy się Maryś ulotnił. Wzruszył więc ramionami i

poszedł do zatoki. Dziewczęta zaraz zabrały się za kolację, ogień trzaskał wesoło.

— Dobry wieczór, rybeńki, dopuście nas do ognia? — zabrzmiał z daleka jeszcze tubalny, miły głos Grapszy.

— Prosimy, prosimy! Jak zdrowie?

— Nic, minęło jak ta nocka letnia. Czasem tylko strzyknie coś w boku, jak się zapomnę i coś ciężkiego wezmę pod pachę. Grapszę starego niełatwo dobić, o nie, rybeńki — śmiał się siadając przy ogniu.

— Prosimy, profesorze, niech pan siada — zapraszała Mirka stojącego wciąż przyrodnika.

— Nie jestem profesorem, ot tak, z amatorstwa się kocham w przyrodzie. Mój zawód jest całkiem inny — uśmiechnął się, ale nie dodał nic więcej.

— Łaziliśmy dziś po lesie i pan znalazł ciekawe roślinki, ciekawe — przeciągnął Grapsza..

— Kogo tam nosi motorem po nocy? - zaszuchał się w niedaleki warkot, spojrzął przy tym uważnie na swego sąsiada.

— Ech, to doktor. Jakiś pacjent pewnie, Biedak, musi zrezygnować ze swoich węgorzy, To chyba najcięższe umartwienie dla niego — zaśmiała się Mirka.

Niosąc chrust na ogień, Kostek zawadził gałęzią o połę dziwacznej kurty przyrodnika. Błysnęło coś spod niej w blasku ogniska. Kostek aż świsnął cichutko przez zęby, tak go to zaskoczyło. Od tej chwili uważniej spoglądał na dziwnego wczasowicza,

— A gdzież Pietrek. i ten... no, jakże mu... aha., Gabryś? — pytał Grapsza rozglądając się dokoła.

— Pojechali wczoraj do Wojtun. Czekamy ich lada chwila., Odwieźli kajak i rano już mieli wrócić piechotą. Niepokoiły się o nich — objaśniła Mirka..

— Do Wojtun pojechali? Nad rzeką rosną tam bardzo cenne i rzadkie zioła — przypomniał sobie przyrodnik.

Grapsza milczał wpatrzony w ogień.

—A może by tak poskoczyć po nich? — zapytał wreszcie swego towarzysza.

— Można będzie. Ale poczekajmy jeszcze, Przyjemnie się siedzi w tak miłym towarzystwie. Przypominają się czasy młodości, też się podobnie biwakowało. Później możemy pojechać, jeżeli nie wrócą. Zobaczymy po drodze, czy ślimaczki ugrzęzły w tych słodkich pułapkach, cośmy je postawili — zaśmiał się.

Od prawej strony polany, ze ścieżki wiodącej wzdłuż jeziora, wychyłała nagle biała postać, Krut zerwał się, warcząc, Julek poskoczył do przodu. Usłyszeli jego spokojny głos.

— Ależ bardzo się cieszymy, pani doktorowo, prosimy do ognia.

Kostek zauważył porozumiewawcze, pełne zdziwienia spojrzenie

jakie zamienili ze sobą leśniczy i przyrodnik.

— Męża wezwano do pacjenta. Przybiegł jakiś mężczyzna. Mąż, jak to zawsze, od razu za torbę, do samochodu i pojechał. A ja przyznam... — uśmiechnęła się tak rozbrajająco, że wszyscy zaraz zwrócili się do niej ze szczerą sympatią — przyznam, że zaczęłam się bać.

Drzewa miałam już niewiele, więc pomyślałam, że pobiegnę do państwa, przesiedzę, dopóki mąż nie wróci. Można będzie prawda, państwo mnie nie wyrzucicie? - szczebiotała, — Jeszcze mi się latarka popsuła w drodze przez las — uśmiechnęła się przepraszająco. — Tak gadam., ale to z radości, że nie jestem już sama. Nie znoszę samotności, jeszcze w takim pustkowiu i nocą.

Kostek wziął jej rękę latarkę, chwilę przy niej majstrował, zabłysła mocnym światłem, Oddał ją kobiecie z uśmiechem.

— Tylko wyłącznik się zaciął. Proszę, już w porządku.

— Pięknie dziękuję — rozejrzała się, wokoło. Cóż to, pana Pietrka nie ma?

— A nie ma. Boimy się że go zatrzymała jakaś uwodzicielka — trochę złośliwie odparła Zośka.

--- Czekają na niego, miał już rano wrócić razem z kolegą Nawet się niepokoją — nieoczekiwanie wtrącił się do rozmowy przyrodnik wstając i podchodząc do pięknej blondynki, — Widzieliśmy się już wprawdzie, gdy goniąc chrząszcza omal nie zdemolowałem państwu namiotu, ale to były takie szczególne okoliczności, że nie miałem nawet okazji przedstawić się, ...ski jestem — dokończył, ale ani pani Mery, ani nikt z obozowiczów nie dosłyszał w pełni brzmienia nazwiska.

— Bardzo mi miło... Ale wtedy to pan nas naprawdę zaskoczył. Czy to ładnie dla byle żuka straszyć młodą kobietę? — zrobiła nadąsaną minkę.

— Nieładnie, ale to był bardzo rzadki chrząszcz, W tych stronach w zasadzie się go nie spotyka. Bo trzeba pani wiedzieć, że fauna Polski jest bardzo różnorodna i można wykreślić niemal ściśle pasma przebywania określonych gatunków tylko w określonych strefach. Na przykład, jeżeli weźmiemy...

— Czy państwo wypiją herbaty? Bo kawa nam, się już niestety skończyła — przerażona długim wywodem Zośka dosyć obcesowo wtargnęła w słowa przyrodnika.

Herbata była za chwilę gotowa. Pili ją z przyjemnością, rozmowa ożywiła się. Czasem tylko doktorowa spoglądała na zegarek szepcząc:

— Tak późno, Ani mąż nie wraca, ani pan Pietrek.

Ale już zaśmiewała się rozkosznie z dowcipów Kostka, który przysiadł się do niej.

Julek czekał na powrót Bończy. Ale i Marysia nie było widać. Pomyślał, że uparty chłopak gotów był pójść nawet do Wojtun, Podobała mu się koleżeńskość Bończy, zaufanie, jakie

pokładał w Gabrysiu. Od nowa narastał niepokój o tamtą parę. Dochodziła dwunasta, a nic nie świadczyło, aby ktokolwiek z trójki miał zaraz powrócić. Chciał zagadnąć Grapszą i przyrodnika o wyjazd motocyklem na poszukiwania, wstrzymał się jednak z pytaniem, nie bardzo zdając sobie sprawę, dlaczego tak czyni.

Wreszcie dobiegł ich z oddali warkot motoru.

— O, mąż wrócił! — poderwała się pani Mery. — Muszę iść, bo teraz on będzie niepokoił się o mnie... — urwała i zaraz powiedziała głosem nieco zażenowanym. — Skoro wróci pan Pietrek i ten drugi pan, proszę pas powiadomić, bo... bardzo się niepokoję... Pan Pietrek jest taki miły.

Dziewczęta uśmiechnęły się zjadliwie. Kostek ofiarował się, że odprowadzi doktorową. Przyjęła to wdzięcznie, wsunęła mu rączkę pod ramię.

Przyrodnik długo, długo patrzył za oddalającą się parą, westchnął ciężko i zaczął okutą laską złobić dziurę w ziemi.

Od lasu doszedł ostry gwizd. Krut zerwał się machając ogonem.

Maryś — krzyknął Julek z ogromną ulgą.

— Uff, alem się zmachał. Byłem w Woj... — obok Grapszy Maryś dostrzegł przyrodnika, urwał. — Kawał drogi zrobiłem, ale tych łobuzów nigdzie nie znalazłem. Mirka, dasz mi herbaty? — rzekł prosząco.

Skinął na Julka. Odeszli na bok.

— Jak się dostałem do Wojtun? To najciekawsze. Posłuchaj, Poszedłem na przełaj do drogi, która prowadzi już potem wzdłuż rzeki. Tam są takie rozstaje. Dochodzę do nich myśląc, że stąd zawrócę, gdzie będę ganiał po nocy? Nagle słyszę głosy od drogi z Wyrajów. Przyczałem się, diabli wiedzą, kto może być. Idą, jakiś kulawiec i drugi rosły, z paczkami w ręku. Stanęli i drugiej strony wierzby i mówią coś po niemiecku. Ja tam z niemieckim nie bardzo, ale coś bym może zrozumiał. Nie zdążyłem jednak podsłuchać, gdy zawarczał samochód. Skuliłem się, wbiłem w trawę, by mnie nie dojrzeli. Krzak na szczęście był gęsty — tarnina tam urosła — podrapałem się cały. Patrząc, wóz znajomy!.. sąsiada. Stanął, ci dwaj podeszli do doktora, który nawet nie wysiadł, gadali coś szeptem.

Doktor wyłączył światło i zgasił motor. Potem ten wysoki wsiadł do samochodu, a kulawy poczłapał z powrotem. Leżałem jak trusia.

Nie podobało mi się to wszystko... Odczekali jeszcze z pięć minut, potem doktor nacisnął starter, ruszył. Nie myśląc długo, wskoczyłem na tylny zderzak i uchwyciłem się zapasowej opony, Wyjechał na trakt i pognął jak szatan. Wyobraź sobie, dojechaliśmy w ten sposób do Wojtun, widziałem tabliczkę u wjazdu do wsi. Tam musiałem zeskoczyć. Wóz pojechał prosto, potem na lewo, w dół.

— To właśnie do stancy.

— Stanął trochę wyżej. Wtedy ten nocny pasażer wysiadł i poszedł gdzieś w bok. Ja zakolami pognałem do stancy, przyłapałem jakąś dziewczuchę z obsługi. Bo w ogóle to zabawa odchodziła tam na całego. Spytałem, co i jak, trochę się nastraszyła, odpowiedziała, że wyszli już wczoraj. Wracam więc i widzę, że samochód jeszcze stoi ma przygaszone światła. Zaczaiłem się niedaleko i myślę: a nuż powróci do Wyrajów, uczepię się. Niewygodnie, ale zawsze jazda, a nie dyrdanie piechotą. Doktor nacisnął klakson trzy razy, aż zajęczało po wiosce, zjechał trochę w bok, zawrócił i pognał z powrotem. Dobry wóz. Tak. zerwał, że ledwo zdołałem wskoczyć na ten zderzak.

Zdyszał się szybkim mówieniem. Przechylił głowę w bok i zapytał:

— Co ty na to?

— Nic nie rozumiem Doktor, nas guzik obchodzi. Mógł odwozić jakiegoś znajomego.

Chociaż ten kulawy...

— A widzisz? I ja tak myślałem. Tam w lesie też był kulas, nie mogliśmy go dognać. Cwaniak musi to być nie lada.

— Czekaj. Główna sprawa to Pietrek i Gabryś. Jeżeli wyszli wczoraj wieczorem, to już w nocy musieliby tu być. Dobrym krokiem w trzy godziny dojdzie się do nas. A tu zaraz druga noc minie. Trzeba poradzić się Grapszy. Zawołam go..

U ogniska przywitano go wyrzekaniem, że bawią się w jakieś tajemnice. Dziewczęta były, wyraźnie oburzone. Uśmiechnął się, szepcząc coś o męskich sprawach, przeprosił Grapszę. Leśniczy skinął na towarzysza.

— Ależ nie... tylko pana — cicho protestował Julek.

— Rybeńku, wiem, co robię. Ufać można mu więcej nawet niż mnie — twardo jakoś odrzekł leśniczy.

Maryś od nowa opowiedział w skrócie swoją historię. Julek widział, jak w oczach przyrodnika zapalają się nagle błyski, a twarz drga nerwowym podnieceniem.

— Rybeńki, pożyczcie nam Kruta... — I dajcie coś z ubrania każdego z chłopców — rzekł Grapsza.

— Po co? Panowie myślą, że coś złego? — zatrwożył się Julek.

— Nie, ale zawsze lubię być na wszystko gotowy... Leśne nawyki — uśmiechnął się leśniczy.

Bończa pobiegł do namiotów, aby przynieść potrzebne przyrodnikowi części ubioru Gabrysia i Pietrka. Julek spojrział na dziwną parę stojącą przy nim.

— Proszę mi powiedzieć? Czy to naprawdę coś poważnego?

Przyrodnik uśmiechnął się leciutko, właściwie tylko wargi mu się rozchyliły, zaciśnięte dotąd w jeden paseczek.

— Doktor to głupstwo. Może go ktoś poprosił o podwiezienie, więc przystał na to. Natomiast chłopcy mnie niepokoją. Bardzo niepokoją...

Urwał, obejrzał się dokoła i szepnął z naciskiem.

— Proszę pana, jutro, niezależnie od tego, czy chłopcy wrócą czy nie, proszę zachowywać się normalnie. Ten mecz w Wyrajach trzeba rozegrać. I nic nie wolno pokazać po sobie. Sądzę zresztą, że przesadnych obaw mieć nie należy, Tak samo proszę zważać aby nikt z państwa nie spacerował po lesie. Pewien teren będzie jutro zamknięty. Niewskazana jest w nim obecność osób postronnych. Rozumie pan?

— Nie pojmuję sensu...

— O tym dowie się pan później. Obiecuję to panu. Teraz proszę tylko o absolutną dyskrecję.

— Mam jedną prośbę. Panowie chcą jechać na poszukiwanie chłopców, prawda?

— Tak.

— W motocyklu jest trzecie miejsce. Proszę mnie zabrać.

— To miejsce jest zajęte. Poza tym pana obowiązkiem jest być tutaj. Jasne?

Julek był zdumiony i przerażony tym wszystkim, nade wszystko zaś nowym, nieznanym i najmniej spodziewanym tonem i zachowaniem cię dziwnego przyrodnika. Chciał jeszcze protestować, ale właśnie wyłoniła się obok sylwetka Bończa z ubraniem w rękę.

Julek gwizdnął. Krut przybiegł od razu. Poglądził go.

—Krut, pójdziesz z panami.

Pies spojrzał na niego ze zrozumieniem i stanął zaraz przy nodze leśniczego.

Dziwna para zniknęła w czeluściach lasu.

— Bończa, ani słowa o całej historii z doktorem i o pobycie w Wojtunach. Powiesz naszym, żeś łąził po drogach, nie spotkałeś nikogo i wróciłeś. Pamiętaj, od tego wiele zależy!

— Dobra.

— I pokazuj dobry humor. Dziś i jutro.

— Dobra — Maryś uważnie patrzył na Julka, usiłując w mroku wyczytać coś z jego twarzy.

Wkrótce dobiegł go od leśniczówki warkot motocykla. Za oddalającym się motorem popędziło życzenie Julka, aby jego pasażerom powiodło się jak najlepiej.

Poczucie ciężkiej odpowiedzialności legło mu kamieniem na sercu.

Dokoła polany zaległa cisza. Julek czuł, jak w tej ciszy mocno łomocze mu serce. Od lasu i wody szedł jakiś lęk, oblepiał go wilgotnymi mackami.

25. Szukajcie w garbarni

Szarzało, świt wstawał jakby niechętny. Na wschodzie niebo zalegało delikatną żółcią w szuwarach pokrzykiwały ptaki.

Julek zbudził się któryś raz z rzędu, Nie mógł usnąć. Słowo posłowie przetrwał wczorajszą rozmowę z leśniczym i jego tajemniczym towarzyszem. Zastanawiała go tajemnicza lufa pistoletu pod kurtką przyrodnika, o którym powiedział mu Kostek. Niepokój o Pietrka i Gabrysia ciepłą, mdłą falą podpływał do serca, plątał myśli. Otrząsał się z czarnych przypuszczeń, zaczynał rozważać wszystko od nowa, nie miał znaleźć nici łączących pogmatwane sprawy, jakie oplotły ich obóz nad zatoką.

Tajemnicze skrzynie przez nie mniej tajemniczych ludzi wydobyte z jeziora; dwa zamachy na Grapszę, w ogóle jakaś dziwna rola leśniczego w tym wszystkim uporczywe próby wykurzenia ich obozu znad jeziora; spotkanie chłopaków z kulawym jegomościem; kradzież spadochronu, ulotki; wspomnienie Grapszy o dwóch balonikach; pobicie Fajfera; wczorajsze odkrycie Marysia. Sumował znane mu fakty, próbował łączyć je z wiadomościami zasłyszczanymi w pegeerze, od leśniczego, od przyrodnika Bezradnie trząsał głową.

Co się dzieje z Pietrkiem i Jaroszykiem? Gdzie są? Żywi, zdrowi? Przypadek jakiś, który opóźnia ich powrót, czy może nieszczęście? Jaką rolę spełnia w tym wszystkim doktor? Dlaczego przyrodnik mówił o nim wczoraj lekceważąco i raczej życzliwie, gdy relacja Bończy mogła nasuwać inne wnioski?

Pac! Coś ciężkiego uderzyło w płótno namiotu, aż się ugięło i zadygotało. Julek jednym susem wyskoczył na zewnątrz i rozejrzał się w szarzyźnie dopiero co wstającego dnia. Jezioro kołysało się lekką falą, las za to stał spokojny, jakby jeszcze nie rozbudzony po nocy. Nikogo nie było widać w pobliżu. Julek pożałował, że nie ma Kruta.

Obszedł namiot dokoła. W rowku odwadniającym leżało maleńkie zawiniątko. Podniósł je szybko, rozwinął szmatę, owiniętą dokoła kamienia. Wewnątrz znalazł maleńką, brudną kartkę. Przybliżył ją do oczu i odczytał słowa nagryzmołone drukowanym pismem, SZUKAJCIE W GARBARNI!

Garbarnia, garbarnia, gdzie to może być? Nie słyszał o żadnej garbarni w okolicy... Te drukowane litery wiele mówią Kogo szukać? Na pewno chodzi to o chłopców! Co robić? Co robić? Od kogo się dowiedzieć, gdzie jest garbarnia? I co wtedy? Iść tam zaraz, bez zwłoki, zrezygnować z uroczystości w Wyrajach? A wyraźne zastrzeżenie przyrodnika? Tak, ale jakie on miał prawo wydawać zakazy? Może właśnie sam jest jakąś ciemną figurą? Tak nagle tutaj się znalazł, chodzi z bronią, decyduje, ma wpływ na Grapszę... Tak, ale Grapsza z całą pewnością

jest uczciwy... Grapsza zna ludzi, nie dałby się omamić komuś obcemu, przypadkowemu. Dlaczego właśnie wczoraj leśniczy był tak podenerwowany? Kostka nie ma, z kim się tutaj naradzić? Bończa? Tak, Maryś to rozsądny chłopak.

Horyzont na wschodzie rozpalał się teraz mocnymi barwami karminu. Lada chwila miała się wynurzyć zza drzew tarcza słoneczna.

— Maryś!

— Co?

— Nie śpisz?

— Nie. Tak sobie rozmyślam...

Przysiadł u wejścia do namiotu. Smutnie wyglądało posłanie Jaroszyka. Jakby jedną myślą wiedzeni, spojrzeli na nie zgnieciony koc. Bończa westchnął.

— Ktoś rzucił w mój namiot kamieniem owiniętym szmatą.

W środku znalazłem to... Czytaj.

— Chyba o Pietrka i Gabrysia tu chodzi? — Maryś podniósł na Julka swe wielkie, niebieskie oczy.

— Chyba tak... Gdzie ta garbarnia?

— Nie wiem. Nie słyszałem, aby jakaś tu była.

— Co robić? Będziemy dowiadywać się, szukać?

— A jeżeli to nowa pułapka? Może nowy zamach na obóz? Mało to razy chcieli nas stąd wypłoszyć?

— Ale wiedzą, że i tak wszyscy udamy się do Wyrajów.

— Zaraz, a może o Wyraje chodzi? O to, abyśmy właśnie tam się pokazali? Przecież, to boisko, basen w ogóle elzetes kością stoi niektórym w gardle! — gorączkowo próbował domyślić się Maryś.

— A jeżeli jednak o chłopców? Wyobraź sobie, gdyby się im cokolwiek stało, właśnie teraz, gdy otrzymaliśmy wiadomość... Jakbyśmy się potem czuli?!

— Tak, ale dokąd tu iść z pomocą? — Maryś wiercił się na posłaniu, gmerał we włosach, ściągnął wargi. — Wiem! Gońmy do leśniczego i tego faceta z motocyklem. Oni nam doradzą.

— Słusznie, ubieraj się! Bończa przetarł oczy wierzchem dłoni, szybko naciągnął dresy.

— Jaki krwawy wschód słońca — szepnął Maryś.

Julek spojrział na niego uważnie, nic nie powiedział. I jego złowróźnie, nastawił krwisty, jak nigdy dotąd, wschód słońca.

— Starzy ludzie mówią, że -to na wiatr albo na zmianę pogody — próbował uspokajać nie tyle Marysia, ile samego siebie.

Biegli, oglądając się na obóz, dopóki nie zniknął za ścianą drzew. Dziewczęta zostawały same. Bali się o nie,

Cisza otaczała domek rozsiadły na pogrążonej jeszcze w cieniu części polany. Rżysko, nie zaorane dotąd, sprawiało smutne wrażenie.

Drzwi z ganku do wnętrza domu były zamknięte. Julek zapukał w nie mocno.

— Zamyka się. Grapsza nigdy tego przedtem nie robił — szepnął.

W każdym drobiazgu gotowi byli teraz widzieć coś złego, wszędzie szukali nowej tajemnicy.

Leśniczyna uchyliła ostrożnie drzwi wyglądając przez szparę. Wpuściła chłopców do wnętrza.

— Jest mąż? — bez powitania zagadnął Julek.

Potrząsnęła przecząco głową. Twarz miała bladą, jakby zszarzałą, oczy podkrążone.

— Co pani jest? — Maryś przyglądał się jej z przerażeniem.

— Takie życie, dnia ani godziny spokojnej! Tylko ze szpitala wrócił, znów się wdaje w jakies ryzykanckie historie.. — odpowiedziała zdławionym szeptem. — Ja sił już nie mam.

— A ten przyrodnik?

— Razem wyjechali... A co takiego?

— Nie wie pani, gdzie tutaj jest jakaś garbarnia? — Julek rozpaczliwie szukał choć cienia wiadomości, rozjaśniającej mroki.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Kiedy, wróca, nie wie pani?

— Nie wiem.

Stali bezradni, nie wiedząc, co robić dalej. Bończa bezmyślnie patrzył na trzy rowery, stojące w sionce. W pewnej chwili uderzyło go, że nigdy ich tutaj przedtem nie było. Leśniczy miał rower innej marki. Spostrzeżenie to mimochodem przebiegło mu przez myśl. Julek zmarszczył czoło, jak zawsze, gdy podejmował ważną decyzję.

— Jeżeli będzie okazja dać znać mężowi, co powiedzieć? — rzekła jakby z wahaniem leśniczyna.

— Będzie pani mogła? Jakim sposobem?

Zawahała się.

-- Nie wiem, pytam na wszelki wypadek.

— Niech pani powie, że ktoś podrzucił nam kartkę takiej treści: „szukajcie w garbarni”. Może to im coś wyjaśni. Gdyby pan Grapsza wrócił niech się natychmiast skontaktuje z nami... Do widzenia pani.

Na polanie, tuż koło lasu, kędy wiodła droga, przystanęli bezradni. Wolnym krokiem, nie

mówiąc nic do siebie, ruszyli z powrotem do obozu. W pewnej chwili ogarnął ich lęk o dziewczęta. Zaczęli biec.

Nagle zza dużego, gęstego jałowca wysunął się jakiś człowiek w butach z cholewami, w jasnej, drelichowej bluzie wojskowego kroju.

— Dzień dobry, panowie.

Julek zmarszczył brwi, przystając zaskoczony. Skądś pamiętał tę twarz. Ale skąd? Nagle stanął mu w pamięci obraz podróży „Gawronem” z Wojtun, gdy nie opodał wlotu na Jezioro Gardyńskie zatrzymał ich patrol milicji. Te był ten sam podoficer, który tak uważnie kontrolował wtedy ich dokumenty. Odetchnął z ulgą.

— Dzień dobry. Słucham pana?

— Czy się coś stało? Mam obowiązek nieść panom pomoc w razie potrzeby — wyjął z kieszeni małą legitymację i ukazał ją chłopcom przykrywając jednak palcem nazwisko. Była to legitymacja wydana przez Komendę MO w Olsztynie. Julek był coraz bardziej zdziwiony.

— Tak. Otrzymaliśmy wiadomość tej treści: „szukajcie w garbarni”, Domyślamy się, o co chodzi, ale nie mamy pojęcia, gdzie się znajduje garbarnia — pamiętając o przestroгах przyrodnika,

Julek nie był pewien, na ile ma prawo, ujawnić te sprawy przed podoficerem, milicji.

Ten uśmiechnął się lekko, ale wyraz troski i bacznej uwagi nie zniknął z jego oczu, przysłoniętych krzaczastymi, czarnymi brwiami.

— Przypuszczam, że to wiąże się z miejscem pobytu waszych kolegów, Wiadomość ważna, choć może też być fałszywym tropem. Czy więcej nic nie zaszło?

— Nic.

— To ważna wiadomość. Dziękuję. Zaraz ją prześlemy, gdzie potrzeba. Panowie zaczekają...

Wszedł do lasu, zagwizdał cieniutko dwa razy. Nie wiadomo skąd wyłonił się nagle inny mężczyzna w cywilnym ubraniu. Podoficer szeptał mu coś przez dłuższy czas. Chudy, wysoki młodzian pobiegł do leśniczówki. Nie minęła chwila, a pedałowal, już na rowerze. Bończa skojarzył sobie teraz widziane u leśniczego rowery z ludźmi kryjącymi się w lesie.

Podoficer znów podszedł do nich.

— Gdzie jest ta garbarnia? — zapytał go Julek. — Chcemy ratować kolegów.

— Przepraszam, ale obowiązuje surowy zakaz oddalania się poza obręb obozu i wioski — odpowiedział uprzejmie, ale stanowczo.

--- Dlaczego, jakim, prawem? — zachnął się Bończa. — Tam może nasi koledzy... — urwał, przerażony myślą, która mu przyszła do głowy.

— Jeżeli cokolwiek tylko będzie można im dopomóc, na pewno to zrobimy. Panowie macie inną rolę. do spełnienia. Jakby nigdy nic, bądźcie obecni na otwarciu koła elzetesu.

— Daj pan spokój z elzetesem i Wyrajami! — wybuchnął zrozpaczony Julek. Nie mógł niczego pojąć, wydało mu się nagle, że zakazem tym czyni się im straszliwą krzywdę. — Przecież to nasi koledzy....

— Nie mam czasu na długie rozmowy — jegomość o krzaczastych brwiach cofnął się pod osłonę krzewów rosnących koło drogi. -- Proszę mi wierzyć, że rola wasza dla utrzymania odpowiedniego nastroju w Wyrajach jest niezmiernie ważna. Może to właśnie najbardziej dopomoże waszym kolegom... Nasze spotkanie i rozmowę proszę traktować jako ścisłą tajemnicę. Do widzenia — cofając się w las, uśmiechnął się do nich po raz pierwszy życzliwie.

— Rozumiesz cokolwiek? — zapytał wreszcie Maryś, gdy już zbliżyli się do zatoki.

— Nic. Ale. to jakaś wielka sprawa, przypuszczam, że Pietrek z Gabrysiem w jakiś sposób zaplątali się w nią.

-- A może narobili jakichś głupstw i są aresztowani? — zawahał się nagle Maryś.

— Nie wymyślimy wiele. Trzymajmy fason i róbmy co można w Wyrajach — rzekł nagle Julek i uśmiechnął się z wysiłkiem. Dziewczęta już wstały, kąpały się właśnie jak co ranka,

— Gdzieście się włóczyli od rana? — wołała zagniewana i zarazem zaniepokojona Zośka, — Kawalerowie, zostawiają damy samotnie.

— Mieliliśmy ochotę na jajecznicę, chodziliśmy do leśniczyny po jajka, ale wszystkie wyjadł przyrodnik — żartował Julek, ale głos jego brzmiał sztucznie.

Zośka nie zwróciła na to uwagi.

— Przecież są jeszcze... Co wam łązi po głowach? — biegła teraz po brzegu, sypki piasek obsypywał się pod jej stopami. Ciemne włosy odrzuciła do tyłu, poruszając się elastycznie i zwinnie.

--- Mirka już dopływała do brzegu.

—Wiecie, dzisiaj naprawdę jestem niespokojna, co się stało z chłopcami — szła im naprzeciw ociekając wodą.

Zośka zatrzymała się z patelnią w ręce, w twarzy jej znać było pełne napięcia oczekiwanie.

— Guzik! Dajcie spokój jakimś obawom. Ręczę, że dzisiaj wrócą. Zabawili się na pewna w Wojtunach. Tam stacja, przepływa masa kajaków są ładne dziewczęta. Na pewno tańczyli do upadłego, a teraz odsypiają i nie chce im się wracać... — z udanym lekceważeniem tłumaczył Julek.

— A Wyraje? To byłoby zwykłe świństwo z ich strony — zachnęła się Mirka.

— Będziemy ich sądzić, jak wrócą. Teraz trzeba zjeść solidnie, żeby nie nawalić przy siatce

— pojednawczo odezwał się Maryś.

— Jak sobie chcecie — burknęła Mirka, ale zaczerwieniona jej twarz mówiła wyraźnie, że wcale nie jest skłonna lekko traktować niesolidności kolegów.

Dzień wstał równie piękny, jak wszystkie poprzednie, tylko bardziej wietrzny, Fale jeziora przystroily się w małe grzywki, z impetem uderzały o brzegi i pomost. Od lasu szedł przeciągły szum, wierzchołki drzew drżały silnie, dowód, że wyżej wiatr był jeszcze mocniejszy.

— O której ma być to całe zebranie? Teraz siódma — rzekła Zośka spoglądając na zegarek.

— O dziewiątej. Myślę, że pójdziemy wcześniej. Ponosi mnie, aby być już w Wyrajach — powiedział Julek, którego ponosiło zupełnie coś innego i dlatego ze zdenerwowania nie mógł usiedzieć na miejscu.

Fajfer przywitał ich w wiosce z nowiną, że goście z powiatu już są. Przed chwilą przyjechali samochodem, pięć osób. Oglądają teraz basen nad jeziorem.

— Całą kupę tłumoków przytaskali ze sobą. Widziałem nawet dwa oszczepy przywiązane do dachu. Józek się postarał, morowy chłop — cieszył się jak dziecko, zapominając nawet zapytać się o Pietrka i Gabrysia, Dopiero gdy zaczęli mówić o rozstawieniu przy siatkówce, przypomniał sobie.

— Choroba, jak my poradzimy bez nich?

— Ech, damy radę. Dziewczęta będą sędziować na zmianę. Wittle prosił, aby grali tylko mężczyźni. To dla nich punkt ambicji — zaśmiał się Julek. — My dobierzemy na piątego Janka, i dobra. Można i Lipienia, ale... on słabo gra.

— No to świetnie. Nawet jeżeli przegramy, to nie szkodzi. Chodźmy do szkoły, już się tam młodzi zbierają. Wittle od świtu kreci się po wiosce.

Julek pomyślał o kamieniu z tajemniczą kartką. Pochodziła na pewno od przyjaciela, wyczuwał to, nie mając wprawdzie żadnego dowodu. Czyżby Michał?

W największej izbie szkolnej duszno było i tłoczno jeszcze przed oznaczoną godziną. Mimo otwartych okien żar buchał do wnętrza jak z rozpalonego pieca. Młodzi z zatoki obserwowali zebranych.

Młodzież zjawiała się chyba w komplecie. Ciekawszym zjawiskiem była obecność sporej liczby ludzi starszych, nieraz w mocno podeszłym już wieku.

Rozpoczęła się zwykła procedura zebraniowa. Julek miał obawy, że przyjezdni wprowadzą tutaj szablon posiedzeniowy.

Zebrani zrazu milczeli, jakby z nieufnością słuchając słów przewodniczącego, a następnie delegata elzetesu. Nastrój jakby ochłódł, umilkły szepty.

Julek ujrzał bladą wymęczoną twarz Wittlego. Tylko niesforne włosy jak zawsze wicherzyły

mu się na głowie. Siedział z zaciśniętymi dłońmi, chwilami spoglądał na grupę znad zatoki jakby z pewnym zdziwieniem.

Zacząły się wybory. Nazwiska padały zgodnie z przewidywaniami. Rozpoczęło się tajne głosowanie na małych kartkach składanych na ręce Józki Glacy, przejętej, z wypiekami na twarzy celebrującej swą funkcję.

Nastała długa chwila oczekiwania.

Obliczono głosy Zarząd został wybrany zdecydowaną większością. Trzy osoby z pegeeru, reszta z wioski. Wybrani opuścili izbę szkolną dla ukonstytuowania się. Wrócili bardzo szybko. Przewodniczącym został Wittle, zastępcą Janek, traktorzysta z pegeeru, sekretarzem Lipień, kierowniczką sekcji żeńskiej wybrano czarną Ernę.

— Pietrek by się ucieszył — szepnął Bończa do Zośki.

Julka dziwiło, że nastrój wśród zebranych nadal jest raczej chłodny. Józef Milski spoglądając na wniesione przed chwilą spore paczki niedbale owinięte papierami, powiedział o decyzji władz sportowych, aby za okazany zapal i organizację boiska przydzielić nowemu zespołowi ubiory i sprzęt sportowy. Zaczęto rozpakowywać paczki, ale nagle dłonie zajętych przy tym osób zatrzymały się w powietrzu, wszystkie głowy zwróciły się ku oknom.

Z daleka, zgłuszone jakby przestrzenią, dobiegały aż tutaj ostre strzały, Z początku były to pojedyncze echa, a potem, gdzieś daleko, rozjazgotały się długie serie, ostre, ciężkie. Odpowiadały im następujące po sobie krótkie, ale nieustanne pacnięcia, jakby ktoś wysuszonym grochem walił o ścianę.

—Co, u licha?

Mogło to być próbne strzelanie, ale mogła też toczyć się walka na śmierć i życie. Kilku mężczyzn podskoczyło do okien, jakby stamtąd chcieli lepiej słyszeć, jakby myśleli, że wzrokiem przenikną przestrzeń..

— Na pewno karabin maszynowy — szepnął Fajfer, powiódł dokoła spojrzeniem, przstraszył się bladej twarzy Julka, pałających jego oczu, warg zaciśniętych tak, że znaczyły się ledwo dostrzegalną linijką. Obok drżał Bończa jak wystraszone dziecko. Ludzie spoglądali po sobie nic nie rozumiejąc. Cisza, przerywana dochodzącą z daleka strzelaniną, przeciągała się.

— Za jeziorem!

— Jakby od starej garbarni...

— Nie, chyba jeszcze dalej!

Ciche szepty spływały z ust i zaraz milkły. Julek słysząc słowo „garbarnia" drgnął silnie! Osadził go na miejscu czyjś mocny wzrok. To Michał patrzył na niego, a w oczach jego czał się straszliwy wyrzut, że aż Julek zwinął się w sobie. Zrozumiał. Wittle zapytywał, dlaczego nie

wykorzystali ostrzeżenia przesłanego im dzisiaj rano. Tak, to na pewno on rzucił kamień albo ktoś za jego wiedzą. Dlaczego nie rabowali swoich? Dlaczego?

Zmagał się wewnętrznie. Był przecież surowy zakaz. Tak, ale czy zakaz usprawiedliwiał bezradne opuszczenie rąk, powierzenie innym sprawy? Czy można tak postąpić?

Przewodniczący PKKF chrząknął, uznając, że przeciągające się milczenie na sali jest niewłaściwe. Powiedział głośno:

— Tak, jakaś strzelanina, pewnie, ćwiczenia. Nad Beldanem jest obóz strzelecki.

Ludzie odetchnęli. Mało kto uwierzył słowom Milskiego, ale już sam fakt, że przerwał złowróżbne milczenie, zmienił nastrój. Poruszyli się wszyscy na ławkach, rozległy się chrząkania i pokaszliwania. Zaszleścił od nowa papier, na stole rozkładano komplety koszulek i spodenek, piłki, siatkę, w rogu stanęły dwa oszczepy, lana kula potoczyła się ku środkowi izby. Twarze niektórych młodych rozpromieniły się, zerwało się kilka okrzyków radości.

Julek za wszelką cenę starał się zapanować nad sobą. Udało mu się to wreszcie. Przywołał, nawet nikły uśmiech na bladą twarz. Czuł, jak z troską obserwuje go Mirka, sięgnął po dłoń dziewczyny, uściskał ją mocno. Uścisk ten więcej powiedział obojgu niż wszystkie wyrzeczone dotąd najczulsze słowa.

Mjlski w paru słowach zakończył zebranie, wzywając starszą ludność do pomocy młodym i ze specjalnym apelem zwrócił się do sołtysa, siedzącego z głupawą miną.

Rozległy się nikłe brawa. Bończa pomyślał, że albo ci ludzie tutaj nie znoszą zebrzań, albo wspomnienie dziwnej strzelaniny, która już zresztą dawno zaciחła, zwarzyło tak nastrój.

Z ulgą wysypali się wszyscy na dwór. Wittlego otoczyło zaraz grono chłopaków, spoglądających na niego z jeszcze większym niżeli zazwyczaj szacunkiem, Julek chciał się zbliżyć do niego, ale Michał wymanewrował sprytnie, unikając spotkania.

Humory poprawiły się dopiero na boisku. Członkowie dopiero co powstałego koła z satysfakcją rozwieszali nową siatkę. Piłka wspaniale odbijała się od ziemi. Drużyna Wyrajów stanęła już w nowych koszulkach. Ładnie wyglądali, sami spoglądali na siebie z uznaniem, urośli od razu we własnych oczach.

Zatoka musiała dokooptować traktorzystę Janka. Po przeciwnej stronie zauważono brak mechanika, najsilniejszego punktu drużyny. Gwizdek, Mirka dała sygnał do rozpoczęcia. Silny wiatr utrudniał grę.

Julek początkowo nie mógł się rozruszać, jakby chaos w głowie paraliżował także i ciało. Potem jednak zapalił się, ścinał, odbierał piłki zdawało się już stracone, stał się najlepszym graczem po swojej stronie. Zatoka wygrywała nieznacznie, ale stale.

— Nie ma mechanika, inaczej by to wyglądało — jakby z żalem powiedział ktoś z

przeciwników.

— Obejdzie się, mała strata! — ostro zgasił go Wittle, ścinając z rozmachem piłkę. Spadła na ziemię, spora grupka widzów asystująca grze powitała to oklaskami.

Julek spojrział na niego ze zdziwieniem, ale i jednoczesnym rozradowaniem.

Przy zmianie boiska, pożegnali się goście z powiatu. Odjeżdżali życząc sukcesów nowo powstałemu kołu. W rejwachu, który się przy tym zrobił, Julek zauważył zdyszana leśniczynę. Podeszła do niego, szepnęła w ucho:

— Są chłopcy.

Uchwycił ją za rękę. W oczach zapaliła mu się ogromna radość.

— Są? Obaj?

— Tak, Pan major prosił zawiadomić...

— Major?

Zmieszała się.

— Ech, tego, no przyrodnik.

Teraz dopiero zrozumiał. I tę broń, która tak zdziwiła Kostka, i te rozkazy ubiegłego wieczoru. Przywołał Bończę.

— Wrócili obaj. Są w leśniczówce. Podaj naszym, ale cicho, bez szumu.

Ujrzał nie opodal skołtunioną czuprynę Michała. Był smutny i jakby podenerwowany. Podeszedł do niego. — Michał, nasi wrócili.

— Gdzie są?

— W domu, zmęczeni, odpoczywają.

Wittle uchwycił mocno dłoń Julka i potrząsnął nią serdecznie.

— To dobrze, dobrze.

Dobra nowina jakby wzbudziła nowe siły w drużynie z zatoki. Szczególnie Kostek rozegrał się teraz, swymi ścięciami siał popłoch wśród przeciwników. Widzów wciąż przybywało, nadeszło wielu starych, siedzieli na murawie albo stali ćmiąc papierosy i gwarząc. Zapanował jakiś bardzo przyjemny nastrój.

Gra w miarę zbliżania się końca stawała się ostra. Żadna ze stron nie chciała już stracić ani jednego punktu, piłka fruwała nad siatką, mocne uderzenia kłaśnięciami przecinały powietrze. Kibice okrzykami witali celniejsze zagrania. Chyba pół wsi zebrało się przy boisku.

Właśnie Kostek, odbił piłkę, zakreśliła się nad siatką, już ją podbijał mały blondasek, przyjaciel Michała, gdy nagle drgnęli wszyscy, bo od strony pegeeru dobiegło przeraźliwe, silne bębnienie w żelazo.

Niemal równocześnie zawtórował mu od wsi podobny dźwięk. Z dwu stron złowróżbne,

przenikliwe echa dobiegały zebranych. Ludzie zerwali się z miejsc, niepewnie spoglądali wokoło.

— Pożar, pożar!

— Pali się....

— Ale gdzie?

Majątkowi na przełaj gnali już do siebie. Reszta zebranych oglądała się gorączkowo. Od wsi tupotały czyjeś nogi. Mali chłopcy biegli z krzykiem.

— Las się pali! Las...

— Las! O, tam! Tam!

Nad wierzchołkami drzew wznosiła się wielka chmura dymu. Ciemna,; czarna niemal, rozprzestrzeniała się w oczach, zagarniała jasne, rozbłękitnione niebo.

— I tam! Tam też! — podniósł się czyjś trwożny okrzyk, wyciągnięta dłoń wskazywała inny kierunek, gdzie również, wstawał nad lasem ponury, snujący się dym.

Przeraźliwe dzwonienie od majątku i wsi nie ustawało.

— Po łopaty i siekiery! Wszyscy! — ktoś przejął komendę Rozsypali się. Zatupotały nogi, z drogi podniósł się kurz, stanął siwym tumanem.

— Taka susza — sepleniał jeszcze jakiś staruszek rwąc do wioski, ile mu sił starczyło —Taka susza, popali wszystko, zmiłuj się. Jezu Chryste!

— Do obozu po narzędzia! Do obozu! — krzyknął Kostek.

Pobiegli, aż im tchu brakowało, aż dech zapierało w piersiach.

Czapy dymu rozszerzały się, snuły coraz groźniej nad lasem, zagarniające wciąż nowe i nowe połaci.

Dzwonienie na alarm wieściło trwogę.

26. Więźniowie

Gdy w obozie nad zatoką niepokoił się o Pietrka i Gabrysia, obaj chłopcy przeżywali najbardziej barwny film swojego życia, tym bardziej emocjonujący, że sami stali się w nim głównymi, choć mimowolnymi bohaterami.

Dziwaczna i śmieszna zarazem była ta. ich piątkowa jazda kajakiem do Wojtun. Od chwili pojedynku na pieści nad jeziorem Malinówko rywalizowali z sobą w sprawności fizycznej. Szczególnie Pietrek głęboko w duszy chował urazę do Gabrysia za swoją przegraną. Marzył o chwili, kiedy zatriumfuje. Nie mieściło mu się w głowie, że on głośny zabijaka w liceum, któremu nikt nie mógł sprostać, musiał prosić o litość tego dragala.

Od samego początku wzięli ostre tempo. Tak minęli jezioro, wjechali na rzekę, rwali pod prąd, omijali płycizny, lawirowali wśród płycizn tarasującego nurtu zięlska, przesmykiwali się wśród zwałonych pni drzew. Urywana rozmowa ustała w końcu zupełnie, wieś Nowy Młyn zginęła w lasach za nimi, prąd rzeczki stał się ostrzejszy, wzmogli tylko wysiłek. Obaj radzi by już byli odpocząć, żaden jednak nie chciał pierwszy złożyć wiosła. Oczekując tak na inicjatywę partnera, zagarniali wodę silnymi pchnięciami, aż tworzyły się małe wiry i zostawał za nimi drgający pas piany. Pietrek w pewnej chwili poczuł omdlenie w rękach. Szczególnie silny ból odczuwał koło łokci. Zaciśnął zęby, wiedząc, że skoro się przetrwa najcięższy moment załamania, to potem mięśnie wprawia się już i niemal automatycznie będą pracować przez długi czas. Pamiętał swoje treningi wioślarskie; nieraz myślał, że nie wytrzyma, nie potrafi ani razu zagarnąć wiosłem, ale zagarniał, bo sternik ciągle ponaglał jednostajnym, miarowym pokrzykiwaniem. I wreszcie moment krytyczny mijał, znów czuł się mocny, mięśnie przeżyły się pełne siły. Teraz było tak samo. W pewnym momencie przestał odczuwać zmęczenie, lekko przechylony do przodu wiosłował jak automat, niekiedy tylko muskając brzegi przelotnym spojrzeniem. Słyszał posapywanie Gabrysia, czuł dotyk jego nóg, gdy ostrzej naciskał ster.

Dotarli do Wojtun jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Pietrek z niedowierzaniem obejrzał się na most, pod którym przepłynęli. Jeszcze parę zakrętów, brzeg usiany licznymi kładkami, wreszcie stacja. Kajak z impetem wbił się w jasny piach, Złożyli wiosła, wygramolili się z kajaka, czując, jak nogi im ścierpły. Spojrzeli po sobie, wybuchnęli radosnym, serdecznym śmiechem. — Aleśmy gnali, patrz, jeszcze słońce nie zaszło...— Nadrobiliśmy z półtorej godziny. Można, by stawać do mistrzostw, kurdefelek!

— No, machaj do tego szefa, zdaj kajak i będziemy myśleć, co dalej robić.

W stacji kręciło się zaledwie parę osób. Pan Kitajczak nawinał się zaraz na wstępie, rubasznie przywitał Pietrka, nie miał pretensji o przetrzymanie kajaka.

--- Ale — dodał — dobrze, żeś pan go przywiózł, bo za trzy dni mam przegląd, przyjeżdża komisja z Olsztyna, musiałbym się tłumaczyć.

Pietrkowi zrzędała trochę mina, miał bowiem nadzieję, że wypożyczy kajak na sierpień. Westchnął, zapytał, czy mogliby przenocować z kolegą.

— Można, można. Dziś rano odjechał turnus, dopiero jutro oczekuję następnej grupy. Mam trochę kleni, usmażymy, popijemy przy tej okazji — uśmiechnął się jowialnie drapiąc się po kosmatych

nogach, czarnych niemal od opalenizny.

— Nikt tu dziś nie przyjdzie, żadnych babek nie ma do tańca — raportował Pietrek oglądającemu stację koledze:

— Wiesz co, ganiajmy z powrotem. Droga, prosta, nie zbłądzi się, trzy godziny i będziemy na miejscu. Co ty na to?

— Kierownik zapraszał na kolację, będzie wódka. Wypiłoby się... — wahał się Pietrek.

— Aha, i jutro będziesz miał kaca, zblaźnimy się przy siatce. Guzik z tego picia. Idziemy.

Słońce dopiero co zaszło, cienie spowijały ziemię, ale jeszcze było dość jasno, Pietrek tęsknie obejrzał się na stanicę, machnął zrezygnowany ręką.

— Za trzy godziny nie dojdziemy, cztery... Nie będziemy przecie ganiać w takim tempie jak kajakiem.

Zaśmiali się i zgodnie pomaszzerowali drogą wiodącą w kierunku Wyrajów.

W okienkach domów wioski pokazywały się mocne światła, prostokątami blasku ścielące się w poprzek drogi. Wspomnieli pozbawione elektryczności Wyraje.

Właśnie księżyc wychylał ciekawą, czerwoną gębę zza horyzontu, Niebo zaiskrzyło się gwiazdami, tym większą czernią kontrastowały z nią ciemne kontury niedalekiego lasu. Rześki, łagodny chłód opadł na ziemię wraz z rosą na spieczone przez dzień ciała spływał lekki dreszcz.

— Głodny jestem, kurdefelek. Zośka na pewno nic nie zostawi, czekają nas przecie dopiero jutro.

— Coś się tam znajdzie... Wiesz, Pietrek, tak mi się coś wydaje, że przeżyjemy nad zatoką niewąską drakę — rzekł nagle Gabryś.

— Ja tych skrzynek odżałować nie mogę. Ciągłe mi chodzi po głowie, co też w nich mogło być, że tamci aż o skafander się wystarali? Znikło wszystko bez śladu. Milicja nasza do chrzanu, taką sprawę przegapić.

— A gdzie teraz? — stanęli na rozstaju.

— Na prawo, musimy trzymać się bliżej rzeki. Tędy wyjdziemy na Nowy Młyn, dalej znam drogę. Może i dobrze, żeśmy się teraz wybrali, będzie jutro trochę czasu. Wyskoczyłbym sobie na rybkę... Tylko że ten facet od żuków łódkę zabrał. Dacie mi kajak? — zapytał z nagłą nadzieją w głosie.

— Możesz brać, A nie łatwiej ci będzie podymać do niej na piechotę? Jak brodacza nie będzie, to pojedziecie kajakiem — zadrwił Gabryś, zdając sobie sprawę, że myśli Pietrka popłynęły w kierunku pięknej pani Mery.

Gabryś chichotał. Amory Pietrka stanowiły dla niego i Marysia temat dla różnych przedrwinek.

— Pół drogi mamy za sobą. Jakiś kilometr i będzie Nowy Młyn. Jakeśmy tu zjeżdżali „Gawronem”, obmacywał nas koło tej wioski patrol milicji. Dziury w całym szukali — przypomniał sobie Pietrek.

— Patrz, samochód — dobiegł ich warkot motoru, a w chwilę potem ukazały się reflektory.
— Kogo tam nosi nocą po takich wertepach?

— Wszystko na opak w tym kraju, kurdefelek.

— Jedzie do nas. Nie, przygasił światła, stanął... Teraz skręca na lewo, tam musi być jakaś droga — Gabryś z zaciekawieniem śledził manewry samochodu. — Stanął. Zgasił światła.

*Na lewo most, na prawo most,
a dołem Wisła płynie.*

Pietrek zaczął nucić lekko ochryplym głosem, ale towarzysz powstrzymał jego zapędy mocnym kuksańcem pod żebro.

— Co on tam robi? Romansik w cieniu przydrożnych lip? Ciekawe...

— Zostaw go. Robi, co chce.

— Ja bym jednak zobaczył. Zjechał w bok, wygasił światła... Tam nie widać żadnego budynku. Blisko, jakieś dwieście metrów, niby idziemy drogą, nikt nie może zabronić... — namawiał Gabryś szeptem.

Pietrka również zaczął intrygować dziwny samochód, Może podziałała sugestia Gabryś, dosyć że nie. protestował już w więcej. Przeszli na lewą stronę drogi, posuwając się cicho pod osłoną krzewów, choć i tak w panujących ciemnościach trudno było ich dojrzeć.

Na lewo wiodła polna droga, wyboista, pełna kamieni. Przystanęli. Cisza, nie było nic słychać.

— Może temu kierowcy coś się stało? Zasłabł — domyślał się Gabryś.

— Podejźmy cicho, bokami. Wóz musi być niedaleko... Skradając się jak koty, uszli niewiele ponad sto kroków, Wysokie lipy po obu stronach drogi pogłębiały cień, nic w nim nie można było rozeznąć. Posunęli się jeszcze trochę do przodu. Gabryś całą siłą złapał Pietrka za ramię.

— Co ty... — zachnął się Pietrek.

— Słuchaj — tchnął w ucho kolegi.

Z odległości kilkunastu metrów, może trochę więcej, usłyszeli ciche klangotanie, przerywające się na krótkie chwile i znów wzbierające na mocy, Gabryś ścisnął ramię Pietrka żelaznym uchwytem, Ten spojrział na przyjaciela, zobaczył w ciemności jego żarzące się, wyolbrzymione nagle oczy.

— Ja się na tym znam... Byłem na kursie krótkofalowców, To iskrówka... Ktoś nadaje... Uważaj, jesteśmy świadkami wielkiej gry...

Pietrek zadrżał, w pierwszej chwili ogarnął go lęk. Jeżeli ktoś nadaje wiadomości iskrówka gdzieś na bezdrożach, nocą, w ukryciu, jasne, że czynić to może tylko wróg Ale wróg taki na

pewno jest Uzbrojony, cóż więc oni tutaj poradzą? Na chwilę przypomniał sobie swoje zachowanie na Czarnej Wyspie, ogarnęła go chęć .zmazania plamy tamtego tchórzostwa. Już się nie bał, spojrział pytająco na Gabryś, w jego jarzące się teraz jak neon oczy.

— Podsuńmy się bliżej — Jaroszyk mówił tak cicho, jakby to szeleściły skrzydełka owada.

Skradali się pod osłoną krzaków. Nawoływanie iskrowki było coraz wyraźniejsze. Wypatrywali oczy w ciemności. Przycupnięty u stóp wysokich drzew stał samochód, przez korony drzew padało jaśniejsze pasmo, odbijające się w lakierze karoserii.

— To wóz doktora Gintera — zadrżał Pietrek. Gabryś znów ścisnął mu ramię ostrzegawczo.

Przysunęli się jeszcze o parę kroków. Zatrzeszczała jakaś zeschnięta gałązka, osunął się kamień. Zamarli, tłumiąc dech w piersiach. Słyszeli najwyraźniej: tik-tak-tak-tak, przerwa, i znowu: tik-tik-tak-tak... Parę razy we wnętrzu samochodu błysnęły jakby iskierki. Nagle coś zachrząściło z tyłu, obejrżeli się, nie zdążyli odskoczyć, na ich przerażone twarze spłynął strumień mocnego światła Gabryś uczył, jak coś wali go w łeb .ze straszną siłą. Osunął się na ziemię, dosłyszał jakieś przekleństwo wypowiedziane w języku niemieckim, dojrzał, że światło gaśnie, chciał ostrzec Pietrka, ale tylko coś wymamrotał i stracił świadomość...

Pietrek uskoczył w bok, światło zgasło, jakieś piekielnie silne dłonie dławily mu gardło, że aż oczy wylazły mu na wierzch, poczuł brak tchu, szarpnął się, zacharczał, walnął pięścią na odlew, raz, drugi, ale tamten mimo ciosów nie puszczał. Zadudniły obok inne kroki, zamigotało przed oczyma chłopca. Poczuł się strasznie. Zacisnął kurczowo palce, aż poczuł wreszcie, że ucisk duszącej dłoni rozluźnia się, popuszcza zupełnie. Powietrze napłynęło znów do płuc, ale ból straszny rozsadzał mu piersi, serce łomotało, powieki opadały na oczy... Wiedział, że go niosą, kładą na ziemi, a właściwie rzucają jak toból, słyszał przyciszoną rozmowę. Nagle zabolalo go mocne ukłucie w ramię, zamrugął powiekami oślepionymi silnym światłem. Dosłyszał słowa: *Verflucht. Derselbe.*

Więcej nic już nie pamiętał.

Ocknął się ze strasznym bólem głowy. Miał uczucie, jakby ktoś ścisnął mu czaszkę żelaznymi kłami. Otworzył oczy. Było zupełnie ciemno. Struchlał; ostrożnie przesunął dłonią około siebie. Dotknął jakiegoś materiału, pomacał ostrożnie cofnął dłoń. Wtedy usłyszał stłumiony szept.

— Pietrek?

— Ty, Gabryś?

— Tak...

— Gdzie my jesteśmy? Co to było?

— Nie wiem. Zbudziłem się w aucie, pędziło jak szatan, rzucało tylko na strony. Pycha

motor, chyba od lepszego wozu niż opel.

— Potem szczegóły. Dokąd nas przywieźli

— Nie wiem. Dobrze, że nie zakatrupili...

Umilkli. Pietrek jęknął łapiąc się za głowę. Usłyszał odpowiedź w cichym jęku Gabrysia.

--- Co ci?

— Łeb mam rozharatany. Musiał walnąć mnie kolbą...

— Krwawisz?

— Teraz mniej, przyschło pewnie... Ale ty długo spałeś...

— Jak długo?

— Nie wiem, zegarek mi zdjęli, dranie... Tak myślę.

Urwał, po chwili zapytał, w głosie jego wyczuwało się podniecenie:

—Pietrek, czy ty dostałeś jakiś zastrzyk?

— Nie wiem... Aha, coś mnie jakby ukłuło w rękę, gdzieś tutaj. Czekaj — macał się, syknął.

— Jest opuchnięcie i strupek krwi.

Czemu myślisz, że to był zastrzyk?

— Jak się ocknąłem i wreszcie wóz stanął, to jeden pytał drugiego, czy mnie też wstrzyknąć.

Ale tamten powiedział, że nie, bo i tak nieprędko oprzytomnieję.

— Aha...

Milczeli, jakby zbierali myśli. Wszystko to było tak dziwne i nie codzienne, że wydawało się podobne do złej bajki, którą ich straszono za lat dziecińczych.

— Gabryś?

— He?

— A nie widziałaś, dokąd nas przywieźli?

— Nie. Jakby jakieś podwórko... Pachniało siano czy coś takiego. Potem nas nieśli, ale musiałem zemdleć, bo nic więcej nie mogę sobie przypomnieć. Słyszałem tylko jakieś głosy, jakby ich było więcej niż dwóch.

— Ale ten doktor... A cholera, głowę bym dał za niego.

— Jak myślisz, to szpieg?

— No pewnie, kurdefelek Po cóż by nadawał sygnały iskrówką?

Pietrek zajączał mocniej.

— Co się stało?

— Nic. Pomyślałem o Mery. Czy ona się domyśla, co robi ten jej rudzielec? Wyjeżdża niby to do pacjentów, a on tu szpiegowską robotę odwala.

— Kto wie, czy ona nie jest z nim .w znowie?

— Dureń jesteś.

— Sam dureń. Takie baby świetnie się nadają do szpiegowskiej roboty, Ot, usidlić kogo, wyciągnąć jakieś wiadomości — zachłysnął się nagle własnymi słowami, aż musiał przełknąć ślinę. — Pietrek, czy ona ciebie wypytywała o coś, no choćby o nas, jakeście się spotykali?

— Eee, nie...

— Aż tymi skarbami? Patrz, to by świetnie pasowało, wiedzieli, kiedy nam zniszczyć kajaki i łodzie.

— Eee, nie pamiętam.

— Dureń jesteś. Będiesz może teraz jej bronił, kiedy tu sprawa jasna?

— Zostaw. Już nic nie wiem. Może i prawda. Oj, Mery, Mery, a ja ci tak ufałem — zajęczał Pietrek.

— Idiota, romantyk.

— Zostaw i tak nas tu ukatrupią.

— Może być. Tylko czemu tego nie zrobili od razu?

— Może im wtedy nie było wygodnie?

— Tu jakaś piwnica, ziemia pod nami lekko wilgotna — Gabryś macał dłońmi dokoła siebie.

— Żeby tak się rozejrzeć, może jest jakaś możliwość wywiania?

— Ech, akurat by nam zostawili taką okazję. To tylko w powieściach znajduje się zawsze jakieś wyjście. Koniec, to pewne. Aleśmy głupio wpadli.

— Żeby tak mieć zapalki — westchnął Gabryś.

— Czekaaj, czekaaj — Pietrek gmerał koło siebie, nagle rzucił z triumfem. — Mam. O, i papierosów parę sztuk, tylko się powysypywały.

— Nie pal, jeżeli dostałeś naprawdę jakiś zastrzyk, to cię może zemdlić. Daj zapalki.

— Mało ich. Raz, dwa, trzy, cztery... sześć sztuk wszystkiego.

— Oszczędzaj. Mogą się przydać.

Słabe światelko zapełgało, żółtym blaskiem ogarnęło na chwilę część niewielkiej skrytki, w jakiej się znajdowali, zgasło...

— Kurdefelek, zgasiłeś... ..

— Nie, samo zgasło. Wiesz, tu jest cholernie duszno, powietrze nie dochodzi.

— Prawda, duszno.

— Dlatego zapalka nie chce się palić. Pamiętasz ze szkoły? Sprawa tlenu.

— Aha!

— To piwnica. Podparta belkami i jakimiś deskami. Mądrze urządzone. Gdzie my możemy być?

— A wyjście jakieś? Ja nic nie widziałem.

— Też nie. Czekaj, zapalę jeszcze jedną. Wstanę, będzie lepiej widać. Oj, ależ jestem połamany, głowa jak centnar ołowiu. Dogodził mi. Uważaj, zapalam.

Dopiero za trzecim potarciem zapełgał ogienek. Rozglądali się. Piwnica miała ze trzy metry na dwa powierzchni. W prawym rogu były sklecone z desek drzwiczki.

--- Są.

Znów nastały ciemności.

— Ja tam leżę, a ty?

— Pomóż mi wstać, sił nie mam.

— Ściany się trzymaj.

Odpozywając co krok, dotarli wreszcie do drzwiczek. Gabryś nasłuchiwał przez dłuższą chwilę. Odpowiadała im głucha cisza, słyszeli jedynie głośnie dygotanie własnych serc. Wtedy Pietrek pchnął drzwiczki. Ustąpiły bez trudu. Wionęło na nich odorem jakichś starych szmat i zgnilizny.

— Zapalić? — szepnął Gabryś.

— Pal, Wszystko jedno. Albo czekaj, może znajdziemy jakiś patyk albo słomę, będzie mocniejsze światło.

Gmerali po ziemi.

— Mam jakieś siano, suche.

— To pal.

Siano zajęło się od zapalki, rozświetliło drugą piwnicę. Była znacznie większa. W jednym kącie i leżały zrzucone deski, obok nich zmoczone szmaty, jakby stare ubranie, w drugim stała drabinka Wyjścia nie było widać. Gabryś parząc niemal palce zerknął na Pietrka i aż zakrzyknął.

— Cicho. Czego się drzesz?

— Jaką ty masz siną szyję... O rany.

— To pewnie od tego duszenia — wstrząsnął się Pietrek. — Ach, jak mi się chce pić.

— Mnie też... Słuchaj, tu nie ma wyjścia z tej nory.

— A drabinka?

— Aha, Może włącz jest u góry?

— Szkoda zapalek. Jeszcze tylko trzy zostały. Że też nie przypaliłem papierosa...

— Mówiłem, nie pal, może cię szlag trafić.

— I tak trafi, wszystko jedno.

Przysiedli na ziemi. Musieli odpocząć po uprzednim wysiłku.

— Spróbujmy poszukać tego włazu.

— Czekał, sil nie mam.

Pietrek półleżąc oparł się o ścianę piwnicy Mięka była jak ubita ziemia. Dotknął palcem. Tak, to była ziemia. Westchnął, nie podobał mu się ten grobowiec.

Gabryś, myśląc nad ich położeniem, bezwiednie błądził palcami dokoła siebie, W pewnej chwili natknął się na jakąś blaszkę, tuż obok niej drugą. Podniósł ją, obmacywał palcami.

— Pietrek, znalazłem tu jakieś czcionki... Patrz.

Pietrek nie bardzo znał się na tym Blaszki były ciężkie, maleńkie, wycięte z jednej strony, u drugiego końca wypukłe, z jakimiś kreskami dającymi się wyczuć palcem.

— Na pewno czcionki?

— Na pewno. Mój stryj jest drukarzem. Fiuu, coraz lepiej. Iskrówka, drukarnia.

— Nic tu nie ma, tylko deski i szmaty.

— Ba, ale mogło być. Skąd by się walały te czcionki? Zęby to stąd wyjść jakimkolwiek sposobem. Patrz, co za odkrycie. To stąd pewnie szła ta parszywa hitlerowska robota.

— Ba, jak wyjdiesz?

Gabryś z nową energią wygramolił się na nogi, macając przed sobą rękami podszedł do drabinki w kącie piwnicy Sapiąc z wysiłkiem wszedł na pierwszy szczebel, drugi, wyciągnął ręce przed siebie, Dotknął desek podpierających sklepienie, Wodził po nich palcami w prawo, w lewo, w pewnej chwili wyczuł głębszą szparę Powiodł po niej, załamywała się pod kątem prostym Tak, to musiał być właz. Zdecydowany na wszystko, wydzwignął się jeszcze wyżej, dokładnie wyczuł kwadrat włazu trochę na lewo. Wparł się silnie, krew uderzyła mu do głowy, ledwie się przytrzymał o sufit, by nie zlecieć.

Dźwignął się jeszcze, podparł właz barkami, wyteżył całą siłę Ani drgnęło. Ponowił próby, znowu bez rezultatu. Westchnął, zszedł na dół. — No i co? — dobiegł go cichy szept Pietrka.

— Jest właz. Ale pewnie zamknięty od tamtej strony, Ani drgnie.

— Tego się bałem. Facety nie takie głupie, żeby dać nam szansę ucieczki,

Gabryś milczał przygnębiony.

— Tak, cóż tu można poradzić?

Pietrek zajęczał.

— Co?

— Mdli mnie...

— To na pewno reakcja po tym zastrzyku. Mogła być jakaś morfina albo coś podobnego. Na sen... Postaraj się zasnąć.

— Kiedy nie mogę.

— Prędeż ci czas zleci Ciekawe, czy to jeszcze noc, czy już dzień. Może wieczór? Tam nasi

budują basen, myślą, co się z nami stało. Może zaczną szukać?

— I tak nie znajdą... Oj, jak mi niedobrze.

Po jakimś czasie Gabryś usłyszał obok siebie ciche pochrapywanie Pietrka.

Niech śpi i tak nas ukatrupią, łatwiej mu będzie, przeczekać — pomyślał z nie spotykaną u siebie tkliwością

Jeszcze raz próbował przemyśleć wszystko, ale myśli mu się poplątały, było duszno, ogarniało go mocniejsze nad wszystko znużenie Pomyślał, że. lepiej może byłoby nie spać, ale niemal jednocześnie zapadł w sen, gorączkowy, niespokojny.

Przebudził go nagły zgrzyt. Wytrzeszczył oczy w ciemności Wróciła mu pełna rozwaga Słuchał Obok niespokojnie oddychał Pietrek Zgrzyt powtórzył się, błysnęło jakieś światło Gabryś w tej samej chwili zamknął oczy i bezwładnie odrzucił jedno ramię od siebie Czuł, jak mocny blask pada mu na twarz. Całym wysiłkiem nerwów panował nad sobą, aby nie drgnąć, nie mrugnąć powieką Czekał na to, co teraz nastąpi Nie miał zbyt wielkich złudzeń, ale przysiągł sobie, że nie podda się łatwo, że walczyć będzie do ostatka Lęk go ogarnął, aby Pietrek nie zbudził się w tej chwili i nie ukazał tamtym, że odzyskał przytomność.

Zdumiewało go niepokojące milczenie, zarazem czuł na swej twarzy silny blask. Wyglądało, jakby ktoś przyglądał się im bardzo uważnie. Dobiegły go półgłosem wypowiedziane zdania.

— *Jetzt ist keine Zeit... Scheiss alles... Später werden wir damit endigen.*

I znów ten sam zgrzyt. Leciutko, ostrożnie uchylił powieki. Było tak samo ciemno jak przedtem. Pietrek poruszył się niespokojnie. Gabryś ostrożnie odszukał go dłońmi. Godycki leżał wyciągnięty twarzą do ziemi. Może dlatego nie zbudziło go światło latarki.

Po dłuższym dopiero czasie Gabryś odważył się szarpnąć towarzysza za ramię.

— Pietrek — stęknął, dopiero teraz czując, jak straszliwie spierzchnięte ma wargi. Język przysechł mu zupełnie do podniebienia.

— Obudź się... Coś ważnego.

— No? — wyczuł przejęcie w głosie przyjaciela.

— Ale ty masz sen. Całe szczęście. Byli tu jacyś, świecili, jeden powiedział, że z tą sprawą, niby z nami, potem skończą, że jeszcze czas... Cholera, gadać nie mogę, język mi spuchł.

— Wody!

— Czyś ty zgłupiał? Skąd wezmę ci wody?

— Racja. Gadaj, co to za jedni?

— Skąd mogę wiedzieć? Nie przedstawili mi się. Udawałem, że leżę nieprzytomny. Może dlatego odłożyli nas na później... Pietrek.

— No?

— Może jeszcze raz spróbujemy z tym włazem?

—Czekaj, zaraz. Można, lepiej się czuję, tylko pić mi się chce straszliwie. Ale co z tą szyją, gruba jak łeb... Też pomysły, dusić człowieka.

Po dłuższym milczeniu Pietrek znów szepnął:

— Jak ty myślisz, wiele my tu czasu siedzimy? Dzień, dwa, trzy?

— Ech, tyle chyba nie. Ale doba może już i minęła. Nie wiadomo, jak długo spaliśmy za pierwszym razem i teraz... Próbujemy?

— Dobra.

— Wiesz, wleźmy razem na drabiną, szczeble są mocne.

— Zapal zapalkę. Może znów znajdzie się jakie siano?

Nie znaleźli nic. Przy wlekli się do drabinki. Pietrek poczuł jakby przyptyw energii. Zbadali siłę szczebli.

—Utrzymają. Pchamy się.

Pomagając sobie wzajemnie, podciągnęli się pod powałę. Gabryś macał dłonią nad sobą, bo przedtem przesunął drabinką nieco na lewo, dokładnie pod właz.

— No, teraz weprzyjmy się plecami, to lepiej niżeli dłońmi. Czekaj, czekaj — prawie krzyknął.

Gdzieś z daleka dobiegły ich jakieś krzyki, a bezpośrednio potem rozległy się strzały.

— Ty, jakaś rozróżba. Może to nas szukali, teraz walczą? Jak w filmie kowbojskim — nie wytrzymał Pietrek.

— O, to gdzieś blisko, jakby nad nami...

— Erkaem, patrz ty, co za obstawa!

Tuż, tuż, jakby rzeczywiście nad ich głowami, terkotał karabin maszynowy, słysząc było już nie tylko serie strzałów, ale nawet charakterystyczne szczekanie taśmy.

Gabryś dotknął Pietrka.

— No, brachu, albo ostatnie nasze minuty, albo jest jakaś nadzieja.

— Próbujemy, Gabryś — w Pietrka wstąpiły nowe siły.

Podpierał teraz właz silniej niżeli Gabryś, któremu rana na głowie dolegała coraz bardziej. Lekki trzask świadczył, że właz poddaje się. Odsapnęli. Nad nimi jazgotały strzały, dudniło, dobiegał przytłumiony krzyk.

—Dawaj, tylko mocno! — Pietrek przejął komendę.

Nacisnął. Zazgrzytało. Zamarli w obawie, że próby ich zostaną

odkryte i zaraz dosięgnie ich kilka z tych strzałów jazgocących głucho ponad głowami.

—Raz kozie śmierć... Dawaj dalej!

Gabryś zdumiał się, skąd się w Pietrku bierze tyle odwagi. Zebrał siły, nie zważał na ból głowy. Wiedział, że może to być ostatnia szansa ratunku. Wparli się całą mocą. Poczuli, jak wąż unosi się nad nimi. Nie popuścili, pchali dalej, przykrywa uniosła się jeszcze trochę. Przyćmiony blask dzienny wpadł do ich nory. Tuż opodał nową serią zachłystnął się karabin maszynowy, skorzystali z tego hałasu, pchnęli silnie, jeszcze raz, aż pokrywa przewaliła się na drugą stronę, na coś miękkiego. Mocny rapach siana wypełnił piwnicę. Gabryś przypomniał sobie, że gdy tamci zagłądali 'do środka, również czuł jakby zapach siana.

—Kto wyłazi pierwszy?

— Ja! Gdyby coś, wał, kogo trafi, i wyrywaj, mię oglądaj się na mnie — szepnął rozkazująco Pietrek, podciągnął się na wyższe szczeble, wytknął głowę nad wąż, potem wysunął ramiona. Gabryś czekał, aż zabrzmiał krzyk i zbroczony krwią Pietrek zwalił się na niego. Ale nic takiego nie następowało. Ujrzał tylko nogi przyjaciela, wierzgające mu przez chwilę koło głowy, i Pietrek zniknął. Gabryś wyczekał chwilę, po czym jął się wspinać po szczeblach. Zamajaczyła nad otworem głowa Pietrka, dłoń jego przyzywała do siebie.

Wygramolił się na zewnątrz. Znajdowali się w olbrzymiej stercie siana. Siano było nad nimi, po bokach, z tyłu, jedynie od przodu długim korytarzem dochodziło przyćmione światło. Pietrek w podziwiewie kręcił głową. Dojście było wspaniale zamaskowane.

Pełzli teraz niskim korytarzem wśród mocno pachnącego siana. U końca znaleźli się w wysokiej na kilka metrów studni wysuszonej trawy. Strzelanina jakby przycichła, odzywały się teraz pojedyncze strzały. Karabin maszynowy milczał, ale gdzieś z prawa dochodziło jakby zakładanie nowej taśmy.

Nie mówili nic, bojąc się choćby najlżejszym szeptem zdradzić swoją obecność. Zaczęli pięć się po sianie prostopadłe do góry. Nie było to proste, szczególnie osłabiony bardziej Gabryś osuwał się już drugi raz. Pietrek wygramolił się wreszcie, wyrzwał, podał rękę przyjacielowi. Piekelnym trzaskiem zajazgotał znów erkaem. Śmiało windowali się teraz na szczyt olbrzymiej sterty siana. Nad nimi były krokwie potężnej stodoły, w całości nieomal wypełnione koniczyną i sianem.

Pietrek wskazywał teraz na widoczne stąd dokładnie wrota stodoły, masywne, zawarte od środka grubym drągiem. U dołu wycięta była spora dziura. Przy niej leżał, przytulony do karabinu maszynowego jakiś człowiek i strzelał bez przerwy.

— Stój tutaj! — szepnął nakazująco Pietrek. — Gdyby coś, pędź na pomoc.

Zwinnie, jakby mu nic nie dolegało, ześliznął się wzdłuż sterty siana, sunąc naprzód cicho jak kot. Rozszerzonymi z przejęcia oczyma patrzył Gabryś, jak Pietrek znalazł się tuż, tuż obok ostrzeliwującego się zbira. Pędem ruszył także w tę stronę, na pomoc. Wiedział kątem oka, jak

Pietrek z krzykiem spadł nagle przeciwnikowi na plecy, łapiąc go za gardło. Przeliczył się jednak. Tamten, porzucając karabin, który szczeknął raz jeszcze, wywinął się z uchwytu chłopca i rzucił się na niego przygważdżając do ziemi. Gabryś struchlał, przeleciał błyskawicznym spojrzeniem dokoła, dostrzegł szpadel oparty o sieczkarnię, porwał go, podbiegł do walczących. Tamten dostrzegł to, szarpnął się rozpaczliwie, sięgając ręką do kieszeni. Było już za późno, Gabryś całym rozmachem trzasnął go szpadlem w głowę na płask, powtórzył, uderzył jeszcze trzeci raz.

Pietrek wstał, skoczył do wrót, krzycząc przeraźliwie:

— Swoi, swoi! Nie strzelać, tu swoi!

Odrzucał gruby drag, pchnął prawą stronę drzwi, cofnął się przestraszony nagłym krzykiem.

— Ręce do góry!

Naprzeciw biegło kilka sylwetek w cywilnych ubraniach, obok milicjant. Gabryś, wciąż trzymając w dłoniach szpadel, ciężko dysząc stał oparty o złoża koniczyny. Ze zdziwieniem dojrzał przyrodnika automatem w rękach. Niedaleko, wymachując rewolwerem, gnał Grapsza, wrzeszcząc radośnie.

— Są moje rybeńki, są, chwalić Boga...

Gabryś uczył, jak go leśniczy chwycił w objęcia. Widział jeszcze, jak ktoś zakładał kajdanki zbirowi, którego powalili z Pietrkiem przed chwilą. Potem tylko uczucie ogromnej radości ogarnęło go z całą siłą, a w oczach zamigotały łzy szczęścia i przysłoniły wszystko.

Na podwórzu sporego obejścia otoczonego lasem stały dwa willysy i parę motocykli. Na ziemi leżał ranny milicjant, jakiś cywil go opatrywał.

— Tak, to będzie ten z drugiej tury... Twarda sztuka. Dobrze, że wzięliśmy go żywcem.

Obaj chłopcy spojrzeli na przyrodnika mówiącego te słowa. Był jakiś inny, jakby młodszy mimo nie ogolonego od paru dni zarostu, wyprostowany władczy. Zobaczył ich spojrzenie, podszedł wyciągając rękę.

— Dziękuję. Pomogliście nam w ujęciu nie lada ryby — wskazał na leżącego na ziemi wysokiego, młodego jeszcze mężczyznę, który odzyskał już przytomność i śmiało spoglądał pałającymi wściekłością oczyma. — Niedawno wylądował u nas na spadochronie. Punkt znaleźliśmy, bo samolot ich nie wrócił do bazy, nasze myśliwce zmusiły go do lądowania, niedaleko od morza. To pewnie on was tak oporządził, co?

— On i doktor, panie... — Gabryś zawahał się, nie wiedząc, jak mówić do człowieka, którego uważał przedtem za pomyłonego dziwaka.

— Majorze... — uśmiechnął się przyrodnik.

— Panie majorze. Czy on — wskazał na leżącego — tego nie jestem pewien. Z całą natomiast pewnością doktor Ginter. Złapaliśmy ich, jak na bocznej drodze nadawali iskrówką

Poznałem, bo przechodziłem kurs dla krótkofalowców. Zbliżyliśmy się i wtedy ktoś na padł nas od tyłu. Potem nieprzytomnych przywieźli nas tutaj, do tej piwnicy...

Major uniósł rękę do góry.

—Dosyć, nie mamy czasu! Ważne to, że i tutaj był doktor Ginter! Przejęliśmy wczoraj sygnał, ale nie wiedziałem, że to miało związek z wami. Audycja została nagle przerwana.. — zastanowił się chwilę — Co tu z wami zrobić? Jeden wóz wraca w rejon Wyrajów.

— To proszę nas tam zabrać — rzekł nagle Pietrek.

—Hm. No dobrze — zdecydował. — Pojedziecie tam krytym willysem, żeby nikt was nie dostrzegł. A tam, na miejscu — gęby na kłódkę. To sprawa państwowej wagi. I tak mam obawy, chłopcze, żeś tej dziwce za wiele w swoim czasie powiedział.

Pietrek spłonął nagle tak strasznym rumieńcem, że major i Gabryś musieli się uśmiechnąć mimo całej powagi sytuacji.

Po chwili, wsadzeni pod brezent willysa, przesłonięci jeszcze od przodu zwisającą płachtą płótna, trzęśli się na niebezpiecznie szybko nikałym wozie.

— Nie gorzej, jak wtedy ten doktor — szepnął Gabryś.

Uchylił lekko brezent i ujrzał, że obok kierowcy siedzi Grapsza.

Ujął go lekko za ramię Leśniczy obrócił się.

— Panie Grapsza, czy to sobota dzisiaj?

— Niedziela — powiedział leśniczy i położył palec na usta, szczelnie zasłaniając chłopców zasłoną.

Wysiedli przed leśniczówką. Z ulgą przywitali znajomy teren. Grapsza wprowadził ich do domu.

—Ani kroku z chałupy, bo inaczej pójdziecie pod sąd wojskowy! — przykazał surowo.

Ani im to było w głowie. Jeszcze Pietrek jakoś się trzymał, ale Gabryś leciał pocziwemu leśniczemu przez ręce Opatrzył mu prowizorycznie głowę, potem przykazał żonie, by zaraz pobiegła do wioski i dyskretnie powiadomiła obozowiczów o powrocie chłopców

—Niech się nie denerwują. Naprowadzili nas na ślad. Nie myślałem, że w tym bądź co bądź spalonym punkcie zechcą urządzić melinę — szepnął jeszcze Grapsza do siebie, po czym dorzucił głośniej: — Krut dzielnie pomagał, doprowadził aż do miejsca postoju samochodu, ale tam stracił ślad, żeby nie wiadomość od Julka...

Leśniczyna wróciła niebawem. Powiadomiła ich o sukcesie sportowym ich kolegów. Chłopcy spojrzeli na siebie z dumą. Phi, piłka, cóż to dla nich, którzy przeżyli takie rzeczy, byli w boju, dopomogli wielkiej sprawie obrony kraju.

Pili z zachwytem gorące mleko, jedli, aż im się uszy trzęsły Pietrek obliczył, że prawie

trzydzieści osiem godzin nie mieli nic w ustach.

W chwili gdy im leśniczyna szykowała posłanie, przez las doleciał ich nagle ostry dźwięk jakby uderzenia żelazem o żelazo. Dźwięk ten wzmagął się i zaraz, od Wsi, odpowiedział mu drugi. Leśniczyna zastygła z poduszką w dłoniach, wargi jej poruszyły się trwożnie.

— Wielki Boże, pożar! — wyszeptła. Przed domem zatrzymał się motocykl, wpadł zziębnięty leśniczy. Był blady ledwie sapał ze zmęczenia. Porwał jakieś klucze i wybiegając wołał:

— Dranie, podpalili las w paru miejscach. Susz, pożar idzie bez zmiłowania... Jeśli co, chrońcie się łodziami na jezioro... Lecę po łopaty...

Widzieli przez okno, jak z naręczem szpadli pakuje się do motocykla. W kierowcy rozpoznał Pietrek jednego z turystów, którzy przed paru dniami zatrzymali się «a krótki czas nad zatoką. Motocykl zerwał z miejsca, znikł zaraz za najbliższymi drzewami.

Wybiegli, na ganek. Nad lasem kłębiły się chmury gryzącego dymu. Od majątku i wsi niesło się z wiatrem przeraźliwe dzwonięcie na alarm.

--- Bandyci! — szepnął Gabryś przez zęby.

27. Las płonie

Podszybie lizały długie, ogniste strugi, podsycane powiewami nie ustającego od rana wiatru. Jak zapalki zajmował się chrust, wyschła trawa, zwiotczałe od suszy badyle. Jasny popielaty mech syczał, zwijał się w długie rurki, szeleszczące liście natomiast rozprostowywały się w ogniu i żarze. Ostrożne, nikłe zrazu płomyki podskakiwały w górę na pnie sosen, opadały, znów się wspinały, teraz już śmieiej trafiały na żywiczną, skwierczącą posokę. Poszum wiatru podnosił płomienie wyżej, już nie ustępowały, owijały się wokoło drzew, spiralami sięgały do najniższych konarów, tam się usadawiały, poczynaly buszować na suszu, potem pastwą ich padało zielone, posykujące bólem igliwie. A obok rozrosły, szerokoramienny świerk aż przyginał ku ziemi gałęzie, jakby dziwując się nieznannej, furkocącej sile wpadającej w leśne obszary, potem wstrząsał się przerażony, aż płomienie opadały, ale ich śladami wspinały się następne, zdobywcze, te już nieustraszone. Brzozy szeleściły w trwodze Usteczkami, lekko żółknącymi już od upałów, nie miały nawet odwagi walki, kora ich pni skręcała się, odstawała, jakby w rezygnacji ostatecznej są- ma się wystawiając na całopalenie.

A górą, pomiędzy szczytami drzew, także już ponad nimi, ciągnął się czarny, smolisty dym, tańczył w podmuchach wiatru, opadał na nie zajęte jeszcze połacie jak zwiastun złego, podążającego za nim w kształcie żółtoczerwonych jeziorów ognia.

Wiatr dął z północnego wschodu, od wioski-i majątku, nad litą puszcza, na trzęsawiska i

nasycone złotym słońcem polany.

Dwa były ogniska pożaru: jedno, od prawa, wybuchło tuż nie opodal majątku, zerwało się z nagłą, pognało w las świszcząc w furii, kotłując kłębami dymu, płosząc z trzaskiem pękających z rozpaczki leśnych olbrzymów. Drugie, dalsze, poczęło się tuż za młodym zagajnikiem świerkowym, na połowie drogi między leśniczówką a wlotem rzeczki Krutyni. Wiatr kierował szybko rozprzestrzeniający się żywioł na wielkie obszary puszczańskie, zagrażał dwom niedalekim wioskom, zagubionym wśród lasów.

Nad kłębami dymu kołowały stada ptactwa, jastrzębie obok małych sikorek, sroki obok przerażonych, oślepionych jasnością sów. Niektóre odlatywały z kierunkiem ognia, nieliczne skręcały nad Jezioro Gardyńskie, jeszcze inne, kwiląc i popiskując, sycząc i świerkając w przerażeniu, zmęczone kołowaniem nad miejscami, gdzie płonęły ich gniazda, ostrą strzałą opadały w dół, na świeżą tlejącą pogorzel.

Gromady ludzi gnały od Wyrajów różnymi drogami, starając się zabiec ogień bokami, tam powstrzymać jego zapędy. Łopaty, szpadle, topory, nawet piły sterczały spod ramion albo wystawały ponad głowy. Czasem gromadki ludzkie przystawały bezradnie, widząc na lewo i prawo od siebie morze huczących groźnie płomieni. Wiatr samowolnie, jakby w dobrej zabawie, podrzucał czasem płonące gałęzie na strony, podsuwając molochowi ognia dalsze przestrzenie. Wysoko wlatywały iskry, spadając nieciły nowe ogniska!

W takie złąknione, niepewne gromadki padały wtedy, słowa komendy, Ludzie stawali się pewniejsi, znajdowali przejścia, przedzierali się stronami, omijali pasma trawione już ogniem, zasłaniając twarze od żaru rwali na wskazane miejsca.

Grapsza, blade, w samej koszuli uciekającej ze spodni, organizował ratunek. Niemal pośród płomieni przedzierał się motocyklem wąskimi ścieżynami, leśnymi duktami, rozstawiał ludzi, wydawał zlecenia. Chodziło o zatrzymanie ognia tak z boków, jak i od frontu. Tu było najniebezpieczniej. Puszcza ciągnęła się kilometrami, biegła nieprzerwanym pasmem aż po jeziora Mokre i Zyzdrój. Dziesiątki tysięcy hektarów były zagrożone.

Grupę znad zatoki wiódł Kostek, obok sapał zdyszany, z zaciśniętymi kurczowo wargami. Julek Dziewczęta dotrzymywały kroku małemu Bończy, objuczonemu narzędziami. Przy leśniczówce zabiegł im drogę Pietrek, ślaniając się usiłował dogonić go Gabryś.

— Pietrek! — poznali, rozjaśnili się wszyscy w uśmiechu.

— Gdzie pędzicie?

— Nie wiem. Sądzę, że trzeba zająć ogień od lewa, tam już ktoś wskaże miejsce kopania rowów przeciw płomieniom, oczyszczania przełazów...

— Ja razem z wami!

—Ja też — sapał Gabryś.

Leśniczyna była już przy nim, ujmowała go pod ramiona.

— Nie można choremu, kto to widział, tam zguba pewna przy takiej słabości Ogień nie żartuje.. — dyszała ciężko, mocując się z wyrywającym się Jaroszykiem.

— Ja muszę...

— Gabryś, zostajesz! Gdyby płomienie zawróciły w tę stronę, pomagaj leśniczynie i ratuj nasze manatki — ostro, całkiem nie po swojemu nakazał Julek.

Jaroszyk zawrócił ze spuszczoną głową. Zdawał sobie doskonale sprawę, żenię ubiegłby z nimi nawet stu kroków, że byłby tylko zawadą, ale zarazem nie mógł pogodzić się z rolą biernego obserwatora, gdy oni będą narażać życie. Patrzył, jak zginęli za najbliższym zakrętem, jak zamarło nawet dudnienie ich kroków.

— Pietrek, cieszę się bardzo, żeś wrócił — dopędziła go Mirka.

Spojrzał na jej przejętą twarz, uśmiechnął się lekko, jakby smutnie.

— Hooop! — zatrzymał ich mocny głos.

Przy drodze wiodącej do majątku stał motocykl, dygotał nie wygaszonym motorem. Motocyklista, spocony, z opalonymi włosami, wskazywał młody brzeźniak, za którym snuły się już kłęby dymu.

— Tędy, tędy, potem od lewa. Tam już pracuje brygada. Prędziej, bo sami nie podolają...

Rzucili się wszyscy przez lasek. Młode drzewka szeleściły przeciągle, chwilami mocne podmuchy gorącego powietrza dochodziły od niedalekiego pogorzelska. Ostry swąd wciskał się do nozdrzy, tamował oddech. Motocykl zawarczał, kierowca pędził, by dalej organizować ratunek.

— Do nas, do nas! — powitały ich okrzyki, gdy weszli znów w pas starodrzewu. Na linii granicznej rozstawieni szeregiem ludzie gorączkowo zrywali poszycie, odrzucali na stronę mech, suche gałęzie, wyrąbywali drzewka, mogące stać się dogodnym pomostem dla przerzucenia ognia. Dwumetrowej szerokości ścieżka miała stanowić zaporę.

Rzucili się do pracy, Na tym wycinku słońce dosięgało ich swymi promieniami, wiatr przeciągał tylko gdzieś górą, a od niedaleko płonącego lasu wraz z potężniejącym żarem narastał złowrogi szum, trzask, czasem głuche dudnienie.

— Wyciągnąć się w linię!... Szybciej, bo nas przychwyci, szybciej! — wołał kierujący zabezpieczeniem tego odcinka Janek.

Szpadle z trudem przebijały się przez zbitą warstwę poszycia, przez mech i jagodnik, przez rozlazłe pędy dzikiej pokrzywy i kolczaste łodygi malin. Topory z trudem imaly się młodych, giętkich i prężnych drzewek gzy krzewów Stawiał opór oplatany korzeniami piach, nie dawał się

łatwo zagarniać. Ścieżka nie była jeszcze gotowa, a już spomiędzy niedalekich drzew przebłyskiwał rosnący wał czerwonego ognia. Dym zapełniał cały las, gryzł w oczy, przesłaniał widoczność. Krztusili się, ale tym zajadlej waliły siekiery, ręce chwyciły gałęzie, których nie imać się żelazo, szarpały, odciągały na stronę. Nie zważając na ludzi, niemal między czyimiś nogami przemknął lis ze zwieszoną kitą, przerażony, ledwo przytomny. Jakieś stadko drobnych ptaszków poderwało się przed falą ognia, niskim lotem, przeraźliwie kwiląc, uciekało w popłochu. Koło Mirki zaszeleścił jeź, dreptał szybko przebijając nóżkami. Chwyciła stworzenie na szpadel, jeź nawet nie zwinął się, przebiegła parę kroków na przeciwległą stronę za ścieżką, rzuciła tam kolczastego uciekiniera.

— Wycofać się, wycofać w lewo!

— W lewo, w lewo, w lewo! — pobiegło hasło jak echo.

Ludzie wysunięci najbardziej w głąb biegli ciężko dysząc, osmoleni, kaszlący. Wał ognia nadbiegał, już pierwsze języki nieśmiało jeszcze, dotarły do ścieżki, powiał mocniejszy wiatr, przerzucił kilka płonących gałązek na drugą stronę, frunęły skry, kłębiąca się fala dymu przesłoniła wszystko.

Wycofywali się wpatrzni w szalejący żywioł. Ścieżka wydala się im mizerną przeszkodą, niezdolną wstrzymać naporu.

— Przerzuci — szepnął ktoś.

— Zagarnia bardziej od lewa.

— Biegiem na następny odcinek. Ta ścieżka opóźni ogień tylko na chwilę, Czy wszyscy są? — traktorzysta rozglądał się po obecnych. Twarz jego była czerwona, pot lał się z niej strugami, oczy zaszyły krwią, wyglądał strasznie, poplamiony sadzą,

Biegli, potykając się, rozdrapując ciała o krzewy i zarośla. Oglądali się za siebie, szukali oczyma ścieżki. Ale tam nic już nie można było rozróżnić, dym ze strzelającymi z niego językami płomieni, trzask, łomot, syjące się iskry zasłaniały wszystko.

— Przeszło — jęknął ktoś z wysiłkiem.

Pożar rozszerzał się. Prawie dwa miesiące zupełnej suszy, bez kropli deszczu uczyniło las niezdolny do powstrzymania fali ognia. Wiatr trafiając na fale nagrzanego powietrza nie dał już teraz w jednym kierunku, ale kołował, zawracał, spadał na strony, przerzucając tam iskry. Płomienie w żertwę zagarniały nie tylko teren przed sobą, ale i na bokach. Już stawała w ogniu ta część brzeźniaka, którą opuścili przed chwilą, jęzory wybłyskiwały czasem spośród dymu, chciwie kierując się w stronę pędzących w przeciwnym kierunku ludzi.

Nie mieli już siły biec. Ustawali. A biec trzeba było, jeżeli chciało się choćby gdzieś daleko położyć kres niebezpieczeństwu.

— Leśniczówka odcięta — Zośka dognała Kostka, wskazywała mu ręką do tyłu.

Obejrzał się, zobaczył, że fala dymu poszła już daleko za drogę, którą przed godziną przybyły.

— Tam Gabryś — przypomniał: — Poradzi chyba... Może do samej leśniczówki nie dojdzie, to przecie pod wiatr.

— Już nie mogę — jęknęła Mirka.

— Biegiem, szybciej! — popędzał traktorzysta, z niepokojem obserwując kierunek atakującego ognia.

— Hooop, hooop! — ktoś wymachiwał rękami. Poznali Grapszę. Straszny był, kurtkę miał spaloną niemal zupełnie, włosy okopcone, brudny, łyskał tylko białkami. Wybiegł im naprzeciw ciężkim, chwiejącym ze zmęczenia krokiem.

— Tam, tam, oni sami nie dadzą rady! Tamę stawiamy od oparzelisk aż po polanę.

Ktoś jęknął, zdając sobie sprawę z przestrzeni; na jakiej trzeba było uformować zaporę przeciwogniową.

— Tylko ostrożnie, żeby kogoś nie zagarnęły płomienie — dodawał jeszcze Grapsza ochryłym głosem.

— Wilk, Wilk!

Mirka spojrzała... i w rzekomym wilku poznała Kruta, pędzącego przez las z wywieszonym jęzorem. Rwał w ich stronę, nie zwrócił zupełnie uwagi na zająca, który uciekając w przeciwnym kierunku, prześmignął mu nieomal przed nosem.

— Krut!

Z radości łapami skoczył dziewczynie na piersi. Pogładziła go w przelocie, śpiesząc za innymi w stronę wskazaną przez Grapsza. Główna fala ognia nacierała teraz za nimi bardziej od lewa, podczas gdy oni szli w prawo.

— Uważajcie — przestrzegał jeszcze leśniczy. Zobaczyli, że wskakuje na motocykl, przebijając się leśną ścieżyną w sobie wiadomym kierunku.

— Aha, tam zaraz jest droga, wiedzie pod trzęsawiska — przypomniał sobie Julek wyprawę na leśne jeziora, obok których znaleźli na sośnie porzucony spadochron.

Od polany rozdzielali się po parę osób, rzucali z pasją na zwarte kłębowisko poszycia. Zadudniły topory, poszerzając ścieżynę przebitą tu już kiedyś przed laty.

Pietrek biegł dalej w stronę oparzeliska, przez które płynęła struga, stanowiąca naturalną zaporę. Chodziło teraz o przedłużenie zabezpieczającego pasa. Tam też pracowała spora grupa, poznał małego blondyna z Wyrajów, zdało mu się, że widzi także Wittlego, ale nie był pewien, nie miał czasu na przyglądanie się. Z rozmachem uderzał szpadlem, podważał korzenie, pomagał

rękami, tam gdzie nie było można, siekł toporem. Aby więcej? zrobić, aby szybciej Bo i tu już wiatr podmuchami przynosił rozpalone powietrze, narastający swąd spalenizny, smugi dymu, jak mgła rozsnuwające się nad mchami.

Nikt nic nie mówił, z rzadka padała jakaś komenda. Ludzie pracowali czyniąc szalony wysiłek, przerastający normalne ich możliwości. Gdzieś z hukiem zwało się drzewo, wysoko nad wierzchołki strzeliły płomienie, wzbily się iskry, by potem opaść wielkimi łukami, jak snopy wystrzeliwanych nocami rakiet.

Dwie sarny w towarzystwie rogacza wyrwały się nagle z gęstych zarośli, przystały nie zważając na ludzi, weszły wysuniętymi do przodu chrapami, potem zawróciły i z łomotem pognały w nie zajętą jeszcze ogniem część lasu.

Nikt prawie nie zwrócił na nie uwagi. Zwierzęta i ludzie mieli groźniejsze niebezpieczeństwo przed sobą niż samych siebie.

Gdzieś zawarczał motor i zaraz umilkł. Zawarczał, znowu stanął. Przez gąszcz biegł ktoś z pracujących.

— Kilka osób na pomoc! Tam pożar przeskoczył już drugą zaporę!

Możemy nie wstrzymać! — wołał.

Julek i paru najbliższych porzucili swój odcinek, powierzając go reszcie grupy, popędzili za motocyklistą. Biegących obok kierowca informował, że z Ukty przybył już oddział ochotniczej straży ogniowej, że pewnie lada chwila nadejdzie pomoc z Mikołajek i z pobliskich wiosek.

— Źle jest, żadne zapory nie pomagają, las zwarty, trudno wycinać.

Dokładnie określił kierunek i pojechał dalej wzywać na pomoc, kierować we właściwe, najbardziej zagrożone punkty.

Pozostali czynili tymczasem nadludzkie wysiłki, aby zdążyć dociągnąć zaporę aż do polany. Żar zwiększał się, kłęby dymu stawały się coraz gęstsze, trzask płonących drzew czynił wrażenie jakiejś straszliwej kanonady.

— Ratunkuuu, na pomoc! — zabrzmiało nagle od ściany pędzącego ognia, odległej najwyżej o sto metrów od pracujących.

Struchleli, stanęli nasłuchując. Poprzez trzask, syczenie płomieni, z kłębowiska dymu znów doszło ich pełne nieludzkiej trwogi wołanie:

—Ratunku! Ratunku!

Zatrzeszczały łamane krzewy, gałęzie, kilku najbliższych rzuciło się przez las z pomocą.

— Hoop, hooop, hooooop! — niósł się ich zew, dając znać o nadchodzącej pomocy.

— Pracować, pracować! — przebiegł traktorzysta, siny na twarzy z wysiłku, wskazując na kilkunastometrową przestrzeń do przekopania.

Znów schylili się nad szpadlami, znów siekli toporami nasłuchując jednocześnie od strony, skąd doszło przerażające wołanie kobiety, pewnie ostatkiem sił uciekającej przed, płomieniami.

— Kostek, nie mogę więcej — Mirka wyczerpana do ostatka oparła się o szpadel, stała z otwartymi ustami, pierś jej podnosiła się silnie i opadała, jakby płuca me mogły już poradzić z chwytnością powietrza.

Poskoczył, zaczął karczować jej odcinek chwastu, mchów i drobnych krzewów. Biegł ku najbliższym drzewom od nie zajętej ogniem strony, obcinał niskie, suche gałęzie — najłatwiejszy przenośnik

ognia.

— Hooop, hooop, hooop! niosło się ód ognia wołanie poszukujących.

Kobieta już nie wzywała pomocy. Może doścignęły ją płomienie? Może przywaliło któreś z padających drzew? Może dym zdławił oddech? Pytania takie przelewały im się przez głowy,

— Hooop, hooop, hooop! — w głosach wyczuwało się trwogę.

— Boże! — szepnął ktoś.

— Hooop, hooop, hooop!

A potem i te wołania ucichły. Tylko wiatr zaszumił silniej, zasnuł ratowników dymem, zdławił żarem.

— Hoop! — wołanie zabrzmiało gdzieś blisko, tym razem triumfalnie.

Odpowiedzieli. Z krzaków wyłonili się Wittle i czarna dziewczyna, w której Pietrek rozpoznał Ernę. Prowadzili pod ramiona starą kobietę, ledwie, ledwie przebierającą nogami. Właściwie musieli ją ciągnąć, nie miała już sił iść dalej.

— Zbierała zioła, zaskoczył ją ogień. Nie mogła biec — rzekła Erna. — Odprowadźcie ją na polanę albo jeszcze gdzieś dalej...

— Koniec, uwaga, teraz wszyscy bliżej polany! Będziemy pilnować zapory. Jeżeli co, gasić ogień piachem, kapotami, czym się da! — wołał Janek.

Posłusznie usłuchali wezwania. Potrzebny był w tej chwili trzeźwy przywódca. Bez niego nie umieliby organizować obrony przed ogniem ani sami nie uchroniliby się przed niebezpieczeństwem.

Mirka odprowadziła staruszkę na drugi koniec polany. Ta dotąd kurczowo trzymała w dłoniach koszyk z ziołami, sepleniała coś przez bezzębne dziąsła.

— Wszystkie dziewczyny na polanę! — wołał dalej barczysty traktorzysta. — Reszta na linii, w razie czego wrywać dokoła lasem.

Nie ryzykować. Jak się nie da to nie...

Wiatr zakołował, zasnuł wszystko dymem, który pełzł już na polanę Ściana ognia pędziła na

nową zaporę.

— Nie strzyma — szepnął ktoś z rozpaczą, biegnąc na wyznaczone stanowisko.

Niebo było czarne, tak zasnuł je dym, ciemny, przewalający się wirującymi kłębamii to w dół, to w górę, Ogień parł huczącą przeraźliwie ścianą, płomienie wzbijały się czasem aż po szczyty drzew.

Ściana ognia dotarła do przekopanej zapory, Płomienie rzuciły się skwapliwie na piach, lizały go wysuniętymi jęzorami, cofały się rozeżłone, napastowały ponownie, dławily i zaraz zmieniały w węgiel i popiół każdą najmniejszą gałązkę, igliwie, źdźbło trawy czy kosmyk mchu. Górą płomienie z hukiem usiłowały przeskoczyć wyrwę, smały pnie przeciwległych drzew, zielone igliwie skwierczało, liście dębów zwijały się w trąbki żółknąc na oczekaniu, ale nie zajmowały się ogniem. I znów czerwonożółte jęzory przystępowały do szturmu, wspierane wiatrem, ale tym samym wiatrem odtrącane w chwilach, gdy spodobało mu się zawirować i zmienić kierunek.

Pod osłoną rozrośniętego dębu stał Pietrek, oddalony o kilka kroków od linii, wytrzeszczał oczy, usiłując obserwować swój odcinek możliwie dokładnie. Parę razy, dławiąc się, osłaniając rękami twarz od żaru, przyskakiwał do ścieżki, podrzucał szpadlem piach na tłące się niebezpiecznie miejsce, znów cofał się, nie mogąc w gorącu złapać oddechu. Płomienie jeszcze nie przeszły nigdzie zapory, ale atakując bez przerwy, węgliły korę przeciwległych drzew, suszyły resztę wilgoci, chroniącej pnie od zajęcia się ogniem, Młoda sosenka zachwiała się nagle, przewaliła się z cichym trzaskiem przez ścieżkę piachu! Wierzchowina trafiła na stertę suchych badyli, łodyg i mchów, nie odgarniętą w pośpiechu. Wystrzelił jasny płomień. Pietrek podskoczył, deptał nogami, czując jak języki ognia lizą mu łydki i uda, jak przez podeszwy pali nieznośny żar. Nie mógł poradzić, ogień wyblyskiwał wciąż nowymi szparami. Ściągnął wtedy z siebie koszulę, nie bacząc na poparzone ręce tłumil nią ogień, pomagał na dal przydeptywaniem, wreszcie, ostatkiem sił, nie mogąc już zaczerpnąć oddechu, mając płuca przepełnione gryzącym dymem, pochwycił płonącą sosenkę i z rozmachem przerzucił ją na drugą stronę, w szalejące piekło.

Wtedy wycofał się. szybko, oparł półprzytomny o drzewo, obrócił twarz w stronę, skąd nadciągało czystsze powietrze, wdychał je głęboko. Zemdliło go, trzymał się kurczowo pnia drzewa. Uczuł pociągnięcie za postrzępioną nogawkę szortów, dostrzegł Kruta, który ze zjeżoną sierścią, osmalony, ciągnął go w głąb linii przestrzału Prawie bezwolny, ślaniając się, poszedł za psem. Wciąż go mdliło, dym drażnił krtań, kaszlał, krztusił się. Pies kurczowo trzymał go za nogawkę, ciągnął uparcie.

Pietrek spojrział nagle i dostrzegł leżące tuż przy świeżo skopanym piachu ciało człowieka. Odzyskał skądś resztę siły, zerwał się, przypadł doń... poznał sąsiada z następnego stanowiska.

Na piachu dopalała się zrębana sosna...

Pietrek domyślił się wszystkiego. Pochwycił, nieznajomego, a nie mając siły, by wziąć go na ręce, zaczął go ciągnąć w głąb lasu. Chciał wołać, ale tylko zachrypły charkot mógł z siebie wydobyć. Chłop był ciężki, nogi jego w dużych buciorach zawadzały o korzenie i gałęzie. Krut zaczął przywołujące szczekać. Podbiegł trochę w stronę polany, ujadł gwałtownie i wracał. Pietrek ciągnął krok za krokiem, czując, jak ciężar tamtego narasta, jak mdleją mu ręce.

Gdy wreszcie tuż przy sobie usłyszał znowu szczekanie Kruta, puścił trzymane w objęciach ciało i sam się osunął bez sił na ziemię...

— Zaraz, zaraz — wyszeptał, czując, jak ktoś mocno chwyta go pod ramiona. — Sam... poradzę.

Wynieśli go jak tamtego. Obok kręcił się Krut z poopalaną sierścią. Pies tarzał się czasami gwałtownie na ziemi, w ten sposób tłumiąc ogień, który łatwo chwycił się jego futra.

— Jeszcze nie przeszedł — mówił ktoś drżącym głosem.

— To dobrze — Pietrek usiadł, oddychając głęboko.

Dziewczęta ratowały człowieka wyciągniętego niemal z płomieni.

Ocknął się, zakaszłał straszliwie.

— Patrzcie, już się przepala, mniejszy płomień.

— Tak, jakby przygasał.

Największe napięcie minęło. Mogli już teraz rozmawiać. Z lasu, od skopanej przecinki, wyłaniały się co jakiś czas po dwie,, trzy postacie. Zaraz zastępowali ich ci, którzy odpoczęli już na polanie.

— Wittle nie chce, zejść. Mówi, że będzie do końca. Jego plecy to jedna rana, bo zważyło się na niego płonące drzewo.. Strzymał je na sobie, jeszcze rękami przychwycił i przerzucił na stronę ognia — opowiadał mały blondasek z podziwem i jakby z dumą, że takiego mają kolegę w swej wiosce.

— Wszyscy poparzeni. To będzie bal, jak się tutaj wszystko już uspokoi. — rzekł jakiś dryblas w podartym do cna odświętnym stroju.

— No, jak tutaj? — wybiegł z przeciwnej strony Grapsza, miało już do człowieka podobny.

— W porządku, panie leśniczy. Wstrzymaliśmy...

— Uff, dobrze! Ale pilnujcie, bo tu jedna sekunda decyduje o wszystkim.

— A tam jak? — przekrzykiwali się przez polanę. Grapsza bowiem już zawracał.

— Koło duktu wstrzymaliśmy, poszedł jednym klinem na Karciska. Ale tam już działa ochotnicza pomoc z Mikołajek, Dwie ciężarówki przyjechały.

Już go nie było. Wydobywając z siebie ostatek sił, pędził do leśnej dróżki, na której

oczekiwał motocyklista. Kierowca spojrział, zapytał:

— Jak?

— Tu w porządku! Dzielna wiara, wstrzymali...: — wykrzyczał mu w ucho, kurczowo trzymając się siodełka, motocykl podskakiwał bowiem na korzeniach niemiłosiernie.

Grapsza kierował akcją ratunkową lasu. Przerzucał się z miejsca na miejsce. Dziw, jak motocyklem potrafił dobrnąć w niektóre połacie lasu. Chwilami zostawiali wehikuł, rzucali się z pomocą, kopali, rąbali, a gdy było już trochę spokojniej, pędzili znów w inne miejsce. Przy ratowaniu brało teraz udział ponad dwustu ludzi, przeważnie Mazurów z najbliższych wiosek.

Dotarli do ostrego klina płonącego lasu opodal drogi, wiodącej na Nowy Młyn. Droga poza nimi stała w płomieniach, na wąskim wprawdzie odcinku kilku metrów, ale w każdym razie tarasując zupełnie przejazd. Grupa ludzi pilnowała, aby ogień z klina nie przerzucił się na wyschnięty upałami brzozowy młodniak. Wciąż jeszcze siekli toporami najbliższe drzewka, ledwie widoczni w dymie.

— Teraz pod Karciska, okrężną drogą. Tędy się nie przebijemy, na drodze leżą zwalone kłody — rzekł Grapsza, uśmiechając się jednocześnie do Julka, który pędził dokądś z toporem.

— Nasi tu stoją — kierowca wskazał dwa motocykle oparte o drzewa przy drodze.

Leśniczy zerknął na samotne maszyny. Załoga ich pracowała przy gaszeniu pożaru. Pomyślał, jakie to szczęście w nieszczęściu, że właśnie grupa operacyjna MO była na miejscu. Bez motocykli nie udałoby się w ten sposób zorganizować ratunku.

Omiał nie wyskoczyć z siodełka przy mocnym podrzucie na jakimś sterczącym korzeniu. Skręcili w prawo, na szerszy trakt wiodący do najbardziej zagrożonej w tej chwili partii lasu opodal Karciska.

Akcja walki z pożarem trwała; wszystko wskazywało na to, że jest zwycięska

28. Szaleńczy pościg

Koło zarzuciło, dodał gazu, wyrównał motor. Mrużąc oczy nie przesłonięte okularami, wpatrzony w niknący w oddali tył niebieskiego samochodu, dalej pędził, z każdą chwilą bardziej zżywając się z motocyklem.

Za sobą słyszał drugi motocykl, migały po obu stronach drzewa, to znów pola, jakieś chałupy, wszystko to raz po raz przesłaniał kurz, a w głowie Julka wrażenia ostatnich chwil ciągle jeszcze nie mogły ułożyć się w jakąś logiczną całość.

Stali grupą nie opodal płonącego klina leśnego, czekając, kiedy trzeba będzie znów skoczyć do boja z trawiącym wszystko żywiołem. Za nimi w niewielkiej odległości pełzła droga leśna na

przestrzeni paru metrów ogarnięta płomieniem. Ogień przerzucił się tam bowiem na niewielką kępę starych sosen leżących na skraju mokrej łąki. Nie ratowali tej kępy, nie było na to czasu, nie było też obaw, aby ogień rozprzestrzenił się poprzez łąkę. Całą uwagę skupiali więc na wirującym żądliwymi językami klinie i na płochliwie szeleszczącym z przeciwka młodziutkim brzeźniaku.

Nie od razu obejrzał się na warkot nadbiegający od strony drogi. Sądził, że to nadjeżdża Grapsza albo ktoś z akcji. Przeraził się dopiero wówczas, gdy dostrzegł, jak z przeciwnej strony płomieni, od jeziora, pędem nadjeżdża samochód. Wiatr rozpędził na małą chwilę kłęb dymu i wyraźnie ukazał się niebieski „opelek” oraz ruda broda przywartego do kierownicy doktora. Samochód wjeżdżał prosto w objęty przewalającymi się płomieniami skrawek drogi. Julek wyobraził sobie, jak piękny wóz wylatuje wraz z pasażerami w powietrze, ale nie: opel przemknął bez szwanku, niemal wylatując prawymi oponami w powietrze, wyminął nadjeżdżający z przeciwnej strony motocykl. Zakurzył, zadymił i tyle było go widać.

Gwałtowny krzyk i przekleństwa zabrzmiały jednocześnie zarówno z ust stojących opodal motocyklistów, pędzących teraz do swoich motorów, jak i ze strony załogi motocykla z przyczepą, który omal nie zderzył się z autem doktora. Zawracał teraz, twarz, majora drgała od pasji. Stanęli. Major wrzeszczał:

— Czemu nie pilnowaliście? Gnać za nim zaraz!

— Jastrzębski nie może prowadzić. Dłonie ma poparzone do krwi i zdartą skórę — zasalutował jeden z motocyklistów.

Major rozejrzał się bezradnie. Julek podskoczył do niego.

— Ja poprowadzę! — krzyknął.

Mężczyzna o dziwnie napiętej, skupionej twarzy sekundę się zawahał, ale skinął głową:

— Dobrze! Pamiętaj tylko, że idzie o życie. To niebezpieczny człowiek. — I zaraz dodał tonem rozkazu: — Gońcie przodem! Tą cholerną trójkółką nie damy rady. Jedziemy za wami!

Z leżącego na tylnym siodełku pakunku towarzysz Julka wyłuskał ku jego zdziwieniu nowoczesny automat. Motor zerwał się z miejsca, za nim drugi, z tyłu zawarczała jeszcze maszyna z przyczepą.

Julek przypomniał sobie te szczegóły sprzęg paru zaledwie minut, wiedział teraz, że trwało to właściwie sekundy; bo przecie jeszcze samochód doktora nie zginął im z oczu, a rwał już motocyklem jak szalony. Nie wszystko, jeszcze rozumiał, ale domyślał się i bez słów, majora, że idzie tutaj o wielką stawkę.

Samochód pewniej czuł się na wyboistej drodze, ale tu znów nie mógł rozwinąć pełnej szybkości. Julek natomiast ryzykując każdej chwili skręcenie karku, wyciskał z maszyny całą

siłę. Podskakiwali wysoko do góry, śmigali nad wykrotami, gwałtownymi woltami omijali większe rozpadliny czy wystające korzenie. Tył opła jakby się trochę przybliżył. Julek jeszcze dodawał gazu.

Stracił nagle samochód z oczu, dojrzał tylko, że skręcił w prawą stronę. Przechodził tędy ubity trakt, szeroki, niedawno naprawiony. Ciągnął się przez zwartą puszcę. Na przestrzeni kilkunastu kilometrów nie było tam siedzib ludzkich.

Przyhamował na zakręcie, ale i tak wziął go ze straszliwą szybkością, więcej niż sześćdziesiątką, że aż zatoczył na trakcie szeroki łuk. Mignął mu z tyłu następujący, tuż, tuż drugi motocykl, znacznie gdzieś dalej tocząca się trójkółka, dodał więc gazu, ile tylko można było wycisnąć z maszyny, i od nowa zapatrzył się w łyskający w słońcu niebieski tył samochodu.

Za sobą czuł posapywanie towarzysza, jedną ręką przytrzymujące, go się jego pleców. Pomyślał: jakim cudem nie spadł z siodełka na poprzednich wybojach. Usłyszał jego słowa:

—Pieskie nasienie, ależ goni!...

Samochód wyraźnie zwiększał dzielącą ich przestrzeń. Julek nie mógł już więcej wycisnąć z motoru, i tak najpewniej rwał setką.

— To nie opel, łobuz, ma wmontowany inny motor! — krzyczał mu w ucho towarzysz.

— Przechył się pan, przechył! — odkrzyknął, sam kurcząc się nisko nad kierownicą. Zmniejszył tym opór powietrza, znów mogli nieco przyśpieszyć.

—Trzymamy się teraz — rzucił do siebie przez zaciśnięte zęby.

Istotnie, odległość między samochodem a ścigającym go motocyklem była wciąż taka sama.

Tył opła zarzucił nagle, nie zwalniając szybkości doktor wziął zakręt. Julek zdumiał się tą piekielną umiejętnością jazdy..

Drugi zakręt. Spłoszona samochodem furmanka chłopska zatarasowała im drogę. Nim ją minęli, samochód znowu oddalił się.

— Kurczę pieczone, żeby nam nie uciekł...- Gońcie!

Julek nie pamiętał, czy kiedykolwiek w życiu jechał motorem z taką szybkością. Niemal położył się na kierownicy, czuł, jak towarzysz jego przylgnął mu do pleców.

— Przejazd! — krzyknął z przerażeniem.

Widział, jak ramię szlabanu zadrgało, a jednocześnie gdzieś daleko rozległ się świst lokomotywy.

Opel przemknął jeszcze bezpiecznie. Julek nacisnął klakson, trąbił przeraźliwie. Ramiona szlabanu zawisły przez chwilę w połowie wysokości, jednocześnie na prawo ukazał się kłęb dymu, znów zagwizdała lokomotywa. Dróżnik niezdecydowanie zaczął opuszczać szlaban. Julek

szaleńczym zrywem rzucił motor w lewo i w ostatniej chwili przemknął pod opadającymi przegrodami. Dojrzał tylko wytrzeszczoną z przerażenia gębę dróżnika. Pociąg z sapaniem przetoczył się torami.

— Uff! — usłyszał za sobą pełne jeszcze trwogi i zarazem już ulgi westchnienie.

Zerknął do tyłu. Zobaczył stojące za szlabanem dwa motocykle. Skupił się. Gra zaczyna być coraz ostrzejsza. Zostali teraz, we dwójkę, tamci niełatwo ich dogonią. Na nim więc teraz spoczywa odpowiedzialność. Znow przylgnął do kierownicy. Motor jazgotał przeraźliwie, ściany lasu zlewały się z obu stron w jedną zieloną plamę, Jakiś rowerzysta na łeb, na szyję zsiadał ze swego wehikułu, wpakowywał się przezornie do rowu. Kobieta idąca z koszykiem przewieszonym przez ramię rozwarła tylko usta w krzyku zgrozy.

Znow widział przed sobą tył opla. Wydawało mu się nawet, jakby przestrzeń między nimi trochę się zmniejszyła. W tej samej chwili mignął mu znak drogowy zapowiadający cztery zakręty. Zaklął w duchu. Doktor był na zakrętach mocniejszy, prawie wcale nie wytracał szybkości.

Niebieski wóz zniknął mu z oczu. Wiedział, że zobaczy go wtedy dopiero, gdy droga znow się wyrówna. Przyhamował, bo oto pierwszy zakręt, zaraz za nim drugi, ostry. Motorem rzuciło silnie. Julek zadrżał, nie o siebie, ale o los tego szalonego pościgu.

Znow wyskoczyli na prostą. Serce mu drgnęło radosnym ukłuciem.

Opel był znacznie, znacznie bliżej, najwyżej w połowie tej odległości, która ich dzieliła uprzednio. Przemknęło mu przez myśl, że na zakrętach doktor musiał mniej ryzykować od niego. Dodał gazu. Ale i samochód jakby się zaczął oddalać.

— Kurczę pieczone! — towarzysz jego doszedł widocznie do tego samego wniosku, klął w głos..

Julek ciekaw był, jaką drogę wybierze teraz doktor. Za chwilę trakt przeciąć miał szosę, z jednej strony wiodącą na Mrągowo i dalej na Olsztyn, z drugiej na Ruciane i Pisz. Samochód skręcił w prawo. Zatem na Ruciane.

Wyskoczyli na asfalt. Opel wyprzedzał ich o dobre czterysta metrów, Zaczął się znow oddalać. Tak, w karoserię opla musiał być wmontowany motor innej maszyny, znacznie silniejszy.

Co to? Samochód zaczął hamować. Z bocznej drogi, od Babięt, władował się nagle na szosę wielki samochód ciężarowy, tarasując przejazd. Aż do nich dobiegł przenikliwy sygnał klaksonu osobówki. Julek z radością widział, jak szybko nadrabia teraz odległość. Jego towarzysz poruszył się, zarzuciło niebezpiecznie motorem. Julek chciał sarknąć ale nim zdążył, usłyszał mocny głos:

— Od prawej będę mu walił w opony. Uwaga!

Opel wyminął już ciężarówkę, oddalony był od nich teraz najwyżej o sto metrów. Julek drgnął, gdy tuż za nim rozklekotał się nagle automat. Skulił się nad kierownicą, nie wytracając szybkości. Opel gnał jeszcze dalej naprzód.

Znów seria. To samo. Jeszcze jedna. Również bez skutku.

— Psiakrew! W takim pędzie nie mogę... — jęknął głos od tyłu.

Doktor znów zwiększył szybkość, a Julek nie mógł już nic więcej wydusić z motoru.

—Uwaga! — dosłyszał, przechylił się w lewą stronę.

Opel gnał. Zdawało się, że i tym razem żadna kula go nie dosięgła. Nagle jednak zarzucił gwałtownie, zatańczył na szosie, przyhamował, stanął.

Doktor jeszcze niemal w biegu otworzył drzwi, Wyskoczył do rowu.

— Hamuj! Hamuj!

Julek usłyszał rozkaz, zabzykało mu zarazem coś koło ucha. Strzela — pomyślał.

Skręcił bardziej w prawo, przystanął za osłoną grubej wierzby. . — Klawo! — ryknął jego towarzysz chroniąc się za pień i wypuszczając nową serię. — Cholera, koniec naboii!

Z tyłu za nimi hamował motocykl. Słychać było głosy, ktoś strzelał.

Julek dostrzegł, jak doktor przebiegł skulony parę metrów dzielących rów od lasu. Jeszcze raz wystrzelił zza osłony drzew. Obsada drugiego motocykla pędziła już w to miejsce, gdzie zniknął ścigany Ginter.

Minęła ich maszyna majora iż wizgiem opon przyhamowała obok auta doktora Julek zdumiał się, jak piekielnie zręcznym i błyskawicznym susem major skoczył przez rów i pognął w las, a za nim jego towarzysz.

Ani się obejrzał, jak sam został na szosie. Zapуścił motor, podjechał do opla, przystanął. Zajrzał ciekawie do środka i zdumiał się. Przecież tam, przy pożarze wyraźnie mignęła mu za szybą twarz doktorowej. Tutaj jej nie było ani nie pobiegła do lasu. Może nie zauważył. Ale gdzież tam, obserwował wszystko dokładnie. Drgnął. Przy tych zakrętach, gdzie tak nagle przybliżył się do opla! Doktor musiał ją tam wysadzić, dlatego tak stracił na odległości.

Naraz z lasu dobiegły strzały, i zaraz ucichły. Julek czekał w napięciu. Teraz dopiero trzeźwo pomyślał o nieprzytomnej jeździe i czuł, jak oblewa go zimny pot.

Usłyszał głosy. Po chwili z lasu wyłoniła się cała szóstka. Doktor Ginter szedł skuty w kajdanki. Jeden z motocyklistów przytrzymał rękę w łokciu, na żółkła trawę przydrożną, skapywała krew.

Major rozejrzał się dokoła.

—Ta nam tymczasem uciekła... Gdzie ją wysadził?

— Przy tych czterech zakrętach. Teraz dopiero się domyśliłem — rzekł Julek.

Major spojrzał na niego.

— Dziękuję wam. Bez waszej pomocy mógłby nam umknąć. Ten przeklęty szlaban! Ale ryzykowaliście, widziałem z daleka.

Julek czuł na swoich plecach palące spojrzenie. Obejrzał się. Napotkał przenikliwe, wściekłe oczy doktora. Nie było to już dobroduszne spojrzenie litościwego lekarza, ale wzrok schwytanego wilka.

— Hm, jak my teraz zrobimy? Miciak, mocno krwawicie?

— Przeszło na wylot. Kość, zdaje się, nie naruszona...

— Opatrzcie go, chłopcy. Teraz musimy do Mrągowa. Czekają tam na nas. Mało brakło, a przez ten piekielny pożar lasu byłby nam wymknął się z sieci — z podziwem zerknął na doktora.

— Proszę pana, czy mógłbym poprowadzić ten wóz?

„Przyrodnik” zaśmiał się.

— Z takim kierowcą niczego się nie obawiam — rzekł cicho, z przyjaźnią patrząc na Julka. — Nie tylko z „Gawronem” umiecie sobie radzić.

Obejrzał się po swoich.

— No tak, jazda! Ty, Miciak, jedziesz z nami, opatrzą cię w szpitalu. Ja go sam będę pilnował w wozie, żeby nam nie zrobił kawału. — Zamyślił się jeszcze, po czym dodał niespodziewanie: — Ciekawym, jak poszło w Wojtunach? Jak myślicie, chłopaki?

Przez twarz doktora Gintera przebiegł nagle skurcz. Musiał to zauważyć i major, uśmiechnął się lekko.

— Tak i myślałem.

Podszedł do jednego z motocyklistów, który sprężył się przed nim służbiście, chwilę mu szeptał do ucha. Tamten potakująco kiwał głową.

„Opelek” ruszył z miejsca pewnie i lekko. Julek rozkoszował się sprawnym funkcjonowaniem wozu. Przy pierwszej przecznicy zawrócił, równą siedemdziesiątką rwał teraz na Mrągowo piękną asfaltową szosą. Obok siedział ranny Miciak, za sobą czuł szybki oddech doktora Gintera, widział w lusterku czujną, skupioną twarz majora, nieustannie spoglądającego na więźnia.

Pragnął od nowa posegregować wszystkie te niezwykłe fakty ostatnich godzin, ale myśl nie chciała składnie pracować. Zbyt był jeszcze oszołomiony niedawną szaleńczą pogonią, oparzenia zaczęły mocniej dokuczać, resztkę uwagi skupiał na prowadzeniu. Pewien był, że w karoserię niewinnego opla wmontowany jest inny motor, wyglądało to na angielskiego hillmana.

Do Mrągowa wjechali od strony wielkiej stacji benzynowej. Na lewo szeroka, zadrzewiona droga wiodła na dworzec Mignęło Julkowi w myśli, że tutaj pewnie napadli jacyś zbóje na

Heńka Lipienia. Samochód minął rynek, pędzili główną ulicą. Nie dojeżdżając do pięknego gmachu Prezydium Rady Powiatowej Julek zahamował, czując dotknięcie dłoni majora na swym ramieniu Lekko cofnięty w głąb, przysłonięty szpalerem topoli, duży budynek mieścił w swym wnętrzu biuro milicji oraz prokuratury. Na przejeździe stał cały szereg motocykli, kilka wozów osobowych i dwie kryte brezentem ciężarówki.

Wysiedli, Podeszło kilku milicjantów salutując majorowi z szacunkiem. Ten wskazał dłonią na doktora Gintera:

-- Dokładnie zrewidować i do aresztu.

Chwilę zawahał się jeszcze, patrzył za prowadzonym w asyście doktorem Ginterem, skrzywił się. Potem| wiedziony nagłym impulsem, podszedł do opla, zajrzał do wnętrza, odrzucił tylne oparcie odsłaniając lukę bagażnika. Julek niedyskretnie spojrział przez szybę. Stała tam niewielka walizeczka, której wieko major właśnie uchylał. Julek zdębiał, major uśmiechnął się zamykając wieko z powrotem!

— Weźcie tę aparaturę — rzucił pogwizdując wesoło. — Wóz, zaś dokładniej przejrzeć. Mogą tam być i inne niespodzianki.

Z sympatią spojrział na Julka.

— Chodźmy na górę. Tam zobaczymy, co dalej...

Na piętrze major zostawił go w kancelarii, sam zaś zapukał do drzwi wiodących do przyległego pokoju. Dochodził stamtąd gwar podniesionych głosów. Na pukanie drzwi rozwarły się, major wyprężył się przed niskim mężczyzną o dobrotliwym wyrazie twarzy:

-- Melduję, obywatelu pułkowniku, że...

Tamten machnął ręką.

— Dobra, dobra, czekamy na was — bystro spojrział na Julka. — To kto?

— Z Żarłocznego Szczupaka — uśmiechnął się major. — Gdyby nie on, szukalibyśmy jeszcze w tej chwili miłego doktora.

— Aha! No, chodźcie, jest sporo do obgadania.

Drzwi zamknęły się, Julek pozostał sam. Uczuł teraz straszliwe zmęczenie, piekły go ramiona, rozboleła głowa. Zachciało mu się straszliwie spać. Pomyślał, co też dzieje się teraz w Wyrajach i nad zatoką. Czy pożar zdołano ugasić? Czy nikomu nie stało się nic złego? Jak Mirka? Pewno niepokoi się tam o niego... Wspomnienie dziewczyny spłynęło mu ciepłem do serca. Uśmiechnął się lekko, potem opuścił głowę.

Poderwał głowę na ostry skrzyp drzwi gabinetu, w którym uprzednio zniknął rozszyfrowany teraz ostatecznie przyrodnik. Stał właśnie przed nim i uśmiechał się przyjaźnie swą chudą twarzą.

— Tak, po tej pogoni można się czuć zmęczonym. Gorący mieliśmy dzień, dosłownie i w przenośni... Ostatnie meldunki donoszą, że pożar został zlokalizowany. Tylko pogorzeliśko dymić jeszcze będzie przez kilka dni, Wioska i wasz obóz uniknęły ognia. Dwie grupy sanitarne opatrzyły poparzonych na miejscu. Ludność zachowała się wspaniale, można powiedzieć po bohatersku. Tak, teraz przewiozą was na punkt sanitarny, opatrzą poparzenia, potem zaś odstawią nad zatokę. Dobra?

Julek nie oponował, ale w pewnej chwili spojrzął na majora z wyrazem gorącej prośby. Ten zrozumiał. Odpowiedział dziwnie miękko i serdecznie.

— Wiem. Należą się wam pewne wyjaśnienia. Bardzo nam dopomogliście. Postaram się jeszcze dzisiaj przyjechać do Grapszy, przenocuję tam. Przyjdziemy do was późnym wieczorem. Przygotujcie tylko mocnej kawy. Ja stawiam. Posterunkowy to załatwi. Tak, tym czasem do widzenia, mamy tu jeszcze sporo roboty. Paru ptaszków nam dotąd brakuje. — podał rękę Julkowi.

W drzwiach stanął sierżant milicji. Major spojrzął na niego.

— Tym obywatelem zaopiekujcie się, tak jak zleciłem. Za dwie godziny zameldujcie swój powrót.

Sierżant zaszalutował opuszczając pokój wraz z Julkiem.

Na punkcie sanitarnym opatrzone mu pieczołowicie wszystkie oparzenia, tak że wyszedł stamtąd z nogami i ramionami obandażowanymi, jakby po ciężkich zranieniach. Sierżant czekał przy szarej .skodzie. Uśmiechnął się na widok bandaży.

— Nie żałowali wam tego dobra, towarzyszu...

Siedząc obok kierowcy przyglądał się teraz tej samej drodze, na której doświadczył niedawno tyłu emocji. W miejscu, gdzie pojmano doktora, nie było już ani śladu niedawnej walki. Skręcili niedługo potem na trakt, zobaczył w świetle zapalonych latarni — mrok bowiem zapadał szybko — znak drogowy informujący o czterech zakrętach. Przypomniał sobie, co major mówił o Wojtunach. Stąd nie było od nich dalej jak trzy, najwyżej cztery kilometry. Stała mu jeszcze przed oczyma zalotna twarz pani Mery, potem uspił go równomierny warkot motoru. Ocknął się dopiero nad zatoką. Samochód otaczali zaniepokojeni jego nieobecnością towarzysza. Wszyscy byli również solidnie poowijani bandażami. Sierżant stracił gdzieś swoją służbistą postawę, śmiał się na całe gardło.

— Toż to szpital prawdziwy. — przeciągał.

Julek uczył obejmujące go ramiona Mirki i wilgotny dotyk jej warg na policzku.

— Tak się bałam o ciebie — szepnęła.

— No to jesteśmy znów w kupie! Ależ dzień, kurdefelek! — wystękał Pietrek spod szczelnie

krępujących mu głowę bandażu.

— Ho, ho, takiej gratki nie było od paru lat. Gniazdo drani niczego sobie — burknął z uznaniem sierżant. Potem sięgnął do wozu, podał Mirce sporą paczkę. — Pan major przesyła kawę.

— Jaki major? Co za kawa? To pomyłka — dziwiła się dziewczyna.

— Nie, nie, weź, Mirka — rzekł Julek.

— Do widzenia, towarzysze — zsalutował sierżant, siadając za kierownicą. Światła zakręcającego samochodu oblały las, przemknęły po namiotach, łysnęły o wodę jeziora. Skoda pomknęła w powrotną drogę.

— Jeść mi się chce — opamiętał się Julek.

— Dawajcie mu, jak najwięcej! A potem będziesz opowiadał, Julek... nie wiedzieliśmy, co z tobą się stało — Kostek ujął go pod ramię i jak honorowego gościa prowadził do płonącego wesoła ogniska.

— Pędzę do leśniczego po młynek — rzekł Bończa i tylko zadudniły jego pięty na miękkiej murawie.

Julek sam był zdumiony, że potrafi zjeść takie ilości. Pałaszował zawzięcie, słuchając zarazem relacji z akcji przeciwpożarowej Mirka szeroko opisywała bohaterski czyn Pietrka, gdy pociągnięty przez Kruta znalazł zaczadzonego ratownika i wyniósł go z niebezpiecznej strefy ogniowej.

— Mnie więcej imponuje ta ranna historia. Tak skoczyć łobuzowi na kark, proszę ja bardzo -- Kostek z uznaniem patrzył na brata, a w Pietrku serce rosło z radości, że wreszcie przekreślił niesławną pamięć swego tchórzostwa na Czarciej Wyspie.

— Jest młynek. A i nowinę przynoszę... Tylko Grapsza prosi o dyskrecję, bo to jeszcze tajemnica — przerwał Bończa pochwalne dytyramby na cześć Pietrka.

— Gadaj!

— Wiecie, kto podpalił las? A przy okazji sam zginął w ogniu? Oto kulawy, ten sam pewnie, któregośmy wtedy ścigali w klinie między rzeką a Malinówkiem.

— Maryś, gadaj jaśniej, bo w łeb oberwiesz, kurdefelek!

— Czekaj... Myśmy na wiadomości od was dłużej czekali... Pożar wybuchł w dwóch miejscach, oddalonych o jakiś kilometr. Gdy kulawy podpalił już drugi punkt, zaczął uciekać, ale pomoc z Wyrajów nadeszła wcześniej, niż się spodziewał. Zaczął kluczyć nie chcąc spotkać nikogo, wpadł na linię ognia, potknął się czy zawadził o coś, to jeszcze wyjaśni śledztwo. A że miał przy sobie takie tabliczki do podpalania, jeszcze z wojny, to go płomienie musiały ogarnąć w jednej chwili. Sam las zemścił się na nim...

— Nie żałuję go — ponuro rzekł Julek.

Zapadło milczenie. Kania skończył wreszcie jedzenie. Potem ciekawie spojrzął na leżącego przy ognisku Jaroszyka,

— Ale ja nie wiem nic, co się z wami działo. Ranny jesteś?

— Głowa. Chcieli mnie do szpitala zabrać, ale się nie zgodziłem — odrzekł Gabryś. — Niech Pietrek opowie, trudno mi gadać.

— Julek, ty pierwszy opowiedz — prosiła Mirka.

— Lepiej kolejno, to się nam rozjaśni niektóre sprawy, resztę może opowie major — uśmiechnął się do niej szeroko.

Zośka słuchając relacji o przygodach chłopców nie wytrzymała w końcu, by i tym razem nie dociąć złośliwie bratu:-

— A tyś za tą flądą tak łąził bez przerwy...

— Zośka, daj mu spokój! - ostro osadził ją Kostek.

— Widzicie, lepiej, że mojej historii posłuchacie dopiero teraz. Sporo spraw pokrywa się z sobą. — Julek wyciągnął się przy ogniu. — Mówię wam, w życiu tak nie pędziłem i chyba już nie będę... Każdej chwili czekałem, że się wywalimy, wyciągaliśmy przecież grubo nad setkę. Ale doktor miał maszynę, mówię wam...

Słuchali opowieści z otwartymi ustami. Wypytywaniom nie było końca.

— Ale nas nabrał ten major. Byłem pewien, że to jakiś zakuty belfer, tak bujał wszystkich swoimi roślinkami i zwierzakami... Chrząszcze, żuki, chrabąszcze, kurdefelek...

— Dzielny chłop. A Grapsza, jak się pilnował, przecież wiedzieć musiał od początku, a nic nie dał poznać po sobie.

— Grapsza na pewno wiele dopomógł, znał teren jak nikt inny.

— Wiecie, ja ciągle nie rozumiem jednego — rzekł zamyślony Kostek. — Co my mieliśmy z tym wszystkim wspólnego, że nas tak chciano wykurzyć z zatoki? Przecież nie o same skrzynie z jeziora chodziło?

— To nam chyba major wyjaśni, jeżeli zechce i jeżeli będzie mógł. O, słyszycie warkot? To jego motocykl, poznaję, ma taki ostry podźwięk cylindrów. Nasz przyrodnik dotrzymał słowa. Dziewczęta, co z kawą? — ożywił się Julek.

— Woda kipi, zaraz zaparzam! — Zośka zerwała się z miejsca.

— A gdzie Edward?

— Był tutaj, niedawno odszedł. Też poparzony jak lichy. Chciał jeszcze odwiedzić Wittlego. Dzielnie się spisał, plecy ma w ranach, ale nie dał się zabrać do szpitala. Jutro przyjadą zmienić opatrunki jemu i innym. Jeżeli się nie poprawi, pojedzie do Mrągowa, a może nawet Giżycka.

Życiu Michała nic jednak nie grozi — dokładnie i szeroko relacjonował Kostek. — Zośka dlatego cięta jak osa, że Fajfera tu nie ma — obejrzał się na siostrę i zachichotał.

— Bo ci wrzątkiem łeb zleję, żebyś nie plół koszałków opałków!

Mirka przytuliła się do ramienia Julka, jakby chciała tym podkreślić swoją radość, że nareszcie są razem.

29. Wszystko się wyjaśnia

Trzaskały sosnowe gałęzie, ogień wesoło igrał blaskami. Nad las wypłynął księżyc. Siedzieli bez słowa, znużeni po przejściach tak obfitego w zdarzenia dnia. Nerwy doznawały odprężenia, poczucie spokoju opanowywało serce. Zośka krzątała się przy zaparzaniu kawy. Na jeziorze znowu zrywał się wiatr, wzburzał tafłę wodną, igrał maleńkimi grzywkami fal. Las milczał, jakby w nim wszystko zamarło. Czasami wraz z ostrzejszym podmuchem napływał ostry swąd spalenizny.

Julek spoglądał na jasną głowę Mirki, opartą o jego ramię, słyszał jej przyspieszony nieco oddech. Było mu dziwnie dobrze.

— Kawa gotowa! — z triumfem oznajmiła Zośka przerywając dotychczasową ciszę.

— I my też gotowi. Cześć załodze „Gawrona”! — zabrzmiał od lasu znajomy głos.

— Przyrodnik zakichany, kurdefelek! — sarknął dobroduszni Pietrek, który nie mógł sobie darować, że tak uległ mistyfikacji majora.

— Zakichany jak zakichany, ale ziółka w tych lasach ładne zebraliśmy, co? — śmiał się major, który dosłyszał słowa młodszego Godyckiego.

— To się panu udało, szkoda mrugać! — Pietrek był dzisiaj w świetnym nastroju.

— No myślę, że i ja mogę wam się odplacić tym samym. Ta ranna historia z unieruchomieniem erkaemu udała się niezgorzej. Co, tak od razu kawa? Cudownie, marzyłem o niej przez całą drogę.

— Panie Grapsza, tutaj koło nas — zapraszała Mirka.

— Dziękuję, rybeńko, dziękuję. Uch, dobrze tak spocząć po ciężkim dniu. Paręset hektarów lasu poleciało z dymem, szkoda, wielka szkoda, starodrzew i młodniak, piękny las.

Major czuł na sobie wyczekujące spojrzenia młodych. Przełknął jeszcze solidny haust kawy i powiedział cichym, jakby znużonym głosem:

— Przyznam się wam, drodzy, że bardzo chciałem tu dzisiaj przyjechać. Od miesiąca przecie jesteśmy z sobą w bliskim kontakcie...

— Jak to? Przecież jako ten „zwarionowany przyrodnik” pojawił się pan tutaj dopiero przed

tygodniem, może trochę więcej? — wyrwał się Bończa.

— Jako przyrodnik, zgoda. Ale o wszystkim po kolei. Otrzymałem zezwolenie, dowódcy naszego samodzielnego oddziału operacyjnego na podzielenie się z wami niektórymi szczegółami wiadomej sprawy. Zbyt wielki był w niej wasz pośredni i bezpośredni udział, aby trzymać was nadal w niewiedzy. Dobra kawa, poproszę jeszcze, ja już, widzicie, prawie trzy noce nie sypiam. Czasu nie było...

Zośka gorliwie podsuwała mu kubek z dymiącą kawą. Popijał wrzący płyn dużymi łykami, aż bulgotało mu w gardle.

— Tak... Otóż na rejon Mrągowa, a więc obejmujący i tę okolice, gdzie teraz jesteśmy, zwróciliśmy baczniejszą uwagę jeszcze na wiosnę. Doszły nas słuchy o różnych niepokojących rzeczach, świadczących o tym, iż zaczyna tu działać jakiś ośrodek neohitlerowskiej propagandy. W pierwszej dekadzie lipca sprawa przybrała poważny obrót. Odebraliśmy z nasłuchu dwie szyfrowane iskrowki. Jedną nadano w okolicach Olsztyna, drugą — nie opodal Giżycka, i to, z przerwą zaledwie dwóch dni. Sygnał wywoławczy ten sam — trafił nas potem przez długi czas — Humber 06, Humber 06... Dwudziestego lipca powtarza się ta sama historia, tym razem w okolicy Barczewa Po trzech dniach przy Rucianem. Potem przez dwa dni z rzędu: Ruciane, Mrągowo i Kętrzyn. Stale to Humber 06! Humber 06! Pojmujecie, że nas szlag trafił? Ta sama stacja nadawcza i tyle punktów... W dodatku nie mogliśmy rozszyfrować tekstu. W tym samym czasie na teren Mazur skierowano z Niemiec Zachodnich mocniejszą akcją propagandową. Wiatr utrzymywał się zachodnio-północny. Posypały się tutaj baloniki i balony z bibułą polską i niemiecką, kierowaną do miejscowej ludności. Zanotowaliśmy kilka, drobnych zresztą, prób dywersji, szczęśliwie w porę udaremnionych.

Nad głowami zebranych z łopotem skrzydeł przefrunęła duża sowa. Major spojrzął na cień jej wyraźnie rysujący się na rozgwieżdżonym niebie.

— W połowie czerwca od Bałtyku prześliznął się na nasz teren obcy samolot, podejrzewaliśmy, że z jakimiś zrzutami. Miejsca tych zrzutów nie udało się ustalić. W tym samym czasie opodal Mrągowa, w Wyrajach, w waszej zatoce, zaczęły dziać się zastanawiające sprawy. Notowaliśmy je uważnie, na zewnątrz dla uspienia podejrzeń całkowicie tuszując nasze zainteresowania. Tak było z waszym znaleziskiem na sośnie i dziwnym jego zaginięciem, podobnie ze strzałami do towarzysza Grapszy, który nam wiele dopomógł. Zastanowiła nas wreszcie podejrzana sprawa z wydobywaniem ładunku wraków samochodowych z dna jeziora Przyznam zresztą, że dopiero wasz alarm naprowadził nas tu na bliższe ślady. Zastanowiły nas usiłowania usunięcia was z tego miejsca, usiłowania bardzo uporczywe. Wtedy właśnie zapoznaliśmy się, chociaż nie osobiście, trochę bliżej. Był moment, że zamierzaliśmy nawet pójść tamtym na rękę

i usunąć was dyskretnie z zatoki. Potem jednak zaniechaliśmy tego zamiaru. Wasza obecność w pewnym stopniu ułatwiała nam sytuację — uśmiechnął się dodając zaraz: — Czasem też utrudniała, szczególnie przez pewne niepożądane kontakty... Pod sam koniec lipca koło Gdańska zmuszono do lądowania obcy samolot. Mamy dobre pościgowce, wzięliśmy dzięki nim wroga żywcem. Zeznania pilota wskazywały wasz teren. Tutaj spadł zrzutek, bardzo ważna persona, od dzisiaj rano już w naszych rękach, w znacznym stopniu dzięki odwadze kolegi Pietrka.

— Ten z erkaemem? — wyjąkał zdumiony Pietrek.

— Ten sam, Zeskok zresztą był piękny. Miejscowy wspólnik nie miał wiele kłopotu z odnalezieniem żywej przesyłki z Bonn.

— Zaraz, chwileczkę, panie majorze — Julek tarł czoło usiłując coś sobie przypomnieć, — Myśmy słyszeli ż Mirką taki samolot, dziwiliśmy się nawet, że nie ma świateł rozpoznawczych. Dudnił po niebie aż miło, sporo czasu kołował. To było tego wieczoru, jak nas gościli doktorostwo Ginterowie...

— A czemu my nie słyszeliśmy? — zdziwiła się Zośka. — Ja mam sen bardzo czujny.

— Ach, byliście tego wieczora zaproszeni przez doktora? Hm, a was, kolego Kania, i panią sen wtedy nie morzył? — zaciekał się major.

— Nie, może dlatego, żeśmy nie pili wina.

— Rozumiem cel tych zaprosin. Doktor oczekiwał tej nocy zrzutu, a obawiając się, że samolot zwróci waszą uwagę, podał wam w winie środek nasenny — zaśmiał się zadowolony major.

— O, to dlatego mnie wtedy łeb bolał tak strasznie! — jęknął Pietrek.

Zaśmieli się wszyscy.

— Nici powoli się zbiegały — ciągnął major. — Zeznania pilota wyjaśniły bardzo wiele. Już przedtem zresztą podejrzliwie spoglądaliśmy na węgorzowe wyprawy doktora i na lęk jego małżonki każący jej rozpalać aż dwa ogniska...

— A trzecie płonęło przy kajaku doktora na wodzie. Oznaczenie punktu. Rozumiem! — zawołał przejęty Julek. — Szczwana sztuka!

— Tak. Zaczęliśmy też pojmować dziwne zjawisko, że wezwanie Humber 06 rozbrzmiewało z coraz to innego miejsca. Małym oplem z wstawionym do niego motorem hillmana można łatwo poruszać się po terenie, zwłaszcza gdy ma się w dodatku opinię ofiarnego lekarza... Zacieśnialiśmy sieć. Ja się zjawiłem na horyzoncie w pogoni za żukami, pan Grapsza przyjął kilku nowych robotników leśnych, różni turyści zjechali w te strony kajakami lub motocyklami. Ale ciągle nie znaleźliśmy wszystkich oczek w tej sieci. A musieliśmy zagarnąć całą szajkę. Wreszcie ostatnie trzy, właściwie cztery dni przyniosły nam rozwiązanie. Dopiero przed paru

godzinami wszystkie oczka zamknęły się ściśle, pasując do siebie jak ulał. To, koledzy — spojrzał na Pietrka i Gabrysia — że nakryliście doktora w chwili, gdy wraz ze swym zacnym kolegą z Niemiec Zachodnich nadawał ostatni umówiony meldunek, przyspieszyło likwidację siatki dywersyjno-szpiegowskiej.. Krut naprowadził nas na miejsce postoju samochodu, a przekazana kartka na melinę w starej garbarni. To był błąd z ich strony, dom ten bowiem mieliśmy pod obserwacją już od pewnego czasu. Przypuszczam, iż od chwili spotkania z wami doktor pojął, że grunt pali się mu pod nogami. Zaczai działać nierozważnie myśląc, że pośpiech go uratuje. Trzeba przyznać, że zręcznie likwidował siatkę, jeden dzień później i już by śladów nie było. Tym pożarem, przyznam się, bardzo zaskoczył nas wszystkich. Mały włos, a ptaszek byłby się wymknął, przynajmniej na pewien, czas... Cóż, to chyba wszystko. Zlikwidowaliśmy bardzo mądrze rozbudowany ośrodek, wyjątkowo dobrze zaopatrzone, niebezpieczny, w którym działali ludzie niesłychanie odważni i zdecydowani na wszystko, prócz może jednego z waszych znajomych...

— Naszych znajomych? — zabrzmiało z kilku stron.

— No tak, przypomnijcie sobie Wojtuny, gdzie przed dwoma godzinami zaciągnęliśmy niewód, łapiąc w niego zarazem i piękną sarnę o jasnych włosach.

— Doktorową? — rzucił szybko Julek, przypominając sobie zręczny manewr doktora w czasie pościgu.

— Tak, właśnie wraz z kierownikiem stancji...

— Kitajczakiem?

— Raczej Morrem, tak bowiem brzmi jego prawdziwe nazwisko, ale to już nieistotne szczegóły.

— Tak, tak, rybeńki, — bąknął Grapsza.

— Panie majorze — nieśmiało odezwał się Julek — czy można zadać parę pytań? Bo mnie jeszcze nie wszystko rysuje się wyraźnie.

— Proszę, w tym stopniu, w jakim zezwala dobro śledztwa, odpowiem.

— Zaraz, chwileczkę... Rozumiem, że obóz chciał doktor usunąć z zatoki w obawie, byśmy nie trafili na zrzutka. Stąd też próba otrucia Kruta, który raz już zresztą wyszukał w lesie spadochron.

Ale kto strzelał do pana Grapszy? Przecież to dekonspirowało ich w znacznym stopniu?

— Jeden ze sprawców nie żyje. To dzisiejszy podpalacz.

— Kulawy! — w triumfie wykrzyknął Bończa.

— Tak. Drugim był zrzutek z czerwcowego lotu, który skrył się nie opodal Wyrąjów. Doktor pragnął usunąć go z terenu, aby nie zagęszczać śladów w razie jakiegoś niepowodzenia.

Towarzysz Grapsza przeszkodził im wtedy.

— A kto był z kulawym, kiedy na przyczepkę jechałem tym oplem za darmo do Wojtun i z powrotem? — zaciekawił się Maryś.

— Ten sam jegomość. Doktor przerzucił go pod opieką Kitajczaka. Uprzednio pozostał na starym miejscu, licząc na to, że Grapsza poczyta leśną utarczkę za zwyczajne spotkanie z kłusownikami, tyra bardziej że w terenie pojawiła się para łośi, stworzeń niebywale tu rzadkich.

— Panie majorze, a skrzynie? To była moja tajemnica, ja ją wykryłem, chcieliśmy wyciągnąć?... — Pietrek nie mógł poskromić swej ciekawości. — Skąd oni wzięli skafander?

— Dodajcie czterech drwali, którzy spuścili drzewo na towarzysza Grapszę, do czterech ludzi pracujących na batkach przy wydobywaniu skrzyń.. — To byli ich ludzie, oprócz jednego wszystko Ukraińcy, związani w swoim czasie z UPA w Rzeszowskiem. Piątym był właściciel dawnej garbarni...

— Ach tak, kurdefelek... Dobrze, a skrzynie? Co w nich było?

Major jakby się zastanawiał. Widocznie ważył w myślach czy odpowiedź na pytanie Pietrka nie ujawni pewnych szczegółów przedwcześnie. Milczenie to przerwał cichy do tej chwili Jaroszyk:

— Proszę pana, ja tam znalazłem w piwnicy dwie czcionki drukarskie, Były także i mokre deski. Czy to może?... — urwał, oczy jego rozbłysły w blaskach rzucanych przez ognisko.

Major uśmiechnął się szeroko.

— Wiecie więcej, niż myślałem. Tak, to zresztą można chyba ujawnić. Skrzynie te mieściły drukarnię polową. Jakaś jednostka hitlerowska w czasie wojny drukowała na niej swoje druki, w razie potrzeby gazetę pułkową. Wiadomość o tym, jak też mniej więcej dokładne położenie, dostarczył z Niemiec ów zrzutek z czerwca...

— A skafander?

— Skafander za pośrednictwem kulawego dostarczył doktor Ginter. Całe szczęście, żeście nie wydobyli tych skrzyń. Mogłoby się to skończyć dla was tragicznie. Nie zrezygnowaliby łatwo z tajnej możliwości, jak posiadanie drukarni w obcym kraju — zamyślając się mówił niedawny przyrodnik.

— Jeszcze jedno — Julek zawahał się, czując, iż zbyt natarczywie wypytyują majora. — Czy mechanik ze wsi był w to wmieszany?

— O, to jedna z najgrubszych ryb w naszym niewodzie. Wygląda bardzo młodo, ale ma już pod czterdziestkę, czego zresztą nie ujawnił. W dowodzie. Pochodzi z zupełnie innych stron. To były oficer SA, już wtedy powiązany z wywiadem. Ciekawe, że on i kulawy, należąc do grupy

doktora, nie wiedzieli o sobie nic bliższego. Działali niezależnie od siebie. To było sprytnie i my też nie od razu mogliśmy się połączyć w tej kombinacji. Mechanik został dzisiaj aresztowany nie daleko Mrągowa, w punkcie, gdzie montowano drukarnię. Parę dni jeszcze i już by ruszyła. Znaleźliśmy tam także inne rzeczy.

— A Kitajczak?

— To też ciekawa sztuka. Od lat tu siedział, dekował się zresztą świetnie. Doktor go nie znał, kontakt uzyskał okreśną drogą, z instrukcji od swych mocodawców. Dziękuję bardzo, właśnie myślałem o jeszcze jednej filiżance kawy...

Bacnie spojrzął zarazem na Pietrka. W oczach jego czytał nie wypowiedziane pytanie, a zarazem lęk, aby nie padło ono z czyichkolwiek ust.

Uśmiechnął się.

— Nie pytacie jeszcze o piękną panią Mery... To nie była żona doktora, ale bardzo sprytna osóбка, od dawna już parająca się we Wrocławiu niecną robotą. Przed dwoma laty nielegalnie udało się jej przekroczyć naszą granicę. Niejednemu zawróciła w głowie i wiele informacji uzyskała tą drogą... — urwał nagle, jakby dając do poznania, że i tutaj wiele szczegółów dotarło w ten sposób do doktora.

— A on? Czy to naprawdę lekarz?

— Jak najbardziej. Tylko nie z Gdańska, lecz z Wrocławia, ostatnio zaś z Bydgoszczy, Nazywał się zresztą tak samo. Pięknie była urządzonej ta jego ruchoma stacja nadawcza.

— Liczna była ta szajka? Oczywiście, pytam tylko orientacyjnie — w głosie Julka zabrzmiał jakby niepokój.

— Mamy ich zasadniczo wszystkich Wpaść jeszcze mogą najwyżej drobne płotki, najczęściej nieświadome spraw, jakim służyły. Tamtych było aż nadto. Spójrzcie, w jakim terrorze trzymali ci dwaj wioskę Wyraje. Aż podziw zbiera...

— Tak, tak, rybeńki — burknął jakoś mało rozmowny dziś Grapsza.

Julek przysunął się bliżej do majora.

— Proszę pana, ja z wielką prośbą. Domyślam, się, że do wielu drobnych sprawek używali ci dwaj nieświadomej młodzieży z wioski. Na pewno Wittle maczał w tym początkowo palce. Potem się zmieniło, Michał stał się naprawdę naszym przyjacielem. Czy, czy... — Julek zawahał się — Czy jeżeli jego wina będzie niewielka, jeżeli on naprawdę nie orientował się w niczym, będzie możliwe zostawienie go na wolności? On tu wiele może zrobić dobrego, ma szalony wpływ na młodzież, widział pan przecież, jak ruszyła sprawa boiska i basenu. Ja w niego bardzo wierzę, panie majorze...

Mirka patrzyła, na ukochanego z rozczuleniem. Jakże dobrze go rozumiała!

— Czy kartka informująca o pobycie tej dwójki w garbarni była jego ręką pisana? — zapytał wolno major wpatrując się w ogień.

— Tak przypuszczam.

— Niczego obiecać nie mogę, Zwróciliśmy uwagę, na tego chłopca. On rzeczywiście ma olbrzymi mir wśród młodzieży Wy rajów, Jeżeli nie będzie tam bezpośredniej wiedzy i udziału w działaniu szajki, postaram się coś zrobić dla niego. Ale tylko w tym przypadku.

— Inaczej nie wyobrażałem sobie mej prośby — szczerze przyznał Julek.

Major wstał. Podniósł się również Grapsza.

— Jeszcze jedną rzecz chciałem wam po przyjacielsku, między nami, zakomunikować. Obserwowaliśmy waszą pracę we wsi i pegeerze. Piękna praca, Gdyby cała nasza młodzież rozumiała tak dobrze problem mazurski, zlikwidowalibyśmy szybciej parszywe owce, które w ukryciu gnieźdzą się jeszcze pomiędzy Mazurami, terroryzują ich i hamują tym samym drogę do polskości, za którą w większości tęsknią naprawdę szczerze. — Umilkł, zasłuchali się w cichy szum idący z jeziora. — Wygląda, że deszcz się rozpada... O dzień za późno, nie udałby się doktorowi ten pomysł z lasem. — Zaraz dodał innym już tonem: — Mój dowódca, pułkownik, gdy mu dziś dodatkowo zrelacjonowałem pewne szczegóły dotyczące waszego udziału w ostatnich wydarzeniach, powiedział, iż wystąpi o przyznanie odznaczeń koledze Kani, Jaroszykowi i Piotrowi Godyckiemu. Bardzo bym się z tego cieszył. Do widzenia, mieszkańcom Zatoki Żarłocznego Szczupaka!

— Do widzenia! — wołali za nimi, a jednocześnie pierwsze krople dżdzu spadały na ziemię.

Pietrek stał milczący, zgarbiony. W pewnej chwili rzekł dziwnie łamiącym się głosem:

— Słuchajcie, ja jutro zgłoszę się do niego, aby mnie nie przed stawiono do odznaczenia. Ja na nie żadną miarą nie zasłużyłem. Nie, nie...

— Czemu? Coś ty?

-- Pamiętajcie Czarcią Wyspę! Ja tam stchórzyłem, niczemnie stchórzyłem. Tamto jest najważniejsze, nie to ostatnie. Tamto, kurdefelek... A jeszcze ta Mery — westchnął.

Długo musieli tłumaczyć, że tamtej sprawy nikt nie pamięta, że niejednym raz. później miał możliwość wykazania prawdziwej odwagi. Pietrek tylko częściowo przyjął ich perswazje. Zesmutniał, długo w noc nie mógł zasnąć. Nasłuchiwał gwałtownej ulewy, która rozszalała się teraz na dobre, siekąc w brezent namiotu i gasząc gdzieś w lesie resztki tlejącej pogorzeli.

30. Nad zatoką

Sierpień dobiegał końca, dobiegały też kresu wakacje nad zatoką. Niedawne wypadki

zacierają się, odzywając tylko w tradycyjnych rozmowach przy jasno płonącym ognisku.

We wsi po kilku dniach martwoży i trwogi, spowodowanej pożarem, aresztowaniem mechanika i śmiercią kulawego podpalacza, po niepokoju, szeregu przesłuchań, z wolna wracało wszystko do dawnego biegu. Ale zarazem zmieniło się wiele. Ton życia Wyrajów zaczęła nadawać młodzież, Wittle chodził jeszcze przewiązany bandażami, dojeżdżał do Mikołajek na opatrunki, a korzystając ze zwolnienia od leśnych robót, organizował wraz z Fajferem pracę koła sportowego.

Przewodniczący Milski dotrzymał słowa i nadesłał deski z rozbiórki jakiejś starej budowli. Basen stał się wtedy dumą młodego zespołu. Zośka i Pietrek regularnie szkolili pływaków, powstała nawet drużyna piłki wodnej. Każdego też wieczora echo niesło daleko po lesie uderzenia piłki.

Pan Gwizda objął już nową funkcję, rozjeżdżał po terenie Mazur i Warmii, rzadko kiedy wpadał do domu. Jakby odżył po tych wszystkich wypadkach, śmiał się nieustannie, gadał więcej jeszcze niż przedtem, ale wiele też działał! Pewnego wieczora przywiózł nowinę, że wydział kultury powziął decyzję uruchomienia w Wyrajach świetlicy. Znalazły się pieniądze na remont starego budynku. Józia Glaca, której pan Gwizda zapewnił pracę świetliczanki, wszystkie wolne chwile spędzała przy postępującej szybko odbudowie.

Henio Lipień od września przyjęty został z powrotem do Domu Kultury w Mrągowie.

— Julek przeżył wielką chwilę wzruszeni, gdy któregoś dnia przyszedł do niego Michał, prosząc o dłuższą rozmowę. Pytał o wiele rzeczy, coraz więcej chciał wiedzieć. Ale za tym wszystkim kryła się inna sprawa, nie wypowiedziana od razu. W pewnej chwili Mazur o skołtunionej jak zawsze czuprynie porwał przyjaciela za ramię, uścisnął mocno.

— Julek, wczoraj byłem w Mrągowie na przesłuchaniu... Potem wezwano mnie do majora. Wiesz, tego, który łąził tutaj po lasach...

Julek przytwierdził skinieniem głowy, słuchał dalej łamiących się, urywanych słów Wittlego.

— Major długo ze mną rozmawiał. Powiedział, iż wierzy mi, że o wszystkim, co stryj robił, nie miałem pojęcia... Jak wykradliśmy ten spadochron, czy jak dawaliśmy psu kiełbasę z trucizną, tośmy robili to dla dokuczenia wam, z zazdrości, że siedzicie w namiotach, jeździcie łódkami, gdy my harujemy po lasach, a potem nie wiemy, co z sobą robić, czym się zająć... Stryj wmawiał mi, że tak się dzieje dlatego, ponieważ wy jesteście Polacy, a nas macie za coś gorszego... Dlatego pomagaliśmy jemu, ja i moi chłopcy. Major powiedział mi jeszcze jedno, że ty i wy wszyscy z zatoki prosiliście go, aby mnie nie karać, że chwaliliście mnie, że... — urwał, nie mógł mówić więcej, tylko twarz jego świadczyła o głębokim wzruszeniu.

Julek objął go i ucałował serdecznie. Michał milczał jeszcze przez długą chwilę.

— Nie przyszedłem, aby ci dziękować słowami — Chcę powiedzieć, że my już wiemy, co mamy robić, jak działać, no, po prostu wiemy, kim jesteśmy. Pani kierowniczka obiecała, że dla starszej młodzieży będzie zimą prowadzić lekcje o polskich książkach, że będzie nas uczyć, jak trzeba je czytać.

Julek patrzył na niego rozjaśnionymi oczyma. Jakże wiele przeżyć, jak wiele radości dało mu to lato nad błękitnym jeziorem. Pokochał dziewczynę i zdobył jej miłość, rozkochał się w wiosce rodzinnej swej matki i ciepło wniósł w serce jej mieszkańców zmrożone przedtem obojętnością.

Michał patrząc mu w oczy szepnął jeszcze:

— Przyszedł list. Ojciec przyjeżdża za dwa tygodnie...

— Cieszysz się?

— Tak. To bardzo dobrze. Gdzie ma być Mazur, jak nie na swojej ziemi? .

Ucałowali się raz jeszcze.

Wieczorem, na pomoście, całował znów Julek wilgotne, gorące usta Mirki. Za trzy dni wyjeżdżali do swoich dawnych miejsc zamieszkania, ale za tydzień obydwójce mieli spotkać się w Gdańsku. Postanowili pobrać się jak można najszybciej, aby razem już iść przez życie. Julek miał nadzieję, że dostanie w akademiku małżeński pokój. Na czas, dopóki nie ukończy studiów, bo potem na stałe już powrócą na Mazury...

Fajfer tylko coraz smutniej obliczał dni pozostające do zwinięcia obozu na nadbrzeżnej polanie. Nie dogadał się jeszcze z Zośką, Obiecała mu tylko, że przyjedzie do Wyrajów na ferie zimowe. W nieśmiałym sercu nauczyciela legła się nadzieja.

Nadszedł przedostatni dzień. Nad zatoką urządzono pożegnalne ognisko. Już nie tylko młodzież, ale cała wieś i majątek zeszyli się wielką gromadą. Śpiewano; stary Kwietnia nareszcie mógł wystąpić z przypowieściami i legendami. Potem młodzież tańczyła, wystąpił zespół utworzony przez buchalterkę spośród dziewcząt pegeeru. Krut leżał przed namiotami, dziwiąc się tylko ludzkiej ochocie do wywijasów i hałasu.

A potem, gdy późna godzina stała, się sygnałem rozejścia, Julek wystąpił na plac jasno oświetlony płomieniami ognisk. Mówił krótko, bał się zawsze napuszonych słów.

— Kochani — rzekł — zżyliśmy się z wami i z waszą wioską. Chcemy tu często wracać. Na przyszłe wakacje również rozbijemy obóz nad zatoką. Chcemy jednak, abyście i od nas otrzymali jakąś pamiątkę. Wczoraj uchwaliliśmy, aby naszą motorówkę, tego oto „Gawrona” — wskazał dłonią na przystań — ofiarować miejscowemu kołu elzetesu. Na zaczątek wielkiej liczby takich i innych łodzi.

— Rybieńki wy moje — stęknął wzruszony Grapsza, obowiązkowo spędzający teraz w obozie wszystkie wolne wieczory.

Podniósł się radosny gwar. Młodzi cisnęli się z podziękowaniami. Padały słowa żalu, że już stąd odjeżdżają, że tak się do nich wszyscy przyzwyczaili.

Kostek stał obok buchalterki Haliny. Zwróciła na niego jasne, szczere spojrzenie:

— Jak to dobrze, że ty jeszcze zostajesz aż do połowy września.

W odpowiedzi mocno uścisnął jej rękę.

Księżyc wystawił zza chmury pyzată, okrągłą twarz, rozjaśnił korony starych drzew, srebrzystym pasmem spłynął na wodę Jeziora Gardyńskiego, na samym jego brzegu oświetlając tablicę ze sterczącym T; niej potężnym łbem ryby i fantazyjnym napisem: „Zatoka Żarłocznego Szczupaka”.

W cieniu potężnego świerka Pietrek z zapalem całował czarną Ernę o krzywych nogach.

Krutynia — Poznań, październik 1954 — luty 1956.

Dorobek literacki Eugeniusza Paukszty (1916-1979)

ZAGADNIENIA KULTURALNE ZIEM ZACHODNICH (1947)

TRUD ZIEMI NOWEJ powieść (1948)

TRZECIA ZMIANA powieść (1949) |

OPOWIEŚĆ O ZWYCIĘSKIEJ STAROŚCI powieść (1953)

SREBRNA ŁAWICA powieść (1953, 1954. 1974, 1978, 1980)

KARTKI Z ZIEMI LUBUSKIEJ powieść (1954)

LASY PŁONĄ O ŚWICIE (LODY PĘKAJĄ) powieść (1955, 1974, 1978/1980)

NOC JAK DZIEŃ powieść (1955)

ZNAKI OGNISTE powieść (1956, 1965, 1979)

ŚPIEWAJĄCA ZIEMIA powieść (druk w odcinkach w „Ekspresie Poznańskim” 1957)

CZAROWNICA Z ZIELONEJ GÓRY opowiadania (1957, 1959)

OPOWIEŚCI NIECODZIENNE opowiadania (1957)

STRACENICY powieść (1957, 1968, 1978. 1985)

ZATOKA ŻARŁOCZNEGO SZCZUPAKA powieść (1957, 1963. 1970, 1973, 1983, 1989)

GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC powieść (1959, 1961, 1968. 1981, 1988)

POGRANICZE powieść (1961, 1963, 1966, 1972, 1976)

WSZYSTKIE BARWY CODZIENNOŚCI powieść (1961, 1964, 1973, 1976, 1979)

ZNAK ŻÓŁWIA powieść (1961, 1965, 1979, 1986)

WARMIA I MAZURY album (1962, 1970, 1975)

WIATROŁOMY powieść (1962, 1973, 1986)

BUNTOWNICY powieść (1963, 1968, 1978, 1988)

ODZYSKANE GNIAZDA antologia prozy i poezji (1963)

SPOWIEDŹ LUCJANA SKOBIELA powieść (1963, 1965. 1968, 1980)

WRASTANIE powieść (1964, 1966, 1976, 1979, 1988)

ZIEMIA LUBUSKA album (1965)

SPOD SZCZĘŚLIWEJ GWIAZDY opowiadania (1965. 1967, 1974, 1977)

PO BURZY JEST POGODA powieść (1966, 1974)

ICH TRZECH I DZIEWCZYNA powieść (1967, 1969. 1972, 1974. 1978)

PRZEJAŚNIA SIĘ NIEBO powieść (1967, 1970, 1972, 1974, 1976, 1984)

ZŁOTE KORONY KSIĘCIA DARDANOW powieść (1967, 1972, 1975, 1979)

WICHRY WŚRÓD KOLUMN opowieść reportażowa (1969)

MINARETY BEZ CZARCZAFÓW opowieść reportażowa (1970)

MŁODOŚĆ I GWIAZDY powieść (1972, 1973, 1975, 1978, 1980; 1983)

W CIENIU HETYCKIEGO SFINKSA powieść (1972, 1975, 1980)

ZAWSZE Z TEJ ZIEMI powieść (1976, 1979, 1982)